

JANE
FEATHER

Nieproszona miłość

Prolog

Sussex, Anglia, 1762

Trzej chłopcy wdrapywali się po stromym, porośniętym trawą zboczem na krawędź urwiska nad Beachy Head. Poryw wiatru chwycił latawiec unoszący się na jaskrawobłękitnym niebie. Philip Wyndham, pędząc coraz szybciej, okręcił sobie jeszcze raz linkę wokół dłoni.

Gervase, najstarszy, przystanął i zgiął się wpół, łapiąc oddech z bolesnym świstem astmatyka. Cullum wyciągnął rękę, by pomóc bratu wspiąć się na szczyt, jego silne mięśnie bez trudu radziły sobie z ciałem Gervase'a mimo że dzieliły ich tylko dwa lata. Obaj ze śmiechem dogonili Philipa.

Wszyscy trzej stali przez chwilę, wpatrując się w dół urwiska opadającego ku sterczącym ostrym skałom, o które rozbijały się fale.

Gervase przygarbił się i wzdrygnął, opuszczając wątłe ramiona. Urwisko miało dla niego zawsze jakąś hipnotyczną moc. Zdawało się zapraszać do skoku, do podążania nieubłaganie zwężającym się tunelem w gwałtownym wirze wichru, ku pokrytym pianą, wyszczerzonym kłom w dole.

Cofnął się.

- Moja kolej na puszczanie latawca.

- Nieprawda. Miałem go trzymać przez pół godziny. - Philip wyszarpnął rękę, kiedy Gervase sięgnął po latawiec.

- Miałeś go przez pół godziny - odezwał się Cullum jak zwykle tonem nieznoszącym sprzeciwu, również próbując uchwycić linkę latawca.

Mewa sfrunęła z urwiska, jej żałobny krzyk podchwyciła druga, potem trzecia. Trzej chłopcy chwiali się, każdy ciągnąc linkę do siebie, a mewy krążyły nad nimi jak cienie na tle białych, kłębiastych obłoków.

Cullum potknął się i opadł na kolano. Kiedy wstał, Gervase właśnie rzucał się, by chwycić linkę, którą nadal trzymał Philip zanoszący się urągłym śmiechem; Młodszy chłopiec przymrużył nagle ciemnoszare oczy. Kiedy Gervase skoczył do przodu, żeby złapać brata za nadgarstek, Philip się uchylił. Jego obuta stopa trafiła brata w łydkę.

Krzyk Gervase'a zmieszał się z piskliwym wrzaskiem mew, po czym ucichł na zawsze.

Dwaj chłopcy spoglądali z krawędzi urwiska na nieruchomy kształt leżący daleko w dole, na płaskiej skale. Fale lizały nankinowe spodnie Gervase'a.

- Ty to zrobiłeś - powiedział Philip. - Podstawiłeś mu nogę.

Cullum spojrział na brata z przerażeniem. Byli bliźniakami, ale podobne mieli tylko oczy - te szczególne szare oczy Wyndhamów. Philip wyglądał jak aniołek z masą złotych loków otaczających krągłą twarzyczkę. Był szczupły, lecz nie tak chorobliwie wątły jak Gervase. Cullum miał bezładną strzechę ciemnobrązowych włosów i wyraziste rysy. Był postawny i silny, a teraz stał mocno wparty nogami w darr.

- Co ty mówisz? - wyszeptał ze zgrozą.

- Widziałem cię - powiedział Philip cicho, wciąż mrużąc oczy. - Podstawiłeś mi nogę. Widziałem.

- Nie - szepnął Cullum. - Nie, ja tego nie zrobiłem. Próbowałem wstać... a ty...

- To ty! - przerwał mu brat. - Powiem im, co widziałem, i uwierzą mi. Wiesz, że tak będzie.

Patrzył na brata, a Cullum poczuł przyływ dobrze znanej bezradności, widząc złośliwy uśmiech triumfu malujący się na twarzy cherubina. Uwierzą Philipowi. Jak zawsze. Wszyscy zawsze wierzą Philipowi.

Odwrócił się i pobiegł skrajem urwiska, szukając zejścia, by dotrzeć do martwego ciała brata. Philip stał, patrząc za Cullumem, dopóki ten nie zniknął za krawędzią kilka metrów dalej. Przez moment widział jeszcze palce czepiające się darr. Kiedy Cullum rozpoczął karkołomne zejście ku skałom, Philip pobiegł po zboczach w stronę wąskiej alejki prowadzącej do Wyndham Manor, siedziby hrabiego Wyndhama. Ze łzami, które na zawołanie napłynęły mu do oczu, zamierzał opowiedzieć o strasznym wypadku pierworodnego syna hrabiego.

Latawiec, którego linkę wciąż trzymał, zataczał koło wysoko w powietrzu.

Londyn, luty 1780

Tłum zaczął wypełniać ulice już przed świtem. Każdy chciał zająć jak najlepsze miejsce przy drodze do Tyburn, szczęśliwcy zdołali stanąć przy samej szubienicy. Pomimo sypiącego śniegu i porywistego wiatru panowała odświętna atmosfera: wieśniacy przybyli na widowisko z żonami dzielili się zawartością swoich koszy z sąsiadami; dzieci pętały się w tłumie, goniły się z wrzaskiem; obrotni mieszczanie - szczęśliwi właściciele domów wzdłuż trasy przejazdu wozu z Newgate - wykrzykiwali ceny za udostępnienie miejsca w oknie lub na dachu.

Zapowiadał się spektakl wart, by za niego zapłacić - egzekucja Geralda Abercorn'a i Dereka Greenthorne'a, dwóch najsłynniejszych dżentelmenów z gościńca, którzy przez całe lata terroryzowali podróżujących przez wrzosowiska Putney.

- Można by pomyśleć, że skoro złapali tych dwóch, tamtego trzeciego też nietrudno będzie im schwytać - wymamrotała rumiana niewiasta z ustami pełnymi jedzenia.

Jej małżonek wydobył z przepaścistej kieszeni paltotu flaszkę rumu.

- Nie dopadną Lorda Nicka, kobieto, zobaczysz.

Pociągnął potężny łyk i otarł usta wierzchem dłoni.

- Wydajesz się bardzo przekonany, panie - odezwał się z tyłu głos z nutą rozbawienia. - Czemuż to tak zwany Lord Nick ma być bardziej nieuchwytny od swoich nieszczęsnych kompanów?

Mężczyzna popukał się palcem w skrzydełko nosa i mrugnął znacząco.

- Jest sprytny, rozumiesz pan. Sprytniejszy od stada małp. Za każdym razem wywija się gwardzistom. Mówią że potrafi zniknąć w kłębie dymu razem z tym swoim białym koniem. Zupełnie jak Stary Nick, sam diabeł we własnej osobie.

Jego rozmówca uśmiechnął się kpiąco, sięgając do kieszeni, by zażyć tabaki, nic jednak nie odrzekł. Stał blisko pierwszej linii gapiów, a ponieważ przewyższał wzrostem większość widzów, mógł nad ich głowami bez trudu dostrzec szubienicę. Wszelki ślad uśmiechu zniknął z jego twarzy, gdy usłyszał pomruki podniecenia nadchodzące od strony Tyburn Road - zbliżał się wóz ze skazańcami. Robiąc użytek z łokci, przepchnął się przez tłum do samego Tyburn Tree, za nic mając przekleństwa i utyskiwania.

John Dennis, kat, stał już na szerokiej platformie na kołach umieszczonej pod szubienicą. Otrzepawszy śnieg z czarnego rękawa, obserwował przez gęsto padające płatki śniegu przybycie swoich klientów.

- Słówko, panie.

Dennis zaskoczony spojrzął w dół. Mężczyzna w prostym, brązowym płaszczu i bryczesach utkwiał w nim przenikliwe spojrzenie szarych oczu.

- Ile za ciała? - spytał, wyciągając skórzaną sakiewkę. Zabrzęczała przyjemnie, kiedy położył ją na dłoni, Dennis nadstawił więc uszy. Przyjrzał się bliżej mężczyźnie i dostrzegł, że jego ubranie mimo prostoty było doskonale skrojone i uszyte z wyśmienitego materiału. Koszula, choć bez żabotu, była nieskazitelna, a na przybranie kapelusza nie szczędzono srebrnej koronki. Ocenie bystrego wzroku poddane zostały także buty z miękkiej skóry ze srebrnymi kłamanami. Rozbójnicy - a przynajmniej pan Abercorn i pan Greenthorne - najwyraźniej mieli majątnych przyjaciół.

- Pięć gwinei za sztukę - odparł bez chwili wahania. - I trzy za ubrania.

Obcy wykrzywił wargi, przez jego twarz przemknął wyraz nieklamane go niesmaku, ale bez słowa otworzył sakiewkę.

Dennis schylił się z wyciągniętą ręką, a mężczyzna w brązowym odzieniu odliczył mu złote monety. Następnie odwrócił się i przywołał czterech postawnych wozaków, którzy stali na obrzeżach tłumy oparci o swe wozy.

- Dostarczcie ciała do zajazdu Pod Królewskim Dębem w Putney - powiedział beznamiętnie, wręczając każdemu po gwinei.

- Jak nic będziemy musieli bić się o nich z ludźmi od chirurgów, panie - stwierdził jeden z nich, mrugając oblesnie.

- Kiedy już będą bezpieczni Pod Królewskim Dębem, dostaniecie jeszcze po gwinei - powiedział

chłodno mężczyzna w brązowym odzieniu. Odwrócił się na pięcie i zaczął się oddalać, przepychając się przez tłum. Dostał to, po co tu przyszedł. Dopilnował, by ciała jego przyjaciół nie skończyły na stole sekcyjnym pod nożami chirurgów, ale nie miał siły patrzeć na ich śmierć.

Udało mu się dotrzeć w sam środek tłumu, kiedy nasiliły się głosy od strony Tyburn Road - zbliżali się więźniowie z Newgate. Wtedy okazało się, że nie może zrobić ani kroku dalej. Otaczająca go rozgorączkowana gawiedź napierała, byle znaleźć się jak najbliżej szubienicy. Zrezygnowany, próbował oprzeć się poszturchiwaniom. Ludzie wspinali się na palce, wpadali jedni na drugich, zlorzeczyli i wykrzykiwali, chcąc jak najlepiej widzieć.

- Zdejmij ten kapelus, kobieto! - Ochryplemu okrzykowi towarzyszyło dalekie od uprzejmości szturchnięcie monstrualnej konstrukcji ze słomki i szkarłatnych piór.

Zionała dzinem, rozwścieczona właścicielka, purpurowa na twarzy żona woźnicy obróciła się i puściła wiązanek soczystych wyzwisk rodem z Billingsgate, na co otrzymała podobną odpowiedź. Mężczyzna w brązach westchnął, próbując osłonić nos przed odorem alkoholu i niemytych ciał unoszącym się w rozgrzanym powietrzu, pomimo ciągle padającego śniegu i szalejącego wichru. Coś otarło się o niego, przez kamizelkę poczuł lekkie muśnięcie, które go zaalarmowało. Poklepał się dłonią po kamizelce, wiedząc już, czego nie znajdzie. Nie było zegarka.

Wściekły rozejrzał się wokół, po morzu podnieconych, dyszących twarzy o rozpalonych oczach i rozdziawionych ustach. Jego bystry wzrok padł na zwróconą ku górze twarz tuż obok. Stała tak blisko, że kosmyk włosów o barwie cynamonu dotykał jego ramienia. Miała twarz madonny - bladą, o doskonałym zarysie, z szeroko rozstawionymi, piwnozłotymi oczami pod delikatnymi łukami brwi. Wspaniałe, ciemnobrązowe rzęsy trzepotały, piękne usta drżały z przykrości.

Nagle rozległ się ryk:

- Uważać na kieszenie! Gdzieś tu jest przeklęty złodziej!

Natychmiast podniósł się chór oburzonych głosów, kiedy ludzie, macając się po kieszeniach, zaczęli odkrywać, że im również brakuje cennych drobiazgów.

Prawie w tym samym momencie dziewczyna stojąca obok niego zachwiała się, jęknęła i upadłaby, gdyby odruchowo nie chwycił jej, zanim nie znikła w morzu nóg, pod ciężko obutymi stopami tupiącymi po bruku. Bezwładnie zawisła na nim, jeszcze bledsza niż przedtem, z kropelkami potu perlącymi się na czole.

Zatrzepotała rzęsami i mruknawszy: „Wybacz, panie”, zaczęła osuwać się znowu mimo podtrzymującej ręki.

Podniósł ją w górę i trzymając w ramionach, ruszył przez tłum.

- Dajcie przejść. Dama zemdlą - powtarzał co chwila, a jego ostry ton był na tyle skuteczny, że udało mu się wydostać z tłumu zajętego teraz spektaklem rozgrywającym się na rusztowaniu. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie tłum zrzedniał, ryk widzów powiedział mu, że oto platforma została usunięta, a Gerald i Derek zawisli na szubienicy. Jego twarz spochmurniała, powieki na sekundę przesłoniły oczy, szare i zimne jak arktyczny lód.

- Dzięki, panie. - Dziewczyna w jego ramionach poruszyła się. - Zgubiłam przyjaciół w tym ścisku i bałam się, że zostanę stratowana. Teraz jednak już sobie poradzę.

Jej głos był zaskakująco głęboki, o bogatej barwie. Spod aksamitnej peleryny, która rozsunała się, kiedy przeciskał się przez tłum, ukazała się skromna suknia z cienkiego muślinu z białą chusteczką dyskretnie osłaniającą szyję i dekolt, jak przystało młodej damie z dobrego domu. Dłonie schowane miała w aksamitnej mufce. Spojrzała na niego i obdarzyła go drżącym uśmiechem, kiedy zdawał się nie mieć zamiaru postawić jej na ziemi.

- Jak zamierzasz odnaleźć przyjaciół, pani? - spytał, rozglądając się po napierającej znowu ludzkiej ciżbie. - Mogą być gdziekolwiek. To nie miejsce, by dziewczyna z dobrego domu błąkała się samotnie.

- Proszę, nie chciałabym już dłużej cię kłopotać, panie - powiedziała. - Jestem pewna, że uda mi się ich odnaleźć... będą mnie szukać.

Poruszyła się znowu, a on wyczuł, że z wyraźną determinacją próbuje się uwolnić.

Przez myśl przemknęło mu pewne podejrzenie, kiedy przypomniał sobie przebieg wydarzeń. Okoliczności były nad wyraz dogodne... ale nie, z pewnością się myli. To uosobienie niewinności, o anielskiej twarzy i miódopływnym głosie, nie mogłoby przecież zręcznymi palcami penetrować kieszeni tłoczących się gapiów.

Pamięć, nieproszona, podsunęła mu obraz twarzy Philipa. Philipa, kiedy był dzieckiem. Anielski,

łagodny, przymilny, niewinny mały Philip. Żadne z rodziców nie dałoby wiary jakimkolwiek zarzutom wobec ich skarbu - ani rodzice, ani niania, ani guwerner, ani nikt ze służby w domu, w którym wszystko kręciło się wokół Philipa.

- Postaw mnie, panie! - Żądanie dziewczyny, wyrażone tonem oburzenia, gwałtownie przywołało go z powrotem do rzeczywistości.

- Za chwilę - odparł z namysłem. - Ale najpierw skupmy się na odnalezieniu twoich przyjaciół. Gdzie dokładnie ich zgubiłaś?

- Gdybym to wiedziała dokładnie, panie, nietrudno byłoby mi ich odnaleźć - zauważyła rezolutnie. - Byłaś niezmiernie uprzejmy i jestem pewna, że mój wuj okaże ci wdzięczność za uratowanie mnie. Jeśli podasz mi swoje nazwisko i adres, dopilnuję, by dostarczona ci nagrodę. Znów zaczęła się zaciekle wywijać. On wzmocnił uchwyt, podnosząc ją wyżej i łagodnie zaprotestował.

- Nie obrażaj mnie, szanowna pani. Tylko łądak pozostawiłby niewinną dziewczynę samą sobie w takich okolicznościach. - Rozejrzał się wokół z niepokojem i ciekawością, - Nie, pani, naprawdę muszę osobiście dostarczyć cię rodzinie.

Znów na nią spojrział. Kaptur peleryny zsunął się jej z głowy i śnieg pokrywał błyszczące brązowe loki. Na jej twarzy malował się wyraz bezgranicznej irytacji, po bezradnej, omdlewającej dziewczycy w opałach nie pozostał nawet ślad.

- Może gdybyś powiedziała, jak się nazywasz, moglibyśmy się czegoś dowiedzieć - zasugerował delikatnie.

- Octavia - powiedziała przez zaciśnięte zęby, błagając w duchu, by mu to wystarczyło i żeby wreszcie postawił ją na ziemi. Wtedy byłaby wolna i tyle by ją widział. - Octavia Morgan. I zapewniam cię, że nie ma najmniejszej potrzeby, abyś mi dotrzymywał towarzystwa ani chwili dłużej.

Uśmiechnął się teraz już przekonany, że miał rację.

- Och, jestem pewien, że jest, panno Morgan. Octavia... cóż za niezwykle imię.

- Mój ojciec jest badaczem historii antycznej - wyjaśniła odruchowo. Jej umysł pracował teraz szybko, odkąd zorientowała się, że ten mężczyzna się z nią bawi. Tylko po co? Czyżby miał zamiar wykorzystać jej bezbronność? W gruncie rzeczy nie sprawiał na niej wrażenia kogoś, kto byłby zdolny do zadania gwałtu młodej damie w trudnej sytuacji. Wyglądał i przemawiał jak dżentelmen, choć jego prosty ubiór i nieupudrowane włosy świadczyły, że nie jest bywalcem modnego świata.

Ale skoro tak, to dlaczego nie pozwala jej odejść? Owoce jej porannej pracy spoczywały ukryte w sakiewce przywiązanej w pasie i przylegającej do uda pod halką. Mogła sięgnąć do niej przez rozcięcie w sukni umożliwiające jej takie przesuwanie rogówki, aby mogła się zmieścić w wąskich drzwiach. Niemożliwe, by wyczuł sakiewkę, nawet trzymając ją tak, jak trzymał, ale czas najwyższy położyć kres tej żenującej bliskości.

Wyjęła rękę z mułki i grzbietem dłoni uderzyła go w brodę tak mocno, że głowa mu odskoczyła. Jednocześnie z całej siły ugryzła go w ramię.

Puścił ją jak rozpaloną cegłę, a ona popędziła przed siebie, z rozpaczliwą determinacją klucząc w tłumie. Wiedziała, że jest tuż za nią, czuła cichy, śmiertelnie niebezpieczny pościg. Czmychnęła w zaułek. Z trudem chwytała oddech, mając nadzieję, że zmyliła pościg, ale wtem dostrzegła mężczyznę z zaciętym wyrazem twarzy u wylotu zaułka. Zawróciła, aby schować się wśród ludzi, ale tłum zaczynał już rzędnąć. Widzowie egzekucji byli w awanturnych nastrojach, grzmiały podniesione, wytężone głosy, co chwila dochodziło do utarczek wśród grup osób starających się wydostać z placu. Tragarze lektyk oczekujący na klientów, zachęcali głośno przechodzących ludzi, by skorzystali z ich usług. Octavii prawie udało się dotrzeć do pierwszej lektyki. Ale gdy obejrzała się przez ramię, modląc się, aby jej prześladowca został w zaułku, on wciąż dotrzymywał jej kroku. Przepychał się przez ciżbę bez pośpiechu, ale jakimś cudem ją doganiał. Było coś nieubłaganego w tym zawziętym pościgu. Serce zaczęło jej walić, ogarnęła ją fala paniki. Miała jego zegarek. Jeśli domyślił się i teraz miał zamiar ją schwytać i doprowadzić przed sąd, niechybnie czekało ją spotkanie z katem tak samo jak tych dwóch nieszczęśników, których egzekucja tego ranka dostarczyła ludziom tyle rozrywki.

Wsunęła rękę w rozcięcie spódnicy i namacała pełną sakiewkę. Tasiemki pod halką były związane z tyłu. Nie mogła sięgnąć do nich jedną ręką przez rozcięcie, nie mogła też odwiązać

sakiewki i porzucić jej, nawet gdyby chciała. A ona nie chciała. Nie zniweczy jak tchórz efektów porannej pracy. W sakiewce było dość fantów, aby opłacić czynsz, wykupić z lombardu cenne książki papy, kupić mu lekarstwo i przez miesiąc mieć coś przyzwoitego do jedzenia. Gdyby się poddała, wszystkie te zapierające dech w piersi, przyprawiające o mdłości chwile przerażenia towarzyszące każdemu umiejętnemu muśnięciu koniuszkami palców cudzych kieszeni poszłyby na marne.

Zdecydowanym ruchem cofnęła rękę i uskoczyła w bok, w sam środek jakiejś rodziny rozpaczającej nad zaginionym dzieckiem. Członkowie rodziny znów stanęli w ciasnym kole po jej przejściu, klóćąc się zawzięcie. Rząd lektyk był tuż przed nią... jeszcze trzy kroki...

- Shoreditch! - wydyszała i postąpiła o krok, ku usłudze otwartym przez tragarzy drzwiczkom.
- Nie, nie sędzę, panno Morgan. - Jakaś ręka chwyciła ją za ramię, w cichym głosie pobrzmiwała nuta kpiny. - Wiesz, naprawdę czuję, że moim obowiązkiem jest odprowadzić cię bezpiecznie na łono rodziny.

Została schwytana. Ale on nie mógł być pewien, że ma jego zegarek. Nie była ubrana jak zwykła złodziejka, a jedynym dowodem, jakim dysponował, było to, że stała koło niego, kiedy rozległ się okrzyk „złodziej”. Odwróciła się do niego i wyniośle potrząsnęła głową.

- Panie, nie życzę sobie twojej opieki. Mam nadzieję, że nie zmusisz mnie, abym wezwała policjanta.

Rozbawienie błysnęło w szarych oczach spoglądających na nią z udawaną troską.

- Wręcz przeciwnie, madame. Może to ja powinienem go wezwać.

- Jedziesz do Shoreditch, pani, czy nie? - Tragarz chciał wiedzieć, zanim zdołała zmobilizować swój spryt, by poradzić sobie z tak oczywistym wyzwaniem rzuconym w odpowiedzi na jej blef.

- Oczywiście, że jadę. - Odwróciła się z ulgą, by wsiąść do lektyki.

- Nie - oznajmił jej denerwujący towarzysz tonem równie uprzejmym jak przedtem. - Naprawdę, nie sędzę. - Uwięził jej ramię w silnym uścisku i odciągnął ją od rzędu lektyk. - Ty i ja musimy sobie porozmawiać, panno Morgan.

- O czym, panie? - warknęła.

- Och, myślę, że wiesz - powiedział spokojnie. - Drobnostka dotycząca prywatnej własności i jej publicznego naruszenia. Ale wydestańmy się z tego ścisku.

Octavia nie miała wyboru, ale przynajmniej nie było już mowy o policjantach. Może wystarczy, jak zwróci mu jego zegarek i na tym sprawa się zakończy. Nic nie powiedziała, nie stawiała też oporu, kiedy popychał ją przed sobą wśród coraz bardziej rzednącego tłumu.

Nagle coś się zmieniło. Ludzie zaczęli napierać i przepychać się ze zdwojoną siłą, wybuchała wśród nich panika. Rozległy się ostrzegawcze okrzyki.

- Niech to szlag - zaklął towarzysz Octavii, rozpoznając powód tego wrzasku. Mocniej ścisnął jej ramię. - Przymusowy nabór do wojska. Wiedzą, gdzie się obłowić. Musimy się stąd wydostać, zanim ludzie dostaną amoku.

Octavii nagle przeszła cała ochota, by uwolnić się od swojego towarzysza, który teraz był jej jedynym oparciem. Straciła grunt pod nogami i gdyby nie przyciągnął jej do siebie, upadłaby na bruk. Ludzka masa gnała przed siebie, mężczyźni, kobiety i dzieci, wrzeszcząc, uciekali z placu bocznymi ulicami. Banda marynarzy uzbrojonych w pałki dowodzona przez kilku oficerów marynarki wlewała się na plac z Edgeware Road, otaczała mężczyzn i chłopców bez wyjątku, zalewając ich jak niepowstrzymana fala przyływu. Lamenty i protesty kobiet, którym przemocą zabierano mężów i synów, wznosiły się nad pełnym wściekłości i przerażenia rykiem rozszalałego tłumu.

Przymusowy nabór do wojska nie obejmował dżentelmenów, a mężczyzna, który pojmał Octavię, bez wątplenia był dżentelmenem, groziło im jednak, że zostaną stratowani. Przenikliwe krzyki przechodziły w przeciągłe wycie bólu i rozpacz, kiedy nieuważne stopy kopały i deptały ciała tych, którzy upadli. Octavia straciła poczucie kierunku, miała jedynie świadomość dającego bezpieczeństwo mocnego uścisku, jaki czuła na swoim ramieniu, kiedy płynęli porwani przez ludzką falę. Nie widziała nic poza torsami i ramionami, aż nagle kątem oka dostrzegła lukę.

- Tędy! - krzyknęła, starając się przekrzyczeć zgiełk. Rzuciła się w bok i przepychała z

opuszczoną głową jak rozjuszony byk w kierunku głębokiego portalu, który zauważyła przed chwilą. Towarzyszący jej mężczyzna wspomagał ją swoją siłą i wreszcie przedarli się do tego schronienia, a tłum mijając ich, pędził do przodu. - Dzięki Bogu! - Octavia oparła się plecami o bramę, łapiąc oddech. Szpilki powypadały jej z włosów, poszarpana chusteczka odsłaniała kremowe piersi. Mężczyzna przypatrywał się jej ubraniu w nieładzie, gwałtownie owinęła się więc peleryną, by nie mógł nic dostrzec. Cały czas czuła ciężar sakiewki na udzie.

- Masz bystry wzrok, panno Morgan - zauważył spokojnie jej towarzysz, wychylając się, by spojrzeć na plac. - Zostaniemy tu, zanim to się nie skończy.

- Przypuszczam, panie, że masz jakieś imię - powiedziała, starając się odzyskać wcześniejszą pewność siebie.

- Och, z pewnością- zgodził się, wydobywając z wewnętrznej kieszeni płaszcza lakierowaną tabakierkę. Zręcznie otworzył wieczko i delikatnie nabrał szczyptę. Na nic więcej się nie zapowiadało. Octavia tupnęła nogą o kamienną płytę.

- Czy dane będzie mi je poznać, panie?

Spojrzał na nią kpiąco, unosząc brew.

- Przyznaję, że nie zastanawiałem się nad tym. Jednakże... - Skłonił się elegancko, pomimo ograniczonej przestrzeni. - W tej chwili Lord Nick, do usług, panno Morgan.

Wpatrywała się w niego, usiłując sobie przypomnieć, gdzie już słyszała to imię. I co miało znaczyć owo „w tej chwili”?

- Och? - Otworzyła usta ze zdumienia. - Lord Nick, ten rozbójnik? Z uśmiechem wzruszył ramionami.

- Co za oszczerstwo. Doprawdy nie wiem, skąd ludzie biorą te historie. Octavia pokręciła głową, jakby starając się uporządkować myśli. Do tego

wszystkiego żaden dżentelmen, ale Lord Nick, rozbójnik, któremu lud nadał diabelskie imię ze względu na jego niesłychaną umiejętność uchodzenia przed prawem. Jeśli rzeczywiście był tym, za kogo się podawał - a w najmniejszym stopniu nie wyglądał tak, jak w jej wyobrażeniu powinien wyglądać rozbójnik - mało prawdopodobne, aby miał zamiar wnieść przeciwko niej oskarżenie. W tych okolicznościach jedynym rozsądnym działaniem wydawało się bezzwłoczne zwrócenie mu jego własności. Włożyła rękę pod pelerynę i wsunęła palce w rozcięcie sukni, aby wydobyć zegarek z sakiewki. W tej chwili spostrzegła, że mężczyzna śledzi każdy jej ruch z ironicznym błyskiem w oku.

Opuściła więc rękę, uśmiechając się nonszalancko. Nie podobał się jej wyraz ciemnoszarych oczu, poza tym w miejscu publicznym nie zamierzała przyznawać się do winy, nawet przed kimś, kto trudnił się takim samym procederem jak ona.

Niespokojny tłum rozpierzchnął się już, krzyki i nawoływania nikły w oddali.

- Chodź - powiedział Lord Nick. - Chyba już możemy bezpiecznie wyjść.

- Ty, panie, pójdziesz swoją drogą, a ja swoją- oznajmiła, wychodząc z kryjówki. Nigdzie nie było śladu lektyk. Tragarze na okrzyk „nabór” puciekali; jako silni, umięśnieni mężczyźni byli doskonałymi kandydatami do Marynarki Jego Królewskiej Mości.

- Wydajesz się mało bystra jak na kogoś, kto, jak mi się wydawało, ma głowę na karku - stwierdził lekko poirytowanym tonem. - Musimy jeszcze odbyć naszą rozmowę, jeśli pamiętasz. - Rozejrzał się, aby zorientować się w położeniu. - Mam konia Pod Różą i Koroną... tedy, jak sądzę.

Jasne było, że „rozmowa” jest nieunikniona, ale przynajmniej gospoda zapewni trochę prywatności. Zrezygnowana Octavia pozwoliła się prowadzić zaśmieconymi, ale spokojnymi teraz ulicami do gospody Pod Różą i Koroną.

Jednak kiedy tam dotarli, zamiast wejść do środka, skierowali się do stajni.

- Wolisz jechać z tyłu czy z przodu? - spytał Lord Nick ze swobodną kurtuazją, przywołując stajennego.

- Ani tak, ani tak - odparła Octavia. - O czym ty mówisz?

Za każdym razem, kiedy już jej się zdawało, że rozumie, co się dzieje, ten mężczyzna mieszał wszystkie elementy układanki. Westchnął.

- Zazwyczaj nikt mi nie zarzuca, że wyrażam się niejasno... Przyrowadź mojego konia, chłopcze... Mamy przed sobą około ośmiu kilometrów jazdy, panno Morgan. Więc? - Rozłożył ręce, jakby reszta była zrozumiała sama przez się.

Gorąca fala gniewu sprawiła, że Octavia zapomniała o poczuciu winy, rezygnacji i lęku. Do tej pory pozwalała mu nadawać ton, ponieważ sakiewka pod spódnicą ciążyła jej na sumieniu, ale teraz już wystarczająco wykorzystał jej słabszą pozycję.

- Nie pojedę z tobą- powiedziała cicho. O jej gniewie świadczyły jedynie rozbiegane oczy i jeszcze większa niż dotychczas bladość twarzy. – Nie wiem, o co ci chodzi, ale jeśli spróbujesz mnie tknąć, będę krzyczeć tak głośno, że zbiegną się wszyscy policjanci z okolicy.

Zdawał się jej nie słyszeć zajęty koniem przyprowadzonym przez stajennego. Deresz o szerokim grzbiecie z łatwością mógłby udźwignąć dwoje jeźdźców.

- No więc, panno Morgan... z tyłu czy z przodu? - odwrócił się do niej. - Jedno i drugie będzie wygodne, zapewniam. Peter jest spokojny jak baranek.

- Może ty źle słyszysz? - spytała Octavia głosem cichym i pełnym wściekłości. - Życzę miłego dnia.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przez podwórko. Czowała ciarki na plecach, oczekując powstrzymującej ją dłoni chwytającej za ramię. Ale nic się nie wydarzyło. Nie nagabywana dotarła do wąskiej, brukowanej kocimi łbami uliczki.

Pokryty mokrym śniegiem bruk był śliski, a ona drżała nie tyle z zimna, ile z powodu opadającej fali emocji. Zegar na kościele wydzwonił dziewiątą. Zdawało się nadzwyczajne, że jest jeszcze tak wcześnie, choć już tyle dramatów rozegrało się tego ranka. Ojciec pewnie do tej pory zdążył zagłębić się w swoich tekstach nieświadom czasu ani pogody, jak również nieświadom jej nieobecności. Jeśli ona nie zjawi się na jego wołanie, zrobi to pani Forster.

Pani Forster należy się czynsz za dwa tygodnie.

Na tę myśl Octavia przyspieszyła kroku. Może to teraz załatwić.

Zamyślona nie usłyszała stukotu kopyt. Kiedy się spostrzegła, jeździec był już prawie obok niej. Szła środkiem ulicy, trzymając się z daleka od rynsztoka pełnego brudnej wody i innych nieczystości. Teraz mogła tylko uskoczyć w bok, prosto do rynsztoka, żeby jej koń nie stratował. Było to powszechne niebezpieczeństwo na bocznych ulicach miasta.

- Nagła zaraza na twoją kaprawą duszę - zaklęła zupełnie nie jak dama, kiedy brud z rynsztoka zapaskudził jej trzewiki, skraj peleryny i sukni, bo nie miała dość czasu, by się usunąć. - Gnij w...

Przekleństwo urwało się, kiedy jeździec pochylił się w siodle i chwycił ją zręcznie jak woltyżer w cyrku Philipa Astleya.

Octavia siedziała teraz na grzbiecie deresza, mając za plecami Lorda Nicka. Jego muskularne ramię podtrzymywało ją, chroniąc przed upadkiem. Otworzyła usta i wrzasnęła przeraźliwie. Na całej uliczce otworzyły się okiennice, wychynęły zaciekawione twarze, oczy starały się przeniknąć coraz grubszą śnieżną zasłonę.

- Chcesz odwiedzić tutejszego sędziego? - wymruczał jej do ucha Lord Nick, nie czyniąc żadnego wysiłku, by ją uciszyć. - Jestem pewien, że zainteresuje go, co chowasz pod spódnicą.

Jej krzyk rozplątał się w zimnym powietrzu.

- A ja jestem pewna, że zainteresuje go, kto wnosi oskarżenie - syknęła. - Dwóch takich powiesili dziś rano i na pewno będą zachwyceni, jeśli dostaną trzeciego.

- A kto miałby mnie rozpoznać, droga panno Morgan?

Nie miała żadnego dowodu na poparcie swoich słów, ją zaś obciążały niepodważalne dowody złodziejstwa - sakiewka przytroczona do pasa. Po raz kolejny przyjęła porażkę gorzkim milczeniem.

Skręcili z zaułka. Padał gęsty śnieg i Octavia nie miała pojęcia ani gdzie się znajdują, ani dokąd zmierzają.

- Dokąd mnie zabierasz?

Właściwie nie ma to znaczenia, pomyślała trzeźwo, starając się zapanować nad niepokojem.

- Na wieś. W spokojne miejsce, gdzie będziemy mogli odbyć naszą rozmowę.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. - Słaby to był bunt, ale czuła, że konieczny.

- Ale ja mam coś do powiedzenia tobie.

- Puść mnie, a oddam ci ten przeklęty zegarek! - wykrzyknęła.

- O tak, oddasz mi go - zgodził się spokojnie. - Jednakże wszystko w swoim czasie, panno Morgan. Wszystko w swoim czasie.

Jechali przez labirynt ulic coraz węższych i uboższych, aż dotarli do rzeki. Octavia czuła się jak we śnie, który nagle zmienił się w koszmar, kiedy Londyn pozostał z tyłu. Przez moment rozważała, czy nie zeskoczyć z grzbietu deresza, ale zbyt wielka odległość dzieliła ją od śliskiej ziemi, a ramię towarzysza podróży trzymało ją o wiele mocniej, niżby wymagało tego bezpieczeństwo. Bardzo często zdarzały się porwania kobiet z ulic, czasem nawet z ich własnych domów, ale zazwyczaj ofiarą padały zamożne wdowy lub młode dziedziczki, a celem było wymuszenie małżeństwa. Ona nie zaliczała się do tej grupy. Czy rozbójnikowi chodziło po prostu o gwałt?

- Czego chcesz ode mnie? - dopytywała się. - Czemu miałbyś się interesować zwykłą złodziejką?

- Jak najbardziej niezwykłą złodziejką- poprawił ją spokojnym tonem z nutą rozbawienia, jakim przemawiał cały czas. - Uroczą, umiejacą pięknie mówić, dobrze ubraną i niesłuchanie zdolną złodziejką. Ten pomysł z omdleniem był bardzo sprytny. Ograbiłaś mnie z zegarka, a potem wykorzystyłaś mnie, by uciec z miejsca przestępstwa. - Zaśmiał się. - Za jakiego to frajera musiałaś mnie wziąć.

- Czyli chodzi ci o zemstę - powiedziała z rozmysłem, choć sposób, w jaki mówił, bynajmniej nie brzmiał mściwie. - Co masz zamiar uczynić? Zgwałcić mnie? Okraść? Zabić?

- Masz bardzo bujną wyobraźnię, panno Morgan. Gwałt nigdy mnie nie nęcił. - Krztusił się śmiechem. - Rzykując, że zabrzmi to chępliwie, powiem ci szczerze. Nigdy nie miałem potrzeby się do niego uciekać.

Octavia nie potrafiła znaleźć na to odpowiedzi, gdyż uświadomiła sobie, że to, co usłyszała, najprawdopodobniej było całkowitą prawdą. Pomimo gniewu i lęku musiała przyznać, że rozbójnik miał w sobie coś niepokojąco pociągającego.

- Niemniej - ciągnął, jakby zastanawiając się nad czymś - jeśli taki pomysł do ciebie przemawia, jestem pewien, że możemy znaleźć sposób, by cię zadowolić.

Ta jawna bezczelność, tak ściśle wpasowująca się w treść jej myśli, zmusiła ją do odwrócenia się w siodle z dłonią uniesioną, by zetrzeć mu z warg ten kpiący uśmiezek.

On jednak był na to przygotowany. Chwyił ją za przegub ręki i położył jej dłoń na kolana.

- Jesteś trochę zbyt gwałtowna, panno Morgan. Nie zapomniałem twojej poprzedniej napaści i obawiam się, że będę musiał cię za to ukarać. - Tym razem na jego twarzy nie było widać nawet cienia wesołości. Oczy miał jak zimne szare jeziora. - Nie podoba mi się, kiedy ktoś mnie czynnie znieważa. Lepiej to sobie zapamiętaj.

- Zostałam sprowokowana - powiedziała, blada z wściekłości. - Nie chciałeś mnie puścić. A teraz mnie obrażasz!

- Wybacz, ale nie zauważyłem, żeby to była obraza - odparł, niedbale wznosząc ramionami, ale nie puszczał jej nadgarstka. - Jesteśmy z jednej gliny, moja droga. Wyobrażam sobie, że w odpowiednich okolicznościach moglibyśmy dojść do porozumienia ku obopólnej radości.

- Arogancki, nieznośny łotr! - syknęła, czując swą niemoc, mogła dać wyraz oburzeniu tylko za pomocą obelg.

- Tak właśnie niekiedy o mnie mówią- przyznał rozbójnik obojętnie. - Jednakże ta rozmowa zaczyna być denerwująca, a jeśli się nie mylę, zadymka się wzmaga, radzę ci więc, byś powstrzymała swój język, zanim nie znajdziemy się w ciepłym i suchym miejscu.

Pogoda pogarszała się z chwili na chwilę i jej słowa uleciałyby z wiatrem, wybrała zatem gniewne milczenie. Kiedy przejeżdżali przez most Westminsterki, wiatr znad rzeki ogarnął ich dzikim porywem, miotając im w twarze kłującym śniegiem. Nieliczni napotkani podróżni umykali z pochylonymi głowami ciasno owinięci pelerynami.

Przebyli klusem wioskę Battersea, gdzie wszystkie drzwi były szczelnie zamknięte. Minęli zajazd, a Octavia tęsknie popatrzyła na dym unoszący się z kominów, ale rozbójnik widocznie miał na myśli inny cel i nie zamierzał zatrzymać się, dopóki do niego nie dotrze. Domostwa rozrzucone były teraz coraz rzadziej, maleńkie sioła spowite zasłoną śniegu, tylko jakiś parszywy kundel przemykał wiejską drogą. Octavia zastanawiała się, co myśli jej ojciec skulony w ich kwaterze przy Weaver Street. Jeśli w ogóle o tym myślał, doszedł pewnie do

wniosku, że schroniła się przed zamiecią. ..

A może nigdy go już nie zobaczy.

Im bardziej oddalali się od miasta, tym bardziej ta możliwość wydawała się prawdopodobna. Od przyjazdu do Londynu trzy lata temu nigdy jeszcze nie była tak daleko poza miastem i nie umiała sobie wyobrazić, jak mogłaby wrócić, nawet jeśli rozbójnik wypuściłby ją, dokonawszy tego, co zamierzał z nią uczynić... Na czym miałyby polegać kara za to, że zmusiła go, by ją puścił wtedy na Tyburn?

Zirykowało ją tak, że łzy napłynęły jej do oczu. Łzy wywołane strachem, zimnem i bezradnością płynęły ciepłymi strużkami po lodowatych policzkach, mieszając się ze śniegiem. Mocno przygryzła wargę, koncentrując się na bólu, dopóki moment słabości nie minął. Nie da swojemu nieznośnemu porywaczowi tej satysfakcji, nie pokaże mu, że płacze.

- Nie ma potrzeby się lękać - odezwał się nagle, a ona znów zdziwiła się, że czyta w jej myślach.

- Nie chcę cię skrzywdzić.

- Nie lękam się - zaprzeczyła. - Jestem zła i chcę do domu. Ojciec będzie się o mnie martwić. Nie można tak po prostu uprowadzić niewinnej osoby z ulicy, jakby nie miała rodziny, nie miała obowiązków.

- Mówiąc bez ogródek, panno Morgan, nie jesteś niewinną osobą- wypomnił jej łagodnie. Jechali teraz przez wioskę Putney, niegościny przyczółek pokrytego śniegiem wrzosowiska rozciągającego się na wzgórzu wznoszącym się przed nimi. - Jeśli ktoś zarabia na chleb w tak wątpliwy sposób, jaki ty wybrałaś, musi być gotów na to, co nieoczekiwane.

- A co z tobą, panie? Co powiesz na temat sposobu, w jaki ty sam zarabiasz na swój chleb? - odpaliła, starając się nie myśleć o tym, jak łatwo rozpląnąć się w śnieżycy na wrzosowisku. Równie dobrze mógł ją wieźć ku kraterom na księżycu.

- O, ja zawsze jestem gotów na to, co nieoczekiwane - odrzekł poważnie, kierując konia w boczną drogę na skraju wrzosowiska. - A cóż bardziej nieoczekiwanego niż zostać pozbawionym zegarka przez interesującą złodziejkę?

Cokolwiek chciałyby odpowiedzieć Octavia, nie zostało wypowiedziane, ponieważ dostrzegła w oddali światła zajazdu przeświecające przyjaźnie przez białoszarą gęstniejącą zasłonę śniegu. Szyld Pod Królewskim Dębem zakołysał się gwałtownie w porywie wichru, jeździec ściągnął wodze, Peter dyszał i parskał z wysiłku, jakiego wymagało przebycie klusem ośmiu kilometrów pod wiatr w śniegu. Drzwi zajazdu otworzyły się szeroko, stanął w nich krzepki mężczyzna w drelichowym fartuchu, towarzyszył mu chłopak do posług.

- Ej, Nick, co za podła pogoda! Czekaliśmy na ciebie - powiedział gospodarz, a chłopak chwycił wodze Petera. - Zrobione?

- Ano zrobione. Przywiozą tu ciała. - Rozbójnik zeskoczył na ziemię i mocno uściśnął dłoń mężczyzny. Skinęli sobie głowami, jakby odkładali jakąś kwestię na później, po czym Lord Nick odwrócił się do Octavii wciąż siedzącej na koniu. - Koniec podróży, panno Morgan. - Postawił ją na ziemi. - Do środka. - Położył rękę na jej plecach i popychając ją do wnętrza zajazdu, poprowadził na lewo z wyłożonej kamiennymi płytami sieni, a następnie do sali z dwoma potężnymi paleniskami. Gorąco niemal ją odrzuciło.

Szynk, jasno oświetlony blaskiem ognia i łożowymi świecami, wydawał się pełen twarzy. Wszystkie zwróciły się w jej stronę. Z kuchni, którą Octavia dostrzegła przez otwarte drzwi za barem, dolatywały smakowite zapachy i poczuła, jak bardzo jest głodna. Musiało już minąć południe, a ostatni posiłek, składający się z chleba z masłem, jadła przed świtem, zanim wyruszyła do pracy w tłumie na Tyburn.

- No, a cóż to przywiozłeś ze sobą, Nick? - odezwał się dobrodusznie właściciel zajazdu, usadowiwszy się w kącie przy kominku, pykając z fajki o długim cybuchu.

- Przyjaciele, to jest panna Octavia Morgan - oznajmił Nick, strząsając z ramion zaśnieżoną pelerynę, którą rzucił na siedzisko razem z kapeluszem, batem i rękawicami.

- Czyżby? - W drzwiach kuchni stanęła kanciasta kobieta owinięta w umoczony fartuch, ręce założyła na niezbyt okazałej piersi, w dłoni trzymała drewnianą warząchew. Jej oczy spoglądały bystro i nieprzyjaźnie na Octavię, która stała w wejściu do szynku. Woda z roztopionego śniegu ściekająca z jej peleryny utworzyła na posadzce kałużę wokół przemoczonych trzewików. -A kimże jest

panna Morgan, Nick?

- To bardzo zdolna młoda dama, Bessie - odparł rozbójnik. Spojrzał na Octavię z figlarnym uśmiechem, który tylko jeszcze bardziej ją zaniepokoił. - Zdejmij pelerynę, panno Morgan.

Kiedy go nie usłuchała, zręcznie rozpiął sprzączkę przy jej szyi, zdjął z niej przemocnione okrycie i wręczył je dziewczce służebnej, która wytrzeszczała oczy.

- Wysusz to, Tabitha... A teraz mufka i rękawiczki, panno Morgan.

Zostały zdjęte natychmiast i Octavia poczuła się nieprzyjemnie odsłonięta

w swojej skromnej sukni z kremowego muślinu. Niepewnym ruchem ściągnęła podartą koronkową chusteczkę na szyi. Czowała się całkowicie nie na miejscu w tym szynku pełnym wiejskich prostaków, gdzie jedynymi kobietami poza nią były stojąca w drzwiach Bessie o twardym spojrzeniu i mała służąca.

- A teraz przejdźmy do interesów - zapowiedział wesoło Lord Nick. - Czas się wypłacić ze zobowiązania, panno Morgan. - Chwycił ją w tali i postawił na długim wspólnym stole pośrodku sali.

Octavia przez moment była zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć. Patrzyła na otaczające ją rozbawione i zaciekawione twarze, jakby wszyscy oczekiwali na rozpoczęcie przedstawienia.

- Gdzieś na sobie panna Morgan ukrywa owoce swojej porannej pracy na Tyburn - uroczyście poinformował Lord Nick zebranych. - I nie przypadkiem mój zegarek. Jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie posiadam - dodał z naciskiem.

- Czy nie ten, który zwędziłeś staremu Denbighowi, Nick?

- Właśnie ten, Thomas - potwierdził, z powagą kiwając głową. - Panno Morgan, myślę zatem, że pora, byś ujawniła, gdzie to chowasz i pokazała nam swoje łupy.

Utkwiła w nim wzrok, a jej policzki zrobiły się purpurowe, kiedy dotarło do niej to, co Lord Nick mówi. Kiedy czekali w bramie, aż tłum ich minie, dostrzegł jednak niezauważalny ruch ręki Octavii, gdy postanowiła oddać mu zegarek. Dokładnie wiedział, gdzie trzyma sakiewkę, mógł więc przypuszczać, że przywiązana jest w tali i aby ją odwiązać, będzie musiała podnieść spódnicę.

- Ty wszawy sukinsynu - powiedziała miękko.

- Kara, panno Morgan, pamiętasz? - Uniósł jedną brew. Swobodnie sięgnął do rzędu glinianych fajek wiszących nad barem i wybrał sobie jedną. Stała bez ruchu na stole, kiedy on nabijał fajkę, potem skrzesał ognia i zapalił tytoń. Uniósł się kłęb dymu, który zmieszał się z dymem drzewnym z paleniska i z ciężką chmurą dymu fajkowego wiszącą pod niskim belkowanym sufitem. - Oczywiście Bessie może ci pomóc, jeśli będziesz miała z tym kłopot - powiedział, wskazując na stojącą w drzwiach kuchni kobietę w fartuchu. Wytrzymał wściekle spojrzenie Octavii. Wzrok miał zimny i przenikliwy, w najmniejszym stopniu nierozbawiony. Nie jest to człowiek, z którym można by zadzierać, uznała Octavia tknięta ponurym przeczuciem, kiedy Bessie z gotowością postąpiła do przodu, znowu wycierając ręce w fartuch.

Nie miała innego wyjścia, musiała ulec - tylko tak mogła powstrzymać tę kobietę przed zderzeniem jej sukni z grzbietu na samym środku szynku.

Starając się nie dostrzegać kręgu roześmianych twarzy mężczyzn i cisnących się do stołu, uniosła spódnicę i halkę. Z pośpiechu i zażenowania miała zdrętwiałe palce. Jej poniżenie trwało całą wieczność, kiedy rozpaczliwie usiłowała rozwiązać tasiemkę, która utrzymywała przy pasie sakiewkę z jagnięcej skóry. W końcu tasiemka ustąpiła.

Rozbójnik stał przy stole z jedną dłonią wyciągniętą po nagrodę, drugą obejmował główkę fajki. Jego twarz nic nie wyrażała. Octavia, z całej siły cisnąwszy sakiewką w jego głowę, zeskoczyła ze stołu i rzuciła się ku drzwiom, roztrzającą gapiów. Chwyciła swoją przemoczoną pelerynę, którą wciąż trzymała służąca i popędziła przez sień na zewnątrz, w oślepiającą zadymkę. Nie wiedziała, dokąd biegnie ani co zamierza uczynić, po prostu biegła drogą, jej stopy zapadały się w sypkim śniegu.

Wiatr przenikał przez lichego materiał sukni, kiedy w biegu chciała owinąć się peleryną. Zostawiła mufkę i rękawiczki, palce szybko jej więc zgrabiała, ale nie przestawała biec, stawiając czoło zawiei i łkając z wściekłości.

- Śnieg tłumiał odgłos kroków, nie słyszała więc nic, dopóki nie została schwycona za ramię i nie dobiegł jej pełen niepokoju głos rozbójnika:

- Do wszystkich diabłów, kobieto, oszalałaś?

- Puść mnie! - Wywinęła się mu, piorunując go wzrokiem. - Szumowina! Dostałeś, co chciałeś, a teraz mnie zostaw.

- Nie chcę mieć twojej śmierci na sumieniu - oświadczył.

- Na jakim sumieniu? Nie wiesz, co znaczy to słowo, ty obrzydliwy odpadku z rynsztoka!

Niespodziewanie rozbójnik wybuchnął śmiechem. Tym razem był to głęboki, wesoły śmiech, zupełnie inny, nie drwiący, jak poprzednio.

- Masz do tego prawo, zapewniam cię. Ale byłem ci coś winien za ugryzienie w ramię i cios w szczękę. Krzywda ci się nie stała i nie pokazałaś nic więcej poza halką bądź więc cicho i wróć się ogrzać, zanim zamarzniesz na śmierć.

- Wolę umrzeć! - Odwróciła się i znów zaczęła przedzierać się zasypaną wąską drogą na oślep, bo płatki śniegu osiadły jej na rzęsach.

- Masz niepokoniony język i talent do szalonych wybryków, panno Morgan. -Mówiąc to, porwał ją do góry. Wrzasnęła, ile sił w płucach, ale jej krzyk uleciał z wiatrem i nic nie mogła zrobić, aby uchronić się przed bezceremonialnym uprowadzeniem z powrotem do zajazdu Pod Królewskim Dębem.

Kopniakiem zamknął drzwi i skierował się ku drewnianym schodom, wołając:

- Bessie, przyślij na górę Tabithę z grzonym winem i ręcznikami. Bądź tak dobra i za pół godziny podaj nam obiad.

Bessie stanęła w drzwiach, patrząc jak Lord Nick pokonuje po dwa stopnie naraz, wydając się nie zwracać uwagi na swój wijący się i przeklinający ciężar. Wydęła usta z dezaprobatą i wróciła do swojej kuchni.

- Tab, słyszałaś, co powiedział Lord Nick. Grzane wino do jego apartamentu.

- Tak, pani. - Tabitha dygnęła i pospieszyła do pieca, na którym znajd miedzianego kociołka grzanego wina unosiła się wonna para.

Na górze głośno trzasnęły drzwi.

- Do wszystkich diabłów, kobieto, jak na taką kruszynę, wcale nie jesteś lekka - stwierdził Lord Nick, stawiając swojego jeńca na podłodze z westchnieniem ulgi. -A teraz rozgość się i przestań mnie przeklinać. W tej chwili nie zdołasz nigdzie dojść, równie dobrze możesz więc łaskawie przyjąć mój gościnnie.

Była w tym nieodparta logika, której Octavia, nawet mimo swojej furii, nie potrafiłaby zaprzeczyć. Przynajmniej byli tu sam na sam, z dala od roześmianych twarzy, świadków zawstydzającej sytuacji, w jakiej się znalazła. Zamilkła, rozglądając się po ciepłym i jasno oświetlonym woskowymi świecami pokoju. Na dębowej podłodze leżał dywan w szachownicę, pod oknem stał okrągły stół, dwa wyściełane krzesła były ustawione po obu stronach kominka, na którym płonęły polana. Zapach lawendy i pszczelego wosku mieszał się z dymem drzewnym, krata przed kominkiem była wypolerowana, cynowe świeczniki połyskiwały, dobrze utrzymane drewniane meble błyszczwały.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona, jej głód wzmagał się podsycany woniami docierającymi z dołu. Nieznacznie wzruszając ramionami, odrzuciła na bok przemoczoną pelerynę i zbliżyła się do ognia, aby ogrzać przemarznięte dłonie. Skrzywiła się, kiedy w końcach palców zaczęło wracać czucie. Rzęsy i włosy miała białe od śniegu, stopy zdrętwiały w mokrych trzewikach. Spódnica i halki nasiąkły od dołu, nie potrafiła zapanować nad dreszczami.

Rozbójnik stał i przyglądał się jej spod zmarszczonych brwi z zastanowieniem. Podziwiał jej piękną figurę, gdy pochyliła się nad ogniem, a odkąd przestała miotać obelgi i walczyć, mógł znów zachwycać się pięknym owalem jej twarzy madonny i niewinnym blaskiem piwnych oczu.

Nie można oceniać zawartości paczki po opakowaniu. Zaciśnął wargi, gdy owładnęło nim gorzkie wspomnienie. Cekał, aż anielski obraz jego brata bliźniaka zblednie jak zwykle w gwałtownym przypiływie lodowatej wściekłości. Takie następstwo obrazów i uczuć towarzyszyło mu przez ostatnie osiemnaście lat. Ale bliski jest już dzień, kiedy będzie mógł zapomnieć o całym złu, kiedy uwolni się z okowów fałszu i niesprawiedliwości, a Philip znów spotka swojego brata bliźniaka...

Pukanie do drzwi wyrwało go z zadumy. Pozwolił wejść Tabicie z tacą, na której stał dzban i dwa

kubki. Dziewczyna niosła pod pachą ręczniki.

- Proszę, panie. Mam nakryć stół do obiadu?

- Za dziesięć minut, Tab. - Odprawił ją skinieniem dłoni. Postawiła ciężką tacę na stole, dygnęła i wyszła.

Octavia odwróciła się od ognia. Rozbójnik rzucił jej ręcznik.

- Wytrzymaj sobie włosy, panno Morgan.

Odruchowo złapała ręcznik i zaczęła wyjmować szpilki z włosów, podczas gdy on nalewał do kubków grzane wino. Znowu schyliła się nad ogniem, mocno wycierając rozpuszczone włosy, ale wciąż trzęsła się w cienkiej, wilgotnej sukni, a stopy nadal miała zdrętwiałe.

- Wypij to. - Podał jej kubek. Wzięła naczynie i trzymała w dłoniach, wdychając oszałamiający, korzenny aromat. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć ani też nie widziała w tej chwili powodu, aby przeciwstawić się jego szorstkim poleceniom.

Nagle wyszedł z pokoju. Octavia upiła spory łyk wina, po czym usiadła w fotelu, by ściągnąć buty i pończochy. Z westchnieniem ulgi poruszała palcami stóp w ciepłe bijącym od ognia. Bolały ją okropnie, kiedy wracało w nie życie, ale ten ból powitała niemal z radością.

- Zdejmij suknię i załóż to. Tab wysuszy twoje ubranie.

Rozkoszując się błogim ciepłem, prawie zapomniała o swoim porywaczu

i nie słyszała, kiedy wrócił. Spojrzała zaskoczona. Z obojętnym wyrazem twarzy podawał jej aksamitny szlafrok.

- Moja suknia doskonale wyschnie na mnie - odparła Octavia lodowato.

- Nie bądź niemądra. Do rana nabawisz się ciężkiego przeziębienia, jeśli zostaniesz w tym ubraniu.

Rzucił jej szlafrok na kolana. Nie przestawała wpatrywać się w niego. Taka delikatną niewinna piękność, obraz urażonej skromności. Mało brakowało, a dałby się nabrać.

Ale przecież nie można oceniać zawartości paczki po opakowaniu. Już raz dziś wystrychnęła go na dudka i wiedział, jaka z niej utalentowana aktorka. Była dorosłą kobietą uliczną złodziejką. I posłużyłaby się swoim ciałem jako walutą gdyby zaszła taka potrzeba.

- Nie udawaj, że pierwszy raz w życiu rozebrałabyś się przed mężczyzną - powiedział drwiąco, kończąc dyskusję. - Niemniej nie mam nic przeciwko takiej zabawie. Gra może dodać nieco pieprzu, zgadzam się. - Uśmiechnął się, ale nie był to miły uśmiech. - Mam się odwrócić? - zapytał, odwracając się jednocześnie.

Octavia rozejrzała się za nożem... za czymkolwiek. Dostrzegła pogrzebacz.

Usłyszał szcęk żelaza o kratę i odwrócił się, w chwili gdy ona podniosła pogrzebacz do góry. W oczach miała mord.

- Niech to szlag! - uskoczył w bok, a ona opuściła pogrzebacz z siłą która strzaskałaby mu czaszkę. Znowu chciała go zaatakować, ale chwycił ją za rękę. Mocowali się w śmiertelnym tańcu. Był zaskoczony, jak jest silna - a może to wściekłość dodawała jej mocy. Zdecydowanym ruchem wykręcił jej nadgarstek i pogrzebacz upadł na podłogę.

- Co to, u diabła, miało być? - Złapał ją za ramiona i potrząsał nią gwałtownie, domagając się odpowiedzi. - Mogłaś mnie zabić.

- Taki miałam zamiar - powiedziała łagodnie, lecz jadownicie. - Ośmieliłeś się mówić do mnie w ten sposób...

- Zaraz, zaraz, poczekaj! - Uniósł dłoń, nakazując jej milczenie. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że wciąż jesteś dziewicą?

- Co daje ci prawo przypuszczać, że nie jestem!?

Złote ognie płonęły w jej oczach, twarz miała śmiertelnie bladą. Wiedział z całą pewnością, że to nie gra.

- Piekło i szatani! - Puścił ją i przejechał sobie dłonią po brodzie, zrobił ponurą minę, krzywiąc usta. - Jak miałbym przypuszczać co innego, wiedząc o tobie to, co wiem?

- Nic o mnie nie wiesz!

- Nie - przyznał. - Najwyraźniej nic. Cóż, jeśli to cokolwiek warte, panno Morgan, proszę, przyjmij moje przeprosiny za krzywdzące przypuszczenie. A teraz sugeruję, abyś zdjęła tę suknię, podczas gdy ja odwrócę się twarzą do ściany i będę rozpamiętywać mój grzech. - Powiedziawszy to, podszedł do okna i zapatrzył się w padający śnieg i zapadający zmrok.

Octavia podniosła szlafrok, który uprzednio rzuciła na podłogę, kiedy ogarnęła ją wściekłość.

Stała tyłem do ognia. Okiennice stukały na wietrze, lodowate poddmuchy wdzierały się do wnętrza. Wiedziała, że nie mogłaby zostać w swoim przemoczonym ubraniu. Pośpiesznie ściągnęła muślinową suknię i rozwiązała tasiemki rogówki, która opadła na podłogę. Drżąc w koszuli i nakrochmalonej batystowej halce, sięgnęła do tyłu, aby rozsznurować gorset.

- Niech to piekło pochłonie!

Złamała paznokcie, walcząc z supłem splątanej sznurówki. Wykręcone niewygodnie do tyłu ręce i ramiona zaczęły ją boleć.

- Kłopot ze sznurówką? - odezwał się rozbójnik, nie odwracając się od okna. - Może mógłbym pomóc.

Skąd mógł to wiedzieć? Zaciśnęła zęby.

- Idź do diabła!

- Damski ubiór nie jest mi obcy - oznajmił, a w jego głosie pobrzmiwał teraz ten głęboki, wesoły śmiech.

- Zaskakujesz mnie! - Octavia zdwoiła wysiłki, zagryzając wargi z bezsilności.

- Podejdz tu, a zajmie mi to zaledwie chwilę. Jeśli chcesz, mogę nie otwierać oczu.

- I jak masz zamiar mnie rozsznurować z zamkniętymi oczami? - zapytała.

- Dotykam. - Rozbawienie w jego głosie było teraz wyraźne. Octavia przez chwilę zmagala się ze sobą, po czym podeszła do niego.

- Zamknij oczy.

Odwrócił się od okna z oczami posłusznie zamkniętymi, a ona stanęła do niego plecami. Jego palce wprawnie dotykały sznurówki, szukając supła.

Podejrzliwie obejrzała się przez ramię, ale jego oczy pozostawały zamknięte. Niemniej jednak uśmiechał się szeroko. Nieposłuszny supel został rozwiązany i po sekundzie stała, przyciskając do siebie rozsznurowany gorset.

- Dziękuję, panie - powiedziała oficjalnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madame - odparł. - Okazuje się, że jestem bardzo zręczną pokojówką. Czy mógłbym ci oddać jeszcze jakąś drobną przysługę?

- Odwróć się tyłem! - rozkazała, dziwiąc się, czemu jego psotny uśmiech wydaje się jej tak zaraźliwy. Uważała, że to nienormalne po tych wszystkich afrontach, jakie spotkały ją z jego strony, odkąd tak nierozważnie wybrała go na swoją ofiarę.

Zsunęła halki i naciągnęła aksamitny szlafrok na cienką koszulę. Był ciepły, gruby i obszerny.

- Możesz się już odwrócić.

Schyliła się, żeby pozbierać rozrzucone części swojej garderoby.

- Widok stawał się nieco monotony - stwierdził, podchodząc do ognia. Wziął swoje wino i pił, przyglądając się jej znad brzegu kubka. - Naprawdę zaczęliśmy ze złej strony.

- Porwanie trudno uznać za receptę na przyjaźń - odpaliła Octavia, porządnie składając pozbierane ubrania. Cały czas dręczyła ją świadomość, że jest prawie zupełnie naga pod aksamitnym szlafrokiem, z którego emanowała mieszanina zapachu lawendy, mydła i pomady oraz woni rozgrzanej męskiej skóry - rozpoznała zapach ciała rozbójnika, który wdychała przez cały dzień.

- Czy mogę teraz nakryć do stołu, panie? - Tab wetknęła głowę przez uchylone drzwi. - Gospodyni mówi, że obiad się zmarnuje.

- Lepiej więc go przynieś bez zwłoki - polecił Lord Nick. - Nie przepadam za ostrym językiem Bessie.

- O nie, panie - przyznała Tab gorliwie. Czym prędzej podbiegła do okrągłego stołu z tacą, na której przyniosła obrus, sztuce i kieliszki. Po wykonaniu zadania zerknęła na Octavię, nadal kulącą się przy kominku. - Mam zabrać ubranie panią do wysuszenia?

- Jeśli możesz być tak miła, Tabitho - odpowiedziała Octavia, uprzedzając odpowiedź rozbójnika. - Jak tylko będą suche, przynieś je z powrotem.

- Tak, panią.

Tab wzięła ubrania i wybiegła.

- Dziś już ci się nie przyda - zauważył Lord Nick, wracając do okna. - Jest prawie zupełnie

ciemno i nic nie wskazuje na to, aby zadymka miała się skończyć.

- Nie zostanę tutaj - oznajmiła Octavia zdecydowanie.

Rozbójnik tylko wzruszył ramionami. Nie było sensu klócić się o to, fakty mówią same za siebie, a ona niebawem pogodzi się z tym.

Bessie, Tabitha i gospodarz wkroczyli w uroczystej procesji, niosąc wyładowane tace. Ben postawił na stole dwie butelki burgunda i z czcią je odkorkował.

Octavia przełknęła ślinkę, kiedy Bessie uniosła pokrywkę wazy z zupą ostrygową i zaczęła nalewać ją do dwóch głębokich cynowych misek.

- Pokroisz sam baraninę, Nick, czy Ben ma wrócić, żeby to zrobić?

- Pokroję, dziękuję, Bessie. - Lord Nick podszedł do stołu. Spróbował burgunda nalanego przez Bena do kieliszka i skinął głową z uznaniem. - Gdzie to się uchowało, Ben?

Rumiana twarz Bena poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Mam jeszcze parę butelek, Nick. To, tak przy okazji, podziękowanie dla ciebie.

- Nie ma potrzeby, Ben. Nie ma potrzeby. Oni byli też moimi przyjaciółmi.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie z tą samą milczącą intensywnością, którą Octavia zauważyła już wcześniej, po czym zgodnie skinęli sobie głowami i Ben wycofał się z pokoju. Bessie obrzuciła jeszcze spojrzeniem stół i parujący udziec barani na kredensie. Gestem nakazała Tabicie wyjść i ruszyła za nią. W drzwiach przystanęła.

- To ona legnie z tobą?

Ruchem głowy wskazała w kierunku Octavii. Gest wyrażał pogardę i wrogość.

- Owszem - odparł rozbójnik krótko. Bessie wyszła, klamka w drzwiach szczęknęła ostro.

Octavia stała bez ruchu zaskoczona swoją własną bezsilnością. Była uwięziona w tym miejscu, na łasce tego mężczyzny i jego przyjaciół.

- Zanim znów zaczniesz miotać obelgi na moją głowę, panno Morgan... - Lord Nick powstrzymał ją uniesioną dłonią. - To nie jest miejsce, w którym kobieta mogłaby spać sama.

- Zanim mnie obrabowałeś, panie, miałam dość środków, by zapłacić za siebie - stwierdziła Octavia, odzyskując głos. Poczuli ulgę, kiedy usłyszała, że brzmi on o wiele silniej, niż mogłoby, biorąc pod uwagę jej samopoczucie.

- Mamy tu do czynienia z interesującą kwestią moralną - zauważył. - Chodź do stołu, zanim zupa wystygnie... Do jakiego stopnia, z punktu widzenia etyki, złodziej ma czuć się winny, okradając innego złodzieja?

Octavia podeszła do stołu zbyt głodna, by zwalczyć pokusę.

- Najwyraźniej nigdy nie słyszałeś o złodziejskim honorze, Lordzie Nicku.

- Wręcz przeciwnie... - Odsunął dla niej krzesło, po czym sięgnął do kieszeni i rzucił sakiewkę z jagnięcej skóry na stół obok jej nakrycia. - Przekonaś się, że odzyskałem tylko swoją własność, panno Morgan.

Octavia nie miała jeszcze okazji przyjrzeć się owocom swojej porannej pracy. Ważyła sakiewkę w dłoni, zapominając na chwilę zarówno o głodzie, jak i o mrocznym, pełnym wirów nurcie bezsilności i niepokoju. Gdyby miała pieniądze, mogłaby opuścić to miejsce. Mogłaby wynająć powóz, który zawiózłby ją z powrotem do Londynu. Mogłaby wynająć pokój, w którym oczekiwałyby burzę śnieżną. Nie byłaby zdana na łaskę i kaprys rozbójnika.

Mogłaby nawet zapłacić za swój obiad. Odłożyła sakiewkę obok nakrycia i spokojnie sięgnęła po łyżkę.

- Pod Królewskim Dębem - powiedział rozbójnik, biorąc swoją łyżkę, jakby znów nieomylnie czytał w jej myślach - nie przyjmuje się przypadkowych podróźnych. Tu nie ma pokoi do wynajęcia.

Spojrzała na niego ostro.

- Jak to możliwe?

- Tu robi się inne interesy, panno Morgan. - Odkroił kromkę żytniego chleba i podał jej. Uśmiechał się kpiąco. - Interesy, jakie prowadzimy Pod Królewskim Dębem, najlepiej zachować dla siebie, panno Morgan.

- Złodziejska melina - powiedziała z goryczą. - Po co? - Gwałtownie rzuciła łyżkę. - Po co mnie tu przywiozłeś?

- Kaprys - oznajmił, maczając chleb w zupie. - Zaintrygowałaś mnie... Zazwyczaj nie wykorzystuję... a poza tym... - Uśmiechnął się leniwie. - Przyszło mi do głowy, że kiedy już

załatwimy nasze sprawy, moglibyśmy pomyśleć o przyjemnym spędzeniu wieczoru.
Palce Octavii zacisnęły się na nóżce kieliszka.

- Ufam, że teraz już tak nie myślisz, panie. Wzruszył ramionami.
- Przyznaję, nie spodziewałem się, że nadal nosisz swój wianek.
- A teraz, kiedy już wiesz, że tak jest? - naciskała.

- Och, powiedziałbym, że jakoś przeżyję to rozczarowanie - odrzekł beztrosko, odsuwając się od stołu. - Czy ukroić ci baraniny?

- Ale dlaczego w takim razie powiedziałaś Bessie, że spędzę z tobą noc?

- Ponieważ, panno Morgan, nie zachowałaś swojego dziewictwa nawet przez pięć minut, gdyby miało być inaczej - powiedział z odcieniem zniecierpliwienia. - Myślałem, że już to wyjaśniłem.

- Mam więc zaufać tobie?

- Nie wydaje mi się, abyś miała jakiś wybór, moja droga. - Postawił przed nią pełen talerz. - Zjedz obiad, panno Morgan. Będzie ci się lepiej spało z pełnym brzuchem.

Apetytu panny Morgan nie były w stanie osłabić okoliczności, w jakich się znalazła, zauważył rozbójnik z rozbawieniem, odkrawając dla niej następny plaster baraniny, a ona nabrała sobie na talerz górę pieczonych ziemniaków i sięgnęła po sos cebulowy.

Twarz miała teraz delikatnie zaróżowioną od ciepła, jedzenia i wina. Kiedy nie częstowała go złośliwościami, wydawała się odprężona, po raz pierwszy, odkąd tego ranka skrzyżowały się ich drogi, tak jakby zaczynała godzić się ze swoim położeniem.

Taka kobieta nie obrabiałaby cudzych kieszeni na Tyburn dla zabawy. Sączył wino, przyglądając się jej z bliska spod przymkniętych powiek. Prawdopodobnie głód i zimno nie były jej obce pomimo eleganckiej sukni i gładkich, białych dłoni, które wyglądały, jakby nigdy nie wykonywały żadnych usług.

Na początku wziął ją za rezydentkę jednego z ekskluzywnych burdeli w Co-vent Garden. Na przykład tego, którego właścicielką była pani Goadsby, gdzie klientów bezlitośnie selekcjonowała przełożona, a młode damy kształcono i otaczano troską jak ukochane córki szlacheckich rodów. W takich przybytkach można było spotkać eleganckie, młode kobiety czekające na bogatego opiekuna czy nawet męża i niejednego arystokrata stracił głowę na skutek umiejętnych zabiegów tak wyrafinowanej uwodzicielki.

Nie należało do rzadkości, by taka dama znalazła sobie miejsce u dworu, co kwitowano za ledwie uniesieniem brwi. Przyszła mu na myśl Elizabeth Armistead, która swoją edukację u pani Goadsby zakończyła w ramionach księcia Walii, a o jej przeszłości natychmiast zapomniano.

On sam byłby ostrożny co do takiego małżeństwa. Mężczyzna w każdej chwili mógłby spodziewać się przyprawienia mu rogów, pomyślał. Jego wzrok spoczął na łagodnej, pięknej twarzy, którą miał przed sobą. Pod niewinnym pięknem krył się talent zręcznej złodziejki i diabeł wie, co jeszcze. Sam przed chwilą był świadkiem morderczego szału. Ona i Philip... co za parę mogliby stworzyć.

Długie palce wodzące bez celu po brzegu kielicha znieruchomiały, kiedy nagle wpadł na pewien pomysł. Czekał, pozwalając mu dojrzeć i rozwinąć skrzydła. Jego najlepsze pomysły rodziły się w ten sposób od czasów dzieciństwa. Wiedział, że powinien pozwolić swoim myślom biec swobodnie, tropić ewentualne problemy, odrzucać niektóre możliwości, aż w końcu skryształizuje się doskonale przemyślany plan.

Z wolna na jego twarzy pojawił się uśmiech, choć w oczach pozostał przerażający, lodowaty dystans. To mogłoby się udać. Ale jak przekonać do takiego planu kobietę, która nie dawała się zaliczyć do żadnego znanego typu? Co by ją skłoniło do uległości? W pewnym sensie była awanturnicą mogła więc ją znieść perspektywa zyskownego przedsięwzięcia. Ale czy działała niezależnie?

- Powiedz mi... - przerwał milczenie tak nagle, że drgnęła, rozchlapując rubinowe krople wina z kieliszka. - Powiedz mi, jak doszło do tego, że okradłaś ludzi na Tyburn.

Octavia zmarszczyła brwi, przykładając serwetkę do plamy na śnieżnobiałym obrusie. W gruncie rzeczy była zdziwiona, że nie zadał tego pytania wcześniej.

- Nie nauczono mnie zarabiać na życie w zwyczajny sposób. - Wbiła widelec w ziemniak na półmisku.

- Ale dlaczego musisz to robić?

Usłużnie podsunął jej salaterkę z kapustą. Podziękowała mu skinieniem głowy i nabrała sobie sporą łyżkę na talerz.

- Przypuszczam, że z tego samego powodu, dla którego ty napadasz podróżnych na gościńcu - odparła. - Trzeba jeść. Trzeba mieć dach nad głową.. A ja mam jeszcze do tego ojca, o którego muszę się troszczyć.

Lord Nick odchylił się w krzesło do tyłu, krzyżując nogi w kostkach.

- Wybacz, ale czemu to ojciec nie zapewnia utrzymania córce?

- Nie uważam, by to była twoja sprawa, panie - ucięła chłodno.

- Bo i nie jest. - Pochylił się, by dolać obojgu wina. - Niemniej chciałbym wiedzieć.

Jego uśmiech stał się nagle przyjazny, zachęcający, z oczu znikł arktyczny chłód, miały teraz łagodną szarą barwę zmięszu.

Od kiedy wydarzyła się katastrofa, Oktavia nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o swoich rozpaczliwych wysiłkach, kto wsłuchałby się w kipiącą w niej wściekłość na własną bezradność. Walczyła samotnie, by nie skończyli z ojcem w przytułku, gryzła się w język, kiedy potrzeba wykrzyżenia mu wyrzutów stawała się nie do zniesienia. Nic mu nie mogła powiedzieć, ponieważ nie rozumiał sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nie zdawał sobie sprawy, że są bez grosza, nie miał pojęcia, do jakich metod musiała się uciekać, aby uchronić ich przed głodem. Nagle nie potrafiła oprzeć się zachęce, by wreszcie opowiedzieć komuś o tym, o czym tak długo milczała. Rozbójnik może zrozumieć jej życie, ponieważ, jak powiedział wcześniej, są z jednej gliny. Odsunęła od siebie talerz.

- Mój ojciec jest bardzo wnikliwym badaczem, ale o sprawach tego świata nie ma pojęcia - stwierdziła. - A od czasu swojego... swojego niepowodzenia wycofał się jeszcze bardziej z życia. Studiuję książki. Nie widzi i nie słyszy nic poza tekstami, które zgłębia. Jeszcze trzy lata temu miał pokaźny majątek wystarczający mu na wygodne życie i na godne wiano dla mnie, tylko... tylko że znalazł się wśród złodziei. - Ponuro spojrzała nad stołem. ~ Gdybym przy tym była, nie doszłoby do tego. Dwaj ludzie zdobyli jego zaufanie i namówili go, by zainwestował wszystko w kopalnię srebra w Peru. Nie trzeba dodawać, że kopalnia nie istnieje.

- Rozumiem - powiedział. Złodziei i ludzi bez skrupułów można spotkać w każdej warstwie społeczeństwa, nawet na dworze czyhają na nieostrożnych pod pozorami przyjaźni. - Zatem twój ojciec stracił wszystko.

- Tak, ale jego przyjaciołom powodzi się bardzo dobrze - powiedziała z goryczą. - Mają pozycję u dworu i teraz mieszkają w moim rodzinnym domu. Dom był zabezpieczeniem pożyczki, jakiej mu udzielili na pokrycie kosztów inwestycji. Oczywiście mówili, że jest im bardzo przykro, kiedy musieli wyegzekwować spełnienie warunków.

Zacisnęła usta, w jej oczach znów zobaczył chęć mordy.

- Sukinsyny, pozwolili mi zabrać książki. Śmiem twierdzić, że na nic by się im zdały.

- A co z twoją matką?

- Zmarła przy moim urodzeniu. Zawsze byliśmy tylko we dwoje.

Zapadła cisza, w której dało się słyszeć tylko trzask ognia, kiedy płomień

objął kawałek świeżego drewna. Rozbójnik wstał, aby poprawić polana na palenisku.

- Ale dlaczego wybrałaś drogę przestępstwa? Prawdopodobnie jesteś wykształcona, mogłabyś zostać guwernantką.

Albo pokojówką- powiedziała z ironicznym uśmiechem. - Tak, pewno mogłabym pójść na służbę... to byłby godny sposób poradzenia sobie z naszymi kłopotami. Ale jak już powiedziałam, nie nauczono mnie myśleć o sobie jako o służącej. Wolałabym umrzeć.

Ogarnęło go podniecenie. Octavia Morgan była wprost stworzona na idealną współpracowniczkę. Jednak zapytał tylko spokojnie:

- Duma, panno Morgan?

- Nie pojmujesz tego? - odpaliła.

- O tak - powiedział, prostując się nad ogniem i odwracając się w jej stronę. - Tak, ja to pojmuję. Ale wielu uznałoby złodziejstwo za bardziej uwłaczające od uczciwej harówki.

Spojrzała mu w oczy, badawczo przyglądał się jej bladej, zaciętej twarzy.

- Możliwe.

Wiedział, co miała na myśli: służące powszechnie wykorzystywano i poniżano, przepaść między nimi a ich chlebodawcami była równie głęboka jak między panem a niewolnikiem w starożytnym Rzymie. Jeśli ktoś urodził się do takiego życia, potrafi je znosić bez uszczerbku dla swojego poczucia godności, dla kogoś innego jednak byłyby to śmierć za życia.

- Nie marzysz o zemście? - Uniósł brew.

- Mogę sobie marzyć - odrzekła. - Żyję zbyt blisko rzeczywistości, by pozwalać sobie na fantazje, panie. Radzę sobie, jak mogę, a kiedy już nie mogę... - Wzruszyła ramionami i napiła się wina. - Cóż, wtedy uciekam się do kradzieży. Wyrządzam mniej szkody niż ci, którzy ograbili mojego ojca. Zabieram niewiele wielu ludziom... nie wszystko jednemu. Moje poczynania nikogo nie rujnują.

- Wierzę, że moje też nie - powiedział, wracając do stołu. - Masz ochotę na trochę stiltona z

szarlotką Bessie?

Zmiana tematu przyniosła odprężenie po napięciu ostatnich dziesięciu minut. Jakie to dziwne uczucie móc wypowiedzieć głośno trawiącą ją wściekłość, wyrazić nienawiść, jaką czuła do ludzi, którzy zburzyli jej życie z równą bezwzględnością i obojętnością, z jaką doprowadzili do ruiny jej ojca. Jednocześnie czuła się dziwnie ukojona uwagą, jaką darzył ją ten obcy, świadomością, że ją rozumie i pewnością, że jej nie osądza.

- A co z tobą? - spytała nagle. - Co ciebie sprowadziło na gościniec, Lordzie Nicku?

Przez chwilę nie odpowiadał zajęty krojeniem szarlotki z kratką z ciasta ułożoną na wierzchu, po czym powiedział zniechęcony:

- Coś z przeszłości... nieporozumienie, jeśli wolisz.

- Nieporozumienie? - Octavia spojrzała na niego zdumiona. - Jak przez nieporozumienie mogłeś zostać rozbójnikiem?

- W ten sam sposób, w jaki przez brak świadomości twojego ojca ty zo stałaś złodziejką. - Zsunął kawałek szarlotki na talerz i podał jej.

Octavia zawahała się nieusatisfakcjonowana tą odpowiedzią, czując jednak, że niczego więcej nie może się spodziewać. Wyznania najwyraźniej miały pozostać jednostronne. Wzruszyła ramionami i zagłębiła łyżkę w krążku stiltona. Położyła kawałek sera z niebieskimi żyłkami obok swojej szarlotki. Nie było powodu rezygnować z dobrego obiadu tylko dlatego, że jej szczerość nie została odwzajemniona.

- Czy ojciec będzie się o ciebie martwić? - spytał, nabierając kawałek szarlotki.

- Zazwyczaj ktoś się martwi o tych, którzy zostają porwani.

- Jak bardzo będzie się martwić? - dopytywał się rozbójnik uparcie.

Octavia westchnęła. Przesada w opisywaniu sytuacji nie miałyby sensu, jako że rozbójnik i tak nie miał zamiaru odczuwać wyrzutów sumienia.

- Nie zawsze zdaje sobie sprawę z upływu czasu - wyjaśniła. - Doskonale orientuje się w przeszłości... no cóż, w antyku... ale prawdę mówiąc, niezbyt zajmuje go teraźniejszość. Pani Forster zadba o niego i na pewno będzie przekonana, że schroniłam się gdzieś przed zamiecią.

Skinął głową.

- Zawiozę cię do domu rano, jeśli zamieć się skończy.

- Jesteś nazbyt uprzejmy - stwierdziła, nie spodziewając się, że jej ironia go ubodzie, ale przypomniała sobie z całą mocą, że jej cnota tej nocy zależy wyłącznie od dobrej woli i zasad moralnych słynnego rozbójnika.

Tak jak przypuszczała, jej ton nie zrobił wrażenia na towarzyszu. Ledwo go zauważył pograżony w rozważaniach. Długim, szczupłym palcem wodził po wzorze rżniętym na szkle kieliszka do wina, ametyst osadzony w jego sygnecie chwycił blask ognia, w szkle odbijały się czerwone i fioletowe błyski. Octavia Morgan mogła być idealną współniczką, aby po tylu latach mógł się zemścić, a teraz podsunęła mu motyw, który skłoniłby ją do przyłączenia się do niego. Domyślał się, iż obietnica, że będzie mogła się zemścić, przekona ją bardziej niż położenie kresu jej problemom finansowym, choć to ostatnie może stać się dodatkowym bodźcem.

Niemniej jednak wiedział, że nie jest ona jeszcze gotowa na przyjęcie takiej propozycji. Była w jakimś sensie awanturnicą, ale wyczuwał, że nie bardzo odpowiada jej ta mroczna droga poza prawem. Pomimo przeciwności losu, nie poddała się rozpacz, która popycha człowieka nieodwracalnie w przepaść...

Octavia nagle poczuła chłód, jakby powiało jej po plecach. Rozbójnik patrzył na nią nad stołem, ale jej nie widział. Jego oczy były puste, przypominały szary, polerowany kamień, na twarzy nie malowało się żadne uczucie. Chciała powiedzieć lub zrobić coś, co wyrwałoby go z tego okropnego stanu, w którym z twarzą jak maska wpatrywał się w jakiś ponury pejzaż wewnętrzny, ale nie wiedziała co. Wtem jego twarz ożywiła się, znów miał przytomny wzrok, znów ją poznawał, ogarniał jej twarz przenikliwym, taksującym spojrzeniem. Ta milcząca ocena była prawie równie niepokojąca jak pusty wzrok wcześniej.

Rozbójnik myślał o tym, że zanim Octavia Morgan zgodzi się na udział we wspólnej zemście, będzie potrzebować czegoś, co ją z nim zwiąże, co sprawi, że spojrzy na siebie inaczej, że zobaczy siebie jako kobietę zdolną do podjęcia niebezpiecznej gry z próżnością i zadufaniem tych, którzy skrzywdzili ich oboje. Nasuwał mu się jeden oczywisty sposób skłonienia jej do przekroczenia granicy dzielącej ją od mrocznego świata, do zerwania kruchych łańcuchów

krępujących pannę szlchetnego pochodzenia.

- Przepraszam na chwilę, panno Morgan. - Wstał i skłonił się dwornie, zanim wyszedł z pokoju.

Zaniepokojona Octavia odstawiła swoją szarlotkę, położyła łokcie na stole, brodę oparła na dłoni. Wyrzała przez okno. Było ciemno, choć oko wykol, na okiennicach osiadł śnieg. Z szynku na dole dobiegały pijackie głosy nieskładnym chórem śpiewające sprośną piosenkę, stuknęło przewrócone krzesło. Te hałasy miały w sobie coś złowieszczonego, jakby dotychczasowy względny ład w każdej chwili mógł się przerodzić w anarchię. Doprawdy, ta kryjówka rozbójnika nie była stosownym miejscem dla samotnej kobiety.

Rozległo się skrobanie do drzwi i zajrzała Tabitha.

- Czy mogę już sprzątnąć, panienko?

- Jak najbardziej. - Octavia wstała od stołu i podeszła do ognia, by się ogrzać. Z dołu dobiegła nowa fala wrzasków i trzasków. - Co tam się dzieje?

- To chyba bójka - odparła Tab, ustawiając na tacy stertę naczyń.

- Nie ma tu kobiet, oprócz ciebie i Bessie?

- Nie, panienko... żadnych, dopóki ich sobie nie przywiozą. - Podchodząc z tacą do drzwi, dodała rzeczowo: - Często przywożą.

- A ty? Gdzie sypiasz?

- Ja, panienko? - Tab zdawała się zaskoczona tym pytaniem. - Ja śpię z Bessie nad pralnią... chyba że Ben chce ją na noc. Wtedy śpię w kuchni, przy piecu.

W takim układzie nie ma miejsca dla dodatkowej kobiety, którą zaskoczyła tu noc.

- Ogień już rozpalony w sypialni Lorda Nicka, dla ciebie, panienko, jak byś chciała się położyć - oznajmiła Tab radośnie. Podtrzymała tacę kola-nem, żeby otworzyć sobie drzwi. - W łóżku jest gorąca cegła, i przeprasowałam prześcieradła, żeby były ciepłe, na pewno będzie miło. - Rozpromieniła się, kiedy Octavia wymamrotała słabe podziękowanie, po czym wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Wolisz poncz na rumie czy na brandy? - Rozbójnik wrócił po pięciu minutach, zacierając ręce w oczekiwaniu. - Bessie przyniesie ingredencje do sypialni, będziemy więc mogli się napić na dobranoc.

- Za wcześniej, żeby się kłaść - powiedziała Octavia pośpiesznie.

Lord Nick uniósł brwi.

- Jest po ósmej, a ja wstałem o trzeciej, żeby dotrzeć na Tyburn przed świtem.

- Ja też. Ale wcale nie jestem zmęczona. Idź, jeśli chcesz. Ja zostanę tu, przy ogniu.

- Nie sądzę - odparł tonem, który słyszała przez cały dzień. - Wziąłem na siebie odpowiedzialność za ciebie, droga panno Morgan, i tę noc spędzisz za zamkniętymi drzwiami w moim towarzystwie.

Jakby dla potwierdzenia jego słów na dole znów rozległy się krzyki i trzaski, którym towarzyszył odgłos tłuczonego szkła. Octavia zadrzała. Sytuacja wydawała się bez wyjścia.

- Chodź - powiedział, otwierając drzwi.

Wyminęła go znów świadoma nagości swoich nóg wystających spod szlafroka. Czuli się mała i bezradna w obszernym szlafroku, całkowicie pozbawiona możliwości obrony.

Położył rękę na jej plecach i poprowadził ją za załom korytarza, gdzie nie docierały hałasy z szynku.

- Na tyłach domu jest o wiele ciszej - powiedział swobodnie, sięgając nad jej ramieniem, aby otworzyć drzwi. - O, dobrze, Bessie zostawiła i rum, i brandy na poncz. Musisz coś wybrać. - Popchnął ją łagodnie do wnętrza i zamknął drzwi.

- Brandy - wymamrotała Octavia, przyglądając się, jak on zakłada na drzwi ciężką sztabę i przekręca żelazny klucz. Jakby od niechcienia wyjął klucz z zamka i wsunął go do kieszeni. W domu, w którym był przyjacielem i honorowym gościem, nie musiał się obawiać, że ktoś będzie próbował nocą wtargnąć do jego pokoju - zamknął więc drzwi prawdopodobnie po to, by zatrzymać niechętnego gościa w środku.

- Za parawanem znajdziesz toaletkę i gorącą wodę. - Wskazał parawan rozstawiony w rogu pokoju. - Zanim się odświeżysz, przygotuję poncz.

Pokój był duży i dobrze urządzony, ogrzany ogniem i oświetlony, tak samo jak salonik, drogimi woskowymi świecami. Przy kominku stał głęboki fotel z poręczami i Octavia postanowiła, że

przesiedzi w nim do świtu.

Rozbójnik zajął się ponczem, z rozmysłem nie zwracając na nią uwagi. Weszła za parawan wdzięczna za udogodnienia, jakie skrywał. Wyjście w mróz, do wygodki na podwórzu, nie byłoby zachwycającą perspektywą nawet przy bardziej sprzyjającej aurze, a co dopiero w czasie zamieci.

Kiedy wyloniła się zza parawanu, jej towarzysz właśnie ścierał gałkę muszkatołową do srebrnej wazy z ponczem. W powietrzu unosił się słodki aromat rozgrzanej brandy, pomarańczy, cytryn, cynamonu i gałki muszkatołowej. Mimowolnie Octavia ziewnęła, poczuła się śmiertelnie zmęczona. Jej wzrok powędrował tęsknie ku poduszkom na łóżku. Może rozbójnik okaże się na tyle rycerski, by odstąpić jej łóżko, sam zadowolając się fotelem.

- Chodź do ognia. - Z zachęcającym uśmiechem napełniał ponczem czarki. - Spróbuj i powiedz, czy nie trzeba go udoskonalić. Może za mało gałki.

Nie miało sensu opierać się przyjemnościom oferowanym w tym przytulnym więzieniu. Octavia usiadła w wielkim fotelu, oparła palce stóp na błyszczącej, mosiężnej kracie przed kominkiem i wzięła czarkę.

- Dużo gałki - stwierdziła po pierwszym łyku. - Ale może brak odrobiny goździków.

- Aha, zapomniałem o goździkach. - Rozwinął rożek z woskowanego papieru i wysypał jej do czarki szczyptę ciemnej, sproszkowanej przyprawy. - Lepiej?

Upiła troszkę i skinęła głową.

- Tak, chociaż nie smakuje jak goździki.

- O, to bardzo rzadka odmiana z Indii - powiedział, po czym napiwszy się ze swojej czarki, zdjął kaftan i usiadł, żeby pozbyć się butów i pończoch.

Kiedy zdjął fular z szyi i zaczął rozpinąć koszulę, Octavia zorientowała się, że rozbiera się do snu... tu, na środku pokoju... w jej obecności. Rozpiął bryczesy. Patrzyła zahipnotyzowana, kiedy zsunął je z bioder. Światło świec migotało na jego szerokiej piersi, jej wzrok powędrował nieuchronnie w dół, wzdłuż linii ciemnych włosów na brzuchu, poniżej pępka, gdzie wełniane kalesony opinały jego biodra i pewną wypukłość... Zakrztusiła się ponczem, odwróciła głowę, z oczu pociekły jej łzy.

Rozbójnik zdawał się tego nie zauważać. Przeszedł przez pokój ku przepaścistej szafie z wiśniowego drewna. Octavia otarła oczy. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerkać na jego pośladki o twardych mięśniach rysujących się pod kalesonami, kiedy stał zwrócony do niej tyłem. Wyjął z szafy podbity futrem szlafrok i okrył się nim, po czym zniknął za parawanem. Piekło i szatani! Octavia przycisnęła dłoń do rozpalonego policzka. On zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Rozebrał się tak swobodnie, jakby znalazł się w burdelu z dziewczyną. Przynajmniej nie zdjął przed nią bielizny. Była to pewna pociecha. Pociągnęła kolejny łyk ponczu z czarki i ze zdumieniem stwierdziła, że chce jej się śmiać. Gdyby miała być całkowicie szczerą, musiałaby przyznać, że podoba się jej to przedstawienie. Patrzyła zafascynowana jak królik w oczy kobry. Co, u diabła, z nią się dzieje?

Ogarnęła ją kolejna fala zmęczenia i coś dziwnie łaskotało ją w żołądku. Czowała zarówno zmęczenie, jak i dziwne oczekiwanie.

Jej towarzysz wyszedł zza parawanu, nadal w szlafroku. Pogasił świece, zostawiając tylko jedną stojącą przy łóżku. Następnie odgarnął patchworkową kołdrę i zerknął na nią wyczekująco.

- Panno Morgan?

- Wolałabym spać w fotelu - powiedziała z płonącymi policzkami.

- Oczywiście masz do tego prawo - zgodził się. - Ale zmarzniesz, kiedy . ogień wygaśnie. Nie wydaje mi się, żeby drewna wystarczyło na całą noc.

- Będzie mi ciepło, dziękuję - odparła sztywno. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, żeby dać mi poduszkę i narzutę, będzie mi doskonale.

Wzruszył ramionami, ściągnął z łóżka narzutę i podał jej. Potem bez słowa zrzucił szlafrok. Musiał zdjąć bieliznę za parawanem. Przez zapierającą dech w piersi sekundę w przyćmionym świetle błysnęło jego nagie, silne ciało, kiedy kładł się do łóżka. Pochylił się i zdmuchnął ostatnią świecę. Octavia pozostała w blasku ognia.

Owinęła się narzutą, wcisnęła sobie poduszkę pod głowę i spróbowała zasnąć. Nie mogła jednak. To dziwne, nieokreślone podniecenie i łaskotanie w żołądku, które wkrótce rozeszło się na palce dłoni i stóp, nasilały się ciągle. Ale może wcale to podniecenie nie było nieokreślone.

Może miało związek z ostatnimi kilkoma minutami, z tym, co widziała, ze świadomością, że nagie męskie ciało znajduje się tuż obok. Wpatrywała się w ogień, chcąc, aby widok rdzawych płomieni ją uspokoił.

Kiedy ogień zgasł, a w pokoju robiło się coraz zimniej i ciemniej, wciąż nie spała. Nie spała i była przemarznięta. Tak przemarznięta, że dreszcze wstrząsały jej ciałem. Słyszała tylko wiatr świszczący wokół cichego teraz zajazdu i stukot niedopasowanych okiennic.

Spojrzała w stronę łóżka. Rozbójnik leżał na brzegu pogrążony w spokojnym, głębokim śnie, o czym świadczył równy, rytmiczny oddech. Gdyby położyła poduszkę pośrodku, pomiędzy nimi, z pewnością mogłaby wślizgnąć się, nie przeszkadzając mu, i spać na samym skraju łóżka. Musiała się ogrzać. Nawet gdyby miała nie spać, musiała się ogrzać, bo inaczej do rana zamarzlaby na śmierć.

Ostrożnie wstała, owijając się narzutą. Stopy miała jak bryły lodu na twardej, drewnianej podłodze. Podeszła do łóżka. Wstrzymując oddech, odchyliła kołdrę i wepchnęła pod nią poduszkę. Śpiący nawet się nie poruszył. Wciąż bojąc się odetchnąć, wdrapała się na wysokie materace i wślizgnęła się pod kołdrę, gdzie leżała drżąca, rozpaczliwie próbując zapanować nad gwałtownymi dreszczami, które zdawały się trząść łóżkiem.

Stopniowo zaczynała się rozgrzewać. Musiała skupić się na tym, aby nie stoczyć się w dzielące ją od leżącego obok mężczyzny zagłębienie. Teraz dla odmiany zrobiło się jej gorąco, gruby, aksamitny szlafrok przeszkadzał jej. Pot zbierał się między piersiami Octavii, ściekał spod pach. W dodatku te dziwne, niepokojące prądy podniecenia krążyły coraz żywiej w jej żyłach, tak że z trudem mogła utrzymać stopy nieruchomo, dziwne, nie do końca sformułowane myśli przemykały jej przez głowę i znikwały, zanim zdążyła je uchwycić.

Szlafrok stał się narzędziem tortur, krępował ją, nie mogła swobodnie oddychać, paliła ją skóra.

Wreszcie pozbyła się szlafroka, w desperacji zapominając, że musi być ostrożna. Kiedy szlafrok spadł na podłogę obok łóżka, westchnęła z ulgą, czując swoje ciało pod cienką bielizną.

Dziwne, wirujące myśli nasiliły się, rozpełzając się w jej umyśle jak grube, leniwe węże, bardziej odczucia niż myśli. Czuła głęboką senność i ociężałość, która przesłoniła ekscytujący niepokój, nie rozprasząc go jednak. Była świadoma swojego ciała w sposób, jakiego nie doświadczyła nigdy przedtem. Przesunęła dłońmi po skórze, ze zdziwieniem odkrywając, że sutki jej stwardniały i uniosły się pod dotknięciem. Na brzuchu czuła ciepło i łaskotanie, dotknęła wystających kości biodrowych. Jej uda rozsunęły się, włożyła między nie dłoń, poczuła wilgoć i dziwną wrażliwość - bolesny niepokój ogarnął ją nową falą.

Głaszcząc się, zapadała się z wolna w ciężki, zmysłowy sen, w miarę jak ciepło rozchodziło się po jej ciele, które zagłębiało się coraz bardziej w miękkim pościeliu. Obrazy wirujące w jej głowie straciły kształt, wzrok błędził po łagodnym, pulsującym pejzażu bez formy i treści, który wciągał ją stopniowo w swój kuszący blask.

Śniła, że czuje na sobie usta, ich pocałunki tak lekkie i delikatne jak łagodne tchnienie. Śniła, że jej dłonie błądzą po ciepłym, silnym męskim ciele, że wdycha zapach skóry, zapach znany, ale jednocześnie obcy, nienależący do niej. Śniła, że jej ciało dotyka teraz ciała znajdującego się obok, że jakieś palce pieszczą jej plecy, dotykają piersi, gładzą całe jej ciało, kojąc niepokój, którego miejsce zajmuje bardziej czytelne odczucie pragnienia. Śniła, że jej wargi rozchylają się dla innego pocałunku, takiego, który bierze w posiadanie jej usta. Słyszała kocie pomruki rozbrzmiewające w wilgotnej, zmysłowej ciemności i śniła, że to ona je wydaje. Śniła, że radosne spełnienie ogarnia każdą komórkę jej ciała, a jej dusza śpiewa w zachwycie. Śniła, że całe jej ciało zatracą się w tym drugim ciele, tak jakby zanurzało się w mroku zapomnienia i wyłaniało się znów na powierzchnię. W ciepłym blasku snu przenikała się z tym drugim ciałem, jakby patrzyła czubkami palców i skórą stykającą się z jego skórą. Znow śniła moment radości, powolnego, sennego zagłębiania się w nieskończoną rozkosz, po czym w sennym transie ogarniał ją zielonkawy blask.

Ten sen nie opuszczał jej przez całą noc. Jej ciało poruszało się w dziwnym pejzażu, odczuwając zalewającą ją za każdym razem nową i tym wspanialszą falę rozkoszy, z im większą, cudowną swobodą dopasowywała się do wielkiego, silnego ciała, które biorąc ją w posiadanie, zarazem ofiarowywało jej siebie.

A kiedy się obudziła i otworzyła oczy na blask słońca, była sama.

Ale sen nadal jej towarzyszył. Czuła pod skórą jego wątek, jego obrazy, choć zatarte, nadal

zajmowały jej umysł. Leżała zagrzebana w puchu, oszołomiona i zdezorientowana, z dojmującym poczuciem straty, próbując uporządkować obrazy tej nocy.

Powiodła dłońmi po swoim ciele. Była naga. Ale przecież kładła się do łóżka w bieliźnie. Stopniowo odzyskiwała orientację. Jej zmieszanie wzrosło, kiedy w świetle wczesnego poranka pokój nabrał kształtów i wróciła jej pamięć.

Była naga i inaczej niż zwykle odczuwała swoje ciało - wyczerpane i naznaczone w jakiś dziwny, przerażający sposób. Czuła ból między nogami - nie jakiś wielki ból, ale raczej ciepłe, pulsujące doznanie spełnienia. Ostrożnie dotknęła się tam. Poczowała lepkość, a kiedy wyjęła dłoń, zobaczyła krew na palcach.

Octavia odrzuciła kołdrę i usiadła. Krew była na prześcieradle i na wewnętrznej stronie jej ud... niewiele krwi i już nie płynęła.

Do następnej miesiączki brakowało jeszcze trzech tygodni. Położyła się z powrotem, naciągając kołdrę pod brodę i zagapiła się w kretonowy baldachim nad łóżkiem. Rozbójnik ją zgwałcił.

Ale przecież tego nie uczynił. Nigdy jeszcze nic nie sprawiło jej tak niezwykłej rozkoszy. Zdawało jej się, że śni, ale niepodważalne dowody świadczyły o rzeczywistości. A rzeczywistość oznaczała konsekwencje. Mogła począć dziecko. Jak to się stało? Jak coś takiego mogło się wydarzyć? Co takiego stało się z nią, że pozwoliła, by to się wydarzyło?

Octavia powoli usiadła znowu, starając się ogarnąć sytuację. Była sama w pokoju. Ogień płonął jasno i ktoś omiół ze śniegu okno, przez które wpadał blady promień słońca, kładąc się na drewnianej podłodze.

Gdzie jest rozbójnik? Jej kochanek ze snu? Gdyby nie była tak zdruzgotana, mogłaby śmiać się z tego kaprysu losu. Co się jej przydarzyło? Co zaprowadziło ją w ten fantastyczny świat?

Jej spojrzenie padło na ubrania porządnie ułożone na fotelu przy kominku. Jej trzewiki były wypastowane. W nogach łóżka wisiała jej koszula i aksamitny szlafrok.

- Do wszystkich diabłów! - mruknęła. Ten poranek bynajmniej nie przypominał snu.

Drzwi otworzyły się i w pokoju rozległ się odgłos kroków. Zamknięto drzwi. Każdy dźwięk był nienaturalnie głośny. Sny i fantastyczne rojenia rozpierzchły się bez śladu.

Octavia ostrożnie odwróciła głowę. Rozbójnik podszedł do łóżka. Tyle tylko, że nie był to rozbójnik, lecz mężczyzna, z którym spędziła noc, ale nie skromnie odziany dżentelmen z poprzedniego dnia.

- Kim jesteś? - Jej głos był zaledwie szeptem. Rozbójnik ubrany był w strój z turkusowego aksamitu, brabancka koronka bogato zdobiła mankiety koszuli, włosy miał ukryte pod wysoko upiętą, pudrowaną peruką, czarny fular zawiązany w kokardę spoczywał na białym, wykrochmalonym gorsie. Szpada i klamry przy pantoflach na obcasach były wysadzane drogimi kamieniami. Stał nad nią i uśmiechał się tak jak minionej nocy,

- W tej chwili, panno Morgan, lord Rupert Warwick, do usług. - Skłonił się głęboko, a kiedy jego dłoń przecięła promień słoneczny, na palcu zaiskrzył ametyst.

Głos Octavii drżał z gniewu i zmieszania, które usunęły w cień wszelkie wspomnienie radości.

- Wczoraj byłeś więc Lordem Nickiem, rozbójnikiem, a dziś jesteś lordem Rupertem Warwickiem, dworzaninem. Masz jeszcze inne tożsamości, panie? Czy poznałam cię już całego?

Ciemnoszare oczy błysnęły, w głosie słyhać było rozbawienie.

- Niezupełnie, moja droga, ale tyle, ile potrzeba... przynajmniej na razie.

- Dałeś mi słowo, że mnie nie zgwałcisz.

- Nie zgwałciłem cię. - Wytrzymał jej wzrok.

- Ale ja mogę teraz być brzemienna - powiedziała ściszym głosem, nie dyskutując już z tak zdecydowanym zaprzeczeniem.

- Nie, Octavio, tego nie musisz się obawiać. - Przysiadł koło niej na łóżku, wziął ją za rękę, patrzył na nią łagodnie, z otuchą. - Nie wiem, co ci wiadomo o tych sprawach, ale jest pewne urządzenie, którego może użyć mężczyzna. Nazywa się to kondom.

- I ty użyłeś czegoś takiego? - Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, nie mogąc pojąć, jak w tym wspólnym śnie mógł mu przyjść do głowy tak praktyczny, trzeźwy pomysł.

Przytaknął.

- Nie skrzywdziłbym cię, moja droga. Musisz w to wierzyć.

- Ale jak to się stało? Nie rozumiem, jak do tego doszło.

- Zaprosiłaś mnie - odrzekł po prostu.

Doprawdy? To wydawało się niemożliwe... a jednak była chętna. Więcej niż chętna.

- Nic nie rozumiem - powiedziała bezradnie.

- Nic tu nie trzeba rozumieć. Tej nocy cieszyliśmy się sobą nawzajem, jak to robią mężczyzna i kobieta. A teraz wstaniesz, ubierzesz się, zjesz śniadanie i zawiozę cię do domu, do ojca.

I na tym koniec. Będzie mogła zapomnieć o wszystkim. O swoim ciele splątanym z drugim ciałem w próżni. Być może.

Ktoś naprawił rozdartą koronkę jej chusteczki na szyję - Tabitha, uznała Octavia. Trudno było wyobrazić sobie twardą, nieprzyjazną Bessie wykonującą taką posługę.

Ubierała się przy kominku, w pustej sypialni. Rozbójnik powiedział, że będzie czekał na nią ze śniadaniem w saloniku, po czym zostawił ją samą sobie. Była wdzięczna za tę niezwykłą troskę ze strony mężczyzny, który do tej pory okazał mało, jeśli nie wcale, zrozumienia dla potrzeby prywatności. Doprawdy, po takiej nocy intymności spodziewała się, że co najmniej zaproponuje jej zasznurowanie gorsetu. Octavia czuła się jakoś szczególnie, przywiązując sobie w pasie odzyskaną sakiewkę, której ciężar był krzepiącą rzeczywistością. Czuła się zmieszana, oszołomiona i wciąż dziwnie podniecona, jakby przekroczyła pewną granicę i znalazła się na niezbadanym terytorium. Jej ciało było rozedrgane, skóra nadwrażliwa. Na pewno musi wyglądać inaczej po takiej nocy. Spojrzała na swoje odbicie w dużym, miejscami zmętniałym lustrze nad toaletką, ale wyzierała z niego jej własna, znajoma twarz. Może tylko cera była bardziej świetlista, może oczy wydawały się większe, a kręcone włosy otaczały twarz postrzępioną aureolą, jakby przeczesane tysiącem palców.

Wzięła z toaletki grzebień i wbiła go w splecione loki. Szpilki zostały w saloniku, gdzie wczorajszego popołudnia wyjęła je, żeby wysuszyć włosy. Zaledwie wczoraj!

Octavia usiadła gwałtownie i zapatrzyła się w ogień, próbując powiązać siebie z osobą, jaką była wczoraj... zanim ukradła zegarek rozbójnika. Tego ranka jest inna, ale czas zatrze wspomnienie tego fantastycznego snu. Wróci do Shoreditch, do okropnego, nędznego mieszkania nad sklepem ze sprzętami domowymi, do ojca pogrążonego w świecie swoich rojeń, do codziennych zmagani o zachowanie odrobiny godności, kiedy będzie zmuszona układać się z właścicielem lombardu, ze sklepikarzem, z rzeźnikiem, z piekarzem, cerować pończochy, naprawiać suknie i iść na ulicę, by ryzykować uwięzienie, kiedy nie będzie już nic, co można by zastawić.

Podskoczyła, kiedy nagle drzwi otworzyły się z hukiem. Bessie stanęła z założonymi rękami oparta o framugę.

- Niektórzy z nas mają robotę - oznajmiła. - Nie mogą wylegiwać się w łóżku jak jakaś, nie przymierzając, zasnana damulka. Masz zamiar zjeść śniadanie, czy mam je sprzątnąć?

Octavia podniosła się i utkwiała w Bessie zimny wzrok.

- Powiedźcie, ile wam jestem winna za nocleg, a natychmiast zapłacę, dobra kobieto.

Bessie uniosła brew.

- Nie wiesz czasem! Nie chcę twoich pieniędzy. Nick o nas dba. A ty lepiej się pospiesz. On też ma dzisiaj swoją robotę.

- Jeśli on ma mi coś do powiedzenia, może tu przyjść i sam mi to powiedzieć - stwierdziła Octavia. - Dołączę do niego za pięć minut. Może zechciałabyś mu to przekazać.

Atmosfera stężała, a ona wpatrywała się w Bessie z całą wyniosłością panny Morgan z Hartridge Folly. Tamta spojrzała na nią, pociągnęła nosem, obróciła się na pięcie i odmaszerowała, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Octavia z lekkim uśmiechem wróciła do ubierania się, układając sobie na ramionach zacerowaną chusteczkę. Czuła się o wiele lepiej po tym małym pokazie niezależności. Pozbierała swoją pelerynę, rękawiczki, mufkę i z rozpuszczonymi włosami opadającymi na ramiona udała się do saloniku.

W korytarzu było chłodno, z szynku dolatywał na górę zapach zwiędłego piwa i tytoniowego dymu. Słyszała stukot i szuranie przesuwanych mebli, plusk wody wylewanej z wiadra na brudne kamienne płyty posadzki, grzmiący odgłos przetaczania pełnej beczki po kocich łbach podwórza. Pod Królewskim Dębem przygotowywano się do nowego dnia.

Przed drzwiami saloniku podświadomie wyprostowała ramiona, zanim sięgnęła do klamki. Rozbójnik siedział przy tym samym okrągłym stole zajęty półmiskiem polędwicy. Znów doznała szoku na widok jego stroju, wyrazistych rysów twarzy, szerokich brwi podkreślonych spiętrzoną, pudrowaną peruką. Jego oczy patrzyły bardziej przenikliwie, ich szarość była głębsza, ciemniejsza.

Na jej powitanie wstał i skłonił się z kurtuazją.

- Droga panno Morgan, ufam, że noc minęła ci przyjemnie.

Ironiczny podtekst tej oficjalnej uprzejmości zaparł jej dech w piersi i na chwilę odebrało jej mowę. Potem dostrzegła wesołość w jego oczach, drgnięcie mocno zarysowanych ust, aurę zadowolenia, w którym miała swój udział.

- Fantasmagorycznie, powiedziałałabym, panie.

Coś, jakby cień przykrości mignął w jego oczach i znikł.

- Proszę do stołu, madame. - Odsunął dla niej krzesło, a kiedy usiadła, odgarnął masę cynamonowych włosów i złożył pocałunek na jej karku.

Octavia zadrzała, dostała gęziej skórki pod ciepłym dotykiem jego ust i chłodnym powiewem jego oddechu. Nie, pomyślała, nie jest tą samą osobą, która weszła wczoraj do tego pokoju. Opuściła głowę pod naciskiem jego ust i poddała się rozkoszalnemu odczuciu, na które jej ciało reagowało jak na znajomą podniecie... której tylko jej umysł nie rozpoznawał. Jej umysł nie był obecny podczas długich, radosnych godzin nocy i tylko ciało odczuwało rozkosz.

Jak to się stało? Jak mogła jednocześnie być obudzona i spać w czasie tego przełomowego dla jej życia doświadczenia?

Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. To się stało, a teraz jej ciało domagało się, aby to się stało znowu, tym razem jednak z udziałem umysłu.

Wyprostowała się, odrzucając głowę do tyłu, aby włosy znów opadły na ramiona.

- Co sprawia, że Lord Nick staje się lordem Rupertem Warwickiem? - spytała z udawaną swobodą, zastanawiając się, czy spostrzegł jej reakcję na pieśczość. Rzut oka na jego uśmiechniętą twarz powiedział jej wszystko.

- Interesy - powiedział, wracając na swoje miejsce. - Prowadzę różne interesy wymagające różnych ról. - Podał jej kromkę świeżo upieczonego, jeszcze ciepłego chleba, tak białego i pachnącego, że trudno o taki nawet w najwytworniejszych miejscach. - Kawy?

- Dziękuję. - Wzięła kromkę i przyglądała się, jak nalewa kawę z cynowego dzbanka do wysokiego, porcelanowego kubka. - A cóż to za interesy, które wymagają roli i kostiumu dworzanina?

- Dworskie interesy, oczywiście - odparł oschle, podnosząc pokrywę podgrzewanego półmiska. - Bekon, panno Morgan?

- Wybacz, nie chciałam być wścibska. - Octavia zacisnęła usta, czując się skarcona. - Nie, nie mam ochoty na bekon.

- To może pieczarki? - dopytywał się troskliwie, wskazując inny półmisek. - A może plasterki szynki? Jestem pewien, że Bessie przygotowuje ci jajka, jeśli wolisz.

- Wątpię, czy Bessie dałaby mi choć skórkę chleba - stwierdziła Octavia, nabierając pieczarki.

Lord Rupert roześmiał się wesoło, rozpięram się na krześle i obejmując dłonią kufel piwa.

- Nie pasują do niej uprzejmości grzecznej konwersacji, to fakt.

- Jej impertynencja jest nie do zniesienia - wypaliła Octavia, smarując masłem chleb. - A ja wolałabym sama zapłacić za swój nocleg, lordzie Rupercie. - Octavia postanowiła, że musi nazywać go zgodnie z jego aktualnym przebraniem.

Jej towarzysz zmarszczył brwi i powiedział tonem, który od poprzedniego dnia słyszała już wielokrotnie:

- Nie sądzę.

- Co ma znaczyć, że ty nie sądzisz? - spytała zirytowana. - Chcę to zrobić i zrobię to, może więc powiadom Bessie o tym fakcie, skoro nie chce tego słyszeć ode mnie. - Nadziała pieczarkę na widelec i podniosła do ust.

- Tak, ona nie chce tego słyszeć od ciebie - przyznał. - Widzisz, ona nie nawykła do słuchania czyichkolwiek poleceń poza moimi. Doskonale wie, że jesteś moim gościem. Wierzę, że jako gospodarz w niczym ci nie uchybiłem - dodał łagodnie. - Byłoby mi bardzo przykro, gdybym miał tak pomyśleć po tym, gdy tak miło spędziliśmy czas.

Octavia zaczerwieniła się po uszy. Czy chciał przez to powiedzieć, że płaci za jej wdzięki? A przede wszystkim, że uważa ją za dziwkę?

Dobry Boże, a czemu nie miałby jej za taką uważać? Przecież tak właśnie się zachowała.

Gwałtownie odepchnęła krzesło, wstając.

- Życzę miłego dnia. Wierzę, że interesy lorda Warwicka zostaną załatwione pomyślnie. - Z

godnością podeszła do drzwi, otworzyła je szeroko i pozwoliła, by zamknęły się za nią z trzaskiem.

Zbiegła ze schodów i wypadła w zimny blask słońca. Oddychała głęboko, wciągała w płuca lodowate powietrze, radując się ostrym, oczyszczającym bólem. Wszystko było białe i dziewicze pod świeżym, śnieżnym dywanem pokrywającym grubą warstwą cały brud i plugastwo. Niebo było krystalicznie błękitne, śnieg skrzypiał pod jej stopami, kiedy obchodziła zajazd w poszukiwaniu stajni. Pewnie mają tu jakiś pojazd do wynajęcia, który zawiezie ją do Londynu.

Jedynym był stojący na podwórzu dwukołowy wóz zaprzężony w dwa potężne konie pociągowe rasy shire. Ben i niezgrabny wyrostek zajmowali się rozładowywaniem beczek. Ben zerknął na Octavię, po czym wrócił do pracy, jakby wcale jej tam nie było. Czowała się niezręcznie, rozglądając się wkoło. Stajnie były pozamykane. Wiedziała, że w środku znajduje się co najmniej jeden koń - deresz rozbójnika. Może, jeśli nie mają powozu, wynajmą jej chociaż konia pod wierzch. Nie była ubrana do konnej jazdy, ale to najmniejsze z jej zmartwień. Podeszła do wozu.

- Wybaczcie, gospodarzu, ale chciałabym wynająć jakiś powóz... albo konia, jeśli to wszystko, co macie.

- Nie prowadzimy wynajmu koni - odparł Ben krótko. - Nic takiego nie mamy.

Był mniej grubiański niż Bessie, ale też nie okazał się bardziej pomocny.

Octavia wsunęła dłoń w rozcięcie spódnicy, chcąc sięgnąć do sakiewki. Może nieco złota przekona Bena do zmiany decyzji. Zadrżała i zorientowała się, że w gniewie nie pomyślała o zabraniu peleryny, rękawiczek i mufki z saloniku rozbójnika. Co za karygodna bezmyślność. Zamarznie na śmierć, zanim dotrze do Shoreditch, a w dodatku było to jej jedyne przyzwoite okrycie, niezbędne, jeśli chciała wyglądać na młodą damę z dobrego domu i nie miała pieniędzy na nowe. Jednak perspektywa powrotu do saloniku po tak efektownym wyjściu wydawała się nie do zniesienia.

- Niech to szlag! - wykrzyknęła, tupiąc z bezradności.

Zapomniałaś czegoś, panno Morgan? - Uprzejme pytanie lorda Ruperta dobiegło z tylnych drzwi zajazdu, gdzie stał w zarzuconej na ramiona, ciemnej, aksamitnej pelerynie podszytej turkusowym jedwabiem, pod pachą trzymał czarny, trójgraniasty kapelusz. Przez ramię miał przewieszoną pelerynę Octavii, w ręce jej mufkę i rękawiczki. - Obawiam się, że naprawdę przeziębisz się na śmierć, jeśli uprzesz się biegać w samej tylko sukience - mówił, podchodząc do niej i kręcąc głową z dezaprobatą. - To naprawdę nierozsądne, wiesz o tym.

Octavia zacisnęła zęby, kiedy troskliwie otoczył jej ramiona peleryną i zapiął sprzączkę pod szyją.

- Rękawiczki - powiedział, biorąc jej rękę i wkładając palce w odpowiednie otwory, jakby była berbeciem, który nie potrafi sobie sam poradzić.

- Na litość boską, umiem to zrobić! - Octavia wyszarpnęła dłoń i naciągnęła rękawiczkę, po czym wyrwała mu z ręki drugą. - Chcę wynająć powóz, żeby wrócić do domu, ale gospodarz mówi, że nic takiego tu nie mają. Przypuszczam, że jednak coś by się znalazło na twoje polecenie - dodała z goryczą, wkładając na głowę kaptur. - Cóż, w końcu mogę pójść pieszo.

Lord Rupert westchnął.

- Jesteś najbardziej upartą i przewrotną dziewczyną. Powiedziałem, że dostarczę cię do domu dziś rano i zrobię to.

- Nie życzę sobie być ci więcej dłużna, panie. Nie jestem na sprzedaż! - Rozwścieczyło ją, że słyszy lży w swoim głosie i nawet świadomość, że są to lży gniewu, a nie poczucia krzywdy, nie była w stanie sprawić, by łatwiej mogła znieść własną słabość. Odwróciła się od niego gwałtownie, jakby chciała go odepchnąć.

- Nic mi nie jesteś dłużna, Octavio. Jeśli już, to wręcz przeciwnie - powstrzymał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Mówiłem ci już wczoraj, że masz nieposkromiony język i talent do szalonych wybryków, co, muszę przyznać, zaczyna być irytujące, nie mówiąc już o tym, że w tym momencie obraźliwe. Czy ktoś mówił cokolwiek o kupowaniu cię?

- Chcesz faeton, Nick? - zawołał Ben, zanim Octavia zdążyła odpowiedzieć na pytanie tracącego cierpliwość Lorda Nicka. - Freddy migiem go przygotowuje.

- Dzięki, Ben.

- A jednak mają powóz! - wykrzyknęła Octavia. - Wiedziałam.

- Tak się składa, że nie jest do wynajęcia - oznajmił jego lordowska mość. - Widzisz, on należy do mnie.

- Masz własny powóz? - Z wrażenia zapomniała o przykrości. - Pospolity rozbójnik z własnym powozem!

- Ach, sama rozumiesz, panno Morgan, że jestem nie bardziej pospolitym rozbójnikiem niż ty pospolitą złodziejką. Myślałem, że już to ustaliliśmy.

Z kieszeni kamizelki wyjął emaliowaną tabakierkę i otworzył wieczko. Ujął jej dłoń, odwrócił wnętrzem do góry i delikatnie nasypał odrobinę tabaki na znaczoną błękitnymi żyłami skórę przegubu, po czym podniósł jej rękę i wciągnął tabakę. Przez cały czas oczy mu się śmiały.

- Woń skóry damy dodaje tabace delikatności.

Octavia znów poczuła się zagubiona. Przypuszczała, że żadna dama nie pozwoliłaby dżentelmenowi tak swobodnie sobie poczynać, a jednocześnie miała ochotę odwzajemnić jego uśmiech. Wybawił ją Freddy, który wyszedł ze stajni, prowadząc parę wałachów kasztanowej maści zaprzężonych do eleganckiego faetonu.

- Psze bardzo, Lordzie Nick. Błyszczą, nie? Szczotkowałem je z godzinę wczoraj wieczór. - Chłopak promieniał z dumy, podprowadzając konie, których podkowy dzwoniły o kocie łby podwórza. - Są wypoczęte - dodał.

- Nie wychodziły przez kilka dni - zgodził się lord Rupert. Pogłaskawszy po pysku konia przewodnika, podszedł do powozu. - Panno Morgan, pozwól, że pomogę. - Wyciągnął rękę. Octavia nie widziała żadnej innej sensownej możliwości, choć duma mocno ją uwierała. Wdrapała się do powozu, gardząc oferowaną pomocą. Lord Rupert zręcznie wskoczył za nią.

- Puść, Freddy.

Chłopak usłuchał i konie wyrwały z kopyta.

Octavia skulona w pelerynie ukradkiem obserwowała profil swojego towarzysza. Lord Rupert zgrabnie manewrował, wyjeżdżając przez wąskie wrota. Nie miała ochoty na rozmowę, a lord Rupert na szczęście zdawał się zadowalać własnymi myślami, dopóki nie przejechali przez most Westminsterski i nie znaleźli się znów na znanych jej ulicach miasta. Odezwął się na Gracechurch Street:

- Musisz mi teraz pomóc, panno Morgan. Pojechaliśmy przez most Westminsterski, ponieważ pamiętałem, że mieszkasz w Shoreditch, ale zupełnie nie wiem, w którą stronę się stąd skierować.

- Jeśli zechcesz zawieźć mnie do Aldgate, panie, dalej poradzę sobie sama- odparła Octavia. Pomimo intymności, jaką dzielili w jej dziwnym transie, pomimo świadomości, że on również porusza się po krętych ścieżkach, nie chciała aby zobaczył, jak nędznie żyje. Jakże odległe było życie rozbójnika od ponurej rzeczywistości jej codziennych zmagani. On cieszył się luksusem i władzą bez względu na przebranie, w jakim uznał za stosowne się zaprezentować i kontrast z jej sytuacją był zbyt upokarzający.

- Nie sądzę - powiedział. - Jestem pewien, że dowiozę cię do samych drzwi.

- A jeśli nie zechcę cię pokierować, panie?

Rzucił jej spojrzenie z ukosa, w którym, ku jej utrapieniu, dostrzegła nutę rozbawienia.

- Wtedy będę zmuszony przedsięwziąć takie kroki, które sprawią, że ustąpisz, moja droga.

Octavia rozważała przez chwilę, cóż to mogą być za kroki. Cokolwiek zamierzał, nie sądziła, by mogło się jej to spodobać. Powiedziała sobie zdecydowanie, że nie ma powodu wstydzić się swojej sytuacji. Ten mężczyzna jest przecież rozbójnikiem, pospolitym przestępcą. Wyprostowała się z determinacją.

- Doskonale. Ale nie masz nic przeciwko temu, by zatrzymać się najpierw koło lombardu na Quaker Street, mam nadzieję. Chcę wykupić kilka rzeczy.

- Skądże znowu - powiedział uprzejmie. - Tam i gdzie tylko chcesz. Jestem całkowicie do twojej dyspozycji, madame.

Pokierowała go zatem przez labirynt ulic East Endu, podziwiając jego umiejętność powożenia, jak również to, że zdawał się nie zważać na spojrzenia i wrzaski, którymi witano w tej okolicy tak elegancki ekwipaż. Obszarpane dzieci kuliły się na rogach ulic, żebracy obnosili się ze swoją nędzą, zbliżając się niebezpiecznie do faetonu, kiedy lord Rupert zmuszony był ściągnąć wodze, by ominąć przeszkody pojawiające się na drodze. Młoda kobieta wyskoczyła wprost przed konie, przyciskając do piersi niemowlę. Podniosła wygłodniałe oczy wyrażające żalosne błaganie i wyciągnęła dłoń z palcami jak szpony, kiedy zwolnili, by nie wpaść w zgraję parszywych,

wynędniałych kundli goniących za drącym się przeraźliwie kotem.

Lord Rupert ledwo na nią spojrział, ale sięgnął do kieszeni i rzucił jej monetę. Moneta potoczyła się po bruku, a kobieta skoczyła, aby ją złapać. - Wyda to tylko na dzin - stwierdził z zimną obojętnością, na dźwięk której Octavia skrzywiła się, choć rozumiała kryjącą się za nią bezradność.

- Być może - powiedziała. - Ale może dzięki temu będzie mieć więcej cierpliwości do dziecka.

- A kiedy już zapije się na śmierć, na kogo wyrośnie to dziecko? - W jego głosie brzmiała ta sama obojętność, ale Octavia miała poczucie, że to tylko maska skrywająca jego prawdziwe uczucia. Sama nauczyła się radzić sobie z okropnościami życia ulicy i wiedziała, że jeśli ktoś nie potrafiłby się na nie do pewnego stopnia znieczulić, świadomość własnej bezsilności doprowadziłaby go do szaleństwa.

Pozostawiając jego pytanie bez odpowiedzi, wskazała mu tylko drogę na Quaker Street. Zatrzymawszy się przed sztyldem z trzema złotymi kulami przywołał ulicznika z bosymi stopami owiniętymi kawałkami worka stojącego w zamrożonym ścieku.

- Potrzebujesz konie, chłopcze?

- Wejdę sama - zaprotestowała Octavia. - Przywykłam do tego.

Lord Rupert, nie zwracając uwagi na jej protesty, wyskoczył z powozu i podał jej rękę, by pomóc jej wysiąść. Ulicznik trzymał konia prowadzącego za uzdę, a na jego umorusanej twarzy widniał uśmiech. Chłopak był zdumiony, że spotkało go takie szczęście.

Octavia wzruszyła ramionami i wysiadła. Wiedziała, że z okien spoglądają na nią ciekawskie oczy, mniej dyskretni sąsiedzi stali w drzwiach, gapiąc się na nadzwyczajny widok, jakim była lokatorka pani Forster jadąca eleganckim powozem w towarzystwie wspaniale odzianego dżentelmena. Jej towarzysz otworzył drzwi lombardu, dzwonek zadźwięczał wesoło. Przepuścił ją przodem do ciemnego, zagraconego i dusznego wnętrza, w którym panował zapach starych ubrań, kurzu i pleśni.

- A więc przyszedł po książki tatusia? - Starszy mężczyzna, tak niski, że jego głowa ledwo wystawała znad kontuaru, łypnął okiem w mroku. - Myślałem, że już nie przyjdiesz, żeby zapłacić ratę za ten tydzień. Termin minął wczoraj. Szczęście, że ich jeszcze nie sprzedałem.

- Och, daj spokój, Jebediahu. Kto tu chciałby kupić *Państwo* Platona i dwa tomy Tacyta? - powiedziała Octavia lekceważąco, sięgając do swojej sakiewki pod spódnicą. Wydobyła kilka monet, które rzuciła na kontuar.

- I dwa szylingi procentu - przypomniał Jebediah, zgarniając pieniądze. - Termin był wczoraj.

- Nie ma procentu, jeśli je wykupuję - stwierdziła Octavia. - Nie próbuj, więc swoich grubych sztuczek.

Jebediah, pokazując bezzębne dziąsła, obdarzył ją uśmiechem, przyglądał się jednocześnie ponad jej ramieniem wysokiej, eleganckiej postaci.

- Widzi mi się, że masz teraz dżentelmena za przyjaciela. Bardzo po pańsku wygląda.

Octavia zarumieniła się z gniewu.

- Przynieś mi książki, Jebediahu.

- Dobrze, dobrze. - Poczłapał w swoich wełnianych kapciach na ciemne zaplecze paskudnego sklepu i wrócił po minucie z trzema oprawnymi w skórę księgami o złożonych brzegach. - Robię ci przysługę, daję ci za nie przyzwoite pieniądze - zapewnił. - Dużo by mi z nich przyszło, jakbyś ich nie odebrała. To właśnie powiedziałam - zgodziła się Octavia pogodnie, otwierając po kolei książki i zatraskując je. W wilgotnym powietrzu uniósł się tuman kurzu. - Ale nie myśl, że nie jestem wdzięczna, ty stary łajdaku. - Rzuciła na kontuar kolejnego szylinga. - To na dowód, że cię doceniam.

- Doszedł do majątku, co? - Wziął monetę i ugryzł, próbując czy nie jest fałszywa. Przenikliwymi oczkami mierzył milczącego lorda Ruperta. - Los się uśmiechnął, co? Cóż, kto miałby cię winić, jeśli twoja twarz to cały twój majątek.

Octavia obróciła się na pięcie i skierowała do drzwi, przyciskając do siebie książki ojca. Tłumaczenie Jebediahowi, jak się sprawy naprawdę mają byłoby beznadziejne. Komentował to, co widział. A to, co on widział, zobaczą wszyscy. Jeszcze jeden powód, aby nie dać się odprowadzać pod drzwi. Lord Nick to jedna rzecz, ale lord Rupert Warwick to już zupełnie coś innego.

- Jak często musisz przez to przechodzić? - spytał Lord Rupert, pomagając jej wsiąść do faetonu.

- Wygląda na bardzo chciwego dżentelmena.

- Zbyt często, a on taki już jest - odparła, uważnie przeglądając książki. - Jest łajdakiem i zawsze się boję, że mógłby zechcieć zrobić użytek z książek i powydziierać kartki. Papa jest zawsze taki niespokojny, kiedy brakuje mu jakiejś książki w bibliotece i aż strach pomyśleć, co by było, gdyby któraś wróciła uszkodzona.

- Czy ten łajdak ma jeszcze coś twojego?

Rupert, odbierając wodze od ulicznika, wręczył mu sześciopensówkę. , - Trochę biżuterii... kilka sztuk, które należały do mojej matki - powiedziała Octavia, wzruszając ramionami. - Dopóki płacę co tydzień procent, nie sprzedam ich. Choć nie wyobrażam sobie, kiedy mogłabym je znowu założyć. Nie było to powiedziane tonem uzalania się nad sobą, jak zauważył Rupert, ale też usłyszał nutę goryczy.

- Kiedyś mogłabyś się zemścić. Octavia zaśmiała się niewesoło.

- Owszem, przypuszczam, że na świętego Nigdy.

- Można pomarzyć - odrzekł niezobowiązującym tonem.

- Można pomarzyć - zgodziła się. - Na końcu skreć w prawo.

Zatrzymali się przed wąskim, krzywym domem przy wąskiej, krzywej uliczce, gdzie dachy mansard po obu stronach prawie stykały się ze sobą, tworząc pomost nad ulicą. W brudnym oknie na parterze wystawione były towary handlarza sprzętami domowymi. Na górze łukowe okno wychodziło na zaułek.

- Dziękuję za towarzystwo - powiedziała Octavia oficjalnie, zeskakując na ziemię, zanim zdążył przyjść jej z pomocą. - Mam nadzieję, że znajdziesz drogę z powrotem.

- Wczoraj powiedziałem, że uważam za swój obowiązek dostarczenie cię na łono rodziny - odparł Rupert z ironicznym uśmiechem, stając koło niej. -Nie zmieniłem zdania. Z przyjemnością poznam twój ojca,

- A co z koźmi? - przypomniała Octavia, jednak bez większej nadziei. Czemu, u diabła, on chce to ciągnąć?

- Na pewno ktoś chętnie je potrzyma. - Kiedy to mówił, w drzwiach sklepu pojawił się najstarszy syn pani Forster, wybałuszając oczy ze zdumienia i gapiąc się na lokatorkę matki w takim towarzystwie.

- Walterze, zabierz konie jego lordowskiej mości - poleciła Octavia z westchnieniem rezygnacji. - Proszę wejść, panie.

Poszła przodem, zastanawiając się, w jakim stanie umysłu dziś jest ojciec. Czasami bywał czarujący, kiedy indziej znów tak rozdrażniony, że nie dało się z nim wytrzymać w jednym pomieszczeniu.

- Och, a to dopiero. Gdzieś ty była, panno Morgan? Odchodziłam od zmysłów ze zmartwienia. - Niska, pulchna dama wypadła z zaplecza sklepu. -Twój tatuś wymyślał straszne rzeczy. Był pewien, że coś ci się stało, chociaż mówiłam mu, że jak nic schroniłaś się przed zamiecią i... - Jej głos zamarł na widok towarzysza Octavii. -A to dopiero. - Niezręcznie dygnęła. -A to dopiero.

- To lord Rupert Warwick, pani Forster - wyjaśniła Octavia pospiesznie. -Przyszedł odwiedzić papę. Tędy, panie.

Nie czekając, co jeszcze powie zdumiona gospodyni, pomknęła po wąskich schodach na tyłach sklepu, a jego lordowska mość tuż za nią.

Rupert skinął głową, mijając panią Forster. Pomyślał, że kobieta zdaje się być stosunkowo dobrze nastawiona do swojej lokatorki, a sklep ze sprzętami użytku domowego, choć nie zachwyca obfitością, sprawia wrażenie dobrze prosperującego i czystego w przeciwieństwie do brudu i nędzy panujących w okolicy.

Nie było to skrajne ubóstwo, niemniej Octavia wydawała się tu równie na miejscu jak brylant w kopalni węgla.

Wchodził tuż za nią po skrzypiących, chyboczących się schodach. Jej włosy połyskiwały rdzawo w blasku świecy umieszczonej w kinkiecie w połowie ciasnej spirali schodów. Na podeście zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami i odwróciła się ku niemu, kiedy się z nią zrównał. Jej złote oczy błyszczały w mroku, pełne wargi miała rozchylone, jakby chciała coś powiedzieć. Ciepły rumieniec znaczył jej wysokie kości policzkowe, podkreślał kremową przejrzystość cery.

- Prawdziwy brylant - a jeśli go posłucha, zyska godną oprawę.

Z uśmiechem ujął ją pod brodę dłonią w rękawiczce, ale wyszarpnęła się gwałtownie.

- Zrujnujesz resztki reputacji, jaka mi jeszcze została! - syknęła szeptem pełnym oburzenia. - Skompromitowałam się, nie wracając na noc, a teraz pojawiając się z tobą w ten sposób. I tak wszyscy sąsiedzi będą plotkować, ale nie ma potrzeby dawać im więcej powodów.

Cofnął się i skłonił przeprasząc, ale jego ton był bardziej ironiczny niż pojednawczy:

- Wybacz, panno Morgan, nie miałem zamiaru. Czy mógłbym teraz złożyć uszanowanie twojemu ojcu?

Octavia otworzyła drzwi i szybko weszła do pokoju.

- Papo, przyprowadziłam ci gościa.

Rupert wszedł za nią zamykając drzwi. Pokój był mały i nędznie umeblowany, oświetlony kopcącymi świecami łojowymi i lampą olejową, na kominku paliła się, dymiąc, odrobina węgla. Pod ścianą stało wąskie posłanie przykryte patchworkową kołdrą. Łukowe okno wychodziło na ulicę, pod oknem, przy biurku siedział szczupły mężczyzna z grzywą białych włosów i piwnozłotymi oczami, takimi samymi, jakie miała jego córka. Był ubrany w staromodny, długi kaftan z wyblakłego, szarego aksamitu, koszulę bez kołnierza, a jego ramiona przykrywała szorstka, końska derka. Na twarzy o wyrazistych rysach i wysokim, szlachetnym czole odmalował się wyraz dezorientacji, kiedy zwrócił się ku drzwiom, spoglądając spod zmarszczonych brwi na nowo przybyłych.

- Octavio, dziecko, gdzieś ty się podziewała? Mam wrażenie, że nie było cię przez całą noc.

- Nie, papo, złapała mnie zawieja - odparła Octavia, spiesząc ku niemu przez pokój. Pochyliła się, by go pocałować. - Lord Rupert Warwick był tak uprzejmy, że przywiózł mnie do domu. - Wskazała na swoją eskortę, a on postąpił do przodu i się uklonił.

- To dla mnie zaszczyt, panie.

Oczy Olivera Morgana nagle spojrzały z niepokojącą bystrością.

- I cóż masz wspólnego z moją córką panie? Nie przepadam za dworzanami.

- Tak, to mali ludzie, zgadzam się - przyznał Rupert z rozbijającym uśmiechem. - Twoja córka, panie, znalazła się w kłopotliwym położeniu z powodu zamieci, a ja podjąłem się obowiązku odprowadzenia jej do ciebie. Nic złego jej nie spotkało. - Obrzucił wzrokiem Octavię, która stała nieruchoma i milcząca koło ojca.

- Lord Rupert był nad wyraz uprzejmy - powiedziała cicho. - I jak widzisz, jestem cała i zdrowa. Odzyskałam twojego Platona i Tacyta. - Położyła książki na stole.

- Ach - odrzekł jej ojciec, natychmiast tracąc zainteresowanie dla wszelkich ojcowskich trosk. - Byłem bezradny bez Tacyta. Jest tam fragment, na który usiłowałem się powołać w tym artykule... -jego głos przeszedł w mamrotanie, kiedy zaczął kartkować tomy. - Wydaje mi się, że w szóstej księdze... No tak, jest... Wybacz, panie... ale to bardzo pilne. Mój wydawca czeka na artykuł z niecierpliwością. Octavia będzie pełnić honory naszego skromnego domu. - Wykonał nieokreślony gest drobną, wytworną dłonią, po czym chwycił za pióro zanurzone w kałamarzu. Rupert przyjął tę odprawę i cofnął się dyskretnie. Znów rozejrzał się po pokoju. Czuł dolatujący z dołu zapach gotującego się puddingu, widział szpary w boazerii, złamaną nogę jednego z krzesel przy kwadratowym stole pośrodku pokoju, pozbawione poduszek siedziska przy kominku, popękane i brudne szyby w oknie. Zauważył, że ogień nie daje ciepła, które przewyciężyłoby przenikający do szpiku kości chłód w tym niewesołym pokoju.

Octavia nie miała złudzeń co do jakości swojej obecnej kwatery i kiedy lord Rupert znów na nią spojrzał, patrzyła na niego wyzywająco. Upierał się, żeby tu przyjść, ale ona nie zniesie jego litości. Jednakże Rupert nie powiedział nic i skierował się do wyjścia.

- Muszę cię pożegnać, panno Morgan. Jestem umówiony w południe.

Proste, zwyczajne, ostateczne. Ale czego jeszcze się spodziewała? Czego jeszcze chciała?

- Odprowadzę cię do powozu - powiedziała uprzejmym tonem.

- Nie, proszę, nie ma potrzeby - odparł. - Mogę wyjść sam.

- Nie wątpię, panie. Niemniej jednak nie zwykłam nie dopełniać obowiązków gospodyni mimo nędzy mojego mieszkania.

Rupert nie odpowiedział na to wyzywające stwierdzenie, tylko ruszył przodem po wąskich schodach, przez sklep, na ulicę.

- Żegnaj, panie. - Octavia dygnęła, podając mu dłoń. - Powinam ci pewno podziękować, ale nie bardzo wiem za co, skoro nie musiałbyś mnie odwozić do domu, gdybyś uprzednio nie wywiózł

mnie do Putney.

- Nie proszę o wdzięczność - powiedział poważnie, unosząc jej dłoń do ust i kłaniając się dwornie. - Wręcz przeciwnie, to ja jestem ci wdzięczny.

Uniesiona brew i lekki uśmiech nie pozostawiały wątpliwości co do tego, co miał na myśli, ale nie odpowiedziała mu w podobnym tonie, a tylko cofnęła się, czekając jak cierpliwa i uprzejma gospodyni, aż odjedzie.

Faeton potoczył się wąską uliczką, a Octavia zawróciła do domu. Przedtem życie było okropne, teraz wydawało się tak ponure, że chciało się jej płakać. Przez kilka wspaniałych godzin uczestniczyła w cudownym śnie, ale teraz sen się skończył. Zostały jej wspomnienia, wiedziała jednak, że w jej obecnej nędzy sprawiać jej będą tylko ból, zamiast przynosić ukojenie.

Hrabia Wyndham zbliżał się do salonu, w którym przyjmował król. Idąc przez pełne ludzi przedpokoje St James's Palace, przystawał, by pozdrowić znajomych, skłonić się nisko wpływowym osobom i powitać je komplementem.

Wreszcie dotarł do kręgu zaufanych, towarzyszących Jego Wysokości. Księżę Walii stał z boku, spoglądając chmurnie i przytupując, najwyraźniej znudzony. Nie cierpiał dworskich ceremonii, jakie jego ojciec życzył sobie odprawiać według rygorystycznie przestrzegane go porządku i twarz mu pojaśniała na widok hrabiego.

- Ach, Philipie, przyszedłeś złożyć uszanowanie, co? - Podsunął mu swoją tabakierkę. - Bezpowrotnie stracony poranek, nie sądzisz?

Philip Wyndham zażył szczyptę z królewskiej tabakierki.

- Dzięki, panie. - Uśmiechnął się do korpulentnego młodzieńca o błyszczącej, zaczerwienionej twarzy pod precyzyjnie upudrowaną koafiurą. - Kiedy Wasza Wysokość osiągnie swoje lata, bez wątpienia zaprowadzi własne porządki - powiedział uspokajająco.

- Owszem i możesz być pewien jak diabli, że będzie to kres mojej obecności na tych przeklętych zgromadzeniach - oznajmił królewicz pośepnie, unosząc lorgnon, by przyjrzeć się zebranemu towarzystwu.

Uznając tę zmianę obiektu zainteresowania za odprawę, hrabia Wyndham skłonił się nisko, opuścił księcia Walii i zbliżył się do kręgu otaczającego króla, mając nadzieję, że zostanie zauważony przez Jego Wysokość.

Jerzy III słuchał księcia Gosforda. Królewska głowa była uprzejmie przechylona na bok, by móc słyszeć, co mówi stary książę, którego słowa zagłuszał świszczący oddech.

- Ależ tak, drogi panie - mamrotał król raz za razem. - Właśnie tak, Gosford.

Philip podsuwał się coraz bliżej, dopóki nie stanął tuż za swoim teściem. Kiedy król uniesie głowę, będzie musiał go zobaczyć.

Atak kaszlu przerwał wypowiedź księcia, który ukrył twarz w chusteczce. Król miłosiernie odwrócił wzrok i napotkał spojrzenie ciemnoszarych oczu książęcego zięcia.

- Wyndham, piękny poranek, czyż nie... czyż nie?

- W rzeczy samej, panie. - Philip uklonił się nisko. - Powinniśmy być wdzięczni, że wczorajsza zawieja nie była gorsza.

- Och, księżniczki są zachwycone śniegiem - powiedział król prostodusznie. - Nic tylko jeździłyby na łyżwach po stawie... Zameczają swoją matkę o pozwolenie. - Dumny ojciec zachichotał z zadowoleniem. - A jak tam lady Wyndham? Wydobrzała już po połogu, czyż nie... czyż nie?

- Asystuje dziś królowej, jak przypuszczam, panie. - Philip po raz kolejny skłonił się głęboko.

- A dziecię... kwitnąco, jak mniemam?

- Tak, panie. Jesteś nazbyt łaskawy.

Odprawiony królewskim uśmiechem hrabia postąpił do tyłu. Swojego teścia skwitował skinieniem głowy i lakonicznym „dzień dobry”. Ten człowiek nie wymagał więcej uwagi. Był starym durniem, który odegrał już swoją rolę. Małżeństwo z córką Gosforda zapewniło hrabiemu Wyndhamowi pozycję w najściślejszych kręgach dworskich, stosunki księcia nie były mu więc już na nic potrzebne.

Wmieszał się w tłum, zdając sobie sprawę ze spojrzeń, z których jedne były taksujące, inne pełne zawiści. A wszyscy oceniali, jak długie i poufne było posłuchanie, którego udzielił mu król. To była bardzo osobista rozmowa, która świadczyła o tym, że hrabia Wyndham jest jednym z ulubionych dworzan króla.

Philip podszedł do wnęki okiennej i dyskretnie otarł czoło. Od gorąca panującego w sali skóra głowy pod peruką zaczęła go swędzieć. Poprawił falbanki koronkowego żabotu i spojrzał na księcia Walii stojącego w tym samym miejscu, po drugiej stronie sali. Nie było tajemnicą, że królewicz jest dla rodziców powodem nieustającego strapienia ze względu na swój upór i rozwiązłość, ale przynajmniej król miał dziedzica. Może o ułomnym charakterze, niemniej jednak

silnego dziedzica płci męskiej. Męski potomek ze słabym charakterem był lepszy od miauczącego bachora płci żeńskiej.

Nieświadomie zmarszczył cienkie brwi i mimowolnie wsunął dłoń do kieszonki kamizelki. Jego palce natrafiły na jedwabną sakiewkę, w której wyczuł kształt maleńkiej obrączki. Jedna z trzech obrączek Wyndhamów. Została wsunięta na jego palec zaraz po urodzeniu i miał ją przekazać własnemu synowi.

Letitia będzie musiała lepiej się postarać następnym razem... jeśli on zmusi się, by znów dotknąć jej bladego, ciastowatego ciała. Ta kobieta napawała go odrazą która od porodu jeszcze się pogłębiła. Skamlała i pochlipywała, kiedy tylko się zbliżył. Wiedział od lekarzy, że nie doszła do siebie po porodzie i nękały ją sporadyczne krwotoki, ale oczywiście w swej delikatności nie była uprzejma wspomnieć o tym mężowi, od którego oczekiwała prawdopodobnie, że będzie wróżył z powietrza, czy jest gotowa przyjąć jego awanse.

Zażył tabaki, zastanawiając się, do kogo podejść w następnej kolejności. Książę Merriweather mógłby być wart zachodu. Król radził się go, kiedy chodziło o obdzielanie łaskami.

Odchodząc od okna, napotkał wzrok wysokiego, eleganckiego mężczyzny w turkusowym aksamicie stojącego w drzwiach salonu.

Ten człowiek miał w sobie coś, co doprowadzało Philipa do wściekłości. Coś w sposobie, w jaki stał, tak nonszalancko przyglądając się sali, jakby nikt z obecnych nie był wart jego uwagi. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Philip widywał tutaj lorda Ruperta Warwicka. Był zawsze obecny, ale o dziwo nigdy nie próbował zwrócić na siebie uwagi króla. Miał przyjaciół wśród najbardziej lekkomyślnych i rozrzutnych arystokratów. Znany był z tego, że pije na umór, gra wysoko i lubi kobiety, zresztą z wzajemnością. Poza tym był dość tajemniczy. Ogólnie wiadomo było, że mieszkał na kontynencie, zanim nie przybył do Londynu kilka miesięcy temu, ale wyglądało na to, że nikt nie wie o nim wiele więcej. Przystojny, z dobrego rodu i najwyraźniej wystarczająco bogaty, by żyć na tak wysokiej stopie, jak mu się podoba, a to wszystko, co się liczy.

Lord Rupert nie odwracał wzroku, Philip skinął więc głową co zostało natychmiast odwzajemnione z przelotnym uśmiechem. Philip odwrócił się, marszcząc brwi. W tym uśmiechu było coś, co go zaniepokoiło. Jakiś podtekst, jakby tamten mężczyzna znał jakąś tajemnicę Philipa. Co za absurd, skoro poza tym, że zostali sobie przedstawieni, w ogóle tego człowieka nie znał.

Nagle zmęczony gorącym panującym w salonie hrabia Wyndham podszedł do dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do przedpokojów. Ku swej irytacji spostrzegł przed sobą lorda Ruperta, który niemal zagradzał mu przejście.

- Życzę miłego dnia, lordzie Wyndham.

- Wzajemnie, Warwick. - Zniecierpliwiony Philip chciał wyminąć natręta, ale lord Rupert wciąż stał mu na drodze.

- Mam nadzieję, że lady Wyndham cieszy się dobrym zdrowiem - zagadnął lord Rupert, zażywając szczyptę tabaki. - No i twoja córka także, rzecz jasna. - Uśmiech znów zaigrał na pięknie zarysowanych ustach, ale ciemnoszare oczy pozostawały nieporuszone, wpatrując się w twarz hrabiego. - Nawet córki zapewniają kontynuację linii... a można wszak założyć, że gdzie córki idą pierwsze, przyjdą za nimi i synowie. - Uśmiechnął się szerzej, kłaniając się znowu, zanim Philip był w stanie zdobyć się na stosowną odpowiedź. - Wybacz, widzę, jak Alex Winterton stara się zwrócić na siebie moją uwagę.

Odszedł, pozostawiając hrabiego w stanie irytacji, zastanawiającego się z chmurną twarzą dlaczego ma poczucie, że ten człowiek drwi sobie z niego i dlaczego nie dał mu możliwości odpowiedzi.

Mając wreszcie wolną drogę, hrabia wrócił na przedpokoje. Margaret, lady Drayton, stała przy oknie otoczona nadskakującymi jej gorliwie dżentelmenami. Żywiłowo trzepotała wachlarzem, a jej wysoki, przenikliwy śmiech przebijał się przez szmer rozmów przypominających skrzeczenie stada szpaków. Powietrze rozgrzane od ognia i setek świec było ciężkie od zapachu perfum i pomady nakładającego się na odór niemytych ciał, dalekiej od świeżości bielizny, grubych brokatów, aksamitów i jedwabi zeszywniałych od ciągłego użycia.

Philip dołączył do osób zgromadzonych wokół lady Drayton, która uśmiechnęła się do niego znad wachlarza. Jej policzki pokryte grubą warstwą różu stanowiły kontrast z białą spiętrzoną, upudrowaną koafiurą, oczy jak z błękitnej porcelany były okrągłe pod cienkim łukiem wyskubanych brwi. Zauważył, że nosi kolczyki ze szmaragdowymi łzami, które dał jej po ich

ostatniej schadzce. Nie rozpoznawał srebrnego diademu we włosach i zastanawiał się, którego z pozostałych wielbicieli tej niezrównanej piękności jest to sprawka. Może nawet samego na wpół zniedołężniałego wicehrabiego Draytona.

Ten zgrzybiały, nieprzyjemny szlachcic, wytrawny dworak, siedział w swoim wózku przy ogniu, mamrocząc i kiwając głową sam do siebie. Perukę miał przekrzywioną bieliznę poplamioną. Powszechnie wiadomo było, że przymyka oczy na kochanków żony, natomiast szeroko otwiera dla niej swoją sakiewkę, dopóki ona spełnia jego szczególne, a ponoć wręcz zboczone zachcianki. Nie darmo wszak Margaret kształciła się w burdelu King's Place. W królestwie cielesności niewiele było rzeczy, których nie zrobiłaby za odpowiednio wysoką cenę.

Wciąż jest piekielnie pociągająca, mimo wszystko, pomyślał Philip, czując wzbierającą falę podniecenia, kiedy jego wzrok padł na jej pełny biust, dwie Upudrowane na białe kule wychylające się z dekoltu. Wiedział, że sutki ma uróżowane i niewiele brakuje, aby ukazały się ponad koronkowym obszyciem...

- Ależ milordzie, ślinisz się jak wygłodniały wilk - zaszczebiotała wicehrabina Drayton, klepiąc go żartobliwie wachlarzem po nadgarstku. - Pewno jego lordowska mość miałby chętkę na ten kąsek. - Jakby od niechcenia musnęła wierzchem dłoni swoje piersi i zaśmiała się do otaczających ją, a oni zawtórowali jej chętni wziąć udział w kpinie.

Philip zarumienił się, ale ukrył niezadowolenie.

- W rzeczy samej, pani, kiedy podają tak ponętny owoc, mężczyzna musiałby być nie w pełni mężczyzną, aby odmówić zaproszenia na ucztę.

- Brawo, milordzie. - Śmiejąc się, dama wzięła go pod ramię. - Litości, jak tu gorąco. Możesz odprowadzić mnie do powozu, zanim się roztopię.

- Zanim farba spłynie - mruknął pewien dżentelmen półgłosem, kiedy tych dwoje odeszło w powodzi jedwabiu kłębiącego się wokół damy.

- To podłe, Carson! - Tej uwadze towarzyszył głęboki, wesoły śmiech. Peter Carson obejrzał się z uśmiechem.

- Ale samo się nasuwa, Rupercie.

- Och, z pewnością. - Rupert popatrzył za lady Drayton i Philipem Wyndhamem, którzy zniknęli w dalszych pokojach. - Ona zawróciła w głowie wszystkim.

- O, jeszcze jak - zgodził się jego przyjaciel. - Ale ja ze swej strony byłbym ostrożny, jeśli chodzi o taplanie się w tym stawie. Podobno przeszła kurację rtęcią nie tak dawno temu.

- Potwarz! - zbeształ go Rupert, udając oburzenie. - Jedna z Wielkich Nieczystych skażona tryprem? Na pewno nie.

- Założę się, że to Drayton ją poczęstował - kontynuował Peter z typowym dla siebie, leniwym uśmiechem. - Stary cap jest tym przeżarty od lat.

- Wygórowana cena za tytuł i majątek, nawet dla takiej jak Margaret - zauważył Rupert, przyglądając się przez lorgnon dziecinnialemu wicehrabiemu, który wciąż kiwał się przy kominku pozornie nieświadomy odejścia małżonki.

- Życie jest krótkie, przyjacielu, lepiej uczynić je tak przyjemnym, jak tylko to możliwe - stwierdził Peter swobodnie. - A skoro o tym mowa, to czy grasz dzisiaj wieczorem u lady Buckinghamshire? Podobno stawka przy stole faro ma wynosić sto gwinei.

- Zatem warto przyjść - odrzekł lord Rupert. - Tak, możesz się mnie tam spodziewać, Peterze.

Uklonił się i podążył w ślad za hrabią Wyndhamem i lady Drayton.

Philip wciąż fizycznie przypominał dwunastoletniego chłopca sprzed osiemnastu lat, choć anielskie, złote loki ukryte miał pod peruką. Postury nadal był wiotkiej, twarz miał gładką, oczy przejrzyste, z tym niewinnym blaskiem, który zmylił tak wielu. Tylko jego brat bliźniak potrafił dostrzec zimny błysk wyrachowania pod pozorami otwartości, pojawiające się czasem okrutne skrzywienie szerokich, pełnych warg. Potrafił je dostrzec, ponieważ je znał. Znał swojego brata niemal tak dobrze jak siebie samego, a ta wiedza krążyła mu w żyłach razem z krwią. Byli jak dwie strony figury karcianej, tylko ten odwrócony obraz był dziwnie zniekształcony.

Rupert stanął we wnęce, skąd mógł obserwować brata, sam pozostając niedostrzeżony. Często łapał się na tym, nawet wtedy, kiedy niczemu nie miało to służyć. Był to rodzaj obsesji, patrzeć, jak brat porusza ustami, jak chodzi, uśmiecha się, roztacza swój czar. Czasami Rupert zauważał podobieństwo do Gervase'a w sposobie, w jaki Philip przechyla głowę, mruga rzęsami, a przede

wszystkim w ciemnoszarych oczach, takich samych jak jego własne. Kiedy spostrzegł to podobieństwo, ogarniał go purpurowy przypływ wściekłości tak potężny, że drżały mu ręce, a przed oczami wirowały czarne plamy.

W mrokach nocy wciąż słyszał krzyk Gervase'a w ten dawno miniony, bezchmurny, letni dzień. I słyszał dręczący głos Philipa: „Podstawiłeś mu nogę. Widziałem cię”. Wciąż na nowo doświadczał własnej rozpaczliwej bezradności, kiedy bliźniak oznajmił: „Uwierzą mi. Zawsze mi wierzą”.

No i oczywiście uwierzyli. Tak samo jak zawsze gotowi byli uwierzyć w to, co najgorsze na temat małego Culluma, który stale wpadał w tarapaty, czasem z własnej winy, a czasem nie. Przyzwyczał się do tego i przyjmował brutalne razy hrabiego ze stoickim spokojem. Ale tym razem było inaczej. Na początku nie oskarżono go otwarcie. Jak można by oskarżyć chłopca o rozmyślne zabicie brata? Philip powiedział, że jest pewien, że to był wypadek, że Cullum w zabawie podstawił nogę Gervase'owi. Oczywiście Cullum nie mógł wiedzieć, że Gervase straci równowagę i spadnie z urwiska. Cullum nigdy nie zrobiłby czegoś tak głupiego, gdyby pomyślał.

Ale szept narastał, a spojrzenia stawały się coraz bardziej oskarżycielskie. Nie mógł przejść przez wieś, nie czując na swoich plecach czyjegoś wzroku, nie słysząc szepców ścigających go jak pożar lasu. A najgorzej było w domu. Każdy patrzył na niego krzywo. Ojciec bił go z taką zawziętością, że nawet teraz czuł tamte razy każdym nerwem, jednak gorsze od fizycznego bólu było pełne pogardy odrzucenie, które zepchnęło go w najciemniejsze zakamarki domu, gdzie przyczał się, lekceważony, podczas gdy Philip pławił się w ciepłym blasku akceptacji. Philip, który podstawił nogę Gervase'owi. Tylko że nikt nie uwierzyłby w prawdę, a wypowiedzenie jej ściągnęłoby tylko na niego jeszcze sroższą karę.

Niemniej jednak Philip był młodszym z bliźniąt, urodzonym dwie minuty później i po śmierci Gervase'a to Cullum został pełnoprawnym dziedzicem tytułu i majątku. Ojciec szalał, krzyczał na prawników, kiedy oznajmili, że nic nie da się zrobić, by zmienić prawo pierworództwa. Philip nie mógłby stać się dziedzicem, dopóki żył jego starszy brat. Starszy brat zatem, powodowany czarną rozpaczą, usunął się z drogi.

Dwunastoletni Cullum Wyndham, nie mogąc dłużej znieść udręki i okrucieństwa, widząc siebie oczami swojego ojca -jako bezwartościowego i niechcianego syna - prawie uwierzył, że wersja wypadku przedstawiana przez brata bliźniaka jest prawdą i pewnego dnia zniknął. Jego ubranie znaleziono na plaży. We wsi mówiło się, że nie mógł udźwignąć brzemienia swojej winy. Hrabia Wyndham z radością powitał dziedzica, jakiego pragnął.

A teraz lord Rupert Warwick stał w St James's Palace, obserwując swojego brata bliźniaka. Minęło osiemnaście lat od czasu, kiedy nazywał siebie Cullumem Wyndhamem i nie czuł żalu za udręczonym chłopakiem, który upozorował swoją śmierć. Ale pragnienie zemsty jak rozżarzone węgle paliło mu wnętrzności. Był tu, by upomnieć się o należne mu z urodzenia prawo, a Octavia Morgan pomoże mu w tym.

Nagle uznał, że jak na jeden dzień wystarczająco już nasycił swoją obsesję, wyszedł więc z pałacu. Przez kilka dni będzie prowadził grę na przeczekanie, dając pannie Morgan czas, by przemyślała sobie, ile przyjemności daje jego towarzystwo i, jak miał nadzieję, by zatęskniła za tymi przyjemnościami. Da jej czas, by zobaczyła siebie jako kogoś, kto znów może doświadczyć tych przyjemności, obracając zarazem to doświadczenie w obopólną korzyść.

Hrabia Wyndham flirtował w najlepsze ze swoją kochanką, która najwyraźniej upodobała go sobie tego ranka, by obdarzyć go szczególnymi względami.

- Napijesz się ze mną herbaty dziś wieczorem, mój drogi panie? - spytała, kiedy odprowadzał ją do powozu po zakończeniu przyjęcia u króla.

- Spodziewasz się większego towarzystwa, madame?

Wicehrabina zdawała się rozważać taką możliwość, omijając kość porzuconą beztrąsko przez któregoś z królewskich mopsów pośrodku korytarza.

- Jednego lub dwóch gości, być może.

Hrabia z uśmiechem rzucił gładko:

- Nie jestem pewien, czy mam czas, by dzielić z kimś twe łaski, droga pani.

Lady Drayton była tak nienawykła do sprzeciwu wobec sposobu, w jaki traktowała swoich adoratorów, że spojrzała na niego zaskoczona. W jeszcze większe zdumienie wprawiło ją spostrzeżenie, że za słodkim uśmiechem krył się chłód, a w przejrzystych, szarych oczach czaił się cień groźby. Było to spojrzenie, które hrabina Wyndham rozpoznałaby natychmiast i kolana zaczęłyby jej drżeć, ale lady Drayton nie miała powodu obawiać się hrabiego Wyndhama. Mimo to powiedziała czym prędzej:

- Cóż, jeśli wolisz tete-a-tete, Philipie, jestem pewna, że da się to urządzić.

- Jaka uległość, moja droga. Protestuję, czynisz mi zbyt wielki zaszczyt. - Uśmiechnął się szerzej, unosząc do ust jej dłoń. - Zatem powiedzmy, o wpół do szóstej?

Wicehrabina potwierdziła skinieniem głowy niezadowolona z takiego obrotu spraw wyłącznie dlatego, że został na niej wymuszony. Sama nie wiedziała, czemu zgodziła się tak łatwo. Hrabia stał się odrobinę zaborczy w ostatnich tygodniach i miała ochotę podroczyć się z nim trochę, by pokazać mu, że nie jest jego własnością. Zgodziła się jednak odwołać wcześniejsze zaproszenia i przystała na schadzki, która nieuchronnie zakończy się w jej sypialni.

Philip pomógł jej wsiąść do karety z herbem Draytonów na drzwiach, po czym ruszył przez Pall Mall spacerem do domu. Wyndham House stał na południowej stronie St James's Square. Był to piękny pałac, który zawsze napawał hrabiego dumą ze swego dziedzictwa. Wolał go od Wyndham Manor, dworu, który osobiście uważał za niezbyt imponującą i niestosowną wiejską siedzibę z wszelkimi niewygodami wczesnej architektury elżbietańskiej, toteż planował przebudowę fasady w stylu palladiańskim i dobudowanie nowego skrzydła, by dom stał się bardziej okazały. Pamiętał, że obaj jego bracia kochali ten dwór. Pewno przewróciliby się w swoich grobach, gdyby mogli zobaczyć plany architekta dotyczące ulepszeń. Na tę myśl uśmiechnął się, wchodząc po stopniach prowadzących do drzwi frontowych.

Kiedy wszedł, jego małżonka pospieszyła na dół, do holu.

- Och, milordzie, ufam, iż nie zapomniałeś, że spodziewamy się na obiedzie mojego ojca i Westonów. - Powitała go z bojaźliwym uśmiechem.

- Nie, nie zapomniałem - odparł. - Ale czy nie życzyłem sobie, byś zaprosiła również lorda i lady Alworthy?

Kolor odpłynął z twarzy Letitii.

- Ależ tak, panie, w rzeczy samej. Pomyślałam jednak, że może byłoby to nierozważne...

- Przeprowadźmy tę rozmowę w salonie. - Mąż przerwał jej lodowatym tonem, widząc lokaja przechodzącego przez hol do jadalni.

Letitia podążyła za nim do salonu. Jej oczy w bladej twarzy wyrażały przestрах. Była nieładną kobietą o pięć lat starszą od męża. Efektem słabości do słodyczy były brak talii i fałdy tłuszczu pod brodą.

- A teraz wytłumacz mi to, moja droga - powiedział Philip łagodnie, zamykając za nimi drzwi. - Nakazałem ci zaprosić Alworthy'ów, a ty z własnej woli zlekceważyłaś moje polecenie. Czy tak?

- Och, nie... nie... niedokładnie, panie. To nie tak - jąkała się Letitia.

- Zatem, proszę, jak dokładnie było? - Jego twarz już nie wyrażała słodyczy, pełne wargi nie uśmiechały się, w ciemnoszarych oczach zgasł blask.

- Mój ojciec... mój ojciec i lord Alworthy od dawna są skłócenii - tłumaczyła Letitia, a kolor napływał do jej twarzy i odpływał, przypominając trzepotanie skrzydeł zranionego ptaka. - Pomyślałam, że mogłoby obrazić ich obu, gdyby zostali zaproszeni, by jeść obiad przy jednym stole.

- Z własnej woli postąpiłaś więc wbrew mojemu wyraźnemu poleceniu - powtórzył miękko. - Podejdz tu!

Szokujący kontrast pomiędzy wykrzyczanym rozkazem a uprzednią łagodnością sprawił, że zbladła śmiertelnie i drgnęła, po czym umknęła ku drzwiom.

- Słyszałaś? - Jego głos znów był miękki i jedwabisty.

W przerażeniu Letitia zrobiła krok w jego stronę, unosząc rękę, by osłonić się przed ciosem, o którym wiedziała, że zostanie zadany.

- Opuść rękę - rozkazał tym samym tonem, a oczy zapłonęły mu podłą radością na widok jej przerażenia i bezradności.

Chlipiąc, opuściła rękę, zgarbiła się, schowała głowę w ramionach. Podniósł powoli rękę, przyglądając się drżącej żonie, ale nie miał zamiaru zostawiać śladu na jej twarzy, nie wtedy, kiedy za godzinę mieli przybyć goście na obiad. Jej ojciec był nieudolnym głupcem, ale nawet on mógł zaprotestować, widząc sińce córki.

Philip z wolna opuścił rękę i dla odmiany chwycił ją za nadgarstek, wykręcając go, patrząc na ból malujący się w pełnych łez oczach. Kiedy Letitia krzyknęła, puścił ją.

- W przyszłości, kiedy wydam ci polecenie, wypełnisz je co do joty - powiedział zimno. - Czyż nie, moja droga?

Letitia łkając, masowała sobie przegub. Jej dłoń zwisała bezwładna i beзуżyteczna.

- Czyż nie, moja droga? - powtórzył.

- Tak, milordzie - wyszeptala przez łyzy.

Stał, przyglądając się jej, opartej o ścianę, ze łzami ciekącymi po pulchnych policzkach. Suknia z fioletowej tafty podkreślała ziemistość jej cery. Strąki mysich włosów były miłosiernie ukryte pod ogromną, pudrowaną peruką, całą w lokach, ale jakiś zgubny odruch kazał jej ozdobić koafiurę fioletowymi strusimi piórami, które kołysały się absurdalnie nad jej przysadzistą sylwetką.

- Och, wynoś się stąd - powiedział z niesmakiem. - I pomaluj twarz. Jesteś żółtozielona jak rozdeptana żaba.

Letitia odwróciła się i uciekła z pokoju. Chlipiąc, biegła przez hol. Po dwóch latach tego małżeństwa nie potrafiła zdobyć się na dumę, żeby ukryć swój wstyd przed służbą. Wbiegła na górę i dalej, korytarzem, do dziecięcego skrzydła domu, gdzie jej jedyna pociecha spała spokojnie w swojej kołysce.

Opiekunka spojrzała na twarz swojej pani ze śladami łez i taktownie spuściła wzrok, skupiając się na szyciu.

- Czy była grzeczna, nianiu? - spytała w końcu lady Wyndham, próbując udawać opanowaną.

- Och, to aniołek, milady - odparła opiekunka, uśmiechając się radośnie do śpiącej lady Susannah. - Czyste złoto.

Letitia delikatnie pogłaskała gładki, pulchny policzek. Hrabia nie miał czasu dla dziecka, bo nie było ono synem. Czuł się urażony tym faktem, a Letitia wiedziała, co czeka tych, którzy wprawiali w niezadowolenie jej męża, czy byli temu winni, czy nie. Zadrzała, przysięgając sobie, że jakoś obroni tę kruszynę przed okrucieństwem jej ojca.

6

Papo. Przyniosłam twoje lekarstwo. - Octavia wpadła do pokoju, zrzucając kaptur peleryny. Ojciec, wstrząsany atakiem kaszlu, wydawał się jej nie słyszeć.

- Niewielki z niego pożytek - stwierdził Oliver Morgan, kiedy szarpiący go kaszel nieco ustał. - Strata pieniędzy. Bardziej potrzebny mi pergamin na mój artykuł, ale zostałem pokarany niesumienną córką, która... - Ogarnął go kolejny napad, więc skulił się na wąskim posłaniu, a jego siwą głową miały spazmy.

Octavia nazbyt często słyszała tego rodzaju łajanie, by się nim przejmować.

- Wiesz, że doktor zalecił ci to lekarstwo - powiedziała spokojnie, potrząsając buteleczką która kosztowała trzy z jej cennych szylingów. Odkorkowała ją i odmierzyła odpowiednią dawkę do małego, cynowego kubka. - Proszę, papo - podeszła do łóżka, podając mu kubek.

Oliver spojrział na nią gniewnie oczami zapadniętymi w twarzy zabarwionej gorączkowymi wypiekami.

- To ten przeklęty dym z węgla - burczał. - Gdybyśmy palili przyzwoitym drewnem, nie miałbym kaszlu.

- W Londynie nie ma drewna na opał - tłumaczyła Octavia cierpliwie. - W każdym razie nie za takie pieniądze, jakie mamy. - Schyliła się, aby podtrzymać go za ramiona i zbliżyła kubek do jego warg.

Przez chwilę wyglądało, jakby miał zamiar odmówić przyjęcia lekarstwa, ale w końcu mruknął:

- Do wszystkich diabłów, nie leżę jeszcze na łożu śmierci, dziecko.

Wyprostował się gwałtownie, wyrwał jej z ręki kubek i wypił.

Octavia nie dała po sobie poznać uczucia ulgi, ponieważ wzmogłoby to

tylko jego zły nastrój. Specyfik zawierał sporą dawkę opium, nie tylko więc tłumił kaszel, ale i sprowadzał tak potrzebny ojcu sen. Oznaczało to spokój i wytchnienie dla nich obojga, przynajmniej na tak długo, jak długo będzie spał.

Odstawiła na stół kubek wraz z buteleczką po czym schyliła się, by poprawić cienkie poduszki i wygładzić kołdrę.

- Przynieść ci coś jeszcze?

- Pergamin - powiedział, kładąc się, przy czym wyrwał mu się cichy jęk, którego nie potrafił powstrzymać.

- Jeśli kupię pergamin, będę musiała zastawić Wergiliusza - uświadomiła mu. - A ty nie możesz bez niego pracować. I tak muszę jutro znaleźć jakąś pracę, bo zostało nam ostatnie pięć szylingów. Kupię trochę papieru welinowego.

Rozpacz mignęła w oczach ojca, jego rozdrażnienie znikło, zastąpione na moment przez pełne przerażenia oszołomienie. Potem powieki mu opadły.

Octavia ostrożnie odstała od łóżka i podeszła do kominka wciąż owinięta peleryną. Lichy ogień już dogasał, dorzuciła więc kilka węgli. Postępowała rozrzutnie, ale dzień był mroźny i szyby od wewnątrz zamarzyły. Na ogół jej ojciec nie pojmował w pełni swojej własnej roli w doprowadzeniu ich do tak rozpaczliwej sytuacji. Były jednak momenty, takie jak ten, kiedy celowo unikał zrozumienia i cierpienia psychicznego, jakie się z nim łączyło. Tak mało miał w sobie wewnętrznej siły, by zmagać się z biedą i niedostatkiem. Co prawda nigdy przedtem nie był zmuszony obywać się bez niczego, ale przecież ona również nie.

Pochuchała w dłonie i wyciągnęła je nad wątłym, pomarańczowym płomieniem. Obrzydliwy dym z lichego węgla zalegał ciężko w jej płucach. Ale przynajmniej mieli ogień, nie tak jak większość ich sąsiadów trzęsących się na zimnych mansardach i w piwnicach. W porównaniu z nimi Oliver Morgan i jego córka byli bogaczami w stopniu przekraczającym najśmielsze marzenia.

Z łóżka dobiegał oddech ojca, świszczący, ale głęboki i Octavia odprężyła się, zastanawiając się, jak spędzić te kilka godzin błogosławionej samotności. W Hartridge Folly zwinęłaby się w kłębek z książką, pograłaby na klawikordzie w pokoju muzycznym albo poszłaby na spacer do zagajnika. Natychmiast skarciła się za to próżne rozpamiętywanie, które tylko pogarszało sytuację. Jej życie teraz tak wygląda, odmiana losu nie wchodzi w grę, należy więc robić, co się da, by uczynić je znośnym. Stało się to jednak o wiele trudniejsze od czasu jej przygody z rozbójnikiem. Przygoda - czy to właściwe słowo?

Zapatrzyła się w ogień, żałując, że jej wspomnienia tamtej nocy nie są bardziej konkretne. Utraciła dziewictwo, a miała tylko poczucie jakiegoś zaczarowanego snu. Wspomnienie rozkoszy drażniące jej pamięć nie miało kształtu, nie dawało się uchwycić. Nie potrafiła go przywołać, ponieważ nie miało odniesienia do niczego, co by знаła. Wiedziała tylko, że para ciemnoszarych oczu i głęboki, wesoły śmiech towarzyszą jej przez długie godziny nocy i każdego ranka budziła się z poczuciem straty i bolesnego rozczarowania, jej ciało czuło się samotne i miała wrażenie, że istnieje na próżno. Bezżyteczność, zatracenie siebie w obecnej egzystencji przytłaczało ją, kiedy spoglądała w długi, ciemny tunel przyszłości.

Herbata i grzanka, pomyślała w nagłym natchnieniu. Niezbyt wygórowana zachcianka - kojąca zachcianka. Pani Forster pozwoli jej wziąć trochę masła, będzie mogła zaparzyć herbatę, opiec nad ogniem kromkę chleba, a potem posmarować ją masłem, które roztopiając się, wsiąknie w chrupką grzankę.

Ślinka napłynęła jej do ust, chwyciła czajnik i zbiegła na dół, by napełnić go wodą z beczki stojącej na podwórzu za sklepem. Pani Forster zagniała ciasto łojowe na kuchennym stole, rękawy miała podwinęte do łokci, ręce w mące. Spojrzała na lokatorkę i pozdrowiła ją skinieniem głowy.

- I jak się ma tatuś, kochana? Kaszlał coś okropnie w nocy.

- Teraz śpi - powiedziała Octavia. - Aptekarz przyrzadził mu więcej lekarstwa. Czy moglibyście mi pozwolić wziąć masła za dwa pensy?

Gospodyni otrzepała dłonie z mąki, wetknęła drewnianą łopatkę w pokazną, złotą bryłę leżącą na półmisku pośrodku stołu i hojnie odkroiła kawałek.

- Wystarczy?

- Dziękuję. - Octavia położyła na stole dwie monety. - Mam ochotę na herbatę z grzanką.

- Nie psuj sobie teraz apetytu. Będzie zacy pudding ze stekiem i nerką na obiad. - Pani Forster wróciła do swojego ciasta. - Będziesz musiała rozbić lód w beczce, kochana.

Octavia wyszła na podwórze, trzęsąc się pomimo peleryny. Wzięła kamień i rozbiła warstwę lodu na powierzchni wody w beczce, robiąc otwór na tyle duży, aby móc zanurzyć czajnik. Napełniając go, starała się nie zamoczyć rękawiczek. Następnie czym prędzej wróciła do ciepłej kuchni, skąd po wąskich schodach weszła do swojego wyiębionego mieszkania.

Ojciec nadal spał. Powiesiwszy czajnik na haku nad paleniskiem, aby zagotować wodę, zdjęła pelerynę i sięgnęła po podbity futrem, wełniany szlafrok wiszący w ciężkiej szafie, w której mieściła się skąpa garderoba ich obojga. Założyła okrycie na cienką suknię i wróciła do ognia. Ukłękła przy kominku z kromką chleba nadzianą na widelec do pieczenia, który wyciągnęła nad trzaskającym ogniem. Wkrótce pokój wypełnił się rozkosznym zapachem opiekane go chleba, a ona pozwoliła swoim myślom odpłynąć w przeszłość, gdzie było ciepło ognia w pokoju dziecięcym i słodki smak miodu na języku... ogień płonący Pod Królewskim Dębem w Putney, bogaty aromat pieczonego udźca baraniego i zupy ostrygowej...

Gwałtowne pukanie do drzwi wyrwało Octavię z zamyślenia. Pewno pani Forster. Powiedziała „proszę”, zdejmując z widelca opieczoną z jednej strony kromkę, aby obrócić ją na drugą stronę, przy czym poparzyła sobie palce.

- Coś apetycznie pachnie.

Octavia upuściła widelec. Ten głos był tak nieoczekiwany, a jednocześnie słysząc go, uświadomiła sobie, że stale dźwięczał w jej pamięci od ich ostatniego spotkania. To był głos należący do snu i myślała, że już nigdy go nie usłyszy.

- Ty? - Wpatrywała się w gościa. Nie miał peruki, nieupudrowane włosy związał na karku czarną wstążką. Z ramion zwieszała się peleryna z ciemne go samodziału, pod nią widać było jedwabną kamizelkę w zielone pasy i ciemnozielony frak, a do tego beżowe bryczesy z najmniejszej, zrzebięcej skóry.

Był to strój niewyszukany, jednak w tym okropnym pokoju gość wyglądał jak tropikalny motyl na angielskiej łące.

Rupert skłonił się z lekka kpiąco.

- Owszem, panno Morgan. Do usług. - Spojrzawszy w stronę łóżka, delikatnie zamknął za sobą drzwi. - Ojciec śpi?

- Jest niezdrów - odparła, wciąż na kolanach przed kominkiem, nie mogąc wyjść ze zdumienia, w jakie wprowadziła ją ta wizyta. - Ale nie obudzi się przez kilka godzin.

Pokrywka czajnika zaczęła podskakiwać gwałtownie, kiedy woda zawrzała, a ona odruchowo sięgnęła, aby zdjąć czajnik z haka.

- Może grzankę i herbatę?

Ta propozycja wydała się jej śmieszna już w chwili, kiedy ją składała, ale nie przychodziło jej do głowy nic innego, co mogłaby powiedzieć. Była aż nadto świadoma przetartej wełny swojego szlafroka, postrzępionego futrzanego obszycia rękawów. Pięć lat temu był to bardzo elegancki strój domowy, jedyna luksusowa część garderoby, której nie sprzedała po katastrofie, bo była ciepła i praktyczna. Teraz jednak szlafrok nie był ani luksusowy, ani też szczególnie ciepły, gdyż futrzane podbicie stawało się coraz cieńsze i mniej puszyste od ciągłego używania.

- Jeśli masz drugi widelec, mógłbym sobie upiec sam - odrzekł Rupert, zrzucając pelerynę i sadowiac się przy ogniu. - Mam nadzieję, że to nie jest twój obiad. Nie wydaje się zbyt pożywny.

Zauważył kiepski stan ubrań, jakie nosiła, kiedy nie wychodziła zająć się swym ulicznym procederem, ale jego uwagę bardziej przyciągał jej piękny profil, błyszczące piwne oczy, gruby, rdzawy warkocz przerzucony przez ramię.

Octavia podała mu drugi widelec.

- Stołujemy się u pani Forster - oznajmiła nieco wyniośle, starannie odmierzając herbatę do imbryka i zalewając ją wrzątkiem. Nie dodała, że zasiadają przy stole gospodyni tylko wtedy, kiedy mogą sobie pozwolić na szylinga i sześć pensów dziennie. Dziś tyle mieli, ale jutro będzie musiała udać się na londyński West End, by ograbić kieszenie bogaczy. Na samą myśl robiło jej się słabo ze strachu, wołała więc o tym nie myśleć.

- Rozumiem - powiedział Rupert neutralnym tonem. Nadział na widelec kromkę chleba i zaczął go opiekać nad ogniem. - Jeździsz na łyżwach?

- Na łyżwach? - Było to pytanie tak niemające związku z czymkolwiek, że prawie wybuchnęła śmiechem. - Po lodzie?

- A czy istnieje jakaś inna powierzchnia odpowiednia do tego, by po niej jeździć na łyżwach?

Odwrócił swoją kromkę na widelcu, po czym spojrzał na jej zarumienioną, zaskoczoną twarz.

- Jeździłam na łyżwach na końskim stawie każdej zimy, kiedy byłam dzieckiem - powiedziała, podając mu herbatę w grubym porcelanowym kubku. - Dlaczego o to pytasz?

To było śmieszne, klęczeć przy ogniu, popijać dobroczynną herbatę i dzielić się zimowymi wspomnieniami z dzieciństwa. Zarazem jednak, paradoksalnie, zdawało się całkiem naturalne.

- No cóż, pomyślałem, że moglibyśmy zabawić się w ten sposób dziś po południu - odparł, dmuchając na swoją herbatę w bardzo nieelegancki sposób. - Serpentine zamarzyła i każdy, kto może pozwolić sobie na parę łyżew lub je wypożyczyć, już tam jest.

- Niestety, ja nie mogę - powiedziała z ociąganiem. - Łyżwy nie wydawały się szczególnie użytecznym przedmiotem, kiedy trzeba było się pakować, żeby opuścić Hartridge Folly.

- Twój dom rodzinny?

- W Nothumberland.

- Musisz być przyzwyczajona do zimowego chłodu.

- To inny rodzaj zimna niż w Londynie. Tu zimno jest wilgotne i przenika do szpiku kości - stwierdziła. - Jestem przyzwyczajona do suchego, rześkiego zimna.

Posmarował swoją grzankę masłem.

- Mam dwie pary łyżew w powozie. Jedne z pewnością będą pasować do twoich trzewików.

Odgryzł kęs, zliżał masło z warg i skinął głową z uznaniem.

Octavia nadgryzła swoją grzankę, zmuszając się do trzymania się rzeczywistości. Zaproszenie na łyżwy na Serpentine należało do jakiegoś innego świata, nie miało nic wspólnego ani z tym wilgotnym, wyiębionym pokojem i z narkotycznym snem ojca, ani z perspektywą puddingu ze stekiem i nerką podanego przez panią Forster na obiad, po którym będzie musiała położyć się do zimnego łóżka na poddaszu, kiedy tylko nastanie zmierzch. Świece i utrzymywanie ognia po zapadnięciu zmroku to luksus, na jaki nie było ich stać.

Rupert pochylił się nad nią, wziął ją pod brodę i otarł jej masło z warg chusteczką.

- Więc co powiesz?

- Nie mogę zostawić ojca.

- Nonsens. Robiłaś to już przedtem i zrobisz znowu. Szanowna pani Forster zadba o jego potrzeby. Poza tym chciałbym ci złożyć pewną propozycję. .. propozycję, która, jak wierzę,

oboju nam przyniesie korzyść.

- Propozycję? - W świetle tego, czego z nim doświadczyła, Octavii mogła przyjść na myśl tylko jednego rodzaju propozycja, którą można by nazwać obustronnie korzystną. Zmrużyła oczy, a miejsce złotego światła zajął w nich zimny błysk. - I cóż to mogłoby być, powiedz, proszę?

- Wytlumaczę później.

- Och, proszę, bez ceremonii, panie. - Jej głos był niebezpiecznie cichy, oczy jak lodowate szparki. - Jestem pewna, że mogę to usłyszeć równie dobrze tu, jak gdziekolwiek indziej.

Rupert wstał.

- Nie sądzę - powiedział w zwykły sobie sposób. - To dość skomplikowane.

Octavia zerwała się na równe nogi, jaskrawy rumieniec zabarwił jej policzki.

- Już ci kiedyś powiedziałam, milordzie, że nie jestem na sprzedaż. Pewno myślisz, że powinno mi to pochlebiać, może nawet powinnam być wdzięczna... - Wymownym, pogardliwym gestem wskazała pokój. - Muszę cię jednak pozbawić złudzeń. Nie chcę żadnej twojej propozycji.

- Nawet gdybyś była na sprzedaż, moja droga, i tak bym cię nie kupił - odparł chłodno. - Mogę cię zapewnić, że nigdy nie musiałem płacić za kobiece wdzięki.

- Wynoś się! - rozkazała Octavia cichym głosem pełnym wściekłości. - Możesz sobie myśleć, że cokolwiek stało się tamtej nocy, daję ci prawo, by mnie obrażać, ale ja powiem wprost, panie, jesteś pyszałkowatym sukinsynem i wszawym kundlem gorszym od zarazy.

Na moment zapadła pełna zdumienia cisza, po czym lord Rupert zaczął się krztusić. Jego głęboki, wesoly śmiech przegnał cienie, które rozpierzchły się po kątach jak nietoperze umykające przed światłem.

- Oto cały ja! - oświadczył. - Jakim to imponującym słownikiem wyzwisk dysponujesz, panno Morgan.

- Wynoś się! - powtórzyła, splatając ręce i piorunując go pełnym nienawiści spojrzeniem.

- Nie sądzę. - Rozejrzał się po pokoju i jego wzrok padł na szafę. - Będziesz potrzebować peleryny i mufki, i trzewików... myślę, że te, które miałas na Tyburn, będą w sam raz.

Podszedł spokojnie do szafy. Octavia rzuciła się za nim, chwytając go za rękę, kiedy sięgnął, by otworzyć szafę.

- Możesz mnie posłuchać?

- Z największą przyjemnością, kiedy zaczniesz mówić do rzeczy - odrzekł pojednawczo. Uwolnił swoją rękę i otworzył drzwi szafy. - Na razie jednak pleciesz wierutne bzdury. A teraz daj mi powtórzyć... i słuchaj uważnie. - Wyjął jej pelerynę. - Mam dla ciebie propozycję, która nie polega na kupowaniu czy sprzedawaniu... Włóż to... Taką, co do której jestem przekonany, że przyniesie nam obopólną korzyść. - Schylił się i wystawił jej trzewiki. - Załóż je. Łatwo da się do nich przypiąć łyżwy. Zaraz, gdzie twoja mufka? A, tu jest.

Z satysfakcją, jakby odnalazł zaginiony skarb, sięgnął na półkę po jej mufkę i rękawiczki.

- Proszę. Teraz szybko się ubierz, a ja pójdę wytłumaczyć dobrej pani Forster, że wrócisz dopiero po obiedzie.

- Nie... zaczekaj...

Przystanął w drzwiach i odwrócił się do niej, manifestując przesadną cierpliwość.

- Co znowu?

Octavia wpatrywała się w niego zagubiona. Rzadko bywała zagubiona i nic sobie nie robiła z tego odczucia.

- Nie możesz się rządzić w ten sposób - powiedziała w końcu, świadoma jak słabo to zabrzmiało.

- Gdybym tak nie postępował, droga madame, jasne jest, że nic byśmy nie osiągnęli - odparł. - Czekam na ciebie na dole. Wierzę, że nie zajmie ci to więcej niż dwie minuty.

Wyszedł, celowo zostawiając drzwi lekko uchylone. Octavia przygryzła wargę, zerkając na śpiącą postać na łóżku. Opium robiło swoje i wiedziała, że kiedy ojciec się obudzi, będzie oszołomiony i zdezorientowany. Pani Forster może doskonale się nim zająć do jej powrotu, a ona będzie w stanie zapłacić jej z zysków jutrzejszej wyprawy. Jeśli lord Rupert nie miał zamiaru proponować jej, żeby została jego kochanką, to co mógł mieć na myśli?

Słaby promień słońca przedarł się przez brudne okno i padł jej na twarz, kiedy tak stała niezdecydowana i zmieszana. I nagle dotarło do niej, że nieważne, co miał na myśli. Cokolwiek to było, mogło w jakiś sposób odmienić jej obecną sytuację.

Słońce świeciło, Serpentine była zamarznięta, a ją czekało długie popołudnie spędzone z dala od tego ponurego więzienia.

Zrzuciła wystrzępiony szlafrok. Owijając ramiona peleryną, wymknęła się cicho z pokoju, zamykając delikatnie drzwi za sobą. Zbiegła ze schodów, nie umiejąc opanować podniecenia, które zdawało się przynależać do jakiejś dawnej, na wpół zapomnianej osoby.

Kiedy znalazła się u podnóża schodów, Rupert właśnie rozmawiał tam z panią Forster. Gospodyni wyglądała na zadowoloną, a Octavia dostrzegła błysk srebra w jej dłoni.

- Idź i baw się, kochana - powiedziała pani Forster, mrugając okiem. - Tatusiowi będzie ze mną dobrze, nie obawiaj się. Nie zamknę tylnych drzwi na klucz w razie, jakbyś przyszła późno.
- Kolejne wyraźne mrugnięcie.

Octavia skrzywiła się, ale próba podważenia konstrukcji, jaką w swym umyśle wzniosła gospodyni, w tej sytuacji nie miałaby sensu. Nie uwierzyłyby, bo doprawdy, czemu by miała uwierzyć? Cóż bardziej naturalnego dla młodej kobiety, którą spotkało w życiu niepowodzenie, jak przyjąć opiekę majątnego dżentelmena? Nikt tutaj nie robiłby jej z tego powodu wyrzutów, a nawet wręcz przeciwnie.

Wyszła za lordem Rupertem na ulicę, gdzie czekał faeton zaprzężony w tę samą parę kasztanków. Pomógł jej wsiąść, wskoczył za nią i po dziesięciu minutach zostawili za sobą podłę dzielnicę, jadąc przez City w kierunku Strandu.

- Oczywiście zwrócę ci to, co zapłaciłeś pani Forster - oświadczyła Octavia.
- Oczywiście - przytaknął zgodnie. - Pomyślałem tylko, że będziesz spokojniejsza, nie mając zobowiązań wobec tej dobrej kobiety.
- Spodziewam się przyływu funduszy jutro - powiedziała nieco sztywno.
- Znów wyruszasz na łowy, panno Morgan? - uniósł brew, kierując konie w Piccadilly.
- Robię, co muszę - odpaliła. - Właśnie ty powinienes to najlepiej rozumieć.
- A kto powiedział, że nie rozumiem? Wołałbym, abyś nie wyciągała pochopnych wniosków - upomniał ją.

Octavia milczała przez chwilę, po czym odezwała się:

- Nic na to nie poradzę, że wyciągam pochopne wnioski, skoro wszystko okryte jest tajemnicą. Jakaż to propozycja, milordzie?

- Wszystko w swoim czasie - odparł, skręcając przez Stanhope Gate do Hyde Parku.

W parku roiło się od powozów, jeźdźców i pieszych przechadzających się w mroźnym powietrzu, zajętych podstawową czynnością towarzystwa, jaką jest widzieć innych i być widzianym.

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, ona także należałaby do tego eleganckiego tłumu, pomyślała Octavia z goryczą. Zadebiutowałyby w towarzystwie, bywałyby, wyszłyby dobrze za mąż i byłyby to jej świat.

- Jak rozumiem, twój ojciec stracił majątek, zanim zostałeś przedstawiona w towarzystwie? - powiedział jej towarzysz, wykazując po raz kolejny tę niezwykłą umiejętność dostrajania się do jej myśli.

Octavia wzruszyła ramionami.

- I tak nie sądzę, żeby mi się to podobało.
- Kłamczucha - wypowiedział to oskarżenie łagodnym tonem. - Ile masz lat, Octavio? Dwadzieścia jeden, dwa?

- Dwadzieścia dwa - odparła. - Towar na wystawie - zaśmiała się, ale bez wesołości.

- Wątpię, czy byłabyś szczęśliwa, mając jakiegoś trzpiota za męża - zauważył Rupert, uchylając kapelusza na widok jakiejś damy na ścieżce obok drogi. Dama dygnęła w odpowiedzi. - Zbyt lubisz swoją niezależność, panno Morgan, jak na uległą żonę typowego męża.

Octavia zastanawiała się, czy ma to być komplement, czy krytyka, było jednak w tym stwierdzeniu coś z prawdy.

- Masz ogromnie wielu znajomych - stwierdziła. - Nadzwyczaj wielu jak na rozbójnika, jeśli mogę się wyrazić tak śmiało - dodała rezolutnie.

Parsknął śmiechem.

- Ale tutaj, panno Morgan, nie jestem bardziej rozbójnikiem niż ty złodziejką.

Ściągnął wodze na brzegu Serpentine koło niewielkiej, drewnianej chaty, w której oferowano czekoladę i kasztany pieczone na ruszcie. Nieopodal stało kilku chłopaków chętnych odprowadzić konie łyżwiarzy, którzy śmigali i tańczyli na lodzie przy dźwiękach *Greensleeves* granej przez

cygańską orkiestrę.

Rupert wyskoczył z faetonu z parą drewnianych łyżew w ręce.

- Pozwól, panno Morgan.

Stojąc obok powozu, zręcznie przypiął łyżwy do podeszew jej trzewików, po czym uniósł ją w górę. Z łatwością postawił ją na lodzie, cały czas trzymając w talii, dopóki nie złapała równowagi.

- Powiedz, kiedy poczujesz się pewnie.

Octavia stała przez chwilę, starając się wyczuć łyżwy, po czym w odpowiedzi zaśmiała się triumfalnie. Wywinęła mu się z rak i odjechała od niego długim ślizgiem na jednej nodze, który wyniósł ją prawie na środek lodowiska.

Wirując, machała do niego, kiedy siedział na brzegu, przypinając swoje łyżwy.

Śmigając po lodzie, przypominała mu kanarka wypuszczonego z klatki, a gdy podjechał bliżej, słyszał jej radosny śmiech.

- Czyż to nie cudowne!

Jej oczy błyszczały, policzki poróżwiały z zimna, wargi rozchyłały się w olśniewającym uśmiechu.

Wstrząsnął nim przyływ pożądania, który szarpnął nim gwałtownie. Zapragnął jej z tak niepohamowaną nagłością, jakiej nie odczuwał nigdy wobec żadnej kobiety. Ale chciał jej właśnie takiej, przebudzonej i roześmianej, jaśniejącej czystością fizycznego doznania, a nie bezwolnie poddającej się dyktatowi zmysłowego transu.

Uchwyciła wyraz jego twarzy i jej śmiech zamarł, ale twarz pozostała otwarta i ożywiona, wargi rozchylone, oczy nadal lśniące, teraz jednak rozświetlone innym blaskiem pasującym do tego, co sam czuł. Rozejrzała się po pełnym ludzi lodowisku z jakąś desperacją, jakby również ogarnięta nagłym pragnieniem, które domagało się natychmiastowego zaspokojenia.

- Chodź, odjedźmy dalej od tego tłumu - powiedział ochryłym głosem, przecinając niewidzialną nić napięcia między nimi. - Chcę, żebyś wysłuchała tego, co mam ci do powiedzenia, bez przeszkód.

Wziął ją za rękę i pociągnął wokół stawu ku mniej zatłoczonemu miejscu.

Teraz wiedziała, że zgodzi się na wszystko, co on zaproponuje. Dała się ponieść nieustępliwej fali natchnienia, jak rozbitek, którego fala rzuci na niewiadomy brzeg. Sama już nie wiedziała, kim jest, wiedziała tylko, że musi uniknąć upiornej teraźniejszości i równie ponurej przyszłości, w jaką się ona przekształci. Musi uchwycić rzuconą jej linę ratunkową albo utonąć w odmętach beznadziei.

- Więc? - zachęciła go, robiąc zgrabny obrót, żeby znaleźć się z nim twarzą w twarz. - Jaką masz propozycję, lordzie Rupercie?

- Małżeństwo - powiedział po prostu. - Towarzyskie oszustwo umożliwiające tobie zemstę nad ludźmi, którzy zrujnowali twojego ojca, a mnie zemstę nad moim wrogiem.

Octavia otworzyła usta ze zdumienia. Jeśli cokolwiek się spodziewała, to przecież nie tego.

- Co rozumiesz przez towarzyskie oszustwo?

- Cóż, oczywiście nie sugeruję, że rzeczywiście zawrzemy związek małżeński - powiedział tak, jakby to był pewnik. - Zaprezentujemy się tylko w towarzystwie jako świeżo poślubiona para. Mam wystarczające środki, żeby to urządzić: dobry dom, służba, powozy... A wtedy każde z nas weźmie odwet.

Blask i uśmiech zniknął teraz z jego twarzy, jego oczy przybrały ten arktyczny odcień szarości, który widziała już przedtem, wyraz twarzy przypominał maskę.

- Kto... kto zasłużył sobie na twoją zemstę? - spytała z wahaniem.

- Mężczyzna... mężczyzna odpowiedzialny za nieporozumienie, które sprowadziło mnie na gościniec - powiedział zwięźle. - Nie musisz wiedzieć nic więcej. Twoim zadaniem będzie dobrać się do jego kieszeni. Przedmiot, który ukradniesz, znajduje się gdzieś blisko jego ciała, będziesz więc musiała wejść z nim w zażyłość. Jeśli trzeba, będziesz musiała go uwieść... Nie przypuszczam, żeby sprawiło ci to trudność. To mężczyzna, co do którego można mieć pewność, że pożąda tego, co należy do kogoś innego... mężczyzna, którego próżność jest tak wielka, że awanse pięknej, ponętej kobiety nie wzbudzą w nim podejrzeń.

Octavia słyszała jad w jego głosie, a jego chłód zmroził jej krew w żyłach.

- Muszę go uwieść? - spytała z wolna, starając się ogarnąć konsekwencje takiej sugestii. -

Chcesz, żebym spała z tym mężczyzną?

- Tak, jeśli okaże się to konieczne, byś mogła zabrać mu przedmiot, który jest mi niezbędny do osiągnięcia celu - potwierdził z chłodną obojętnością. -Gdzieś przy sobie ma przez cały czas pewną maleńką obrączkę. Obrączkę, która pasuje na palec niemowlęcia. Ukradniesz tę obrączkę.

- Ale skąd masz pewność, że zawsze ją ma przy sobie? - spojrzała na niego zmieszana.

Wiedział, ponieważ sam miał przy sobie swoją. Philip będzie posłuszny tej samej tradycji Wyndhamów - można to nazwać przesądem - nakazującej, by właściciel nie rozstawał się z obrączką, dopóki nie założy jej na palec swojemu synowi, a w przeciwnym razie, by zabrał ją ze sobą do grobu.

- Jestem tego pewien - stwierdził ze spokojem.

A potem, kiedy już będzie miał obrączkę, która pasuje do jego obrączki, lord Rupert Warwick zrobi następny krok i ujawni się jako Cullum Wyndham, prawowity hrabia Wyndham. Philip będzie zniszczony, jego duma rozsypie się w proch, jego wpływy jak popiół rozwieje wiatr.

- Kazesz mi spać z tym mężczyzną? - powtórzyła Octavia powoli, chwytając się tego jednego, co było choć trochę zrozumiałe w całej tej niepojętej rozmowie.

Spojrzał na nią, skupił na niej nieobecny dotąd wzrok.

- W zamian za co ja doprowadzę do ruiny ludzi, którzy zrujnowali twojego ojca i zwrócę wam wasz majątek.

- Ale jak tego dokonasz?

- To wyjaśnię później, kiedy już urządzimy scenę dla naszego przedstawienia. Ale możesz być pewna, że to zrobię i kiedy już ta sztuka dobiegnie końca, majątek i posiadłość wrócą do ciebie i twojego ojca.

To nie mieściło się w głowie. Jakikolwiek mógł mieć plan, aby wywiązać się z tak absurdalnej umowy, cały pomysł był nie do przyjęcia. Jak mogłaby z rozmysłem, podstępnie usidlić obcego mężczyznę i spać z nim?

- A to... to małżeństwo? - Uchwyciła się słabo innego wątku, który wymykał się jej pojmowaniu.

- Kiedy już nie będzie nam potrzebne, rozstaniemy się - powiedział lekko. - Ty dostaniesz to, czego szukasz, i ja dostanę to, czego szukam. Stworzymy pewną fikcję, byś mogła żyć, jak chcesz.

- Chcesz, żebym odegrała dziwkę - stwierdziła po prostu. Nagle był to jedyny prosty fakt. Rozbójnik próbował ją kupić, tak jakby kupował dziwkę. Ale nie dla swej uciechy, a jako narzędzie dla osiągnięcia własnego celu.

- Moja droga, w tym świecie takie związki są powszechne, a kobiet, które je praktykują, nie nazywa się dziwkami - odparował. - Proszę cię, byś postąpiła tak, jak postępowały przed tobą i postąpią po tobie niezliczone kobiety. Twój umysł i uczucia nie będą w to zaangażowane.

A co z jej ojcem? Gdzie było jego miejsce w całym tym planie? Ale prawdopodobnie rozbójnik wcale nie pomyślał o Oliverze Morganie. Co więcej, w tym momencie nawet jej samej rola ojca wydawała się bez znaczenia.

Octavia odwróciła się od lorda Ruperta, aby ukryć mieszane uczucia malujące się na jej twarzy. Jej głos dla niej samej zabrzmiał obco, kiedy spytała:

- A co z nami? Z tym fałszywym małżeństwem? Czy ono również nie będzie wymagać zaangażowania umysłu i uczuć?

Milczał przez chwilę, po czym powiedział sucho:

- W to wątpię.

Kiedy nie odezwała się, tylko trwała na wpół odwrócona od niego, kontynuował spokojnym, rzeczowym tonem:

- Ale jeśli wolisz grać rolę mojej żony tylko z nazwy, uszanuję to.

- A czy ty byś tak wołał? - Wciąż nie patrzyła na niego.

- Nie - zaprzeczył żarliwie. -Nie, tego bym nie chciał.

Położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie obrócił ją ku sobie. Jego oczy były teraz łagodne, usta uśmiechnięte. Ujął jej policzek dłonią w rękawiczce.

- Jeśli tamta noc sprawiła ci radość, Octavio, przysięgam, słodczy, że była niczym w porównaniu z tym, co możesz przeżyć.

Octavia przełknęła ślinę, czując jak topnieje pod wpływem aksamitnego ciepła jego głosu, ognia

w jego oczach, zmysłowej obietnicy jego słów.

- Możemy dzielić ze sobą to wszystko, a jednocześnie zemścić się na naszych wrogach. I zrobić głupców ze wszystkich próżnych pozerów, idiotów, którzy nie widzą rzeczywistości poza cukierkowym światem, jaki sami stwarzają.

Wtem roześmiał się i napięcie prysło.

- Czy chcesz dać im nauczki, panno Morgan?

Obejrzała się za siebie, na barwny tłum łyżwiarzy w ich futrach i aksamitach, pewnych, że pożywienie, ciepło i wszelkie rozkosze przeznaczone są dla nich, że tylko brać. Zobaczyła dzieci, bose w zamrożonych rynsztokach, z oczami zapadłymi w wynędzniałych twarzach. Kobiety pelzające w błocie, tulące do piersi pustą butelkę po dżinie i zaniedbane niemowlęta płaczące na ziemi obok nich.

Ona i rozbójnik znali tę drugą twarz Londynu. Dirk Rigby i Hector Lacross zadbali o to, by ona i jej ojciec poznali z bliska tę twarz na całą resztę życia.

To, co proponował rozbójnik, było absurdalne. Szaleńcze. Ale jeśli mogło się udać...? Och, gdyby mogło się udać, byłaby to przygoda zmierzenia się z fantazją.

Ale jeśli okaże się konieczne, czy zdobędzie się na to, by z zimną krwią uwieść nieznanego mężczyznę?

Dla takiego celu i takiej przygody? Tak, to oczywiste, że będzie umiała. Tamta Octavia Morgan, która do takiej perspektywy odniosłaby się z odrazą dawno już straciła tego rodzaju delikatność. Był to luksus, na który nie mogła sobie pozwolić od trzech lat. Poza tym nie była już dziewicą. A dla kobiety, która bez przerwy ryzykuje, ograbiając cudze kieszenie, by przeżyć, zwykłe uwiedzenie jest niczym. Nie grozi jej za to stryczek... jeśli, oczywiście, nie zostanie złapana na kradzieży obrączki.

Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. Ten scenariusz nie przewidywał tłumu, w którym mogłaby się ukryć.

Ale czemu miałyby zostać złapana? Jest na to za dobra. Zbyt zręczna i szybka. Nikt jej nie złapie.

A kiedy już będzie po wszystkim... och, kiedy już będzie po wszystkim, czeka ją odzyskanie majątku i znów przyszłość warta, by żyć.

Rupert przyglądał się, jak myśli odzwierciedlają się na jej wyrazistej twarzy i z łatwością odczytywał je, jakby były zapisane w książce. Głośne wyrażenie przez nią zgody było zbędne.

- Czy znasz nazwiska ludzi, którzy okradli twojego ojca? - spytał po chwili.

- Ludzi? - spytała pogardliwie. - To świnię.

Z powagą skinął głową uwzględniając tę poprawkę.

- Znasz nazwiska tych świń?

- Dirk Rigby i Hector Lacross. Znasz ich?

- Należą raczej do świty księcia Walii - odparł. - Znam ich na tyle, że kłaniamy się sobie w salonach. Ale pogłębienie znajomości nie powinno nastęrczać trudności. Czy oni znają ciebie?

Octavia pokręciła głową.

- Nie było mnie, kiedy podeszli mojego ojca, wywarli na nim korzystne wrażenie...

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze. O wiele lepiej, że cię nie znają- stwierdził Rupert zdecydowanie. - Chodź, zaczynasz marznąć. Jedźmy z powrotem w tłum. Chciałbym pokazać ci twoją zwierzyńnię.

Octavia na moment przypomniała sobie, gdzie jest.

- Ale co zrobimy z moim ojcem, kiedy będziemy zajęci naprawianiem świata?

- Obłożymy go książkami, w cieple i bezpieczeństwie - oświadczył rozbójnik pogodnie. - Cokolwiek uznasz za stosowne mu powiedzieć, poprę cię w całej rozciągłości.

Octavia wiedziała doskonale, że ojciec nie będzie zadawał niewygodnych pytań, aby nie usłyszeć odpowiedzi, które mogłyby mu się nie spodobać. Przyjmie zmianę warunków bytowych ze zwykłą sobie beztroską, przynajmniej tak to będzie wyglądało.

A więc to tak. Zawarli szalony, fantastyczny kontrakt. Jej życie miało się zmienić ponad wszelkie wyobrażenie, a nic nie wskazywało na to, że jest to tak doniosła chwila. Nie padły żadne uroczyste słowa.

Wziął ją za rękę i jechali z powrotem w stronę, gdzie lodowisko było szersze i gdzie ślizgali się łyżwiarze należący do modnego świata. Spojrzała z ukosa na jego twarz, ale nie dostrzegła na niej zmiany. Spodziewała się ujrzeć jakieś demoniczne skrzywienie ust wyrażające satysfakcję czy coś

w oczach, ale na jego twarzy jak zwykle malował się chłodny spokój, a na wargach igrał kpiący uśmieszek.

- Tam - powiedział cicho. - Widzisz wysokiego, szczupłego dżentelmena z jasnymi lokami w aksamitnej pelerynie koloru burgunda? To człowiek, który mieni się hrabią Wyndham.

- Mieni się? - Octavia spojrzała bystro na swojego towarzysza. - Chcesz powiedzieć, że nim nie jest?

- Nie, nie jest - odrzekł hrabia Wyndham spokojnie. - Ale dla celów twojej gierki uznasz ten tytuł.

Cóż to za tajemnica? Octavia spojrzała w dal, na mężczyznę, którego miała uwieść i okraść. Jeździł na łyżwach z wyraźnym wdziękiem, jego wiotka postać poruszała się elegancko, okrążając partnerkę. Nie miał kapelusza, a jego nieupudrowane włosy, wspaniała burza złocistych loków, zebrane były na karku szkarłatną wstążką. Był zbyt daleko, aby mogła wyrobić sobie jakieś wyobrażenie o nim poza samym wrażeniem czystego wdzięku i niezaprzeczalnej elegancji.

- Kim on jest dla ciebie? - spytała, nieświadomie zniżając głos do szeptu.

- Moim wrogiem.

Takie zwięzłe, lakoniczne stwierdzenie nie pozostawiało miejsca na dalsze pytania, mimo to spróbowała.

- I nie zamierzasz mi powiedzieć, jak cię skrzywdził.

- Nie musisz tego wiedzieć.

Octavia zamilkła, przyglądając się przez dzielącą ich przestrzeń człowiekowi, który mienił się hrabią Wyndham. Włosy na karku zjeżyły się jej, dreszcz przeszedł po plecach, ale nie był to dreszcz zimna.

Podniecenie czy niepokój, sama nie wiedziała. Jednak w tym momencie oba te uczucia były nierozzerwalnie ze sobą związane.

7

Chodźmy, przypieczętujemy nasz kontrakt.

Spokojny głos lorda Ruperta zabrzmiał jak dźwięk cymbałów wdzierający się w ciasny krąg jej myśli.

- Obiecałem ci obiad - przypomniał.

Teraz był uśmiechnięty, usta pozbawione były kpiarskiego skrzywienia, a Octavia na widok blasku w jego oczach poczuła miękkość w kolanach.

- Gdzie? - zapytała stłumionym głosem. Odchrząknęła i powtórzyła pytanie. - Gdzie będziemy jeść obiad?

- Cóż, to już zależy od ciebie, panno Morgan. - Blask w jego oczach stał się jeszcze głębszy. - Jestem pewien, że moglibyśmy nieźle zjeść na Piazza, jeśli miałabyś ochotę. Potem odwiózłbym cię do Shoreditch. Z tym że - kontynuował tonem zastanowienia - twoją suknię trudno uznać za szczyt elegancji, a Piazza upodobało sobie towarzystwo. Nic bardziej niezręcznego, niż czuć się źle ubranym w takiej sytuacji. Oczywiście zawsze możesz zostać w pelerynie... ale wtedy jedzenie obiadu mogłoby być dość niewygodne, nie uważasz?

- Mogłoby - mruknęła Octavia zgodnie, czekając, aż to męczące rozumowanie znajdzie swoją pointę. Lord Rupert zapewne już zaplanował ten wieczór, a ta pozorna chęć zasięgnięcia jej opinii nie jest niczym więcej jak tylko grą.

- Oczywiście mamy mnóstwo spraw do omówienia - ciągnął. - Szczegóły i tym podobne. Może łatwiej byłoby to zrobić w bardziej odosobnionym miejscu niż zatłoczona jadłodajnia na Piazza.

- Z pewnością masz rację - grzecznie zgodziła się Octavia. - Co sugerujesz, milordzie?

Pomasował się po brodzie, marszcząc brwi z namysłem, jakby poważnie rozważał wiele możliwości.

- No cóż, sugerowałbym Pod Królewskim Dębem - powiedział w końcu. - Mielibyśmy tam zagwarantowaną prywatność, a ja mogę ręczyć za obiad.

- Ale może mi być trudno wrócić potem do domu - zauważyła Octavia z troską. - Będzie bardzo późno, żeby jechać z Putney do Shoreditch, a potem, rzecz jasna, ty jeszcze musiałbyś jechać z powrotem.

~ Ano właśnie - powiedział, kiwając głową. - Tak, z pewnością należy to wziąć pod uwagę.

- Oczywiście papa będzie prawdopodobnie spał do rana, a pani Forster zatroszczy się o niego, kiedy się obudzi... więc zawsze mogę zostać na noc Pod Królewskim Dębem. - Octavia zastanawiała się z równie udawaną rozważą. - To mogłoby być wyjście, nie uważasz?

- Mogłoby - zgodził się. - Czy zechciałabyś tak uczynić, madame?

- Jeśli takie rozwiązanie mogłoby służyć również w jakimś sensie mojej edukacji, można powiedzieć, że upieklibyśmy dwie pieczenie przy jednym ogniu - mruknęła Octavia, nie odrywając oczu od wzoru, jaki rysowała na lodzie czubkiem łyżwy.

- Och, to mogę zagwarantować - oświadczył lord Rupert. - To byłby ze wszech miar pożytecznie spędzony czas.

- Pożytek jest istotną kwestią, kiedy planuje się tak wielkie przedsięwzięcie, panie.

- Otóż to.

Octavia podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. Na chłodnej, szarej powierzchni jego oczu tańczył uśmiech, ale pod tą powierzchnią kolor gęstniał, jakby patrzyła w głębię studni bez dna.

- W takim razie uważam, panie, że Pod Królewskim Dębem będzie najlepszym rozwiązaniem. Skłonił się z kurtuazją.

- Trafna decyzja, madame.

- I doszłam do niej całkowicie samodzielnie - mruknęła Octavia, jadąc za nim do skraju

lodowiska.

Spojrzał na nią przez ramię i oznajmił beztrząsco:

- Bądź spokojna, madame, że zawsze dążę do porozumienia, kiedy chodzi o podjęcie ważnej decyzji.

- Jestem całkiem spokojna, panie.

Usiadła na brzegu, żeby odpiąć łyżwy, mając świadomość, że jej rozpalone policzki przeczą temu zapewnieniu. To przekomarzanie się ożywiło ją i podnieciło w sposób, jakiego nigdy jeszcze nie doznała. Była w stanie myśleć tylko o obiecanej lekcji, o odzyskaniu radości ze snu, tym razem jednak z umysłem uczestniczącym w rozkoszy na równi z ciałem.

Kiedy wzięwszy ją za rękę, pomógł jej wstać, moc jego palców sprawiła, że znów poczuła miękkość w kolanach i zachwiała się, jakby nogi nie potrafiły utrzymać jej ciężaru.

On objął ją w talii i na moment przygarnął do siebie, a od jego bliskości i zapachu zakręciło się jej w głowie. Ze stłumionym okrzykiem uwolniła się i poszła w stronę faetonu upokorzona tą niedorzeczną słabością, tym nadzwyczajnym pobudzeniem nerwów. Ktoś mógłby pomyśleć, że jest jakąś słabowitą, omdlewającą dziewczicą, która potrzebuje soli trzeźwiących.

Wsiadła sama do faetonu, zanim lord Rupert zdążył zaoferować jej pomoc. Usiadła sztywno wyprostowana, owinięta peleryną, z dłońmi złożonymi na kolanach i z pozornym zainteresowaniem utkwiała wzrok w scenie rozgrywającej się na stawie.

Rupert nie powiedział nic, rzucił jej tylko spojrzenie z ukosa, spod półprzymkniętych powiek, nie mogła więc odczytać wyrazu jego oczu. Niemniej jednak czuła, że on nie tylko wie, co się wydarzyło, ale jest tym rozbawiony. Jej poczucie zażenowania narastało, gdyż to dziwne, dręczące pragnienie nie zamierzało ustąpić. Wreszcie zaczęła się zastanawiać, czy rzuci się na niego, kiedy tylko zostaną sami, zdzierając z niego ubranie i krzycząc z prymitywnej żądzy.

Absurd! Owinęła się ciasniej peleryną i odsunęła na sam skraj ławeczki. To wszystko byłoby oczywiście mniej upokarzające, gdyby jej towarzysz doświadczał takich samych popędów, ale w to jakoś wątpiła. Brały się one, była o tym przekonana, z jej braku doświadczenia, a lord Rupert Warwick był zbyt spokojny i opanowany, zbyt doświadczony w tej dziedzinie, aby ulegać przyływowi niepoohamowanych, nieposkromionych emocji.

- Jeśli posuniesz się jeszcze choćby o centymetr, spadniesz - zauważył lord Rupert. - Czyżbym zajmował zbyt dużo miejsca?

- Nie... ależ oczywiście, że nie - zaprzeczyła Octavia pospiesznie. - Nie chciałam tylko ci wchodzić pod ramię... mogłoby ci to utrudnić kierowanie końmi... albo... albo coś - zacięła się na amen, ze splonioną twarzą.

- Bardzo to troskliwe z twojej strony - mruknął. - Ale zapewniam cię, że nie ma najmniejszych powodów do obaw. - Chwytał wodze prawą ręką, a lewą objął ją w talii i przyciągnął do siebie po ławeczce, dopóki nie znalazła się tak blisko, że jego ramię ocierało się o jej policzek. - Uważam, że tak będzie nieco przyjaźniej.

- Ale mało przyzwoicie - powiedziała, próbując siedzieć sztywno wyprostowana pomimo obejmującego ją ramienia.

Rupert parsknął śmiechem.

- Być może, ale przyzwoitości nie mamy dziś w planie.

Octavia wydeła wargi i milczała, dopóki nie odzyskała w pewnym stopniu równowagi. Wtedy zmieniła temat, mając nadzieję, że dzięki temu skupi się na czymś innym niż erotyczne fantazje.

- Myślałeś już, gdzie powinniśmy zamieszkać, żeby odegrać tę maskaradę?

- Wynająłem wygodny, umeblowany dom przy Dover Street.

Zmiana tematu podziałała jak zakłęcie. Octavia była tak zaskoczona, że wszelka myśl o czekających ją nieprzyzwoitych godzinach przysła. Wyszarpnęła się otaczającemu ją ramieniu i tak gwałtownie odsunęła się na skraj ławeczki, że omal nie spadła.

- Już? Ale... ale skąd mogłeś wiedzieć, że się zgodzę?

Rupert cofnął ramię i w obu rękach trzymał teraz lejce.

- Byłem optymistą.

- Zbyt wiele sobie przypisujesz, panie - stwierdziła lodowato.

- Czyżby? - Zerknął na nią z jawnym rozbawieniem. - Przestań zadzierać nosa, Octavio. Już mówiłem, że jesteśmy z jednej gliny. Mogłem się domyślić twojej reakcji równie łatwo, jak gdyby

przyszło mi przewidzieć, jak sam zareagowałbym na taką propozycję...

- Och, ty arogancki, impertynencki... - zamilkła, ale to milczenie pełne było gromów.
- Zapomniałaś języka? - spytał, z niedowierzaniem unosząc brew. - Nie myślałem, że doczekam takiej chwili.
- To szaleństwo! - wybuchła Octavia. - Nie cierpię cię! Co ja tu robię?
- Och, myślę, że doskonale znasz odpowiedź - odparł i pognął konie. Zjechali z mostu Westminsterkiego w spokojniejsze obszary na południowym brzegu rzeki. - Jesteś równie chętna pobrać pewne lekcje, jak ja jestem chętny ci ich udzielić, słodczy. I pałasz żądzą zemsty tak samo jak ja. Skończmy więc z tym udawaniem... przynajmniej, kiedy jesteśmy sami.
- Jak na domniemanego arystokratę wykazujesz wybitny brak finezji - oświadczyła Octavia.
- Wierzę w prostotę słów - powiedział. - Jestem prostym, szczerym człowiekiem, moja droga. Jeśli moja otwartość cię obraża, proszę o wybaczenie, ale obawiam się, że nie potrafię zmienić nawyków całego życia.
- Jakie to było życie?
- Może kiedyś ci powiem.
- Ty znasz moją historię, czemu ja nie miałabym poznać twojej?
- Ponieważ ja wolę ci nie mówić.
- Mamy mieszkać pod jednym dachem, knuć wspólnie ten spisek, a ty spodziewasz się, że będę ci posłuszna, nic o tobie nie wiedząc... nie wiedząc, co cię do tego doprowadziło? - powiedziała z bezsilnym oburzeniem. - Nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywasz. Lord Nick... lord Rupert Warwick? To wszystko fałsz, prawda?
- Tak.

To proste potwierdzenie odebrało jej mowę. Siedziała obok niego niezdolna pomyśleć o niczym, co mogłaby powiedzieć, aby zachwiać choć trochę tę irytującą pewnością siebie swojego towarzysza. Jego twarz łatwo przybierała wyraz cynizmu, braku złudzeń co do świata, jednocześnie emanował jakąś nieokreśloną władczą aurą, której, o czym wiedziała, nie potrafiłaby się oprzeć. Zagarnął ją w swoje życie, uczynił ją częścią swoich planów, ale tam, gdzie sama postrzegała siebie jako stanowiącą o sobie, podejmującą decyzje jednostkę, on traktował ją za ledwie jako pomoc, użyteczne narzędzie, które da się odpowiednio ukształtować.

Powoli zapadał zimowy zmierzch, w mijanych domostwach pojawiły się światła. Jej towarzysz nie wykazywał ochoty, by przerwać milczenie, choć jej niemy gniew unosił się wokół faetonu jak rój niewidzialnych szerszeni.

Octavia zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu, że tym razem pomylił się w ocenie sytuacji, że ona nie chce uczestniczyć w jego planach na tych warunkach, że powinien zawrócić zaprzęg i odwieźć ją z powrotem do miasta.

Zastanawiała się, czy tego nie powiedzieć, ale nie powiedziała.

Światła Pod Królewskim Dębem świeciły jasno w gęstniejącym zmroku i znów Ben z niezgrabnym wyrostkiem pojawili się, by ich powitać, kiedy Rupert ściągnął wodze pod skrzypiącym na wietrze szyldem.

- Ej, nie spodziewaliśmy się ciebie tak wcześnie, Nick - powiedział Ben, kiedy rozbójnik zeskoczył na ziemię. - Widzę, że znów przywiozłeś panienkę.
- Też się nie spodziewałem, Ben - zgodził się Rupert radośnie, odwracając się do Octavii, by ją zestawić na ziemię. - Mamy pewne ważne sprawy do omówienia i wydaje się, że to jest najspokojniejsze z miejsc, gdzie moglibyśmy to zrobić.
- A pewnie. - Ben parsknął śmiechem. - Już my Pod Królewskim Dębem wiemy wszystko o takich ważnych sprawach.

Octavia stała nieruchomo w żółtym świetle lampy padającym z otwartych drzwi. Założyła ręce i spiorunowała wzrokiem szczerzącego się od ucha do ucha właściciela zajazdu.

- Wątpię, żebyś wiedział cokolwiek, Ben. Co ja tu robię, to nie twój interes i będę wdzięczna, jeśli zachowasz swoje uwagi dla siebie.

Co powiedziawszy, obróciła się na pięcie i weszła do zajazdu. Jeśli nie mogła wygrać bitwy z rozbójnikiem, mogła przynajmniej pokazać ludziom w tej złodziejskiej melinie, że jest kimś więcej niż jedną z zabawek ich uwielbianego Lorda Nicka.

- Ech, ostry język, bez dwóch zdań - powiedział Ben, nie przestając się szczerzyć, najwyraźniej niespeszony reprimendą Octavii. Rupert wzruszył tylko ramionami i podążył za nią.

Z kuchni wyszła Bessie z twarzą zaczerwienioną od ognia, przygotowywała bowiem comber sarni na rożnie. Ignorując Octavię, przywitała Nicka skinieniem głowy.

- Lepiej siądź przy ogniu w szynku, Nick, póki twój salon się nie nagrzej. Tab dopiero co rozpalila. Nie spodziewaliśmy się ciebie przed wieczorem.

- Nie szkodzi - powiedział Nick. - Wypiję kufel piwa, a panna Morgan poprosi o kieliszek madery.

Popchnął Octavię do zatłoczonego szynku pod wrogim spojrzeniem Bessie.

Octavia zastanawiała się, ilu z obecnych klientów szynku było tu w czasie jej ostatniej wizyty i jej wzrok mimowolnie omiółł długi, wspólny stół pośrodku izby, a policzki zapłonęły rumieńcem.

Zewsząd rozległy się głośnie powitania, na które Rupert odpowiadał wesoło, prowadząc Octavię do miejsca przy palenisku. Jeśli spostrzegł jej zażenowanie, nie dał tego po sobie poznać, poza tym że traktował ją z pełną szacunku kurtuazją odmienną od jego zwykłego sposobu bycia.

- Pozwól, że wezmę twoją pelerynę, madame. - Rozpiął ją, nie czekając, aż zrobi to sama i zsunął jej z ramion. - Proszę, siądź i się ogrzej. Tab wnet przyniesie ci kieliszek madery.

Zapadła cisza, w której wyczuwało się ciekawość. Octavia czuła, że na niej skupiają się wszystkie spojrzenia. Odwróciła twarz do ognia, udając, że grzeje ręce. Po chwili podjęto przerwane rozmowy, a jej skóra przestała cierpieć od spojrzeń setki oczu.

Rupert podał jej kieliszek madery i stanął obok, plecami do ognia, odgradzając ją częściowo od reszty izby. Ta niespodziewana dbałość sprzyjała złagodzeniu jej wzburzenia. Rozluźniła się, oparła o twarde, dębowe oparcie siedziska i sącząc wino, wyciągnęła stopy w kierunku ognia.

- Ej... jest tu Nick? - Ochrypliły głos przedarł się gwałtownie przez szmer rozmów. Octavia spojrzała bystro i spostrzegła, że Rupert nagle stężał.

- Ano, Morris - powiedział. - Jestem tutaj. Masz coś do mnie?

- Jak nic.

Octavia zerknęła ku drzwiom, w których stało indywiduum o wyglądzie złoczyńcy. Mężczyzna owinięty był zrudziałą peleryną zarzuconą na chłopską koszulę, na głowie miał słomianą czapkę, a w dłoni trzymał fajkę z kolby kukurydzy.

- Kwaterkę twojego najlepszego, Bessie - zawołał nowo przybyły, wchodząc do izby. - Na rachunek Lorda Nicka.

Rupert podszedł do Morrisa i ruchem głowy wskazał drzwi.

- Wyjdź na zewnątrz, Morris.

- Ej, tam zimno jak diabli - burknął przybysz, chwytając za kufel, który Bessie pchnęła w jego stronę po szynku. Zagłębił w kuflu nos i pił głośno, a kiedy skończył, otarł wąsy z piany wystrzępionym rękawem. - Zechcesz wiedzieć, co słyszałem Pod Dzwonem i Księżą,

- Na zewnątrz! - głos Ruperta był jak trzask bata. Zerknął na Octavię, która przyglądała się tej scenie z nieskrywaną ciekawością po czym wyszedł z szynku. Morris osuszył kufel do dna, z rozmachem odstawił go na szynkwias i powłókł się za nim.

- Zachodzę w głowę, skąd Morris bierze swoje informacje - oświadczył Ben całej izbie. - Fakt, że zawsze przychodzi z tym czy owym. Nick mówi, że to najlepszy informator... nie traci czasu na nic, co nie jest grubą okazją.

O czym, u diabła, oni mówią? Octavia skuliła się na swoim siedzisku szczęśliwa, że o niej zapomniano w ferworze dyskusji. Jakiego rodzaju informacje Rupert uważa za cenne?

Jej rozmyślenia przerwał powrót tego, który był ich obiektem. Sprawiał wrażenie zaprzątniętego czymś, czoło miał zmarszczone.

- Tab zapewnia, że salon jest gorący jak grzanka- powiedział. - Możemy pójść na górę?

Octavia wstała, zapominając o tajemniczym Morrisie, ogarnięta przemożną chęcią opuszczenia pełnego ludzi szynku jak najszybciej.

- Przyślę ci obiad na górę za pół godziny, Nick - zapowiedziała Bessie z za szynkwiasu, nadal ignorując towarzyszkę rozbójnika. - Mam zacny comber sarni, ozór i półmisek minogów. Na co masz ochotę?

- Och, na wszystko, jeśli jesteś tak dobra - odparł Rupert beztrąsko. - Oboje jesteśmy wściekle głodni.

Przepuścił Octavię przodem na schody prowadzące do jego salonu.

- Czy Bessie jest zawsze nieuprzejma dla twoich gości? - chciała wiedzieć Octavia.

- Możesz mi wierzyć lub nie, moja droga, ale poza tobą nie miałem innych gości - powiedział,

napełniając dwa kielichy maderą.

- Wielkie nieba, jestem zaszczycona. - Wzięła kielich, który jej podał. - Byłam pewna, że musi się tu pchać cały tłum niewiast dyszących pragnieniem, by zwrócił na nie łaskawe oko taki sławny rozbójnik. Istny kapitan Macheath.

Rupert przyglądał się jej w zamyśleniu znad brzegu swojego kielicha.

- Zdaje się, że znów źle zaczynamy. Jeszcze nie tak dawno gratulowałem nam obojgu osiągnięcia harmonii, która mogłaby się tylko pogłębić podczas tego wieczoru, a tu znów jesteśmy w wojowniczym nastroju... a przynajmniej ty jesteś. Gubię się w domysłach, jak mogło do tego dojść.

- Nie bądź taki niedomyślny, milordzie. Doskonale wiesz, jak do tego doszło. - Octavia usiadła w fotelu przy kominku. - Oczekujesz, że pozwolę ci sobą kierować, nie dając mi w zamian nawet strzępka informacji ani nie angażując mnie w najbardziej podstawowe aspekty tego szalonego planu. Może nie spodoba mi się ten dom na Dover Street, ale to nie będzie mieć dla ciebie znaczenia, prawda? Rupert przyglądał dłoń włosy z trudnym do określenia wyrazem twarzy.

- Czy w ogóle ma znaczenie, jaki jest ten dom? To tylko tymczasowe lokum. Usytuowany jest dobrze, ma przyzwoitej wielkości pokoje, umeblowanie jest bez zarzutu. Znajduje się tam apartament, który, jak sobie wyobrażam, doskonale będzie pasował dla twojego ojca - dodał. - W porównaniu z tym, gdzie przebywa obecnie, prawie wszystko jest lepsze.

Temu Octavia nie mogła zaprzeczyć. Zaczęła więc z innej strony:

- Nie sądzisz, że spodziewałby się uczestniczyć w ceremonii zaślubin swojego jedyne dziecko?

- Jest to pewna trudność - zgodził się. - Ale jestem pewien, że możemy sobie z nią poradzić. - Spojrzał na nią uważnie. - Nie utrudniaj dla samego utrudniania, Octavio. Albo zgadzasz mi się podporządkować w tej grze, albo zakończmy ją teraz. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli będziesz przeciwko mnie.

Octavia zapatrzyła się w ogień. Chociaż niechętnie, ale musiała przyznać, że to on wymyślił cały plan i rozsądnie byłoby, aby to on kierował jego realizacją. Raził ją tylko sposób, w jaki to robił.

- Popatrz na to w ten sposób - powiedział, podchodząc do niej i biorąc ją pod brodę, aby unieść w górę jej twarz. - Gdyby to małżeństwo nie było fikcją, byłabyś zobowiązana przez prawo i Kościół podporządkować się kierownictwu i władzy męża. W tej sytuacji jest tak samo, tylko powody są nie co inne.

W jego głosie pobrzmiwała drażniąca nuta, ale kiedy spojrzała mu w oczy, pod chłodną powierzchnią wirowały w nich mroczne prądy. Wytrzymała jej spojrzenie, a ona widziała swoje odbicie w ciemnych tęczęwkach i mogła sobie wyobrazić, jak wir tych prądów wciąga ją w głąb, jak zatracą się w przyływie namiętności, którą jego oczy obiecują.

- Jesteś przepiękna, Octavio Morgan. - Przesunął kciukiem po jej ustach. Twarz miał teraz poważną. - Zastanawiam się, czy wiesz, jaka jesteś piękna.

Octavia zdrzała, poddając się ciepłej słodyczy jego głosu i blaskowi rozświetlającemu oczy. Dotyk jego palców przenikał ją do głębi. Chwyciła go za nadgarstek, wyczuwając pod opuszkami palców mocne, równe tętno.

- Proś o pokój, Octavio - powiedział łagodnie. Skinęła głową.

- Pokój.

Z uśmiechem schylił się, by dotknąć ustami jej warg. Ogarnęło ją oszalamiające wspomnienie, ciało zbudziło się świadome tego doznania. Wdychała zapach jego skóry, znów smakowała słodycz ust, jej piersi naprężyły się, w łędźwiach poczuła żar. Zaciśnęła palce na jego przegubie i na wpół uniosła się z fotela, by jej ciało wiedzione instynktem mogło przywrzeć do jego ciała. Jakże nie w porę rozległo się pukanie do drzwi, a on przestał ją całować.

- Wszystko w swoim czasie, słodyczy - powiedział, odsuwając się od niej w naturalny sposób, kiedy weszła Tabitha.

Uśmiechnęła się do Octavii i dygnęła.

- Teraz będę nakrywać do stołu.

Przynajmniej jedna osoba w tej złodziejskiej melinie, która traktowała ją, jak należy. Octavia odwzajemniła uśmiech i oparła się w fotelu, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Zerknęła na zegar, czując się jak dziecko czekające niecierpliwie na obiecaną przyjemność niezdolne usiedzieć spokojnie, pytające co chwila: „Czy już czas?”

Siedziała na swoim miejscu, podczas gdy stawiano na stole obiad. Rupert, oparty o półeczkę nad

kominkiem, wdał się w miłą pogawędkę z Bessie i Benem.

- No. - Bessie z satysfakcją pokiwała głową, spoglądając na zastawiony stół. - I każe już rozpalić w twojej sypialni. Myślę, że niebawem zechcesz się tam udać. - Rzuciła srogie spojrzenie nieruchomej i milczącej Octavii.

Rupert nie odpowiedział, tylko lekko skinął głową i tamtych dwoje odeszło.

- Proszę do stołu, panno Morgan - powiedział, odsuwając dla niej krzesło. - Odważę się stwierdzić, że obiad Bessie przewyższa wszystko, do czego zdolna jest pani Forster.

- Pani Forster przyrządza bardzo smaczny pudding ze stekiem i nerką - odparła Octavia wyniośle, siadając przy stole. Uśmiechnęła się do niego, a on pogładził dłonią jej włosy.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się sprzeciwiać, jeśli rozplotę ci włosy. Zaskoczona dotknęła ciężkiego warkocza na ramieniu.

- Teraz?

- Tak - potwierdził rzeczowym tonem, zręcznie wyjmując szpilki. - No proszę, teraz o wiele lepiej.

Przezeszał palcami rdzawe loki, układając je na ramionach Octavii, po czym usiadł naprzeciwko.

- Czy coś jeszcze? - spytała Octavia, chroniąc się przed ponownie ogarniającym ją zawstydzeniem za tarczą ironii. - Może życzysz sobie, abym rozpięła suknię... albo zdjęła pończochy... a może...

- Wszystko to wkrótce - przerwał jej, nachylając się, by nalać wina. - Jeszcze się nie zdecydowałem, czy chcę, żebyś to zrobiła sama, czy wolę to zrobić ja.

- Piekło i szatani! - mruknęła Octavia, zanurzając łyżkę w półmisku minogów.

- Myślisz, że znów będzie padać śnieg? - zagadnął ją grzecznie lord Rupert.

- Oby nie - odparła głosem, w którym drżał śmiech. - Czy podać ci minogi?

- Bądź tak dobra. - Nałożywszy sobie, kontynuował: - Pomyślałem, że moglibyśmy pozornie zawrzeć nasz związek małżeński w sobotę, jeśli nie masz nic pilniejszego w planach.

Octavia przelknęła całego minoga.

- Och... hm, raczej nie mam, milordzie.

- Zatem moglibyśmy osiedlić się jako mąż i żona na Dover Street tego samego wieczoru.

- Tak - zgodziła się Octavia. Tak szybko! Nie ma czasu przygotować ojca na tę nadzwyczajną odmianę losu. Jednak w tym momencie nie była w stanie zaprzętać sobie głowy takimi szczegółami. Będzie musiała rozliczyć się z panią Forster i wykupić od Jebediaha to wszystko, co jeszcze ma w zastawie, ale o to też nie była w stanie teraz się martwić.

- Zapewnię ci wystarczające środki, byś mogła spłacić swoje długi w Shoreditch - oznajmił spokojnie lord Rupert, napoczynając ozór.

Jakim cudem zawsze czyta w jej myślach? Octavia zbyła to pytanie równie łatwo, jak zbywała wszystkie inne troski w ciągu ostatniej pół godziny. Umiarkowanie zaciekawilo ją, jak on zamierza sfinansować całe to przedsięwzięcie, lecz i tę kwestię beztróska pozostawiła własnemu losowi. To Rupert był kapitanem tego statku, prowadząc nawigację według sobie znanych map. Jej nie pozostawało nic innego, jak tylko kręcić kołem sterowym, słuchając jego komend.

- Lubisz operę? - spytał jej współbiednik z uprzejmym zainteresowaniem.

- Z wyjątkiem Glucka - odparła Octavia niezbita z tropu. - Nie cierpię Glucka.

- Prawdopodobnie uważasz go za przyciężkiego - zauważył, krojąc sarninę. - Ale trzeba się pokazywać w operze. Zdecydowanie powinniśmy wynająć lożę na sezon.

- Och, zdecydowanie. Ale ja wolę teatr. Kiedyś widziałam Garricka w roli Hamleta.

- Wraz z jego śmiercią w zeszłym roku scena poniosła niepowetowaną stratę - powiedział Rupert, kładąc plaster sarniny na jej talerzu.

Przez cały obiad podtrzymywał tego rodzaju lekką konwersację bez znaczenia. Na początku Octavia myślała że jest to gra, wnet zorientowała się jednak, że Rupert sprawdza w ten sposób, czy ona da sobie radę w kręgach dworskich.

- I co, zdałam? - chciała wiedzieć Octavia, kiedy już Tabitha zabrała naczynia i postawiła na stole talerz serów i misę jabłek.

Rupert uśmiechnął się, obierając jabłko ze skórki, tak że tworzyła jedną nieprzerwaną spiralę.

- Czy co zdałaś?

- Doskonale wiesz.

Nachylił się nad stołem, aby położyć obrane jabłko na jej talerzu.

- Northumberland i Shoreditch nie są być może najlepszą szkołą kształcąca dworzan.

- Towarzystwu w Northumberland nie brakuje wyrafinowania - stwierdziła spokojnie, nadgryzając cząstkę jabłka.

- A ja powinienem wiedzieć, że rzadko trzeba ci coś powtarzać dwa razy - zreflektował się. - Czujesz się swobodnie w tych kręgach?

- Całkowicie. - Napila się wina, niewinnie patrząc mu w oczy.

Skinął głową i wstał od stołu.

- Czy możemy zatem zakończyć i przejść do poważniejszych nauk tego wieczoru, panno Morgan?

Lekki dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Oczywiście, nauczysz mnie uwodzicielskich sztuczek, abym mogła ich użyć wobec twojego wroga.

- Nie. Wolę nauczyć cię czerpać własną rozkosz, nawet kiedy to ty ją dajesz - poprawił ją cichym głosem.

Podszedł do niej od tyłu i odsunął jej krzesło. Wziąwszy ją za łokcie, podniósł ją z krzesła i odwrócił twarzą do siebie. Jego oczy pociemniały przesłonięte namiętnością. Usta miał zaciśnięte, wyczuwała napięcie jego ciała znajdującego się tak blisko.

- Pragnę cię, Octavio - wymruczał. - Tylko ciebie i dla ciebie samej.

Octavia dotknęła językiem wyschniętych warg. Skórę miała rozpaloną jak w gorączce.

- Pokaż mi to wszystko - wyszeptala. - Tym razem chcę wiedzieć, co się dzieje.

W jego oczach przemknął jakiś cień, coś na kształt żalu, ale natychmiast zniknął, jakby nigdy go nie było.

- Chodź.

Wziął ją za rękę i poprowadził z salonu ciemnym, zimnym korytarzem, do sypialni.

Zamknął drzwi i założył ciężką sztabę. Octavia stała pośrodku pokoju, czując się niezręcznie i niepewnie zawstydzona jak dziewczyna w noc poślubną. Nie była dziewczyną, ale tamto kochanie się we śnie nie przygotowało jej na poczucie wyczekiwania, na wyraz jego oczu, kiedy zbliżał się do niej sprężystym, ochoczym krokiem.

Ujął jej dłonie i zaczął je rozcierać.

- Zimno ci?

Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Zimno... gorąco... jedno i drugie... nie wiem. - Nagle wyrwała swoje dłonie z jego i powiedziała zapalczywie: - Czuję się zawstydzona i głupia, bo nie wiem, co robić. Czy mam się rozebrać?

Uśmiechnął się.

- Podobałoby mi się, gdybyś to zrobiła.

Podszedł do kominka i oparłszy się plecami o półeczkę, przyglądał się jej.

Czuła na sobie wzrok Ruperta, choć sama za nic w świecie by na niego nie spojrzała. Usiadła na krawędzi łóżka, by zdjąć trzewiki, po czym znów stanęła. Szybko rozpięła suknię i pozwoliła jej opaść do stóp. Pod spodem miała tylko pojedynczą, bawełnianą halkę, koszulę i wełniane pończochy. Gorset, rogówka i nakrochmalone, batystowe halki były zbędne w Shoreditch. Wyszła z leżącej na podłodze halki, odpięła podwiązki i zsunęła pończochy, których pozbyła się ostatecznie machnięciem stopy. Zawahała się przez moment, po czym z ponurą determinacją ściągnęła przez głowę koszulę i rzuciła ją na podłogę.

Odwróciła się twarzą do niego, z rękami opuszczonymi po bokach, powstrzymując gwałtowną chęć zakrycia wstydliwych części ciała.

- Więc? - uniosła brodę i spojrzała mu w oczy dziwnie wyzywająco.

- Więc - powiedział miękko, podchodząc do niej. - Więc, panno Morgan.

Położył dłonie na jej ramionach i powoli przesunął je wzdłuż jej rąk, aż do nadgarstków. W ślad za tą pieśczętą przeszły ją po skórze ciarki, jakby lizały ją języki ognia.

- Czy chciałabyś, żebym zrobił dla ciebie to, co ty zrobiłaś dla mnie? - spytał z uśmiechem, wciąż trzymając ją za przeguby dłoni. Jego wzrok błędził po całym jej ciele, a te same języki

ognia lizały każdy fragment jej skóry, po którym się prześlizgnął.

- To mogłoby nieco wyrównać szanse. - Octavia starała się odpowiedzieć w lekkim, beztróskim tonie, ale jej głos zabrzmiał nie jak jej własny.

- Chodź bliżej ognia. - Pociągnął ją w stronę ciepła, dalej od lodowatych podmuchów wdzierających się przez okno.

Octavia czuła na plecach gorąco bijące od ognia i chłód z przodu. Czuła, że twardnieją jej sutki i nie wiedziała, czy to z zimna, czy dlatego, że jest naga, czy z powodu widoku, jaki miała przed oczami.

Rupert zdejmował ubranie powoli i przypomniała sobie, że kiedy poprzednio patrzyła z niedowierzaniem, jak rozbiera się w jej obecności, czynił to tak obojętnie, jakby jej tam wcale nie było. Teraz natomiast robił to dla niej.

Każdą zdjętą część garderoby odkładał starannie na cedrową komodę stojącą w nogach łóżka. Zrzuciwszy z ramion koszulę, odwrócił się tyłem, widziała więc napinające się, silne mięśnie ramion i grzbietu. Jej wzrok powędrował ku kształtom jego bioder, pośladków i muskularnych ud opiętych bryczesami ze źrebięcej skóry, kiedy schylił się, by ściągnąć buty i pończochy. Wstrzymując oddech, słuchała szczyku rozpinanej klamry pasa. Obiema rękami ściągnął jednocześnie z bioder bryczesy oraz bieliznę i płynnym ruchem wyzwolił się z nich.

Octavia, patrząc na niego od tyłu... podziwiała szerokie plecy, które przechodziły w szczupły pas i wąskie biodra. Chłonęła widok muskulatury jego pośladków, twardych jak skała ud i łydek. Miała niedokładne pojęcie o tym, jak sama wygląda od tyłu, ale była przeświadczona o odmienności męskiej wersji ludzkiego ciała.

Wyglądało na to, że celowo daje jej czas na skrupulatne oględziny, dość czasu, by zauważyła niewielką myszkę w dolnej części pleców, ciemny meszek wzdłuż kręgosłupa schodzący pomiędzy pośladki. Dał jej dość czasu, by od tych oględzin zapłonęły jej policzki, a dreszcz podniecenia targnął jej wnętrzem.

Dopiero wtedy odwrócił się przodem do niej. Stał nieruchomo, z półśmiechem igrającym na wargach i pozwalając jej na siebie patrzeć. Jej wzrok przesunął się po szerokiej piersi, płaskim brzuchu i zatrzymał się na wzwiedzonej męskości. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziała, ale jej ciało pamiętało dojmującą radość ogarniającą jej najgłębszą istotę przynależną do tego nadzwyczajnego momentu połączenia z drugim ciałem.

Ostrożnie postąpiła w jego stronę, ale on był szybszy i pociągnął ich oboje bliżej ognia. Trzymał ją przy sobie, stykali się każdym punktem skóry, wyczuwała pulsowanie jego męskości. Jej piersi przyciśnięte były do jego piersi, czuła bicie jego serca tak samo jak własnego, zrywającego się do lotu niczym oszalały ptak. Przesunął dłońmi po jej plecach, pogładził wcięcie talii, objął jej pośladki. Jego uśmiechnięte usta dotknęły jej ust lekkim, hipnotyzującym muśnięciem, od którego jej wargi przeszło mrowienie.

- Chciałbym patrzeć na ciebie - powiedział.

- Myślałam, że już się napatrzyłeś - odpowiedziała z drżącym uśmiechem, kładąc dłonie na jego ramionach.

- Nie tak, jak bym chciał. Wydawałaś się niespokojna.

- Cóż, nie jest to znana mi sytuacja - odrzekła niewinnie.

Uśmiechając się, cofnął się, trzymając ją za ręce, które odsunął na boki, a jego wzrok z wolna przesuwał się po jej ciele, pieszcząc je. Jego oczy płonęły, jakby miały ją naznaczyć jak rozpalonym żelazem. Puścił jej ręce i ujął w dłonie piersi Octavii, lekko muskając czubkami palców sutki.

- To ci sprawia przyjemność - stwierdził. Obliznął swój palec wskazujący i przeciągnął nim między jej piersiami. Octavia zadrżała, ostre kontury rzeczywistości, całego otoczenia zatarły się, a ona każdą cząstką poddawała się temu, co jej robił.

Jego palec zagłębił się w jej pępku, potem przejechał po brzuchu. Delikatnie wsunął się pomiędzy uda, a jej oddech stał się szybszy, ciało szarpnęło się pod wpływem jego nadzwyczajnego, drażniącego dotyku. Ciepłą dłonią ogarnął jej pleć, palce tańczyły wokół wrażliwego pączka, aż wreszcie w ciszy pokoju rozległ się jej jęk, jakby dochodzący z oddali i niemający związku z nią samą. Fala doznania o niezwykłej sile załamała się nad nią, porwała ją, a ona straciła wszelki kontakt z rzeczywistością i osunęłaby się na kolana, gdyby nie obejmował jej mocno ramieniem.

- Do wszystkich diabłów! - wymamrotała, opierając się o niego bezwładnie. Znow wszystko widziała wyraźnie. - Co się stało?

Rupert wybuchnął głębokim śmiechem.

- Jesteś niesłychanie wrażliwa, słodczy. Ledwo cię dotknąłem.

Spojrzała na niego.

- Czy ja mogę coś takiego zrobić tobie?

- O tak.

Octavia rozprostowała swoje wciąż niepewne kolana i powiodła wzrokiem po jego ciele. Jego męskość zdawała się błagać o jej dotknięcie, dotknęła więc delikatnie, objęła palcami, poczuła pulsowanie krwi w uwydatnionych żyłach.

- Tak jak teraz?

- Właśnie tak.

Pozwoliła swoim palcom błaznić, sięgnąć dalej, dotknąć twardych kul. Kiedy znów spojrzała na niego, zobaczyła, że oczy ma zamknięte, głowę odrzuconą do tyłu, usta uśmiechnięte z rozkoszy. Powiedział, że pokaże jej, jak dawać i jak przyjmować zmysłowe radości. Czerpała ogromną satysfakcję, wyczuwając opuszkami palców jego rozkosz, słysząc jego przyspieszony oddech, czując wilgotność jego skóry na piersi, do której przywarła policzkiem, podczas gdy jego męskość żyła własnym życiem pod pieszczotliwym dotykiem jej dłoni.

- Przestań natychmiast! - krzyknął ochryple, chwytając Octavię za ręce i odpychając je od siebie. Zaniósł ją do łóżka, gdzie podtrzymując kolanem, odgarnął kołdrę. Opuścił ją łagodnie na posłanie i sam położył się obok oparty na łokciu, głaszcząc jej ciało z wyrazem zamyślenia w oczach.

- Masz najpiękniejsze ciało. Takie wspaniałe i takie delikatne.

Schylił się, by pocałować tętniący szybko puls na szyi, po czym chwycił ustami jej pierś, pieścił językiem różany pączek, ciągnął go wargami. W odpowiedzi poczuła identyczne doznanie w podbrzuszu, co wyzwoliło w niej nagle niedające się wyrazić pragnienie. W pośpiechu pociągnęła go na siebie, przywarła do niego całym ciałem, poczuła przygniatające ją napięte mięśnie jego ud.

- Jeszcze nie - wyszeptał, łagodnie protestując. - To za wcześnie.

- Nie... nie - zaprzeczyła zdecydowanie, uniosła biodra i otoczyła go nogami. - Nie jest za wcześnie. Ja chcę już!

Zaśmiał się, ale oczy mu płonęły, rysy twarzy nie wyrażały nic poza jego własnym, desperackim pożądaniem. I wtedy wszedł w nią, i było tak jak w jej śnie, a jednocześnie zupełnie inaczej. Tym razem oczy miała otwarte, w świetle świec obserwowała jego twarz, widziała, jak jego ostre rysy łagodnieją, gdy ogarnia go rozkosz, widziała zaciśnięte usta, kiedy starał się powstrzymać i napięte z wysiłku żyły na szyi. Przesunęła dłońmi po jego ramionach, objęła twarde bicepsy.

Tym razem, kiedy w jej lędźwiach narastało żarłoczne pragnienie, każdym włókmem, każdą cząstką mózgu czuła cudowną nagłą potrzebę. Nabierała ona mocy z każdym przenikającym ją do głębi pchnięciem, aż poczuła, że jej ciało rozpada się w snop iskier i usłyszała własny krzyk rozbrzmiewający w pokoju na moment przed tym, jak pocałunkiem zamknął jej usta. Miała niejasną świadomość, że opuścił ją, ale leżał na niej, a ona obejmowała go ramionami w gwałtownym uścisku. Iskry opadały, formując na nowo jej ciało.

Teraz czuła pod sobą materace, jej pot mieszał się z jego potem, jego ciężar miażdżył jej piersi i wciskał w posłanie. Octavię opanowała cudowna ociężałość, ręce i nogi miała miękkie jak z masła. Jej ramiona osunęły się z niego, napięcie w udach i pośladkach ustąpiło i zapadła się głębiej w swoje gniazdko, zamknęła oczy, serce zwolniło rytm. Rupert ucałował jej powieki, czubek nosa, kącik ust, po czym z jękiem przetoczył się na bok.

Wyciągnęła rękę, by poklepać go po brzuchu i był to jedyny wyraz uznania, na jaki mogła się zdobyć. Po jakimś czasie odezwała się z wielkim wysiłkiem:

- Wycofałeś się w ostatniej chwili.

- Byłaś taka niecierpliwa, najdroższa, że nie zdążyłem założyć zbroi. Ależ oczywiście, pomyślała Octavia. Cięża z pewnością zrujnowałaby ich plany... a w każdym razie jej udział w nich.

Było to drobne, zimne dźgnięcie ponurej rzeczywistości, które nie przystawało do ciepła i sytej ociężałości chwili obecnej, dlatego też z łatwością się go pozbyła i kiedy Rupert wsunął pod nią rękę, położyła głowę na jego ramieniu i zapadła w sen.

8

Ciemno choć oko wykol, kiedy Rupert obudził się z lekkiej drzemki i bezszelestnie wymknął z łóżka, poruszając się tak ostrożnie, że ledwie potrącił kołdrę. Żar na kominku zapewniał odrobinę światła, dzięki któremu na palcach mógł podejść do szafy, wsłuchując się w głęboki, równy oddech Octavii dobiegający z łoża o nie zaciągniętych zasłonach.

Dziesięć minut później był ubrany. Zarzucił na ramiona grubą, czarną pelerynę, zabrał ciemny, trójgraniasty kapelusz i rękawiczki. Ostrożnie podszedł do drzwi. Z wielką uwagą podniósłszy ciężką sztabę, otworzył drzwi i uchylił je na tyle, by móc prześlizgnąć się przez szparę, a potem natychmiast zamknął je za sobą.

Octavia usiadła, słysząc delikatny szcęk zamykanej klamki. Co tu się dzieje? Co on robi?

Wyskoczyła z łóżka, owinęła się kołdrą i podbiegła do drzwi, po drodze zawadzając w ciemności stopą o taboret. Klnąc pod nosem, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz, gdzie łożowa świeca w kinkiecie na ścianie rzucała mdłe światło. Na palcach podkrađła się korytarzem do szczytu schodów.

Rupert mówił coś cicho w holu na dole. Odpowiedział mu Ben, ale również głosem tak cichym, że nie potrafiła zrozumieć słów. Zamieniwszy w pośpiechu parę zdań, przeszli do kuchni.

Octavia czym prędzej wróciła do sypialni i stanęła w oknie z twarzą przyciśniętą do szyby, wyglądając na podwórze stajni. W dole kołysała się zapalona latarnia, rzucając na bruk promienie światła tworzące oazy jasności w otaczającym mroku. Niebo zasnuwane było chmurami, które nie przepuszczały światła gwiazd i księżyca, ale w bladym blasku latarni mogła dostrzec Ruperta i Bena wciąż pogrążonych w rozmowie. Potem Ben odszedł w kierunku stajni, pozostawiając Ruperta w ciemności.

Octavia patrzyła osłupiała na ciemne podwórze, nie potrafiąc dociec sensu tego, co widzi. Wtem Ben pojawił się znowu, prowadząc konia o maści przypominającej światło gwiazd. Niósł siodło, przez ramię przewieszoną miał uprząż.

Octavia rzuciła się do szafy. Grzebiąc wśród ubrań, znalazła wełniane spodnie i koszulę, z którymi biegiem wróciła do okna. Nie spuszczać wzroku ze sceny na podwórzu, naciągnęła spodnie i podwinęła nogawki powyżej kostek, narzuciła na siebie koszulę, którą upchnęła w spodniach i rozejrzała się za paskiem. Znalazła ten, który Rupert porzucił wcześniej... wieczność temu... i opasała się w talii. Nawet gdyby zapięła na ostatnią dziurkę, pasek byłby za luźny, zawiązała więc mocno skórzany pasek na supeł. Przytrzymałby spodnie, ale tworzył bardzo nieeleganckie zgrubienie na brzuchu.

Na dole Ben skończył siodłać srebrnego konia. Odsunął się, trzymając wysoko latarnię, a Rupert wskoczył na siodło. Wkładając buty, Octavia dostrzegła w świetle latarni parę pistoletów w olstrach przy siodle i zwinięty, długi bicz przewieszony przez łąk.

Rupert schylił się, uścisnęli sobie z Benem ręce, po czym jego koń wyrwał do przodu i zniknął w ciemności za bramą. Ben, świecąc sobie latarnią, wrócił do zajazdu.

Teraz już Octavia wiedziała, co się dzieje. Lord Nick wyruszał na gościniec. Chwyliła swoją pelerynę oraz rękawiczki i opuściła pokój, zamykając za sobą drzwi. U szczytu schodów przystanęła, nasłuchując, czy Ben chodzi na dole. W szparze pod zamkniętymi drzwiami szynku widać było światło.

Ben przeszedł przez kuchnię i otworzył drzwi do szynku. Na moment głosy dobiegające stamtąd stały się wyraźniejsze, po czym ucichły, kiedy zamknął drzwi.

Octavia zbiegła ze schodów i wpadła do opuszczonej kuchni oświetlonej tylko ogniem płonącym wciąż na wielkim palenisku. Przez tylne drzwi wykrađła się na podwórze, przebiegła ku stajniom, ciemny cień w głębokim mroku. Rupert odjechał na koniu, którego nie widziała przedtem, rozsądne więc było przypuszczenie, że Peter, deresz na którym przyjechali tu z Londynu za pierwszym razem, również stoi w stajni Pod Królewskim Dębem.

W stajni nie była w stanie nic dostrzec, choć szuranie kopyt w słomie i rozlegające się chwilami rżenie wskazywało na obecność więcej niż jednego konia. Tuż przy wejściu wisiała na haku

latarnia, krzesiwo i hubka znajdowały się obok. Musiała podjąć to ryzyko, jeśli miała znaleźć Petera. Krzesiwo stuknęło o hubkę, nasączony olejem knot zapalił się i w świetle latarni długie cienie padły na drewniane ściany stajni.

Zwierzęta w boksach poruszały się niespokojnie, kiedy szła wzdłuż budynku, wypatrując deresza Ruperta. Serce zakolało jej z przerażenia, wyobraziła sobie bowiem, że nagle wyskakuje na nią Ben albo ktoś jeszcze straszniejszy. Była tutaj zaledwie tolerowana, chroniona osobistym zainteresowaniem Ruperta, chroniona nawet pod jego nieobecność, ale w granicach jego apartamentów. Skoro ośmieliła się wyjść poza ten obszar, mogła stać się łatwą zdobyczą.

Peter stał w ostatnim boksie, uzda wisiała obok na haku. Nałożyła mu ją i wyprowadziła go z boksu, a potem przez cały budynek, do wyjścia. Zanim otworzyła wrota, zdmuchnęła latarnię i dopiero wyszła z Peterem na podwórze. Odgłos jego podków na bruku brzmiał w ciszy jak werbel. Serce waliło jej tak głośno, że słyszała jego uderzenia w uszach, żołądek podszedł jej do gardła, ale zdołała podprowadzić konia do klocka służącego do wsiadania i wspiąć się po nim na grzbiet deresza. Dosiadła go na oklep. Kiedy już siedziała na koniu, jej przerażenie osłabło. Całe to plemię zgromadzone w szynku mogło rzucić się za nią w pogoń, ale nikt pieszo nie mógł jej teraz powstrzymać.

Spięła boki Petera piętami, kierując go ku bramie. Kiedy wyjechała na drogę, serce podskoczyło jej z radości. Wiedziała, w którą stronę udał się Rupert. Pociągnęła za wodze i pokierowała Petera pod górę, na wrzosowisko. Koń był rzeczywiście tak dobrze ułożony, jak jej się wydawało za pierwszym razem, i ani myślał wykorzystywać to, że lekko trzymała wodze.

Siedząc po męsku, dość pewnie trzymała się na grzbiecie deresza, pochylona nad jego karkiem, pognąła go więc w kłus, kiedy wyjechali na szczyt wzgórza, gdzie na wszystkie strony rozciągała się czarna połać wrzosowisk Putney. Wąska wstęga drogi wiła się przed nią wśród ciemności. Wszędzie powykręcane pnie i sękaty gałęzie drzew gięły się w dzikich porywach wichru hulającego przez płaskowyż.

Było to niesamowite, nieprzyjazne miejsce, nad którym wisiało tak czarne niebo, że zdawało się połykać wszelkie światło. Tylko rosnące wzdłuż drogi suche krzewy janowca zapewniały orientację i Octavia prowadziła konia wzdłuż nich. Nasłuchiwała, ale słyszała tylko skrzypienie gałęzi, wycie wiatru, pohukiwanie sowy. Lord Nick nie może być daleko od gościńca. Czeka gdzieś przy drodze na swoją niczego nie podejrzewającą zdobyczą. Ostrożnie przynagliła Petera, a on posłuchał jej niechętnie, wydymając chrapy, jakby wietrzył niebezpieczeństwo czające się w ciemności.

Nagle powietrze rozdarł pisk takiego bólu i przerażenia, że serce Octavii zamarło, a Peter stanął dęba, odsłaniając zęby. Octavia uchwyciła się uzdy i poraniła sobie palce o szorstką grzywę, pot wystąpił jej na czoło pomimo przejmującego zimna. Pisk osiągnął najwyższe natężenie, po czym ucichł. Octavia odzyskała dech w piersi, rozpoznając w tym dźwięku śmiertelny krzyk jakiegoś małego stworzenia, które padło ofiarą lisa albo sowy. Niewiele dodało jej to jednak otuchy.

Peter ruszył ostrożnie dalej. Przed nimi wyłoniła się grupa srebrnych brzóz, ich biała kora świeciła w ciemności. Koń z jeźdźcem zrównali się z drzewami.

Nie widziała, żeby coś podpełzało do niej w mroku. Nie słyszała nic poza słabym trzaskiem bicia, który dwukrotnie owinał się wokół jej ciała, zamykając ją w grubych fałdach peleryny. Nie czuła bólu, ale otworzyła usta do krzyku, który zamarł jej w gardle, kiedy Rupert przemówił jej do ucha:

- Ani mru mru!

Octavia opanowała lęk i siedziała cicho z ramionami uwięzionymi w pelerynie. Tylko dłonie miała wolne; bez potrzeby zaciskała w nich wodze i końską grzywę. Peter zarżał przyjaźnie, kiedy podszedł do niego srebrny koń.

Octavia odwróciła głowę. Spowity w czern jeździec przyglądał się jej w milczeniu. Jego oczy były szarymi szparami w czarnej, jedwabnej masce, czarną, jedwabną chustkę miał luźno zawiązaną na szyi. Machnął nadgarstkiem i uwolnił ją z pęt bicia, który śmignął w powietrzu, i jeździec jednym zręcznym ruchem złapał go, zwinął i powiesił z powrotem na łęku siodła.

Nagle srebrzysty wierzchowiec uniósł łeb i parsknął. Peter grzebnął kopytem. Lord Nick znieruchomiał, nadstawiając uszu. Octavia zamarła.

I wtedy usłyszała. Słaby turkot żelaznych obręczy kół dobiegał z ciemności, zza zakrętu drogi.

- Między drzewa. - Jego głos był śmiertelnie spokojny, a oczy prawie bez wyrazu, kiedy spojrzał jej w twarz, ale Octavia nie wyobrażała sobie, jak mogłaby nie podporządkować się temu rozkazowi. Byłoby to tak, jakby chciała przeciwstawić się lawinie. Pokierowała Petera między srebrne brzozy, aż stali się niewidoczni z drogi.

Lord Nick naciągnął jedwabną chustkę na usta i zajął pozycję przy drodze. I koń, i jeździec trwali tam w bezruchu. Octavia wyęczała wzrok i słuch w ciemności. Rozróżniała tylko sylwetkę rozbójnika. Turkot kół i stukot kopyt stawały się coraz głośniejsze. Powóz był niedaleko. Teraz słyszała już strzelanie z bata, pokrzykiwanie woźnicy poganiającego konie, kiedy zbliżali się do zakrętu i do grupy drzew.

Pośpiech woźnicy dowodził, że wie, iż jest to miejsce ciągłych napadów. Włosy zjeżyły się Octavii na karku, dreszcz niepokoju przebiegł jej po plecach.

Dylichans wytoczył się zza zakrętu, woźnica stojąc na koźle, trzaskał z bata, szóstka koni waliła kopytami w kiepską drogę, rozbryzgując błoto i śnieg.

Rozbójnik niespiesznie wyjechał na drogę. Uniósł pistolet i wypalił, kula świsnęła nad zaprzęgiem. Konie stanęły dęba i poniosły, paczki na dachu dylichansu przechyliły się na bok, napierając na utrzymujące je liny. Woźnica zaklął paskudnie, a z wnętrza pojazdu dobiegł piskliwy wrzask i nieskładne okrzyki.

Lord Nick nie ruszał się ze swojego miejsca pośrodku drogi, podczas gdy woźnica walczył o odzyskanie władzy nad końmi. Pocztylioni ściągnęli wodze prowadzącej zaprzęg pary i w końcu ekwipaż zatrzymał się z kłopotem.

- Nie zatrzymam was długo, panowie - oznajmił Lord Nick swobodnie. Jego głos, pomimo chustki na ustach, był donośny, ale Octavii wydawał się obcy. Mówił z lekkim, acz niewątpliwie cudzoziemskim akcentem, tembr był wyższy, bardziej melodyjny. Słuchała i patrzyła zafascynowana, choć z przerażenia przechodziły ją ciarki.

- Zechcesz rzucić rusznicę, panie? - spytał grzecznie woźnicy. - I może wy, obaj panowie, rzućcie również pistolety.

Woźnica przeklął go, ale trzy sztuki broni upadły na ziemię.

- Dziękuję.

- Robercie... Robercie, zrób coś! - pisnęła jakaś kobieta wewnątrz powozu. - Ty wielki tłumoku, siedzisz tu jak miska zimnej owsianki! Zatrzymano nas! To rozbójnik!

- Tak, moja droga - odrzekł mężczyzna ze znużeniem. - Wiem.

- Więc zrób coś! Kim ty jesteś? Mężczyzną czy myszą? Broń mojego honoru!

- Wątpię, aby twój honor był zagrożony, moja droga.

Rozległ się stłumiony odgłos uderzenia, pełne rezygnacji westchnienie, po czym drzwi dylichansu otworzyły się powoli.

Wysiadł chudy dżentelmen w peruce i zaczął majstrować koło szpady u pasa. Spojrzał dość bezradnie na rozbójnika siedzącego na srebrzystym wierzchowcu.

- Ty... ty szubrawcu. Prędzej zobaczę, jak wiesz skuty łańcuchami, niż dam ci choć pensa! - oświadczył z wyraźnym brakiem przekonania.

- Szanowny panie, zapewniam cię, że w najmniejszym stopniu nie interesują mnie twoje pieniądze - odparł Lord Nick ze spokojem. - Proszę cię więc, byś nie kłopotał się swoją szpadą, bo może się to nieprzyjemnie skończyć.

Mężczyzna spojrzał na niego ze szczerym zdumieniem, jego dłoń zawisła na rękojeści na wpół wydobytej szpady.

- Nie interesują?

- Nie, panie - potwierdził rozbójnik uprzejmie. - Ani też nic, co należy do ciebie. Bądź łaskaw schować szpadę.

- Ależ Robercie! Co ty tam robisz? Czy już go przeszyłeś? - W oknie pokazała się czerwona twarz, nad którą niebezpiecznie chwiała się spiętrzona, upudrowana fryzura. - Do licha, człowieku, żadnego z ciebie pożytku! - oświadczyła z niesmakiem, ogarniając scenę. - Już dawno mogłam być ograbiona i zgwałcona. Przeszyj go, mówię ci. Zrób to natychmiast.

- Tak, moja droga... ale widzisz, to nie takie proste... - Drobny mężczyzna, z dłonią wciąż na rękojeści szpady, patrzył bezradnie na rozbójnika. - On jest na koniu, rozumiesz - tłumaczył się rozpaczliwie.

- Przecież to widzę, ty głupku! - Przez otwarte z trzaskiem drzwi wytarabaniła się potężna postać

spowita w karmazynowy aksamit. - Daj mi tę szpadę! - Sięgnęła po broń. - Sama będę się bronić, ty niedojdo!

- Wybacz, madame, ale nie masz czego bronić - zapewnił Lord Nick. Jego oczy były teraz rozświetlone śmiechem, ale głos pozostał spokojny. - Wróć, proszę, do powozu.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób, ty złodzieju, ty morderco!

Gwałtownym ruchem dama zdołała wyszarpnąć szpadę z pochwy, zdzieliwszy przy tym rękojeścią w brodę nieszczęsnego dżentelmena, który zatoczył się do tyłu, potknął o przydrożny kamień i usiadł z cichym westchnieniem rezygnacji, które brzmiało jak powietrze uchodzące z poduszki.

- No dalej, łajdaku! Zaatakujesz bezbronną kobietę? - Zwalista postać zbliżała się do niego ruchem przypominającym tańczącego słonia. Wymachiwała na wszystkie strony szpadą i koń Lorda Nicka się cofnął.

Długi bicz wystrzelił, owinał się wokół rękojeści szpady i bez wysiłku wyrwał ją z ręki kobiety. Ostrze szczęknięło o ziemię. Lord Nick wychylił się z siodła, by podnieść szpadę.

- Mam nadzieję, że się nie zraniłaś, madame - powiedział łagodnie. - Teraz może wrócisz do powozu. - W tym momencie jego głos zabrzmiał złowrogo.

Kobieta gapiała się na niego z otwartymi ustami, jej uprzednio czerwona twarz teraz była biała jak płótno. Jej małżonek pozbierał się na nogi i otrzepał płaszcz.

- Najlepiej zrób, tak jak on mówi, moja droga. - Dotknął jej ramienia uspokajającym gestem.

- Tchórz! - rzuciła nieszczęśnikowi, wyszarpując rękę. W poszumie spódnic wgramoliła się z powrotem do dylizansu.

- Panie! - Rozbójnik wskazał zapraszająco za nią. - Rozumiem, że to miejsce tutaj może wydawać ci się spokojniejsze, obawiam się jednak, że muszę nalegać.

Dżentelmen spojrzał przez ramię na powóz, po czym z rezygnacją wrzucił ramionami i poszedł w ślady małżonki. Rozbójnik zsiadł z konia, nadal trzymając szpadę, i zajrzał przez okno do powozu. Człowieczek w ciemnobrązowym odzieniu trząsał się w kącie, starając się być niewidoczny.

Jejmość siedziała na krawędzi ławki, milcząc miłosiernie i wachlując się rękawiczkami. Zobaczywszy rozbójnika w oknie, syknęła jak wąż i zamachała pulchną dłonią, na której zamigotał ogromny szmaragd ukryty w tłustych fałdach.

- Prędeż oddam ci moje ciało, niż pozwolę zabrać pierścienie... zbój!

- Na szczęście dla nas obojga, madame, nie żądam ani jednego, ani drugiego - odrzekł Lord Nick tonem suchym jak Sahara.

- Ty... ty... ty szubrawcu! - wykrzyknęła. - Zrób coś, Robercie.

- Och, zamknij się, Cornelio - jęknął udręczony Robert doprowadzony w końcu do ostateczności.

- Brawo, panie - wyraził swoje uznanie rozbójnik, a oburzona Cornelia nadęła się jak indor. Lord Nick zajrzał głębiej do wnętrza dylizansu i uprzejmie zwrócił się do trzęsącego się w kącie człowieczka. - Czy mógłbyś być tak dobry i podać mi tę skórzaną sakwę znajdującą się pod twoim siedzeniem, panie?

Na te słowa człowieczek wyprostował się i wlepił wzrok w rozbójnika, jakby ten był jakimś czarodziejem.

- Jak... skąd...?

- Nieważne skąd, szanowny panie - odparł rozbójnik. - Jeśli tylko podasz mi ją, będziecie mogli ruszyć w dalszą drogę. Bardzo nieprzyjemna noc na podróż, nie wiem, doprawdy, co sobie wyobrażaliście.

- Och, mówiłam, że powinniśmy zostać na nocleg Pod Dzwonem i Księżą- Cornelia odzyskała mowę. - Ale ty nie chciałaś słuchać!

- Ależ droga pani, to ty upierałaś się, że musimy jeszcze tej nocy dojechać do miasta- wykrzyknął jej mąż. - Próbowałem wykazać, że szaleństwem jest jechać przez wrzosowisko późną nocą, ale...

- Och, ty bądź cicho! - Cornelia zdzieliła go torebką. - Jak śmiesz spierać się ze mną... Twoja pamięć jest jak sito i jeszcze masz czelność twierdzić, że ja nie mam racji...

Lord Nick nie słuchał coraz głośniejszej tyrady. Wziął skórzaną sakwę od drżącego pasażera i odstąpił od okna.

- Z lewej! - rozległ się krzyk Octavii. Lord Nick odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak

jeden z pocztalionów chwytając porzucony na drodze pistolet.

Szpada w ręku Lorda Nicka błysnęła w ciemności i pocztalion upuścił pistolet z okrzykiem bólu. Oparł się o dyliżans, przyciskając do siebie rękę.

- Głupiec! - krzyknął rozbójnik i kopniędem wrzucił wszystkie trzy sztuki broni w przydrożne zarośla. - Ty tam! - przywołał drugiego pocztaliona. - Obwiąż rękę swojego towarzysza i miej na nią baczenie.

Lord Nick dosiadł konia, a chłopak chyłkiem zbliżył się do rannego i zabrał się do obwiązywania mu dłoni chustką. Rozbójnik poczekał, aż pocztalionów znów znaleźli się w siodłach, a woźnica na koźle gotów był do powożenia. Wtedy usunął się z drogi.

- Jedź, woźnico.

Ten nie potrzebował zachęty. Strzelił z bata, a konie wyrwały do przodu. Lord Nick, kiedy mijał go dyliżans, zdjął kapelusz i wykonał nim szeroki gest, kłaniając się wyglądającej przez okno purpurowej z wściekłości Cornelii.

Kiedy turkot kół ucichł w oddali, spośród drzew wyłoniła się Octavia. Skręcała się z histerycznego śmiechu, wierzchem dłoni ocierała łzy z oczu.

- Co za nieszczęsny człowiek! - wykrztusiła.

- Tak, serce się kraje - zgodził się Rupert, zsuwając jedwabną chustkę z twarzy. Sięgnąwszy jedną ręką do tyłu, rozwiązał maskę, którą włożył do kieszeni peleryny. Następnie zaczął się przyglądać Octavii. - Czy mogłabyś mi powiedzieć, co ty właściwie sobie myślisz i skąd się tu wzięłaś?

- Ach - powiedziała Octavia. - Cóż, mówiąc szczerze, myślenie nie miało z tym wiele wspólnego.

- Nie... - zadumał się, masując się po brodzie. - Przypuszczam, że nie miało, bo gdybyś jakimś cudem zastanowiła się nad tym choć przez chwilę, nie byłoby cię tutaj, prawda?

- No, tego nie wiem - odparła Octavia. - Ale wydaje mi się, że gdyby mnie tu nie było, ty leżałbyś tu teraz z kulą w głowie.

- Możliwe. Wezmę to pod uwagę, ale nie mogę obiecać, że moja wdzięczność za twoje bystre oko przeważa szalę. Nie toleruję wtrącania się w moje sprawy.

Skierował konia na bezdroże wrzosowiska, zanim Octavia zdążyła odpowiedzieć.

- Jedź tuż za mną. Peter wie, że ma się trzymać ogona Lucyfera, nie trzeba więc nim specjalnie kierować.

Spiął piętami boki srebrnego konia, który ruszył galopem. Jasny kształt szybko zniknął w ciemności.

Peter bez rozkazu pogalopował za nim. Octavia skupiła się na utrzymaniu się na jego grzbiecie, kiedy koń wiedziony instynktem pewnie stawiał kopyta na zmrożonej ziemi.

Srebrny księżyc ukazał się pomiędzy pędzonymi wiatrem chmurami, rzucając zimne, blade światło na czarną sylwetkę rozbójnika i jego srebrnego wierzchowca. Wokół wiatr świstał w gałęziach drzew i krzaków przycupniętych gdzieś pośród płaskiego wrzosowiska.

Octavia nie miała pojęcia, dokąd jechali, zapuszczając się coraz głębiej we wrzosowisko, zostawiając drogę do ognia, ciepłych łóżek i kubków grzanego wina daleko za sobą. Nie miała pojęcia, która jest godzina, poza tym że księżyc, kiedy się pojawił, stał wysoko. Przed iloma godzinami leżała spleciona w pożądliwym uścisku z mężczyzną jadącym przed nią? Z mężczyzną, który teraz wydawał się przerażająco obcy, prowadząc ją przez nieznaną krainę, w której tylko on umiał się poruszać. Zgodziła się zostać jego współniczką w diabolicznym przedsięwzięciu złożonym z oszustwa, kradzieży i uwiedzenia. Teraz o tej zimnej, ciemnej, nocnej porze zgoda na to wszystko wydała się jej szaleństwem.

Lucyfer skręcił w prawo i pogalopował w dół z niewielkiego wzniesienia. Peter pędził za nim. U podnóża wzniesienia Octavia spostrzegła, że są na wąskiej, wyjeżdżonej, polnej drodze. Odetchnęła z ulgą na ten powrót do czegoś, co choć trochę przypominało zwykły świat, ale Lucyfer nie zwalniał kroku, a Peter galopował niezmiennie jego śladem. Przejechali przez uśpioną osadę i skierowali się ku małej, kamiennej chacie stojącej samotnie niecały kilometr dalej. W oknach widać było światło.

Lucyfer zwolnił i bez wahania wbiegł w otwarte drzwi długiego, niskiego budynku gospodarskiego na tyłach chaty. Peter podążył za nim. Octavia znalazła się w ciemnej stajni, gdzie zimne powietrze było przesycone słodkim zapachem siana.

- Wszystko dobrze, Nick? - z ciemności dobiegł głos Bena. Octavia aż podskoczyła kompletnie zdezorientowana. Gdzie, u licha, oni są?

- Do wszystkich diabłów! - wykrzyknął Ben na widok drugiego jeźdźca. - Skąd ta się tu wzięła?

- Dobre pytanie. - Rupert zeskoczył z grzbietu Lucyfera. - I mam zamiar natychmiast poznać odpowiedź na nie. - Podniósł skórzaną sakwę przytroczoną do siodła, a jego białe zęby błysnęły w mroku, kiedy się uśmiechnął. - Morris jest wart swojej wagi w złocie, Ben.

- Zatem dobrze się obłowileś? - Ben wziął Lucyfera za uzdę.

- O tak. Tak sadzę. - Rupert przerzucił sobie sakwę przez ramię i podszedł do Petera. - Zostawiam ci troskę o Petera, panno Morgan. Ben przygotował wszystko dla jednego konia, ale Peter też zasłużył na kolację. Widły i siano znajdziesz w kacie. Umieść go w ostatnim boksie i dobrze wytrzymaj, a potem okryj derką, nim wyjdiesz. Nie może zmarznąć.

Powiedziawszy to, opuścił stajnię, pogwizdując przez zęby.

Octavia przyjęła na siebie ten obowiązek ze wzruszeniem ramion. Jeśli rozbójnik spodziewał się, że zareaguje irytacją na jego polecenia, spotka go rozczarowanie. Zsiadła z konia.

- Czy moglibyśmy zapalić tu latarnię, Ben?

- Nie - brzmiała zdecydowana odpowiedź.

Najwyraźniej żaden z mężczyzn nie miał zamiaru wdawać się w towarzyskie pogawędki przy pracy. Octavia rozejrzała się, jej oczy stopniowo przyzwyczajały się do mroku.

- Chodź, Peter.

Zaprowadziła konia do ostatniego boks, słuchając, jak Ben przemawia do Lucyfera, rozkulbaczając go.

Peter, potulny jak zwykle, dał się zaprowadzić do boks i schylił łeb, żeby mogła zdjąć mu uzdę. Narzuciła mu siano do żłobu i rozejrzała się za czymś, czym mogłaby go wytrzeć.

- Jest tu szmata albo zgrzebło, Ben?

- A tam.

Gdzie tam? Rozglądając się, dostrzegła kawałek podartej derki wiszący na haku. Wycierała nim Petera, który z zadowoleniem przeżuwał siano. Był ogromnym koniem i musiała stawać na palcach, żeby dosięgnąć jego grzbietu. Kiedy skończyła, bolały ją ramiona, a pot perlił się na czole pomimo zimna. Ben uporał się z Lucyferem dużo wcześniej i poszedł sobie, mówiąc na odchodne tylko tyle, że powinna sprawdzić, czy dobrze zamknęła wrota. Opanowała ją chęć posłania go z całym jego brakiem ogłady do diabła i zajęła się oporządzaniem konia.

Znalazła końską derkę przewieszoną przez bramkę boks. Narzuciła ją na Petera, który zarżał cicho i trącił ją pyskiem.

- Przynajmniej ty jesteś przyjazny, druho - mruknęła w jego aksamitne nozdrza. Potem ruszyła zmierzyć się z tym, co ją czekało w chacie.

W oknie od podwórza widać było chybotałe światło świecy. Pchnęła drzwi i weszła do kwadratowej izby zajmującej cały parter chaty. W rogu znajdowały się wąskie, drewniane schody.

Rupert siedział w bujanym fotelu przed płonącym ogniem, obute stopy opierał na kracie. Ben zajmował taki sam fotel obok. Obaj trzymali po cynowym kuflu, nad którym unosiła się wonna para. Zawartość miedzianego saganka zawieszono nad paleniskiem buzowała, roztaczając miły aromat.

Octavia zatrzymała się niepewnie w drzwiach.

- Zamknij drzwi, panno Morgan, to nie jest środek lata.

Zacisnąwszy wargi, kopnięciem pięty zamknęła drzwi za sobą. Teraz była równie przemarznięta jak poprzednio zgrzana od wysiłku w stajni. Dwa fotele, stół i dwa zydle starczały za całe umeblowanie izby, która zdawała się rajem ciepła i wygody. Lampa olejowa stojąca na stole rzuciła złoty blask a na kominku trzaskał ogień. Energicznie podeszła do kominka i pochyliła się, aby ogrzać dłonie.

- Lord Nick i Lucyfer - powiedziała swobodnym tonem. - Cóż za kombinacja, panie.

- Tak uważasz? - Obojętnie wzruszył ramionami.

- Diabelska kombinacja kusząca los - odrzekła. - Rozbójnik na białym koniu.

- Trzeba sobie trochę ubarwić życie - stwierdził, nie przestając wpatrywać się w ogień. - Wydajesz się rozumieć przyjemność igrania z niebezpieczeństwem, panno Morgan.

- Wręcz przeciwnie, panie. Nie uznaję nieroztropnego ryzykowania głowy.

- Aha. - Spojrzał na nią, a na jego wargach pojawił się kpiący uśmiezek. - Jak więc myślisz, co ryzykowałeś dziś wieczorem, droga Octavio?

- Nie głowę - odpaliła.

Oparł się w fotelu, kołysząc łagodnie nogą opartą na kracie.

- Ano nie. Twojej głowie nic z mojej strony nie grozi.

Ben parsknął śmiechem w swój kufel, a Octavia spojrzała na niego z nieskrywaną niechęcią.

- Czy musimy prowadzić tę rozmowę przy obcych?

- Och, Ben nie jest... lecz ty- oznajmił Rupert. - Ben ma tu być. Ty natomiast, nie.

- To nie Ben uratował cię przed kulą.

- No proszę. - Wyglądał, jakby rozważał tę myśl.

- Zdaje się, że dobrała się do twojej garderoby, Nick - zauważył Ben. -Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! - Ze śmiechem wsadził nos w kufel.

- Dobry Boże! - Po raz pierwszy Rupert dostrzegł ubranie Octavii pod peleryną. - Czy założyłaś moje spodnie? Jeśli „założyć” jest odpowiednim słowem, aby nazwać to, co z nimi zrobiłaś.

- Trudno byłoby mi jechać po męsku w sukni - odcięła się. - Spytałabym o pozwolenie, gdybyś się nie wymknął i nie zniknął jak wąż w trawie.

- Raczej nie uważam, bym udając się w swoich sprawach, wymykał się jak wąż - stwierdził. -A w porównaniu z rozporządzaniem się moim odzieniem i koniem to całkiem zbożne działanie.

Octavia nie była zachwycona takim przebiegiem rozmowy, wołała więc zmienić temat.

- Wiedziałaś, że w dylizansie będzie ta sakwa. Co w niej jest?

- Czynsz dzierżawny - odparł Rupert bez wahania, wyciągając stopy w kierunku ognia. - Czynsz zebrany dla hrabiego Gifforda. To wredny sukinsyn, bogaty jak Krezus. Stratę odczuje tylko jego podła dusza.

- A ten człowiek, który przyszedł do zajazdu wcześniej? Morris... on ci o tym powiedział?

- No właśnie. - Rupert uśmiechnął się leniwie. - Morris spędza dużo czasu w szynkach położonych wokół wrzosowisk. Nie na darmo ma uszy otwarte, podsłuchał więc, jak kurier hrabiego próbował namówić swoich towarzyszy podróży, aby zostali na nocleg Pod Dzwonem i Księżą, bo nie chciał ryzykować jazdy w środku nocy przez wrzosowisko ze swoją cenną przesyłką. Jednak madame Cornelia uparła się, by dojechać do miasta jeszcze tej nocy. - Wzruszył ramionami. - Cóż więc miał począć biedny człeczyna? Jestem pewien, że szanowna dama była bardzo przekonująca.

Octavię zbyt pochłaniała chęć zrozumienia istoty nocnego procederu, by się uśmiechnąć.

- Ale dlaczego nie zabrałaś nic tej upiornej kobiecie i jej mężowi?

Rupert pokręcił głową.

- To nie było konieczne. Nie wolno być chciwym, zawartość tej sakwy wystarczy, by wyposażyć cię w dworskie stroje, moja droga, od czubka głowy po pantofelki z brylantowymi klamrami i obcasami wysadzonymi szmaragdami.

- Ej... a to co? - Ben nagle ocknął się z ospałości. - To ona jest na twoim utrzymaniu, Nick?

- Nie jestem! - zaprotestowała Octavia, a jej piwne oczy miały ogień. -Podjęliśmy wspólne przedsięwzięcie. Czyż nie tak, milordzie?

Rupert roześmiał się.

- Ależ tak, moja droga Octavio. Nie ma potrzeby patrzeć na mnie takim morderczym wzrokiem. Nikt nie podaje w wątpliwość twojej niezawisłości. Dam ci jednak pewną radę. Ben jest najlepszym przyjacielem, jakiego można by sobie życzyć i w tym wspólnym przedsięwzięciu może być ci równie potrzebny jak mnie. Lepiej o tym pamiętać.

- W takim razie, lepiej niech on zrozumie, jak sprawy się naprawdę mają -odparowała Octavia. - W żadnym wypadku nic ci nie jestem dłużna, lordzie Rupercie.

- Z wyjątkiem pary spodni, koszuli i konia - mruknął. - Masz ochotę na trochę mlecznego ponczu?

Na tak nagłą zmianę tematu Octavia tylko zamrugwała. Rupert wskazał niedbałym gestem saganek parujący nad paleniskiem.

- Weź sobie. Kufel znajdziesz w szafce koło półeczki nad kominkiem.

Octavia nie traciła więcej czasu na kontynuowanie niewygodnego tematu.

Jeśli rozbójnik był gotów puścić w niepamięć to, co się stało, jej bynajmniej nie zależało, by to drażnić. Znalazła kufel i napełniła go gęstym, aromatycznym płynem z saganka. Podsunęła sobie

stopą zydel i usiadła niemal w samym palenisku, by być bliżej ciepła. Po pierwszym łyku nogi zrobiły się jej jak z waty. Ktoś wiedział, jak przygotować mleczny poncz zdolny zwalić z nóg dorosłego człowieka. Po drugim zakręciło się jej w głowie.

Dwaj mężczyźni obok niej kołysali się spokojnie, popijając ze swoich kuflów. Izba zaczęła w cudowny sposób zatracać kontury, a ocieężałość ogarniała jej ciało centymetr po centymetrze, zaczynając od palców stóp i zamieniając mięśnie i ścięgna w masło. Zachwiała się na zydlu, uśmiechnęła się do ognia i pociągnęła następny łyk z kufla. Przechyliła się w tył, a znajdująca się tam para nóg okazała się doskonałym oparciem dla pleców, kolana tylko czekały, by złożyć na nich głowę. Dłoń gładziła ją po włosach długimi, sennymi ruchami, a to doznanie mieszało się z odczuciem ciepła w żołądku, w miarę jak opróżniała kufel.

- Co za pracowita noc dla wścibskiej, małej dziewczynki - zauważył rozbójnik, a w jego głosie dźwięczał głęboki śmiech. Octavia miała niejasne poczucie, że powinna zaprotestować, ale ani nie mogła znaleźć słów, ani nie miała siły. Nie była też w stanie stawić oporu, kiedy została wzięta pod ramiona, podniesiona i raptem zawisła twarzą w dół, sennie spoglądając na wylepioną gliną podłogę.

Czuła pod brzuchem ramię rozbójnika, który wnosił ją po wąskich schodach. Kiedy oddalili się od ognia, zrobiło się zimno i zaprotestowała słabym pomrukiem, ale zaraz już leżała, zapadając się w miękkie posłanie, otulona kołdrami, które były bardzo ciężkie i nie dopuszczały do niej chłodu. Czuła na sobie ręce, które wprawnie ją rozbierały tak, aby nie zmarzła. Miała niejasną świadomość, że on wślizgnął się obok na posłanie, a jego skóra jest zimna od mroźnego powietrza. Przytuliła się, dzieląc się z nim swoim ciepłem i zasnęła z nosem wtulonym w jego ciepłe już nagie plecy, jego zapach był obecny w jej snach.

Zdumiewająca kobieta z tej lady Warwick. - Księżę Gosford stanął obok swojego zięcia. Zażył obficie tabaki i siarczyście kichnął w chusteczkę. -Trzeba mieć nadzieję, że komitet nie wykluczy jej za taki wygląd. Pokazanie się tak publicznie wymaga odwagi.

- Almack's to nie dwór - rzucił krótko zięć, nie opuszczając lorgnon. Księżę trafnie odgadł, że Philip Wyndham wpatruje się w damę, która właśnie wkroczyła do sali balowej Almack's u boku swojego męża.

Trzy eleganckie salony pełne były szczęśliwych członków Górnych Dziesięciu Tysięcy, którzy zyskali akceptację komitetu złożonego z czternastu dam. Jego drakońskie reguły sprawiły, że trzy czwarte londyńskiej szlachty na próżno ubiegało się o prawo wstępu. W upudrowanym, wymalowanym, kunsztownie ufryzowanym tłumie gości na tym balu wybrańców losu lady Warwick wyróżniała się znacząco.

Włosy miała nieupudrowane, cerę nietkniętą farbą, wargi nieuróżowane.

Octavia instynktownie przystanęła w wejściu do sali balowej, Rupert zatrzymał się więc również. Po zgromadzonym towarzystwie przeszedł szmer i wszystkie oczy zwróciły się ku dwuskrzydłowym drzwiom.

Upór Octavii, by po raz pierwszy pojawić się publicznie w tak niezwykły sposób, rozbawił Ruperta. Przystał na to, ponieważ nie uważał, aby mogło to wyrządzić jakąś szkodę, widząc ją zaś tego wieczoru schodzącą po schodach na Dover Street, zrozumiał dokładnie, o co jej chodziło. Mężczyźni zlecają się jak sępy. Kobiety ją znieawidzą, to oczywiste. Taka doskonała cera, tak cudownie niezwykły koloryt osiągnięty bez żadnych sztuczek. Octavia nie musiała przyklejać sobie muszek, aby odwrócić uwagę od dziobów po ospie, ani używać różu, by ożywić cerę zmęczoną brakiem snu, rozpustą, tłustą farbą zatykającą pory i grubą warstwą pudru.

Jej włosy spiętrzone nad czołem i opadające w łagodnych lokach na ramiona błyszcząły w świetle świec naturalnym blaskiem, podkreślając przezroczytą błądźliwość policzków i piwnozłotą barwę głęboko osadzonych oczu. W rozcięciu zwiewnej sukni wierzchniej z białego i różowego muślinu widać było spódnicę spodnią z jedwabiu w kolorze zielonych jabłek, takim samym jedwabiem obszyte były rękawy sukni, falbany mankietów z delikatnej koronki opadały na nadgarstki. Biała, koronkowa chusteczka zatknięta za głęboki dekolt przyciągała wzrok do wzniesienia piersi Octavii, zdając się jednocześnie dyskretnie je osłaniać.

Był to w każdym calu mistrzowsko przemyślany kostium będący hołdem dla niewinnej twarzy madonny i dla wdzięcznych kształtów ciała, a zarazem, przez śmiałe odrzucenie konwenansu, wskazujący na pewną nieustępliwość charakteru, wyzwanie i tajemnicę.

Będzie mieć mężczyzn u stóp w parę minut, uznał Rupert. Natychmiast jednak musiał przyznać, że nie docenił wrażenia, kiedy ujrzał okazałą postać księcia Walii, który ruszył ku nim przez salę z twarzą czerwoną i spoconą z lubieżnym błyskiem w oku i z pożądlwym uśmiechem na wargach.

- Madame. - Skłonił się nisko. - Co za wizja... orzeźwiająco niezwykła wizja, doprawdy. Przedstaw mnie, proszę, swej małżonce, Warwick.

Rupert ze swobodą dokonał prezentacji i królewicz chwycił dłoń Octavii.

- Skąd przybywasz, droga pani? I pomyśleć, że przez tyle miesięcy gnuśnieliśmy tu pozbawieni twego widoku. Jak mogłaś kryć się przed naszym wzrokiem?... Doprawdy, jak mogłaś pozwolić, by ten podły pies skradł cię, zanim kto inny miałby szansę? - Pogroził pulchnym palcem lordowi Rupertowi i zaśmiał się serdecznie.

- Jesteś nazbyt łaskawy, panie. - Octavia dygnęła, przyglądając się jednocześnie dyskretnie kręgowi mężczyzn gromadzących się za królewiczem.

- Och, nie. Nie i nie. Wiem, że nie - zarzekał się Jego Wysokość. - Nie nazbyt łaskawy... to niemożliwe. Cóż za zachwycająca istota, Warwick. Jesteś podły... tak nas ubiec. Gdzie ją znalazłeś?

Zupełnie tak, jakby była rzadkim gatunkiem owada znalezionym gdzieś daleko, pod jakimś kamieniem, pomyślała Octavia.

- Na wsi, panie - odrzekł Rupert, równie swobodnie jak poprzednio. -W Northumberland, gdzie ostatnio bawiłem.

- Northumberland! - Królewicz w zdumieniu zwrócił swoje małe oczka na lady Warwick. - No, no! Nigdy bym nie uwierzył, że to możliwe. To bardzo daleko na północy, czy tak? - Obejrzał się za siebie, szukając potwierdzenia.

- Tak, panie - przytaknął jeden z dworzan. - Sądzę, że jest to w znacznej odległości od Londynu.

- No, no! -powtórzył księżę Walii, przyglądając się bacznie Octavii przez lorgnon. - Jeśli mają tam takie piękności jak ta, muszę tam złożyć wizytę osobiście... co? - Roześmiał się serdecznie ze swego dowcipu i wyciągnął rękę. - Chodź tańczyć ze mną zachwycająca istoto.

- Ale nie uzyskałam jeszcze zezwolenia którejs z patronek - zaoponowała Octavia, trzepocząc wachlarzem. - Nie chciałabym łamać zasad, Wasza Wysokość.

Księżę Walii ryknął śmiechem.

- Jakbyś jeszcze tego nie zrobiła, madame. Dolly... Dolly, chodź tu i pozwól tej nadzwyczajnej istocie zatańczyć ze mną.

Żywiolowo zamachał na damę w sukni z mory w kolorze bzu. Jej ogromna peruka ozdobiona była niezliczoną ilością drobnych, futerkowych zwierzątek wyglądających spomiędzy czegoś, co Octavii wydawało się kępami trawy.

Księżna Deerwater podeszła, obdarzając sztywnym uśmiechem księcia Walii. Przyjrzała się Octavii surowo i ukłoniła się ledwo zauważalnie.

- Lady Warwick.

Octavia w odpowiedzi wykonała pełen szacunku dworski ukłon.

- Madame.

- Jeśli chciałabyś poznać nazwisko biegłego fryzjera, lady Warwick, z chęcią ci je podam.

Octavia dygnęła znowu.

- Jesteś nazbyt łaskawa, pani.

- Jestem świadoma, iż ludzie na wsi postępują odmiennie - stwierdziła księżna, marszcząc nos i wydymając wargi. - Jednakże nie przenosimy wiejskich obyczajów do Londynu, madame. Nie pasują tu.

- Och, z pewnością zawsze istnieje możliwość poprawy, pani - odrzekła Octavia słodko. -Nawet Londyn powinien być otwarty na nowoczesne idee.

Księżna wpatrywała się w nią z niedowierzaniem, najwyraźniej nie będąc pewna, czy się nie przesłyszała. Czyżby ta nowo przybyła rzeczywiście miała czelność określić londyńskie mody mianem przestarzałych?

Rupert uniósł brew. Może Octavia nie zdawała sobie sprawy z wagi wpływów tej kobiety. Szukał czegoś, co załagodziłoby niewygodną ciszę, jaka zapadła, aż wtem księżę Walii wybuchnął gromkim śmiechem.

- Całkowita racja, lady Warwick. Nieznośnie ugrzęźliśmy tu w naszych obyczajach. Zbyt wiele konwenansu, protokołu i Bóg wie czego jeszcze. Wiesz, to wszystko wina dworu. Diabelnie sztywny i staromodny. Poczekaj tylko, aż przyjdzie moja kolej... wtedy dopiero zobaczymy zmiany, wspomnisz moje słowa.

To szokująco niesynowskie oświadczenie, które można było rozumieć jedynie jako pragnienie rychłego zgonu ojca, zostało przyjęte milczeniem tak pełnym niesmaku, że uprzedni pomniejszy nietakt Octavii poszedł w zapomnienie.

Królewicz chwycił ją za rękę i pociągnął na parkiet, gdzie właśnie ustawiano się do dworskiego tańca.

- Jego Wysokość to wciąż tylko chłopiec... i to dość uparty- zauważył Rupert cicho, kłaniając się księżnej i uśmiechem zapraszając ją do współdziałania w tej dojrzałej refleksji. - Prawo młodości.

- Tak, oczywiście - zgodziła się księżną dotykając górnej wargi perfumowaną chusteczką. Przyjrzała się postaci lorda Ruperta Warwicka i zdawała się być nieco ułagodzona tym widokiem. Jego lordowska mość był odziany w czarne jedwabie, włosy miał konwencjonalnie Upudrowane i związane na karku. Nosił złoty łańcuszek do zegarka i brylantową szpilkę, która iskrzyła się błękitnym ogniem na tle olśniewająco białego żabotu. Wyraz twarzy miał uprzejmy, uśmiech przyjemnie porozumiewawczy, jakby jego ostatnie stwierdzenie odnosiło się zarówno do jego młodej żony, jak i do księcia Walii.

- Młodość wymaga kierownictwa starszych, lordzie Warwick - powiedziała po chwili, wskazując wzrokiem na parkiet i niekonwencjonalną lady Warwick. - Twojej małżonce zdaje się brakować miejskiego polotu, panie.

- Och, nie sądzę, aby o to chodziło - odezwał się nagle lord Wyndham z otaczającego ich kręgu przysłuchujących się osób. - Przypuszczam, że lady Warwick jedynie ośmiela się być niezwykłą. Co powiesz, Warwick?

Rupert skinął głową swojemu bratu bliźniakowi, unosząc przy tym brwi z błyskiem humoru w oczach.

- Uważam, że to słuszny osąd, Wyndham.

Pełne wargi hrabiego skrzywiły się w uśmiešku. Wrócił wzrokiem do tanecznych popisów sapiącego królewicza i na jego twarzy odmalował się zimny wyraz niesmaku, kiedy jednak spojrzął na jego partnerkę, pod chłodną, szarą powierzchnią oczu zamigotała iskra zainteresowania.

Jak Philip może niczego nie wyczuwać? - zastanawiał się Rupert. Za każdym razem, kiedy zdarzało im się wymienić spojrzenia lub słowa, temperatura jego ciała zdawała się podnosić, a krew szybciej krążyła w żyłach wraz z rozpoznaniem i przypomnieniem dobijającymi się do wrót jego duszy. Philip natomiast nie okazywał najmniejszych oznak niepokoju lub zdziwienia w obecności brata. Może przeświadczenie, że brat bliźniak nie żyje, nie pozostawiało miejsca na przecucie, na drażniące dżgnięcie rozpoznania.

- Spotkałeś lady Warwick w Northumberland? - spytał od niechcienia Philip, odwracając się od parkietu i podając Rupertowi tabakierkę.

Rupert z uprzejmym uśmiechem odsunął emaliowane puzderko.

- Nie mam chęci na perfumowaną tabakę, dziękuję. Tak, kiedy bawiłem z wizytą u starych przyjaciół rodziny.

- Oczywiście nigdy przedtem nie była w Londynie.

Rupert przytaknął.

- Pomyśleliśmy, że odłożymy nasz miesiąc miodowy i odbędziemy go po urodzinach.

Królewskie urodziny przypadały w czerwcu i oznaczały zakończenie londyńskiego sezonu. Philip pokiwał głową i znów popatrzył na parkiet.

- Wyobrażam sobie jednak, że miesiąc miodowy w Londynie w szczycie sezonu ma swój urok dla nowicjuszek - powiedziawszy to, Philip skłonił się i odszedł, kierując się na ubocze, gdzie siedziały grupy osób, sącząc grzane wino i plotkując.

Hrabina Wyndham, wciśnięta pomiędzy dwie usztywnione matrony, z nerwowym uśmiechem spoglądała na zbliżającego się Philipa. Poprawiła koafiurę, wygładziła koronkę przy dekolcie, a jej pełne niepokoju oczy patrzyły błagalnie, jakby spodziewała się upokarzającej, publicznej krytyki. Jej małżonek minął ją jednak, spojrzawszy na nią tylko tak, jakby była ślimakiem w ogrodzie. Poczuli się tak samo upokorzona, jak gdyby ją zrugął.

Imię lady Warwick było na ustach wszystkich przez cały wieczór. Księżę Walii nie odstępował damy i Rupert obserwował z oddalenia, jak staje się ona centrum zainteresowania schlebiającego mu grona młodych rozpustników.

Octavia wiedziała równie dobrze jak Rupert, że dopóki królewicz ją faworyzuje, towarzystwo może ją krytykować, ale nigdy jej nie wykluczy. Aby plan się powiódł, powinna być utożsamiana z kręgiem tych, którzy piją na umór, rujną się przez hazard i konwenanse mają za nic. Zaufani królewicza tworzyli taki właśnie krąg i nim wieczór dobiegł końca, zdążyła już odrzucić z tuzin zawołanych sugestii i cztery propozycje wprost, w tym jedną wyrażoną przez samego księcia Walii.

- Ależ panie, jestem kobietą zameżną- zaprotestowała, kiedy trzymał jej rękę między swymi gorącymi dłońmi, uśmiechając się do niej promiennie.

Królewicz parsknął rubasznym śmiechem, jednak chyba nieco go powstrzymały takie grymasy.

- Raczej nie proponowałbym tego, łaskawa pani, gdybyś nie była. Mężczyzna nie może zaznać uciechy z niezameżną dziewczyną. Nie mów mi tylko, że lord Rupert gotów jest psuć innym zabawę, będąc zazdrosnym mężem.

- Cóż, panie, nie sądzę, by był już mężem wystarczająco długo, żeby dało się stwierdzić, czy jest zazdrosny, czy nie - odrzekła grzecznie. - Wydaje mi się, że jest nieco za wcześnie na rozważanie kwestii z małżeńskiego łóża. Pobraliśmy się zaledwie dwa tygodnie temu.

Królewicz zachichotał i poklepał ją po policzku.

- Szczera kobieta, to lubię. Żadnych panieńskich bzdur. Dobrze, dobrze, moja droga, zobaczymy, ile czasu minie, zanim twój mąż nie zacznie błędzić. A kiedy zacznie, śmiem przysiąc, że spojrzysz na sprawę nowymi oczami.

- Być może, panie.

Gdzie właściwie jest Rupert? Była druga w nocy i Octavia rozejrzała się po sali jadalnej, dokąd większość towarzystwa udała się, by skubnąć ostrygowych pasztecików i chleba z masłem, popijając szampanem.

Spostrzegła Ruperta we wnętrzu okiennej pograżonego w rozmowie z wymalowaną damą w sukni z ciemnoczerwonej tafty i brylantowym naszyjniku błyszczącym na szyi. Dwie muszki w kształcie serduszek zdobiły jej biust, a kiedy sięgnęła po kawałek chleba ze stołu, jej prawy sutek wysunął się z dekoltu. Nie próbowała włożyć go z powrotem i Octavia widziała, jak Rupert delikatnie wcisnął go pod suknię swoim długim, szczupłym palcem.

Dama roześmiała się i klepnęła go w policzek złożonym wachlarzem. Rupert z leniwym półuśmiechem oparł się znów o ścianę, obracając nóżkę kieliszka od szampana pomiędzy palcami.

- Otóż to, sama widzisz! - zawołał królewicz, którego wzrok powędrował za wzrokiem Octavii. - Nie jest mężczyzną, który traciłby czas, prawda? Warwick jest znany jako kobieciarz, droga pani. Nie możesz oczekiwać, że przysięga małżeńska odmieni charakter mężczyzny.

Octavia uraczyła go uśmiechem i obojętnym wzruszeniem ramion. Księżę Walii, chichocząc, objął jej nagie ramiona. Jego palce bawiły się chusteczką na jej szyi.

- Takie skromne maleństwo - zamruczał. - Nie ma szans, abyś odsłoniła zbyt wiele czegokolwiek, lady Warwick. Nie tak jak lady Drayton... co?

- Lady Drayton ma nade mną przewagę, panie.

- Tak? Jakże to? - Małe oczka królewicza błysnęły kaprawo. - Trochę więcej ciała tutaj, tak? - Szczercząc się, poklepał biust Octavii.

- Nie, panie. Ma przewagę lat - powiedziała bez zająknięcia Octavia, odsuwając się o krok od królewskich pałców.

- O, podła! Taki mały kotek, a ma pazury - ryknął królewicz zachwycony dowcipem. - Ale coś ci powiem, madame. - Pogroził jej palcem. - Margaret Drayton wydrapałaby ci za to oczy.

- Doprawdy, panie, już drzę. - Octavia nie mogła pojąć, skąd to napięcie w jej głosie. Margaret Drayton nic dla niej nie znaczyła. Rupert po prostu grał swoją rolę, tak jak ona grała swoją. Niemniej jednak wyglądało na to, że dźganie biustu tej damy sprawia mu niewątpliwą przyjemność. Ale z drugiej strony, czemu nie miałoby sprawiać? Octavii nic do tego. Skąd więc ten żenujący skurcz oburzenia w żołądku?

Kiedy tak patrzyła, Rupert pochylił głowę, a jego usta znalazły się tuż przy uchu damy. Przeszywający śmiech lady Drayton wzbil się nagle ponad gwar w sali jadalnej.

- Wydają się świetnie ze sobą bawić - suchy głos wypowiedział jej myśli. Philip Wyndham stał obok niej, przyglądając się scenie na drugim końcu sali. Jego wargi uśmiechały się, ale był to uśmiech, od którego Octavię przeszły ciarki.

Spojrzała na niego, napotkała jego spojrzenie i zdumiała ją przedziwny dysonans, jakby jego piękna twarz nie była tym, czym się zdawała. Jakby pod gładkim, szerokim czołem, pod przejrzystymi, szarymi oczami, pod delikatnością rysów czaiło się coś jadowego.

- Tak - powiedziała chłodno, rozpościerając wachlarz. - Świetnie się bawią. Jak wszyscy na tej sali. Zapewniam, panie, że to najbardziej zajmujący wieczór, jaki przeżyłam od czasu naszego przybycia do Londynu.

- Och, najbardziej wartościowa rzecz w mieście, madame - stwierdził królewicz. - Dziesięć gwinei za karnet na wesoly, cotygodniowy bal przez cały sezon... i jaka wykwintna kolacja!

Otoczająca go grupa roześmiała się gorliwie z tego topornego sarkazmu, Octavia się uśmiechnęła.

- Jestem tylko przyjezdnią, panie. Moje gusta są wciąż niewyrobione.

- Och, idę o zakład, że już niedługo - odezwał się jeden z młodych byczków z lubieżnym uśmiechem. - Mam nadzieję, lady Warwick, że możemy ci złożyć wizytę. Dover Street, prawda?

- Będę zaszczycona. - Octavia dygnęła przed księciem Walii. - Proszę o wybaczenie, panie. Robi się późno i powinnam wrócić do męża.

- Pozwól, że cię odprowadzę. - Philip Wyndham skłonił się i podał jej ramię.

- Dziękuję, milordzie - położyła dłoń na jego brokatowym rękawie i opuścili rozgadany krąg otaczający królewicza.

- Podbiłaś serce Jego Królewskiej Wysokości. Należą ci się gratulacje, pani.

- Czy to powód do gratulacji, panie? - spojrzała na niego z ironicznym uśmiechem. - Myślałabym, że wręcz przeciwnie. Jego Wysokość nie wydaje się szczególnie wybredny.

W ciemnoszarych oczach pochylonych nad jej twarzą mignęło zaskoczenie i pączek zainteresowania rozkwitł w pełni. Uśmiechnął się, ale tym razem uśmiech był ciepły i pełen uznania, wyrażający całkowitą pochwałę. Octavia poczuła, że sama uśmiecha się w odpowiedzi i dopiero po chwili z wysiłkiem przypomniała sobie, że ten mężczyzna jest wrogiem Ruperta.

- Dobrze jest przekonać się, że nie zaślepia cię jego pozycja - powiedział hrabia. - Książę Walii jest głupcem, ale może być użyteczny, jeśli odpowiednio z nim postępować.

- Tak właśnie przypuszczałam, panie.

Śmiech hrabiego urwał się nagle, kiedy zbliżyli się do wnęki, gdzie Rupert i lady Drayton stali wciąż pogrążeni w rozmowie głowa przy głowie.

- Ależ panie, jaki masz cięty język - zaszczebiotała lady Drayton, klepiąc go po nadgarstku wachlarzem i odwróciła się, aby powitać przybyłych. Oczy miała bardzo błyszczące, kolory na policzkach żywsze, niżby to można było złożyć na karb samego różu. - Och, lordzie Wyndham, nie zauważyłam twojej obecności dziś wieczorem. Lord Rupert był tak niesłychanie zajmujący, że nie miałam ani chwili, żeby się rozejrzeć.

Philip się uklonił.

- Jestem zatem pewien, że dużo było płaczu i zgrzytania zębów wśród twoich adoratorów, madame.

Ton, jakim to powiedział, sugerował, że on sam się do nich nie zalicza i oczy lady Drayton, które wyglądały jakby były z niebieskiej porcelany, błysnęły niebezpiecznie.

- Nie przypuszczam, byś miała już okazję poznać moją żonę, madame. - Rupert z leniwym uśmiechem wkroczył między nich. - Octavio, pozwól proszę, że cię przedstawię lady Drayton.

- Twojej starej znajomej, panie? - spytała Octavia, uśmiechając się słodko i dygając przed lady Drayton.

- Och nie, zupełnie nowej - sprostował Rupert.

- Byłam pewna, że musicie znać się od kołyski - odpaliła Octavia. - Miałam nadzieję, że lady Drayton z przyjaźni, jaką żywi do ciebie, pokaże mi, jak należy zachowywać się w towarzystwie. Musi mieć o wiele większe doświadczenie niż ja.

Rupert powściągnął chęć, by uśmiechnąć się z uznaniem, Margaret zaś posłała mordercze spojrzenie gładkoliccy, młodej kobiecie, która uśmiechała się do niej ze złudną niewinnością.

- Twój małżonek, droga lady Warwick, ma wystarczające doświadczenie, by zapewnić ci tę usługę - odrzekła Margaret. - Dziwi mnie, doprawdy, że nie wyjaśnił ci, jaka moda obowiązuje w towarzystwie. Pozwolić żonie pokazać się tak nieubraną to... cóż, to dość okrutne. - Zatrzepotała rękami w kierunku Ruperta.

- Och, chyba nie aż okrutne, madame - mruknął. - Uważam jednak, że należy uczyć się na błędach. Co o tym myślisz, Wyndham?

Pytanie zabrzmiało zaskakująco ostro, mimo że Rupert wydawał się rozbawiony. Octavia czekała na odpowiedź hrabiego, zmagając się z poczuciem rozżalenia. Spodziewała się, że Rupert będzie jej bronił przed tym atakiem, a on skłonny był przyznać rację Margaret Drayton w jej szyderczej ocenie.

- Och, uważam, że lady Warwick dokładnie wie, co jest dla niej odpowiednie - odezwał się Philip. - Kobieta, która ma swój rozum, zawsze działa ożywczo. Na dworze jest się otoczonym tyloma bezmyślnymi owcami. - Uśmiechnął się do lady Drayton, ale jego szare oczy pozostawały zimne i zawiesił głos na zbyt długi moment, zanim dodał: - Wyłączając tu obecnych, rzecz jasna.

- Rzecz jasna - powiedział Rupert i zwrócił się do Octavii: - Jeśli jesteś gotowa opuścić to miejsce rozrywek, moja droga, jestem do twoich usług.

- Jestem w zupełności gotowa. - Octavia dygnęła przed lordem Wyndhamem. - Bardzo jesteś rycerski, panie.

- Mówię tylko prawdę, madame. - Skłonił się i uniósł jej dłoń do ust. - Mam nadzieję, że mogę

złożyć ci wizytę.

- Będę zaszczycona... lady Drayton - kolejny ukłon. Następnie Octavia wsparła dłoń na wyciągniętej ręce Ruperta.

Powoli przemierzali pokoje i schody, kierując się do holu. Rupert wysłał jednego służącego po peleryny, a drugiego, by przywołał ich powóz. Milcząc, stali w holu w jasnym świetle trzech żyrandoli. Cisza była niezręczna. Octavia zastanawiała się, co powiedzieć, by przerwać milczenie, ale dziwnie nic nie przychodziło jej do głowy, była rozdrażniona i rozżalona, choć nie widziała powodu, by tak się czuć. Rupert z kolei zachowywał się równie swobodnie jak zwykle, stopą wybijał na marmurowej posadzce rytm muzyki dobiegającej z sali balowej, od niechcenia wodził wzrokiem po tłumie wychodzących gości.

- Och, moja droga lady Warwick, opuszczasz nas tak szybko. - Książę Walii drobnymi, chwiejnymi kroczkami pokonał jakoś schody, ale na ostatnim stopniu musiał uchwycić się poręczy.

- Chodź zagrać w karty, madame. Obiecuję, że dziś wieczór będzie świetna gra u lady Mount Edgecombe. - Puścił oko do Ruperta. - Założę się, że twój małżonek nie ma nic przeciwko grze w para-niepara. Co, Warwick?

- Jakiegokolwiek innego wieczoru, panie, byłbym zachwycony - odparł Rupert. - Ale moja żona jest dzisiaj zmęczona.

- No tak... tak, oczywiście. - Królewicz pokiwał mądrze głową, pukając się w skrzydełko nosa. - I łożo małżeńskie jest dla ciebie nowością. Czyż nie... czyż nie?- dodał, naśladowując swojego ojca, po czym ryknął śmiechem, a jego świta mu zawtórowała.

- Mam nadzieję, że uda nam się namówić Waszą Wysokość do zagrania na Dover Street któregoś wieczoru - zasugerował Rupert, kiedy paroksyzm śmiechu nieco minął.

- Och... och, a cóż to? Otwierasz własny dom gry? W faraona? - Oczy królewicza spojrzały bystrzej na tyle, na ile mogły. - Czy zatem lady Warwick zamierza dołączyć do naszych cór faraona?

- Mogę obiecać wesoły wieczór, panie - powiedziała Octavia, bez wahania podejmując wskazany trop. - Nie zamierzam rywalizować z salonami lady Buckinghamshire czy lady Archer ani też wicehrabiny Mount Edgecombe, aczkolwiek jestem przekonana, że Wasza Wysokość zazna nieco rozrywki w naszych progach.

- Och, kapitalne... kapitalne! - zakrzyknął książę Walii, klaszcząc w dłonie. - Słyszeliście to, druhowie? Lady Warwick zamierza wstąpić w szeregi cór faraona. - Schylił się i z całego serca ucałował ją w policzek. - Przyślij bilecik, droga pani, kiedy stoły będą gotowe.

- Karetą lorda Ruperta Warwick! - rozległ się donośny głos od drzwi. Służący podbiegł z ich pelerynami i w ogólnym zamęcie książę Walii i jego asysta oddalili się, robiąc dużo hałasu. Rupert owinął ramiona Octavii peleryną, wziął swoją od służącego, po czym wyszli na zewnątrz.

Wzdłuż King's Street stały powozy i lektyki, chłopcy ze światłem uwijali się w tę i z powrotem, unosząc wysoko lampy olejowe, by oświetlić gościom drogę do pojazdów. Z zaułka prowadzącego do King's Place wyłoniły się dwie kobiety. Suknie i włosy miały w celowym nieładzie. Oparwszy się o ścianę, obserwowały rozgrywającą się scenę.

Książę Walii wytoczył się przez drzwi za Octavią i Rupertem. Z okrzykiem radości puścił się przez King's Street w kierunku kobiet.

- Mam ochotę odwiedzić burdel po wszystkich tych szacownych mdłościach! - ryknął pełnym głosem. - Prowadźcie mnie do matki przełożonej, moje drogie słodkości.

Zataczając się, ruszył zaułkiem ramię w ramię z dwiema prostytutkami, a cała świta ochoczo podążyła jego śladem.

- Co za potworna, chora kreatura - stwierdziła Octavia z uczuciem.

- Prawdopodobnie będzie chory, jeśli pójdzie z tymi dziwkami - zauważył Rupert. - Są czyste domy na King's Place i w Covent Garden, ale z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nasz dostojny dziedzic tronu woli nurzać się w rynsztokach. - Stał z boku, by pomóc Octavii wsiąść do karety.

Kiedy postawiła nogę na stopniu, z budynku, w którym odbywał się bal, wyszła pulchna dama owinięta ciemnobrązową peleryną. Niefortunnie stanąwszy na ruchomym kamieniu bruku, runęła do przodu z okrzykiem przerażenia. Rupert puścił dłoń Octavii i podbiegł do damy pomóc jej wstać.

- Zrobiłaś sobie krzywdę, madame? - podniósł upuszczoną torebkę i podał jej.

- Nie... nie. Dziękuję, panie. Taka głupia... taka niezdarna jestem.

- Wszak zawsze taka jesteś, moja droga - rozległ się za nią zimny głos. Philip Wyndham przyglądał się żonie z bezgraniczną pogardą. - Głupia i niezdarna jak wół. Czyż nie tak, pani? Letitia spuściła wzrok, pragnąc, by ziemia się rozstała i ją pochłonęła. Wszędzie byli ludzie, wszystko widzieli i słyszeli tę lodowatą pogardę jej męża.

- Czyż nie tak, pani? - powtórzył z ostatecznym okrucieństwem.

- Tak, Philipie - powiedziała łagodnie. - Tak, błagam o wybaczenie. - Jej oczy wypełniły się łzami, nie podnosiła wzroku, żałośnie wpatrując się w ziemię.

- Zamierzasz stać tu całą noc? - dopytywał się mąż. - Niech mi wolno będzie przypomnieć ci, że lektyka czeka dla twojej przyjemności, moja droga. - Wskazał lektykę z herbem Wyndhamów i dwóch osiłków patrzących sztywno przed siebie na rojną ulicę.

- Błagam o wybaczenie. - Letitia powtórzyła przeprosiny i podeszła do lektyki. Niezgrabnie przestąpiła przez drągi, aby wsiąść od przodu, a szerokie, sute spódnice sukni uwydatniały jeszcze jej wrodzoną niezdarność.

Rupert przyglądał się, stojąc w cieniu. Oczekiwał, że brat poda swojej żonie rękę, by jej pomóc, ale Philip pozostał tam, gdzie był, dopóki drzwiczki nie zamknęły się za Letitia. Jego twarz wykrzywiła odraza. Dwaj tragarze dźwignęli swój znaczny ciężar na ramiona i potruchtali King's Street, torując sobie drogę przez ruch uliczny.

Philip odwrócił się na pięcie i poszedł w przeciwnym kierunku. Kiedy mijał Ruperta, przeszedł akurat pod lampą olejową i złote światło padło na jego twarz. Rupert ujrzał Philipa takiego, jakiego tylko on znał z dzieciństwa. Jego twarz nie była już piękną maską, a odbiciem kryjącej się pod nią pokrętej duszy. Oczy miał zmrużone, usta zaciśnięte złośliwie, emanował triumfem i satysfakcją sadysty, który właśnie zadał ból.

Rupert wrócił do karety, gdzie Octavia trwała wciąż nieruchomo z jedną nogą na stopniu. Nie słyszała rozmowy Wyndhama i hrabiny, ale wyczuła jej okrutny charakter. Teraz z kolei na widok twarzy Ruperta chłód przeszył ją do głębi. Wyglądał jak nawiedzony, rysy jego twarzy naznaczone były bólem, ale nie to sprawiało, że jej krew zmieniała się w wodę, lecz przerażający gniew silniejszy od upiornego bólu.

- Co on ci zrobił? - mimowolnie spytała miękko. Rupert nagle oprzytomniał.

- Nie musisz tego wiedzieć.

Wziął ją za rękę, popychając jednocześnie z tyłu, by wsiadła do powozu.

- To zły człowiek - stwierdziła Octavia z całą mocą, rozpościerając spódnice na skórzanej kanapce. - Ja to wyczuwam, a wiem, że ty to wiesz. I mimo to każesz mi uwieść tego mężczyznę, nie mówiąc mi o nim tego, co sam wiesz. Czy to sprawiedliwe, Rupercie?

Rupert usiadł naprzeciwko niej. W mroku powozu przyglądał się jej spod zmarszczonych brwi.

- Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy - powiedział w końcu. - Tak, Philip Wyndham jest zły. Ale ja nie pozwolę, by spotkała cię z jego strony krzywda. Wywiązując się ze swej strony z umowy, nie musisz wiedzieć tego, co ja wiem, ani też nie musisz się go bać. On krzywdzi tylko tych, nad którymi ma władzę. A nad tobą nie ma.

- Jak możesz tak mówić? - wykrzyknęła Octavia. - Jak może nie mieć nade mną władzy, kiedy znajdę się w jego łóżku? Jaką władzę ma kobieta w takich okolicznościach?

- Och, zdziwiłabyś się jak wielką - odparł Rupert teraz już lekkim tonem.

- Nie jest to dla mnie temat do żartów - powiedziała Octavia z naciskiem. - Doskonale wiesz, o co mi chodzi... jaka będę bezbronna w tej sytuacji. To człowiek żerujący na bezbronności, sam to przed chwilą powiedziałeś.

- Moja droga, ty nie będziesz bezbronna w ten jedyny sposób, jaki przemawia do Philipa - powiedział Rupert, odchylając się do tyłu i krzyżując ręce. - Jego interesuje wyrządzenie krzywdy duszy, nie ciała. A nad twoją duszą nie będzie miał władzy. Poza tym może wcale nie będzie konieczne, byś dokonała - przerwał, jakby dobierając słowa, po czym dokończył ironicznie: - ostatecznego poświęcenia.

Jak on może sobie z tego żartować? Jak może tak lekceważąco odnosić się do czegoś, co dotyczy jej bezpośrednio? Czy rzeczywiście jest mu obojętne, czy będzie się prostytuować z Philipem Wyndhamem, czy nie? Ale on prawdopodobnie nie postrzega tego w takich kategoriach. Nikt w tym zdeprawowanym towarzystwie nie zaprzęta sobie głowy podobnymi rozterkami. Wszyscy tu grają w swoje plugawe gierki.

Rupert zamknął oczy, jakby pokazując, że uważa sprawę za zakończoną. Powóz zwolnił na skrzyżowaniu, a za oknem mignął blask lampy. Światło i cień zagrały na jego nieprzeniknionej twarzy, uwydatniając ostry zarys ust, zaciśnięte szczęki.

Wyraz jego twarzy świadczył, że nie pójdzie na żaden kompromis, a Octavia nauczyła się już rozpoznawać, kiedy bezcelowe jest naciskanie na tego mężczyznę, z którym dzieliła łóżce i którego ciało знаła coraz lepiej, prawie tak samo jak własne. W mgnieniu oka potrafił zmienić się z wesołego, zajmującego towarzysza w zimnego, obcego i władczy człowieka. Nie nauczyła się jeszcze, jak opierać się jego dyktatom, tak samo, jak nie nauczyła się opierać hipnotyzującej sile jego osobowości, przeciwstawiać się sposobowi, w jaki popychał ją na drogę, którą wybrał, umniejszając wagę jej wątpliwości, jeśli już nie lekceważył ich zupełnie. Nie potrafiłaby wyobrazić sobie, że odwraca się od niego, kiedy sięga po nią, a w oczach ma namiętność.

- Uważam, że zrobiliśmy dziś wieczorem dobry początek – powiedziała spokojnym tonem, owijając szczerzej pelerynę wokół ramion dla ochrony przed mroźnym, nocnym powietrzem.

Rupert otworzył oczy i utkwił wzrok w jej twarzy. Teraz w szarych głębinach widziała łagodność i błysk rozbawienia. Zaczął wylizywać na palcach:

- Tak, wzbudziłaś zainteresowanie Wyndhama i nieposkromioną żądzę księcia Walii. Zaprezentowałaś się jako dama, która lubi łamać konwenanse. I wystosowałaś ogólne zaproszenie do gry o wysokie stawki w swoich salonach. - Uśmiechnął się, jakby od niechcenia. - Wbrew prawu, oczywiście. Sędzia Kenyon zagroził lady Buckinghamshire, że przegoni ją za wozem, jeśli stanie przed nim oskarżona o prowadzenie domu gry.

- Chyba nie mówił tego poważnie? - Octavia otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, wyobrażając sobie korpulentną lady Buckinghamshire przeganianą batem po ulicach Londynu.

- Nie, nie sądzę, żeby nawet Kenyon odważył się ukarać w ten sposób arystokratkę - zgodził się Rupert, parskając śmiechem. - Ale ta groźba napędziła jej nieco strachu.

Złożył dłonie na kolanach, szmaragd na szczupłym palcu połyskiwał blade w ciemności.

- A kiedy ja byłam tak zajęta, co ty osiągnąłeś tego wieczoru? - spytała Octavia nieco kwaśno, przypominając sobie, jak ten właśnie palec doprowadzał do porządku niesforny sutek lady Drayton. - Czy udało ci się spotkać twoją zwierzynę łowną?

- Nie sądzę, żeby ci ludzie tam byli - odparł, składając palce obu dłoni tak, że stykały się opuszkami. - Nigdzie ich nie widziałem.

- Rozumiem. A lady Drayton? Czy okazała się użyteczna w jakikolwiek sposób?

Rupert spojrział na nią bystro.

- Skąd ten jad, Octavio?

Octavia oparła głowę o zagłówek i wyjrzała w ciemność.

- Ciekawa byłam tylko, dlaczego, kiedy ja znosiłam obrzydliwe umizgi królewicza, ty się zabawiałeś. Myślałam, że to wspólne przedsięwzięcie.

- Ułatwiałem ci zadanie, moja droga Octavio. - W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie i miała ochotę czymś w niego rzucić. - Margaret Drayton jest kochanką Philipa Wyndhama. Pomyślałem, że popchnę go trochę w twoim kierunku... dam mu powód, żeby mógł się odegrać.

- Wątpię, żeby wymagał popychania - odpaliła Octavia. - Wydawał się wystarczająco mną zainteresowany, zanim zaczęłaś dźgać biust lady Drayton.

Rupert się roześmiał.

- Tego rodzaju zabawy są na porządku dziennym, słodka niewinności. Mały flircik nic nie znaczy... zwłaszcza z taką znaną dziwką jak Margaret Drayton.

- Nie dbasz o nią?

- O, potrafi być całkiem zabawna, zwłaszcza kiedy się złości. Ale jest odrobinę nazbyt przejrzała jak dla mnie. Wolę, by moje kobiety były nieco świeższe.

- Och, tak wolisz, tak? - Octavia spiorunowała wzrokiem jasną plamę twarzy widoczną w mroku naprzeciw. - Jak mięso u rzeźnika. Lepiej, żebyśmy nie wisiały na haku zbyt długo.

Rupert ze zdumienia otworzył usta.

- Zaraz, chwileczkę, Octavio. Czemu chcesz się ze mną kłócić? Mieliliśmy bardzo owocny wieczór. Moja zwierzyna nigdzie nie umknie, przeciwnie, wydepczą ścieżkę na Dover Street, kiedy tylko rozejdzie się wieść o grze o wysokie stawki. A rozpowszechnienie tej wieści pozostawimy królewskim ustom - dodał cierpko.

Nie odpowiadała, tylko nadal wyglądała przez okno, pochylił się więc i wziął jej dłonie w

swoje.

- Co cię trapi, słodczy?

Jego głos był ciemny i gładki jak karmel, a ona nie potrafiła oprzeć się jego urokowi, który łączył się z blaskiem świec, miękkością adamaszkowych prześcieradeł, swobodnymi pieszczotami i ociężałością spełnienia.

Nie mogła przyznać, jaka jest prawda. Zazdrość to wymagające i małosłowne uczucie.

- Chyba jestem zmęczona - powiedziała ze śmiechem, który jej samej nie wydał się szczególnie przekonujący. - Być może zanadto zaaferowana. Otrzeć się o rodzinę królewską... skrzyżować szpady z kimś takim jak księżna Deerwater.

Rupert nie był przekonany, ale nie nalegał na dalsze wyjaśnienia.

- Czy masz odwagę nadal lekceważyć nakazy mody? - spytał neutralnym tonem, puszczając jej dłonie i odchylając się na oparcie.

- Nie sadzę, by to wymagało odwagi - powiedziała Octavia, z ulgą przyjmując zmianę tematu. - Mogłoby, gdybym wyglądała jak wariatka, ale skoro wiem, że tak nie jest... - Wzruszyła ramionami.

Rupert wreszcie się odprężył. Ucieszyła go jej pewność siebie. Bez wątpienia miała powody, aby ją odczuwać. Wszak to na nią przez cały wieczór skierowane były oczy tłumu. Nie wszystkie, rzecz jasna, patrzyły z podziwem, ale nie można oczekiwać, że wyróżniając się z ogółu, nie wzbudzi się niechęci.

Był to niezmiernie udany debiut. Należało się tylko spodziewać, że Octavia będzie coraz rzadziej doświadczać przyplływów niepokoju i niepewności, zwłaszcza po takim wieczorze. Ta niedogodność na pewno zniknie, kiedy przyzwyczai się do swojej roli, a odgrywana sztuka nabierze kształtów.

10

Powóz zatrzymał się przed wysokim, wąskim domem na Dover Street. Nad frontowymi drzwiami świeciła lampa olejowa, światło paliło się również w oknach na parterze.

- Ciekawa jestem, czy papa wciąż nie śpi.
- Jeśli nie, to może powinniśmy odwiedzić go na dobranoc. - Rupert otworzył drzwiczki powozu i zeskoczył na ziemię. - Nie wiem czemu, ale mam niewzruszone przeświadczenie, że twój ojciec patrzy na nasze małżeństwo dość sceptycznie. - Wyciągnął rękę, by pomóc jej wysiąść. - Mam rację?

- Być może - powiedziała Octavia, stając obok niego. - Nigdy nie można mieć pewności, co mój ojciec widzi. W niektórych sprawach jest bardzo przenikliwy.

Drzwi otworzyły się i weszli do środka.

- Dobry wieczór, Griffin. Czy pan Morgan już się udał na spoczynek?

- Nie sądzę, milady. - Kamedyner się uklonił. - Dzwonił, żeby mu przynieść nowe świece zaledwie chwilę temu.

- Chodźmy więc na górę i życzymy mu dobrej nocy - powiedział Rupert, zrzucając pelerynę. - Pozamykaj, Griffin.

Skierował się ku schodom w ślad za Octavią.

- Może zechciałabyś odesłać Nell do łóżka - mruknął do ucha Octavii, kiedy mijali jej sypialnię. - Nie ma nic takiego, co mogłaby jeszcze dziś dla ciebie zrobić, czego równie dobrze nie mógłbym zrobić ja.

Octavia obejrzała się przez ramię i napotkała jego gorące spojrzenie, od którego jej ręce i nogi zamieniały się w воск.

- Powiedziałabym, że nawet lepiej, milordzie. Odwróciła się i otworzyła drzwi sypialni.

- Możesz iść do łóżka, Nell.

Pokojówka drzemiąca w fotelu przy kominku zerwała się na nogi.

- Och, pani, ja wcale nie śpię - zaprzeczyła, rumieniąc się ze wstydu.

- Tak, właśnie widzę. Mniejsza z tym, nie będziesz mi już dziś potrzebna. - Octavia uśmiechnęła się do dziewczyny, wiedząc, jak bardzo jest przerażona, że może stracić posadę za najdrobniejsze uchybienie. - Idź do łóżka, Nell. Zobaczmy się rano.

- Tak, milady. - Dziewczyna dygnęła. - Czy mam jeszcze przyciąć świece i dołożyć do ognia?

- Bądź tak dobra.

Octavia wróciła na korytarz, cicho zamykając za sobą drzwi. Czasami czuła się tak, jakby mieszkali wśród dekoracji na scenie, w granicach wyznaczonych przez czas i miejsce sztuki. Miała wrażenie, że rolę służby gra trupa aktorów, choć tylko ona i Rupert o tym wiedzieli. A kiedy kurtyna opadnie, ci drugoplanowi aktorzy zostaną bez pracy.

Przecież niekoniecznie, pomyślała zaraz. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ona i jej ojciec znów będą mogli zatrudnić służbę. Z faktu, że nie powiadomili tych ludzi o tymczasowym charakterze ich zatrudnienia, wcale nie wynika, że bawią się ludzkimi losami. Poza tym dopóki trwa sztuka, ludzie ci mają zapewnione jedzenie, ciepło i łóżko, co stawia ich w wiele lepszej sytuacji niż większość mieszkańców Londynu.

Octavia uświadomiła sobie, że tego rodzaju niewygodną wrażliwość na los innych rozwinęła w sobie dlatego, że sama dobrze poznała ponurą i pełną rozpaczony twarz nędzy. Rupert także znał tę twarz, ale zdawała się ona mniej go martwić. Albo może zachowywał swoje odczucia dla siebie... tak jak wiele innych spraw.

Teraz jednak nie pora na próżne rozważania o nędzy tego świata i pozornej obojętności Ruperta na nią. Pospieszyła długim korytarzem w głąb domu. Zza uchylonych drzwi pokoju ojca dobiegał głos Ruperta.

- Dobry wieczór, papo. - Uśmiechnęła się radośnie, wchodząc do jasnego, ciepłego pokoju. - Już późno, a ty wciąż na nogach.

- To samo mogę powiedzieć o tobie - stwierdził Oliver, spoglądając na córkę z głębokiego fotela przy kominku, w którym płonął ogień. Wyglądał dobrze, piwne oczy miał przejrzyste i bystre, cerę

gładką i różową, grzywę siwych włosów gęstą i błyszczącą. Miał na sobie obsyty futrem, aksamitny szlafrok i kapcie z futrzaną wyściółką, kolana okryte pledem. Sterty książek leżały na podłodze przy jego fotelu i na stole obok, otwarty tom oparty był na poręczy fotela. Na kolanach trzymał blacik do pisania, w dłoni gęsie pióro, a arkusz pergaminu pokryty był jego trudnym do odczytania pismem.

- Spędziliśmy wieczór na rozrywkach - powiedziała Octavia. - A to zupełnie co innego niż praca. Jak ci idzie? - Schyliła się, żeby go pocałować.

- Bardzo dobrze, dziecko. Warwick, pamiętasz naszą dyskusję o Platonie? O wpływie Pitagorasa na jego filozofię? Znalazłem wzmiankę, której szukałem... Mam to tu, gdzieś... - Zaczął grzebać w stercie książek, z których sterczały zakładki jak kolce jeża.

Rupert zajął miejsce obok starca, a Octavia przysiadła na poręczy sofy naprzeciwko nich. Kaszel ojca minął prawie bez śladu, a patrząc na niego teraz, trudno było wyobrazić sobie, że kiedykolwiek gładki tryb, jakim toczyło się jego życie, uległ zakłóceniu. Zachowywał się tak, jakby nie pamiętał niczego z trzech lat odosobnienia w zaułkach East Endu, dni bez wystarczającej ilości pożywienia, ciągłego braku ciepła, codziennych zmagania o utrzymanie w odpowiednim stanie ich odzienia. Zawsze zachowywał się tak, jakby nie miał pojęcia, w jaki sposób Octavia dokonuje swoich małych cudów. Nie był ciekaw szczegółów ich poprzedniej egzystencji ani też nie przejawiał ciekawości wobec obecnej zmiany sytuacji.

Kiedy Octavia wyjaśniła ojcu, że pobrali się z lordem Rupertem Warwickiem, nie pytając go o zgodę, ponieważ był ciężko chory i leżał w gorączce, Oliver nic nie powiedział. Octavia oczekiwała jakiejś reakcji na ten doniosły fakt dokonany, a wobec spokoju, z jakim ojciec pogodził się z sytuacją, zaczęła coraz bardziej mu wszystko wyjaśniać, jakby przejawiał sceptycyzm i dezaprobatę, jakich się spodziewała. Trajkotała bez końca o jego ciężkiej chorobie, wobec której uznała, że jego zdrowie jest ważniejsze od przyjętego obyczaju i zgodziła się na pospieszny, cichy ślub, byle tylko jak najprędzej mogli się przenieść tam, gdzie będzie ciepło i wygodnie.

Ojciec tylko się uśmiechnął, mówiąc, że ona na pewno wie, co robi. Zawsze wiedziała, co jest dla niej najlepsze, jeśli więc ona jest szczęśliwa, to on również. I zadomowił się w swoim przestronnym apartamencie na Dover Street, jakby ów apartament zawsze należał do niego.

Rupert był zdumiewająco uważający wobec starca, z pewnością daleko bardziej, niżby tego wymagała sytuacja, rozważała Octavia. Przejawiał też szokująco wręcz dogłębną znajomość kultury antycznej, którą tak zachwycił się Oliver Morgan. Nie tylko znajomość, zauważyła, przysłuchując się ich dyskusji. Entuzjazm. Miało się wrażenie, że penetrowanie przez Olivera zawitych ścieżek filozofii klasycznej jest dla niego równie fascynujące.

Ona sama dawno już straciła zainteresowanie dla intelektualnych poszukiwań ojca. Dał jej rygorystyczne klasyczne wykształcenie, posługiwała się w mowie i piśmie greką i łaciną z niezwykłą jak na kobietę biegłością. Rupert, jeśli odebrał tradycyjne wykształcenie szlachetnie urodzonego chłopca, w latach szkolnych musiał używać łaciny i greki częściej niż angielskiego. Octavia jednak jakoś wątpiła, by młody lord Rupert Warwick, czy kim tam naprawdę był, został wychowywany w sposób tradycyjny. Niemniej poruszał się z pełną swobodą w świecie starożytnej Grecji i Rzymu.

Jak zdobył to wykształcenie, nie mówił.

- Poczyniłem teraz takie postępy w tym artykule, że muszę napisać do moich wydawców, by zawiadomić ich o tym. Alderbury niecierpliwił się i naciskał, żebym go informował o postępach, kiedy ostatnio wymienialiśmy listy - powiedział radośnie Oliver, ocierając pióro.

Ta korespondencja urwała się trzy lata temu, pomyślała Octavia. Jednak przypominać o tym byłoby nieszlachetnie. Obraziłoby to tylko ojca, a poza tym, kto powiedział, że pan Alderbury nie czeka z zapartym tchem na kolejne doniesienie o postępach pracy?

Wstała.

- Myślę, że pójde się położyć. To był długi wieczór. Masz wszystko, czego ci trzeba, papo?

- Tak, dziękuję, moja droga. - Z uśmiechem ją pocałował, kiedy się nad nim pochyliła. - Jeszcze chwilę posiedzę. Może twój mąż zechce dotrzymać mi towarzystwa. - Odwrócił się do Ruperta z niewątpliwie figlarnym błyskiem w oku. - Ale też może nie.

- Racz wybaczyć, panie - Rupert ukrył zaskoczenie tym figlarnie przenikliwym spojrzeniem - ale czuję się nieco zmęczony.

- Oczywiście, oczywiście. Młodzi ludzie w dzisiejszych czasach nie mają wytrzymałości. - Oliver machnięciem ręki pozwolił mu odejść, a w oczach miał wciąż ten sam błysk. - Idź do łóżka, Warwick i zostaw mnie z moją filozofią.

- Dobranoc, panie. - Skłoniwszy się, Rupert odwrócił się i wyszedł za Octavią z pokoju.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Oliver Morgan uśmiechnął się sam do siebie. Z pewnością nie myśleli, że on nie wie, jak się sprawy naprawdę mają. Octavia nie mogła mieć go za takiego tępego idiotę, który nie zorientował się, że całe to małżeństwo jest gigantyczną mistyfikacją. Niemniej jednak, mistyfikacja czy nie, przywróciła jej należne miejsce w świecie. Nieważne, co za tym wszystkim stało, skoro najwyraźniej ta sytuacja odpowiadała jego córce. Nie zawracał sobie głowy dociekaniem, jaką pracę wykonywała, opuszczając go na długie godziny w czasie, gdy mieszkali w Shoreditch. Kiedy wracała, jego książki były wykupione z lombardu, jadali przy stole gospodyni, a w kominku płonął ogień. Ale cokolwiek robiła, żeby dokonać tych małych cudów, okupione to było straszliwym kosztem.

Teraz troska znikła z jej twarzy, jej oczy znów błyszcząły, a wzajemna ekscytacja między nią a lordem Rupertem była równie widoczna jak tęcza po ulewie.

Pozwolił, by książka zamknęła się i zsunęła mu się na kolana. Oparł się głębiej w fotelu, zamykając oczy. Być może powinien martwić się o reputację córki, o jej honor. Jednak te pojęcia utraciły znaczenie po Harrowgate. I jeśli nie zgłaszał obiekcji co do jej działań w Shoreditch, tym bardziej nie miał prawa kwestionować ich teraz.

Mrok ogarnął jego umysł, jak zawsze, kiedy tylko pomyślał o swej karygodnej głupocie, odrzucił więc tę myśl. Zmierzenie się z nią nie przynosiło niczego dobrego, a tylko niweczyło szansę na spokój ducha.

Octavia jest szczęśliwa. Tylko to się liczy. Oliver otrząsnął się z senności i wrócił do swoich książek.

- Nigdy właściwie nie powiedziałeś, jak zamierzasz doprowadzić do tego, że będę mogła się zemścić - powiedziała Octavia, podnosząc rękę, aby wyjąć szpilki z włosów. Była naga, a przy tym ruchu jej piersi uniosły się w górę.

Rupert, bez butów, choć nadal w kompletnym stroju, leżał na plecach na łóżku, z rękami założonymi pod głowę i z przyjemnością przyglądał się, jak się rozbiera.

- Na razie plan nie jest jeszcze w pełni ukształtowany.

- Ale masz plan? - Wyjęła podkładki, na których upięta była jej fryzura i potrząśnięciem głowy uwolniła cyjamonowe pukle.

- Jak najbardziej.

- I nie masz zamiaru mi o nim powiedzieć? - Wzięła szczotkę, przyglądając się badawczo jego odbiciu w lustrze.

Rupert roześmiał się i podniósł się z łóżka.

- Pozwól, że wyszczotkuję ci włosy.

Przeszedł przez pokój, jego bosa stopy tonęły w puszystym, tureckim dywanie. Stanął za nią.

Jego jedwabny strój dotykał nagiej skóry Octavii, skóry nagle tak wrażliwej, że pieścizota jedwabiu zdawała się ją ranić. Octavia zadrzała i spostrzegła w lustrze, że jej sutki uniosły się i stwardniały.

Wziął od niej szczotkę, którą zaczął rozczesywać długie, splątane loki.

- Zamierzasz mi powiedzieć?

- Na razie nie mam nic do powiedzenia. Nie rozpraszaj mnie teraz, bo liczę do stu.

Octavia zamilkła, poddając się uwodzicielskiemu działaniu pieścizoty. Zamknęła oczy, opuściła głowę i zapadła w zmysłowy trans, jej ciało kołysało się łagodnie jak wierzba na wietrze.

Kiedy przestał ją czesać, popatrzyła w lustro i napotkała jego wzrok. Wyraz twarzy miał poważny i skupiony. Zdecydowanym ruchem odłożył szczotkę na toaletkę i uniósłszy włosy z jej ramion, pozwolił im opaść na piersi. Sięgnąwszy ponad jej ramieniem, rozdzielił pasma włosów, wydobywając spomiędzy nich sutki. Przez chwilę wytrzymał jej wzrok w lustrze, miał teraz głębokie i ciemne jak węgiel oczy.

Otoczył rękoma jej talię, potem ujął w dłonie jej piersi, po czym przesunął dłonie wzdłuż żeber i położył na brzuchu. W lustrze ciało Octavii było białe jak alabaster na tle czarnego jedwabiu. Delikatne i bezbronne w swojej nagości. Serce zabiło Octavii mocniej, kiedy poczuła dotyk ud Ruperta na swoich pośladkach, a kolano wcisnęło się pomiędzy jej uda. Dotyk jedwabiu na

delikatnej skórze wewnętrznej strony jej ud, gdy kolano Ruperta przesuwano się w górę, powodował niezwykle dreszcz. Zagryzła wargę. Patrzyła w lustro, jak jej oczy stają się większe i zamglone, skóra różowieje, w miarę jak ogarnia ją coraz większe podniecenie. Widziała siebie, kiedy zbliżyła się do szczytu i widziała Ruperta, jak patrzy na nią.

Uśmiechnął się z wolna, z satysfakcją ciesząc się jej podnieceniem, w miarę jak narastająca w jej wnętrzu rozkosz tworzyła coraz ciasniej zwiniętą spiralę. Kiedy zdawało się, że już dłużej nie wytrzyma, dotknął jej dłońmi i spirala wystrzeliła. Octavia oparła się o niego, a on objął ją ramionami, śmiejąc się cicho z twarzą w jej włosach.

- Uwielbiam bawić się z tobą słodczy. Jesteś tak nadzwyczajnie wrażliwa.

- Posłuszna każdemu twojemu dotknięciu - wymamrotała Octavia, chichocząc cicho. - Jestem jak glina w twoich rękach, milordzie.

- W sprawach miłości. - Uściślił z udawaną powagą obejmując ją mocniej w talii i wspierając podbródek na jej głowie. - Co do innych spraw, nie byłbym taki pewny.

- A cóż to ma znaczyć? - Próbowała spojrzeć na niego z oburzeniem i powiedzieć to oburzoną tonem, ale i jedno, i drugie skończyło się żalnym niepowodzeniem.

- Och, doskonale wiesz. - Chwycił ją na ręce i przeniósł na łóżko.

- Jeśli chodzi ci o to, że dam sobą kierować, nie zadając pytań, to owszem. - Leżała tam, gdzie ją położył, a włosy tworzyły wokół niej połyskujący wachlarz.

- Cóż, może więc ograniczę się do dziedziny, w której moje przewodnictwo nie ulega wątpliwości - oświadczył Rupert wesoło, zrzucając z siebie ubranie w wyraźnym pośpiechu. - Przynajmniej na razie.

Nagi wskoczył na łóżko i objął jej uda swoimi.

- A teraz, madame, drzyj, bo zaraz się rozpuścisz!

- Och, już drzę - powiedziała, przesuwaną językiem po wargach i chwyciła dłonią jego nabrzmiałą męskość dotykającą jej brzucha. - Drzę aż po palce stóp.

Dotknęła opuszkami kciuka wilgotnej żołądki, a palcami zaczęła gładzić twarde kule.

- Co miałaś na myśli, mówiąc „na razie”? - spytała z błyskiem w oczach, pieszcząc go coraz mocniej. Jego jedyną odpowiedzią było westchnienie rozkoszy.

- Och, nieważne - mruknął, a jej uda poruszyły się pod jego ciężarem. - Chyba straciłem zainteresowanie zarówno pytaniem, jak i odpowiedzią... przynajmniej na razie.

Zegar na kominku wydzwonił czwartą. Ogień syczał i trzaskał. Poryw wiatru zatrzęsł okiennicami. Zza zasłon łoża dobiegały ciche pomruki rozkoszy, kiedy zapadali się w ciemność, z ciałami splecionymi w jedno, w absolutnej harmonii niedopuszczającej jakiegokolwiek rozdźwięku.

Czwarta godzina, spokój w mieście. Powtarzające się nawoływanie strażnika cichło za rogiem King's Street, kiedy Margaret Drayton wyszła z Almack's jako jedna z ostatnich gości balu. Była lekko podchmielona i wspierała się na ramieniu rosnącego, młodego dżentelmena, którego szklany wzrok i pewna sztywność rysów świadczyły o tym, że również nie jest trzeźwy.

- Gdzie jest moja karetka, Lawton? - chciała wiedzieć Margaret, wpatrując się w gwałtownie pustoszejącą ulicę. - Wysłałam cię, żebyś ją wezwał.

- Ależ tak uczyniłem, pani. Zapewniam cię, że tak uczyniłem. - Jej towarzysz gorliwie rozglądał się wkoło, jakby spodziewał się, że zaginiona karetka zmaterializuje się nagle przed nimi z powietrza.

- Czemu więc jej tu nie ma? - dopytywała się z irytacją jej lordowska mość, kuląc się w swojej pelerynie w porywach wiatru wiejącego z uliczki prowadzącej do King's Place.

- Służę moją karetką, Margaret.

Margaret odwróciła się, rozpoznając przyjemny głos hrabiego Wyndhama.

- Och, Philipie, myślałam, że poszedłeś do domu już wiele godzin temu.

- Grałem u Mount Edgecombe'ów - powiedział, zażywając tabaki. - Ale towarzystwo rozpięchło się nagle, kiedy jeden ze strażników jej lordowskiej mości doniósł, że oddział

gwardzistów szykuje się do najścia na dom. -Jego śmiech zabrzmiał wyraźnie i twardo w mroźnym powietrzu. - Oczywiście fałszywy alarm, ale cały entuzjazm opadł.

- Tak, mogę sobie wyobrazić. Lawton, okazałeś się wyjątkowym niedojdą. Radzę ci, byś poszedł do domu, do łóżka. - Margaret rezolutnie odprawiła nieszczęsnego młodzieńca.

- Wezwałem twoją karetę... zapewniam cię - protestował jej dotychczasowy towarzysz. - Nie mam pojęcia, gdzie mogła się podziać.

- Powiedziałbym, że zamieniła się w dynię - odezwał się hrabia. - Madame, moja karetka jest do twoich usług.

Podał lady Drayton ramię i oboje odeszli, pozostawiając jaśnie wielmożnego pana Michaela Lawtona, który spoglądał za nimi niepocieszony i lekko otumaniony.

- Ty wiesz, jak się zatroszczyć o wygodę damy, Wyndham - zauważyła Margaret z uznaniem, kiedy lokaj okrył jej kolana pledem i umieścił pod jej stopami gorącą cegłę. - Przy tobie kobieta nigdy nie będzie stać w deszczu bez parasola czy czekać na lektykę na wietrze ani też nie posadzą jej przy wiejskim stole na Piazza. Nie to, co ten biedny głupiec, Lawton.

- Nawiązujesz kolejny flirtik, Margaret? - spytał hrabia swobodnym tonem. - Nic na to nie mogę poradzić, że żal mi tego dziecka. Najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, że mogłabyś zjeść go na kolację.

Margaret się roześmiała.

- Och, tylko się zabawiałam, Philipie. Tak brakowało tam zajmującego towarzystwa... przynajmniej od czasu, gdy księżę Walii wyszedł. Doprawdy, sama nie wiem, czemu wciąż uczestniczę w tych nudziarstwach. - Delikatnie poprawiła muszkę na policzku. - Oczywiście trzeba bywać.

- Oczywiście - zgodził się hrabia. - I tak samo zabawiałaś się z Rupertern Warwickiem? - łudząco łagodny, wesoły ton znikł, a pytanie to spadł jak cięcie nożem.

- Ależ Philipie, o co ci chodzi? - spytała Margaret, śmiejąc się sztucznie i niepewnie. - Warwick to bardzo zajmujący dzentelmen.

- Chciałbym wiedzieć, kto jeszcze bawi się w tym ogródku - oznajmił hrabia zimno. - Jestem dość wybredny pod pewnymi względami, moja droga. I ośmielę się stwierdzić, że tobie to pojęcie nie jest znane.

Lady Drayton pobladła z gniewu pod warstwą różu, jej twarz przypominała jaskrawą maskę klauna.

- Nie mogę uwierzyć, że tak myślisz, milordzie.

- Dajże spokój, Margaret, nie jesteś taka głupia - powiedział hrabia, pochylając się, żeby ująć ją pod brodę. - Sądziłem, że postawiłem sprawę jasno. Życzę sobie wyłącznych praw do twojego ciała. Oczywiście z wyjątkiem żądań, jakie mógłby mieć twój małżonek - dodał z niedbałym gestem. - Godzę się z tym, że jako posłuszna i kochająca żona musisz zadowalać Draytona w jakikolwiek sposób on sobie życzy.

Uśmiechnął się anielsko z dobrotliwą wyrozumiałością, ale jego palce boleśnie ścisnęły jej brodę. Margaret jęknęła i spróbowała się uwolnić. Wtem powóz podskoczył na dziurze w bruku i rzuciło ją w przód, na kolana hrabięgo. Chwycił ją za przegub wolną ręką i trzymał tak nawet wtedy, kiedy już powóz jechał dalej równo.

- Jestem całkowicie gotów zrezygnować z naszego małego układu, jeśli tego chcesz. Jestem pewien, że się rozumiemy. - Puścił ją raptownie i odepchnął z powrotem na miejsce. - Nie korzystam z usług dziwek.

Zaszokowana Margaret wpatrywała się w jasną plamę jego twarzy. Jego zaborczość stawała się ostatnio coraz bardziej widoczna, ale nie traktowała jej poważnie. Ci, którzy leżeli u jej stóp, zbyt gorliwie zabiegali o względy, by ryzykować narażenie się na jej złość. Wiedziała, że Philip Wyndham jest inny i to stanowiło część jego powabu - to i jego hojność. Zawsze jednak uważała, że potrafi nad nim panować, tak jak panowała nad innymi. To było coś nowego i przerażającego. Zdarzało się już, że mężczyźni ją przerażali w czasach spędzonych w burdelu na King's Place, ale tam zawsze był dzwonek, którego mogła użyć i postawny lokaj, którego mogła wezwać. Tutaj, w ciepłej, kołyszącej się ciemności karety Wyndhama, powożonej przez jego służbę, nic jej nie chroniło.

- Rupert Warwick nic dla mnie nie znaczy - wyszeptwała, niespokojnie zerkając przez okno w

poszukiwaniu jakiegoś znanego znaku rozpoznawczego w ciemności. Odległość z Almack's do jej domu na Mount Street dało się pokonać o tej nocnej porze, kiedy ulice były puste, w piętnaście minut. A zdawało się, że oni jadą już godzinami.

Jej towarzysz nie odpowiedział na to zapewnienie. Oparł się na aksamitnych poduszkach i przyglądał się jej pustymi oczami, bez wyrazu, jak szare dziury w niewzruszonej płaszczyźnie jego twarzy.

Margaret zaczęła drżeć. Było tak, jakby znalazła się w obecności diabła.

- Czemu nie jesteśmy jeszcze na Mount Street? - wykrztusiła, kuląc się w kącie.
- Och, spieszysz się do domu, moja droga? Wybacz, myślałem, że uraduje cię małe tete-a-tete - uśmiechnął się.

Podejrzenie, które zakiełkowało w jej głowie, przerodziło się w pewność.

- Co się stało z moją karetą? Uśmiechnął się szerzej.
- Jak już powiedziałem, myślałem, że uraduje cię małe tete-a-tete.
- Odesłałeś ją? - chciała krzyknąć, ale była zbyt przerażona.
- Słuszny wniosek - stwierdził hrabia ironicznie. - Dziwię się, że tak długo trwało, zanim do niego doszłaś.

Zastukał w sufit powozu, na co stangret skrzyknął w prawo. Margaret uczepiła się uchwytu nad oknem.

- Zawieź mnie do domu.
- Ależ oczywiście - powiedział, unosząc brew jakby w zdziwieniu. - A myślałaś, że dokąd cię wiozę? Powinnaś być pod swoim domem za jakieś dwie minuty. Według mojej oceny skręcamy właśnie w Audley Street.

Margaret kulila się w swoim kącie, gryząc czubki palców w rękawiczkach. Była za bardzo przerażona, żeby się odezwać, a kiedy powóz zatrzymał się i w świetle lampy olejowej rozpoznała fronton własnego domu, otworzyła drzwiczki i wyskoczyła na ulicę, nie czekając nawet, aż lokaj opuści stopień.

Hrabia wychylił się z powozu.

- Wybacz, że nie odprowadzam cię do drzwi, moja droga.
- Nie życzę sobie już nigdy z tobą rozmawiać - oświadczyła Margaret głosem co prawda drżącym, ale w przyływie odwagi, która wróciła jej wraz z poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawały jej własne drzwi odległe zaledwie o trzy stopnie.

Hrabia dwornie skłonił głowę.

- Pozostawiasz mnie pogrążonego w smutku, madame.

Cofnął się w głąb powozu, zamykając za sobą drzwiczki.

Margaret wbiegła po stopniach i łomotała kołatką, dopóki zaspany nocny stróż nie dowlóknął się do drzwi, by jej otworzyć.

W drodze do domu na St James's Square Philip uśmiechał się sam do siebie. Był już zmęczony Margaret, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczył jej flirtującej z Rupertem Warwickiem. Najwyższy czas na nową przygodę. A z kim lepiej ją przeżyć, jak nie z młodą świeżą i porywającą żoną człowieka, którego instynktownie nie cierpiał.

Wyskoczył z karety z werwą pasującą raczej do późnego poranka niż do tej ciemnej, zimnej godziny przed świtem. Drzwi frontowe otworzyły się, zanim zdążył zastukać. Nocny stróż w domu hrabiego Wyndhama miał dość rozumu, by nie zasypiać na służbie i przez całą noc czekał na dźwięk podjeżdżającego powozu. Teraz już nie zamykał za hrabią drzwi na klucz, dla służby bowiem rozpoczął się właśnie dzień pracy.

Pucybut, rześki i wypoczęty po nocy spędzonej na zimnej, kamiennej posadzce pomywalni, wślizgnął się do holu z rejonów kuchennych, trąc zaspane oczy. Młodszy lokaj, jego bezpośredni przełożony, we wspaniałej liberii i pudrowanej peruce, z pękiem kluczy w dłoni pospieszył za chłopcem pootwierać salony, by pokojówki mogły zacząć codzienne sprzątanie.

Młodszy lokaj zobaczył hrabiego na moment wcześniej, zanim hrabia spostrzegł jego. Chwycił pucybuta za kołnierz i wepchnął go w cień pod schodami, gdzie chłopak przesiedział, dopóki hrabia nie znalazł się na schodach, gdzie już nie mógł go zobaczyć. Nie wolno obrażać wrogu hrabiego Wyndhama widokiem siedmioletniego chłopca o zmierzwionych włosach i brudnych rękach, w nieświeżym fartuchu, pętającego się po reprezentacyjnej części domu, nawet o piątej rano.

Philip skierował się do swoich apartamentów, gdzie jego osobisty lokaj czekał na niego w postawie wyrażającej czujność i oddanie pomimo bezsennie spędzonej nocy.

- Przyjemnie spędziłeś wieczór, milordzie?

- Tak, dziękuję.

Hrabia rzucił się na fotel i wyciągnął przed siebie nogi. Lokaj schylił się, by zdjąć jego lordowskiej mości pantofle, po czym troskliwie dopomógł mu wydostać się z fraka.

Jeden rzut oka na wyraz twarzy chlebobdawcy powiedział doświadczonemu słudze, że rozmowa nie jest mu miła, zajął się więc swoimi obowiązkami w milczeniu, a kiedy już jego lordowska mość został ustrojony w aksamitny szlafrok, lokaj odsunął zasłony wokół łoża i odwinął kołdrę. Stał wyczekująco przy łóżku, podczas gdy hrabia, marszcząc brwi, krążył po pokoju.

- Och, to wszystko, Fredericks. - Hrabia odprawił go machnięciem dłoni. - Potrafię położyć się do łóżka.

- Doskonale, milordzie. - Lokaj, gnąc się w ukłonie, wycofał się z sypialni, a kiedy tylko znalazł się za drzwiami, wyprostował się z grymasem. Hrabia źle sypiał i nigdy nie można było mieć pewności, czy prześpi dwie godziny, czy sześć. Tego ranka zdawał się tryskać energią, co prawdopodobnie oznaczało, że zadzwoni znowu za dwie godziny, oczekując, że Fredericks zjawi się, aby mu asystować tak świeży i uważny, jakby przespał całą noc. W tej sytuacji mógł sobie pozwolić tylko na drzemkę na swojej pryczy na strychu, zanim przygotowuje się na następne wezwanie swojego pana.

Philip przez chwilę chodził po sypialni. Spotkanie z lady Warwick, a następnie konfrontacja z Margaret podnieciły go. W łędźwiach czuł ciężar, krew miał rozgrzaną pożądaniem, które domagało się zaspokojenia. Przed oczami stanął mu obraz smukłej sylwetki żony Ruperta Warwicka, figlarne iskierki w jej oczach zdające się świadczyć o porozumieniu, jej uśmiech i dyskretnie osłonięte piersi. Miała w sobie świeżość, która podniecała go najbardziej. I chyba była skłonna odegrać rolę inną niż rola prostolinijnej, niewinnej świeżo poślubionej małżonki.

Jak Rupert Warwick przyjmie swoje rogi? To pytanie rozbawiło Philipa. Jego wzrok powędrował ku drzwiom łączącym jego apartamenty z sypialnią żony. Nie było to pytanie, które on sam musiałby sobie zadawać. Krew miał coraz gorętszą, aż jego skóra pokryła się potem. Jego męskość uniosła się pod szlafrokiem, pulsując nagłą potrzebą zaspokojenia.

Miał żonę. Żonę niezadowolającą pod każdym względem, ale jej ciało było tuż, dostępne, służące mu na każde zawołanie. Podeszedł do drzwi, szarpnięciem otworzył je na oścież i wszedł do mrocznej komnaty.

Zasłony wokół łoża były zaciągnięte. Odsunął je.

Letitia obudziła się, kiedy drzwi omal nie wyskoczyły z zawiasów i teraz leżała drżąc pod kołdrą. Wiedziała, po co przyszedł. Zacisnęła powieki, kiedy odsunął zasłony, czuła jego obecność obok łóżka. Zawsze brał ją w ten sposób, zwłaszcza odkąd poczęła Susannah. Zawsze zniecałk, w środku nocy, budząc ją ze snu. Ile to nocy leżała bezsennie do świtu, w strasznym niepokoju, wyciągając słuch w ciemności, czekając na taką wizytę.

Nigdy się do niej nie odzywał, czasem tylko, boleśnie przebijając na wylot jej ciało, używał wulgarnych, plugawych słów, a taki język podniecał go do jeszcze większej brutalności. Nigdy nie miała nawet cienia złudzeń, że ona jest w tym wszystkim ważna. Jej obowiązkiem było zaspokajanie zachcianek męża.

Łóżko zadrżało, kiedy zwałił się ciężko na materac. Podniósł jej koszulę, potem chwycił ją za rękę i wyciągnął je nad głowę. Wepchnął się w nią, a pod powiekami Letitii zebrały się łzy bólu nie do zniesienia.

Kiedy było po wszystkim, wyszedł bez słowa, nie zaciągając nawet z powrotem zasłon, mogła więc widzieć w oknie pierwsze różowe promienie brzasku zapowiadające nowy, jasny dzień.

Letitia leżała w swej nędzy, z otwartymi oczami, z których płynęły gorące łzy. Takie było jej życie, a ona nic nie mogła na to poradzić. Nie miała do kogo się zwrócić. Jej ojciec nie chciał nawet słuchać narzekań na męża. Mąż był jej panem i władcą wobec Kościoła i prawa, a to, jak ją traktował, było wyłącznie sprawą jego sumienia. Książę Gosford nie miał tu nic do powiedzenia. Świat nie miał nic do powiedzenia.

Żadnego umówionego obiadu dziś wieczorem, Octavio?

- Nie. Pomyślałam, że dogodzę sobie choć raz. Pragnę odrobiny ciszy i spokoju. - Octavia odwróciła głowę opartą na krawędzi wanny i poprzez wonną parę uśmiechnęła się do Ruperta stojącego w drzwiach. - Mógłbyś wejść, bo robisz przeciąg. Rupert wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Nell, twoja pani zawoła cię, kiedy będzie cię znów potrzebować.

Nell, prasująca fałdy sukni z ciemnozielonego jedwabiu, nie okazała zdziwienia. Rzut oka na lorda Ruperta przyglądającego się z uwagą nagiej lady Warwick w wannie wystarczył, by miała pewność, że jej obecność jest tu zbyt duża. Poprawiła suknię na wieszaku, dygnęła i dyskretnie wymknęła się z pokoju.

Rupert przyciągnął sobie do wanny ustawionej przy kominku wyściełany taboret. Przyzwyczał się już do zamyłowania Octavii do kąpieli, choć było ono równie niezwykle jak jej odmowa, by używać farby i pudru.

- Jeśli zamierzasz się bawić, zniszczysz sobie frak - zauważyła Octavia srogo. - Woda i aksamit to kiepska kombinacja, milordzie.

- Łatwo rozwiązać ten problem - powiedział, zdejmując frak z połyskliwego, czarnego aksamitu i czarną, jedwabną kamizelkę, którą miał pod nim. Ostrożnie ułożył obie części garderoby na łóżku, po czym rozpiął maleńkie guziczki ukryte w koronkowych falbanach zdobiących rękawy koszuli i podwinął je do łokci.

- Możesz zachłapać sobie spodnie - powiedziała Octavia tym samym tonem, pluskając palcami o powierzchnię wody.

- Zaryzykuję. Co zrobiłaś z mydłem?

- Och, już się namydliłam - powiedziała z rozmarzeniem.

- Musisz więc być namydlona dwukrotnie - oznajmił, siadając na taborecie przy wannie i schylając się po lawendowe mydło leżące w mydelniczce na podłodze. - Skąd by tu zacząć...

Octavia zachichotała i przestała oponować, jej ciało było posłuszne jego instrukcjom. Rupertowi zawsze zabawa z nią sprawiała ogromną przyjemność, a ona sama czuła wtedy, że jej umysł odłącza się od ciała, które poddaje się czystej, zmysłowej rozkoszy.

Wiedziała, że Rupert chciałby, aby pamiętała o tej zabawie przez cały wieczór, aby jej ciało, podniecone i wrażliwe, czekało niecierpliwie na moment, kiedy obietnica zawarta w tych żartobliwych pieszczotach zostanie spełniona. Rupert będzie spoglądał na nią od czasu do czasu, ocierał się o nią przypadkiem, mrucał jej do ucha, a ją, już na granicy roznamiętnienia, ogarnie nieposkromiona żądza. Wtedy Rupert uśmiechnie się i odejdzie, dokładnie wiedząc, co zrobił, wiedząc, że kiedy wreszcie zostaną sami, wystarczy muśnięcie jego palców, a ona uleci w otchłań.

- Gdzie będziesz na kolacji dziś wieczorem? - Próba podtrzymania zwykłej konwersacji była częścią gry.

- U wicehrabiego Lawtona jest małe zebranie towarzyskie - odparł takim samym, swobodnym tonem, podczas gdy jego dłonie niestrudzenie posuwały się dalej. - Obiecał pewną lekką rozrywkę.

- Innymi słowy, kobiety.

- Możliwe - zgodził się. - Towarzystwo akrobatek, jak sądzę. Księżę Walii jasno dał do zrozumienia, że gustuje w tego rodzaju widowiskach, a Malcolm zapewnił mnie, że trzy damy zatrudnione na dzisiejszy wieczór zapewnią spektakl, który zadowoli najbardziej lubieżną wyobraźnię.

Wyjął rękę z wody i przesunął czubkiem palca po jej wargach.

- Zdaje się, że któraś z nich specjalizuje się w biczowaniu, a to jedna z najbardziej wyrafinowanych rozkoszy Jego Wysokości.

Octavia zachichotała, liżąc koniuszek jego palca.

- Woli być stroną czynną czy bierną?

- Och, ani jedno, ani drugie albo jedno i drugie, w zależności od nastroju - odrzekł swobodnie Rupert. - Niestety, spodziewa się, że jego towarzysze będą uczestniczyć w tym przedstawieniu z równym zapalem, myślę więc, że wymówię się, zanim zabawa rozkręci się na dobre. - Sięgnął po wielki ręcznik, ułożył go sobie na kolanie i przysiadł na niskim stołku. - Chodź.

- Przyjdiesz tu później na grę? - Octavia wstała w deszczu kropel i ostrożnie wyszła z wanny, by usiąść na kolanie Ruperta.

- Oczywiście. - Owinął ją ręcznikiem i zaczął wklepywać w niego wodę z jej skóry. - A za mną większość gości Lawtona, mam nadzieję. Kiedy już znudzą się cielesnymi popisami tria dziwek.

- Myślałam, że akrobatki uważają się za coś więcej niż dziwki. - Octavia posłusznie pochyliła się w przód, żeby Rupert mógł wytrzeć jej plecy. - Przecież nie sprzedają swoich ciał, prawda?

- Nie, jedynie w trakcie występu zachowują się w tak sprośny i zdeprawowany sposób, o jakim marzy każdy śliniący się idiota. Wstań, żebym mógł cię wytrzeć do reszty.

Octavia posłuchała go, starając się z trudem podtrzymać konwersację, kiedy ręcznik dotykał jej pośladków i ud.

- Śliniący się, aroganccy i zarozumiali idioci - oświadczyła, choć głos wiązał jej w gardle. - Robimy z nich głupców, a oni nigdy nie zorientują się, że możemy nie być tym, kim się wydajemy.

Wziąwszy ją za biodra, odwrócił przodem do siebie, a jej zaświtała myśl, że jednak przegra tę szczególną potyczkę. Rupert roześmiał się i odchylił w tył, spoglądając na nią z rozbawieniem, ale i z pożądaniem.

- Możesz mieć dla mnie litość, słodczy?

- A czy ty mógłbyś zważyć na moje życzenia? - Jej głos nie zabrzmiał tak, jak chciała. Całe jej ciało domagało się obiecanego rozkoszy i chciała jej doznać tu i teraz, choć wiedziała, że to pozbawi ją długich godzin oczekiwania w stanie pobudzenia, co samo w sobie było nadzwyczaj przyjemne.

- Och, mógłbym - powiedział z namysłem. - Ale myślę, że zostawię sprawy tak, jak są.

Octavia, dysząc, pospiesznie usunęła się poza zasięg jego dłoni... zbyt pospiesznie. Krawędź wanny podcięła ją pod kolanami, a ona runęła do tyłu, bezładnie wymachując rękami i nogami, w rozbryzgach mydlin.

- Niezdara - stwierdził Rupert, karcąco kręcąc głową nad nieprzystojnie rozciągniętą Octavią. - Teraz będę musiał zaczynać wszystko od początku.

- O nie! - Pozbierała się. - Idź sobie, panie, i przyślij do mnie Nell.

Roześmiał się ubawiony jej oburzeniem, które tylko w połowie było udawane. Wziął ją pod brodę i pocałował, po czym z powrotem założył kamizelkę i frak.

- Wrócę najpóźniej o jedenastej. Nie myślę, żeby poważne sprawy miały zacząć się wcześniej, ale w razie czego będziesz w stanie zabawić pierwszych gości w swój niepowtarzalny sposób, moja droga.

Octavia owinęła się ręcznikiem. Salon Warwicków na Dover Street miał do zaoferowania dwie podniety. Flirt z wielce zajmującą lady Warwick oraz grę o wysokie stawki, którą zapewniał lord Rupert. Dzięki temu udało im się zwabić do swego domu większość młodych członków towarzystwa z księciem Walii na czele.

Zwabić i zrobić z nich głupców, pomyślała Octavia, kiedy za Rupertem zamknęły się drzwi.

Hazard był wbrew prawu, pozostawał jednak najpowszechniejszą i najbardziej kosztowną rozrywką w Londynie. Octavia nie była zdziwiona, odkrywszy, że Rupert jest w tej dziedzinie mistrzem. Mistrzem gotowym wyssać majątek z każdego młodzieńca, który okazałby się dość chętny i niedoświadczony, by mu na to pozwolić. Był to jeden ze sposobów zdobywania środków na utrzymanie domu. Octavia nie miała takich umiejętności, nie widziała nic pociągającego w ryzykowaniu fortuny w zależności od ułożenia kart czy rzutu kostką, grała więc rolę uroczej flirtarki, gospodyni, która ciepło witała i ugaszczala każdego, kto przyszedł zagrać w jej salonie i zmierzyć się na spryt i siłę nerwów z jej mężem.

Było to zabawne zajęcie pomimo całej śmiertelnej powagi celu, jakiemu służyło. Ci próżni pozerzy, ci durnie zasługiwali na to, by ich wystrychnąć na dudka. Mężczyźni z którymi

flirtowała, nigdy nie zgłaszali najmniejszych zastrzeżeń wobec jej często grubymi nićmi szytych pochlebstw. Kobiety, które wdzięczyły się wobec grzecznościowych awansów Ruperta, nigdy nie okazały choć cienia podejrzeń, że komplementy mogą nie być szczerze. Chciwość, przekonanie o własnym znaczeniu i próżność dworu Jerzego III nie mieściły się w głowie, przynajmniej Octavii, która była bystrą obserwatorką. Nie miała skrupułów, wykorzystując słabości dworaków przeciwko nim samym, i wiedziała, że Ruperta również nie gryzie z tego powodu sumienie. Gra była zabawna, ale również wyczerpująca. Po długim wieczornym przedstawieniu Octavia czuła się wykończona, z radością więc powitała perspektywę kilku spokojnych godzin, zanim kurtyna pójdzie w górę. Zje obiad z ojcem, który znów stał się sobą, zajmującym i dzielącym się z nią swą wiedzą towarzyszem jej dzieciństwa. A kiedy Griffin zapowie pierwszych gości, będzie odświeżona i gotowa sprostać nowym wyzwaniom.

Dirk Rigby i Hector Lacross byli za starzy jak na świętę księcia Walii, ale obaj nosili się w stylu, jaki przystoi mężczyznom o dziesięć lat młodszym. Mieli kamizelki w jaskrawe pasy, wysokie, pudrowane peruki, mnóstwo łańcuszków i szpilek oraz wyszywane złotem fraki. Płaszczyli się przed królewiczem, śliniąc się z entuzjazmu jak para niecierpliwych szczeniaków.

Oderwanie wzroku od ludzi, którzy zrujnowali jej ojca, okazało się dla Octavii trudne. To tylko dwie osoby spośród wartkiego strumienia gości wlewającego się na Dover Street, odkąd zegar wybił dziesiątą, ale jej wzrok nieustannie powracał do nich i nadstawiała uszu, by uchwycić ich rozmowę kiedy tak krążyła po salonie, zachęcając gości do zajęcia miejsc przy stołach do gry w faraona i para-niepara.

- Jesteś trochę zdekoncentrowana, Octavio - przestraszył ją głos Ruperta mówiącego jej do ucha. - Księżę Walii mrugał do ciebie i przywoływał cię przez ostatnie cztery minuty, a ty ani razu nie spojrzałaś w jego kierunku.

Octavia zawstydzona spojrzała przez pokój tam, gdzie królewicz siedział przy stole do faraona, machając do niej wachlarzem ze skóry kurczęcia. Uśmiechnęła się i odmachala mu, szepcząc w roztargnieniu:

- Wybacz. To tylko dlatego, że po raz pierwszy widzę...

- Wiem - przerwał jej cierpko. - Ale to moje gołąbki, nie twoje. A jeśli nie przestaniesz gapić się na nich w ten sposób, ściągniesz uwagę na nich i na siebie.

Zbesztana Octavia tylko skinęła głową i oddaliła się posłuszna wezwaniom królewicza. Rupert może sobie mówić, że jej wrogowie są jego gołąbkami, ale tego wieczoru nie podjął żadnej szczególnej próby, by wspomóc ich hodowlę. Nawet z nimi nie zagrał. Na początku myślała, że planuje odegrać majątek jej ojca przy stole karcianym, ale teraz zorientowała się, że było to naiwne założenie. Zbyt wiele zależałoby w takim planie od przypadku, by mógł on być zaakceptowany przez kogoś takiego jak Rupert, który na zimno snuł swoją intrygę. Lord Nick na srebrnym wierzchowcu lubił podejmować ryzyko, lubił kusić los, ale lord Rupert Warwick był zwolennikiem lodowatej klarowności planującym swe posunięcia w najdrobniejszych szczegółach.

Rupert ukradkiem przyglądał się Octavii, która stanęła u boku księcia Walii i roześmiała się z jakiegoś niewątpliwie doskonałego królewskiego dowcipu. Jego ciało drgnęło na wspomnienie wcześniejszej zabawy w wannie i myśl, co ta zabawa obiecywała później.

Tego wieczoru Octavia wyglądała jeszcze bardziej olśniewająco niż zwykle, w sukni z ciemnozielonego jedwabiu z kokardami ze wstążki w kolorze kości słoniowej. Jej rozpuszczone włosy opadały w błyszczących pierścieniach na kremowe ramiona. Szmaragdowe kolczyki i naszyjnik były tak doskonałą imitacją, że nikt poza nimi dwojgiem nie byłby w stanie domyślić się, że są fałszywe.

Grała swoją rolę, jakby była do niej stworzona: wyzywająco niekonwencjonalna, młoda żona, zawsze gotowa powitać nowych gości, każdym gestem sugerująca, że jest otwarta na wszelkie propozycje zabawy, bez względu na to jak ryzykownej. Rupert grał zadowolonego męża flirtującego ze swoją żoną równie poufale jak wszyscy inni i otwarcie z każdą kobietą, która mu się nawinęła.

Byli najbardziej rozchwytywaną i atrakcyjną parą sezonu, a ku zadowoleniu wszystkich i niczyjej trosce siewcy plotek mieli używanie.

Czasami, kiedy Rupert patrzył, jak ona śmieje się i flirtuje, kiedy widział chciwy wzrok utkwiony w jej piersiach, zaborcze ręce wyciągające się do niej, robiło mu się niedobrze na myśl o jej pachnącej, adamszkowej skórze zbrukanej takimi awansami, na myśl o lubieżnych fantazjach kryjących się za każdym dotknięciem, w każdym wygłodniałym, pożądliwym spojrzeniu. Wspaniałości jej ciała należały do niego i z niesmakiem odwracał się od kontemplowania żądy innych mężczyzn. A była ona konieczna.

Rupert poszukał wzrokiem Philipa. Hrabia stał przy kominku i także przyglądał się Octavii znad kielicha wina. Philip Wyndham nie był poważnym graczem, ale to nie przeszkadzało mu bywać na Dover Street. A Octavia zarzucała na niego sieci jak doświadczony rybak.

Rupert nie mógł myśleć o rękach swojego brata bliźniaka biorących w posiadanie złote ciało Octavii. Pomyślał więc o szmaragdach Wyndhamów. Gdyby miał to, co mu się z urodzenia należy, to nie fałszywe klejnoty zdobiłyby szyję Octavii. Wsunął dłoń do kieszeni spodni. Jego palce przelotnie musnęły jedwabną sakiewkę, wyczuły mały, okrągły kształt obrączki Wyndhamów.

Mówiono, że tradycja obrączek Wyndhamów sięga czasów wypraw krzyżowych, ale ich geneza ginęła w mrokach historii. Każdy syn hrabiego miał swoją obrączkę, którą wsuwano mu na palec, kiedy tylko została przecięta pępowina. Zwyczaj nakazywał zobowiązać w ten sposób dziecko do przedkładania honoru rodu ponad wszelkie inne zobowiązania. Kiedy chłopiec dorastał i rodził mu się syn, obrączkę wraz ze zobowiązaniem przekazywał jemu. Ponieważ przypuszczano, że lady Wyndham nosi w łonie bliźnięta ich babka, dama o kapryśnym charakterze, nakazała wykonać dwie identyczne obrączki z dziwnym wzorem, które w fantastycznym zamyśle miały związać chłopców ze sobą nawzajem takim samym zobowiązaniem, jakim obaj złączeni będą z rodem. Fantazja prysła wraz z ich pierwszym oddechem.

Gervase jako najstarszy nosił obrączkę hrabiego i zgodnie ze zwyczajem, jako że zmarł bezpotomnie, zabrał ją do grobu. Teraz Philip miał obrączkę reprezentującą tytuł hrabiego Wyndhama. A przynajmniej myślał, że ją ma.

Usta Ruperta wykrzywił ponury uśmiech. Octavia przyniesie mu obrączkę Philipa. Tylko bliźniacy znali sekret wzoru. Kiedy Philip zobaczy obie obrączki w posiadaniu Ruperta, rozpozna brata. A to go zniszczy. Rupert pragnął zobaczyć jego twarz w chwili, gdy rozpozna swojego brata bliźniaka i pojmie, co jego powrót oznacza. Będzie to chwila słodkiej zemsty, rekompensata za całą nędzę dzieciństwa.

Dzięki Octavii ta chwila stanie się możliwa.

To przekonanie przywróciło mu chłodny spokój, mógł więc przyjrzeć się Rigby'emu i Lacrossowi, nowym gościom na Dover Street. Grali w faraona i tego pili. Przy tym samym stole siedziało dwóch młodzieńców i Rupert nabrał przekonania, że Rigby, który trzymał bank, wyznaczył ich na rzeź.

Rupert nie miał nic przeciwko tym, którzy wygrywali dużo. W rzeczy samej, aby jego dom gry stał się popularny, potrzebował ich. Zawsze miał radę światowca i odrobinę współczucia dla niedoświadczonych młodych ludzi, którzy odchodzili od jego stołu w samej koszuli. Był jednak przeciwny oszukiwaniu. Z drugiej strony nie chciał prowokować Dirka Rigby'ego. Ponieważ jego chciwość była bronią, którą Rupert zamierzał zwrócić przeciwko niemu samemu, należało ją w nim podsycać. W tym jednak szczególnym wypadku można było go poskromić.

Podszedł niespiesznie do stołu i stanął pomiędzy dwoma młodymi ludźmi o twarzach czerwonych od wina, którzy żywiołowo bazgrali nierozważne zobowiązania do pokrycia długów.

- Panowie - wycedził, kładąc każdemu z nich rękę na ramieniu - wołałbym, aby w moim domu nie podpisywano zobowiązań. Obawiam się, że gramy tylko na złoto.

Obaj spojrzeli na niego zdezorientowani i napotkali jego spokojny wzrok, pod którym zaczęli wiercić się na pozłacanych krzeselkach.

- Och, daj spokój, Warwick, odkąd to nie można przyjmować zobowiązań? - chciał wiedzieć Lacross.

- Uważam, że to nużące - powiedział Rupert łagodnie, zażywając tabaki. - Co za nonsens, biegać za dłużnikami... - Znow zerknął na dwóch młodzieńców z leniwym półuśmiechem igrającym na wargach. - Jeśli macie pieniądze, panowie, gorąco zapraszam do pozostania przy stole. Jeśli nie... - Rozłożył ręce w geście wyrażającym rezygnację. - Jeśli nie, muszę poprosić was, byście wyszli.

- Ty... ty sugerujesz, że nie spłacę swoich długów- wybuchnął jeden z młodzieńców z

ciemnym rumieńcem na twarzy. - Coś ci powiem, panie. Obrażasz mnie. Żądam satysfakcji.

- Ależ nie bądź śmieszny, Markham - odparł Rupert. - Nikt cię nie obraża, chłopcze. Mówię tylko, że grasz pod moim dachem, i to ja ustanawiam zasady. Ośmielę się powiedzieć, że nie znałeś tych zasad, przystępując do gry. Teraz natomiast je znasz, wybór należy więc do ciebie. Jeśli stać cię na to, żeby grać, bardzo proszę, graj. Jeśli cię nie stać, obawiam się, że muszę życzyć ci dobrej nocy.

Obaj młodzi ludzie, purpurowi ze wstydu, wstali od stołu, skłonili się niezręcznie zgromadzonemu towarzystwu i wyszli.

- Ostro, Rupercie - odezwał się Peter Carson obserwujący ich żalose wyjscie.

- Młodzi głupcy. - Rupert skwitował całe zajście wzruszeniem ramion. - Nie powinni grać z dorosłymi. Jakoś to przeżyją. Na dłuższą metę łatwiej znieść utratę godności niż długotrwały pobyt we Fleet.

Odwrócił się do wyraźnie zirytowanych Lacrossa i Rigby'ego.

- Czy możemy otworzyć po dwieście gwinei, panowie? Proszę, napełnijcie kielichy. - Przywołał gestem lokaja z karafką kłaretu. - Zacznijmy na nowo i zagrajmy vabank. Lacross, grasz także? Peter, zechcesz się przyłączyć?

Rigby zbierał rozrzucone po stole zobowiązania i upychał je w kieszeni fraka.

- Ustanowiłeś dość ekscentryczne zasady przy swoich stołach, Warwick.

Rupert roześmiał się swobodnie i zajął miejsce.

- Pełne zapału szczeniaki staną się prawdziwymi graczami, Rigby, tylko wtedy, jeśli nie zrujną się na samym początku.

Rzucił garść złotych gwinei na stół, gdzie połyskiwały w świetle lamp. Fortuna beztrudnie rzucona przed chciwe oczy Rigby'ego i Lacrossa.

Hector Lacross wybuchł krzykliwym śmiechem i w zapale przewrócił kielich kłaretu. Czerwone wino rozlało się na stole i zaczęło ściekać na woskowaną podłogę. Lokaj pospieszył czym prędzej uprzątnąć bałagan, podczas gdy drugi napełnił z powrotem kielich.

Rupert zignorował wypadek, przekładając karty z wyrazem twarzy łagodnym jak mleczny pudding.

- Muszę powiedzieć, że wolę pewniejszą drogę do pełnych kieszeni niż poleganie na braku doświadczenia dzieci i niemowląt - zauważył.

- Tak? - Lacross pochylał się nad stołem, rozbieganymi niebieskimi oczkami usiłował przeniknąć Ruperta. - A jakąż to, Warwick?

Rupert się uśmiechnął.

- Zawsze się znajdzie sposób. Gramy, panowie?

Octavia słyszała niepohamowany śmiech przeplatany lekkim tonem Ruperta. Usiłowała nie okazywać ciekawości i całą uwagę poświęciła księciu Walii, wiedząc, że tuż za nią stoi Phillip Wyndham. Czula jego wzrok na plecach, jakby ją naznaczał rozpalonym żelazem. Było coś niepokojącego w jego bezruchu, w emanującej z niego skupionej determinacji. Niczego nie sugerował, nie wdawał się we flirt, ale zawsze był w jej pobliżu. Zastanawiała się, czy czeka, aż ona zrobi pierwszy krok w jego stronę, da mu znak, że zauważa to zainteresowanie. Jednak instynkt powstrzymywał ją przed takim rozwiązaniem. Wyczuwała, że bardziej przyciągnie go do siebie okazywaniem obojętności niż sztuczną afektacją, którą widziała wokół. Może obawiała się trochę Philipa Wyndhama, ale nie przyznawała się do tego nawet przed samą sobą.

- Lady Margaret Drayton - zaanonsował Griffin od drzwi. Octavia odwróciła się gwałtownie. Jedynie kobiety, które nie liczyły się specjalnie z opinią, bywały przy stołach do gry w salonie Warwicków, ale Margaret Drayton, która z opinią liczyła się najmniej, jeszcze się to do tej pory nie pokazała.

Rupert natychmiast poderwał się od stołu i zmierzał ku niej, wyciągając ręce.

- Moja droga madame, zachwycająca jak zwykle. - Ujął jej dłonie w swoje i uniósł do ust. - Wielki to zaszczyt dla naszych skromnych progów.

- Sir Rupert, jakie piękne słowa - odrzekła Margaret, składając dworski ukłon. - Słyszałam, że odbywa się tu najostrzejsza w mieście gra w para-niepara.

- Nie zawiedziesz się - obiecał Rupert, prowadząc ją do stołu. - Ale najpierw usiądź koło mnie przy stole do faraona. Jestem w trakcie rozgrywki, którą muszę dokończyć.

Octavia zerknęła na Philipa. Jego rysy były jakby wyciosane w granicie, oczy miał jak szare

punkty. Była to twarz gładka i piękna jak zwykle, pod białą peruką, ale Octavia miała w pamięci twarz maskarona, ohydną i zniekształconą.

- Zdaje się, że twój mąż uważa lady Drayton za wielce zajmujące towarzystwo - rzucił, podchwytną jej spojrzenie.

- Nie on jeden - odrzekła swobodnie Octavia z wdzięcznym wzruszeniem ramion.

- Tak, to prawda, droga madame - parsknął śmiechem książę Walii, wychylając się w swoim krześle, by chwycić ją za rękę. - Najsłynniejsza w mieście Margaret. Ale coś ci powiem - zniżył głos do scenicznego szeptu, jego oczka błyszczały w fałdach tłuszczu spoconej twarzy - do pięt ci nie dorasta, droga pani. Do pięt! - co powiedziawszy, ryknął śmiechem niezmiernie z siebie zadowolony i ucałował jej dłoń.

- Jesteś nazbyt łaskawy, panie - mruknęła Octavia, czekając cierpliwie, aż skończy obślinać jej rękę i będzie mogła ją zabrać.

Znow spojrzała na Ruperta i Margaret. Rupert szeptał coś do ucha Margaret, opierając dłoń na jej nagim ramieniu. Jak na mężczyznę, który deklaruje obojętność wobec damy, okazywał jej znacząco wiele względów. Więcej niż jakiegokolwiek z innych licznych dam, z którymi flirtował. Powiedział, że chce sprowokować Philipa, aby ten zainteresował się Octavią, ale to już zostało osiągnięte. Po co więc to ciągle dotykanie i czułości, i sekretne szeptki?

Z drugiej jednak strony czemu nie? Nie istniały żadne przeszkody, które mogłyby go powstrzymać przed romansem z Margaret Drayton. Ani lojalność małżeńska, ani nic podobnego. On i Octavia byli tylko współnikami dążącymi do jednego celu. Rupert to mężczyzna namiętny, z ogromnym cielesnym apetytem - może jedna kobieta nie wystarcza, by go zadowolić. Była to tak wstrętne myśl, że Octavia odsunęła ją od siebie.

- Twój mąż najwyraźniej podąża wydeptaną ścieżką - zauważył łagodnie Philip, stając za jej plecami. - Wkrótce jednak okaże się ona zbyt nużąca.

- Doprawdy, panie - mimo woli w jej głosie zabrzmiał wyniosły ton. Pozorne współczucie Philipa wydało się jej głęboko obraźliwe i dopiero musiała przypomnieć sobie o roli, jaką gra, by móc beztrudnie się uśmiechnąć. - Nie grasz, lordzie Wyndham? - wzięła go pod rękę. - Pozwól, że dziś wieczór przyniosę ci szczęście. Chciałbyś zagrać w faraona czy w para-niepara?

- Niezbyt pociąga mnie jedno i drugie, pani - odparł. - Może raczej w pikietę?

- A co byś powiedział na trik-traka? - Zerknęła na niego spoza rzęs wstydliwie, ale figlarnie. - To wstrząsające wyznanie, wiem, ale jestem beznadziejnym graczem. Warwick jest mną zrozpaczony. Ale w trik-traka gram całkiem znośnie.

Philip Wyndham roześmiał się szczerze ubawiony i jego ponury nastrój pierzchnął. Już raz czy dwa zdarzyło się Octavii poczuć ciepło jego akceptacji i za każdym razem coś ją ciągnęło do niego wbrew woli i instynktowi. W takich momentach przypominał jej coś, a może kogoś, a to skojarzenie było wyłącznie przyjemne. Nie mogła tylko określić, co to takiego.

- Zatem zagrajmy w trik-traka, madame. Nie grałem od wczesnego dzieciństwa, obawiam się więc, że będziesz mieć przewagę.

- Och, nie będziemy grać o poważne stawki - pocieszyła go, prowadząc do małego stolika pod oknem, z rozłożoną planszą do gry w trik-traka.

- Myślę, że powinniśmy zagrać o coś wartego przegranej - powiedział Philip, siadając przed planszą.

- Albo może o coś wartego wygranej? - zasugerowała Octavia, przerzucając kostkę z ręki do ręki.

- Co chciałbyś wygrać, lordzie Wyndham?

- Wierzę, że wiesz, madame - powiedział łagodnie, wpatrując się w jej usta. - Ale czy możemy zacząć od pocałunku?

A więc teraz wszystko było jasne. Gra rozpoczęta. Może jeśli mogłaby znaleźć się blisko niego, choćby w zwykłym uścisku, byłaby w stanie odkryć, gdzie trzyma obrączkę. Może mogłaby wtedy wydobyć ją bez konieczności zbliżania się do niego bardziej.

Octavia spojrzała na swoje palce, zastanawiając się, czy nie utraciły nic ze swej zręczności. Kiedy ostatnio miała okazję posłużyć się nimi w tym celu? Powinna ćwiczyć. Nie nastręczałoby to trudności w pełnych ludzi salach balowych i salonach, w których bywała. Nie zatrzymywałyby swoich łupów, z łatwością mogłaby je podrzucać w miejscach, gdzie by je znajdowano, a właściciele byliby przekonani, że je zgubili. Spojrzała na lorda Wyndhama z zachęcającym uśmiechem.

- Zuchwały zakład, milordzie, ale ośmielę się stwierdzić, że mogę sobie na niego pozwolić.
- A ty, co chciałabyś wygrać, pani? - Palcem wskazującym wyrównał szeregi swojego wojska na planszy, nie przestając wpatrywać się w jej usta.
- Cóż, panie, możesz zabrać mnie do teatru - powiedziała. - Słyszałam, że *Szkola obmowy* pana Sheridana jest cudownie zabawna, ale mój mąż nie ma czasu na takie zachcianki. - Obejrzała się przez ramię na stół do faraona. - On szuka innych rozrywek i znajduje je, jak już zauważyliśmy.
- A zatem, pani, czy wygram, czy przegram, czeka mnie sama przyjemność - powiedział Philip. - Możemy zaczynać?

Atmosfera przy stole do faraona stawała się coraz bardziej napięta, stos złota przy łokciu Ruperta stale rósł.

- Co miałaś na myśli, Warwick, mówiąc o sposobach na poprawienie czyjejs sytuacji? - spytał Hector Lacross, opróżniając swój kielich, który natychmiast podstawił lokajowi do napełnienia.
- O, w City rozważa się plany, które mogą obrócić się w ładny grosz, jeśli ktoś weźmie się do tego od razu - oznajmił Rupert beztrąsko. - Wymaga to wstępnie niewielkiej inwestycji, ale uważam, że zwróci się ona co najwyżej w ciągu paru miesięcy.
- Jakie to plany? - spytał Dirk Rigby, uciekając jasnobrazowymi oczami przed trzeźwym spojrzeniem Ruperta.
- Domy - powiedział Rupert. - Wielkie domy budowane na południowym brzegu rzeki. Pierwszorzędny teren, w sam raz dla mieszczan z klasy średniej. Wałą jak w dym, żeby wyłożyć gotówkę na posiadłość, która, jak wierzą, umocni ich nowo zdobytą pozycję wśród bogatych kupców.

Zaśmiał się i położył trzysta gwinei koło waleta kier.

- Oczywiście budowniczy urywa co nieco tu i tam. Nic takiego, co byłoby zauważalne dla nabywców, a dzięki temu on, no i jego inwestorzy osiągają przyzwoity zysk.
- Jakie to podłe z twojej strony, lordzie Rupercie! - wykrzyknęła Margaret Drayton, wachlując się zawzięcie. - Wykorzystywać tych biednych ludzi. - Jej głos ociekał sarkazmem.
- Och, sami się o to proszą z ich chciwością i przeświadczeniem o własnym znaczeniu - powiedział Rupert, patrząc, jak bankier odkrywa jego waleta kier. -Aha - powiedział z uśmiechem, zgarniając stos monet - zdaje się, że dziś wieczór szczęście mi sprzyja jak samemu diabłu.
- Mógłbym być zainteresowany niewielką inwestycją- powiedział Lacross. -A ty jak, Rigby?
- O tak, w rzeczy samej - przytaknął jego kompan gorliwie. - Kto jest twoim pośrednikiem, Warwick?

Rupert odchylił się do tyłu, składając dłonie.

- Z tym jest pewien problem, panowie. Sprawa jest dość delikatna, jak możecie się domyślać. Nie powinna być szerzej znana... - Uniósł brew. -Nie sądzę, by wolno mi było zdradzić nazwisko mojego przyjaciela bez uprzedniego porozumienia się z nim. Jestem pewien, że konieczne będzie potwierdzenie szczerości waszych intencji.
- Ależ oczywiście, jasna rzecz - zapewnili tamci ochoczo. - Nie będzie z tym żadnych trudności. Może moglibyśmy porozmawiać o tym jutro.

Rupert aprobująco skinął głową i wstał od stołu.

- Pani, może miałabyś ochotę poprobować szczęścia w para-niepara.

Margaret Drayton wsparła się na jego ręce i podniosła się z miejsca.

- Tyle już przegrałam w faraona, panie, że nie ośmielę się dziś więcej ryzykować.
- Zatem musisz mi pozwolić, bym był twoim bankierem - powiedział Rupert bez wahania. Wziął od niej torebkę, otworzył ją i wsypał do niej stertę gwinei, którą wygrał do tej pory.

Margaret roześmiała się, wytrzeszczając oczy.

- Milordzie, co za hojność.
 - O, nalegam na połowę twojej wygranej - oznajmił, podprowadzając ją do innego stołu.
- W ogólnym zgiełku Octavia nie uchwyciła nic z tej rozmowy, ale nie umknął jej uwagi błysk i brzęk złota sypiącego się do torebki Margaret Drayton. Oburzenie walczyło w niej z niedowierzaniem. Jak Rupert mógł lekką ręką oddać ich cenne fundusze dziwce. Czy była to zapłata za spełnione usługi? A może zaliczka na usługi przyszłe?

Jakoś udało się jej nie pokazać po sobie, że gotuje się z wściekłości i dalej grała z Philipem, prezentując na zewnątrz wyrafinowaną obojętność na postęпки małżonka. Niemniej jednak, kiedy Rupert odezwał się znad jej ramienia, a w jego głosie dzwięczał śmiech, spojrzała na niego i miała

mord w oczach.

- Trik-trak w moim domu! Moja droga, muszę zaprotestować.

- Trochę za skromne, jak dla ciebie, milordzie? - spytała słodko. - Wierz mi, że stawka bynajmniej nie jest skromna, prawda, lordzie Wyndham?

- Bynajmniej, madame. - Skłonił się i wyjął tabakierkę. - Czy mogę? - Ujął jej dłoń, odwrócił wnętrzem do góry, nasypał na przegub szczyptę tabaki i unióśł do nosa.

Octavia miała żywo w pamięci moment, kiedy Rupert postąpił tak samo, a ona pomyślała wtedy, że żadna dama nie pozwoliłaby dżentelmenowi na taką poufałość. Ale przecież tu nie odgrywali dam i dżentelmenów, przynajmniej nie w godnej szacunku odmianie tej rasy... takiej, jaką można spotkać w Northumberland.

Rupert położył ciepłą dłoń na jej karku. Ten gest, choć swobodny, przypominał jednak o tym, czyją jest własnością i dreszcz ją przeszedł pod tym dotknięciem. Philip Wyndham zmrużył oczy, zamykając tabakierkę i chowając ją do kieszeni. Oczywiście, pomyślała Octavia, ten gest posiadania miał na celu wyzwolenie w hrabim Wyndhamie ducha rywalizacji. Rupert mówił jej przecież, że hrabia jest człowiekiem pożądanym własności innych i nie przejawia zainteresowania zdobywaniem czegokolwiek, co można by mieć, jeśli się tylko o to poprosi.

Oparła się chęci schylenia szyi pod mocnym, ciepłym dotykiem, usiadła prosto i potrząsnęła głową. Jego ręka opadła natychmiast, pozostawiając zimne, opuszczone miejsce na jej karku. W innej sytuacji ten dotyk przypominałby jej o tym, co się wydarzy, kiedy męczący wieczór dobiegnie wreszcie końca i zostaną sami. Teraz jednak była zbyt zagniewana, by poruszała ją ta perspektywa.

Rupert wrócił do stołów do gry, ukrywając swoje zasepienie. Gniew pałający w oczach Octavii zaskoczył go.

Już prawie świtało, kiedy ostatni goście wyszli. Octavia z niesmakiem rozejrzała się po zaśmieconym salonie. Rupert nalał koniaku do dwóch kieliszków.

- Proszę. Zasłużyłaś. - Wyciągnął rękę z kieliszkiem w jej stronę, a ona stała przed kominkiem, masując sobie kark.

- Nie, dziękuję. - Pokręciła głową. - Myślę, że po prostu się położę.

- Usiądź, Octavio. - Jego głos był cichy i spokojny. Rzuciła mu spojrzenie, marszcząc brwi.

- Jest piąta rano, Rupercie. Idę do łóżka.

- Usiądź, Octavio.

Co w nim było takiego... w tym tonie... że wymuszało jej posłuszeństwo? Zła na siebie, że to robi, Octavia przysiadła na poręczu sofy.

- O co chodzi?

- Ty mi powiedz. Coś cię trapiło przez cały wieczór. Czy to Wyndham? - Oparł jedną rękę na półeczce nad kominkiem, wyraz twarzy miał spokojny, ale oczy spoglądały ciepło i z troską.

- Nie,

Rupert napił się koniaku.

- Czemu więc jesteś zła?

- A jak myślisz, czemu? - wybuchła Octavia gwałtownie. - Jak mam się czuć, widząc, że przesypujesz małą fortunę do torebki Margaret Drayton? Za co jej płaciłeś?

Miejsce troski w jego oczach zajęła irytacja. Zdecydowanym ruchem odstawił kieliszek.

- Jakaś ty niemądra. Jeśli czegoś nie rozumiesz, spytaj mnie, zanim zaczniesz wyciągać głupie, pochopne wnioski.

- Nie mów do mnie w ten sposób. - Octavia zerwała się na nogi, twarz miała pobladłą, w jej oczach płonęły złote ognie. - Ja nie wyciągnęłam pochopnych wniosków. Ja widziałam, jak dajesz tej kobiecie masę złota. Każdy to widział.

- Otóż to - powiedział chłodno. - Każdy to widział.

Octavia patrzyła na niego zdumiona, po czym zaczęła z ociąganiem:

- Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że ludzie mieli to widzieć?

- Otóż to - powtórzył, krzyżując ręce na piersi. Przemawiał ostro jak człowiek, który nie toleruje głupców. - Gdybyś zastanowiła się choć przez chwilę, zamiast wyciągać wnioski, które obrażają inteligencję dziecka, mogłabyś się zorientować, że to obecność Dirka Rigby'ego i Hectora Lacrossa miała wpływ na moje dzisiejsze poczynania. Trzeba, żeby widzieli, że szastam pie-

niędzmi.

Octavia poczuła się bardzo mała. Zazdrość, najbardziej wymagające z uczuć, zdradziecko skłoniła ją do tego głupiego ataku. Czy on się tego domyślał? Nieskończenie bardziej wolałaby uchodzić za głupią niż zazdrosną o Margaret Drayton. Wtem przyszło jej do głowy, że ma się czym bronić, by odwrócić uwagę od lady Drayton.

- Nie wiem, w jaki sposób miałabym zrozumieć, co się dzieje, skoro uparcie odmawiasz mi wtajemniczenia w swoje plany - odpaliła. - Mówisz, że powinnam pytać, jeśli coś mnie zdziwi, ale kiedy pytam, ty odmawiasz odpowiedzi.

Rupert wziął swój kieliszek i wpatrywał się w niego przez chwilę.

- Przypuszczam, że masz rację - zgodził się. - Przywykłem grać, trzymając karty przy piersi.

- Nie możesz więc mnie winić, że wyciągam własne wnioski z tego, co widzę.

Na te słowa spojrział na nią z błyskiem niepokojącego rozbawienia.

- Ależ mogę, słodczy, jeśli są to wnioski dotyczące moich stosunków z Margaret Drayton.

To już była niedopuszczalna głupota.

Octavia wysunęła stopę i przyglądała się czubkowi swojego pantofelka z zainteresowaniem, jakiego taki zwyczajny obiekt z pewnością nie był godzien.

- Nie rozumiem, dlaczego. Zakładam, że ona ma swoją cenę. Wydaje się, że miał ją już każdy mężczyzna na dworze.

- A ty myślisz, że jestem tak niewybredny, żeby paść się na takim wygryzionym pastwisku? - Drwiąco uniósł brew. - Obrażasz mnie, Octavio. Naprawdę uważam... tak, naprawdę uważam, że mam prawo żądać satysfakcji.

Znow napił się łyk koniaku, a w ciszy salonu aż słychać było, jak trzeszczy naładowana atmosfera. Nie był to już jednak ładunek złości.

Octavia przełknęła ślinę i próbowała zdobyć się na jakąś lekką ripostę, ale jej wargi nie potrafiły wymówić najprostszycich słów.

- Pytanie tylko, jakiego rodzaju satysfakcja będzie odpowiednia? - Rupert zamyślił się, patrząc w palenisko, gdzie dogasały drwa i tylko czasami podrywała się jakaś iskra. - Masz jakiś pomysł, Octavio?

Rzucił jej spojrzenie tak zmysłowe, że zaczęła się zastanawiać, czy będzie w stanie wyjść z pokoju o własnych siłach.

- Chcesz, żebym to ja wybrała? - udało się jej wykrztusić głosem nabrzmiałym pożądaniem.

- Uważam, że nauczka będzie tym skuteczniejsza - zauważył rzeczowym tonem. - Jestem otwarty na wszelkie sugestie, ale zastrzegam sobie prawo podjęcia ostatecznej decyzji.

Octavia dotknęła językiem warg. W jej umyśle kłębiły się lubieżne fantazje, jaskrawe kolory namiętności rzucone na szare płótno zmęczenia i lęku, niepokoju i rozżalenia. Przestało być ważne, po co grali w tę grę, liczyło się tylko to, że w nią grali.

- Może powinniśmy udać się na górę, milordzie - zaproponowała, dygając grzecznie.

- Jak najbardziej. Przypuszczam, że łatwiej ci będzie przyłożyć się do tego zadania w twojej sypialni.

- Jestem tego pewna, panie.

Wykonała głęboki dyg i pozostała w tej pozycji, zerkając na niego znad rozłożonego wachlarza, oczy miała zamglone, rozchylone wargi, cała jej postać była jedną wielką obietnicą.

Rupert zdecydowanym ruchem chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Chodźmy, madame.

Hrabia Wyndham, milady. Czy przyjmujesz, pani? - nieco sztywny ton Griffina dotarł do saloniku Olivera Morgana.

- Tak, Griffin. Zaprowadź go do bawialni. Zaraz zejść. - Octavia odłożyła gazetę, którą czytała ojcu. - Muszę cię przeprosić, papo.

- Tak, oczywiście, moja droga - powiedział uspokajająco. - Idź i pełnij swoje obowiązki. Muszę stwierdzić, że ostatnio drzwi się tu nie zamykają. Zdaje się, że jesteście bardzo popularną parą, jeśli można tak powiedzieć.

- Owszem - zgodziła się Octavia grzecznie, wygładzając spódnicę swojej porannej sukni z różowego muślinu. - Ale moim zdaniem dzieje się tak dlatego, że jesteśmy tu nowi, a towarzystwo jest spragnione odmiany.

Stała na palcach, żeby przejrzeć się w lustrze nad kominkiem.

- Warwick utrzymuje wspaniały poziom pod każdym względem - zauważył Oliver. - Powiedziałbym, że jego gościnność jest tego odzwierciedleniem.

Octavia zerknęła na ojca w lustrze, przeczesując palcami loki opadające na ramiona. Czy ją sprawdzał? Na pewno nie. To do niego niepodobne.

- Jest bogatym człowiekiem, papo - powiedziała, przyglądając polizanym palcem brwi, po czym odwróciła się twarzą do pokoju. - Czy miałbyś ochotę na przejażdżkę po południu? Jest piękny dzień.

- Nie, myślę, że odbędę mój codzienny spacer, dziękuję, dziecko - odparł Oliver. - Twój gość czeka. Lepiej się pośpiesz.

Pocałowała go i wybiegła z pokoju, marszcząc lekko brwi. Jej ojciec zawsze był nieco obok spraw tego świata, a po katastrofie całkowicie na nie zobojętniał, ale obecnie zaczął odzyskiwać zainteresowanie nim tak jak przed Harrowgate. Złe by się stało, gdyby zaczął przyglądać się skomplikowanemu wątkowi ich domowego życia. I tak trudno będzie znaleźć zadowalające wyjaśnienie dla zakończenia małżeństwa, zwrotu majątku i osiedlenia się z powrotem w Hartridge Folly. Miała nadzieję, że jak zwykle przyjmie jej wyjaśnienia za dobrą monetę. Jeśli zaczynał przejawiać sceptycyzm teraz, kiedy wszystko wygląda idealnie zwyczajnie, kto wie, jak podziela na niego fantastyczna przyszłość.

Jest to jednak wciąż kwestia odległej przyszłości, upomniała samą siebie Octavia, zbiegając ze schodów. A terazniejszość wymaga całego jej sprytu.

Przystanęła na najniższym stopniu, aby uspokoić oddech. Jeśli Philip Wyndham przyszedł sam, a zakładała, że tak, miało to być ich pierwsze tete-a-tete.

Lokaj pełniący służbę w holu skoczył, by otworzyć dwuskrzydłowe drzwi do bawialni. Octavia przybrała stosowny wyraz twarzy i wkroczyła do pokoju.

- Lordzie Wyndham, co za rozkoszna niespodzianka. - Dygnęła w delikatnym obłoku różowego muślinu.

Philip odwrócił się, zaprzestając kontemplacji ulicy za oknem. Podniósł swój lorgnon i poddał gospodynię drobiazgowym oględzinom.

Octavia nieświadomie uniosła głowę do góry. Było coś obraźliwego w takim taksowaniu w jej własnej bawialni, nawet bez słowa odpowiedzi na powitanie.

Hrabia uśmiechnął się i uklonił.

- Czarująca, madame. Masz nieomylny instynkt w doborze sukien.

- Uważasz się za znawcę kobiecych strojów, panie? - spytała dość szorstkim tonem, zbliżając się do niego.

- Wiem, co mi się podoba - odparł, biorąc jej dłonie w gorący uścisk. - Wybacz, jeśli brak oficjalnych grzeczności cię obraził. Na twój widok zapomniałem o całej ogładzie, mogłem tylko patrzeć.

- Ależ panie, myślałam, że jesteś ponad takie grubymi nićmi szyte żarty - zaszczębiotała Octavia radośnie. - Oboje wiemy, jaką wartość mają podobne komplementy.

Chciała uwolnić swoje dłonie, ale uścisk się zacieśnił.

- Zapewniam cię, że nie był to czczy komplement, milady - powiedział ze wzrokiem utkwionym

w jej twarzy, tak że nie była w stanie uciec spojrzeniem. Po raz kolejny doznała tego niezwykłego odczucia, że jest w nim coś znajomego... znajomego, ale w jakiś całkowicie niewłaściwy sposób.

- W takim razie przyjmę go zgodnie z pańską intencją- odrzekła, znów próbując wycofać dłonie.

- Może zadzwonię po coś orzeźwiającego? Czy wypijesz ze mną kieliszek sherry?

- Jak najbardziej. - Puścił jej rękę, a ona pociągnęła za sznur dzwonka przy kominku. - Przyszedłem odebrać moją wygraną, Octavio... jeśli wolno mi tak się do ciebie zwracać? - Uniósł brew dla podkreślenia pytania.

- Oczywiście - powiedziała Octavia. - Griffin, podaj, proszę, sherry. Czy jego lordowska mość jest w domu?

- Nie, milady. Udał się do swojego krawca. - Kamerdyner z ukłonem się wycofał.

Czy lord Wyndham wiedział o tym? - zastanawiała się Octavia.

- A zatem - odezwała się. - Twoja wygrana, lordzie Wyndham? Nie pamiętam, czyżbym przegrała?

- O tak, madame - zapewnił ją zażywając tabaki i przyglądając się jej nieprzeniknionymi, szarymi oczami. - Przegrałaś dwie partie z trzech.

- Mam okropną pamięć - stwierdziła. - Postaw tylko na stole, Griffin. Sama naleję lordowi Wyndhamowi. - Kiedy drzwi zamknęły się za kamerdynerem, wzięła karafkę i napełniła dwa kieliszki. - Za co wypijemy, panie?

- Za przegrane i wygrane - odparł, unosząc swój kieliszek. - I za przyszłe gry.

Ten mężczyzna nie miał na myśli trik-traka. Octavia podniosła swój kieliszek z figlarnym, obiecującym uśmiechem i wypila.

Hrabia odstawił swój na wpół opróżniony kieliszek na podręczny stolik i odwrócił się do niej z powrotem.

- Czy oddasz to, co przegrałaś, lady Warwick?

Octavia skinęła głową odstawiając kieliszek. Palce jej drżały, ukryła je więc we wnętrzu dłoni. Jak można pocałować mężczyznę samymi ustami, będąc umysłem i duchem gdzie indziej, pozostać niezbrukaną przez to wstrętne zbliżenie?

Nie wiedziała. Całowała tylko jednego mężczyznę w życiu, a jej umysł i dusza były nierozzerwalnie związane z jej ciałem zawsze, kiedy dotykała Ruperta Warwicka.

Philip położył jej rękę na ramionach i przyciągnął do siebie. Potem ujął brodę jedną ręką, zbliżając usta do jej warg.

Octavia nakazała sobie odpowiedzieć. Nic nie osiągnie, stojąc jak manekin i czekając, aż będzie po wszystkim. Zamykając swój umysł i oczy, rozchyliła wargi. Jego język natychmiast przyjął zaproszenie i poczuła smak wina, kiedy penetrował wnętrze jej ust. Jego ręka przestała trzymać jej brodę, zsunęła się w dół i objęła ją. Przycisnął ją do siebie, przez cienki materiał spodni czuła jego stwardniałą męskość.

Dotknij go. Obszukaj - nakazała sobie. Może uda ci się wyczuć to, czego szukasz.

Wsunęła rękę pod jego frak, głaszcząc go i dotykając, jakby ją też opanowało podniecenie, przesuwała dłońmi po jego plecach, po jego pośladkach, szukając kieszeni. Jęknął i zacisnął zęby na jej dolnej wardze. Poczowała smak krwi i chciała się odsunąć. Ale on trzymał ją teraz z całej siły, przyciskał do siebie tak mocno, że nie mogła już włożyć rąk między nich. Jego palce boleśnie wbijały się w jej biodra, wyczuwała przemożną siłę jego podniecenia, słyszała je w urywanych jękach, czuła w gorącym oddechu na szyi, w brutalności jego uścisku, w bólu swoich miażdżonych piersi. Dusila się w żarze jego namiętności, walczyła jak ptak schwytany w sidła. Ledwo słyszała, jak otwierają się drzwi. A potem, po nieskończonej krótkiej chwili drzwi się zamknęły.

Octavia czuła całą sobą, że to był Rupert. Wrócił po załatwieniu swoich spraw. Widział, co się dzieje. Wycofał się po cichu, ponieważ ona robiła to, co zgodziła się zrobić. Uwodziła jego wroga. Najwyraźniej nic dla niego nie znaczyło to, że ciepłe usta, które tak ochoczo otwierały się dla jego pocałunków, brukał mężczyzna, którego on nie cierpiał.

Nic to dla niego nie znaczyło. Nie mogło nic znaczyć, bo inaczej nie zniósłby tego.

Zmagała się w ostatecznej rozpacz i Philip Wyndham wreszcie odsunął się powoli.

- Dlaczego ze mną walczysz? Jeszcze przed chwilą byłaś tak samo chętna jak ja.

Twarz miał rozpaloną, wzrok płonący. Octavia odskoczyła od tego drapieznika z krwawymi zębami i pazurami.

- Przeraziłeś mnie - powiedziała potulnie, dotykając swojej spuchniętej wargi. - Taki żar, milordzie. Wyznaję... nie nawykłam...

Odwróciła głowę, by nie pokazać odrazy w oczach, której nie potrafiła ukryć.

- Och, twojemu mężowi brak namiętności, prawda? - Zaśmiał się zgrzytliwie. W jego śmiechu pogarda mieszała się z samozadowoleniem. - Moja droga, ja ci pokażę, do czego jest zdolny mężczyzna w tych sprawach. Ty masz w sobie namiętność, czuję to. Potrzebujesz mężczyzny wartego tej namiętności. Mężczyzny, który potrafi ci uzmysłwić, czym naprawdę jest pożądanie.

- I ty jesteś takim mężczyzną?

- Jestem tego pewien.

W tym zapewnieniu pobrzmiwało takie zarozumiałstwo, że zdumiona Octavia mimo całej odrazy miała ochotę się roześmiać. O, męska próżności. Czy on naprawdę był przekonany, że dorasta choćby do pięt Rupertowi Warwickowi w czymkolwiek?

- Musisz być dla mnie delikatny, milordzie - powiedziała, wciąż patrząc w bok. - Pozwól, że cię teraz przeproszę. Powinna się uspokoić, zanim mój mąż wróci.

- Oczywiście - zgodził się ochoczo, jakby nie ulegało kwestii, że kobieta, która właśnie doświadczyła wytrącającego ziemię z posad przeżycia, jakim jest pocałunek z Philipem Wyndhamem, potrzebuje czasu, żeby się uspokoić, zanim będzie w stanie spotkać się z kimkolwiek, a co dopiero z mężem. - Do zobaczenia, moja droga.

Przesunął dłonią po jej plecach, zatrzymał ją na chwilę na jej pośladku, po czym wyszedł.

Drżąc, Octavia stanęła przed lustrem. Wargi miała opuchnięte, włosy potargane. Całe ciało paliło ją, jakby wyzwoliła się z uścisku pytona. Delikatność postury Philipa Wyndhama była złudą. To bardzo silny mężczyzna.

Odwróciła się, gdy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Rupert wszedł, zamknął drzwi za sobą i stał przez chwilę oparty o nie. Jego twarz nic nie wyrażała.

- Zaczęłaś więc - powiedział.

- Najwyraźniej - odpowiedziała tym samym tonem. Wzięła swój kieliszek sherry i upiła łyk, który przełknęła głośno. Od wina zapiekła ją ugryziona warga.

- To dobrze - stwierdził i ruszył, żeby sobie też nalać sherry.

- Byłeś tu wcześniej? - spytała z lekkim drżeniem głosu. Wypiła drugi duży łyk wina, mając nadzieję, że pomoże jej to wrócić do równowagi, pozwoli pozbyć się lęku, gorzkiego zażenowania i rozżalenia, wyprowadzi na spokojne wody chłodnej celowości, w których Rupert Warwick pływał z taką rozwagą.

- Tak - przyznał. - Pomyślałem, że właściwe będzie się wycofać.

Stał odwrócony do niej tyłem, kiedy nalewała do jego kieliszka sherry. Jeszcze nie opanował fali odrazy, która ogarnęła go, kiedy zobaczył Octavię zamkniętą w ramionach swojego brata, a teraz widok jej zranionej wargi i potarganych włosów napełnił go dzikim gniewem i trzeba było całego opanowania wyuczonego w bólu przez lata, by nie zdradzić prawdziwych uczuć. Nic by nie przyszło Octavii z tego, że wiedziałyby, co on przeżywa.

- Umówiłaś się na następną schadzkę? - spytał swobodnie, odwracając się twarzą do pokoju.

- Niezupełnie. Ale nie sadzę, żeby Wyndham długo zwlekał z jakąś propozycją. - Octavia czuła się tak, jakby nauczyciel przepytывał ją z zadanej lekcji. - Próbowałam wyczuć, czy ma coś schowanego przy sobie, ale niczego nie mogłam znaleźć. Łatwiej by mi było, gdybym wiedziała dokładnie, czego szukam - powiedziała, napełniając ponownie swój kieliszek.

Rupert wyjął z kieszeni małą, jedwabną sakiewkę. Otworzył ją i wytrząsnął zawartość na stół.

- To jest to, czego szukasz.

Octavia podeszła do stołu. W jasnych promieniach słońca połyskiwała maleńka, srebrna obrączka kunsztownej roboty.

- Jaka malutka - powiedziała, biorąc ją między palce. - Wyndham ma identyczną?

- To para. - Nadstawił dłoń, a ona upuściła na nią obrączkę. - Tu jest mechanizm, który ją otwiera... ukryty w oku ptaka... o, tutaj - wskazał maleńki punkcik będący okiem delikatnie wyrzeźbionego orła. - Jest za mały, żeby go otworzyć palcem. Potrzeba srebrnej wykałaczki albo cyrkla.

- Może nożyczek. - Z koszyczka z jedwabiami do wyszywania wydobyla maleńkie nożyczki.

Rupert wetknął szpiczasty koniec jednego ostrza w oko ptaka. Maleńkie kółko się otworzyło.

- Obrączka, którą ma Wyndham, daje się spiąć z tą i razem tworzą sygnet pasujący na palec

doroślego - wyjaśnił. - Szczupły palec - dodał, co zupełnie nie było konieczne.

- Ale jakie jest znaczenie tego sygnetu? - Octavia wpatrywała się w Ruperta zafascynowana, ale kiedy zadała to pytanie, jego twarz, otwarta i bliska, stała się nagle zamknięta i obca.

- Nie musisz tego wiedzieć. - Zamknął obrączkę i wsunął ją do sakiewki.

- Może i nie. Ale czy nie mam prawa?

- Jak do tego doszłaś? - zapytał z zimną drwiną.

Octavia nie wiedziała zupełnie, co mogłaby na to odpowiedzieć. Nie miała prawa do niczego poza tym, co on jej obiecał.

- Posłuchaj mnie, Octavio - ton jego głosu zmienił się, był teraz miękki, prawie przymilny. Wziął ją za rękę i pociągnął na sofę, gdzie posadził obok siebie. - Nie mogę powiedzieć ci nic więcej, żeby ci nie wprowadzać zamętu. Gdybyś wiedziała, co jest między Philipem Wyndhamem a mną,

mogłoby ci się nieopatrnie coś wyrwać, a jeśli on poznałby choćby najdrobniejszy okrucieństwo prawdy, prawdy tak fantastycznej, że na początku uważałby ją za niemożliwą, wszystko by przepadło. Na tym etapie możesz wiedzieć tylko tyle, ile musisz. Zaufaj mi, Octavio. Kiedy to się skończy, dowiesz się wszystkiego. Obiecuję.

Octavia i cały świat dowiedzą się wszystkiego.

Ujął jej twarz w dłonie i uśmiechnął się do niej, tak jakby uśmiechem mógł odsunąć od niej krzywdę i bezradność, zetrzeć dowód, że usta brata dotykały jej ust. Pogładził palcami loki otaczające jej twarz.

- Zaufaj mi.

- Ufam - powiedziała, perwersyjnie żalując, że tak jest. - Ale bardzo trudno jest poruszać się w mroku, kiedy ty wiesz wszystko, co trzeba wiedzieć, za nas oboje. A poza tym, dlaczego sądzisz, że coś mogłoby mi się nieopatrnie wyrwać? Dlaczego ty nie ufasz mnie?

Rupert westchnął, opuszczając ręce.

- Jeśli chodzi o zachowanie tej tajemnicy, nie ufam nikomu poza samym sobą, Octavio. Ale gdybyś chciała wycofać się z naszej umowy, zgodzę się na to.

- Jak mogłabym to zrobić? - wykrzyknęła Octavia. - Wiesz, że to niemożliwe. Za daleko zabrnęliśmy, żeby się teraz wycofać.

- Miałem nadzieję na taką odpowiedź. Ale zrozum, Octavio. Do niczego cię nie zmuszam - zapewnił.

Nie, pomyślała z goryczą. Nie zmuszał jej. Ale jeśli ona nie wywiązałaby się z umowy, on też by nie dotrzymał przyrzeczenia. Jak mogłaby wrócić z ojcem na ponure, podłe ulice Shoreditch, do codziennego przerażenia, z jakim w tłumie puszczała w ruch swoje zręczne palce? Przedtem było to prawie nie do zniesienia. Teraz nawet nie do pomyślenia.

Tylko spojrzała na niego, a jego serce ścisnęło się na widok rozpaczliwego pogodzenia się z rzeczywistością, jakie wyczytała z jej piwnych oczu. Mógł ją uwolnić. Jednym słowem. I nie rezygnować z zemsty nad tymi, którzy ją skrzywdzili. Hector Lacross i Dirk Rigby błagali na kolanach, żeby pozwolił im wpaść w pułapkę, jaką na nich zastawił. Nic by go to nie kosztowało, w rzeczy samej, miałby znaczną satysfakcję, doprowadzając do upadku parę bezwzględnych i chciwych łajdaków.

Zaraz jednak pomyślał o latach tułaczki po pustkowiach, o latach życia z dnia na dzień w stolicach Europy, u boku człowieka, którego imię teraz nosił. Prawdziwy Rupert Warwick uczciwie sobie zasłużył na miano łobuza, był renegatem i buntownikiem, który wykorzystywał ludzką chciwość i próżność, ale nigdy nieszczęście, by zapewnić sobie i swojemu młodemu towarzyszowi środki do życia.

Rupert Warwick uratował młodego Culluma Wyndhama przed nędzną śmiercią w ruderze w Calais. Uratował go przed rozpaczą i nauczył wszystkiego, co sam umiał. Zginął w pijackiej burdzie w tawernie w Madrycie. Leżąc na łożu śmierci, przykazał młodemu przyjacielowi wracać do kraju. Odzyskać, co jego. Ponieważ życie, jakie wiodł Rupert Warwick, to nie życie.

Tak więc Cullum przybrał nazwisko swojego mistrza i wrócił do kraju. A teraz potrzebował Octavii, żeby móc się zemścić... za Gervase'a i za swoje lata wygnania.

Odwrócił się od niemej prośby w jej oczach. Wiedział, że ona robi to, co musi, ponieważ zawsze tak postępowała. Jest zdecydowana i odważna i nie da żadnemu z nich zginąć.

- Informuj mnie o wszystkich swoich poczynaniach z Wyndhamem - powiedział swym

zwykłym, chłodnym tonem. - Chcę wiedzieć, kiedy i gdzie się z nim spotykasz.

- Po co?

- Bo chcę cię pilnować - powiedział.

- Myślisz, że on może mnie skrzywdzić? - spytała z niepokojem.

- Nie. Gdybym tak myślał, zrobilibyśmy wszystko inaczej - odpowiedział cierpliwie.

- A co będzie, jeśli mnie złapie na kradzieży?

Rupert zmarszczył brwi.

- To się nie ma prawa zdarzyć. Okradałaś cały Londyn i nie zostałaś złapana. Czemu miałoby to się stać teraz?

Octavia wzruszyła ramionami.

- Zawsze jest ryzyko. I wyszłam z wprawy.

- Musisz więc ćwiczyć swoje umiejętności - poinstruował ją natychmiast. - Musisz poćwiczyć, zanim spróbujesz czegokolwiek.

- A w jaki sposób proponujesz to robić? - spytała, choć sama doszła do tego samego wniosku i dokładnie wiedziała, jakie kroki powinna przedsięwziąć.

- Możesz troszkę pobuszować wśród naszych gości - zasugerował. - Wystarczy, jeśli potem zostawisz te cacka w jakichś widocznych miejscach, żeby właściciele myśleli, iż je zgubili.

- Aha - powiedziała Octavia wcale niezachwycona takim dokładnym odtworzeniem jej własnego planu.

- Dobry pomysł? - Uniósł brew.

Jak mogłaby powiedzieć, że nie, skoro był jej własny?

- Myślę, że to pomoże - powiedziała zgodnie. - Chociaż okradanie własnych gości to perwersja.

- Pożyczanie od nich - poprawił ją łagodnie. Znow ujął jej twarz w dłonie i lekko musnął jej wargi czubkiem palca. - Idź, umyj twarz i doprowadź do porządku włosy, słodczy. Poczujesz się bardziej sobą.

- A nie kimś zmiażdżonym w niepożądanym uścisku? - rzuciła mimo woli.

Oczy Ruperta stały się puste.

- Nikt cię nie zmusza - powtórzył. - Wcześniej nie miałaś nic przeciwko temu pomysłowi, dlaczemu teraz jest to dla ciebie problem?

Jest to problem, ponieważ dla ciebie wydaje się nie mieć znaczenia, co muszę zrobić, pomyślała. Jest to problem, ponieważ ja nie jestem dziwką. Zgadza się uwieść Wyndhama z zimną krwią, nie wiedziałam, co to znaczy kochać się z tobą... kiedy ja jestem tobą, a ty jesteś mną. Kiedy jesteśmy jednością. Dlatego jest to problem.

Ale Octavia nie powiedziała tego. Wstała i wygładziła spódnice.

- Oczywiście, że nie jest. Chyba czuję się trochę roztrzęsiona... teraz, kiedy to się zaczęło.

Rupert nie dał po sobie poznać uczucia ulgi.

- Im szybciej się zacznie, tym szybciej będzie po wszystkim - powiedział, również wstając z sofy. - Pójdę odwiedzić twojego ojca. Znalazłem egzemplarz *Wspomnień o Sokratesie* Ksenofonta w antykwariacie przy Charing Cross. Myślę, że może go to zainteresować.

- Jesteś bardzo troskliwy dla mojego ojca.

- A nie powinienem? - Wyglądał na zdziwionego. Octavia lekko wzruszyła ramionami.

- To mnie zaskakuje.

- Uważasz, że nie jestem troskliwy? - Marszcząc brwi, wydawał się zarówno zdziwiony, jak i skonsternowany.

- Skupiony na jednym celu.

Co powiedziawszy, dygnęła przed nim i wyszła z bawialni.

Rupert wpatrywał się w uchylone drzwi. Delikatny zapach kwiatu pomarańczy, jej wody do płukania włosów, wciąż unosił się w powietrzu.

Octavia uważała, że on nie troszczy się o jej uczucia ani o jej dobro. Jakie to dalekie od prawdy! Nie mogła wiedzieć, jak dręczyła go perspektywa tego, co będzie musiała zrobić. Nie mogła wiedzieć, ponieważ wiele wysiłku włożył w to, by stworzyć wrażenie, że ta sprawa jest mu

obojętna. Kiedyś tak było. Ale teraz, kiedy poznał Octavię, nic, co jej dotyczyło, nie mogło już mu być obojętne.

Rupert przemierzał bawialnię wielkimi krokami, starając się przekonać sam siebie, że nie manipuluje Octavią. Wiedziała w co się pakuje. Wiedziała, na co się zgadza. I zgodziła się z własnej, nieprzymuszonej woli.

Czy aby na pewno?

A co z tym pierwszym razem... co ze specyfikiem ukrytym w goździkach dodanych do ponczu? Wtedy jej nie znał. A gdyby ją znał, to czy zrobiłby jej coś takiego?

- Piekło i szatani! - syknął przez zęby, zaciskając dłonie na półeczce nad kominkiem, aż zbieleły mu kłykcie. Walczył o odzyskanie zimnej rozwagi, aby osiągnąć wytyczony cel. Stało się. Kamień toczył się i nabierał pędu. Nikomu nie stała się krzywda. Octavii też nie stanie się krzywda. Złożył

cichą przysięgę na grób Ruperta Warwicka, że Octavia Morgan nigdy już nie dozna krzywdy na skutek jego działań.

Odzyskawszy spokój, opuścił bawialnię i poszedł odwiedzić Olivera Morgana.

Słodkie wonie wiosny wypełniały powietrze. Octavia przystanąła, by ułamać gałązkę złocistej forsycji z rozkwitłego krzewu przy schodach prowadzących do frontowych drzwi. Była w dziwnym nastroju, w którym podniecenie mieszało się z niepokojem, krew krążyła w żyłach w szybszym tempie.

Zawsze tak się czuła po spotkaniu z hrabią Wyndhamem. W ciągu tych godzin jakby stąpała po ostrzu noża, stawiając swój spryt przeciwko jego przebiegłości w nieustającej słownej potyczce, walcząc o to, aby nie zdradzić swoich prawdziwych uczuć.

Flirtowała z Philipem. Całowała się z nim, manifestując wszelkie przejawy namiętności. Obiecywała, ale zaraz się wycofywała. Zaczynało to być irytujące, ale na razie wchodził w tę grę. I na razie nie udało się jej odkryć nic, co choćby przypominało maleńką, jedwabną sakiewkę, jaką pokazał jej Rupert. Tak maleńką, że trudno byłoby ją wyczuć samym przelotnym muśnięciem palców, wiedziała więc, że nieuchronnie zbliża się moment, kiedy będzie musiała zebrać się w sobie i przedsięwziąć następny krok.

Gdzieś w głębi duszy jednak Octavia wierzyła, że istnieje sposób, by uniknąć ostatecznej kapitulacji, musiałaby go tylko wymyślić.

- Dziękuję, Griffin. Piękne popołudnie, prawda? - powitała kamerdynera, który skłonił się jej w holu.

- W rzeczy samej, milady.

- Poproś jednego z lokai, żeby naciął tej forsycji i postawił w salonie na wieczór - poleciła, zdejmując rękawiczki. - Jest prześliczna, ale długo nie stoi.

- Tak jest, milady.

- W miedzianych dzbankach - dodała, kierując się ku schodom na górę. - Czy jego lordowska mość jest w domu?

- Nie, milady. Lord Rupert wyszedł godzinę temu. Powiedział, że nie będzie go na obiedzie.

- Tak? - Octavia przystanąła z nogą na najniższym stopniu. Rupert z całą pewnością zamierzał zjeść obiad w domu. Poprosił nawet kucharkę o swoją ulubioną, słodką zapiekankę. - Czy mówił, dokąd idzie, Griffin? Zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

- Nie, milady. Miał gościa i wkrótce potem wyszedł.

W głosie Griffina było coś, co brzmiało jak wątpliwość lub dezaprobata wobec owego gościa.

- Cóż to był za gość? - obejrzała się przez ramię na kamerdynera.

- Nie umiem tego właściwie wyrazić, milady. Powiedziałbym, że nie džentelmen. Nie, w żadnym razie nie džentelmen.

- Rozumiem. Dziękuję, Griffin.

Octavia wchodziła po schodach, w zamyśleniu marszcząc brwi. Ben. Prawdopodobnie był to Ben. Ale co mogło sprowadzić Bena na Dover Street? Informacja, która zainteresowała Lorda Nicka, rzecz jasna. Rupert wspomniał kilka dni temu, że kończą im się fundusze. Jak zamierza zaradzić tej sytuacji, nie wspomniał, Octavia założyła więc, że po prostu będzie więcej grał. Ale może Lord Nick znów wyruszał na gościniec.

W swojej sypialni podeszła do okna i z zaszępioną twarzą wyglądała na ulicę, stukając paznokciem o zęby. Krew w jej żyłach wciąż krążyła niespokojnie.

Nie chciała siedzieć na Dover Street, kręcąc młynka palcami, podczas gdy Rupert przemierzał gościniec przez wrzosowiska Putney. Tak wiele zachowywał dla siebie, ale to było czymś, co mogli dzielić ze sobą. Korzystała z owoców trudu rozbójnika, powinna więc też dzielić z nim niebezpieczeństwo... i dreszcz emocji.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie ostatniej wyprawy, kiedy to zatrzymał dylizans wiozący jędzę Cornelie i czynsz dzierżawny hrabiego Gifforda. Pewno Ben przyniósł wiadomość o kolejnym cennym ładunku przewożonym przez wrzosowiska.

Octavia nie zastanawiała się dłużej. Podbiegła do szafy i wyjęła swój strój do konnej jazdy, buty i pelerynę. Pięć minut później była ubrana. Spięła włosy w węzeł na czubku głowy, owinęła ramiona peleryną i zarzuciła na głowę kaptur.

Zatrzymała się w drzwiach. Rozbójnicy noszą maski. Wesoło chichocząc, wyjęła z szuflady czarną,

jedwabną maseczkę balową, którą wsunęła do kieszeni peleryny. Zbiegła ze schodów.

- Griffin, nie będzie mnie na obiedzie. Pan Morgan poszedł do wypożyczalni książek, przepraszam więc w moim imieniu, kiedy wróci. Wy tłumacz, że ja i lord Rupert mieliśmy niespodziewanie coś do załatwienia.

- Tak, milady. - Griffin otworzył przed nią drzwi, kryjąc swoje zdziwienie. - Czy mam przywołać lektykę?

- Nie, dziękuję. - Nie wdając się w dalsze wyjaśnienia, zbiegła lekko ze schodów i pospieszyła ku stajniom.

Jej klacz nadawała się na przejażdżki po parku, ale przecież nie do rozboju. Weźmie znów Petera. Rupert oczywiście będzie dosiadał Lucyfera. Poczekala, aż stajenny osiodła wielkiego deresza. Rupert jeździł po mieście na charakterystycznym, srebrnym ogierze równie często jak na Peterze. Octavia uważała to za skrajny przejaw braku rozważli u człowieka, który planował wszystko precyzyjnie i był tak przewidujący. Czekala tylko, aż ktoś, kto padł ofiarą Lorda Nicka na jego srebrnym wierzchowcu, rozpozna tego szczególnego konia.

Rupert śmiał się z jej obaw, a jego oczy błyszczały radością jaką sprawiało mu rzucanie wyzwania losowi. Kto nie ryzykuje, ten przesympia życie, mawiał. Dla Octavii sam żywot rozbójnika był wystarczająco ryzykowny, bez kuszenia losu, i jakoś nie potrafiła pogodzić się z jego brawurą. Teraz jednak sama podjęła wyzwanie.

Dosiadła Petera, wspinając się na jego grzbiet po klocek, po czym wyprowadziła go ze stajni. Nie jeździła jeszcze na nim w damskim siodle, ale ogromny wierzchowiec nie okazał się bardziej zdziwiony nieznaną sobie wagą i pozycją jeźdźca niż wtedy, kiedy jechała na nim na oklep, mając do dyspozycji tylko uzdę.

Siedem kilometrów do zajazdu Pod Królewskim Dębem pokonała w niecałą godzinę i w zapadającym kwietniowym zmierzchu zatrzymała konia na rozstaju, gdzie odchodziła droga prowadząca do zajazdu. Koń wietrzył, podniósłszy łeb, po czym sam skierował się ku znajomej stajni.

- Nie, poczekaj chwileczkę, Peter. - Octavia ściągnęła wodze. Peter zatrzymał się, każdym mięśniem wyrażając cierpliwe zdziwienie. Gdyby pokazała się Pod Królewskim Dębem, nie trzeba mówić, jakby ją tam powitano. Jeśli Rupert jest w zajęździe, będzie się upierał, żeby tam została, kiedy on uda się w swoich sprawach na wrzosowisko. Jeśli go tam nie ma, Ben i Bessie na pewno nic jej nie wyjaśnią.

Wątpiła jednak, żeby Rupert zatrzymał się Pod Królewskim Dębem. Nie było jeszcze ciemno i należało się spodziewać ruchu na szlaku przez wrzosowisko. Lord Nick z pewnością czekał już na swojej pozycji na szczególnego rodzaju zwierzynę.

Octavia założyła maseczkę. Dawało jej to przedziwne poczucie, jakby nie była sobą, jakby uczestniczyła w szalonym, niebezpiecznym i ekscytującym wybryku. Co, w gruncie rzeczy, właśnie miało miejsce.

- Tędy, Peter. - Skierowała konia na wrzosowisko.

Rupert; w masce na twarzy, ustawił się z Lucyferem pod osłoną kępy srebrnych brzoź. Odkąd zajął pozycję, przejechał faeton, lekka bryczka pocztowa i ciężki wóz dwukołowy wyładowany beczkami. On jednak nie był zainteresowany żadnym z tych pojazdów. Czekal na opóźniony dyliżans, który, według Morrisa, zgubił koło w Farnham i miał przejeźdzać przez wrzosowisko, kiedy już na niebie rozbłysną gwiazdy.

Czekal cierpliwie i spokojnie, a Lucyfer, znając swoje zadanie równie dobrze jak jeździec, trwał pod nim bez ruchu. Wtem z oddali dobiegł dźwięk trąbki pocztowej przynaglający do galopu. Lucyfer zastrzygł uszami. Rupert naciągnął na usta jedwabną chustkę. Odczekał, aż tętent kopyt i ciężkie dudnienie potężnych, żelaznych kół stanie się tak bliskie, że ziemia zacznie drżeć. Wydobył pistolety. Wyjechał na wąską wstęgę drogi wijącą się przez wrzosowisko. Mrok gęstniał coraz bardziej.

W tej chwili z tyłu dobiegł go odgłos galopujących kopyt. Szarpnął się, gotów zjechać z drogi i ukryć się z powrotem wśród drzew, zanim kłopotliwy podróżny go zauważy. Wtem rozpoznał Petera.

Octavia zrównała się z nim w chwili, kiedy trąbka pocztowa zagrała ponownie wręcz wyzywającym sygnałem, jakby miała na celu wzmocnienie ducha w pasażerach dyliżansu zbliżającego się do otoczonej złą sławą kępy drzew.

- Przybyłam na pomoc - oznajmiła Octavia, śmiejąc się wesoło i błyskając oczami przez szpary w masce. - Nie mam co prawda broni, ale mogę zebrać łupy, kiedy ty będziesz ich trzymał na muszce.

- Zejdź z drogi! - rozkazał, i znów próba sprzeciwu okazała się niemożliwa jak zmaganie się z potężną falą przyływu. Skierowała Petera między drzewa, a przy dźwięku trąbki zza zakrętu wypadł, kołysząc się, jasnożółty dylizans pocztowy z prędkością ośmiu kilometrów na godzinę.

Rupert nie zaprzętał sobie głowy Octavią. Wypalił nad głowami koni z zaprzęgu, ale woźnica już wcześniej ściągnął wodze na widok przerażającej postaci na srebrnym koniu.

Dylizans stanął w tumanach kurzu. Zapadła krótka cisza, która wydała się Rupertowi czymś niezwykłym. Zawsze ktoś krzyczał, jęczał lub przeklinał. Tym razem woźnica siedział na koźle, poczytliwi na pierwszej parze koni w zaprzęgu, pasażerowie kulili się w pelerynach, ale nikt nie wydobyl z siebie dźwięku. Było tak, jakby wszyscy na coś czekali.

I wtedy zobaczył, na co czekali. Pięciu mężczyzn niezauważalnie opuściło się z dachu z tyłu dylizansu i wyskoczyło na drogę. Pięciu gwardzistów z pistoletami gotowymi do strzału. Octavia nie namyślała się ani chwili. Rzuciła się na nich od tyłu z donośnym, przerażającym okrzykiem wojennym. Odwrócili się jak jeden mąż, a ona natarła na nich Peterem. Ogromny deresz wspiał się, młócąc kopytami powietrze, tocząc ślepiami i wystawiając zęby. Gwardziści cofnęli się. Rupert wypalił z drugiego pistoletu, kula przeszła kapelusz jednego z żołnierzy.

To im wystarczyło. Lucyfer uskoczył w przydrożne janowce i zniknął między drzewami. Peter nie potrzebował zachęty jeźdźca. Z pyskiem tuż za ogonem srebrnego rumaka pędził, waląc kopytami w darń. Z tyłu zagrzmiała salwa ze wszystkich pistoletów naraz. Octavia instynktownie schyliła głowę, choć wiedziała, że są już poza zasięgiem strzału z kiepskiej broni.

Serce waliło jej w rytm końskich kopyt. Wzrok utkwiony miała w gnającej przodem srebrnej sylwetce, pozwalając swojemu koniowi biec, jak chce.

Nagle Lucyfer zniknął. W jednej chwili widziała go, a zaraz potem przepadł, dookoła był tylko mrok i majaczące niewyraźnie, poskręcane, widmowe kształty drzew. Serce Octavii zamarło, ogarnęło ją przerażenie. Znalazła się sama wśród wrzosowisk. Lord Nick i Lucyfer zapadli się pod ziemię jak diabeł wracający do swoich piekielnych pieleszy.

Ale Peter gnał naprzód. Skręcił za gęstą zasłonę paproci, za którymi biała skalista ściana i skoczył do przodu w ciemną pieczarę. Octavia znalazła się w małym, mrocznym pomieszczeniu. Wyczuwała ciepło końskiego ciała, słyszała, jak zdysznanemu oddechowi Petera wtóruje oddech Lucyfera.

- A to niespodzianka - rozległ się w ciemności spokojny głos Ruperta.

- Czekali na ciebie - powiedziała Octavia. - Wiedzieli, że tam będziesz.

- Tak, na pewno masz rację. Jednak nie tę niespodziankę miałem na myśli.

Przybrał najbardziej ironiczny ze swych tonów. Tak chłodny, jakby siedzieli przy kominku na Dover Street, omawiając wyniki wieczornej gry. Octavia uznała, że nie pora wdawać się w nieprzyjemną dyskusję na temat jej obecności.

- Gdzie my jesteśmy?

- W jaskini.

- Jaskinia? Na wrzosowisku Putney?

- Jaskinia to może za dużo powiedziane - przyznał. - Samotna skała pośrodku bezdroży. Z dziurą w środku.

- Aha. - Oczy Octavii zaczęły przyzwyczajając się do ciemności i mogła już rozróżnić jasny kształt Lucyfera i ciemną pelerynę jeźdźca. Byli tak blisko, że bok ogiera dotykał jej nogi. - Jak długo tu zostaniemy?

- Dopóki nie postanowię inaczej - zabrzmiała zdecydowana odpowiedź.

- Ale oni nie mogliby ścigać nas pieszo?

- Uważasz się za znawczynię metod gwardzistów? A może jesteś jasnowidząca?

Octavia się skrzywiła.

- Ponieważ i tak czekamy, może zechcesz odpowiedzieć na kilka pytań - powiedział Rupert uprzejmie. - Jakież to światło, jeśli nie wręcz natchnione rozumowanie przywiodło cię tutaj?

- Nie sądzisz, że w tej chwili...

- Chwileczkę - przerwał jej. - Może mnie nie dosłyszałaś. Ja zadaję pytania, ty, Octavio, na nie odpowiadasz. Powtarzam: co, na litość boską, tutaj robisz?

- Pomyślałam, że mogłabym ci pomóc - powiedziała niepewnie, drżąc. W wilgotnej ciemności jaskini było zimno, a ona była spocona po ekscytującej gonitwie.

- Błędna odpowiedź - uciął. - Spróbuj jeszcze raz. Octavia skrzywiła się w ciemności.

- Ale ja tak myślałam.

- Nieprawda. Zobaczmy, czy zdołamy znaleźć odpowiednie słowo na określenie tego, co robiłaś. Octavia starała się rozpoznać wyraz jego twarzy, ale w ciemności było to niemożliwe. Mogła się go tylko domyślać z jego chłodnego i spokojnego jak zawsze tonu.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała, drżąc żałośnie. - Sądziłam, że skoro prowadzimy tę grę razem, powinnam uczestniczyć również w tej jej części tak samo jak w innych.

- Przeszkadzać - powiedział. - „Przeszkadzać” jest słowem, którego szukasz, Octavio i które ja chcę usłyszeć. A teraz powiedz mi, proszę, co tu właściwie robisz. I tym razem powiedz to tak, jak trzeba.

- Do wszystkich diabłów - mruknęła Octavia. - Świetnie. Przeszkadzam. Zadowolony?

- Nie mogę pojąć, jak mogłem nie wyrazić jasno swoich odczuć ostatnim razem - myślał głośno. - Zdawało mi się, że wszystko jest klarowne, ale najwyraźniej się myliłem. Będę musiał wziąć młot, żeby wbić ci to do głowy.

Octavia nie zamierzała kłopotać się odpowiedzią. Zbyt był przywiązany do swojego rozumowania, żeby przyjąć jakiegokolwiek argumenty przeciwne.

- Najwyraźniej zbyt wielką nadzieję pokładałem w zasadzie mówiącej, że mądryemu nie trzeba powtarzać dwa razy - ciągnął tym samym tonem zadumy. - Będę musiał zastanowić się nad sankcjami dla wzmocnienia słów.

Lucyfer poruszył się i zarżał cicho. Lord Nick pogłaskał go po szyi.

- Myślisz, że wystarczająco długo już tu tkwiliśmy, stary druhu?

Zwrócił konia ku słabemu, szaremu światłu sączącemu się przez szczelinę

w skale i Lucyfer ruszył do przodu, wyciągając szyję i wietrząc chrapami. Koń z jeźdźcem wymknęli się z pieczary, pozostawiając Petera i Octavię samych. Ku zaskoczeniu Octavii, Peter nie ruszył natychmiast za swoim przewodnikiem, a ona nie wiedziała, czy ma go do tego zachęcać. W obecnej panującej atmosferze pomyślała, że lepiej będzie pozostać tam, gdzie jest, zanim nie zostanie poinstruowana. Po dwóch minutach pełnych napięcia Rupert szepnął tylko:

- Chodź.

Peter sam wiedział, co robić. Kiedy wydostali się z pieczary, na niebie świeciły blade gwiazdy. Powietrze wypełniały zwykle nocne odgłosy wrzosowisk: szmer przebiegających małych zwierząt, pohukiwanie sowy, poszum wiatru w świeżym listowiu.

- Czy oni zrezygnują? - wyszeptwała Octavia.

- Wątpię, ale szukając nas, nie będą przeczesywać tej części wrzosowiska. - Spiał boki Lucyfera i koń przeszedł w kłus, a Peter niepoganiany za nim.

- Jedziemy do zajazdu Pod Królewskim Dębem? - ostrożnym szeptem Octavia przerwała milczenie.

- Nie będę naprowadzać szczurów na siedzibę przyjaciół. Głupie pytanie. Octavia zagryzła wargę.

- A co z chatą?

- Nie. Wracamy do domu, tyle że okrężną drogą. Ośmielę się przypomnieć ci, że dziś wieczorem przyjmujemy.

- Do wszystkich diabłów - mruknęła znowu. - Ty też nie pomyślałeś o tym ani przez chwilę, kiedy wymykałeś się bez słowa.

- Wręcz przeciwnie. Bardzo starannie to przemyślałem. Okazałem się tylko na tyle głupi, żeby zakładać, że ty tam będziesz i utrzymasz twierdzą do mojego powrotu.

- Och.

- Oczywiście ciągle wtrącanie się w cudze sprawy nie pozwala na chwilę zastanowienia.

To zaczyna być nużące, stwierdziła Octavia.

- Czy masz zamiar wciąż być taki nieprzyjemny, kiedy już wrócimy do domu?
- Być może.
- Jak nieprzyjemny?
- O, myślę, że mógłbym rozebrać cię do naga, wychłostać do utraty tchu i zamknąć na tydzień na strychu z piętką czerstwego chleba i dzbankiem zatęchłej wody do towarzystwa.
- Nie uważasz, że to dość skrajne metody?
- Nie.

Octavia uśmiechnęła się w ciemności. Zerknęła na nieruchomy profil Ruperta i uśmiechnęła się jeszcze bardziej.

- A nie uważasz, że dwoje przeciwko pięciu ma większe szanse niż jeden?

Nie było odpowiedzi.

- Peter i ja całkiem nieźle sobie poradziliśmy - zauważyła. - Wypadliśmy prosto na nich bez chwili wahania. Oczywiście jeszcze lepiej by było, gdybym miała pistolet. Następnym razem muszę sobie zapewnić stosowny ekwipunek.

Rupert wciąż milczał.

- Oczywiście nie wiem, jak się strzela z pistoletu, ale jestem pewna, że mogłabym się nauczyć... Co o tym myślisz, Peterze? Czy uważasz, że Lord Nick da się namówić, żeby mnie nauczyć?... Tak, cieszę się, że się ze mną zgadzasz. Rozsądniej by było również, gdybyśmy byli uprzedzani o takich wycieczkach zawczasu. O, myślisz, że jeszcze rozsądniej by było razem je planować... ustalać strategię, żebyśmy nie byli zmuszeni działać odruchowo, skoro odruchy zdają się nie być w poważaniu? Tak, całkowicie się zgadzam... Ach, myślisz, że udało nam się go rozweselić, Peterze? Czyżby to był cień uśmiechu?...

- Octavio, twój ojciec będzie musiał odpowiedzieć na masę pytań - odezwał się Rupert. - Zawsze miałem świadomość, że byłaś wychowywana swobodnie, ale do teraz nie orientowałem się, że byłaś puszczona całkowicie samopas.

Octavia zachichotała.

- Poglądy mojego ojca na wychowanie dzieci są dość ekscentryczne.
- To zwykłe zaniedbanie, muszę powiedzieć.
- Żarty na bok...
- A kto tu żartuje?

Octavia podrapała się w ucho i spróbowała znowu:

- Aby nieco zmienić temat, czy myślisz, że gwardziści zastawili na ciebie zasadzkę? Zazwyczaj nie towarzyszą dylizansom, prawda?

- Z tego, co wiem, to nie.

Jechali wzdłuż południowego brzegu Tamizy, wąskimi uliczkami, zupełnie Octavii nieznanymi. Przed nimi połyskiwały światła, musiał to być most Westminsterki. Zbliżali się do niego od zupełnie innej niż zwykle strony.

- Musieli się więc ciebie spodziewać? - nie ustępowała Octavia.
- Oni albo ktoś - zgodził się. - Bardzo zaskakujące. Gwardziści sir Johna Fieldinga na ogół nie wykazują się na tyle inteligencją, żeby urządzić zasadzki.
- Czy to Ben przyniósł ci wiadomość o opóźnionym dylizansie?

Skręcili na most, po czym Rupert odpowiedział jej krótkim skinieniem głowy.

- Ale nie myślisz chyba?...
- Nie. Nie myślę.
- Dobrze, a kto powiedział Benowi?
- Przypuszczam, że Morris.
- Czy on mógłby?...
- Być może.

Octavia zamilkła. Jeśli Rupert podejrzewał, że to Morris wydał go gwardzistom, nie było potrzeby drażnić tej kwestii. Rupert znów prowadził ich nieznanymi ulicami, zmierzając do Dover Street przez zaułki i nieuczęszczane place. Nieprawdopodobieństwem było, aby gwardziści ich tu szukali, ale nie chciał ryzykować.

- Czy nasze fundusze są zupełnie na wyczerpaniu? - spytała Octavia z napięciem w głosie.
- Nie tak, żebym nie mógł ich podreperować przy stole do gry - odparł.

- Ale nie wyjedziesz na gościniec, dopóki nie dowiesz się, czy Pod Królewskim Dębem ktoś szpieguje? - nie potrafiła ukryć niepokoju.

Rupert odwrócił się i spojrzał na nią w świetle lampy olejowej. Ciemnoszare oczy lśniły rozbawieniem.

- Wierz mi, Octavio, kiedy podejmę tę decyzję, pierwsza się o tym dowiesz.

- A - powiedziała - więc wygląda na to, że postawiłam na swoim.

- Ale za to ja nie mogę postawić na swoim - stwierdził ironicznie, wjeżdżając do stajni na Dover Street.

- Och, myślałam, że zawarliśmy pokój - powiedziała Octavia, zsiadając.

Rupert jedynie uniósł brew i zeskoczywszy z Lucyfera, podał wodze stajennemu. Dom był jasno oświetlony.

- Wydaje się, że przyjęcie trwa mimo nieobecności gospodarzy - stwierdził, podchodząc do bocznych drzwi. Octavia postępowała tuż za nim.

Griffin stał w holu, kiedy wyłonili się z bocznego korytarza.

- Milordzie... lady Warwick. - Ukłonił się. - Pan Morgan zabawia gości w salonie.

- Mój ojciec? - Octavia spojrzała na Ruperta z przerażeniem. - A jeśli Rigby i Lacross są tutaj?

Wziął ją za rękę i podprowadził do schodów, dalej od Griffina.

- Idź się przebrać - nakazał cicho. - Nie możesz się pokazać w stroju do konnej jazdy.

- Tak, ale, jeśli oni...

- Idź się przebrać - powtórzył tym samym tonem.

Octavia, nie zwlekając, pobiegła na górę do swojej sypialni. Gonił ją dobiegający z salonu szmer rozmów, śmiechy, brzęk szkła. Jeśli Dirk Rigby i Hector Lacross tu są i rozpoznali jej ojca, będą wiedzieli, kim jest ona. Czy nie nabiorą wtedy podejrzeń co do gościnności, z jaką ich podejmowano? Stracą zaufanie do Ruperta.

A jak zareagowałby jej ojciec, gdyby ich rozpoznał? A na pewno musiałby ich rozpoznać, nawet po trzech latach.

Zadzwoiła na Nell i zaczęła zrzucać z siebie strój do konnej jazdy. Co opętało jej ojca, żeby brać na siebie rolę gospodarza? Nigdy nie okazywał najmniejszej chęci uczestniczenia w życiu towarzyskim z wyjątkiem zasiadania z Octavią i Rupertem do obiadu, kiedy nie było gości. Zawsze był odludkiem, nawet w Hartridge Folly unikał towarzystwa wszystkich oprócz najbliższych. Octavia pokazywała się w miejscowym towarzystwie, mając za przyzwoitkę żonę właściciela okolicznych dóbr, której najstarsza córka była w tym samym wieku co ona.

- Nell, przynieś mi tę jedwabną suknię w kolorze bzu - poleciła pokojówka, która wpadła do pokoju z dzbankiem parującej wody. Kiedy Octavia schyliła się nad umywalką, żeby spryskać twarz gorącą wodą, zaburczało jej w brzuchu i przypomniała sobie, że nie jadła obiadu. Teraz jednak nie było na to czasu. Musiała czym prędzej znaleźć się na dole i sprawdzić, jakie szkody powstały pod jej nieobecność. Gdyby nie pojechała za Rupertem, do niczego takiego by nie doszło.

Ale też, gdyby za nim nie pojechała, mogłoby mu się nie udać ująć przed gwardzistami. Może nawet już byłby w Newgate.

Stała spokojnie, choć niecierpliwie, kiedy Nell zapinała haftki sukni z jedwabiu w kolorze bzu obszytej ciemnozielonymi aksamitnymi wstążkami.

- Nie, nie chcę dziś upinać włosów - powiedziała, kiedy pokojówka wzięła do rąk grube podkładki z końskiego włosia, na których zgodnie z nakazem mody upinała wysoko włosy Octavii. - Zostawię rozpuszczone, wepnę tylko srebrny diadem.

Zaledwie chwilę zajęło umocowanie nad czołem srebrnego diademu i ułożenie błyszczących loków wokół twarzy i na nagich ramionach. Wyglądała jak średniowieczna księżniczka. W innych okolicznościach uradowałoby ją to, ale teraz za bardzo niecierpliwiła się przed zejściem na dół, żeby poświęcić więcej uwagi swojej powierzchowności.

- To wszystko, dziękuję, Nell.

Naciągnęła długie, jedwabne rękawiczki, chwyciła wachlarz i wybiegła z pokoju. Z salonu wciąż sączyły się odgłosy ogólnej wesołości, słyszała lekki ton Ruperta. Prawdopodobnie on nie zawracał sobie głowy, aby się przebierać. Ale mężczyzna w stroju jeździeckim wieczorem nie wywołałby takiego zdziwienia, zwłaszcza we własnym domu.

Wkroczyła do salonu z duszą na ramieniu. Szybkie spojrzenie, jakim ogarnęła całe zgromadzenie,

upewniło ją, że Hector Lacross i Dirk Rigby nie przyszli. Odczuła ulgę, ale zaraz potem uderzyła ją myśl, że mogli być tu wcześniej i już wyjść.

Oliver Morgan stał przy oknie pogrążony w rozmowie z hrabią Wyndhamem. Ojciec miał na sobie strój dworski z aksamitu o barwie czerwonego wina, żabot i angażanty z brabanckich koronek. Była to staroświecka elegancja, ale doskonale pasowała do patrycjuszowskich rysów i gęstej, siwej grzywy.

- A, jest i moja córka. - Powitał ją szerokim gestem. - Hrabia Wyndham, moja droga Octavio, jest prawie równie dobrze zorientowany w teoriach Pitagorasa, jak twój małżonek.

Octavia przeszła przez pokój, mając nadzieję, że jej uśmiech nie jest tak sztywny, jak jej się wydawało.

- Papo, to do ciebie niepodobne zaszczyć swoją obecnością salon.

- Cóż, dziecko, pod nieobecność prawdziwych gospodarzy uczyniłem to, co uznałem za najlepsze - odparł z nieco ironicznym uśmiechem. - A wydawało się moim obowiązkiem zastąpić cię. Twój mąż uraczył nas opowieścią o waszej przygodzie.

Octavia rzuciła Rupertowi spłoszone spojrzenie.

- Ach tak?

- Z rozbójnikami, madame - podpowiedział Rupert łagodnie. - Opowiadałem, jak zostaliśmy zatrzymani na wrzosowisku Hempstead, kiedy wybraliśmy się na popołudniową przejażdżkę.

- O tak, na wrzosowisku Hempstead - powtórzyła słabo. - Tak, to było przerażające. Na szczęście Rupert miał swoje pistolety i był w stanie ich odegnąć. Było ich co najmniej pięciu, prawda, Warwick?

- Pięciu... o, przesadzasz, moja droga - odparł. - Nie więcej niż trzech, jestem pewien.

- Trzeba ci pogratulować, że uszłaś z życiem, pani - odezwał się jeden z gości od stołu do faraona. - Złoczyńcy i rozbójnicy to zmora naszego życia. W dzisiejszych czasach człowiek nie może spokojnie podróżować dokądkolwiek po zapadnięciu zmroku.

- To prawda - zgodził się ktoś, zażywszy do woli tabaki. - Drogi nie będą bezpieczne, dopóki nie powiesimy ich wszystkich na Tyburn Tree - oznajmił, wielokrotnie kichając. - Wszystkich bez wyjątku.

- Lady Warwick należy się pochwała za jej hart ducha - zauważył cicho Philip. - Większość dam po tak strasliwym przeżyciu dostałaby spazmów i przez tydzień nie wstawała z łóżka, a ty jesteś tu z nami równie promienna i ołśniewająca jak zwykle.

- Och, jestem z twardszego materiału, panie - powiedziała Octavia. - Ale muszę wyznać, że czuję głód. W całym tym zamieszaniu zapomniałam o obiedzie.

Pociągnęła za sznur dzwonka, wzywając Griffina.

- Każ podać kolację w jadalni, Griffin. Nie będziemy dziś czekać do jedenastej.

- Myślę, że jeśli mi wybaczycie, opuszczę was, życząc przyjemnego wieczoru. - Oliver skłonił się całemu towarzystwu i skierował do drzwi. - Muszę jeszcze poczytać.

Octavia odprowadziła go do wyjścia.

- Dziękuję, papo, że wziąłeś na siebie obowiązek bawienia gości.

- Nie ma za co. Jeśli mam być szczerzy, nawet mi się to podobało - powiedział, chichocząc. - Czym sam jestem zaskoczony. Ale ty i Warwick powinniście być trochę ostrożniejsi, udając się w swoich sprawach.

Octavia spojrzała na niego przenikliwie. Czy miał na myśli co innego niż rozbójników? Czy spotkał Rigby'ego i Lacrossa? Ale jego piwne oczy zdawały się patrzeć niewinnie, a uśmiech nie miał w sobie nic ze sztuczności.

- Czy wcześniej byli tu jeszcze jacyś inni goście, papo?

Pokręcił głową.

- Nie sądzę, jeśli nie przybyli, zanim nie zszedłem i nie odeszli wobec nieobecności gospodarza.

Ojciec na pewno nie kłamał.

- Dobrej nocy, papo.

Pocałowała go i dygnęła, kiedy opuszczał salon. Poszukała wzrokiem Ruperta. Sprawdził, czy Rigby z Lacrossem byli tu wcześniej? Nieznacznie pokręcił głową i wrócił do gry w paraniepara.

Octavia podeszła do hrabiego Wyndhama. Kiedy mijała wicehrabiego Ledhama, jej dłoń musnęła jego frak. Wicehrabia zbyt był zajęty zakładaniem się o to, czy czerwony płomień w kominku

pojawia się wcześniej, czy niebieski, aby zauważyć coś ponad to, że pani domu stanęła na moment bardzo blisko niego, uśmiechając się i okazując pochlebne zainteresowanie jego absurdalnym zakładem.

Ruszyła dalej. Należący do wicehrabiego zegarek na łańcuszku ukryła w dłoni.

- Lordzie Wyndham, czy masz ochotę założyć się o porządek, jakim kieruje się ogień?

Oparła rękę za sobą, na marmurowym blacie stolika przy ścianie, po czym podeszła bliżej do hrabiego. Zegarek z łańcuszkiem leżał niewinnie na stoliku.

Wyndham pokręcił głową.

- Ledham założyłby się nawet o to, jak szybko ściekają krople deszczu po okiennicy.

- Nie on jeden. Za słabeusza uchodzi ten, kto nie przyjmuje takich absurdalnych zakładów. - Uśmiechnęła się z porozumiewawczym błyskiem w oku. - To pocieszające, milordzie, że przynajmniej ty niewolniczo nie podążasz za towarzystwem w tych głupstwach. - Musnęła ręką jego dłoń, a głowę niemal oparła na ramieniu hrabiego, tak że mógł wdychać zapach jej włosów i ciała. - Trzeba być mądrym i odważnym człowiekiem, żeby trzymać się z boku.

Philipowi zakręciło się w głowie od kontrastu między świeżością Octavii a ciężkimi woniami pudru, pomady i perfum przesłaniającymi smród niezbyt czystej bielizny i sztywnych od potu aksamitów i brokatów.

Była naprawdę oryginalna. Nawet sposób, w jaki flirtowała, różnił się od wszystkiego, czego doświadczył do tej pory. Był lekki i świeży, jej obietnice nie miały w sobie nic z wulgarności czy nadmiernej gorliwości. Ku swojemu zaskoczeniu miał ochotę rozgrywać tę partię w jej tempie. Gdyby jakkolwiek inna kobieta zwlekała tak długo jak Octavia Warwick, albo wzięłby ją siłą albo porzucił pogoń za nią z niesmakiem. Ale ona tknęła wokół niego swój czar, oplatała go pajęczyną obiecujących uśmiechów i pocałunków, a jednocześnie ledwo mogła ukryć swoją naturalną namiętność. Spojrzał przez pokój na jej męża. Rupert Warwick pochłonięty był grą, miał nieodgadniony wyraz twarzy. Ten człowiek sprawiał, że Philipa przechodziły ciarki. Jego szczególny uśmiech napawał hrabiego niepowstrzymaną odrazą jakby był bez mała trucizną. Samo przebywanie w jego obecności było dla Philipa prawie nie do zniesienia, a musiał to znosić, aby zdobyć damę.

Jednak myśl o ostatecznym nacieszeniu się wdziękami żony mężczyzny, którego darzył tak żywiołową nienawiścią, czyniła jego towarzystwo znośnym.

Octavia uśmiechała się, dłonią lekko pieszcząc jego bok. Przeszły go ciarki, w lędźwiach czuł ciężar. Spojrzał na spokojny, piękny owal jej twarzy, na lśniące, płonące w mroku tygrysie oczy.

- Kolacja - powiedziała, kiedy ponury Griffin pojawił się w drzwiach. - Jestem głodna jak wilk, milordzie. Czy zechcesz mi towarzyszyć?

- Z rozkoszą, madame. - Skłonił się i podał jej ramię.

Haftowana jedwabiem chusteczka Philipa Wyndhama sfrunęła na podłogę, kiedy zmierzali ku drzwiom. Złoty suweren cicho zadźwięczał o blat stolika, który mijali.

14

Magazyn tuż za mostem Londyńskim, na południowym brzegu Tamizy był przysadzistym budynkiem z czerwonej cegły, o zakratowanych oknach. Rzeka omywała podstawę jednej ściany, pozostawiając na ceglach osad zielonkawego szlamu.

Dwóch pasażerów wysiadło z dorożki przed okutymi żelazem drzwiami w głębi wąskiego dziedzińca. Woźnica rozejrzał się wokół spod niskich, krzaczastych brwi.

- Chcecie, żebym czekał, panowie?

Dirk Rigby zmarszczył nos, panował tu przytłaczający smród gnijących wodorostów, ryb i kloaki. Zerknął na Hectora, który nerwowo macał olśniewająco białe falbany swojego żabotu. Ta zapuszczona okolica zdawała się najmniej prawdopodobnym miejscem na spotkanie inwestorów.

- Tak - powiedział Hector obcesowo. - Czekaj na nas.

Jak tak, to należy mi się zapłata za jazdę, panie - oznajmił woźnica, kiedy jego pasażerowie skierowali się do drzwi. - Na wszelki wypadek, jakby co - zaśmiał się rubasznie, wycierając oczy chustką, na której widać było czerwone plamy.

- Nie bądź śmieszny, człowieku - powiedział Dirk. - Przyjechaliśmy tu w interesach, a ty masz czekać, dopóki nie załatwimy sprawy.

Co powiedziawszy, zastukał ostro w drzwi srebrną gałką swojej laseczki.

Woźnica osunął się na koźle, mamrocząc pod nosem. Znał ten typ. Spodziewają się, że człowiek spędzi pół dnia, czekając na nich i tracąc kursy, a na koniec będzie się mógł uważać za szczęściarza, jeśli dadzą mu dodatkowego szylinga.

Nienaoliwione skoble zazgrzytały i wielkie drzwi otworzyły się, ukazując ciemne, przepaściste wnętrza. Powitał ich starszy mężczyzna z kopczącą świecą łojową w ręku. Przygarbione ramiona okryte miał zrudziałym ze starości surdudem o wyświeconych klapach, włosy przykryte szmatławą peruką.

- A, jesteście - odezwał się skrzeczącym głosem. - Późno przyjechaliście. Pan już chciał z was zrezygnować. - Wyrzwał poza nich, na dorożkę stojącą przy wjeździe na dziedziniec. - Lepiej go zatrzymajcie. Nie ma dużego ruchu w tej dzielnicy. Nie powinniście chodzić sami po tych ulicach.

To nie dla takich eleganckich dżentelmenów - zarechotał i odwrócił się, kierując się w stronę ciemnego wnętrza magazynu.

Hector i Dirk weszli za nim. Starzec skoczył do tyłu z nagłą werwą, która przeczyła jego wiekowi i wrażeńiu nieporadności. Wielkie, żelazne drzwi zatrzasnęły się od jego kopnięcia. Płomień świecy zamigotał, zakopcił i zgasł. Nagle wszystko ogarnęły ciemności.

- Niech cię szlag, człowieku! Co to za zabawa? - ryknął Hector, słysząc własną niepewność przebijającą przez przekleństwo.

- To tylko wiatr... tylko wiatr - mamrotał staruch. - Czekajcie chwileczkę.

W ciemności rozległo się szuranie, trzask krzesiwa o hubkę i świeca zapłonęła znowu.

Znajdowali się w rozległym, pustym pomieszczeniu, tak wysokim, że sufit ginął w mroku. W wątłym, żółtym świetle Dirk i Hector mogli dostrzec pod ścianami jakieś bezkształtne sterty. Powietrze było ciężkie od kurzu i trocin, zimne i wilgotne, choć na zewnątrz zapadał ciepły zmrok.

- Nie podoba mi się to - mruknął Hector do swojego towarzysza, kiedy szli za przewodnikiem do kręconych, żelaznych schodów pod ścianą od strony rzeki. - Jesteś pewien, że to jest miejsce, o którym mówił Warwick?

- Wszak ten człowiek się nas spodziewał - przypomniał mu Dirk, ale sam nie był bardziej pewien niż jego towarzysz. Przybyli tu, aby omówić spekulacyjne przedsięwzięcie, które obiecywało znaczne zyski. To nędzne, nieco złowrogie miejsce nie budziło zaufania do jakiegokolwiek przedsięwzięcia.

Podążali w górę krętymi, żelaznymi schodami, za chwiejnym blaskiem świecy, w którym wydłużone groteskowo cienie tańczyły przed nimi. U szczytu schodów znajdował się niewielki, drewniany podest, jego nierówne deski, z ziejącymi między nimi szczelinami, trzeszczały pod ich stopami.

- Proszę bardzo, panowie.

Ich przewodnik zaskrobał w jakiejś drzwi na końcu podestu. Przyłożył do nich ucho i nasłuchiwał, po czym z zadowoleniem skinął głową i ujął klamkę.

- Ci jegomoście, coś się ich spodziewał, panie. Są tu.

- To ich wprowadź, leniwy hultaju. - Gromka odpowiedź, mimo zgryźliwości, dodała im otuchy. Rigby i Lacross wyminęli w drzwiach starucha ze świecą i weszli do kwadratowego pokoju oświetlonego lampą olejową i blaskiem ognia płonącego w małym, żelaznym piecyku w rogu. Grube żaluzje w oknach zasłaniały widok na rzekę i miasto na jej północnym brzegu.

Wysoki, siwy dżentelmen wstał zza biurka ustawionego pod przeciwległą ścianą. Przyjrzał im się badawczo przez lorgnon.

- Świetnie, wejdźcie, panowie, wejdźcie - powiedział chrapliwym głosem, jakby miał chore gardło. Rzeczywiście szyję miał owiniętą kilkakrotnie szalikiem, który zachodził aż na brodę. Jego koszula była brudna, brązowy, wełniany surdut nosił na sobie ślady wielu posiłków. Na rękach

miał rękawiczki bez palców, mankiety wystrzępione, włosy splecione w harcap na karku przewiązane były czarną pomietą wstążką.

W najmniejszym stopniu nie przypominał dżentelmena, który mógłby zapewnić dwadzieścia tysięcy gwinei zysku od zainwestowanych dziesięciu tysięcy.

- Ned, podaj wino - polecił. - Wypijemy za nasze przedsięwzięcie, panowie. Chodźcie bliżej. Chodźcie i ogrzejcie się przy ogniu. Zimno tu jak diabli. Zawsze tak samo, czy słońce, czy deszcz. Wilgoć z rzeki wchodzi w ściany.

Podszedł do nich, wyciągając rękę na powitanie. Postrzępiona szrama biegła przez jego policzek, unosząc wargę w groteskowym grymasie, który stawał się jeszcze wyraźniejszy, kiedy się śmiał, a teraz uśmiechał się, widząc wyraz ich twarzy.

- Niezupełnie tego się spodziewaliście, co, panowie? No cóż, powiem wam, że nie chcemy zwracać na siebie uwagi. Nie chcemy, żeby łatwo było do nas dotrzeć, panowie. - Ucisnął im obu ręce z werwą która ich zaskoczyła. - Chodźcie do ognia. Ned, gdzie jest wino?

Usadził ich na krzesłach z prostymi oparciami, stojących koło piecyka. Jedna z nóg zaskrzypiała złowieszczo pod niebagatelnym ciężarem Hectora.

- Proszę bardzo... bardzo proszę - zapraszał, zacierając ręce. Towarzyszył temu stłumiony odgłos przypominający heblowanie drewna. Gospodarz napełnił trzy kielichy winem z zakurzonej butelki. Uniósł butelkę i powąchał wylot szyjki. - Znośne... znośne, chyba się zgodzicie, panowie. - Podał im po kieliszku i przyglądał się z uwagą, kiedy zaczęli sączyć wino, jego szare oczy dopraszały się ich opinii. - Dobre, prawda?... Smakuje panom.

- Dziękuję - powiedział Dirk. Nie miał nic do zarzucenia winu, ale kieliszek był zakurzony i umazany jakimś tłuszczem. - A zatem, lord Rupert powiedział...

- Żadnych nazwisk, panowie - przerwał gospodarz z wyrazem przerażenia malującym się na twarzy. - W tej branży nie ujawniamy nazwisk naszych współników. Szanuję prywatność moich inwestorów i ufam, że oni będą szanować moją.

- Ależ my obaj znamy lorda Ruperta Warwicka - stwierdził rezolutnie Dirk. - Nie ma potrzeby udawać, że jest inaczej.

- Może i nie... może i nie. - Gospodarz przyciągnął sobie krzesło i usiadł koło nich. Jego ton stał się nagle zdecydowany i autorytatywny. - Zatem, jak rozumiem, jesteście zainteresowani zainwestowaniem niewielkich sum w projekt, który realizujemy w Clapham.

- Jeśli będą nam odpowiadać warunki - zastrzegł Rigby.

- A co by was zadowoliło, panowie? - Gospodarz odchylił się z krzesłem do tyłu, przyglądając się Rigby'emu z ironią. - Sto procent zysku na kapitale? Dwieście? A może pięćset?

- Możecie to zagwarantować? - Hectorowi aż zabrakło tchu, oczy lśniły mu niemal fanatycznym blaskiem.

- Być może... być może.

Gospodarz wstał i podszedł do starej szafki w odległym kącie pokoju. Pogrzebawszy w niej chwilę, wrócił z pergaminem.

- Pozwólcie, proszę, że wam pokażę. Gdybyście mogli potrzymać, o tu, za róg... proszę bardzo. - Arkusz został rozłożony między nimi, ujawniając plany architekta. - To są domy, które budujemy. Trzy z nich już zostały wybudowane i czekają na zasiedlenie. Ich właściciele przestępują z nogi na

nogę, żeby jak najprędzej się wprowadzić - zachichotał. - Te trzy natomiast trzeba jeszcze wykończyć. Na tym etapie można w nie zainwestować. - Wskazał trzy imponujące budowle po prawej stronie. - Co o tym myślicie?

- Ja nic nie myślę - powiedział Hector. - Skąd się bierze zysk z inwestycji?

- Cóż... z cegieł, z zaprawy, rozumiecie. - Gospodarz dźgnął arkuś palcem wskazującym. - Cegły, zaprawa, stolarka. Ludzie życzą sobie tylko tego, co najlepsze, bo chcą być lepsi od sąsiadów.

Zaśmiał się, ale w tym śmiechu pobrzmiewała dziwna, złowroźna nuta.

- Obiecujemy wszystko, co najlepsze. I z wierzchu widzą tylko to, co najlepsze. Oni są zadowoleni, ich sąsiedzi są zadowoleni. Ale pod spodem... ha, to już zupełnie inna historia. - Zwinął plany. - Dębowe podłogi są bardzo drogie, panowie. Dębowy fornir na zwykłej sośnie kosztuje tyle co nic. Ale kiedy jest dobrze nawoskowany, kto się pozna? Przynajmniej przez kilka miesięcy.

- Czy domy są bezpieczne? - spytał Hector.

Gospodarz wzruszył ramionami.

- Bezpieczne jak domek z kart, szanowny panie. Bezpieczne jak dom ze snu.

Dirk napił się wina.

- I możecie zagwarantować nasz zysk?

- Jest pewny jak mur. Ach, to niezręczna metafora! - zaśmiał się hałaśliwie, znów odchylając się na krześle. - Dość, bądźmy poważni, panowie. Mam już zadatkowane wpłaty na te trzy domy... kupujący pchają się jeden przez drugiego do tych i następnych. Wy wchodzić z inwestycją na tym etapie projektu i mogę zagwarantować, że w ciągu sześciu miesięcy zysk będzie trzykrotny.

Hector oblizwał wargi ruchem szybkim, jak u żmii.

- Jakiej kwoty wstępnej inwestycji oczekujecie?

- Dziesięć tysięcy gwinei na każdy dom, panowie.

- A jaką mamy gwarancję?

- Sporządzimy stosowne dokumenty, wszystko jak należy. - Ich gospodarz wstał znowu. - Pokażę wam tego rodzaju umowy, wszystkie podpisane i opieczetowane przez prawników. Mam wielu inwestorów, panowie. Wszyscy wielce szanowni. - Wrócił do szafki, z której wyjął teczkę. - Przejrzyjcie to sobie.

Obaj mężczyźni zaczęli studiować stertę dokumentów prawnych.

- To wasze nazwisko... Thaddeus Nielson? - Hector wskazał podpis widniejący u dołu każdego dokumentu.

- To ja, panie - skinął głową Thaddeus, splatając ręce na wypukłym brzuchu rysującym się pod wyświechtaną, szarą kamizelką. - Thaddeus Nielson, budowniczy eleganckich rezydencji dla nowo wzbogaconych kupców. Tak eleganckich jak te, które można spotkać na Grosvenor Square czy Mount Street.

- I wypłacacie dywidendy co kwartał?

- Tak, jak tu jest napisane, panowie. Jak widzicie, komitet członkowski naszego małego projektu to dżentelmeni o wielkim znaczeniu. Bankier Moran, na przykład. Lord sędzia Sądu Najwyższego Greenaway. - Schylił się, aby wskazać te podpisy. - Zgromadzenie zarządu odbywa się raz w miesiącu. Jesteście, rzecz jasna, zaproszeni do uczestnictwa.

Z kieszeni kamizelki wyciągnął glinianą fajkę i zajął się nabijaniem jej tytoniem, po czym przytknął drzazgę do płomienia świecy i zapalił. Niebieski dym zaczął wić się w wilgotnym powietrzu.

- Oczywiście większość z tych dżentelmenów woli pozostawać w cieniu -dodał, pykając fajkę w zamyśleniu. - Ale dla zgromadzeń zarządu robią wyjątek. No i chcemy ograniczyć liczbę inwestorów do minimum. W ten sposób osiągniemy większy zysk.

- Racja. - Dirk Rigby gapił się na swoje wyglansowane pantofle. Ich srebrne klamry migotały w ponurym mroku. Rupert Warwick ręczył za Thaddeusa Nielsona. Rupert Warwick żył na bardzo wysokiej stopie. Zaledwie wczoraj widzieli, jak wrzucił stertę gwinei do torebki Margaret Drayton, wyłącznie dla zabawy. Przedsięwzięcie takie jak to mogło się powieść jedynie przy zachowaniu tajemnicy. - Myślę, że powinniśmy zobaczyć domy, które budujecie - powiedział po chwili.

- Ależ oczywiście. Znajdziecie je na Acre Lane. Jak najbardziej, rzućcie na nie okiem. Przecież nie możecie kupować kota w worku. - Uśmiechnął się, przy czym jego szrama leciutko zadrgała.

Ze spokojem wypuścił kłęb dymu.

- Damy znać, czy jesteśmy zainteresowani inwestycją, kiedy je zobaczymy. - Dirk rozejrzał się za czymś, na czym mógłby postawić pusty kieliszek, ale do dyspozycji miał tylko podłogę. Odstawił kieliszek i wstał.

- Och tak, nie spieszcie się - powiedział Taddeus, pykając fajkę i nie zadając sobie trudu, by wstać także. - Ned, odprowadź tych dżentelmenów. I najlepiej zostań na dole, bo spodziewam się jeszcze kilku gości.

- Jeszcze kilku potencjalnych inwestorów? - spytał Hector ostro.

Thaddeus wzruszył ramionami.

- A co w tym złego? Mogę korzystać z okazji. Wy dbacie o swój interes, szanowni panowie, a ja dbam o mój - powiedział, nie przestając wpatrywać się w ogień.

Goście stali przez chwilę niepewni, ważąc jego ostatnie słowa. Dirk sprawiał wrażenie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale Hector trącił go w ramię, znacząco wskazując głową na drzwi. Wyszli w towarzystwie powłóczęgo nogami Neda.

Mężczyzna, którego opuścili, nasłuchiwał, a kiedy z dołu dobiegł szczeł zamykających się za nimi drzwi, wstał z leniwym uśmiechem. Postukał główką fajki o piecyk, wytrząsając z niej żar, przeciągnął się i wsunawszy rękę pod kamizelkę, wyciągnął małą wypchaną podkładkę z materiału, która udawała jego brzuch.

- Ech, co za para tępych głupców - zauważył jego towarzysz, wchodząc z powrotem do pokoju. Plecy miał proste, wzrok czujny. Ze starego, zniedołężniałego sługi przekształcił się w dziarskiego, silnego mężczyznę w średnim wieku.

- Chciwych, tępych głupców, Ben. Przynieś mi gorącej wody i ścierkę. - Rupert pochylił się nad mętnym lustrem i dotknął jaskrawej szramy. - Całkiem dobrze się sprawdza, nie uważasz?

- Ano. - Ben zdjął kociołek z piecyka i nalał wody do niewielkiej miski. - Chcesz, żebym to zrobił?

- Nie, poradzę sobie, dziękuję. - Zanurzył ścierkę w wodzie i starł namalowaną szramę.

- Myślisz, że wrócą? - Ben pozbierał z podłogi kieliszki.

- O, tak. W gruncie rzeczy spodziewam się, że wrócą jeszcze tego wieczoru. Naprawdę ich przestraszyłem, podsuwając im myśl o kolejce konkurencyjnych inwestorów dobijających się do tych drzwi. Chciałbym, żebyś tu został i odebrał od nich wiadomość, kiedy się zjawią. Umów ich na spotkanie w piątek wieczorem. Powiedz, że to zgromadzenie zarządu i będą mieli okazję spotkać innych członków komitetu podczas omawiania interesów.

- A kogo weźmiesz do tego komitetu? - Ben rozgarnął drwa w piecyku, żeby ogień szybciej wygasł.

Rupert parsknął śmiechem.

- Stary Fred Grimforth i Terence Shotley chętnie zagrają te role za odpowiednim wynagrodzeniem.

Ben zaśmiał się cicho. Pod Królewskim Dębem bywało wielu klientów zdolnych do rozmaitych występów.

- No to ja tu jeszcze trochę posiedzę.

- Dzięki. - Rupert pozbył się rozczochranej, siwej peruki i przygładził własne włosy. Zrzucił z siebie nędzny kostium, przywdziewając na powrót swoje spodnie i frak. - Myślę, że na zgromadzeniu zarządu powinienem wystąpić we fraku i krótkiej peruce. Niech nasi potencjalni inwestorzy widzą, że człowiek, który ma zarobić dla nich pieniądze, w stosownej sytuacji potrafi wyglądać jak osoba zamożna.

- Nawet jeśli wygląda na oczywistego łobuza - dopowiedział Ben, podnosząc rzucone na podłogę ubrania i otrzepując je. - Już ta szrama wystarczy, żeby wystraszyć normalnego człowieka.

- Nasi przyjaciele spodziewają się łobuza, Ben, musimy więc im go dać. Jestem pewien, że nie uwierzyliby w autentyczność takiego diabelskiego planu, gdyby przedstawił go im ktoś w dworskim stroju. Łajdacy i zdziery nie mogą wyglądać na siebie samych - jego głos ociekał sarkazmem jak pszczeli plaster miodem.

- Ano - zgodził się Ben z surowym wyrazem twarzy. - Mówisz, jakbym nie wiedział.

Rupert nie odpowiedział. Po raz ostatni spojrzął na siebie w byle jakim lustrze, po czym wyjął z szafki swój kapelusz i elegancką laseczkę. Nacisnął guziczek na jej główce, a wtedy z laseczki wyskoczyła groźna szpada.

- Spodziewasz się kłopotów? - spytał Ben lakonicznie.
- W tej okolicy nie zawadzi być przygotowanym. - Ponownie nacisnął guziczek, ostrze się wsunęło. - Jestem już spóźniony, a dziś jest dzień dworski. Octavia gotowa obciąć mi uszy i rzucić krukowi na pożarcie, jeśli nie zjawię się, aby jej towarzyszyć.
- To do ciebie niepodobne, Nick, pozwolić kobiecie rządzić - mruknął Ben, schodząc za nim po schodach.

Rupert się uśmiechnął.

- O, nie nazwałbym tak metod, jakimi Octavia stawia na swoim, Ben. Ona właściwie nie narzuca swojego zdania, ona po prostu ignoruje zdanie przeciwne, jeśli jest dla niej niewygodne.

- To znaczy twoje, jak przypuszczam.

- To znaczy moje - przyznał Rupert.

Znalazłszy się na dole, podszedł do drzwiczek w ścianie od strony rzeki. Odsunął ciężkie skoble i drzwi się otworzyły. Śliskie od glonów schody prowadziły do samej wody, na której kołysała się łódka zacumowana do pierścienia przymocowanego do ściany.

- To do ciebie niepodobne, pracować z kimś - upierał się Ben, wychylając się, żeby odczepić cumę. - Zwłaszcza z kobietą. Myślałem, że nie wytrzymałbyś z kobietą, poza łóżkiem i kuchnią.

- Człowiek może zmienić poglądy - zauważył Rupert. - Octavia nie pasuje do schematu. - Zszedł do łodzi i osadził wiosła w dulkach.

- Uważasz więc, że można na niej polegać? - Ben rzucił cumę do łodzi. - To Bessie pytała.

- Akurat ona? - Rupert uniósł brwi i wsparł się na wiosłach, wpatrywał się w Bena w mroku. - Cóż, powiedz Bessie, żeby pilnowała swojego nosa, Ben. Doceniam jej troskę, ale jeśli chodzi o pannę Morgan, sam wiem najlepiej, jak postępować.

- Nie chciałem cię obrazić.

- Nie obraziłem się. Przyślij mi wiadomość na Dover Street, kiedy porozmawiasz z naszymi przyjaciółmi. I widzimy się tutaj w następnym piątek.

- Tak... a, jeszcze o tej sprawie na wrzosowisku.

Rupert znów odłożył wiosła. Zdawkowo poinformował Bena o nieoczekiwanym pojawieniu się gwardzistów wraz z dylizansem, ale Ben nie miał nic do powiedzenia na ten temat.

- Wybadam chyba Morrisa. Może każę paru ludziom mieć na niego oko. Co myślisz?

- Myślę, że nie chcę kolejnej tego rodzaju niespodzianki - oświadczył Rupert. - A zwłaszcza nie wtedy, kiedy jest ze mną Octavia.

- Znów była z tobą na gościńcu? - Ben wpatrywał się w niego zdumiony.

- Tak. To jedna z tych sytuacji, kiedy woli nie zwracać uwagi na sprzeciw - odrzekł Rupert, wzdychając bezradnie. - A ponieważ spodziewam się, że w dalszym ciągu będzie robiła w tej sprawie to, co uważa za stosowne, nie życzę sobie niepożądanych niespodzianek.

- No, ja myślę. - Ben podrapał się w głowę. - Gościniec to nie jest miejsce dla kobiety.

- Jakbym tego nie wiedział, Ben. Jakbym tego nie wiedział. - Rupert posłał mu zrezygowany, autoironiczny uśmiech i odepchnąwszy się od schodów, skierował łódkę w nurt rzeki. Powiosłował do stopni na przeciwległym brzegu.

Jego próby zakazania Octavii dalszych wypraw wraz z nim na wrzosowisko zakończyły się żalnym fiaskiem. Po prostu go nie słuchała. Miał przed oczami jej obraz, jak siedzi przy toaletce, delikatnie obcinając paznokcie, pozornie zasłuchana w potok jego wymowy. Kiedy tylko zamilkł, powiedziała z uśmiechem, że ma się o nic nie martwić. Ona świetnie wie, co robi i ponieważ dwukrotnie już okazała się bardzo przydatna, jadąc za nim, powinien się cieszyć, że chce mu pomóc i w przyszłości. Powtórzyła argument, że skoro oboje korzystają z owoców tego procederu, powinni także dzielić ryzyko.

W jej radosnej pewności i pogodnym uporze było coś, co sprawiało, że chciało mu się śmiać. Była pod każdym względem wyśmienitą partnerką w całej ich maskaradzie i bynajmniej nie przypominała wątłej panienki, którą trzeba dopiero łagodnie wprowadzić w świat przestępczy. Octavia dawno już wiodła taki żywot. Wymógł więc na niej tylko obietnicę całkowitego podporządkowania się mu, kiedy wyruszą na rabunek i zaniechał dalszej dyskusji na ten temat. Niemniej jednak, dopóki szpieg Pod Królewskim Dębem, jeśli taki istniał, nie zostanie zdemaskowany, nie zamierzał ryzykować ich głów na wrzosowisku.

Łódka uderzyła łagodnie o stopień. Znad obmurowania wyjrzał stróż przystani. Zszedł po

stopniach, żeby przyjąć cumę rzuconą przez Ruperta.

- Robi się chłodno na wodzie, panie.

- Ano. Jeszcze tydzień czy dwa, zanim ciepło utrzyma się po zmierzchu. -Rupert wyskoczył z łodzi i podał mu szylinga. Zza nadbrzeża dobiegły liczne głosy i tupot nóg. - A to co?

- O, to Stowarzyszenie Protestanckie znów przepędza papistów, panie -powiedział stróż, przywiązując cumę. - Ożłopani piwkiem, to odważni, pójdą za lordem George'em Gordonem w ogień piekielny. - Wszedł za Rupertem na schody. - Nie, żeby sam trzymał z papistami. Nie podoba mi się ta ustawa uwalniająca katolików. Ale ten lord George też wygaduje stek bzdur. Właśnie mówiłem mojej pani...

- Dobrej nocy, człowieku - Rupert uciał paplaninę swojego towarzysza i pospieszył ulicą.

Nieliczny tłumek demonstrantów posuwał się przed nim, wznosząc okrzyki: „Precz z papieżem!”, ale bez specjalnego jadu. Skręcili w podwórzec tawerny, skuszeni zapachem piwa, a Rupert poszedł dalej, zastanawiając się, czy narastające nastroje antykatolickie okażą się w ostatecznym rozrachunku nonsensem. Z jakiegoś powodu przyznanie katolikom równych praw zdawało się drażnić do żywego ludność, a fanatyzm lorda George'a Gordona skutecznie podsycił te nastroje.

Oczywiście, ludzie zawsze muszą wierzyć, że jest ktoś gorszy od nich, a w im gorszej znajdują się sytuacji, tym bardziej potrzebna jest im ta wiara, rozmyślał Rupert. Im gorsza sytuacja, tym bardziej potrzebują kogoś, kogo mogliby za to winić. Lud Londynu nauczył się winić za całe zło katolików, do czego płomiennymi mowami zachęcał lord Gordon i jego mąciciele. Drobnie ustępstwo parlamentu w sprawie dyskryminacji katolików przedstawiali jako heretycki edykt wydany za podszeptem diabła.

Rupert wbiegł na schody swojego domu, w chwili, gdy zegar na pobliskim kościele wybił siódmą.

Rodzina królewska przybyła na jeden dzień z zamku Windsor, by wydać przyjęcie w bawialniach St James's Palace. Nie do pomyslenia było, by ktokolwiek, kto rościł sobie pretensje, aby zaliczać się do najwyższych kręgów, mógł tam nie przyjść. Octavia marudziła niezmiernie. Ponieważ nie wolno było pokazać się królowej bez przepisowego, pudrowanego uczesania, musiała poddać się zabiegom fryzjera. Rupert, spodziewając się najgorszego, udał się na górę i bezceremonialnie ; wkroczył do sypialni Octavii. Wciąż owinięta obsypanym pudrem szlafrokiem, przyglądała się sobie uważnie w dużym lustrze.

- O, jesteś - powiedziała z irytacją. - Gdzie się podziewałeś od obiadu, podczas gdy ja musiałam znosić te tortury?

- W interesach - powiedział spokojnie, schylając się, by pocałować ją w odsłonięty kark. - I nie przesadzaj. Pozwól, że na ciebie popatrzę.

- Nie, to ohydne. - Wykrzywiła się do swojego odbicia. - Ani trochę nie wyglądam jak ja.

- Owszem, nie wyglądasz - zgodził się, podziwiając spiętrzoną budowlę kołyszającą się nad jej drobną twarzą. - Ale to jest *de rigueur*, moja droga. -Podszedł do drzwi łączących ich apartamenty.

- Jakie to interesy? - Octavia podniosła się i poszła za nim. Oparta o framugę przyglądała się, jak zrzuca z siebie ubranie. - Czy mam zadzwonić po Jamesona? Będziesz go potrzebował, żeby cię uczesał?

- Nie, założę perukę. To o wiele prostsze. - Spryskał sobie twarz wodą z miednicy na umywalce.

- Całą noc zajmie zdejmowanie tego gnoju z moich włosów. - Octavia niepokieszona pociągnęła za biały lok leżący jej na ramieniu, zapominając o swoim wcześniejszym pytaniu. - Ale moje własne włosy są za długie, żeby zmieściły się pod peruką. Może powinnam je zgolić.

- Nie waż się nawet żartować w ten sposób!

- A kto tu żartuje? - zadrwiła i uciekła, udając przerażenie na widok jego groźnego spojrzenia. - Lady Greerson ogoliła sobie głowę... tak przynajmniej słyszałam. I większość dam na dworze strzyże się bardzo krótko -dodała figlarnie. - To mi się wydaje bardzo rozsądne. Mężczyźni cały czas golą głowy. To pomaga na swędzenie, jak się domyślam... wszy nie mają się gdzie zagnieździć.

Jej oczy błyszczały rozbawieniem, irytacja poszła w zapomnienie równie szybko, jak się pojawiła. Tak właśnie zazwyczaj działała na nią obecność Ruperta. Kiedy była z nim, nie potrafiła się złościć ani okazywać złego humoru.

Prawdę mówiąc, jego obecność stała się dla Octavii absolutnie niezbędna. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby żyć bez niego.

Gwałtownie odwróciła się i przeszła do swojej sypialni, gdzie Nell czekała na nią z gorsetem. W ich obecnym życiu nie było miejsca na takie ckiwe głupstwa. Oczywiście, że mogłaby żyć, żyłaby bez Ruperta Warwicka... czy kim tam naprawdę jest. Tak samo jak on żyłby bez niej. W gruncie rzeczy nie powinna się łudzić, że myśl, aby mogło być inaczej, kiedykolwiek zagościła w jego głowie.

Odwróciła się plecami do pokojówki i chwyciła filar łóżka, robiąc głęboki wdech, kiedy Nell zaczęła zaciągać sznurówkę.

- Wystarczy, Nell! - z przejścia pomiędzy pokojami dobiegł głos Ruperta. - Do wszystkich diabłów, Octavio, o czym ty myślisz? Połamiesz sobie zębra.

Octavia zorientowała się, że w zamyśleniu zupełnie zapomniała o oddychaniu. Wypuściła powietrze i aż pisnęła z bólu.

- Oj! Puść, Nell.

- Czekałam, żebyś coś powiedziała, pani - broniła się Nell, rozluźniając śmiertelny uścisk sznurówki.

- Myślałam o czymś innym - wymamrotała Octavia, masując obolałe zębra.

- A o czym to? - Rupert zmarszczył brwi.

O tobie.

- Och, o dzisiejszym wieczorze. - Octavia założyła halkę trzymaną przez Nell. - Jak długo będziemy musieli zostać na tym przyjęciu?

- Dopóki Ich Wysokości nie udadzą się na spoczynek. Przecież wiesz.

Wciąż był zdziwiony. Gdzieś między figlarnym nastrojem w jego sypialni a chwilą obecną coś ją zaniepokoiło. Widział to w napięciu skóry wokół oczu, w linii ust.

Octavia stała spokojnie, kiedy Nell przywiązywała jej w taliu trzy fiszbiny, następnie dała się ubrać w suknię *a la polonaise* z tafty w kolorze słomkowym. Nell zapięła haftki i cofnęła się o krok, pełna podziwu. Obfita spódnica wierzchnia była podciągnięta w dwóch miejscach na idących pod spodem sznurkach, tworząc trzyczęściową draperie na rogówce. Suta spódnica spodnia z brązowej tafty była dość krótka, żeby widać było spod niej kostkę i szczupłe stopy w atlasowych pantofelkach koloru słomkowego. Dekolt był wyzywająco głęboki. Nell zanurzyła zajęczą łapkę w słoiczku z pudrem i osypała nim biust swojej pani.

Na widok tej nowej Octavii Rupert zapomniał o poprzednim zdziwieniu. Nigdy jeszcze nie widział jej w tak oficjalnym stroju. Był to zaiste hipnotyzujący widok, a myśl o naturalnym pięknie leżącym pod tymi wszystkimi falbankami i obfitymi draperiami była niezmiernie podniecająca. Żeby czymś się zająć, otworzył puzderko z muszkami i wybrał dwa czarne, jedwabne półksiężycy.

- Pozwól, moja droga. - Delikatnie umieścił je na jej piersiach, tuż nad ledwo zakrytymi sutkami. - To przyjemnie przyciągnie wzrok.

Prawdopodobnie ma na myśli przede wszystkim Philipa Wyndhama, pomyślała Octavia, spoglądając na jego palce, zajęte przyklejaniem muszki na jej lewej piersi. Stroił ją by skusiła i uwiodła jego wroga. W swoim obecnym, wyzywająco przeładowanym ozdobami kostiumie z pewnością pokona Margaret Drayton. Wszystko, co miała do zaoferowania, było wystawione na pokaz.

Rupert znów pogrzebał w puzderku z muszkami i wybrał okrągłą. Ujawszy jej twarz w dłonie, obracał nią to w jedną stronę, to w drugą nie mogąc się zdecydować, gdzie umieścić kawałek jedwabiu.

- Myślę, że łobuzersko - przykleił okrągłą muszkę wysoko, na kości policzkowej.

- Coś jeszcze chciałbyś dodać? - spytała Octavia. - Jeszcze jakąś sztuczność, bym stała się bardziej atrakcyjna dla tych, dla których mam taka być?

Zapadła chwila ciszy, w której Octavia zdążyła dwadzieścia razy pożałować, że się odezwała a zwłaszcza takim tonem. Rupert opuścił ręce. Gniew i zdziwienie mignęły w jego oczach na pobrzmiwający ironią i goryczą ton jej głosu.

- O czym ty mówisz? - Obejrzał się znacząco za siebie, tam, gdzie przy szafie krzątała się Nell.

Octavia wzruszyła ramionami, próbując obrócić wszystko w żart. Wzięła zajęczą łapkę i zaczęła

podrować sobie policzki, wpatrując się z uwagą w swoje odbicie w lustrze.

- Nic takiego, doprawdy. Czuję się chyba tylko trochę nieswojo, ponieważ wyglądam jak każda z kobiet na dworze. Jak jakiś paw, który rozkłada ogon, żeby zwabić drugiego do pary.

- To samiec rozkłada ogon - zauważył, nie przestając marszczyć brwi.

- Och, wiesz, o co mi chodzi. - Polizała palec i przyglądała sobie brwi, unikając jego wzroku w lustrze.

- Nie jestem tego pewien - powiedział cicho. - Aczkolwiek mam pewne podejrzenie i lepiej, aby nie było ono słuszne, Octavio. - Pochylił się ponad jej ramionami, opierając ręce na toalecie, z twarzą tuż przy jej twarzy, zmuszając ją by spojrzała mu w oczy. - Mylę się, prawda, Octavio? Przecież to niemożliwe, abyś oskarżała mnie o to, że wypycham cię do łóżka Wyndhama?

Poczuła nagłą suchość w ustach, skóra ją paliła. To był Rupert w swojej najbardziej przerażającej postaci.

- Nie wiem, czemu miałbyś tak myśleć - powiedziała, odchrząknawszy. - I nie wiem, czemu patrzysz na mnie tak groźnie. Nie lubię być ubrana w ten sposób, czuję się w tym jak dziwka. I nie ma dla mnie znaczenia, że inne kobiety będą tak wyglądać, ponieważ nie lubię wyglądać jak inne kobiety.

Ku swej uldze spostrzegła, że chyba dał się przekonać. Wyprostował się z wolna, położył ręce na jej ramionach. Pokiwał głową.

- Wierz mi, Octavio. W najmniejszym stopniu nie wyglądasz jak inne kobiety. Jesteś wyjątkowa.

- Jego dłonie zsuwały się powoli wzdłuż ramion Octavii. Oczy uśmiechały się teraz do niej w lustrze. - Założę się, że będziesz mieć nawet króla u stóp, a wiesz, jaki z niego świętoszek. - Energetycznie odwrócił się w stronę swojego pokoju. - Muszę dokończyć sam przybierając się w pawie pióra. Nie popsuj mojej pracy - dodał, widząc, jak jej palce niespokojnie wędrują do muszki na policzku. - Zaufaj, że wiem, co ci pasuje.

Prawdopodobnie wiedział. Zdawało się to być jedną z dziedzin jego rozległego doświadczenia i zachowała się głupio, reagując w ten sposób. Chodziło o to, że z dnia na dzień stawała się coraz bardziej naga, jakby zrzucała z siebie kolejne skóry, tracąc jednocześnie zdolność do traktowania tych spraw lekko, do prowadzenia tej gry z pełnym optymizmem zaangażowaniem, którego, jak wiedziała, od niej oczekiwał.

Octavia dokładnie wiedziała, dlaczego tego wieczoru straciła tę zdolność.

Niespokojnie podeszła do okna. Jej suknia nie została zaprojektowana po to, żeby w niej siedzieć, ale przesuwając nieco na bok tylną fiszbinę mogłaby, gdyby chciała, przysiąść na taborecie. Tego wieczoru jednak nie będzie jej dane się nasiedzieć. Nie siada się w obecności Ich Wysokości.

Dokładnie wiedziała, dlaczego zareagowała taką goryczą na beztrioskie zabiegi Ruperta. Tego wieczoru miała przystać na każdą propozycję Philipa Wyndhama.

Ta decyzja podjęła się sama, kiedy Octavia, oddawszy się w ręce fryzjera, przyglądała się swojej przemianie w sztuczne okropieństwo. Ta kreatura mogła tarzać się w pościeli z hrabią Wyndhamem i pozostać nietkniętą. W tym przebraniu nie było nic z Octavii Morgan.

A kiedy już to się stanie i zdobędzie obrączkę, Rupert wywiąże się ze swej części umowy i skończy się ten bolesny stan zawieszenia. Nie będzie już musiała udawać beztrioski i pogody, udawać, że nie dotyczy jej ponura rzeczywistość tej gry. Zaszyje się wtedy w mysiej dziurze i pograży w żalostnej goryczy.

- Jesteś gotowa, Octavio?

Drgnęła, zamknęła na moment oczy, wracając do równowagi, po czym jakby od niechcenia zerknęła przez ramię.

To, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersi. Rupert także był odmieniony. Miał na sobie swoje ulubione czarne jedwabie, ale z haftowaną złotem kamizelką, czarne pończochy haftowane w złote zegarki. Brylant połyskiwał w czarnym fularze zawiązanym wokół wysokiego kołnierza, a pudrowana peruka była równie spiętrzona jak jej koafiura. Muszka w kąciку ust zdawała się podkreślać cyniczny wyraz warg.

- Czyżbyś użył różu, milordzie? - gapiła się z niedowierzaniem.

- Odrobina jest w zwyczaju - uśmiechnął się ironicznie i zarazem porozumiewawczo. - Nie można stale płynąć pod prąd, Octavio. Czasem trzeba się podporządkować konwenansom, aby osiągnąć własny cel. - Podał jej ramię. - Chodź, madame. Idźmy i niech nas podziwiają.

Królowa Charlotte raczyła zauważyć na przyjęciu lady Rupertową Warwick. Z początku Octavia nie mogła pojąć, dlaczego spotkała ją tak wyjątkowa łaska. Zaufana dama dworu królowej szepnęła jej do ucha, że Jej Wysokość życzy sobie, aby lady Warwick została jej przedstawiona i już prowadzono Octavię przez pełną ludzi bawialnię, pod zawistnymi spojrzzeniami tych, którzy w łasce nie byli.

Napotkała spojrzenie księcia Walii, który stał w pobliżu matki i jej dam. Skinął głową i mrugnął porozumiewawczo. Octavia zrozumiała. Jej Wysokość życzyła sobie przepytac kobietę, w której domu jej niesforny syn spędzał tyle czasu.

Złożyła dworski ukłon, na co królowa Charlotte odpowiedziała półdygnięciem.

- Lady Warwick. Mniemam, iż nie była nam dana przyjemność zaznajomienia się ze sobą - powiedziała bez uśmiechu, lustrując wzrokiem suknię Octavii, przy czym wyraźnie omijała jej dekolt. - Nasz syn jest twoim dobrym przyjacielem, jak rozumiem.

- To dla mnie zaszczyt być tak nazwaną, pani - powiedziała grzecznie Octavia. - Jednakowoż Jego Wysokości podobają się karty, a ja muszę wyznaczyć, że nie jestem biegłą w kartach i nie potrafię dostrzec w nich nic pociągającego.

Królowa spojrzała z zainteresowaniem, jej wrogość nieco *zeldzała*.

- Doprawdy, lady Warwick? Musisz czuć się w mniejszości.

- Tak właśnie jest, pani. - Octavia się uśmiechnęła. - W dodatku mój mąż bez przerwy mi to powtarza. Ja, prawdę mówiąc, nie pojmuję, jak można tracić pieniądze w zależności od układu kart lub rzutu kostką.

Dobrze jej szło. Królowa spoglądała niemal łaskawie. Najwyraźniej zmieniała zdanie o kobiecie, która, jak słyszała, prowadziła jeden z najbardziej uczęszczanych salonów gry w mieście.

- Życzę sobie, abyś przekonała mojego syna do swojej opinii, lady Warwick - oznajmiła królowa. - W rzeczy samej, życzę sobie, abyś usunęła stoły do gry ze swego salonu.

Octavia znowu dygnęła.

- Mój mąż lubi grać, pani - powiedziała poważnym tonem, z nieśmiałym uśmiechem sugerującym, że tak samo jak inne kobiety, królowej Charlotte nie wyłączając, nie ma wpływu na poczynania męża i nie pozostaje jej nic innego, jak tylko być posłuszną jego dyktatowi.

- Ach tak - królowa westchnęła i powachlowała się energicznie. - Mężczyźni zdają się czerpać nadmierną przyjemność z hazardu. - Obdarzyła ją uśmiechem oznaczającym koniec posłuchania. - Czy poznałyście się już z hrabiną Wyndham?

Wskazała na Letitię Wyndham stojącą w milczeniu z boku, po czym zwróciła się ku kolejnej damie prowadzonej przez damę dworu.

Octavia złożyła ukłon i cofnęła się na przepisową odległość, uważając, aby nie odwrócić się plecami.

- Mam wrażenie, że właśnie zostaliśmy sobie przedstawione, lady Wyndham - powiedziała, uśmiechając się do tłustej, przysadzistej damy w sukni koloru żółtych pierwiosnków ozdobionej ciemnobrązowymi różami. Takie same róże wpięte były w jej koafiurę, tak wysoką, że sama wydawała się karykaturalnie niska.

- Jej Wysokość uważa, że nieuprzejmie jest się odwracać od kogoś, komu udzieliła posłuchania - powiedziała hrabina z pewnym skrzepowaniem. - Dlatego też zawsze inicjuje rozmowę tych osób z kimś innym, aby nie czuły się zbyt gwałtownie odprawione.

- Jak przemyślnie - powiedziała Octavia.

Lady Wyndham była tak niezmiernie zdenerwowana, że aż stojącej obok Octavii udzielił się niepokój. Przesunęła wzrokiem po umalowanej twarzy hrabiny. Puder miała nałożony grubą warstwą, róż na policzkach odcinał się jaskrawymi plamami. Octavia zmarszczyła brwi. Coś było nie tak z prawym okiem kobiety. Powiekę miała spuchniętą, a pod bielidłem widniał fioletowy siniec.

- Wybacz, pani, ale czy zrobiłaś sobie krzywdę? Twoje oko...

Twarz Letitii pod białą warstwą zalał rumieniec tak gorący, że zdawał się topić farbę i puder. Dotknęła oka drżącymi palcami.

- Potknęłam się... taka jestem głupia. O róg dywanu, palec u nogi zaplątał mi się we frędzle. Jestem taka głupia i niezdarna.

Octavia przypomniała sobie potknięcie się Letitii na chodniku przed Almack's. Philip tam był. Nie słyszała wtedy, o czym rozmawiali, ale wiedziała, że nie było to nic miłego. Może Letitia Wyndham to nieuleczalna niezdara. Bywają tacy ludzie.

- Wszystkim nam zdarzają się wypadki - powiedziała łagodnie. - Ja raz potknęłam się i spadłam ze schodów, lądując na dole ze spódnicami i halkami zarzuconymi na głowę, akurat w chwili, kiedy w drzwiach stanęli goście.

Usta Letitii drgnęły, co wyglądało, jakby nie mogła się zdecydować, czy ma się uśmiechnąć, czy nie. Uniosła rękę i nerwowo przygładziła włosy.

Octavia dostrzegła na nadgarstku hrabiny wielki, fioletowiejący siniak. Tego na pewno się nie nabawiła, przewracając się o róg dywanu. Może Letitia Wyndham wcale nie była nieuleczalnie niezdarna. Zerknęła w bok, gdzie hrabia Wyndham stał w gronie otaczającym króla. Potem przeniosła wzrok z powrotem na hrabinę. Tamta powiodła oczami za spojrzeniem Octavii. Kiedy się odezwała, jej głos był bezbarwny i cichy:

- Przypuszczam, że znasz mojego męża, lady Warwick.

- Tak - przyznała Octavia.

- Przypuszczam, że dość dobrze.

Czy ją badała? Co chciała usłyszeć? A może hrabina dawała w ten sposób do zrozumienia, że wie, co się mówi o hrabim Wyndhamie i lady Warwick: że nawet jeśli w tej chwili lady Warwick nie jest jeszcze kochanką jej małżonka, wkrótce nią zostanie.

- Bywa przy stołach do gry mojego męża, madame.

- Jednakże mój mąż nie znajduje przyjemności w grze. Musi go nęcić coś innego.

Lady Wyndham sprawiała teraz wrażenie osoby, która chce rzucić się w przepaść. Kolor odpłynął jej z twarzy - znów przypominała białą maskę, ale ciemnozielone i błyszczące oczy wpatrywały się w Octavię nieomal z fanatycznym natężeniem.

Co za wspaniałe oczy, pomyślała Octavia. Zdumiewające u tak niepozornej, bojaźliwej, małej kobietki.

- O czym mówisz, lady Wyndham? - spytała wprost.

Hrabina dotknęła warg chusteczką.

- Dochodzą do mnie plotki - wyrzuciła z siebie ściszone głosem. - Proszę, nie zrozum mnie źle, pani. Nic przeciwko tobie nie mam. Z radością przyjmuję wszystko, co sprawia, że mój mąż trzyma się ode mnie z daleka. I wdzięczna jestem za wszystko, co odwraca jego uwagę od mojej córki.

Octavia wpatrywała się w nią. Było to niezwykle, jak na konwersację prowadzoną pośrodku królewskiej bawialni w St James Palace. Pomyślała, że nie ma niebezpieczeństwa, aby ktoś mógł je podsłuchać w ogólnym zgiełku, gdzie każdy zabiegał o to, by zostać zauważonym. Wszyscy byli zbyt zajęci sobą aby choć przelotnie zwrócić uwagę na pogawędkę dwóch kobiet.

Znów spojrzała przez pokój. Napotkała wzrok szarych oczu Philipa Wyndhama. Przeszły ją ciarki, włosy zjeżyły się jej na głowie, jakby pod pudrem i pomadą miała całe gniazdo wszy. Z rozmysłem uśmiechnęła się do niego, mrużąc oczy. Następnie odwróciła się z powrotem do jego żony.

Letitia zdawała się być zdruzgotana, jakby głęboko żałowała swojego skoku w przepaść.

- Proszę wybaczyć - wybelkotała. - Nie wiem, co mi przyszło do głowy... żeby mówić takie rzeczy.

- Opowiedz mi o swojej córce, pani - zachęciła ją Octavia, wiedząc, że nie potrafi odpowiednio zareagować ani na wyznanie, ani na to pospieszne wycofanie się.

Twarz Letitii pojaśniała i przez moment Octavia mogła dostrzec pod pospolitością i niepokojem promienny blask, który sam w sobie był piękny. Przez moment widziała kobietę, jaką Letitia mogłaby być, gdyby los nie rzucił jej Philipowi Wyndhamowi.

- Susannah - powiedziała. - Ma dopiero trzy miesiące, ale cały czas się uśmiecha. Niania mówi, że to najbardziej pogodne dziecko, jakim kiedykolwiek się opiekowała. Wiem, że rozpoznaje moje kroki. Grucha jak gołąbek, kiedy ja... - Letitia urwała gwałtownie i zaczerwieniła się aż po nasadę włosów. - Wybacz. Wciąż trajkoczę. Muszę wracać do królowej.

Odwróciła się z zamiarem odejścia, ale Octavia położyła jej dłoń na rękawie.

- A twój mąż? - spytała. - On nie troszczy się o dziecko?

- Jego nie interesują córki - odparła Letitia. Jej wzrok napotkał spojrzenie Octavii i w

błyszczących, zielonych głębinach zapłonęło ostrzeżenie. -Mój mąż gardzi kobietami, lady Warwick.

Powiedziawszy to, odeszła czym prędzej z gestem pożegnania, wyraźnie naznaczonym rozpaczą. Octavia usunęła się na bok. Żona Philipa ostrzegała ją. Ale też nie powiedziała nic, czego Octavia nie wiedziałaby sama. Niemożliwością było zbliżyć się do Philipa Wyndhama i nie wyczuć jego mrocznej skłonności do okrucieństwa.

~ Żalosa, mała flądra, czyż nie? - miękkiemu, złośliwemu głosikowi towarzyszył ostry śmiech. Obok Octavii stała Margaret Drayton. Wachlowała się, a złocone pióra wpięte w jej fryzurę kołysały się od ruchu powietrza. - Nic dziwnego, że jej mąż szuka nowych pastwisk.

- A czy nie robi tego większość mężów? - spytała Octavia z ironią.

Pomalowane na szkarłatno usta Margaret uśmiechnęły się. Nie ma dobrych zębów, odnotowała Octavia z satysfakcją. Chyba wielu jej brakuje.

- Mój nie, moja droga - oznajmiła Margaret. - Ledwo wie, co robić na własnym pastwisku - roześmiała się ordynarnie. -Przyjmij moją radę. Wyjdź za starca. Co prawda zadowalać go to okropieństwo - wzruszyła wspaniałymi ramionami, przy czym jej sutki wychynęły z dekoltu - ale to niewielka cena do zapłacenia za swobodę. I nie trzeba się martwić o to, z kim się parzył, zanim przyszedł do twojego łóżka.

Octavia ukryła niesmak. Niemożliwe, aby Rupert uważał, że ta ordynarna kreatura jest pociągająca -choć był w niej jakiś straszny żar, coś wręcz wspaniałego.

- Jest już za późno dla mnie, by przyjąć twoją radę, lady Drayton.

- Ach, wszak ty prowadzisz swoją własną grę, prawda, lady Warwick? -Margaret uśmiechnęła się znad wachlarza, jej wzrok śmignął przez pokój, w stronę Philipa Wyndhama. -Nie wiem, co się spodziewasz osiągnąć z hrabią Wyndhamem, ale słowo ci daję, że czegokolwiek pragniesz, rekompensata nie będzie wystarczająca.

Z trzaskiem złożyła wachlarz. Jej twarz stała się nagle brzydka, malował się na niej lęk pomieszany z nienawiścią.

- Hrabia Wyndham gardzi kobietami... tak mi przynajmniej mówiono - powiedziała Octavia spokojnie.

Margaret znów rozpostarła wachlarz.

- Ta, która ci to powiedziała, moja droga, wiedziała, co mówi. - Jej uśmiech był jedną złośliwością.

- Pomyślałam, że szepnę ci słówko. Uważam, że te z nas, które uprawiają takie gry, powinny dbać o siebie nawzajem. - Dygnęła z ironią. - Będę wdzięczna za każdą radę dotyczącą mojej własnej gry,

jeśli myślisz, że mogłabym na niej skorzystać.

Wzrokiem wskazała znacząco lorda Ruperta Warwicka, po czym znów spojrzała na jego żonę. Uśmiechnęła się szerzej. Potem odeszła.

Octavia zastanawiała się, czy nie cisnąć pantofelkiem na szpiczastym obcasie w te gładkie, białe plecy. Ta kobieta chciała, by Octavia podpowiedziała jej, jak uwieść Ruperta. A przecież żadna w świecie wskazówka na nic by się jej nie zdała. Rupert nie był mężczyzną, który dałby się uwieść. W tej grze wolał sam przejawiać aktywność.

Niemniej jednak Octavię irytowało, gdy musiała patrzeć, jak Margaret podskakuje u boku Ruperta, jak go dotyka, muska palcami jego policzek, poklepuje po dłoni wachlarzem. Ogarniała ją złość, gdy słyszała jego swobodny śmiech, widziała zarys ust, sugestywne opuszczenie powiek, kiedy odpowiadał na zaczepki lady Drayton.

Musi mu się to podobać, uznała Octavia. Niezależnie od tego, jak przydatny mógłby okazać się ten flirt, najwyraźniej nie był mu on niemiły. A Margaret miała jakiś powab - pozbawiony subtelności, ale magnetyczny.

Octavia zacisnęła zęby ze złości, skierowanej bardziej do siebie samej niż do Margaret i Ruperta. Zaczynała się podejrzewać o zaborczość. Bardzo niemodna cecha, a w obecnej sytuacji wielce niedogodna.

Poczuła spojrzenie Philipa Wyndhama utkwione w jej karku, przyciągające w sposób niemal namacalny. Odwróciła głowę. Szare oczy bez uśmiechu wysyłały wyraźny rozkaz i po raz kolejny miała to przedziwne odczucie czegoś dziwnie znajomego. Posłuszna rozkazowi, ruszyła ku niemu.

- Podobała ci się rozmowa z moją żoną- stwierdził hrabia, kiedy znalazła się przy nim. - Mam nadzieję, że jej towarzystwo okazało się dla ciebie pobudzające.

Okrutna drwina w głosie Philipa sprawiła, że wnętrzości jej się skręciły, ale wiedziała, że musi odpowiedzieć w podobnym duchu. Zaśmiała się ostro, kpiąco.

- Ależ milordzie, jestem pewna, że lepiej ode mnie znasz wartość konwersacji z lady Wyndham.

Philip skłonił się, podnosząc do ust jej dłoni.

- W rzeczy samej, madame. Czy masz ochotę przejść się do dalszego salonu?

Był to ujęty w formę pytania rozkaz. Octavia ukłonem wyraziła zgodę i wzięła go pod ramię. Wyszli z pełnej ludzi bawialni do przedpokoju, gdzie lokaje i zaufana królewska asysta tkwili, jakby nie mieli nic do roboty. Gdzeniegdzie, w tym ozdobionym złoconymi stiukami przedpokoju, stały też grupki dworzan zażywających wytchnienia od przegrzanej atmosfery bawialni.

Hrabia Wyndham podszedł do wysokiego okna na końcu sali. Grube, aksamitne zasłony były szczelnie zaciągnięte, jakby miały nie dopuścić najłżejszego powiewu świeżego, nocnego powietrza. Odsunął zasłonę, otworzył przeszklone drzwi i poprowadził Octavię na taras.

- Wydaje się, że tu jest przyjemniejsze powietrze.

- Tak - zgodziła się, niezdolna opanować dreszczu, jaki wstrząsnął nią, kiedy wiatr owionął jej nagie ramiona, chłodząc rozgrzaną skórę.

Jeśli Philip nawet spostrzegł, że jest jej chłodno, nic z tego nie wynikało. Inny mężczyzna natychmiast zaproponowałby, że przyniesie jej szal, pomyślała Octavia. Rupert okryłby jej ramiona własnym frakiem.

- Przejdźmy się trochę po tarasie.

Wciąż trzymała go pod ramię, a on nakrył teraz jej dłoń swoją. Można by to odczytać jako ciepły, przyjazny gest, ale Octavia poczuła się tak, jakby jej ktoś nałożył kajdany. Nic jednak nie powiedziała, dając się prowadzić coraz dalej od szklanych drzwi, od dobiegających z wnętrza dźwięków i światła. W cieniu grupy bukszanów na końcu tarasu Philip nagle, bez zapowiedzi, przyciągnął ją do siebie brutalnym ruchem. Chwycił dłońmi twarz Octavii i unióś ją do góry, zmuszając, by spojrzała mu w oczy, szare, połyskujące metalicznie w ciemnych oczodołach.

- Chcę cię - powiedział, ale w tym namiętnym stwierdzeniu nie było uwielbienia, tylko zimne stwierdzenie faktu. - Chcę cię, a ty chcesz mnie.

Jego usta spadły na jej wargi, miażdżąc je o zęby, językiem penetrował usta Octavii głęboko, aż do gardła. Była jak zakneblowana, lzy stanęły jej w oczach, ale zaczynała się już przyzwyczajać do tych nachalnych pocałunków, objęła go więc, i wsuwając dłonie pod frak, zaczęła gładzić tors Philipa.

I nagle to wyczuła. Jej palce znieruchomiały. Pod dopasowaną kamizelką znajdowało się coś małego, okrągłego i twardego. Ale to było pod kamizelką. W wewnętrznej kieszeni? W kieszeni koszuli? Nie mogła tego stwierdzić ani się tam dostać bez zdjęcia kamizelki.

Opuściła ręce, odchyliła głowę do tyłu, pod naciskiem jego ust. Pozostawała nieruchoma i uległa, podczas gdy on dokonywał gwałtu na jej ustach. Palce Philipa zacisnęły się na moment na jej szyi, po czym przesunęły się ku piersiom. Instynkt podpowiadał Octavii, że podoba mu się taka uległość, że to go podnieca bardziej, niż gdyby aktywnie uczestniczyła w pieśczołach. Pod wieloma względami było to również łatwiejsze.

Jej umysł podążał własnym torem. Jak miała wydobyć maleńką sakiewkę spod jego kamizelki?

Może, gdyby rzuciła się na niego wśród jęków namiętności, zdzierając z niego ubranie w niepoohamowanej żądzy, może wtedy udałoby się jej. Ale nie mogła przecież zrobić tego tutaj. Nie na tarasie St James's Palace w samym środku królewskiego przyjęcia.

Philip unióś głowę, a dłońmi znów ścisnął jej szyję, trochę za mocno, aby mogła czuć się bezpiecznie.

- Ulegniesz mi, Octavio - powiedział. - Byłem cierpliwy... bardzo cierpliwy, lecz teraz gra się skończyła. Nie mogę czekać dłużej.

- Ja też nie, milordzie - wyszeptła, czując nacisk jego kciuków na szyi.

Skinął głową, a oczy zapłonęły mu satysfakcją, która zmroziła jej krew w żyłach.

- Przyślę po ciebie powóz jutro o drugiej po południu. Przyjedziesz na St James's Square.

- Do twojego domu? - Nie potrafiła ukryć, jak bardzo ją to zaszokowało.

- A gdzieżby? - spytał.

- Ale... ale twoja żona... służba?

- Moim służącym nie płacę za to, żeby interesowali się moimi sprawami. A moja żona ma dość

roзумu, żeby tego nie robić.

Każde słowo wypowiedział z lodowatą pogardą, która, jak Octavia wiedziała, dotyczyła również jej samej.

- Poza tym - dodał, śmiejąc się zjadliwie - twoja reputacja, moja droga, będzie w ten sposób mniej narażona na uszczerbek. Nikt obcy nie weźmie w tym udziału. Przyjedziesz i odjedziesz w zamkniętym powozie. Tylko moja służba będzie wiedziała o twojej obecności. Unikniemy w ten sposób szeptów i plotek.

Octavia milczała. Wciąż trzymał ją za szyję, a ona spojrzała w jego oczy drapieżnika z całą odwagą, na jaką potrafiła się zdobyć. Godziła się, ponieważ musiała się zgodzić. Czy nie ma jednak sposobu, by uniknąć ostatecznej kapitulacji? Coś musi jej przyjść do głowy. Przynajmniej wiedziała teraz, że on ma obrączkę. A jej starania nie są próżne.

- Powinniśmy wrócić do środka, panie - powiedziała po chwili, dziwiąc się, jak spokojnie zabrzmiał jej głos. - Jeśli mamy tak dbać o moją reputację jutro, to bezsensowne jest wystawiać ją na szwank dzisiaj.

Uśmiechnął się i rozluźnił uchwyt na jej szyi.

- Szczerza prawda, madame. I może do tej pory twój małżonek znudził się Margaret Drayton... albo ona nim.

Octavia zadowolona się obojętnym wzruszeniem ramion. On mimo to kontynuował:

- Odnoszę wrażenie, że uważasz figle swojego męża z tą damą za dość irytujące.

- Co też każe ci tak myśleć, panie? - Roześmiała się, aby pokryć szok. Jak to możliwe, że się zdradziła?

- Och, tylko twój wzrok, kiedy patrzysz w ich stronę. Zapewniam cię, że Margaret Drayton do pięć ci nie dorasta. Ale oczywiście mężowie nigdy nie doceniają swoich żon. - Usunął się, przepuszczając ją w drzwiach, by mogła wrócić do jasno oświetlonego przedpokoju. Kiedy go mijała, nachylił się do jej ucha. - Przysporzenie mu pary rogów będzie pewną rekompensatą za jego pożałowania godny brak uznania.

Octavia z uśmiechem skinęła głową. Poprzez całą jej odrazę przeświecało jasne światło wiedzy, że to Philip Wyndham jest tym, który wyjdzie na durnia. Philip Wyndham, który wpadł w pułapkę zastawioną przez Ruperta Warwicka.

Rupert widział, jak Octavia wychodzi z Philipem i podczas ich nieobecności cierpiał katusze, chociaż flirtował z Margaret Drayton i żartował przyjaźnie z kilkoma innymi damami, które były chętne.

Co oni robią? To pytanie nie opuszczało go przez cały czas. Myślał o Octavii uwięzionej w uścisku jego brata. O jej wargach, czerwonych i opuchniętych, pod wargami Philipa. O jej ustach, zawładniętych i zbrukanych. O jej adamszkowej skórze barwy kości słoniowej tłamszonej przez długie, silne palce jego brata bliźniaka, takie same jak jego własne. Ohydne obrazy przetaczały się przez jego umysł, a on nie mógł ich znieść. Musi być jakiś inny sposób.

- A, Warwick, spotkaliśmy się dziś po południu z twoim przyjacielem - wykrzykiwał na powitanie Dirk Rigby, przeciskając się przez tłum, a Hector obok niego. - Dziwak z tego Thaddeusa Nielsona.

Rupert uniósł lorgnon i długo przyglądał się czerwonej twarzy Dirka.

- Wybacz, Rigby, ale mówisz zagadkami - wycedził. - Spotkaliście się z moim przyjacielem dziś po południu? - Jego brwi podjechały do góry, oczy były zimne i bez wyrazu, jakby nie było w nich życia.

Dirk nie okazał się bystry.

- Ależ tak - powiedział, wyraźnie zdziwiony. - Tego człowieka, o którym wspomniałeś. Pamiętasz naszą małą dyskusję...? - Zapałem kilka razy zamrugał okiem i zmarszczył nos.

Spojrzenie Ruperta stawało się coraz bardziej zimne i obce.

- Z całym szacunkiem - powiedział - ale nie mam najmniejszego pojęcia, o kim mówisz.

- Nie, nie, oczywiście, że nie! - wtrącił się czym prędzej do rozmowy Hector, wymierzając kompanowi silnego kuksańca w żebra. - Dirk pomylił cię z kimś innym... jest bardzo roztargniony. Prawda, drogi przyjacielu?

Dirk zaskoczył. Jego twarz się rozjaśniła.

- Och, tak - przytaknął gorliwie, ocierając sobie chusteczką spocone czoło. - Bardzo roztargniony. Sam nie wiem, co mi przyszło do głowy, Warwick. Żeby pomylić cię z kimś innym... tak, o to chodzi. Na pewno byłeś kimś innym.

- Czy zatem istnieje jakieś znaczące podobieństwo? - spytał Rupert z uprzejmym zainteresowaniem

- O tak... istnieje. - Dirk uchwycił się tego wytłumaczenia z żalnym entuzjazmem. - Tak, zdumiewające podobieństwo. Mogliby być bliźniakami. Nie uważasz, Lacross? Prawdziwe bliźniaki. Najbardziej zdumiewające podobieństwo.

- Wielkie nieba - powiedział Rupert. - Powiedzcie mi, któż jest tym sobowtórem. Czy go znam?

- Och... och... nie, nie sadzę... hm... jak on się nazywa, Hectorze? - Dirk odwołał się do przyjaciela.

- To nikt, kogo byś znał, Warwick - zapewnił spokojnie Lacross. - Człowiek, którego spotkaliśmy na wyścigach pewnego popołudnia. Prowadził interesy z kimś, kto nas interesował. - Zażył tabaki.

- Ten ktoś miał bardzo ciekawą propozycję.

Rupert skinął głową.

- To bardzo miło. Rozumiem, że mówiąc „ciekawą”, macie na myśli lukratywną?

- Być może - Hector skłonił się i odszedł, zmieszany Dirk po chwili ruszył za nim.

Zdumiewające, pomyślał Rupert, jak ktoś o niesłychanym intelekcie Olivera Morgana mógł paść ofiarą tych dwóch durni. Ale przecież Octavia mówiła, że Oliver żyje we własnym świecie i ma nikłe pojęcie o tym, do czego zdolni są ludzie.

Octavia i Philip wrócili do bawialni. W drzwiach przystanęli, rozmawiając, po czym Octavia dygnęła i odeszła. Zanim zdążyła dotrzeć do Ruperta, zaczepił ją książę Walii i przytroczył ją sobie do ramienia jak odznakę za męstwo w walce.

Rupert zmarszczył brwi. Wyglądała bardzo mizernie, była zmęczona, jakby przetrwanie tego nużącego wieczoru wymagało od niej nadmiernego wysiłku. I tak nie mogli wyjść przed rodziną królewską. Czy doszło do czegoś ostatecznego, kiedy była na zewnątrz z Philipem? To pytanie nękało go jak bolący ząb.

W końcu wokół króla i królowej zapanowało poruszenie i szmer rozmów ucichł. Królewska para kroczyła przez pokój, z mdłym uśmiechem przyjmując ukłony. Zniknęli za drzwiami, książę Walii zmuszony był im towarzyszyć.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła Octavia u boku Ruperta. - Chyba nie wytrzymałabym ani minuty dłużej. Zabierzesz mnie do domu? Czy mam wracać sama?

Napięcie wokół oczu stało się wyraźniejsze. Rupert, świadom obecności innych, powstrzymał chęć wygładzenia go, starcia palcami cieni.

- Zabiorę cię do domu.

- Musisz gdzieś iść później?- starała się, by brzmiało to lekko, jakby chciała zasięgnąć prostej informacji, nie zdradzając, że boli ją całe ciało i że sama już nie wie, czy woli być ukołysana w ciepłe i bezpieczeństwo, czy też wolałaby zatracić się w wirze dzielonej z nim namiętności, która przegnałaby widmo jutrzejszego dnia.

- Nie - powiedział, spoglądając na nią spod zmarszczonych brwi, gdyż usłyszał w jej głosie to wszystko, co chciała ukryć. - Chyba potrzebujesz opieki, słodczy.

Pieszczota w jego głosie działała jak balsam i Octavia poczuła, że napięcie ją opuszcza.

- Jak to odgadłeś?

- Znam cię dość dobrze- powiedział, patrząc na nią łagodnie, po czym zwrócił się wesoło do zgromadzonego towarzystwa. - No cóż, panie i panowie, obawiam się, że musimy was opuścić i pozostawić wszelkim dalszym rozrywkom, jakie was mogą czekać tej nocy.

Dowcip został powitany śmiechem, a Margaret Drayton sięgnęła, by strzepnąć mu pyłek z ramienia.

- Noc jest jeszcze młoda, panie. Przychodzą mi do głowy liczne, o wiele bardziej ekscytujące zajęcia niż te, którym można się oddawać przy kominku we własnym domu.

- A, i tu mnie masz, madame - schylił się nad jej dłonią- bo muszę wyznać, że mnie nie przychodzą.

Był to tak jawny prztyczek, że przez moment Margaret zdawała się go nie słyszeć. Już zaczynała się uśmiechać w odpowiedzi na komplement, jakiego się spodziewała, gdy wtem twarz się jej

wydłużyła. Ktoś zachichotał.

Rupert odwrócił się do Octavii.

- Czy możemy iść, moja droga? - spytał, mocno ujmując ją pod rękę.

- Ale ją usadziłeś! - mruknęła Octavia, kiedy stali w przedpokoju, czekając na powóz. - Jak mogłeś powiedzieć coś takiego?

- Ta kobieta zaczyna być męcząca - odparł tonem znudzonej obojętności.

- I może przestała być użyteczna? - zasugerowała Octavia.

Chociaż nie lubiła Margaret Drayton, było coś przerażającego w zimnej odprawie Ruperta. Czy któregoś dnia ja także przestanę mu być użyteczna? - pomyślała. Uśmiechnął się leniwie.

- Może przestała.

- Zatem twój plan jest dopięty?

- O, nawet więcej, moja droga. Działa i posuwa się do przodu.

Octavia ułożyła fałdy atlasowej peleryny na ramionach. Nadal nie wie działa, jakie Rupert ma plany wobec Hectora i Dirka.

- A co z twoim planem? - spytał, spoglądając bystro, jego głos stracił ton rozleniwienia.

Octavia nie podzieliła się z nim od razu swoimi wieściami.

- Powóz lorda Ruperta - oznajmił lokaj, zanim jej milczenie zaczęło być zauważalne.

- Dziękuję - powiedział Rupert do zgiętego w ukłonie lokaja i poprowadził Octavię do lekkiej karety służącej do jazdy po mieście. Pomógł jej wsiąść, po czym wsiadł za nią.

- Jakie zatem poczyniłaś postępy? - spytał znowu, krzyżując ramiona i opierając się na grubych poduszkach. - Jest coś, co chciałabyś mi powiedzieć?

- Myślę, że znalazłam obrączkę w wewnętrznej kieszeni jego kamizelki.

Czy to wszystko, co miała zamiar mu powiedzieć? Jej umysł zdawał się nie funkcjonować poprawnie.

- W wewnętrznej? Niezręcznie. - Wyraz jego twarzy nie zdradzał, że ogarnęło go uczucie triumfu. Był pewien, że Philip ma obrączkę cały czas przy sobie, ale kiedy Octavii przez tak długi czas nie udawało się na nią natrafić, zaczynał się niepokoić.

- Bardzo. Będę musiała skłonić go do zdjęcia kamizelki.

- Nie powinno to być trudne w odpowiednim momencie - zauważył głosem suchym jak Sahara, choć pod spokojną powłoką zewnętrzną znów w jego umyśle kłębiły się ohydne obrazy.

- Nie powinno - zgodziła się Octavia. Splotła dłonie na kolanach. - On bije swoją żonę.

- Wielu mężczyzn to robi.

- Nie uważam, aby ten fakt można traktować z taką nonszalancją- wybuchła.

- O dziwo, nie byłem nonszalancki. Nie jestem ani trochę zaskoczony, że Philip maltretuje swoją żonę. Zdziwiłoby mnie, gdyby tego nie robił.

W ciemnym wnętrzu powozu Octavia nie widziała twarzy Ruperta, ale w jego głosie brzmiała gorzka pogarda.

- Bardzo dobrze go znasz.

- Prawie jak siebie samego.

Wyczuła okazję, spróbowała więc nacisnąć.

- Jak długo go znasz?

- Tak długo, jak długo znam siebie samego.

Oparła się głębiej, marszcząc brwi w zdumieniu. Mówił zagadkami.

- Ale on ciebie nie zna.

- Myśli, że nie zna. - Odchylił zasłonę w oknie, by wyjrzeć na zewnątrz. - On nie jest głupcem,

Octavio. Ciebie nie będzie traktował w sposób, w jaki traktuje swoją żonę.

- To mnie uspokaja - powiedziała ironicznie. - Skąd masz tę pewność?

- Ponieważ nie znajdzie po temu powodu. I ponieważ ty będziesz wracać do domu, do mnie. Bez względu na to, co sądzi na temat naszego związku, wie, że nie jesteś bez ochrony. Philip nigdy nie stanie do walki z równym sobie... nie mówiąc już o kimś, kto góruje nad nim siłą i odwagą.

To spokojne stwierdzenie zabolęło ją i doprowadziło do wściekłości. Nagle postanowiła, że nie powie mu o jutrzejszym spotkaniu. Rupert nie bał się o nią. Nie poinformował ją o tym, jakie postępy sam poczynił. Dlaczego ona miałaby składać przed nim meldunek, jak żołnierz przed dowódcą? Według niego było to po prostu zadanie dla dziwki.

A kiedy już je wypełni, rzuci mu obrączkę bez słowa i on nigdy się nie dowie, ile ją

kosztowało, by zarobić na swoją nagrodę.

16

Kareta zatrzymała się na Dover Street. Octavia weszła do domu. Była apatyczna, przygnębiona i całkowicie znużona. - Idę prosto do łóżka.

- Odpraw Nell, jak tylko cię rozsznuruje - powiedział Rupert, podając swoją pelerynę Griffinowi.

- Jestem bardzo zmęczona.

Uśmiechnął się.

- Niemniej...

Choć raz chciała oprzeć się temu uśmiechowi, pieszczotliwej nucie w głosie, obietnicy w oczach. Zmęczenie dotyczyło jej duszy, nie ciała, i tym trudniej było się z nim uporać. Zawahała się z dłonią na słupku poręczy, po czym lekko wzruszyła ramionami i ruszyła po schodach. Nie mogła spierać się w holu, w obecności Griffina. Kiedy Rupert przyjdzie do niej, odeśle go.

- Przynieś mi koniak, Griffin.

Rupert wszedł do biblioteki, za chwilę pojawił się kamerdyner.

- Czy to wszystko, milordzie?

- Tak, dziękuję. Możesz pozamykać.

Wziął z tacy kieliszek i zaczął sączyć koniak. To był długi i męczący wieczór dla nich obojga. Koniak zapiekł go w przelyku i połączył się z piekącym, wrzącym wirem w żołądku.

Octavia znów musiała poddać się uściskom Philipa, skoro odkryła obrączkę tak dobrze ukrytą na jego ciele. Wkrótce Philip pozna najtajniejsze zakątki jej wspaniałego ciała. Będzie jej dotykał, wejdzie w nią.

Kieliszek uderzył o palenisko i kryształ rozprysł się w drobny mak.

Nie mógł znieść, że zmusza ją by się prostytuowała. A to właśnie miał zamiar zrobić. Podstępem pozbawił ją dziewictwa, teraz więc mógł kierować nią jak prostytutką. Nie było sensu udawać, że jest inaczej. To, że zgodziła się chętnie, nie miało znaczenia. W gruncie rzeczy nie rozumiała, na co się godzi.

On nie może dopuścić, by to się stało.

Spłynął na niego wielki spokój, kiedy wreszcie zaakceptował to, czemu starał się zaprzeczać od kilku tygodni. Musi stworzyć jakiś inny plan. Może rabunek na gościńcu?

Pomysł sprawił, że Rupert uśmiechnął się kwaśno. Ten plan nie był niemożliwy. W sprawie potencjalnego łupu Rupert nie korzystał wyłącznie z informacji Morrisa. Obracając się w londyńskim towarzystwie, miał uszy otwarte i kiedy słyszał o przeprawie przez wrzosowiska planowanej przez jakiegoś bogatego degenerata, był tam, by go powitać. Co miałyby go powstrzymać przed napadnięciem w ten sposób na swojego brata bliźniaka?

Zamiast znaleźć się w łóżku Philipa, Octavia może być przynętą, która sprowadzi go na wrzosowisko. A na wrzosowisku będzie na niego czekał jego brat bliźniak. Pomysł zakiełkował, a Rupert wiedział, że teraz musi go pozostawić, by dojrzał i nabrał kształtu. Tymczasem Octavia była na górze i czekała na niego.

Lekkim krokiem wyszedł z biblioteki i wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Kiedy wszedł do sypialni Octavii, zastał ją w koszuli nocnej. Wpatrywała się z tępą odrazą w łóżko.

- Zobacz, co Nell tu położyła - powiedziała, wskazując na deskę z wycięciem, leżącą na poduszce. - Zapewnia mnie, że jeśli ułożę na tym ostrożnie głowę do snu, moja fryzura się nie potarga i fryzjer nie będzie musiał przychodzić co najmniej przez trzy tygodnie! Trzy tygodnie z tym brudem we włosach!

- Ale milady, moja poprzednia pani zawsze sypiała na drewnianej poduszce - oznajmiła Nell. - Czepek przykrywał koafiurę i rano wszystko było jak należy.

Nell najwyraźniej była zbита z tropu tym, że nie doceniono jej zapobiegliwości.

Octavia popatrzyła na nią zniecierpliwiona. Wiedziała, że dziewczynie trudno pogodzić się z niekonwencjonalnym wyglądem jej obecnej pani, który według niej źle świadczył o jej pokojówce, tak jakby to ona była odpowiedzialna za wysłanie lady Warwick w świat stosownie ubranej i uczesanej. Od zachwytu Nell rytuałem pudrowania, który odbył się tego wieczoru, silniejszy był tylko niesmak Octavii.

- Nell, powinnaś już do tej pory wiedzieć, że nie zamierzam utrzymywać włosów w tym stanie ani chwili dłużej, niż jest to konieczne. Rano mi je umyjesz, a teraz wyjmiesz podkładki i szpilki i wyszczotkujesz mi dokładnie włosy, żeby zdjąć z nich to, co najgorsze.

Nell skrzywiła się z dezaprobatą, ale przyniosła z toaletki oprawioną w srebro szczotkę.

- W porządku, Nell. Zostaw to mnie - powiedział lord Rupert z iskierkami rozbawienia w oczach. Wziął od niej szczotkę. - Możesz iść do łóżka.

Nell dygnęła i wyszła w atmosferze urażonej dumy.

- Myślałem, że odprawisz ją, kiedy tylko cię rozsznuruje - powiedział Rupert, siadając w fotelu przy oknie i przyglądając się Octavii spod na wpół przymkniętych powiek.

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała, nieświadomie gładząc się po szyi. Wtem ten gest przypomniał jej dłonie Philipa, które dotykały jej szyi i przestała. - Czy będziesz miał coś przeciwko temu, jeśli nie... to znaczy... chciałabym pójść spać - dokończyła bezsilnie. Nigdy jeszcze go nie odprawiła i aż do tego wieczoru nie byłaby w stanie nawet wyobrazić sobie, że mogłaby tego chcieć.

- Powinnaś więc to zrobić - powiedział spokojnie. - Przysuń tu taboret i usiądź, żebym mógł ci wyszczotkować włosy. - Wskazał na dywan u swoich stóp.

Było w niej coś, co go zaalarmowało - tępy, bierny opór, jakiś żal, który, jak czuł, brał się z głębi jej wnętrza.

Jako mężczyzna, który wykuł sobie drogę przez życie samą tylko siłą charakteru, Rupert mógł pomyśleć o jednym tylko sposobie przewyciężenia dziwnego nastroju Octavii: o pokonaniu go siłą własnej woli.

Octavia niechętnie przyciągnęła sobie stopą wyściełany taboret sprzed toaletki i usiadła.

W pokoju panowała cisza, a dłonie Ruperta zagłębiały się w jej włosy, odrzucały podkładki i szpilki, aż upudrowana, wypomadowana masa opadła jej na ramiona.

- Ile dziś zapłaciłaś fryzjerowi? - spytał od niechcienia, biorąc szczotkę, którą zaczął rozczesywać lepkie loki.

- Pięć gwinei. Dlaczego pytasz?

- To prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego większość ludzi pragnie zachować dzieło fryzjera nienaruszone najdłużej, jak się da - zauważył, parszcząc śmiechem.

- Uważasz, że jestem rozrzutna? - próbowała odwrócić głowę, żeby spojrzeć na niego przez ramię.

Położył dłoń na jej głowie, zmuszając ją, by patrzyła przed siebie.

- Nie. To było tylko spostrzeżenie.

Szczotka coraz swobodniej przechodziła przez włosy i wbrew sobie Octavia zaczęła się odprężyć, a biały puder sypał się z jej ramion na dywan. Rupert zawsze lubił szczotkować jej włosy, zrobił z tego zmysłowy rytuał.

Pochyliła głowę, poddając się rytmicznym pociągnięciom, szczotka delikatnie głaskała jej kark. Octavię ogarnęła senność. Rupert czesał ją dopóki włosy nie okryły błyszczącym płaszczem jej ramion osłoniętych białą koszulą. Rzucił szczotkę na podłogę i zaczął palcami mocno ugniatać mięśnie karku i pleców Octavii.

- Nie mogę tego dobrze robić przez koszulę - powiedział, a jego głos zabrzmiał nienaturalnie donośnie, przerywając senną ciszę. - Zdejmij ją i połóż się na łóżku.

Wytrąciło to Octavię z transu. Nadal chciała tę noc spędzić sama. Nie chciała, by Rupert ją uwodził, głaskał i namawiał. Nie wtedy, kiedy mogła tylko myśleć o jutrzejszym dniu, że Rupert pcha ją w ramiona innego mężczyzny.

- Jestem bardzo zmęczona, Rupercie - udało się jej powiedzieć, ale nie zabrzmiało to tak stanowczo, jak chciała.

- Wiem. Ale teraz rób, co mówię.

Spokojny, autorytatywny ton, który Octavia знаła tak dobrze, wzniesił

w niej bunt. Przestała opierać się o jego kolana, siedziała sztywno wyprostowana na taborecie.

- Rupercie, nie mam ochoty kochać się tej nocy.

- A czy ja mówiłem cokolwiek o kochaniu się? - Wziął ją pod pachy i podniósł do góry. - Jeśli nie masz ochoty na kochanie się, to ja też nie mam, Octavio. Nie jest to coś, czym mógłbym się cieszyć bez twojej przyjemności i spodziewałem się, że do tej pory już to wiesz.

Karcił ją, jakby była upartym dzieckiem.

- Wiem, że jesteś zmęczona i wiem, że jesteś napięta jak nakręcona sprężyna - powiedział, jednym płynnym ruchem ściągając jej przez głowę koszulę. - Mam zamiar zaradzić temu drugiemu, bądź więc grzeczną dziewczynką i słuchaj mnie łaskawie.

Roześmiał się na widok jej oburzonego spojrzenia. To już był znany teren.

- Idź, Octavio. - Odwrócił ją w stronę łóżka i klepnął dla zachęty, a kiedy spojrzała na niego przez ramię, poderwał ją z podłogi i rzucił na łóżko.

Natychmiast usiadła prosto.

- Nie słuchasz mnie. Chcę zostać sama.

- Masz jakieś olejki czy maści? - spytał spokojnie, podchodząc do toaletki. - Coś, czym mógłbym nawilżyć ręce?

- Na litość boską! Czemu mówisz teraz o swoich rękach? - wykrzyknęła z niedowierzaniem. Zdawała się tracić także rozum, a nie tylko zdolność przeciwstawienia się. - Spierzchny ci, czy co?

- Nie, ty niemądra ptaszyno... A, to będzie dobre. - Wziął alabastrowy słoiczek z perfumowanym olejkiem, którego Octavia używała do kąpieli.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała, wciąż siedząc wyprostowana. Okrywały ją tylko włosy spływające na ramiona, jej piwne oczy nie były już zmęczone i bez życia.

- Ugotować cię w oleju, jeśli nie będziesz mnie słuchać - odparł Rupert ze śmiechem. Alabastrowy słoiczek postawił na nocnym stoliku. Patrzyła na niego zła i zdezorientowana, kiedy niespiesznie zaczął się rozbierać, porządnie układając ubranie na szezlongu. Kiedy podszedł do łóżka, Octavia spostrzegła ze zdumieniem, że ani trochę nie jest podniecony.

- Nie chciałbym poplamić sobie ubrania perfumowanym olejkiem - wyjaśnił wesoło, biorąc do ręki słoiczek. - Połóż się na brzuchu - rozkazał.

- Nie... to znaczy, po co?

- Ponieważ chcesz iść spać, a ja mam zamiar pomóc ci zasnąć - wyjaśnił tonem przesadnej cierpliwości. - Aczkolwiek w imię harmonii i spokoju, proponuję, żebyś nie kazała mi się powtarzać.

- Zaraza na ciebie, Rupercie Warwicku. Jesteś... istnym Wizygotą! - oznajmiła Octavia, przewracając się na brzuch mało wdzięcznym ruchem.

- Och, nie powiedziałbym tego - zaprotestował, przerzucając nogę nad jej ciałem i siadając mocno na jej pośladkach. - Ja tylko usilnie zabiegam o twoją wygodę. Nie nazwałbym tego aktem barbarzyństwa.

- A ja tak - mruknęła Octavia w poduszkę, napinając się z wysiłku, żeby go zrzucić.

Zaśmiał się tylko i usadowił pewniej, nalewając sobie na dłonie olejek.

- Zobaczmy, czy za parę minut będziesz tego samego zdania.

Jego dłonie zaczęły masować ramiona Octavii, perfumowany olejek wsiąkał w jej skórę, a palce Ruperta umiejętnie uciskały napięte mięśnie, ugniatały plecy wzdłuż kręgosłupa, kark i szyję. Octavia zatonęła w pościeli, zamknęła oczy, opór znikł.

Rupert uśmiechnął się sam do siebie, czując zmianę, jaka w niej zaszła.

Jak często robił to dla swojego mistrza przez te wszystkie spędzone razem, nędzne lata? Całe życie nadwerężania ciała pijaństwem i rozpustą, sypania na wilgotnych strychach, w przeciągu zamieniło na starość prawdziwego Ruperta Warwicka w masę zlepioną z dolegliwości i bólów, nękaną podagrą i artretyzmem. A on nauczył się przynosić mu ulgę, ale zajmowanie się szczupłym, atłasowym ciałem było doświadczeniem zupełnie innego rodzaju. I teraz, kiedy o tym pomyślał, nie widział powodu, aby ograniczać się do karku i ramion.

Przesunął palce wzdłuż kręgosłupa, nacisnął wgłębienia powyżej pośladków. Octavia jęknęła, ale nie stawiała oporu. Cofnąwszy się trochę, przysiadł na jej udach, pieszcząc okrężnymi ruchami dłoni jędrne pośladki.

Starał się, aby to, co robi było zmysłowe, ale nie erotyczne, celowo omijał niektóre miejsca, a

wysilek, z jakim zdobywał się na to poświęcenie, rozpałał mu krew.

Posuwał się wzdłuż jej nóg, masował uda, znów omijając słodki sekret między nimi. Silnymi palcami ugniatał jej łydki i masował stopy. Wiedział, że Octavia nie śpi, mówiły o tym drobne dreszcze przechodzące po jej skórze, ale pozostawała bezwładna, poddana jego dłoniom.

Octavia dryfowała w rozkoszonym transie. Kiedy odwrócił ją na plecy, dawała się urabiać jak glina. Miała niejasną świadomość, że uda Ruperta lekko dotykają jej ud, ale dłonie lekko gładziły powieki, policzki i czoło. Poczwała delikatne, okrężne ruchy na piersiach, potem na brzuchu, a głęboki prąd sennej rozkoszy wypełnił jej żyły.

Wymasował i naciągnął jej palce, kciukami naciskał wewnątrz dłoni, gładził nadgarstki, delikatną wewnętrzną stronę ramion.

Na wpół zdała sobie sprawę, że uśmiecha się, unosząc się ponad ciałem, przepelniona czystą rozkoszą.

Kiedy odwrócił ją znów na brzuch, zagłębiła się w puch. Wtem poczuła jego ciało na swoim na całej długości.

- Nie jestem tak opanowany, jak myślałem, słodczy - wyszeptał jej do ucha. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie - wymamrotała w poduszkę. - Chodź.

Rozsunęła uda, by go przyjąć, a on włożył dłonie pod jej brzuch, uniósł ją i wszedł w nią.

Uśmiechnęła się ogarnięta nową, ciepłą falą sennej rozkoszy, kiedy jego męskość pieściła jej wewnątrz równie umiejętnie, jak dłonie resztę ciała. Rozkosz przyniosła Octavii wszechogarniający spokój i wdzięczność, pod jej działaniem pierzchnęła nędza lęku i żalu. Nie wyobrażała już sobie samotnej przyszłości - była tylko ta wspaniała, zmysłowa teraźniejszość.

Zasnęła natychmiast, a Rupert leżał obok, w ciszy domu wsłuchując się w jej głęboki, równy oddech. Jego dłoń, rozluźniona i ciężka, spoczywała na jej plecach. Znajdzie sposób, by to wszystko rozplątać. Osiągnie swój cel, ale nie poświęci dla niego Octavii.

Punktualnie o drugiej przed drzwiami domu na Dover Street zajechał powóz Philipa Wyndhama. Octavia wyjrzała przez okno salonu na piętrze i choć była na to przygotowana, serce podeszło jej do gardła, kiedy zobaczyła powóz. Lokaj zeskoczył ze swojego miejsca z tyłu, otworzył drzwiczki, opuścił stopień, po czym wszedł po schodach prowadzących do drzwi frontowych domu Warwicków.

Poczwała mdłości, skórę miała lepłą. Rupert był poza domem, ale miał wrócić na obiad o wpół do piątej. Ile czasu trwa na ogół taka popołudniowa schadzka? Czy dwie i pół godziny jest w sam raz? Philip miał doświadczenie w tych sprawach, to on wyznaczył godzinę, uznał więc pewnie, że czas od drugiej do czwartej w zupełności wystarczy na zaspokojenie popołudniowej żądzy. Ale jak ona ma potem powitać Ruperta przy stole? Czy ma mu dać obrączkę i dalej zająć pieczone kuropatwy, jakby nie zaszło nic znaczącego? Czy on weźmie obrączkę, skinie głową w podziękowaniu i dalej będzie popijać swój klaret, jakby nic ważnego się nie stało?

Octavia naciągnęła cienkie, skórzane rękawiczki, wygładziła je na palcach i zeszła na dół. Griffin czekał z jej peleryną. Podziękowała odruchowo, kiedy życzył jej miłej przejażdżki i wyszła na zalaną słońcem ulicę, gdzie powitał ją sztywny lokaj hrabiego Wyndhama.

Wsiadła do powozu Philipa Wyndhama. Stopień został podniesiony, drzwiczki zamknięto. Stangret strzelił z bata i zaprzęg ruszył klusem przez Dover Street.

Nie, pomyślała Octavia z żalonym zdecydowaniem. Kiedy tylko ta sprawa z Philipem Wyndhamem zostanie zakończona, skończy się również jej związek z Rupertem Warwickiem. Nie będzie powrotu do takiego kochania jak ostatniej nocy, skoro znajdzie się w łóżku innego mężczyzny. Nawet jeśli uległa za zgodą - nie, za namową - swojego kochanka. Nawet...? A może miała na myśli ponieważ?

Wsparła głowę o poduszki i zamknęła oczy. Nieważne, co miała na myśli. Zdobywając obrączkę, wywiąże się z umowy. Nie będzie już w stanie znieść dotyku Ruperta.

Powóz zatrzymał się, a ona czekała. Serce jej waliło, skóra pokryła się mgiełką potu, dłonie w rękawiczkach miała wilgotne. Kiedy otwarto drzwiczki, poraził ją słoneczny blask.

Octavia nasunęła kaptur na oczy. Znajdowała się na St James Square, przed imponującą fasadą

Wyndham House. Lokaj prowadził ja po niskich, wyszorowanych do białości schodach, do otwartych drzwi frontowych. Przesuwała lekko dłonią po poręczy z kutego żelaza, przewyciężając chęć, żeby przywrzeć do niej, zacisnąć na niej palce i trzymać się jej jak tonący, który chwyta się unoszącego się na fali kawałka drewna.

Weszła do wyłożonego marmurem holu. Kamedyner się skłonił. Pokojówka dygnęła. Nikt nic nie powiedział. Prawie tak, jakby była wytworem imaginacji, zjawą. Pokojówka wskazała dwubiegowe schody, których wdzięczne łuki spotykały się na półokrągłym podeście, po czym pospieszyła przed Octavią na górę.

Postawiwszy nogę na najniższym stopniu, Octavia złowiła uchem dobiegający gdzieś z boku szelest jedwabiu. Gwałtownie zwróciła w tamtą stronę głowę. W drzwiach, w cieniu, stała nieruchomo Letitia Wyndham. W jej bladej twarzy oczy lśniły jak szmaragdy. Octavia odwróciła się od tych oczu i poszła za pokojówką. Miała poczucie, jakby przebywała w pustce - w zimnej, cichej próżni, w której jej obecność nie wywierała żadnego wrażenia na otoczeniu. Jej stopy nie dotykały naprawdę schodów, jej dłoń nie przesuwiała się naprawdę po poręczy. A kroki nie prowadziły jej naprawdę wyłożonym dywanem korytarzem ku białym, złożonym, dwuskrzydłowym drzwiom, które otworzyły się pod dotknięciem pokojówki. Dziewczyna dygnęła znowu i usunęła się na bok, a Octavia, ocierając się suknią o framugę, weszła do środka.

Była to sypialnia. Przestronna, elegancka komnata. Philip Wyndham siedział w głębokim fotelu przed pustym kominkiem, z książką na kolanach. Na widok Octavii wstał i uklonił się.

- A więc jesteś, moja droga. - Jego głos był ochrypliwy, takiego jeszcze u niego nie słyszała.

- Jak widzisz, panie. - Dygnęła, zdejmując rękawiczki.

Podszedł do niej krokiem lekkim, niemal tanecznym, jego smukłe ciało poruszało się wdzięcznie. Zsunął jej kaptur z głowy, mocno chwycił jej twarz dłońmi i pocałował ją, lecz pocałunek ten przypominał gwałtowną napaść. Na nowo poczuła przerażenie i odrazę, a już myślała, że nauczyła się je przewyciężać od czasu, gdy po raz pierwszy ją pocałował.

Rozpiął Octavii pelerynę, którą następnie rzucił na krzesło. Potem cofnąwszy się, przyglądał się jej bez uśmiechu, oczami płonącymi pożądaniem. Jego wzrok lustrował Octavię, obejmował jej strój, jasnyniebieskie, jedwabne caraco i spódnicę z granatowej bawełny we wzory. Zatrzymał na chwilę spojrzenie na sznurowaniu stanika, po czym jakby od niechcenia uniośł rękę, chwycił sznurówkę i jednym umiejętnym ruchem rozwiązał ją.

Rozluźniony stanik oswobodził piersi Octavii. Jej serce biło mocno i szybko, kiedy czekała na jego następny ruch.

Wargi Philipa wykrzywił uśmieszek satysfakcji. Odwróciwszy się od niej, podszedł do stolika pod ścianą, gdzie stała karafka i kieliszki.

- Madera.

Było to stwierdzenie, a nie pytanie, Octavia zatem jedynie lekko skinęła głową. Wzięła kieliszek i zaczęła sączyć łagodne wino, z nadzieją, że doda jej ono odwagi.

Philip był niekompletnie ubrany: bez fraka i fularu, w luźnym szlafroku z satynowego brokatu, pod którym miał kamizelkę, koszulę i spodnie. Octavia przyglądała się kamizelce tak intensywnie, jakby mogła przez beżowy, pasiasty jedwab zajrzeć do kieszeni i ukrytej w niej maleńkiej sakiewki.

Odstawiła kieliszek na stolik i podeszła do Philipa. Delikatnie wsunęła dłonie pod szlafrok, zsuwając mu go z ramion. Stał nieruchomo, popijając wino, oczy miał zmrużone. Przesunęła dłońmi po jego torsie, a jej palce natychmiast wyczuły to, czego szukały. Serce zatrzepotało jej w piersi. Tak łatwo było to znaleźć teraz, kiedy wiedziała już, gdzie szukać.

Zaczęła rozpinać mu kamizelkę. Bardzo powoli, guzik po guziku, modląc się, żeby jeśli wyczuje jej niepokój, przypisał go namiętności.

Nagle chwycił ją za przeguby.

- Nie. Nie mam ochoty, żeby kobieta w ten sposób przejmowała inicjatywę. - Jego głos był dziwnie zimny, szare oczy miały w sobie arktyczny chłód.

Octavia opuściła ręce. Czowała się jak dziwka, która obraziła klienta.

- Wybacz, Philipie, to z zapału - wymamrotała, przygryzając dolną wargę i spoglądając na niego zza rzęs.

Uśmiechnął się, a ją ogarnęła tak dzika wściekłość, że aż miała ochotę czymś w niego rzucić, żeby zetrzeć mu z warg ten uśmieszek zarozumiałstwa i triumfu.

Wciąż trzymając kieliszek w jednej ręce, drugą zaczął rozpinąć kamizelkę tam, gdzie Octavia przerwała, po czym wdzięcznym ruchem zrzucił ją z ramion. Upadła na podłogę, a on czubkiem pantofla kopnął ją na bok.

Będzie musiała znaleźć sposób, żeby wziąć kamizelkę do ręki. Może po gospodarsku uprzątnie z podłogi... Gdyby ją otrzepała i złożyła...

- Zdejmij suknię. - Ten chrapliwy rozkaz przerwał gorączkowy tok myśli Octavii. Jej palce drżały na rozwiązanej sznurówce stanika, na haftkach spódnicy, na wiązaniach fiszbinu.

Przyciągnął ją do siebie i niedelikatnie ugniatał jej ciało przez koszulę oraz halki. Octavia zdrewniała. Myślała wyłącznie o leżącej na podłodze kamizelce i wyczekiwała momentu, w którym mogłaby swobodnie podnieść tę część garderoby, przesunąć palcami po podszewce, ukryć w dłoni małą sakiewkę.

Uświadomiła sobie, że Philip popycha ją do tyłu. Udami wyczuła krawędź łóżka, a w następnym momencie już leżała przewrócona na plecy na kołdrze. On, stojąc nad nią sięgnął do paska spodni.

Wyglądało na to, że nie będzie tańca godowego, powolnych przygotowań, podsycania płomienia. Starła się nie patrzeć, kiedy opuścił spodnie i machnięciami stóp pozbył się ich. Zaczął się szarpać z guzikami koszuli i po raz pierwszy wyczuła w jego ruchach pośpiech. Bez koszuli, w samych tylko wełnianych kalesonach, ukląkł na łóżku. Zadarł jej halki, odsłaniając uda w jedwabnych pończochach. Manipulował niecierpliwie przy jej podwiązkach. Jeszcze centymetr i nic jej nie uchroni przed tymi zimnymi, szarymi oczami, jej ciało będzie nagie i bezbronne wobec napaści twardej, nabrzmiałej męskości uwydatniającej się pod wełnianą bielizną...

Nagle rozległ się potworny trzask, po którym nastąpiły kolejno przenikliwy pisk, przeciągły skowyt bólu i przerażenia - i pokój zatonął w gęstej, czarnej chmurze sadzy.

- Na Chrystusa! - Hrabia Wyndham oklapł znienacka jak przyduszona kura. Na jego twarzy malowało się zdumienie i zawód. Potem zerwał się i z łóżka, a Octavia zbierała się, dławiąc się wśród opadających gęstych, tłustych płatów. W gardle bulgotał jej niemal histeryczny śmiech, a oczy łzawiły z wysiłku, aby nad nim zapanować, kiedy jednocześnie starała się dociec, co w tak druzgocący sposób zniweczyło żądzę hrabiego.

Hrabia stał przy kominku z twarzą wykrzywioną wściekłością. U jego stóp kuliło się na czworakach coś, co zdawało się być czarnym zwierzątkiem, skowyczącym żałośnie.

Octavia zerwała się na nogi i opuściła halki, nie zważając na scenę przy kominku. Myślała jedynie o kamizelce. Już schylała się, by ją pochwycić, kiedy usłyszała uderzenie skórzanego bata o ciało i rozdzierający serce wrzask, bez wątpienia ludzki.

- Nie! - krzyknęła, odwracając się w stronę kominka. Hrabia, z wzniesioną ręką, miał właśnie po raz drugi spuścić koński bat na grzbiet wrzeszczącego, ludzkiego strzępka. - Nie, to nie jego wina! - doskoczyła do hrabiego i chwyciła go za rękę. - To tylko dziecko. Musiało się zgubić w kominach.

Hrabia z wściekłością wyrwał się jej i uderzył po raz drugi. Dziecko krzyknęło, osłaniając głowę. Octavia zapomniała, po co tu przyszła. Zapomniała o kamizelce porzuconej na podłodze. Nie pamiętała też, że ma na sobie tylko koszulę i halkę, a hrabia jest w samych gatkach. Zbierając całą siłę swych mięśni, wyrwała mu bat z rąk.

- Nie! Nie pozwolę ci na to, Wyndham!

Philip wgapił się w nią. Twarz miała umazaną sadzą, w oczach złoty płomień. Trzymała jego bat jak broń, której z powodzeniem mogłaby użyć przeciwko niemu. W końcu dotarł do niego niegodny absurd tej sytuacji oraz fakt, że jego plany na dzisiejsze popołudnie zostały zniweczone.

Zaklął obrzydliwie i sięgnął po swoje ubranie. Octavia z tępą rezygnacją przyglądała się, jak Philip z powrotem zakłada kamizelkę. Po chwili jednak otrząsnęła się z poczucia zawodu i schyliła się, by poddać oględzinom nieszczęsnego rozbitka, wciąż gorzko łkającego przed kominkiem.

Oceniła, że jest to chłopiec nie więcej niż cztero- czy pięcioletni, choć był tak chudy, że nie mogła mieć co do tego pewności. W rozdarciach postrzępionej, brudnej koszuliny dostrzegła kręgosłup rysujący się pod skórą. Koński bat Philipa pozostawił ciemnoczerwone pręgi na poranionym już wcześniej ciele. Krew ciekła obficie z pokrytych sadzą kolan i łokci, a kiedy Octavia spróbowała dźwignąć dziecko na nogi, krzyknęło z bólu. Podeszwy stóp były poparzone i pokaleczone do

żywego.

- Biedne dziecko! - powiedziała łagodnie. Widywała już kominiarczyków w Shoreditch i wiedziała, że mistrzowie kominiarscy rozpalają ogień w kominku, aby zmusić przerażone dzieci do wspinania się w pełnej szczurów ciemności, że w ślad za nimi posyłają starsze dzieci z ostrymi patykami

i szpikulcami, żeby popędzały malców dżganiem w stopy. Wiedziała o tych okropnościach, nigdy jednak nie zetknęła się bezpośrednio z ich rezultatami.

Obejrzała się i zobaczyła Philipa, znów ubranego, jak przygląda się jej z absolutnym niesmakiem.

- Zostaw go - powiedział. - I ubierz się. Nie mogę wezwać jego mistrza, kiedy ty jesteś w halce.

Na wzmiankę o mistrzu szloch się nasilił.

- Zabije mnie. Zabije mnie, bo znów się zgubiłem - łkał mały. Wiedział, że popełnił niewybaczalny grzech, spadając do pokoju, gdzie zobaczyli go mieszkańcy domu. Dotychczasowa ciągła groźba stała się potworną rzeczywistością.

- On cię nie skrzywdzi - zapewniła Octavia, przyczepiając fiszbiny i szybko wkładając na nie spódnice. - Mój Boże, zabiorę to dziecko ze sobą. Jeśli jego mistrz będzie niezadowolony, może przyjść na Dover Street i tam załatwię z nim sprawę.

Philip Wyndham wyglądał tak, jak się czuł - po raz pierwszy w życiu osłupiał. Gapił się na Octavię z szeroko otwartymi ustami.

- Zabierzesz go ze sobą? - udało mu się wykrzyknąć. - Kobieto! Postradałaś rozum. To kominiarska szmata.

- Otóż to - powiedziała Octavia, sznurując stanik sukni.

- I powiesz, że gdzie go znalazłaś? - dopytywał się Philip słabym głosem, robiąc krok w stronę dziecka, które siedziało w palenisku, spoglądając to na mężczyznę, to na kobietę, a białka jego oczu błyskały w czarnej twarzy, na której lży złościły ślady w sadzy.

- Nie uważam, żeby to było istotne - odrzekła Octavia, wsuwając stopę w sandałek.

- Oczywiście, że to istotne! - Philip złapał dziecko za kościste ramię i poderwał go w powietrze jedną ręką. Dziecko wrzasnęło, hrabia rzucił je więc, wzdragając się z obrzydzenia.

Nagle Octavia zrozumiała, co niepokoi Philipa. W towarzystwie cudzołożne związki to jedno, i to coś, co wcale nie musi przynosić ujmy osobom w nie uwikłanym, ale kiedy czyjeś miłosne igraszki zostają przerwane przez kominiarczyka i wybuch sadzy, to już zupełnie inna sprawa. Wszyscy płakaliby ze śmiechu. W ciągu dziesięciu minut hrabia Wyndham stałby się pośmiewiskiem całego Londynu, a tego by nie przeżył.

Octavia znów miała ochotę się roześmiać, powstrzymała się jednak, spuściła wzrok i wsunęła na stopę drugi sandałek.

- Milordzie, nie musisz się obawiać, że zostanie wymienione twoje nazwisko czy twój dom. Powiem, że znalazłam go u siebie.

- A jeśli jego mistrz będzie się dobijał do twoich drzwi, żądając zwrotu swojej własności? - Hrabia dotknął warg chusteczką. - Co wtedy, madame?

- Poradzę sobie z jego mistrzem - oznajmiła Octavia z przekonaniem, kiedy szloch w kominku znów się wzmógł.

- A co na to twój mąż? - Philip zdawał się nie wierzyć własnym uszom. - Jakże on się zapatruje na takie akty filantropii? - Jego głos był czystym kwasem.

- Nie muszę się opowiadać - odparła Octavia, narzucając na ramiona pelerynę. - To ja prowadzę dom, milordzie. Mojego męża nie obchodzi, jak to robię, mam go tylko prowadzić tak, żeby on był zadowolony. Nie dowie się niczego, mogę cię zapewnić.

Philip rozejrzał się po zrujnowanym gniazdku niedoszłej rozkoszy. Było mu obojętne, że służba wie o wizycie kobiety w jego sypialni, mimo to jednak nie mógł znieść myśli, że ktoś mógłby się pojawić, zanim ona wyjdzie, zobaczyć ten nieład i wyciągnąć własne wnioski. Jeśli Octavia wyjdzie z domu, zanim wśród służby rozejdzie się wieść o zajściu, będzie tak, jakby nigdy nie pojawiła się w tym pokoju. A jeśli Octavia jest na tyle szalona, by zabrać ze sobą obrzydliwy powód całego zamętu, to już nie jego zmartwienie. A gdyby nawet było to jego zmartwienie, nie miał ochoty przedłużać tej odrażającej sceny.

Nie do pomyslenia, żeby Octavia sama opowiedziała tę historię w towarzystwie, stałaby się

wtedy bowiem pośmiewiskiem na równi z nim. Jeśli on sam wykupi kominiarczyka, można będzie uznać, że nic się nie stało.

- Pospiesz się - rozkazał krótko.

Octavia wzięła dziecko na ręce, nie zważając na to, że brudzi sobie suknię i pelerynę.

- Prowadź, milordzie.

Philip zbyt był skupiony na konieczności pośpiechu i dyskrecji, by zauważyć drwinę w jej głosie.

- Możesz wyjść bocznymi drzwiami. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko wzięciu dorożki. Gdybym przywołał mój powóz, zwróciłoby to na ciebie uwagę. Poza tym, nie życzę sobie gnoju na siedzeniach.

- Nie przeszkadza mi jazda dorożką, panie - powiedziała Octavia z tym samym, spokojnym uśmiechem, którym pokryła ironię w głosie i pogardę w oczach. Dziecko w jej ramionach było nieruchome i ciche. Pomyślała, że jest prawdopodobnie zbyt zszokowane, żeby zareagować na to, co się z nim dzieje.

Philip poprowadził ich bocznym korytarzem, na wewnętrzną klatkę schodową. Kolejne drzwi, u dołu wąskich schodów, prowadziły do niewielkiego holu, który sadząc po splowiałej tapecie i wytartym dywanie, należał do niereprezentacyjnej części domu. Otworzył drzwi wychodzące na wąską uliczkę prowadzącą do York Street.

- Dorożkę znajdziesz na York Street, madame - oznajmił sztywno.

- Jesteś nazbyt uprzejmy, milordzie - odparła Octavia z ironią i złożyła dworski ukłon, mimo że trzymała dziecko, które nieco jej w tym przeszkadzało. Jednak Philip znów tak był pochłonięty myślą o pozbyciu się jej -i zakończeniu tego upiornego epizodu bez dalszego narażania swej godności - że nie dostrzegł przewrotności w jej kurtuazji.

Odpowiedziawszy zaledwie skinieniem głowy, bez mała wypchnął ich na zewnątrz i zatrzasnął za nimi drzwi.

- Och, cóż to za dżentelmen! - mruknęła Octavia wesoło. - Cóż za nikczemny, tchórzliwy dżentelmen! Co ja bym dała, żeby rozpowiedzieć tę historię na mieście. Ale niestety, nie można tego zrobić.

Spojrzała na dziecko.

- Masz jakieś imię?

- Frank.

- Cóż, Frank. Zawieziemy cię do domu. Nie jesteś dokładnie tą nagrodą jakiej się spodziewałam tu dziś po południu, ale nie szkodzi. Jutro też jest dzień.

Zdawała sobie sprawę, potykając się na bruku, omijając stertę parującego gnoju i zdechłego kota, że jej dobry humor bierze się tylko z powodu odroczenia. Było to z konieczności krótkotrwałe odroczenie, niemniej jednak jej wydawało się cudowne.

Dobry Boże, Octavio! Co ty tu masz, u diabła? - wykrzyknął zdumiony Rupert na widok Octavii wchodzącej do holu, wciąż z Frankiem na rękach.

- To jest Frank - oznajmiła. Jej oczy błyskały wesołością, linia ust wyrażała rozbawienie. Rupert podszedł bliżej. Uniósłszy lorgnon, przyjrzał się uważnie ciężarowi, który dźwigała i zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

- Kominarczyk?

- Właśnie. Biedne maleństwo, tak okropnie traktowane. - Octavia przyglądała sterczące włosy nad czołem chłopca, gdzie sińce i brud były tak przemieszane, że trudno było odróżnić jedno od drugiego.

- Skąd go wzięłaś? - Rupert wyciągnął rękę, chcąc dotknąć chłopca, który ze skowytym przywarł do Octavii.

- To długa historia i bardzo zajmująca - odparła Octavia, chichocząc. - Opowiem ci, jak tylko zadbam o Franka i się przebiorę. Muszę wyglądać, jakbym sama wspinała się po kominach. Było w niej coś dziwnego, co przezierало spod rozbawienia. Jej oczy błyszczały za bardzo, zarys szczęk świadczył o napięciu.

- Griffin, czy mógłbyś, proszę, zabrać chłopca do kuchni? Trzeba go wykąpać, ale delikatnie, cały jest poraniony i poodcierany. Spróbuj znaleźć dla niego jakieś czyste ubranie i nakarm go. Potem przyprowadź go do mnie.

Uśmiechnęła się promiennie do kamerdynera, odczepiła od siebie Franka, który przywarł do niej jak pijawka i przekazała go w ręce oniemiałego Griffina.

Kamerdyner trzymał dziecko przed sobą w wyciągniętych na całą długość rękach, odwracając głowę od tego uwłaczającego jego godności paskudztwa.

- Jak sobie wasza lordowska mość życzy.

- Dziękuję - krzywiąc się, zaczęła otrzepywać spódnice. - I przyślij mi Nell, dobrze? Ta suknia prawdopodobnie jest nie do odratowania.

Pospieszyła ku schodom, nie zważając na zamęt i oburzenie, jakie pozostawiała za sobą. Griffin z godnością oddalił się w rejony kuchenne, trzymając swój ciężar jak najdalej od siebie. Rupert stał jeszcze chwilę, nadal marszcząc brwi, po czym udał się za Octavią na górę, do jej sypialni.

- Nie sądzę, żeby Griffin kiedykolwiek w życiu doznał takiej obrazy - zauważył, opierając się o framugę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, przyglądając się, jak Octavia rozsznurowuje stanik. - Gdzie, na litość boską, wynalazłaś to stworzenie?

- Wypadł z komina. - W jej głosie pobrzmiwał śmiech, ale palce niezręcznie gmerały przy sznurówce. - Nie może mieć więcej niż pięć lat i założyć się, że waży tyle, co zagłodzony kociak.

- Z jakiego czy raczej z czyjego komina? - dopytywał się Rupert tonem nadal swobodnym, choć nabrał już przekonania, że wydarzyło się coś złego. Jej oczy błyszczały gorączkowo, a śmiech brzmiał tak, jakby lada moment miał zmienić się w płacz.

- Och, to długa historia... a, jesteś, Nell - Octavia rozjaśniła się na widok pokojówki. - Zobacz, czy uda ci się uratować tę suknię. To jedna z moich ulubionych. I potrzebuję mnóstwo gorącej wody. Ta sadza jest taka tłusta, że wątpię, czy zejdzie ze mnie po jednym myciu. I na pewno mam ją we włosach - wyrzucając z siebie ten potok słów, wyjmowała szpilki z włosów.

Wyraz twarzy Ruperta nie zdradzał jego niepokoju.

- Zostawiam cię z Nell, moja droga. Czy mam powiedzieć Griffinowi, żeby podał obiad pół godziny później?

- Och nie, to nie będzie konieczne. Jestem pewna, że zdążę się przygotować - wyrzuciła z siebie bez tchu. - Czy nie mamy iść do opery po obiedzie?

- Nie jest to coś, czego nie można by odwołać - powiedział łagodnie.

- Czy to nie *Ifigenia na Taurydzie*? - zapytała stłumionym głosem, ponieważ Nell właśnie zdejmowała jej przez głowę suknię.

- Twój ulubiony Gluck - potwierdził z uśmiechem, który jednak nie obejmował oczu.
 - Dobrze, może opuścimy pierwszy akt. - Usiadła przy toalecie i przyjrzała się swojej umorusanej sadzą twarzy. - Boże, nic dziwnego, że dorożkarz patrzył krzywo. Przysięgłabym, że miał ochotę mi odmówić.
 - Co ci przyszło do głowy, żeby jeździć po mieście dorożką? Miałem wrażenie, że trzymamy zarówno powóz, jak i lekturę. A może mi się tylko zdawało?
 - Ależ wyzbądź się tego sarkazmu, milordzie - dokuczała mu ze śmiechem, ocierając twarz myjką. - Opowiem ci całą historię przy obiedzie, jeśli papa nie zechce do nas dołączyć. Uznasz ją za strasznie zabawną. Ale teraz pozwól mi się ubrać, albo nie siądziemy do stołu przed północą.
 - Oczywiście, madame. - Skłonił się i opuścił jej pokój. Zszedł do biblioteki, a zmarszczka między jego brwiami stawała się coraz głębsza.
 - Milordzie?
 - Tak, Griffin. - Spojrzał na kamerdynera, który wszedł do biblioteki. Mimo sztywności rysów, twarz Griffina odzwierciedlała jednak jego najgłębsze wzburzenie.
 - Ten... hm... protegowany lady Warwick, milordzie.
 - Co z nim, Griffin?
 - Milordzie, on odmawia kąpieli.
 - Jej lordowska mość zapewniała mnie, że ma zaledwie pięć lat i waży tyle, co zagłodzony kociak. Trudno mi uwierzyć, że dwóch lokai nie jest w stanie doprowadzić do zanurzenia go w gorącej wodzie.
 - Tak, milordzie. Ale on gryzie.
 - To nałóż mu kaganiec, Griffin.
 - Jej lordowska mość powiedziała, że mamy być delikatni, milordzie.
 - Jej lordowska mość nie musi o tym wiedzieć.
 - Tak, milordzie. - Kamerdyner wycofał się zgięty w ukłonie, całym sobą wyrażając urazę.
- Rupert nałóż sobie sherry. Sam akt filantropii ze strony Octavii nie był dla niego niczym zaskakującym. Wiedział, jak bardzo własne doświadczenia uwrażliwiły ją na nędzę, w jakiej większość ludzi walczy o przetrwanie. Ale w tej sytuacji chodziło o coś więcej niż filantropia. Powiedziała, że historia jest bardzo zabawna, jednakże on jakoś nie mógł wziąć jej rozbawienia za dobrą monetę. Powiedziała, że chłopiec wypadł z komina -takie rzeczy się zdarzają, biorąc pod uwagę ogromną liczbę przewodów kominowych biegnących w domach osób wysoko urodzonych. Ale z jakiego komina? Nie z jej własnego. U przyjaciół? Jeśli tak, to czemu nie miałyby powiedzieć tego od razu? Skąd ta tajemniczość? Skąd to podniecenie?
- Kiedy dziesięć minut później Octavia weszła do biblioteki ubrana do opery, w jedwabnym caraco barwy mandarynek i szerokiej spódnicy z wzorzystej, pomarańczowej tafty, miał już gotową odpowiedź.
- Uśmiechając się, wbiegła do pokoju tanecznym krokiem, w pantofelkach bez pięt na drobnych stopach, cynamonowe loki spływały jej na ramiona, czarna, aksamitna wstążka wyszywana idealnie podrobionymi brylantami i perłami otaczała smukłą, mleczną szyję.
- Kieliszek sherry, bądź tak miły, Rupercie. Ciekawa jestem, jak sobie radzą w kuchni z Frankiem.
 - Z trudem, jak rozumiem - powiedział cierpko, nalewając sherry. - On gryzie.
 - Przypuszczam, że jest przerażony - odparła Octavia, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. Wzięła swoją sherry i podziękowała uśmiechem. - Ciekawa jestem, czy udałoby się ucywilizować go do tego stopnia, żeby zrobić z niego pazia.
 - Gdzie go znalazłaś?
 - Myślę, że przekażę go ojcu - kontynuowała, jakby nie słysząc pytania. - Papie z pewnością spodoba się ten projekt i będzie się cieszył, mogąc uczyć Franka czytać i pisać. Ciekawa jestem, czy zejdzie na obiad? Powiedział, że może, jeśli skończy pracę, jaką sobie zaplanował na dzisiaj.
- Pociągnęła za sznur dzwonka, zanim Rupert zdążył powtórzyć pytanie.
- Griffin, czy pan Morgan zje z nami obiad?
 - Tak sądzę, milady. - Griffin wciąż emanował ponurą dezaprobatą choć wyraz jego twarzy był całkowicie neutralny. - Kiedy zechcesz zobaczyć chłopca, madame?
 - Czy nadaje się do pokazania?
 - Trudno powiedzieć, pani. Obecnie jest jednak tak czysty, jakim zdołaliśmy go uczynić. Nie

mamy dość małych ubrań, by go odziać, jest więc owinięty w prześcieradło.

- Został nakarmiony?

- Aż nadto, milady. Ma apetyt jak boa dusiciel. Należy mieć nadzieję, że sobie tym nie zaszkodzi.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli zobaczę go po obiedzie - postanowiła, kiedy do biblioteki wszedł Oliver Morgan. - Papo, mam dla ciebie niespodziankę. To kominiarczyk.

Griffin oddalił się, a Rupert mógłby przysiąc, że słyszał, jak gniewnie pociąga nosem.

- Wielkie nieba, moja droga. A na cóż mi kominiarczyk? - spytał Oliver z umiarkowaną ciekawością, biorąc od Ruperta kieliszek sherry.

- Pomyślałam, że mógłbyś nauczyć go czytać i pisać. Jest tak sponiewierany i posiniaczony, że nie nadaje się do pracy, biedne maleństwo, doszłam więc do wniosku, że mógłby dotrzymywać ci towarzystwa.

- Czy zupełnie nic nie umie? - W oczach Olivera błysnęło zainteresowanie.

- Jestem tego pewna.

- W takim razie przyjmę go z przyjemnością. Od dawna już chciałem przeprowadzić pewien eksperyment edukacyjny. Nigdy nieuczone dziecko jest jak czysta tabliczka, na której można zapisać, co się chce. Nic nie zaśmieca jego umysłu, a jeśli ma choć trochę wrodzonej inteligencji, spodziewam się, że zanim minie pół roku, będzie czytał po łacinie i w grece.

- Umiejętność czytania we własnym języku byłaby bardziej użyteczna - zauważył Rupert, zastanawiając się, czy powinien żałować kominiarczyka, który wydobyty z piekła kominów, miał być wtrącony w szkolny rygor.

- Przestań, Warwick! - skarcił go Oliver. - Nikogo tu nie interesuje użyteczność, a sam proces nabywania języka. - Zatarł ręce z radości. - Będę dokumentował eksperyment i jestem pewien, że jakieś czasopismo naukowe z chęcią opublikuje jego wyniki.

W drzwiach pojawił się znowu Griffin, nie bardziej szczęśliwy niż poprzednio.

- Obiad podano, milady.

- Dziękuję. - Octavia wzięła ojca pod ramię. Należało jeszcze rozstrzygnąć ostatecznie o losie Franka, niezależnie od planów, jakie miał wobec niego jej ojciec, ale nic by nie przyszło z mącenia radości starca, jaką napawał go ten projekt. Octavia była raczej skłonna uważać, że pięcioletnie dziecko nie jest w stanie zdobyć klasycznego wykształcenia, ale przecież Oliver może sam do tego dojść.

Podczas obiadu Rupert podtrzymywał błahą rozmowę, ale uważnie patrzył i słuchał, wychwytyjąc każdy niuans w tonie Octavii. Wciąż zdawała się być w jak najlepszym humorze, tyle że jej śmiech był odrobinę za głośny, strzelała oczami, na niczym nie zatrzymując wzroku i bardziej interesowała się swoim kieliszkiem do wina niż talerzem.

Obecność ojca uniemożliwiała dalsze indagowanie jej, Rupert czekał więc, choć z narastającą niecierpliwością.

- Zostawię was z waszym porto - powiedziała Octavia, kiedy uprzątnięto nakrycia. - Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć mojego protegowanego.

Rupert i ojciec podnieśli się, kiedy lokaj odsunął jej krzesło.

- Przyjdę do kuchni, Griffin - powiedziała do trwającego w bezruchu kamerdynera. - On prawdopodobnie tam czuje się najswobodniej.

- Powiedziałbym, że najlepiej czułby się w piekle, madame- oznajmił Griffin, choć raz dając upust uczuciom kryjącym się za beznamiętną maską. - Pociągnął kota za ogon, rozlał kucharce sos i usmarował na czarno wszystkie adamaszkowe obrusy, które prasowała pokojówka.

- W ciągu trzech godzin! - wykrzyknęła Octavia.

- Czy to tylko trzy godziny, milady?

Gromki śmiech dobiegł od szczytu stołu, gdzie siedział Rupert, sącząc swoje porto.

- Octavio, moja droga, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co rozpętałaś.

Octavia skrzywiła się.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdę się dowiedzieć.

W kuchni zastała małego chłopca owiniętego w prześcieradło, wytrąconą z równowagi kucharkę, pokojówkę uzbrojoną w żelazko i lamentującą nad stanem obrusów oraz pomywaczkę szorującą wielkie garnki śmierdzącym ługiem.

Wszyscy oni gapili się na panią domu, która wpadła do kuchni, jak gdyby zwykła czuć się w kuchni

jak u siebie. Żadne z nich nie wiedziało przecież, jak dobrze znana była jej kuchnia pani Forster w Shoreditch.

- Och, drogi Franku, coś ty narobił?

W poszumie jedwabiu, we wdzięcznie kołyszących się spódnicach, Octavia podeszła do ognia, przy którym dziecko siedziało na stołku. Jego blada twarz gnoma wydawała się starsza ponad wiek, a wielkie oczy wyszły mu z orbit na widok tak wspaniałej postaci.

- Nic - skurczył się czujnie, kiedy schyliła się nad nim. - Stary Bilbo przyszedł mnie zabrać?

- To twój mistrz?

Chłopiec skinął głową i zamrugał.

- Zabije mnie, jak przyjdzie - oznajmił dziwnie rzeczowym tonem. - Miałem się nie zgubić w tych kominach, ale żem nie wiedział, jak wyjść.

- Stary Bilbo, czy jak tam on się nazywa, nie zabierze cię stąd - zapewniła Octavia, gładząc jego sterczącą czuprynę.

Chłopiec na wszelki wypadek uchylił się przed tą pieszczotą.

- Pewno, że przyjdzie. - Jego wzrok śmignął w stronę wyszorowanego stołu, na którym resztki obiadu czekały, by coś z nimi zrobić. - Dacie jeszcze kawałek tego jabłkowego ciasta?

- Na litość boską milady, zjadł już sześć kawałków - wtrąciła się kucharka, wycierając ręce w fartuch. - Pochoruje się, jeśli zje jeszcze choć trochę. Żołądek ma skurczony jak orzeszek, biedny dzieciak.

- A stary Bilbo po mnie przyjdzie - dopraszało się dziecko, spoglądając to na jedną kobietę, to na drugą a jego wzrok wyrażał przekonanie co do nieuchronności tego faktu.

- On po ciebie nie przyjdzie - oświadczyła Octavia stanowczo. - I myślę, że pora iść do łóżka. Rano znajdę ci jakieś ubranie.

- Wezmę go do siebie na strych, milady. - Pomywaczka dygnęła, ocierając pot z czoła wierzchem czerwonej, szorstkiej od pracy dłoni. - Jest taki mały jak mój braciszek, co to zawsze ze mną śpi w domu.

Pomywaczka sama była niewiele starsza od dziecka, a w jej głosie pobrzmiwała tęsknota za domem.

- Jeśli myślisz, że sobie z nim poradzisz - powiedziała Octavia tonem zwątpienia. Mały Frank, czysty i nakarmiony, nie wyglądał bynajmniej tak potulnie i żałośnie jak wtedy, kiedy spadł w kłębach sadzy do sypialni hrabiego Wyndhama.

To wspomnienie wzbudziło nową falę wesołości, czym prędzej opuściła więc kuchnię, żeby nie roześmiać się na oczach i tak już zdumionej służby kuchennej. Czuła się tak cudownie lekko, jakby stąpała w powietrzu. Nie zdawała sobie sprawy, że sytuacja, w której staje się wobec najgorszego, a następnie nagła odmiana losu może zachwiać równowagę nawet najspokojniejszej pod słońcem osoby.

Rupert został w jadalni sam. Oliver, nie będąc wielkim miłośnikiem porto, wycofał się do swoich pokoi, aby planować nowy eksperyment. Octavia weszła, chichocząc.

- Papa poszedł na górę? Może ja wypiję z tobą kieliszeczek porto.

Przyciągnęła sobie krzesło bliżej Ruperta i pchnęła w jego stronę pusty kie-

liszek po wypolerowanym na wysoki połysk blacie stołu. Światło świec zaczęło układać się w złote plamy na stole, w miarę jak słońce kryło się za horyzont Rupert nalał do kieliszka ze stojącej pod ręką karafki, po czym usiadł wygodniej, przedramiona położył na stole, palcami lekko obejmował nóżkę swojego kieliszka.

- Czy wreszcie dane mi będzie usłyszeć tę historię, Octavio? Coś bawiło cię niezmiernie przez cały wieczór i uważam, że to niesprawiedliwe, żebyś zachowywała to dla siebie.

- Ależ nie, opowiem ci. To najśmieszniejsze ze zdarzeń! - wybuchła śmiechem, upiła wina i zakrztusiła się.

Rupert pochylił się ku niej i dość energicznie klepnął ją w plecy.

- Zacznijmy od początku, dobrze?

Octavia starała się opanować. Czubkiem palca otarła łzy z kącików oczu.

- Byliśmy w sypialni Wyndhama i...

- Gdzie byłaś? - Krew odplynęła mu z twarzy, oczy stały się nieprzeniknionymi szarymi głębiami.

- Miałam schadzki z Wyndhamem w jego sypialni - wyjaśniła i pociągnęła kolejny łyk porto. -

I w chwili, gdy byliśmy... *in medias res*... właśnie wtedy ten łomot i krzyk... - Śmiech przeszkodził jej w mówieniu. - I cała ta sadza wałaca z kominka - wykrztusiła. - Wypełniła cały pokój, spadała jak brudny, czarny deszcz na całe łóżko...

- Przestań! - krzyknął, wałąc pięścią w stół. Płomienie świec zadrżały, srebra zadzwoniły.

Octavia przerwała, wpatrując się w niego. Twarz miał śmiertelnie bladą, usta wykrzywione wściekłością. Poczula drżenie.

- To było bardzo śmieszne - powiedziała, nie pojmując jego gniewu. - Szkoda, że nie widziałeś Philipa, w samych kałesonach, kompletnie ogłupiałego... - mówiła znów przez śmiech, choć wszystko to zmieszane było z wewnętrznym drżeniem i ze ściskaniem w gardle.

Krzesło Ruperta przewróciło się. Pochylił się i chwycił Octavię za ramiona, prawie ciągnąc ją przez stół i potrząsając nią.

- Przestań! - syknął wściekłym szeptem, jeszcze bardziej przerażającym od poprzedniego ryku.

- Na litość boską! Przestań się śmiać!

Ona jednak zdawała się nie móc przestać. Łzy ciekły jej po policzkach, a śmiech wzbierał w niej ciągle, aby znów wybuchnąć w kolejnym napadzie wesołości. Trząsał ją dopóty, dopóki nie straciła tchu, a jej ciało stało się bezwładne w jego rękach. Wtedy puścił ją, a ona osunęła się na krzesło, zgarbiła się, zwiesiła głowę i rozplakała się.

Rupert stał przy stole, zbieleńcami kłykciami wspierając się na blacie i przyglądał się jej, czekając, aż Octavia znów stanie się taka, jaką znał. Niedobrze mu się robiło z bezsilnej wściekłości, kiedy wyobrażał sobie swojego brata *in medias res*. Boże, jak ona może z tego żartować? Żartować na temat jego brata mającego posiąść...

Przycisnął dłoń do ust, przez jedną straszną chwilę zdawało mu się bowiem, że zwymiotuje.

- Czemu mi nie powiedziałaś? - spytał, kiedy zaczęła panować nad swoim oddechem. - Prosiłem, że masz mi mówić o wszystkich swoich poczynaniach dotyczących Wyndhama. Miałaś mnie informować o swoich planach. Miałaś się z nim nie spotykać bez mojej wiedzy.

Octavia z wolna podniosła głowę. W oczach miała wielką pustkę, a kiedy się odezwała, jej głos brzmiał bezbarwnie, jakby powtarzała coś wyuczonego na pamięć. Zastanawiał się, czy w ogóle go słyszała, ponieważ nie próbowała nawet odpowiedzieć na jego pytanie ani zareagować na jego wybuch.

- Już prawie miałam obrączkę. Miał ją w kamizelce. Kamizelkę zdjął i rzucił na podłogę...

- Przestań! - Podniósł dłoń w rozpaczliwej potrzebie przerwania tej recytacji, tego wiru obrazów, których nie mógł znieść.

Ale ona mówiła dalej, jakby go nie słyszała.

- Czekałam na okazję, żeby ją podnieść i kiedy Frank wypadł z komina, pomyślałam, że to jest ta okazja. Ale on zaczął bić chłopca końskim batem i musiałam go powstrzymać, zostawiłam więc kamizelkę. Tak mi przykro. - Bezradnie wzruszyła ramionami, jakby przeproszała go za zgubienie jego chusteczki. - Następnym razem...

Zamilkła, kiedy znów pochylił się nad nią i chwycił ją za ramiona, wbijając jej palce w ciało, z twarzą tuż przy jej twarzy.

- Bądź cicho i słuchaj mnie. Dlaczego nie powiedziałaś mi, co planujesz? Poleciałem ci, żebyś to robiła. Czemu mi się nie podporządkowałaś?

Octavia patrzyła na niego, mrugając. Słowa Ruperta docierały do niej przez mgłę sennego koszmaru.

- Czemu miałabym ci mówić? Ty mi nie mówisz, co planujesz.

- To nie ma nic do rzeczy - powiedział, potrząsając nią gwałtownie dla podkreślenia każdego słowa. - Umówiliśmy się od początku, że będziesz mnie słuchać we wszystkim. Czemu więc teraz złamałaś tę zasadę?

Octavia skrzywiła się, gdyż jego palce boleśnie wbijały się jej w nagie ramiona. Ale jego gniew do niej nie docierał. Spływał po niej jak woda po nasączonej olejem skórze. Nie czuła jego uderki, świadoma tylko swojej własnej. Kiedy jej histeria została opanowana, znów była w stanie odczuwać, jasno myśleć o tym, czego uniknęła o włos. I co zostało zaledwie odroczone.

- Co za różnica, czy bym ci powiedziała? - spytała głosem cichym i pełnym goryczy. - Robiłam tylko to, na co się umówiłam. Wiedziałaś, że to się stanie. Po co miałbyś wiedzieć, kiedy? Chciałaś tu siedzieć i wyobrażać to sobie? - rzuciła mu w twarz porywczo. - O to ci chodziło?

Kupiłeś sobie dziwkę po to, żeby kiedy ona będzie wykonywać swoje zadanie dziwki, czerpać chorą przyjemność z wyobrażania sobie tego?

Skąd brały się te obrzydliwe słowa? Sączyły się z jej ust jak jad żmii, a ona sama nie wiedziała, jak i dlaczego. Nie wiedziała, że mogłaby coś takiego kiedykolwiek pomyśleć. Ale jakiś wrzód został przecięty i trucizna wypływała niepowstrzymana.

Rupert poszarzał na twarzy, przez chwilę niezdolny ani przerwać tej tyrady, ani zdobyć się na odpowiedź.

Octavia zamilkła, równie zaszokowana słowami, które wypowiedziała, jak on tym, co usłyszał. Długie cienie kładły się na stole w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Rupert powoli rozluźnił uchwyt, puścił jej ramiona i się cofnął.

- Jak mogłaś powiedzieć coś takiego? - jego głos brzmiał miękko, słychać w nim było zdumienie, patrzył na nią z głębokim bólem.

- Sam mówiłeś na początku, że tylko moje ciało będzie uczestniczyć w tej transakcji, że mój umysł i uczucia nie będą zaangażowane. Tak jest z dziwką - powiedziała bezbarwnym tonem. - Zatrudniłeś dziwkę. A czemu miałbyś myśleć inaczej? Po tym, jak bezwstydnie znalazłam się w twoim łóżku?

Odwróciła głowę od przeszywającego spojrzenia szarych oczu, nagle wyczerpana wybuchem uczuć, których aż do tej chwili nie ubierała w słowa, nawet w najtajniejszych głębinach duszy.

Rupert wziął głęboki, urywany wdech.

- Nie było nic bezwstydne w tej pierwszej nocy, Octavio.

- Oczywiście, że było. Zachowałam się jak ladacznica. Oboje wiemy, że gdyby nie to, nigdy byś mi nie zaproponował, żebym uwiodła twojego wroga.

Rupert przecesał palcami włosy, burząc ciemnobrązowe loki, ufryzowane nad czołem. Podeszedł do okna i stał tam przez chwilę, wpatrując się w szybko zapadający zmierzch.

Octavia wciąż siedziała przy stole, zastanawiając się, czy rzeczywiście chciała powiedzieć to, co powiedziała. Choć zachowała się bezwstydnie tamtej pierwszej nocy, nie żałowała tego. Zanim zdążyła przełożyć swoje myśli na słowa, Rupert przerwał milczenie.

- Nie miałaś nic wspólnego z tym, co się wydarzyło Pod Królewskim Dębem.

- Jak możesz tak mówić? Oczywiście, że to ja sprawiłam. Sam mi powiedziałeś, że cię zaprosiłam.

- Tak zrobiłaś, ale nie odpowiadałaś za swoje czyny - powiedział beznamiętnie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w podkradającą się noc.

- Nie wiem, co masz na myśli. - Octavię ogarnął nagły chłód. Dłonie miała lodowate. Wyczuwała w pokoju obecność czegoś paskudnego, gorszego od jej własnych słów.

- Pamiętasz, jak piłaś poncz? - spytał, nadal bezbarwnym tonem.

- Tak. -Niespokojnie dotknęła swojej szyi, patrząc spod zmarszczonych brwi na odwróconego tyłem Ruperta.

- Może nie pamiętasz, że brakowało ci w nim mielonych goździków?

- Owszem, pamiętam. - Niepokój narastał, wypełniając kąty pokoju na równi z wieczornym mrokiem.

Odwrócił się. Jego twarz była blada na ciemnym tle okna, oczy prawie srebrne.

- W goździkach była pewna substancja, służąca temu, byś się rozluźniła, pozbyła się zahamowań... by wyzwolić twój erotyzm.

Octavia wpatrywała się w niego. Pamiętała to szczególne uczucie podniecenia, niepokoju, dryfowania w cudownym, zmysłowym świecie, bez prze szkód stawianych przez umysł, bez emocjonalnych barier. Noc miłości ze snu.

- Podałeś mi narkotyk? - spytała ostrożnie, jakby nie rozumiejąc.

- Tak.

- Ty... ty mnie zgwałciłeś.

Rozłożył ręce w geście, który mógł być zarówno zaprzeczeniem, jak i potwierdzeniem.

- Można tak powiedzieć.

- Ale dlaczego? - Jej głos był ledwo dosłyszalny, choć pełen rozpaczliwego napięcia.

Rupert wrócił na swoje miejsce przy stole. W świetle świec jego rysy nabrały ostrości, wokół ust i oczu pojawiły się nagle głębokie bruzdy.

- Potrzebowałem twojej współpracy - oznajmił po prostu. Mógłby pomyśleć o łagodniejszej formie wyłożenia jej sprawy, ale dość już miał oszukiwania jej. - Musiałem jakoś cię ze sobą związać. Pokazać ci drugą stronę, twojej natury.

- Rozumiem. - Octavia napiła się porto. Może to rozpuści bryłę w jej gardle, może ulży uciskowi w piersi. - I udało się, prawda?

Sięgnął po jej rękę leżącą nieruchomo na stole, ale ona wyrwała mu ją, jakby cofała się przed rozpalonym żelazem.

- Proszę cię, abys mi uwierzyła, że nie myślałem w tych kategoriach, odkąd to zaczęliśmy.

- Nie wiem, czemu miałyby to stanowić jakąś różnicę - powiedziała bezbarwnym głosem. Chciała płakać i krzyczeć i ciskać przedmiotami. Chciała wydrapać mu oczy. Jej lodowate dłonie drżały od siły pragnienia uczynienia mu krzywdy.

Wstała, odsuwając krzesło tak gwałtownie, że zazgrzytało o dębową podłogę.

- Wybacz, myślę, że pójdę się położyć. Skoro takie to dla ciebie ważne, poinformuję cię o terminie mojej następnej schadzki z twoim wrogiem.

- Octavio...

Ale ona już odeszła w szeleście jedwabi, zatraskując za sobą drzwi.

Rupert wyrzucił z siebie potok wszystkich znanych sobie plugawych przekleństw. Potem nalał sobie wina i pił w ponurej ciszy. Fakty były druzgocące i nie miał pojęcia, jak je złagodzić. Jeśli Octavia nie będzie umiała mu wybaczyć, nic się nie da zrobić. Nic, poza zwolnieniem jej z podjętego zobowiązania.

Wstał od stołu i wyszedł z jadalni. Przed drzwiami Octavii przystanął i już podniósł rękę, żeby zapukać, jednak w ostatniej chwili postanowił nie ryzykować, że spotka się z odprawą. Wziął za klamkę i wszedł bezceremonialnie.

Octavia siedziała pod oknem, wciąż w swoim eleganckim stroju, a kiedy odwróciła głowę na dźwięk otwieranych drzwi, zobaczył, że oczy ma pełne łez, policzki mokre.

- Ach, słodczy - powiedział z czułą naganą, spiesząc ku niej z wyciągniętymi ramionami, aby ją utulić.

- Nie dotykaj mnie! - zawołała, osłaniając się przed nim uniesionymi rękami.

Zatrzymał się natychmiast. Stał tak i patrzył na nią czując bezradność, jaką zawsze czuł w dzieciństwie wobec złośliwych machinacji swojego brata bliźniaka. I nie potrafił pozbyć się wstrętnej myśli, że to, jak postąpił z Octavią, było czynem na miarę Philipa.

- Nie dotknę cię - powiedział po chwili. - Przyszedłem tylko powiedzieć ci, że nasza umowa już cię nie obowiązuje. Ja ze swej strony dotrzymam tego, co ci obiecałem, ale ty nie musisz już nic robić. Jeśli chcesz się stąd wyprowadzić, urządzę cię gdzieś z ojcem, dopóki nie odzyskacie waszego majątku. Jeśli zechcesz tu pozostać do zakończenia sprawy z Rigbym i La crossem, niczego od ciebie nie zażądam.

Octavia pokręciła głową. Kiedyś dałaby wszystko, żeby usłyszeć te słowa, ale to było wtedy, kiedy wierzyła, że mogą płynąć z wolnej woli, z szacunku i uczucia do niej. Teraz wymusiły je na nim wstyd i skrucha - jeśli w ogóle był zdolny do takich uczuć. Chciała, żeby ten wstyd stał się dla niego cierpieniem.

- Nie. Nie wycofam się z moich zobowiązań. Odbiorę tę obrączkę Philipowi Wyndhamowi, tak jak się umówiliśmy. Jesteśmy związani kontraktem, ale od tej pory to wszystko, co mamy ze sobą wspólnego, panie.

Twarz miała stężoną głos równy, oczy zimne. Łzy wyschły, z wyjątkiem tych, które płynęły w głębi serca rozdieranego cierpieniem żalu i zdrady. Ale tych łez nie było widać.

- Doskonale - powiedział Rupert cicho. Zranił ją i w tej spółce utracił wszelkie prawa. Nie miał już nic do powiedzenia na temat pierwszej nocy Pod Królewskim Dębem. Mówił sobie, że poświęcił wiele lat, by dojść do tego miejsca i że bliski jest moment, kiedy Philip Wyndham znów stanie twarzą w twarz ze swym bratem bliźniakiem. Jeśli Octavia nadal jest zdecydowana odegrać swoją rolę, przyjmie jej pomoc w tym samym duchu, w jakim została mu ona narzucona. Już wie, jak osiągnąć cel, nie angażując jej zanadto.

- Ale obierzemy inny kurs - powiedział rzeczowym tonem, celowo obojętnym, by ukryć ból. Nie miał prawa przelewać na Octavię własnego żalu. - Już kilka dni temu postanowiłem zmienić plan. Gdybyś mnie powiadomiła, twoja schadzka nie byłaby potrzebna.

- Wybacz, ale skoro nic nie wiedziałam, trudno mnie winić - zauważyła z gorzkim sarkazmem.

- Wręcz przeciwnie. Gdybyś trzymała się moich instrukcji, dowiedziałabyś się - oznajmił tym samym, autorytatywnym tonem. Zarys jego warg wyrażał zdecydowanie. - Niemniej - uniósł dłoń, kiedy tylko otworzyła usta, aby zaprotestować - co było, minęło. Teraz zwabisz Wyndhama na wrzosowisko Putney, gdzie ja będę na niego czekał.

- Obrabujesz go?

- No właśnie.

- Ale on może cię rozpoznać.

- Nie rozpozna.

- Mimo to narazisz się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Nie większe od tego, do jakiego przywykłem. A tobie nic nie będzie grozić. - Kiedy nie odpowiedziała, skłonił się i podszedł do drzwi. - Dobranoc, Octavio.

Drzwi zamknęły się za nim, a ona spojrzała na swoje dłonie zaciśnięte w pięści. Czy on naprawdę postanowił przed całą tą katastrofą zmienić plan, aby nie wymagać od niej takiego poświęcenia?

Ale nawet jeśli tak, jakie to miało teraz znaczenie? Jakie to mogło mieć znaczenie w świetle jego wyznania? Mężczyzna, który mógł działać tak podstępnie, zdolny jest do wszystkiego.

18

Dorożka zwolniła a następnie zatrzymała się u zbiegu Gracchurch Street, Eastcheap i Cannon Street. Siedzący w środku Dirk Rigby i Hector Lacross, jednocześnie sięgnęli do rękojeści swoich szpad, kiedy ochryple okrzyki wznoszone przez nadciągający ulicami tłum stały się głośniejsze. W oknach dorożki po obu stronach pojawiły się rozmaite twarze: okrągłe i pociągłe, pijackie, wykrzywione złością i odświętnie roześmiane.

- Precz z papieżem... Precz z papieżem! - Okrzyki wznosiły się nad pasażerami dorożki, urastały w parnym powietrzu wczesnego lata w jeden wielki chór. Tłum napierał, dorożka się zakotłosała.

- No, no, może być kiepsko - mruknął Hector, na wpół dobywając szpady.

- Nie, nie rób tego - czym prędzej powstrzymał go Dirk. - To ich tylko sprowokuje. - Opuścił okno. - Precz z papieżem, dobrzy obywatele! - ryknął, machając ręką do tłumu. - Żadnego zmiłowania dla katolików. Precz z papieżem!

Jego deklaracja została powitana pomrukiem uznania.

- Przepuście ich! - zawołał ktoś. Dorożkarz wychylił się z kozła.

- Precz z papieżem! - krzyknął ile sił w płucach.

Pomruk uznania rozległ się znowu i tłum rozstał się nieco, popychając się i potracając, aby utworzyć wąski przesmyk, przez który przestraszone konie mogły pociągnąć dorożkę w kierunku mostu Londyńskiego. Dorożkarz strzelił z bata, konie ruszyły z kopyta i znaleźli się poza cizbą ale gniewne, rytmiczne skandowanie niosło się za nimi przez most.

Hector rozparł się na siedzeniu, ocierając spocone czoło perfumowaną chusteczką.

- Szumowiny. Myślą sobie, że kim oni są, żeby zatrzymywać lepszych od siebie?

Dirk podciągnął z powrotem okno. Powietrze we wnętrzu dorożki było ciężkie, ale smród Londynu w południowym słońcu dokuczał mu znacznie bardziej.

- Powinni użyć wojska... wtrącić lorda George'a do więzienia - oświadczył. - Ten człowiek jest szalony... to wariat.

- Ale wie, jak wzniecić zamieszki - zauważył Hector. - Gdziekolwiek się znajdzie, wszędzie jest to samo. Ludzie tłoczą się, żeby go posłuchać i wychodzą z tych zebrzań jako żarliwi antypapiści.

Dirk skrzywił się, ale nic na to nie odpowiedział. Wyjrzał przez okno. Magazyn z czerwonej cegły wznosił się przed nimi nad oleistymi, szarymi wodami Tamizy płynącymi leniwie. W blasku słońca powierzchnia rzeki wydawała się żółta. Dorożka zjechała z mostu i skręciła na dziedzińcu, po czym zatrzymała się przed okutymi żelazem drzwiami. Obaj pasażerowie wysiedli i się rozejrzeli. Było spokojne popołudnie, takie samo jak wtedy, kiedy dwukrotnie przyjeżdżali tu poprzednio. Ostatnim razem uczestniczyli w zebraniu inwestorów Thaddeusa Nielsona. Teraz zostali zaproszeni na nadzwyczajne zebranie, zwołane w celu omówienia niecierpiących zwłoki spraw, dotyczących projektu budowlanego na Acre Lane.

- Mam czekać, panowie? - Dorożkarz pochylił się na kozle i splunął brązową od tytoniu śliną do rynsztoka biegnącego przez środek brukowanego dziedzińca.

- To nie potrwa dłużej niż pół godziny - powiedział Hector, z niesmakiem odsuwając się od rynsztoka.

- Ma się rozumieć. - Dorożkarz rozsiadł się na kozle i wyjął fajkę z wewnętrznej kieszeni obszernej kapoty. - Miejmy nadzieję, że ta rozróbka do tej pory się skończy. - Zapalił cuchnący tytoń. - Z tego wszystkiego będą tylko kłopoty, wspomnicie moje słowa - obwieścił. - Ten cały lord George Gordon tak to nakręca, że ani chybi wszystko trzaśnie - dodał. - Wybaczą panowie, że ja tak bez ogródek.

Żaden z pasażerów nie raczył mu odpowiedzieć, odwrócili się tylko i stąpając ostrożnie w swoich lśniących butach między śmieciami zalegającymi podwórze, ruszyli ku drzwiom.

Ned otworzył na ich pukanie, mrugając osłepiony słońcem, za nim rozciągała się mroczna przestrzeń.

- A, jesteście - stwierdził, wskazując kciukiem w górę. - Jesteście ostatni. Pan czeka na was na górze.

Rigby i Lacross, posłuszni rozkazującemu gestowi kciuka, wyminęli starucha i weszli do znanego już z wcześniejszych wizyt wnętrza. Trzask wielkich, żelaznych drzwi rozszedł się echem. W środku panowały zimno i wilgoć jak zawsze, choć był koniec maja.

Ned, wysoko trzymając lampę, wyprzedził ich i poprowadził ku kręconym, żelaznym schodom. Przez całą drogę mamrotał i marudził pod nosem, zatrzymując się co chwila i kichając, kiedy przy każdym kroku spod stóp unosił się tuman kurzu.

- Teraz już wiecie, jak dalej - powiedział u szczytu schodów, pociągając nosem, który otarł rękawem.

Hector ostrożnie postąpił do przodu, Dirk tuż za nim i w chybottliwym świetle lampy olejowej drobnymi kroczkami dotarli do drzwi na końcu podestu. Hector załomotał pięścią. To wojownicze pukanie dodało mu odwagi, chwycił więc za klamkę i otworzył drzwi z wielką pewnością siebie.

- Ach, pan Lacrosse... czy pan Digby również przybył... a, jest za tobą, panie. Jak to dobrze, że przyszlście. Proszę, wejdźcie... wejdźcie... napijcie się wina. Pamiętacie oczywiście pozostałych inwestorów.

Thaddeus Nielson podszedł do nich rozpromieniony, wyciągając ręce w mitenkach na powitanie. Miał na sobie frak z wytartego, szarego aksamitu z czarną moleskinową kamizelką i poplamioną chustkę zawiązaną w węzeł na koszuli bez kołnierza. Uśmiechnął się szerzej, a postrzępiona szrama uniosła kącik jego ust.

Na cześć gości założył potarganą perukę, która siedziała mu na głowie krzywo, ale pomimo tego niegodnego wyglądu było w nim coś, co budziło respekt w obu gościach. Błysk w szarych oczach, które wydawały się trochę zbyt młode i przenikliwe, postawna figura, pomimo lekko przygarbionych ramion.

Wokół stojącego pośrodku pokoju stołu z surowych desek siedziało czterech niemłodych już dżentelmenów, którzy zdawali się drzemać, ale jak jeden mąż skinęli głowami i wymamrotali coś na powitanie nowo przybyłych, którzy zajęli dwa wolne miejsca. Hector, zanim usiadł z grymasem, strzepnął chusteczką kurz z krzesła.

- Wina, panowie - zaproponował jowialny gospodarz, napełniając dwa brudne kieliszki z zakurzonej butelki i stawiając je przed nimi na stole. Następnie dolał wina pozostałym gościom. - Zatem przejdźmy do porządku obrad.

- Powiedz nam tylko, gdzie podpisać, Thaddeus. Nie potrzebujemy żadnych zawiłych wyjaśnień - burknął najstarszy ze zgromadzonych w swoją długą białą brodę.

- A i owszem, życie bym ci powierzył - oznajmił drugi, waląc otwartą dłonią w stół. Stół zatrzęszczał, kieliszki zadrżały.

Gospodarz spojrział na niego ostrzegawczo spod sennie opuszczonych powiek, spojrzenie to dostrzegł tylko ten, do którego było ono skierowane. Aktor nadmiernie szarżował, przez co tracił wiarygodność.

- Ależ bankierze Moran, to dla mnie wielki zaszczyt - wycedził Thaddeus i napił się wina. - Ale nie mógłbym wziąć twoich pieniędzy bez pełnego wyjaśnienia sytuacji.

- Nie, oczywiście, że nie - zreflektował się fałszywy bankier. - Co to ja mówiłem... co ja miałem powiedzieć... - dodał i pokrył zmieszanie kaszlem, po czym wsadził nos do kieliszka.

- Cóż to za pilna sprawa, Nielson? - zapytał Hector opryskliwie. - Potrzebujesz więcej pieniędzy, tak?

Thaddeus pogłaskał się po brodzie w zamyśleniu.

- Cóż, tak jak już wyjaśniłem przed waszym przybyciem, jest to dość skomplikowane. Zaistniały drobne trudności w funduszu, w który zainwestowałem wasze, że tak powiem, jajeczka do wysiedzenia. Obiecywali siedem procent, ale w tym kwartale będą płacić tylko pięć procent.

Rozejrzał się po siedzących przy stole, nie wykazując w najmniejszym stopniu zatroskania tą rewelacją. Wszyscy jego słuchacze, z wyjątkiem Hectora i Dirka, przejawiali podobną beztróskę.

- Jakże to może być? - spytał Dirk, marszcząc czoło w mroku i zastanawiając się jednocześnie, dlaczego ten człowiek nie otwiera okiennic od strony rzeki, żeby wpuścić choć trochę naturalnego światła. Było coś nieprzyjemnego, wręcz złowróźbnego, w siedzeniu w ciemnej, wilgotnej jaskini w ten ciepły, słoneczny dzień.

- Fundusze na giełdzie zawsze podlegają wahaniom rynkowym, czyż nie tak, panie Moran?
- Właśnie tak... jak najbardziej - potwierdził bankier.
- Nie ma się czym martwić - odezwał się trzeci inwestor, ziewając nieudolnie. Odziany był wspaniale, w karmazynowy atłas ze złotymi guzami i perukę. Hector patrzył na niego z szacunkiem.
- Jesteś co do tego przekonany, lordzie sędzio Greenaway.
- O, bez wątplenia, chłopcze... bez wątplenia- potwierdził sędzia, ziewając znowu. - Co myślisz, Bartram? - Trącił w bok swojego milczącego do tej pory sąsiada.
- Cóż, nie znam się na tym - powiedział uroczyście pan Bartram, masując się po kanciastej brodzie. Był chudziutki i ze swoją łysiną widoczną spod zsuwającej się peruki przypominał szpilkę ze szklanym łebkiem. - Wydaje mi się, że jeśli obiecywano nam siedem procent, a dostaniemy pięć, to jest powód do zmartwienia. Oznacza to, że nasz Thaddeus ma mniej środków na budowę... nasz wkład jest mniejszy. Rozumiecie, o co mi chodzi? - Rozejrzał się, mrugając jak stara, mądra sowa.
- Tak, masz całkowitą rację, Bartram - poparł go natychmiast Thaddeus. - W rzeczy samej, oznacza to ograniczenie waszej inwestycji, co mnie stawia w sytuacji braku gotówki na dokończenie projektu.
- Sięgnął za siebie po kolejną butelkę wina. Korek był już wyciągnięty wcześniej, teraz więc podsunął tylko butelkę sędziemu Sądu Najwyższego.
- Jeszcze kieliszek, drogi przyjacielu.
- Świetnie... doskonale- powiedział sędzia, zacierając ręce.- Czegóż więc oczekujesz od nas, chłopcze?
- Kolejnych dwudziestu tysięcy od każdego - ze spokojem odparł Thaddeus. - Dzięki temu będę mógł dokończyć domy na Acre Street i rozpocząć następną budowę. Mam sześciu klientów na nowe domy, panowie. Aż się ślinię, żeby zamieszkać w takiej rezydencji stosownej dla poważnego obywatela z powiększającą się rodziną i zapewnić sobie dzięki temu pozycję w interesach. - Uśmiechnął się, a jego szrama zadrgała. - Powab towarzystwa jest przemożny dla tych, którzy jeszcze nie mogą do niego aspirować. Ale wielki dom, dobrzy gubernatorzy, Eaton i Harrow dla chłopców... tak rodzi się dynastia. - Podkreślił swoje słowa szerokim gestem. - Czemu nie mielibyśmy zaspokoić próżności nuworyszki?
- Ale jaką mamy gwarancję, że z tymi dwudziestoma tysiącami nie stanie się to samo, co z naszą poprzednią inwestycją? - spytał Dirk, napełniając swój brudny kieliszek.
- Och, trochę wiary, panie - zaprotestował sędzia Greenaway. - Trudno winić Nielsona za spadek na giełdzie w tym miesiącu. Wszak, jak wszyscy wiemy, fortuna kołem się toczy. W przyszłym miesiącu będzie dziesięć procent czy coś koło tego.
- Niestety, ja nie mogę czekać do przyszłego miesiąca z zakupem materiałów na wykończenie właśnie budowanych domów - wyjaśnił Thaddeus. -Jeśli nie wykończymy ich zgodnie z planem, stracimy naszych klientów. A jeśli stracimy naszych klientów, będziemy zmuszeni zwrócić im zadatki... a to, panowie, mogłoby być nieco niezręczne w chwili obecnej.
- Dla ciebie - stwierdził Dirk. - Ale nie dla nas. To nie nasza sprawa, czy ty masz pieniądze na spłacenie ich, czy nie.
- No cóż, obawiam się, że także wasza - powiedział Thaddeus, przysuwając do siebie stertę papierów. - Z pewnością przeczytaliście kontrakt przed jego podpisaniem, panowie. Stwierdza się tu, czarno na białym, że jesteście członkami konsorcjum i odpowiadacie wszyscy razem i każdy z osobna za dotrzymanie warunków zawartych umów budowlanych.
- Podsunął dokumenty Hectorowi i Dirkowi.
- Proszę, odświeżcie swoją pamięć, panowie.
- Obaj wpatrywali się w mroku w trudne do odczytania pismo. Hector niecierpliwym ruchem przysunął świecę, chlapiąc sobie woskiem palce.
- Niech to szlag! - Złapał jeden z dokumentów i zbliżył go do płomienia świecy. - Czyli jeśli ty nie wywiążesz się ze zobowiązania, my wszyscy skończymy we Fleet? - wykrzyknął.
- Panowie... panowie - powiedział Thaddeus łagodnie. - Nie desperujcie. Nic takiego się nie stanie. To przejściowe trudności. Potrzebuję tylko dopływu funduszy, aby wypełnić lukę, zanim domy nie zostaną ukończone. Wtedy nabywcy zapłacą za nie i wszystko będzie w porządku.
- Ale te następne dwadzieścia tysięcy. Nie zamierzasz włożyć ich w fundusz? - spytał

zaniepokojony Dirk.

- O nie, nie ma na to czasu - wytłumaczył Thaddeus. - Te pieniądze zostaną spożytkowane natychmiast, abyśmy nie musieli odstąpić od umów z naszymi klientami. Nie musicie się obawiać, że stracie choćby pensa.

Dirk podrapał się w głowę. Brzmiało to rozsądnie i wszyscy z wyjątkiem Hectora z niezmaconym spokojem potakiwali głowami.

- Co o tym myślisz, Lacross?

- Nie sądzę, żebyśmy mieli wybór - odparł Hector zwięźle. - Lepiej, żeby to nie były stracone pieniądze.

- Drogi panie, obrażasz mnie - Thaddeus Nielsen zniżył głos prawie do szeptu. Jego naznaczona blizną twarz miała taki wyraz, że Hector mimowolnie cofnął się jak przed atakiem kobry. - Chyba nie kwestionujesz mojej wiarygodności, panie Lacross?

- Oczywiście, że nie kwestionuje, Thaddeus - wtrącił się bankier, serdecznie klepiąc Hectora po ramieniu. - Powiedziałbym, że nie ma doświadczenia z funduszami, giełdą i tym podobnymi. Powiedziałbym nawet, że nie wie nic o oprocentowaniu - uśmiechnął się przyjaźnie do Hectora. - Nowicjusz w interesach, prawda, drogi panie?

Hector wciąż starał się odzyskać równowagę po przerażającym zetknięciu się z tym jakże innym Thaddeusem Nielsonem.

- Być może - wymamrotał, wierząc się na krześle. - Ale przede wszystkim nie mam teraz dwudziestu tysięcy w gotówce. Będę musiał zastawić część majątku tytułem zabezpieczenia. Sądzę, że wasz bank wyda pieniądze pod zastaw.

- Jestem w takiej samej sytuacji - powiedział Dirk.

- Och, to zupełnie naturalne - zapewnił sędzia Greenaway. - Cały czas tak robimy, prawda przyjaciele? - zachichotał. - Trzeba podejmować ryzyko w tej grze, moi drodzy. To rzeczywiście przypomina hazard.

- W istocie nim jest - wtrącił się ochoczo Dirk. - Zupełnie jak hazard. Ktoś podejmuje zakład, wyklada gotówkę i patrzy, co wyjdzie.

Hector posłał mu spojrzenie dalekie od sympatii.

- Różnica jest taka, że w tym wypadku możemy gnić w więzieniu dla dłużników.

- To samo może się zdarzyć przy stole do gry - odparł Dirk, lekceważąco wruszając ramionami. - Sam kiedyś spędziłem noc we Fleet.

- Panie Rigby, masz duszę prawdziwego inwestora. - Thaddeus pochylał się i napełnił jego kieliszek. - Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. I zapewniam was, że ja jeszcze nigdy nie przegrałem. Ani też żaden z obecnych tu dżentelmenów. - Rozejrzał się wokół, szukając potwierdzenia i otrzymał je w formie żywiołowych zapewnień. - Zatem czy możemy wypić za następny etap naszego projektu? - Thaddeus wznosił kieliszek, uśmiechając się przyjaźnie, a Hector powątpiewał, czy rzeczywiście widział kobrę czającą się za tą zniekształconą przez szramę fasadą.

Siedzący wokół stołu wznieśli swoje kielichy, Hector z ociąganiem poszedł w ich ślady.

- No dobrze, sporządzą stosowne dokumenty - zaoferował się bankier. - Czy ten twój człowiek może dostarczyć papier i pióro?

- Och, mam wszystko tutaj w biurku. - Thaddeus wstał od stołu i podszedł do wysłużonego, dębowego biurka. Wydobyl papier, kałamarz i gęsie pióro, i wszystko to złożył przed bankierem Moranem. - Wszystko dla twej wygody, drogi panie.

Usiadłszy z powrotem, zajął się nabijaniem fajki z długim cybuchem, którą następnie zapalił. Rozparty na krześle pykał spokojnie fajkę, podczas gdy materiały piśmienne krążyły między zebranymi, a gotowe dokumenty bankierskie składano przed nim, w rozmaity sposób wyrażając zadowolenie.

Dirk i Hector także spisali dokumenty, każdy z nich zastawiał swoją część Hartridge Folly, które nadal pozostawało ich wspólną własnością, jako że żaden nie miał pieniędzy, by spłacić drugiego.

Thaddeus przyjął listy zastawne z uśmiechem podziękowania. Trzymając przechyloną świecę nad podpisami, poczekał, aż nakapie na nie stopiony wosk, po czym podsunął je Rigby'emu i Lacrossowi z uprzejmym uśmiechem.

- Zechciejcie przypieczętować swoimi sygnetami, panowie... a lord sędzia Greenaway

poświadczy.

- Nikt inny tego nie robi - zauważył Hector.

- Ale od nich dostałem dokumenty bankierskie - wyjaśnił Thaddeus jedwabistym głosem. - A w waszym wypadku będę musiał przekonać moich bankierów, aby wypłacili mi pieniądze na podstawie waszego zabezpieczenia. Przypieczętowane i poświadczone podpisy są koniecznością, co rozumiecie, jak nie wątpię.

Po chwili wahania Hector odcisnął swój sygnet w wosku na liście zastawnym. Dirk uczynił to samo. Wyraz twarzy Thadeussa Nielsona pozostawał niezmiennie przyjazny. Sędzia Greenaway z pomrukiem zadowolenia poświadczył podpisy i dokumenty wróciły do Thaddeusa Nielsona.

- Dziękuję, panowie. Muszę przyznać, że interesy z wami to istna przyjemność.

Złożył ostrożnie papiery, schował je do szuflady biurka i przekręcił wielki, mosiężny klucz, który umieścił w kieszeni.

- Jeszcze kieliszeczek, by uczcić to miłe wydarzenie. - Znów napełnił kieliszki.

Hector odsunął się od stołu, ogarnięty nagłą chęcią opuszczenia tej ciemnej, pełnej kurzu nory. Jeszcze jedna dawka burgunda w brudnym kieliszku była ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, ale kiedy już miał się żegnać, sędzia zwrócił się do niego z uprzejmym pytaniem o jego doświadczenie parlamentarne, dał się więc wciągnąć w rozmowę z człowiekiem, którego pozycja w świecie wymagała najwyższego szacunku.

Hectorowi pochlebiało to, że sędzia Greenaway słucha z uwagą jego wywodów na temat życia i znaczenia członka parlamentu ze stronnictwa wigów reprezentującego okręg wyborczy Broughton. Dirk z kolei wdał się w rozmowę z bankierem na fascynujący temat wyścigów konnych i pogoni za lisem, dowodził też wyższości Quorn nad Beaufort lub odwrotnie.

Thaddeus Nielson obracał nóżkę kieliszka pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, patrzył i słuchał, ciężkie powieki przesłaniały przenikliwe spojrzenie szarych oczu, jakby napawał się gratulacjami, zapominając o wszelkich możliwych niepokojach w miłym towarzystwie poważanych osób.

Dirk zerknął na gospodarza i pomyślał, że na jego wargach maluje się ironiczny uśmiezek, co jednak z pewnością należało przypisać zniekształcającej je szramie. Biedny człowiek. Co za upiorne oszpecenie twarzy.

- Panowie, wybaczone proszę, ale mam kolejne pilne spotkanie - powiedział w końcu Thaddeus, kiedy rozmowa na moment przycichła. Wstał od stołu. - Ned odprowadzi was do wyjścia. - Podszedł do drzwi, otworzył je i ryknął na starego sługę.

- Idę, już idę. Po co ten pośpiech? - skrzekliwie pomruki dobiegły z korytarza, którym człapał wezwany Ned. - Ten dorożkarz mówi, że czeka jeszcze tylko trzy minuty. I chce swoją zapłatę, jeśli łaska, panowie.

Hector i Dirk wstali.

- Bezczelny kundel - stwierdził Hector.

- Nie wiem, doprawdy, dokąd ten świat zmierza - zgodził się sędzia, kiwając głową i wyglądając karmazynową kamizelkę. - A odkąd Gordon zwołuje te swoje wiece na St George's Field, nie wiadomo, czym to się skończy.

- Ma już tysiące zwolenników, jak słyszałem - powiedział bankier, kierując się ku drzwiom. - Jeśli cała ta hałastra ruszy na Londyn po godzinie słuchania lorda George'a, nikt z nas nie będzie bezpieczny we własnym łóżku.

- Wymalujcie „Precz z papieżem” na swoich drzwiach, a będziecie bezpieczni - podsunął Thaddeus, z trudem kryjąc ziewnięcie. - Miłego popołudnia, panowie.

Sklonił się, a jego goście kolejno ruszyli za Nodem. Drzwi zamknęły się za nimi.

Rupert rozprostował się i podszedł do okiennic. Otworzył je szeroko i zaczerpnął haust ciepłego powietrza znad rzeki, uznając, że gnijące wodorosty i odpadki będą stosunkowo miłą odmianą po zaduchu panującym wewnątrz.

- Poszli, Ben? - odwrócił się na odgłos żwawych, sprężystych kroków Bena.

- Ano, Nick. Powiedziałem Willowi, że rozliczysz się z nimi Pod Królewskim Dębem w sobotę. Rupert uśmiechnął się, pozbywając się swojej fałszywej tuszy.

- Doskonali z nich aktorzy. Kto by przypuszczał. Zwłaszcza Will i Thomas. Will był wspaniały

jako lord sędzia. - Parsknął śmiechem i zanurzył szmatkę w misce z wodą, którą przyniósł mu Ben.
- A Fred i Terence stworzyli idealną parę ospałych staruchów, zadowolonych, że świat toczy się obok nich swoim torem.

- Masz to, czego chciałeś?

- O tak. - Rupert szorował swoją szramę. - Mam dokładnie to, czego chciałem. Za dwa tygodnie nasi przyjaciele otrzymają żądanie zapłaty. Będą szukać Thaddeusa Nielsona. Ale Thaddeus Nielson zniknie z powierzchni ziemi. - Jego usta wykrzywił bardzo nieprzyjemny uśmiech, wzrok był ponury i zimny jak arktyczny krajobraz.

- Czasem myślę, że jesteś wcielonym diabłem, Nick - powiedział Ben swobodnie. - Co oni ci zrobili?

- Nie mnie, Ben.

Ściągnął z głowy perukę, chustkę z szyi, zrzucił wytarty aksamitny frak i moleskinową kamizelkę.

Ben podał mu strój z ciemnoniebieskiego jedwabiu. Powstrzymał swoją ciekawość i nie drążył dalej tematu. Lord Nick miał ten szczególny wyraz twarzy, który znaczył, że nie życzy sobie dalszych pytań.

- Pilnowałeś Morrisa? - spytał Rupert spokojnym tonem, zapinając kamizelkę.

- Wygląda, że jest czysty jak lza. Nigdzie nie chodzi, poza tym co zwykle, z nikim podejrzanym nie gada. Przynajmniej nic takiego nie odkryłem. Dlaczego pytasz? Myślisz znów się wybrać na gościniec?

- Być może - powiedział Rupert, potrząsając ramionami przy wkładaniu fraka. - To sprawa osobista.

- Idziesz na gościniec załatwiać prywatne porachunki? - w głosie Bena wyraźnie pobrzmiwało zdumienie i dezaprobata.

- Tylko ten jeden raz - odparł Rupert, obwiązując wysoki kołnierz koszuli fularem. - Potem będzie mi potrzebna chata.

- Daj mi znać, kiedy.

- Dobrze.

Rupert wyjął z kieszeni spodni wielki, mosiężny klucz, z którym podszedł do biurka. Otworzył je i wyjął dwa listy zastawne. Jutro Lacross i Digby otrzymają od jego bankierów żądanie złożenia w banku tytułu własności. To słuszne żądanie, któremu się podporządkują ponieważ zabrnęli tak daleko, że nie sposób się cofnąć.

Włożył dokumenty do kieszeni kamizelki, następnie spalił w płomieniu świecy dokumenty pozostałych współników. Gra była prawie skończona. A kiedy Octavia zwabi Philipa w zasadzkę na wrzosowisku Putney, będzie po wszystkim.

Popiół z papierów opadł na stół, strzepnął go więc na podłogę. Kiedy Ben podniósł wzrok, ciarki przeszły mu po plecach. Widywał już Lorda Nicka, kiedy był groźny, ale nigdy jeszcze twarz przyjaciela nie wydawała mu się tak ponura.

- Zostawię cię tu, żebyś pozamykał - powiedział Rupert, podchodząc do drzwi, ale ten sam wyraz wciąż malował się na jego twarzy, w przejrzystych, szarych oczach było coś, co bardzo przypominało rozpacz. I wciąż nie znikало, kiedy odepchnął łódkę od stopni, żeby powiosłować na drugi brzeg rzeki, i kiedy podniósł rękę, żegnając Neda.

Zostawiwszy łódkę u stróża przystani Waterside, odebrał konia z tawerny Pod Aniołem. Na ulicach było więcej śmieci niż zwykle, niemych świadków przejścia tłumy, wszędzie wyczuwało się stłumioną atmosferę podniecenia. Mijał wąskie domy stojące w szeregu, ich mieszkańcy gromadzili się na schodach wejściowych, wychylali się z okien.

Ale Rupert nie zwracał uwagi na otoczenie. Nie potrafił cieszyć się powodzeniem dzisiejszego przedstawienia, jego nastroju nie poprawiał szelest dokumentów w kieszeni kamizelki - dokumentów, dzięki którym dom rodzinny Olivera Morgana wróci do prawowitych właścicieli. Był w stanie myśleć tylko o Octavii Morgan na Dover Street, o tym, jak go powita, jeśli ją zobaczy. Jak zawsze uprzejmie, z niezmiennym uśmiechem, ale jej złote oczy będą odległe i nieobecne jak słońce w czasie zaćmienia. Kiedy próbował jej dotknąć, choćby swobodnym, przyjacielskim

gestem, odsuwała się od niego, kurczyła się w sobie, jakby jego dotyk ją brzydził. Przestał więc próbować.

Nie przychodził już do jej łóżka, nie oczekiwał tego ciepłego blasku w jej oczach, tego porywu namietności. Jeśli udało mu się nakłonić ją do podtrzymania rozmowy, uważał się za szczęściarza. Ale już się nie śmiała. Wciąż dźwięczał mu w uszach jej okropny śmiech tamtego upiornego popołudnia - śmiech, który trudniej znieść niż płacz bólu.

Była zraniona. Octavia, jaką znał i kochał, zamknęła się w swojej skorupie, skuliła się, chroniąc swoją ranę jak zwierzę, które próbuje samo się uleczyć. Wszystko to wiedział, nie wiedział tylko, jak przebić się przez tę skorupę.

Zdawało mu się, że potrafi pogodzić się z tą sytuacją. Octavia nadal będzie odgrywać swoją rolę, wywiązując się z umowy, a jemu przyniesie to zadowolenie. Ale nie umiał. Cierpiał wraz z nią, a jego odraza do siebie samego pogłębiała się za każdym razem, kiedy widział w jej oczach ból i sztywność.

Zostawił Petera w stajni i obchodząc dom, podszedł do drzwi frontowych. Pod nieobecność chlebodawców Griffin zazwyczaj nakazywał lokajowi wyglądać ich powrotu, tym razem jednak drzwi nie otworzyły się, kiedy Rupert wszedł na schody. Powód tego zaniedbania stał się jasny, kiedy po wejściu do holu ujrzał scenę kompletnego chaosu.

Pokojówka wrzeszczała u podnóża schodów. Ochmistryni, w fartuchu zarzuconym na głowę, krzyczała do wtóru. Rupert patrzył z niedowierzaniem. Wszyscy jego służący, poczawszy od ostatniego pucybuta, na surowym Griffinie skończywszy, wydzierali się wniebogłosy.

Ogromny bury kot przemknął między nogami Ruperta, odbijając się wszystkimi czterema łapami, wyskoczył w powietrze, w powietrzu zmienił kierunek i pognął przed siebie z nastroszonym ogonem i postawionymi uszami.

- Do wszystkich diabłów! - Rupert zatrzasnął drzwi za sobą. - Griffin, co się tu, u licha, wyprawia?

- To ten huncwot, milordzie. - Pierś Griffina wzdymała się oburzeniem. - Rozpuścił węże i myszy po całym domu.

- Tam jest... och, tam, pod stołem! - Pomywaczka wskazywała drżącym palcem, jej głos wznosił się na granicy hysterii. - To waż... to waż...

- Cisza! - zagrzmiął lord Warwick. - Griffin, każ tym ludziom wracać do pracy, jeśli chcą nadal mieć pracę.

Podszedł do stolika przy ścianie, pod którym czatował kot. Cienki i nieco ospały zaskroniec odpełził w cień, kiedy Rupert się zbliżył.

Kot rozpląszczył się na brzuchu i sięgnął w cień wyciągniętą na całą długość łapą. Pomywaczka zapiszczała znowu i rozpętał się drugi akt pandemonium.

Rupert stracił zainteresowanie dla kota i węża i odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć małą myszkę polną, która przebiegła przez parkiet i znikła w bibliotece o centymetr przed pazurami drugiego kota, tym razem groźnie wyglądającego czarno-białego, z jednym okiem.

- Gdzie jest Frank? - zapytał Rupert, a jego ton, choć spokojny, nie był przez to wcale mniej przerażający.

- Jest tutaj - odezwała się Octavia z podestu schodów. W jej głosie drżała nuta, którą Rupert natychmiast rozpoznał jako śmiech. Serce zatrzepotało mu w piersi na ten dźwięk, którego nie słyszał od tak wielu dni.

- Daj mi go tylko, milady - zaoferował się Griffin. - Wezmę go do stajni, i dostanie taką nauczkę, że popamięta.

- Wątpię, żeby ci się to udało, Griffin - powiedziała Octavia, schodząc po schodach i ciągnąc za sobą Franka. Trzymała go mocno za kołnierz. - Zbyt wiele razy dostał lanie w swoim krótkim życiu, jeszcze jedno nic tu nie zmieni.

- Ja żem nic nie zrobił, panno Tavi! - protestował Frank żywołowo, starając się wywinąć z uchwytu Octavii.

- Owszem, zrobiłeś - powiedziała i podniósłszy go za kołnierz, zestawiała z ostatniego stopnia. W jej oczach tańczyły isierki, linia ust świadczyła o rozbawieniu. - On twierdzi, Rupercie, że papa kazał mu nazbierać węży i myszy na lekcję, w związku z tym zrobił tylko to, co mu kazano.

- A kazano? - Wydawało się całkiem prawdopodobne, że Oliver dał swojemu uczniowi tak dziwaczne zadanie.

- Niezupełnie - powiedziała Octavia ostrożnie. - Miał przerysować węża i mysz z atlasu i podpisać łacińskimi nazwami, ale Frankowi zdawało się, że będzie bardziej realistycznie, a może powinnam powiedzieć zabawniej, jeśli narysuje je z natury.

Wargi Ruperta zadrgały. Frank wciąż szarpał się i wił.

- A jak znalazły się na wolności?

- Wskoczyły z pudełka, panie. To nie moja wina - zapewnił Frank, przekonany o swej słuszności.

- Kłamiesz, ty mały śmieciu! - wybuchnął Griffin. - Specjalnie położyłeś je na podłodze w kuchni, żeby koty je widziały.

- Byłbym rad, Griffin, gdybyś odesłał moją służbę do pracy - powiedział łagodnie Rupert, unosząc brew.

Twarz kamerdynera, już i tak czerwona, stała się ciemnopurpurowa. Skłonił się i dał znak gapiącym się służącym, tworzącym zbiegowisko. W ciągu paru chwil hol opustoszał. Została tylko Octavia, Rupert i milczący teraz, czujny Frank. Oczy chłopca niespokojnie spoglądały to na niego, to na nią, a w miejsce uprzedniej psoty pojawiło się w nich znużenie starca, ten wyraz dostrzegł już wtedy, kiedy po raz pierwszy przybył na Dover Street.

- I co my z nim zrobimy? - spytała Octavia, odskakując na bok przed czarno-białym kocurem, który wypadł z biblioteki.

- Ile ich jest?

- Myszy czy węży?

- Jednych i drugich.

- Cóż, według Franka są trzy węże i cztery myszy. Ale nie wyobrażam sobie, jak mielibyśmy je wyłapać. - Głos jej się załamał i zgięła się wół w napadzie śmiechu.

Rupert słuchał tego dźwięku. Był to cudowny dźwięk, przed którym precz pierzchało wspomnienie innego, upiornego śmiechu.

Frank zachichotał, kiedy Rupert zawtórował Octavii. Nie bardzo rozumiał, dlaczego oboje uważają, że jest to śmieszne. Dla niego było śmieszne, ale doświadczenie nauczyło go, że dorośli nie dzielą jego poczucia humoru. Jednak tych dwoje w najmniejszym stopniu nie przypominało dorosłych, z jakimi kiedykolwiek miał do czynienia. Griffin, ochmistrzyni i kucharka to były znane mu typy ludzkie, ale pan i panna Tavi należeli do zupełnie innego gatunku. A co do starego pryka na górze... najwyraźniej miał nie po kolei w głowie, ale był całkiem nieszkodliwy.

- Ale co my mamy z nim zrobić? - powtórzyła Octavia, kiedy spazm śmiechu minął.

- Podejmiemy decyzję, kiedy odzyska cały ten żywy inwentarz - odparł Rupert, wyciągając z kieszeni chusteczkę. Bez zastanowienia ujął ją pod brodę i zaczął ocierać łzy.

Był to gest tak naturalny w tej chwili serdeczności, że żadne z nich nie zreflektowało się natychmiast. Wtem uśmiech Octavii zbladł, oczy straciły blask. Odwróciła głowę, jego ręka opadła. Gwałtownie zwrócił się w stronę chłopca, głos brzmiał surowo, spojrzenie było groźne.

- Frank, masz złapać wszystkie te stworzenia. Chcę je widzieć z powrotem w pudełku, dopiero wtedy dostaniesz kolację. - Dla Franka nie było silniejszej motywacji niż jedzenie.

Wyraz twarzy chłopca stał się znowu czujny. Zwiesił głowę i skulił się w ramionach, a kiedy Octavia puściła jego kołnierz, prysnął i ukrył się w cieniu, nie chcąc zwracać na siebie uwagi.

- Nigdy ich nie znajdzie w tym domu - stwierdziła Octavia. W jej twarzy i głosie nie było śladu śmiechu. - Mogą być wszędzie... w dziurze w boazerii, pod dywanem.

- Cóż, musi spróbować - uciął Rupert, wchodząc do biblioteki.

- Sądzę, że po prostu wyjdzie na dwór, nałapie następnych i będzie twierdził, że to te same.

Octavia poszła za Rupertem, czując się okropnie, kiedy znów rozdzielił ich znany chłód. Nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby zaproponować rozejmu.

Nie potrafiła wybaczyć mężczyźnie, który podaje jej narkotyk z zimnym wyrachowaniem i wymusza na niej zachowanie, które, jak wierzyła, płynęło z samej jej istoty.

Przechytrzył ją. Oszukał. Zdradził. Nie mogła znieść wstydu i rozczarowania.

- Myślę, że nie będę zbyt szczegółowo badał jego znalezisk - oświadczył Rupert, siląc się na wesoły ton. - Sherry?

- Dziękuję. - Wzięła od niego kieliszek, obdarzając go jednym ze swych uprzejmych, nieobecnych uśmiechów. - Śmiem twierdzić, że czeka nas inwazja myszy, jeśli zaczną mnożyć

się za boazerią.

Jej ton był tak bezbarwny, wysiłek podtrzymania lekkiej konwersacji tak widoczny, że Rupert porzucił temat. Łączyło ich już tylko wspólne przedsięwzięcie, skupił się więc na tym z chłodną rzeczową obojętnością.

- Jak blisko jesteś namówienia Philipa na schadzkę za miastem?
- Od czasu katastrofy z Frankiem zrobił się bardzo ostrożny - relacjonowała takim samym tonem.
- Myślę, że chce się upewnić, czy nie rozgłosiłam tej historii, wystawiając go na pośmiewisko. Ale ja nadal okazuję mu należyte względy, a on wciąż jest zdecydowanie zainteresowany. Powiedz mi, kiedy chcesz, żeby to się odbyło, a sprowadzę go na wrzosowiska.

Co powiedziawszy, odwróciła się i podeszła do okna.

Rupert, sącząc sherry w milczeniu, przyglądał się przez chwilę jej plecom. Nie opowiadała mu już o swoich poczynaniach z jego bratem bliźniakiem, a on nie domagał się sprawozdań. Nie miał już prawa kierować tą operacją.

- Powiedzmy więc, że w przyszłą środę? - zaproponował, jakby planowali zaproszenie gości na herbatę. - Zawiadomię Bena.
- A co ze szpiegiem? - Nie odwróciła się od okna, ale jej palce mimowolnie zacisnęły się na nóżce kieliszka.
- Nie sądzę, żeby był jakiś szpieg.
- Morris?
- Ben jest innego zdania.
- Zatem w przyszłą środę.
- Doskonale.

Odstawił swój kieliszek na stół i wyszedł.

Drzwi zamknęły się za nim cicho. Delikatna nóżka kieliszka trzasnęła między palcami Octavii i kropelka krwi pojawiła się w miejscu, gdzie srebrzyste szkło wbiło się w jej ciało.

Philip Wyndham wysiadł ze swojego faetonu przed Wyndham House i stał przez chwilę, przyglądając się spod zmarszczonych brwi nieznanemu powozikowi, który stał przed drzwiami frontowymi. Było wciąż stosunkowo wcześnie rano i St James's Square jeszcze nie obudził się do życia. Tylko jakiś lokaj wyprowadzał tłustego mopsa na spacer.

Konie powoziku trzymał chłopak, ale hrabiemu Wyndhamowi nie wypadało wypytywać obcego sługi, kto też odwiedza Wyndham House o tak wczesnej porze. Wszedł na schody swojego domu, uderzając się po cholewach batem.

- Kto przyjechał, Bennet? - spytał kamerdynera gnącego się w ukłonie w holu.

- Lekarz, milordzie. Lady Susannah ma krup - wyjaśnił kamerdyner. - Z tego, co mówi niania, wynika, że była bardzo chora przez całą noc. Jej lordowska mość jest wielce zaniepokojona.

Zmarszczka między brwiami Philipa pogłębiła się i zniecierpliwiony wzruszył ramionami.

- Wiele hałasu o nic, jak zwykle. Kobiety zawsze przesadzają w tych sprawach. Nie życzę sobie, żeby cały dom stawał na głowie z powodu chorego bachora. Niech doktor jak najprędzej idzie swoją drogą.

- Tak, milordzie. - Bennet skłonił się jak drewniana kukła, a jego chlebowca udał się do pokoju śniadaniowego w głębi domu.

Philip, wciąż z chmurną twarzą, rzucając okiem na „Morning Post”, zaatakował puc cielęciny i półmisek nerek. Zwyczajny spokój jego domu został w irytujący sposób zakłócony. Słyszał kroki przemykające pod jego drzwiami, podekscytowane głosy, ściszone co prawda, ale nagłące. W końcu wstał od stołu i wyszedł z pokoju akurat w chwili, gdy lekarz ociężałe schodził ze schodów, ze swoją czarną torbą, z kapeluszem pod pachą. Za nim tupała Letitia. Oczy miała zaczerwienione, twarz ściągniętą troską.

- Czy na pewno gorące kompresy pomogą? - pytała. - Biedna dziecina tak płacze, kiedy je nakładamy. Na pewno ją parzą.

- Droga lady Wyndham, jak już mówiłem, u dziecka występuje bardzo poważny przypadek krupu. Grozi zapalenie płuc. - Doktor przemawiał uroczyście, ale i z pewną dozą zniecierpliwienia, starając się przekazać odchodzącej od zmysłów lady Wyndham, aby postępowała rozsądnie. - Kompresy muszą być tak gorące, żeby na skórze wystąpiły pęcherze. Jeśli gorączka dosięgnie płuc, sprawa doprawdy będzie bardzo poważna. Nawet nie jestem w stanie powiedzieć, jak poważna u tak małego dziecka.

- O co tyle krzyku? - Philip zwrócił się do doktora.

- U lady Susannah występuje ciężki przypadek krupu, milordzie. - Lekarz skłonił się, prawie dotykając nosem kolan.

- Och, milordzie, ona tak cierpi - odezwała się Letitia, mnąc w palcach fartuch. Łzy napłynęły jej do oczu. - Niania i ja całą noc zachodziłyśmy w głowę, jak jej ulżyć.

- No dobrze, a teraz doktor udzielił ci porady - powiedział lekceważąco. - Kosztownej porady, jak mniemam - dodał z ironicznym skrzywieniem ust.

- Och, przecież nie będziesz żałował na... - głos uwiązał jej w gardle. Przez moment lęk o bezpieczeństwo dziecka był silniejszy od lęku przed mężem, jednak teraz przeraziła się swojej śmiałości, kiedy Philip popatrzył na nią zimnymi, szarymi oczami. - Wybacz - wyszeptała. - Przepraszam, muszę wracać do pokoju dziecinnego.

Odwróciła się, żeby odejść, ale mąż przywołał ją ostro.

- Czekaj - rozkazał. - Mam ci coś do powiedzenia.

Machnięciem dłoni odprawił doktora.

- Życzę miłego dnia, panie.

- Milordzie... milady. - Lekarz, kłaniając się znowu, pospieszył ku drzwiom, otwartym zawnazą przez kamerdynera.

- A kiedy wasze usługi będą znowu potrzebne, zechciejcie skorzystać z drzwi dla służby jako

stosowniejszych do waszej pozycji. Bennet wskaże drogę.

Doktor najpierw zbladł, a potem jego ziemiste policzki pokrył purpurowy rumieniec. Kamerdyner patrzył przed siebie, przytrzymując drzwi.

Letitia wciąż stała na schodach, kłykcie jej zaciśniętych na poręczu dłoni zbieleły. Philip z pewnością zamierzają skarcić za wezwanie doktora.

Jej małżonek spojrział na nią zimno.

- Nie życzę sobie, żeby w moim domu panował chaos z powodu jakichś problemów z dzieckiem - powiedział, cedząc słowa. - Dopilnujesz, by wszystko, co dotyczy dziecka, ograniczało się do pokoju dziecinnego i tylnych schodów. Kiedy tylko na tyle wydobrzeje, że będzie mogła podróżować, zostanie wysłana do Wyndham Manor. Przypuszczam, że wiejskie powietrze dobrze jej zrobi, a jej nieobecność dobrze zrobi mnie.

Skłonił się krótko i nie czekając na odpowiedź, wszedł do biblioteki. Letitia zaniemówiła na moment, po czym zebrała się w sobie i pobięła za nim.

- Chcesz, abyśmy pojechały do Wyndham Manor przed królewskimi urodzinami, milordzie?

- Dziecko tak - powiedział. - O tobie nic nie mówiłem, madame. Krew odpłynęła z twarzy

Letitii, jej wargi stały się prawie sine.

- Ale... ale ona nie może pojechać beze mnie, milordzie.

- Oczywiście może. Ma wykwalifikowaną opiekunkę. Wziął ze stołu czasopismo, które zaczął kartkować.

- Ale Philipie...- zaczęła Letitia.

Spojrzał na nią z wyrazem znudzonej obojętności.

- Tak?

Letitia przełknęła ślinę. Splatała palce, aż trzeszczały kości. Ten dźwięk zdawał się rozchodzić echem w upiornej ciszy.

- Nie możesz wysłać jej beze mnie - wykrztusiła. - Jest moim dzieckiem. Ja jestem jej matką.

- Czyżbyś kwestionowała moją decyzję, madame?

Jego głos był jak pieszczota skorpiona, a w oczach pojawił się błysk, który Letitia natychmiast rozpoznała z przerażeniem. Był to błysk oczekiwania, że da mu powód, by mógł ją ukarać. Nie potrzebował powodu, żeby ją karać, ale jeśli taki powód się znalazł, tym większą dawało mu to satysfakcję. Cofnęła się.

- Nie, milordzie.

Błysk zamienił się w ogień. Odrzucił czasopismo na stół.

- Jesteś pewna, moja droga? Dla mnie wyraźnie tak to właśnie brzmiało.

- Nie, milordzie. Doprawdy, nie kwestionowałam - mówiła rozpaczliwie, cofając się jeszcze o krok w stronę drzwi.

- Zatem podzielasz moje zdanie, że dziecku będzie lepiej na wsi? - Klepał wierzchem jednej dłoni o wnętrze drugiej. - Bez matki - dodał łagodnie.

- Tak - powiedziała Letitia, nienawidząc się za tchórzostwo, ale wiedziała przecież, że opór jest beznadziejny. Zgniótłby ją jak mrówkę obcasem. -Wybacz mi, panie, ale muszę wracać do dziecinnego pokoju.

Odwróciła się i uciekła, zanim zdążył ją zatrzymać.

Philip zaśmiał się szyderczo i znów wziął do ręki czasopismo. Letitia doprawdy nie była warta zachodu. Pozbawiona kręgosłupa jak robak. Nie to, co Octavia Warwick.

Przed oczami stanęła mu gładka, blada twarz lady Warwick, piwnozłote oczy tak pełne ognia i światła, wspaniałe, cynamonowe włosy. Miała zaskakująco głęboki, dźwięczny głos, tak sugestywny i tak wesoły.

W dodatku zachowywała się z niezrównaną dyskrecją co do katastrofy z kominiarczykiem. Ani razu o niej nie wspomniała. I ciągle darzyła go pochlebającymi mu względami, miała dla niego czułe słówka i sekretne, ulotne muśnięcia, kiedy go mijała, uśmiech figlarny i zachęcający.

Czuł ból w łądźwiach, gdy tylko pomyślał o jej ciele, takim, jakim je widział na chwilę przed tym, zanim posypała się sadza. Tak niewiele brakowało, a obnażyłby jej sekrety, posiadał je.

Czas zaproponować kolejną schadzkę.

Rzucił czasopismo i zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju.

- Natychmiast przyprowadźcie mi konia - rozkazał, pokonując po dwa schody naraz. Była to

modna pora na przejażdżkę po Hyde Parku, czy to wierzchem, czy w powozie. Mógł być pewien, że w taki piękny poranek natknie się na lady Warwick.

Pół godziny później zszedł na dół w stroju do konnej jazdy. Nie uszło jego uwagi, że w domu panuje zadowalający spokój. Pokój dziecinny pozostawał odizolowany. Sprężystym krokiem znów wyszedł w jasne światło poranka i dosiadł swojego eleganckiego, czarnego wałacha. Miasto już wiodło swój żywot, ulice były gwarne, kiedy skręcił do Green Park. W sielankowej scenerii mleczarki doiły swoje krowy i chętnie sprzedawały kubki świeżego mleka spragnionym.

- Dzień dobry, Wyndham - dobiegł go z tyłu miły głos. Głos był miły, ale na jego dźwięk Philip się nastroszył.

Obejrzał się i spostrzegł Ruperta Warwicka zbliżającego się na jedynym w swoim rodzaju, srebrzystym wierzchowcu. Lord Rupert z uśmiechem uchylił kapelusza i skłonił się dwornie.

Philip sztywno odpowiedział na pozdrowienie.

- Warwick.

- Przepiękny poranek - zauważył lord Rupert. - Zawsze mnie kusi, żeby wziąć kubek mleka od jednej z tych wieśniaczek o różowiućkich buziach. Cóż to za uroczy, wiejski obrazek.

Jego towarzysz nic nie odpowiedział, tylko jechał dalej swoją drogą, jakby niezauważając, że musi tolerować towarzystwo człowieka, którego instynktownie nie znosił.

Po minucie zerknął w bok i zaczął ukradkiem przyglądać się spokojnemu profilowi lorda Ruperta. Co w tym człowieku go tak niepokoiło? W jego obecności wyczuwał stale zagrożenie, choć nie potrafił ustalić jego źródła. Philip odnosił wrażenie, że lord Rupert wie coś, czego on nie wie... że zachowuje dla siebie jakąś tajemnicę i że go ten sekret w pewien sposób bawi. Nie jest to jednak miłe rozbawienie, raczej nieprzyjemna niespodzianka.

Philip pokręcił głową, klnąc pod nosem. Niepotrzebnie popada w jakieś niemądre nastroje. Jedyną osobą, którą czeka nieprzyjemna niespodzianka, jest Rupert Warwick. Już niebawem ozdobi go para rogów. Brutalnym kopnięciem zmusił konia do galopu, pozostawiając w tyle niechcianego towarzysza bez słowa pożegnania.

Rupert uśmiechnął się. Jego brat bliźniak zaczynał wyczuwać, że coś jest nie tak. Niech to odczucie się umocni. Poklepał po szyi Lucyfera. W środek zostawi jedynego w swoim rodzaju, srebrzystego wierzchowca w stajni. Przeprowadzi swoją sprawę na wrzosowisku Putney, dosiadając Petera. Nie ma potrzeby przedwcześnie wyklądać kart.

Philip niezauważony obserwował Octavię przechadzającą się alejką w towarzystwie trzech największych służalców ze świty księcia Walii. Dyskretny lokaj podążał za nią niosąc parasolkę i kilka książek z wypożyczalni.

- Dzień dobry, lordzie Wyndham - powitała go Octavia z promiennym uśmiechem. - Czyż to nie piękny poranek?

- Przy twojej urodzie, lady Warwick, poranek błędnie - zawyrokował jeden z członków jej eskorty, uchyłając kapelusza z piórami szerokim, wypracowanym gestem.

- Panie Cartwright, niepoprawny z ciebie pochlebca - odparła Octavia z nikłym uśmiechem. - Czy zechcesz zsiąść z konia i przejść się z nami nieco, lordzie Wyndham?

- Obawiam się, że jeśli komplementy mają być zapłatą za twoje towarzystwo, madame, moja sakiewka jest uboga - odrzekł hrabia zeskakując z siodła.

Ton jego głosu był pogardliwy, a zarozumiały uśmiech oznajmiał, że on jeden wie, iż lady Warwick puste pochlebstwa ma za nic.

- Ależ panie, nie potrzebuję twoich komplementów - powiedziała, przyjmując jego ramię. - Dość mam ich skądinąd. - Uśmiechnęła się do swojego dworu. - Panowie, mam coś niezmiernie ważnego do powiedzenia lordowi Wyndhamowi, proszę więc, byście nam wybaczyli.

- Och, okrutna damo. Przysięgam, że jestem zraniony do żywego - wykrzyknął słabowity, wiotki dżentelmen w kamizelce w złociste pasy i w peruce ufrizowanej w drobne, najeżone loczki. - Być tak brutalnie odprawionym.

Octavia uśmiechnęła się i zamachała mu przed nosem dłonią na pożegnanie.

- Zatańczę z tobą kadryla na następnym balu z karnetami tytułem rekompensaty, lordzie Percivalu.

- A co z nami? - chciało wiedzieć pozostałych dwóch. - Czy nam się nie należy rekompensata?

- Ależ oczywiście - przyznała Octavia słodko. - Dziś wieczorem stanę między wami przy stole do faraona i przyniosę wam szczęście.

Wśród protestów i komplementów eskorta oddaliła się, pozostawiając ją sam na sam z Philipem.

- Zejdźmy na ustronną ścieżkę - zaproponowała. - Inaczej bez przerwy będziemy musieli znosić czyjeś towarzystwo. Basset, możesz tu zaczekać i potrzymać konia lorda Wyndhama. Wrócę za dziesięć minut.

- Tak, milady. - Lokaj przełożył paczki do jednej ręki i z pewną ostrożnością wziął wodze.

- Nie boisz się, że ludzie będą szeptać, jeśli zobaczą że spacerujesz bez przyzwoitki? - spytał hrabia.

- Lordzie Wyndham, ludzie nie mogą już bardziej szeptać - powiedziała, zbacząc na wąską ścieżkę obrosniętą gęstym, laurowym żywopłotem. - Pomyślałam sobie, że może już czas naprawdę dostarczyć im powodu do szeptów.

Powiedziała to tak swobodnie, że w pierwszej chwili nie zorientował się, ale już w następnej na jego twarzy zagościł uśmiech.

- Myślmy podobnie, moja droga.

Rozejrzał się dokoła. Wąska ścieżka była pusta. Szybkim ruchem przyciągnął ją do siebie.

Octavia zniosła pocałunek jak zwykle. Reagowała jak automat. Wydawała stosowne dźwięki zadowolenia, rozchylając wargi pod naciskiem jego ust, obejmowała go ze stosownym entuzjazmem. Teraz było to łatwiejsze... teraz, kiedy wiedziała, że nie będzie musiała dać mu nic więcej poza tą udawaną uległością. Jak zwykle wsunęła dłonie pod jego frak, muskając palcami kamizelkę i jak zwykle wyczuła małe, twarde kółko na wysokości serca.

Philip odsunął się, ujął jej twarz w dłonie i wpatrywał się w nią dzikim, wygłodniałym wzrokiem.

- Przyjdiesz do mojego domu.

- Nie - powiedziała pospiesznie, kręcąc głową. - Nie, mój drogi. Uważam, że lepiej byśmy mieli swoje własne miejsce. Gdzieś, gdzie będziemy mogli być sobą... cieszyć się sobą... - oblizła wargi - cieszyć się sobą bez obawy, że coś nam przeszkodzi.

Twarz mu pociemniała na tę aluzję do uprzedniej upokarzającej sytuacji, ale ona mówiła dalej, nie dając mu możliwości wyrażenia irytacji.

- Znam takie miejsce. To domek mojej starej niani. Będziemy tam całkiem sami. Ona przygotowuje wszystko dla nas i usunie się, zanim się pojawimy.

Nadal trzymał jej twarz, chwycił ją więc za przegub.

- Pozwolisz mi to urządzić? To mi sprawi ogromną przyjemność.

- Czy już urządziłaś coś takiego wcześniej? - spytał nieco urażonym tonem.

Octavia pokręciła głową.

- Nie, milordzie. Ale jestem pewna, że wiem, jak to zrobić ku naszej obopólnej rozkoszy. - Uśmiechnęła się i czubkiem palca pogładziła jego nadgarstek. - Kiedy pragnie się czegoś tak bardzo, czerpie się radość z samego planowania, jak zaspokoić to pragnienie.

Patrzyła jak próżne zarozumiałstwo znajduje odbicie w jego oczach, jak jego wargi wyginają się w uśmiechu samozadowolenia i wnętrzości skrzyły się jej z odrazy i gniewu. Jak on śmie wyobrażać sobie, że choć przez moment mogłaby go pragnąć... wyobrażać sobie, że mógłby dostarczyć jej rozkoszy? Jej, kobiecie, która zaznała delikatnej, umiejętnej miłości Ruperta Warwicka. Kobiecie, której nieobcy był radosny śmiech i wszechogarniająca ekstaza łoża Ruperta Warwicka.

Gniew płonął w głębi jej oczu, ale na wargach pozostał uśmiech i Philip Wyndham dostrzegł jedynie to, co chciał i spodziewał się ujrzeć.

- Doskonale - powiedział, ściskając jeszcze mocniej palcami jej brodę.

- We środę - powiedziała Octavia, znów ukradkiem oblizując wargi, znów pieszcząc palcem wnętrze jego przegubu. - Czy środowe popołudnie odpowiada ci, milordzie?

- Idealnie.

- Zatem przyjadę po ciebie w zakrytym powozie. O drugiej.

- O drugiej.

Philip odprowadził ją do czekającego lokaja, który z wyraźną ulgą pozbył się swojego obowiązku.

- Ach, wszak to sama Octavia! - gromki okrzyk zwiastował księcia Walii zmierzającego w ich kierunku. Kołysał się na boki na okazałym kasztanku, który jednak ledwo mógł podolać jego

ciężarowi. - Droga pani, jesteś balsamem dla mych obolałych oczu. - Gwałtownie ściągnął wodze, a jego wierzchowiec wspiął się i obrócił, ujawniając tym niedostatek umiejętności swojego jeźdźca.

- Życzę miłego dnia, Wyndham, i pozwalam ci odejść - oznajmił z głośnym śmiechem. - Wystarczy już twojego monopolu na tę damę.

- Wedle rozkazu, panie. - Philip skłonił się królewiczowi ze źle skrywaną kpina, po czym uniósł do ust dłoń Octavii. - Żegnaj, madame. Do następnego razu.

- Do następnego razu - powtórzyła słodko i dygnęła przed księciem Walii, który ciężko zsiadł z konia, posapując.

Lord Wyndham oddalił się bezzwłocznie, a Octavia z rezygnacją wystawiła się na krzyżowy ogień przesadnych komplementów i niesmacznych żartów królewicza i towarzyszących dworzan.

Na Dover Street wróciła w południe. Szczęka bolała ją od sztucznych uśmiechów, którymi zmuszona była obdarowywać księcia Walii przez cały czas niekończącej się promenady.

- Czy pan Morgan jest w domu, Griffin?

- Sądzę, że tak, milady.

Kamerdyner sprawiał wrażenie, jakby z trudem się powstrzymywał. Ściągając rękawiczki, Octavia westchnęła i zachęciła go:

- A Frank?

Griffin westchnął głośno i wyraźnie rozluźnił się, jakby się pozbył ciężaru.

- Nie potrafię stwierdzić, madame. Nie pojawił się u pana Morgana na lekcji po śniadaniu. Przylapałem go z rękami w srebrach, milady. Zanim zdążyłem go skarcić, uciekł. Od tej pory go nie widziałem.

- Kradł srebra? - spytała z niedowierzaniem, ale natychmiast zdziwiła się sama sobie, że jest zaskoczona.

- Wkładał do kieszeni dwie łyżeczki od herbaty, milady. Złapałem go na gorącym uczynku. A od czasu jak się pojawił, z kwater służby zaczęły ginąć różne rzeczy.

- O Boże. - Octavia zmarszczyła brwi. Była przerażona. - Porozmawiam o tym z lordem Warwickiem, Griffin. Jeśli Frank wróci, przyprowadź go do mnie.

Weszła na górę, do apartamentów ojca, nadal zasepiona. Można się było spodziewać, że Frank zacznie kraść. Był nieoswojonym zwierzątkiem, kierującym się wyłącznie nakazem przetrwania. Franka od niej samej i Ruperta odróżniało jedynie to, że Frank urodził się do przestępczego życia, podczas gdy ona i Rupert wybrali je jako najszybszy, a zarazem, należało mieć nadzieję, chwilowy sposób zapewniający przetrwanie.

- Dzień dobry, papo. Griffin mówi, że Frank nie przyszedł dziś na lekcję.

- Nie. Nie jest on miłośnikiem szkolnej dyscypliny - stwierdził Oliver pogodnie, całując córkę, która schyliła się nad nim. - Za bardzo zajmuje go sprawa następnego posiłku, żeby mógł w skupieniu siedzieć i słuchać.

- Ale przecież wie, że tu nie zabraknie mu jedzenia. - Octavia przysiadła na niskim stołku obok fotela ojca.

- Wiedzieć a ufać to dwie różne rzeczy - powiedział Oliver. - Bardzo wątpię, czy uda ci się zrobić z tego chłopaka przykładowego obywatela.

- Mówisz jak Griffin.

Ojciec tylko się uśmiechnął i pogładził ją po głowie przelotnym gestem.

- Gdzie się ostatnio podziewa twój małżonek? Odczuwam brak jego towarzystwa.

- Och, ma interesy w City - powiedziała oględnie. - Sama rzadko go widuję.

Oliver pokiwał głową i wesoło zmienił temat. Ale kiedy dwadzieścia minut później Octavia zostawiła go samego, jego ożywienie zgasło i przygarbił się w fotelu z wyrazem zadumy na patrycjuszowskim obliczu. Coś było nie tak między Octavią a Rupertem Warwickiem. Żadne z nich nic nie mówiło, nic, co by wskazywało na jakiegokolwiek problemy, ale nie potrafili ukryć chłodu i dystansu, jaki zapanował między nimi. Oliver wyczuwał, że córka nie jest szczęśliwa, ale chęć pytania, co ją trapi, jak zwykle została stłumiona przez wrodzoną odrazę do usłyszenia czegoś, czego nie chciałby usłyszeć. Samo minie, jeśli tylko zostawić to w spokoju. Rzecz wypowiedziana głośno nabiera kształtu, znaczenia i nie można się jej pozbyć.

Niespokojnie wstał z fotela i podszedł do okna. Rupert zbliżał się do domu od strony stajni. Peleryna do konnej jazdy spływała mu z ramion, batem uderzał po cholewach. Z wysokości dwóch kondygnacji Oliver nie potrafił dostrzec wyrazu jego twarzy, ale w całej postawie

wyraźnie dostrzegał napięcie. Oliver przyglądał się, jak Rupert wchodzi po schodach do drzwi frontowych. Potem zniknął mu z pola widzenia.

Rupert wręczał właśnie swoją pelerynę Griffinowi, kiedy na dół zeszła Octavia.

- Mamy problem z Frankiem - oznajmiła bez zbędnych wstępów.

- Następny? - Ironicznie uniósł brwi.

- To złodziej, milordzie - stwierdził zwięźle Griffin z satysfakcją, otrzepując przewieszoną przez ramię pelerynę jego lordowskiej mości.

Rupert zrobił minę do Octavii, która wzruszyła ramionami i pierwsza weszła do biblioteki.

Rupert zamknął za nimi drzwi.

- Więc co on ukradł?

- Różne rzeczy służbie. A dzisiaj, kiedy wyciągał dwie srebrne łyżeczki do herbaty, Griffin go nakrył.

- To stawia nas przed dość interesującym dylematem. Czy mamy się trzymać wysokich standardów moralnych, czy niskich względów pragmatycznych?

- To drugie - odparła Octavia bez wahania. - Zakładając, że w ogóle wróci. Nie zdziwiłoby mnie, gdybyśmy go już nie zobaczyli.

- Bardzo możliwe - zgodził się Rupert. - Wyobrażam sobie, że może się za bardzo bać, żeby wrócić.

- Uważam, że głupotą było mieć nadzieję, iż moglibyśmy mu dać inne życie - powiedziała Octavia. - Wydobyć kogoś z bagna nie jest łatwo.

Rupert słyszał jej gorycz, nie był jednak w stanie znaleźć nic, czym mógłby ją osłodzić. Oboje znali rzeczywistość miejskich nizin.

- We środę - rzuciła nagle Octavia zdecydowanie. - Spotkam się z Wyndhamem o drugiej. Pojedziemy dorozką. Do trzeciej powinniśmy znaleźć się na wrzosowisku. To będzie środek dnia. Czy to nie jest zbyt niebezpieczne?

- Każ woźnicy jechać inną drogą przez wrzosowisko. Jest taka mniej uczęszczana do Wildcroft. Zaryzykujemy tam.

- A po napadzie dokąd pojedziesz?

- Będę w chacie, dopóki kurz nie opadnie. Ty, na użytek dorozkarza i Wyndhama, odegrasz rozhisteryzowaną ofiarę rozbójnika i wrócisz do miasta złożyć zeznanie przed gwardzistami. Oczywiście na skutek szoku będziesz się trochę plątać w szczegółach.

- Oczywiście.

A co potem? - myślała gorączkowo.

Jednakże Octavia знаła odpowiedź na to pytanie, więc go nie zadawała. Pójdą każde swoją drogą i te czyścicowe męki dobiegną kresu. Zajął się poprawianiem żółtych róż w wazonie.

- Octavio?

- Tak? - Nie spojrzała w jego stronę.

Czy możesz mi wybaczyć? - myślał.

Bardzo chciał ją o to zapytać, ale nie potrafił. Nie umiał prosić o wybaczenie. Zhardział przez te wszystkie lata, kiedy kierował się w życiu jedynie poczuciem, że to inni wyrządzili mu zło. To jemu należały się przeprosiny. Został skrzywdzony i jeśli teraz krzywdził innych, było to rezultatem krzywdy, jaką wyrządzono jemu. Nie umiał tego wytłumaczyć zamkniętej w sobie Octavii, czuł się bezradny wobec chłodnego dystansu w jej piwnych oczach. Przytłaczał go wstyd, że posunął się do tak podłego oszustwa... że gruboskórnie skrzywdził tę dzielną i niewinną duszę, z taką samą obojętnością, z jaką zginał drut do czyszczenia fajki.

Octavia spojrzała znad róż, czekając, żeby powiedział to, co miał do powiedzenia. Pragnął porwać ją w ramiona i ciepłym oraz siłą swojego uścisku sprawić, aby nie czuła już do niego żalu, aby pozbyła się gniewu. Przycisnąć wargi do jej warg i zastąpić ich gorycz słodczą swojego pocałunku. Pragnął złączyć swoje ciało z jej ciałem i wygorzyczymować z niego upiora zdrady.

Ale ona stała tam oddzielona niewidzialnym murem, którego ani nie umiał zburzyć, ani się przez niego przebić.

- Nic takiego - powiedział, kręcąc głową. - Nieważne.

- Aha. - Opuściła głowę, nie dostrzegł więc rozczarowania w jej oczach. - Muszę się spotkać z kucharką i omówić menu na jutrzejszy proszony obiad - powiedziała, podchodząc do drzwi. - Nie zapomnij, że dziś jemy u Monfortów.

- Tak, pamiętam. Ale mam jeszcze dość czasu, żeby najpierw coś załatwić Pod Królewskim Dębem. Muszę poczynić z Benem ustalenia co do środy.

Przepuścił ją w drzwiach. Kiedy go mijała, poczuł delikatny zapach kwiatu pomarańczy i lawendowego mydła. Zalała go fala tęsknoty. Pozwolił, by jego dłoń musnęła jej odkryte przedramię. Przystanąła na moment i spojrzała na niego z bezbrzeżnym smutkiem rozdzierającym mu duszę.

- Ach, słodczy - powiedział miękko, ale ona natychmiast znów spochmurniała. Wyminęła go bokiem, a on cicho zamknął za nią drzwi.

Octavia stała przez chwilę w holu, próbując odzyskać równowagę. Jakże tęskniła, by wziął ją w ramiona i przekonał, że powinna mu przebaczyć. Pragnęła, by coś jej wyjaśnił, by wyraził swój głęboki żal. Wiedziała, czego chce i tego oczekiwała od Ruperta.

Dawniej z taką łatwością porywał ją swoimi planami i entuzjazmem. Z taką łatwością uciszał jej protesty i żale. A teraz, kiedy najbardziej na świecie chciała, żeby to właśnie uczynił, on po prostu stał z boku i godził się na jej wycofanie.

Niepocieszona poszła na górę.

Rupert wyruszył do Putney natychmiast po wyjściu Octavii. Chciał jak najszybciej załatwić tę sprawę. Wtedy pójdą każde swoją drogą i przestanie się zadreć myśłą o tym, co mogłoby być.

Drzwi wejściowe Pod Królewskim Dębem były otwarte, a szynk, do którego wszedł, wypełniali ludzie. Bessie za szynkwasem wprawnie nalewała piwo jak zwykle z ponurą miną. Ben siedział przy wygasłym palenisku, zajęty bląhą rozmową ze swoimi kamratami, nad nimi wił się niebieski dym z fajek.

Tabitha, niosąc do szynkwasu tacę zastawioną kufłami, pierwsza spostrzegła przybysza.

- O, jest Lord Nick.

Chóralne powitania rozbrzmiały wokół.

- Ej, Nick, chodź i siadaj. - Ben podniósł się ze swojego siedziska i przyciągnął do paleniska krzesło.

- Czego się napijesz, Nick? - Bessie zdjęła z półki za szynkwasem kufel i przetarła go fartuchem do połysku.

- Kwaterkę piwa, bądź tak dobra, Bessie. - Rupert odrzucił na bok poły peleryny i siadł na krześle.

Rozejrzał się po pełnej ludzi izbie, ciesząc się, że nigdzie nie widzi śladu Morrisa. Mimo całego zaufania, jakim Ben darzył tego człowieka, Rupert nie był do końca przekonany o jego wiarygodności. Wiedział, jak łatwo jest kupić informatora.

- Nie przywiozłeś ze sobą panienki tym razem, panie - zauważyła Tab i dygając, podała mu oczekający pianą kufel.

- Nie tym razem - zgodził się Rupert ze spokojem. Pociągnąwszy spory łyk piwa, otarł sobie górną wargę wierzchem dłoni. - Przednie. Tak mi się chciało pić, że mógłbym osuszyć ocean.

- Ano. Straszny gorąc na dworze - powiedział leniwie jeden z palaczy. - Słyszałem, że lord George zwołał wiec na przyszły tydzień. Na St George's Field czy w podobnym miejscu.

- A potem marsz na parlament - dodał uczenie jeden z jego kompanów. - Pójdziesz?

- Może - odrzekł ten pierwszy, równie leniwie jak przedtem. - A może i nie.

Ben uniósł brew i ruchem głowy wskazał Lordowi Nickowi drzwi. Rupert skinął głową i opróżnił kufel do końca.

Obaj wstali i wyszli z szynku, w którym rozgorzała dyskusja za i przeciw wzniciącej niepokoje działalności lorda George'a Gordona. Bez słowa, zgodnie skierowali się na podwórze stajni.

- Masz nowego chłopaka stajennego - zauważył Rupert, opierając się o ciepłą ścianę z czerwonej cegły i przymykając na moment oczy przed rażącym słońcem.

- Ano. Ojciec Freddy'ego potrzebuje go na lato do pomocy w polu, mały Bobbie przyszedł więc na jego miejsce.

Rupert otworzył oczy i uważnie przyjrzał się chłopakowi czyszczącemu w podcieniach konia rasy Shire.

- Przejdźmy się trochę - powiedział, odrywając się od ściany.
Ben poszedł za nim. Z podwórza wyszli na ścieżkę i posuwali się nią powoli w cieniu muru.

- Masz zamiar wyjechać na gościniec w tej osobistej sprawie?
- W środę - odparł Rupert. - Ale na drogę do Wildcroft. Jest mniej uczęszczana.
Ben pokiwał głową. Schylił się i zerwał źdźbło trawy, które zaczął gryźć w zamyśleniu.

- Jest tam dobry kawałek drogi między drzewami. Nada się jak żaden.
- Wiem, o które miejsce ci chodzi. Będę potrzebował więcej czasu niż zazwyczaj, bo ta operacja wymaga rozebrania mojej zwierzyny do bielizny. - Leniwy uśmiech Ruperta bynajmniej nie wyglądał przyjemnie.

- Będziesz potrzebował kogoś na straży - stwierdził Ben. - Najlepiej, jak ja z tobą pojedę... będę uważał na drogę, kiedy ty będziesz zajęty.
- Nie, Ben. Nie chcę cię angażować bardziej niż zwykle. Przygotuj chatę. To wystarczy. -
Ton Ruperta stał się zdecydowany.

- Co szkodzi dodatkowa ostrożność? - Ben nie rezygnował tak łatwo.

- Nie, Ben. Pracuję sam. Ben spojrzał gniewnie.
- A co z panią? Z nią pracujesz. Rupert przez chwilę milczał.

- Co będzie, to będzie, stary przyjacielu - powiedział wreszcie. - Nie mogę ryzykować twojego bezpieczeństwa. Jesteś odpowiedzialny za wielu ludzi. Co by się stało z Królewskim Dębem, gdybyś zawisł na Tyburn Tree?
Ben chrząknął i choć wcale nie wyglądał na uszczęśliwionego, wzruszeniem ramion wyraził zgodę.

- Kiedy w środę?
- Jakoś po południu. Zajadę tu najpierw.
- Pewno. Przygotuję ci pistolety. Chcesz Lucyfera?
- Nie. Wezmę Petera.
- To już coś - powiedział Ben niechętnie.

Rupert uśmiechnął się i dał mu lekkiego kuksańca w ramię, po czym zawrócili i skierowali się z powrotem, ścieżką wzdłuż muru, na podwórze stajni, gdzie nowy stajenny, gwizdząc przez zęby, troskliwie czesał gęstą grzywę shire'a.

- Wstąpisz na obiad? - zapraszał Ben. - Bessie będzie się ciebie spodziewać.
- Nie, muszę wracać, dziękuję. Powiedz Bessie, że przyjadę w środę wieczorem, jeśli będzie spokojnie. Wtedy mnie nakarmi do woli.

Ben uśmiechnął się ponuro i przywołał stajennego.

- Bobbie, przyprowadzisz panu konia?
Bobbie zostawił shire'a i po paru minutach wyprowadził ze stajni Lucyfera.

- Psze, panie.
- Dziękuję, chłopcze. - Rupert rzucił mu sześciopensówkę i dosiadł konia. Wychyliwszy się z siodła, mocno ucisnął dłoń Bena. - Do zobaczenia, stary przyjacielu.
- Ano. I uważaj na siebie.

Ben patrzył, dopóki Lord Nick na grzbiecie Lucyfera nie wyjechał klusem z podwórza. Wtedy odwrócił się i wszedł do zajazdu.

Chłopak stał przez chwilę, postukując lekko sześciopensówką o zęby. Potem podbiegł do shire'a, czym prędzej odprowadził go do stajni, a pięć minut później przemykał ostrożnie sennymi uliczkami Putney. Wyraz jego twarzy i pośpiech dowodziły, że sprawa, którą ma do załatwienia, jest wielkiej wagi.

Masz całkowitą jasność co do tego, co masz zrobić? - Rupert stał przy oknie w sypialni Octavii, opierając się z tyłu rękami o parapet. Jego twarz nic nie wyrażała, powieki miał przymknięte, Octavia nie była więc w stanie nic wyczytać z jego oczu.

- Tak, wszystko jest dla mnie jasne. - Oparła się głębiej o poduszki i napiła się gorącej czekolady. Rupert nie odwiedził jej sypialni od dwóch tygodni, czuła się więc niezręcznie, prawie zażenowana, siedząc w łóżku, w nocnej koszuli, podczas gdy on stał, nienagannie ubrany w dworski strój z brązowego jedwabiu, z nieupudrowanymi włosami związanymi z tyłu wstążką w tym samym kolorze. - Idziesz na poranną audiencję u króla?

- Powinienem się tam pokazać - odparł. - Niech wszyscy wiedzą, że wyjeżdżam z miasta na parę dni.

- Będiesz Pod Królewskim Dębem? - spytała ostrożnie, nalewając ze srebrnego dzbanuszka ciemny, pachnący strumień czekolady do swojej filiżanki. Prawdę mówiąc, wcale nie chciała już czekolady, ale pozwoliło jej to zająć czymś ręce.

- Nie. Kiedy już zdobędę obrączkę, muszę poczynić pewne kroki, spotkać się z paroma osobami.

Tych parę osób to prawnicy rodziny i stary doktor Hargreaves, który przyjął jego i Philipa na świat. Kiedy Cullum Wyndham ujawni swoją tożsamość, nic nie może być zdane na przypadek. Nie można zostawić Philipowi żadnej możliwości ruchu. Nie będzie miał innego wyboru, postawiony przed faktem dokonany, jak tylko uznać ten fakt.

- Nie będę ci więc potrzebna tutaj? To znaczy, kiedy już zdobędziesz obrączkę. Nie mam nic więcej do zrobienia?

Filiżanka szczerknęła o spodek, czekolada chlusnęła przez złożony brzeżek na śnieżnobiałą serwetkę na tacy.

- Jeśli chcesz się wyprowadzić zaraz potem, oczywiście decyzja należy tylko do ciebie - powiedział beznamiętnym tonem. - Ale musisz mnie zawiadomić, jak się z tobą skontaktować. Chcę ci zwrócić to, co do ciebie należy.

- Tak - powiedziała słabym głosem. - Przypuszczam, że już się prawie wywiązałeś ze swojej części kontraktu.

- Jeszcze dwa tygodnie i będę gotów - odszedł od okna. - Dokąd pójdziesz, kiedy się stąd wyprowadzisz?

- Nie wiem. - Octavia skubała skórę przy paznokciu. - Jeszcze nie postanowiłam.

- Jak to wytłumaczysz ojcu?

Wzruszyła krągłymi ramionami. Jego oczy poszukały i znalazły ciemne pączki jej sutków osłonięte batysem. Włosy opadły jej na twarz.

Z namysłem podszedł do łóżka. Pochylił się i ujął jej twarz w dłonie, uniósł ją, odgarnął włosy. Zdawała się zaskoczona i straszliwie bezbronna, kiedy ich oczy się spotkały. Nic nie powiedziała. Nie poruszyła się, ani żeby się uwolnić, ani żeby odpowiedzieć na jego dotyk.

- Żegnaj, Octavio. - Pocałował ją w usta. Jej oszałamiający zapach wypełnił mu nozdrza, smak warg, skóry poruszył jego pamięć. Czuł ją każdym nerwem, od uderzenia krwi zakręciło mu się w głowie. Ale ona nadal trwała w bezruchu, jej wargi były bez życia, obojętne na jego pocałunek. Wyprostował się powoli. - Żegnaj, Octavio.

Cofnął dłoń i odwrócił się od złotych oczu, od bladej, pięknej twarzy swojej madonny.

- Niech cię Bóg prowadzi - powiedziała, ale tak cicho, że nie usłyszał tego, bo właśnie otwierał drzwi, żeby wyjść z pokoju.

Łzy kapąły na tacę na jej kolanach, wpadały do filiżanki, gdzie resztką czekolady stawała się słona, a Octavia po prostu siedziała, pozwalając płynąć łzom.

W końcu zdecydowanym ruchem odstawiła tacę, odrzuciła kołdrę i wstała. Wszystko przepadło. Ma jeszcze ostatnią rolę do odegrania i odegra ją do końca. Rupert weźmie całe

niebezpieczeństwo na siebie, ale nie zabraknie mu wsparcia ze strony partnerki.

O drugiej zajechała przed Wyndham House dorożka. Natychmiast ze schodów zszedł hrabia Wyndham. Wsiadł i zatrzasnął drzwiczki. Grube, skórzane zasłony w oknach były opuszczone i każdy postronny obserwator mógłby przysiąc, że hrabia wsiadł do pustego powozu.

- Dzień dobry, milordzie - z ciemnego kąta dobiegł głos Octavii.

Philip nie odezwał się, chwycił ją tylko za rękę i przyciągnął do siebie.

Jego usta spadły na jej wargi, miażdżąc je o zęby.

- Co za ochota, panie - wydyszała Octavia i zaśmiała się, kiedy w końcu ją puścił.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, kobieto - zachrypiał, opierając się o zagłówek i przyglądając się jej zmrużonymi oczami. - Najchętniej wziąłbym cię tu i teraz. - Szare szpary oczu połyskiwały w mroku, usta były wąską linią. Przypominał jastrzębia.

- To mogłoby zostać zakłócone, milordzie - powiedziała lekkim tonem, oblizując opuchnięte wargi. - Mimo że jesteśmy osłonięci przed wzrokiem ciekawskich.

Philip uśmiechnął się i założył rękę.

- Powstrzymam się, madame, przez chwilę. Ale obiecuję, że dziś się dowiesz, co to znaczy, że ktoś cię naprawdę posiadał.

Octavia zapanowała nad dreszczem i falą wścieklej pogardy, mając nadzieję, że mrok skryje jej mimowolne skrzywienie warg.

- Mam nadzieję, że spodobają ci się przygotowania, jakie poczyniłam, milordzie.

- Gdzie jest ten dom?

- W małej wiosce o nazwie Wildcroft na skraju wrzosowiska Putney. Philip zmarszczył brwi.

- To daleka droga, jak na popołudnie.

- To zależy od popołudnia. - Uśmiechnęła się znacząco. - Ośmielę się przypuszczać, panie, że to dzisiejsze uznasz za wartę podróży.

Roześmiał się.

- Ty również, milady. Ty również.

- To się rozumie samo przez się, panie.

Jakimś cudem udawało się jej podtrzymać to przekomarzanie się w duchu radosnego oczekiwania, a dorożka wiozła ich przez most Westminster'ski i przez wioski na południowym brzegu rzeki. W pewnym momencie odchyliła skózaną zasłonę i wyjrzała. Przejeżdżali przez Wandsworth. Putney było następne. Puściła zasłonę. Czy lepiej być nieświadomą i pozostać w ciemności, kiedy nastąpi atak? Czy ma być przygotowana i czekać?

Półmrok pozwolił jej ukryć wyraz twarzy. Była pewna, że nie potrafi powstrzymać się od okazania uczuć, jakie ją teraz ogarnęły. Ze strachu i podniecenia robiło się jej słabo. Ociekała potem, który zbierał się jej między piersiami. Wtem Philip pochylił się i podczepił zasłonę do haczyka w suficie.

- Brak tu powietrza. Nie musimy się obawiać wzroku ciekawskich w tej zapomnianej przez Boga głuszy. - Otarł mokre czoło chusteczką.

Kwestia pozostawania w ciemności została rozstrzygnięta. Octavia osuszyła pot z piersi skrajem koronkowej chusteczki i odwróciła twarz do okna, chcąc jednocześnie ukryć targające nią uczucia i skorzystać ze świeżego powiewu.

Zaprzęg wspinał się na wzgórze, na którym zaczynało się wrzosowisko Putney. Woźnica wychylił się z kozła i zawołał w kierunku okna:

- Droga do Wildcroft, tak pani?

- Tak jest. - Octavia wystawiła głowę za okno. - Pokieruję was do domu, kiedy już będziemy we wsi.

Woźnica mruknął coś, czego nie dało się usłyszeć i strzelił z bata. Konie, dotarłszy na szczyt wzniesienia, pognały galopem. Octavia usiadła prosto i zwilżyła wyschnięte wargi. Na którym odcinku drogi Rupert wykona swój ruch?

Powóz zakolysał się na boki, wyjrzała więc znowu. Tłukli się po zakurzonym trakcie, o wiele węższym od głównego gościńca przez wrzosowisko. Z przodu, w oddali dostrzegła przydrożne drzewa. Czy to będzie tam?

Oparła się z powrotem, starając się znaleźć neutralny temat, który mógłby ich oboje zająć, ale nic

nie przychodziło jej do głowy, a jej towarzyszowi zdawało się wystarczać wpatrywanie się w nią drapieżnym wzrokiem, którym niemal rozbierał ją do naga.

Zamknęła oczy, próbując się odprężyć, a krwi pulsującej w żyłach narzucił rytm kołysania się dorożki. Powtarzała sobie, że nie ma się czym martwić. Miała tylko wrzeszczeć, mdleć, wpaść w histerię. Albo od razu, albo gdy Rupert zajmie się Philipem.

Rupert z kolei mógłby się martwić tylko o woźnicę, a Octavia była przekonana, że człowiek siedzący na koźle nie ma przy sobie broni, poza batem. Rupert powinien poradzić sobie z nim bez trudu. Philip oczywiście miał szpadę u boku. Ale przecież nie zabrał pistoletów, nie na romantyczną schadzke.

Takie myśli przemykały jej przez głowę, gdy wtem strzał z pistoletu sprawił, że podskoczyła, serce podeszło jej do gardła, niemal dusza z niej uleciała.

Woźnica zaklął i ściągnął wodze. Konie wspięły się i stanęły, ryjąc kopytami.

- Niech to szlag! To ten przeklęty rozbójnik! - wyszczał Philip przez zęby, dobywając szpady. Zerknął przelotnie na Octavię, która tchórzliwie skuliła się w kącie z oczami rozszerzonymi przerażeniem, z dłonią przyciśniętą do ust. Szarpnął drzwiczki, kiedy Lord Nick zbliżał się właśnie po
rozbrojeniu
dorożkarza.

Na sekundę dwie pary ciemnoszarych oczu się spotkały. Philip zawahał się, porażony zimną siłą emanującą zza czarnej, jedwabnej maski rozbójnika, ale zeskoczył na ziemię, wymachując szpadą.

- Ty tchórzliwy nikczemniku! Zobaczę, jak za to zawiśniesz!

Lord Nick zsunął się z siodła, płynnym ruchem dobywając szpady.

- Z przyjemnością będę walczył o swoją zdobycz - powiedział swobodnie tym obco brzmiącym głosem, który Octavia słyszała już poprzednio. - Broń się, panie.

Philip ociągał się jeszcze, kiedy rozbójnik stanął w pozycji szermierczej. Szare oczy w otworach maski wydawały się teraz rozbawione, ale humor nie przesłaniał wyzierającej z nich groźby.

Philip uniósł szpadę. I wtedy stało się.

Wśród trzasków i szelestów spomiędzy drzew wypadło na drogę czterech mężczyzn. Czterech postawnych łotrów w skórzanych kurtkach i bryczesach, z pistoletami i pałkami. Zanim Lord Nick zdołał zrobić krok, otoczyli go.

- Mamy go - oznajmił jeden z nich. - Trochę się spóźniliśmy, ale lepiej późno niż wcale, co?

Któryś roześmiał się paskudnie.

- Złapaliśmy go na gorącym uczynku. Lord Nick we własnej osobie, jeśli się nie mylę - stwierdził gwardzista, obchodząc wkoło rozbójnika, który bez słowa stał nieruchomo na drodze, jakby tylko oceniał szansę ucieczki.

Philip Wyndham schował szpadę.

- Miło widzieć, że gwardziści nie są tak bezużyteczni, jak by na to wskazywała opinia o nich - powiedział cierpko. - Skąd się tu wzięliście?

- O, dostaliśmy wiadomość, panie - poinformował go jeden z gwardzistów, wydobywając zza pasa zwój liny. - I wybacz, panie, ale my robimy, co możemy z niewielką pomocą ludności.

- Być może. - Philip machnął lekceważąco ręką. - Nie powinniście najpierw zdjąć maski temu łotrowi?

Podszedł bliżej do rozbójnika, który skoczył przed siebie ze szpadą, trafiając jednego z gwardzistów w ramię. Pałka mignęła w powietrzu i rozbójnik padł na drogę, brocząc krwią z rany na głowie. Przed oczami zawirowały mu czarne plamy. W zamieszaniu Philip zapomniał o swoim zamiarze, a Rupert uznał, że rozbita głowa to niewielka cena za zachowanie anonimowości. Nie tylko jego, ale i Octavii.

Octavia podniosła wrzask. Był to przeszywający pisk, na który należało zareagować. Gwardziści przystąpili do krępowania wykręconych do tyłu rąk swojej zdobyczy, a Philip wrócił do powozu.

- Na litość boską, kobieto, zaprzestań tego jazgotu - rzucił. - Nic ci się nie stało. Nikomu nic się nie stało, z wyjątkiem tego łotra. A gdyby dano mi dziesięć minut sam na sam z nim, błagałby o kata tu, na miejscu- dodał tonem, w którym brzmiało okrucieństwo. - Natychmiast możemy ruszać w dalszą drogę.

Rupert wciąż klęczał, żałośnie wstrząsany mdłościami spowodowanymi uderzeniem w głowę,

usłyszał te słowa z tępą rozpaczą. Jego własny los był w tej chwili nieistotny. Liczyło się tylko to, że siłą zostanie zmuszony do opuszczenia Octavii i pozostawienia jej z Philipem... z Philipem, którego cielesny apetyt zaostrzy jeszcze przygoda i jego rola w doprowadzeniu złoczyńcy przed oblicze kata.

- Będziemy potrzebować paru szczegółów, panie, zanim odjedziesz - odezwał się dowódca gwardzistów. - Będziesz, panie, świadkiem przed sądem koronnym, kiedy sprowadzą naszego przyjaciela z Newgate na proces do Old Bailey. Bądź uprzejmy zapisać swoje nazwisko i adres. - Przekonany o ogromnej doniosłości swojej osoby wyciągnął zza pazuchy kawałek brudnego papieru, który podał hrabiemu. - Mam tu gdzieś ołówek. Nigdzie się bez niego nie ruszam. Bardzo przydatny, kiedy trzeba zapisać świadka albo jakąś informację, rozumiesz, panie.

Philip niecierpliwie przytupywał. Wyrwał gwardziście z ręki przybory do pisania i nabazgrał swoje nazwisko.

- Proszę.

- Och, dziękuję, milordzie. Dziękuję waszej lordowskiej mości.

Gwardzista zerknął na papier, po czym z szacunkiem spojrzął na jego lordowską mość.

W oknie dorożki pojawiła się wzburzona twarz Octavii. Wciąż zawodziła histerycznie, ale wzrok miała bystry i przenikliwy, kiedy patrzyła na Ruperta, którego dwaj gwardziści brutalnie poderwali na nogi. Krew wciąż sączyła się z jego czoła, maska była nią przesiąknięta. Wykrwawiał się, a ona nic dla niego nie mogła zrobić.

Gdyby sama spróbowała otrzeć mu krew, przestałaby grać rolę damy odchodzącej od zmysłów z powodu szoku. Gdyby zasugerowała, aby oni to zrobili, mogliby zdjąć mu maskę. I w jednym, i w drugim przypadku zostaliby zdemaskowani, a kiedy prawdziwa tożsamość Ruperta wyszłaby na jaw, wszystko byłoby bezpowrotnie stracone.

Nie pozostawało jej zatem nic innego, jak wrzeszczeć nadal, choć jej serce przepelniał gniew na widok brutalności, z jaką wciągnęli Ruperta na konia, przywiązali jego skrupowane ręce do siodła z tyłu, stopy wsadzili mu w strzemiona.

Rupert chwiał się w siodle, wciąż oszołomiony ciosem w głowę. Próbował zetrzeć krew zalewającą mu oczy i popatrzeć na Octavię, czując jej wzrok na sobie, ale widział jak przez mgłę.

W poczuciu beznadziejności pomyślał, jaką arogancją było to, że odmówił przyjęcia pomocy Bena. Gdyby Ben stał na straży, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. A teraz wtrąca go do więzienia Newgate i opuści Octavię. Zostawi ją Philipowi. A Philip oczekuje, że ona spełni swoją obietnicę.

Jeden z gwardzistów zawrócił Petera. Wielki koń parsknął i rzucił łbem, czując na uździe obcą, twardą rękę. Ciężar jego pana nie rozkładał się jak należy w siodle i wierzchowiec był zdezorientowany, czując nieznanego jeźdźcę, choć to ten sam jeździec co zawsze siedział na jego grzbiecie. Spłoszył się, a Rupert utracił swoją chwiejną równowagę i zsunął się na bok. Udało mu się zacisnąć palce na siodle i wciągnąć się z powrotem, ten wysiłek jednak spowodował nową falę nudności. Przed nimi była długa droga do Londynu.

Gwardziści ruszyli szybkim krokiem, prowadząc między sobą konia. Octa-via patrzyła, jak odchodzą.

Jej umysł pracował teraz z oszałamiającą szybkością. Gdyby pozwoliła sobie na zastanawianie się nad położeniem Ruperta, przerażenie sparaliżowałoby ją. Gdyby zaczęła rozmyślać nad jego cierpieniem, poddałaby się próżnemu współczuciu, cierpiąc wraz z nim. Teraz musi jak najszybciej uwolnić się od Philipa. Osiągnąwszy to, będzie mogła pomyśleć o następnym kroku.

- Jedź, człowieku. - Philip strzelił palcami przed woźnicą, który cały czas siedział na koźle, gapiąc się z otwartymi ustami na rozgrywającą się na drodze scenę. - Do Wildcroft.

Wskoczył do powozu i tu czekała go niespodzianka.

- Piekło i szatani!

Octavia leżała na podłodze bez przytomności, spódnice wzdymały się wokół niej, oczy miała zamknięte.

- Co jest, u diabła? - Przyklął koło niej akurat w chwili, kiedy powóz szarpnął do przodu. Tracąc równowagę, upadł ciężko, przy czym boleśnie uderzył się w łokieć o krawędź ławki. - Niech to szlag! - zaklął i znów pochylił się nad nią. - Co z tobą? - Klepnął ją w policzek, a kiedy nie odniosło

to skutku, uderzył mocniej.

Octavia zatrzepotała powiekami.

- Och, milordzie. Chyba zemdlałam. To zdarza mi się czasami w takiej sytuacji, a z pewnością nie wzięłam ze sobą soli trzeźwiących. Nie spodziewałam się tego właśnie teraz, rozumiesz. Och, panie, tak się źle czuję.

Philip przyglądał się jej ogłupiały.

- Co ty, u diabła, masz na myśli, mówiąc o takiej sytuacji? - Nie rozumiał. - To oczywiste, że się tego nie spodziewałaś. Ile razy, do wszystkich diabłów, zostałaś zatrzymana na drodze?

Octavia znów zamknęła oczy.

- Nie, nie to miałam na myśli, milordzie. Oczywiście, że tak straszna rzecz nigdy mnie jeszcze nie spotkała. To... och, Boże, nie umiem tego wytłumaczyć.

- Usiądź. - Wziął ją pod pachy i podniósł. - Na Boga, nie jesteś lekka - mruknął, ciągnąc Octavię, aż udało mu się umieścić ją na siedzeniu, gdzie wcisnęła się w kąt. - No więc, o czym ty mówisz?

- Ten szok... to on musiał wywołać... - wyszeptała. - Nie wiem, jak to powiedzieć... tak mi wstyd, milordzie. To kobieca sprawa.

- Co? - Wlepił w nią wzrok. - Do diabła, co to za bzdury?

Zatrzepotała rękami.

- Kwiaty, milordzie - wyszeptała. - Szok musiał je wywołać. To za wcześnie... ale czasami...

- Dobry Boże! - wykrzyknął, odskakując od niej. - Chcesz powiedzieć, że jesteś nieczysta?

Octavia jęknęła.

- Jestem taka cierpiąca, milordzie. Tak strasznie boli mnie brzuch. Proszę, zawieź mnie do domu.

Wściekły i pełen obrzydzenia wzrok Philipa mógłby swym ogniem przypalić poleć mięsa. Rękojeścią szpady załomotał w dach powozu.

- Tak, panie? - Odwrócona głowa woźnicy pojawiła się w oknie.

- Zawracaj. Wracamy do Londynu.

- Powiedziałbym, że dama jest trochę niezdrowa - zauważył dorożkarz ostrożnie.

- Zawracaj tę przekłętą dorożkę! - usłyszał tylko w odpowiedzi na swoją troskę. Wycofał się, flegmatycznie wzruszając ramionami, i zawrócił zaprzęg na wąskiej drodze. Znowu tłukli się bocznym traktem, żelazne obręcze kół podzwaniały o kamienie, konie, równie niecierpliwie jak ich woźnica, chciały jak najprędzej dotrzeć w bardziej uczęszczane rejony.

Wewnątrz Philip siedział na swoim miejscu, z ponurym wyrazem twarzy obgryzając paznokieć i gniewnie spoglądając w półmroku na skuloną, pojękującą kobietę, którą spodziewał się uczynić swoją kochanką. Jakiś diabeł mieszał w tej sprawie.

Ale on ją będzie miał.

Zacisnął pięści. Jakaś jego część chciała pozbyć się jej razem z jej kobiecą słabością, ale silniejsza od tej chęci była determinacja, by nie rezygnować z tego, co sobie postanowił. Wciąż jej pragnął, nawet teraz, kiedy ta silna, ognista kobieta, która tak go pociągała, okazała się równie słaba, tchórzliwa i przewrażliwiona jak reszta jej rodzaju.

Będzie ją miał. Przyprawi Rupertowi Warwickowi rogi, myślał uparcie.

Kiedy już przejechali most Westminster'ski, znów załomotał w dach.

- Najpierw zawieź mnie na St James's Square - rozkazał. - Nie masz nic przeciwko temu, moja droga, aby wrócić do domu sama? - spytał z udawaną troską.

- Ależ skąd, Philipie - odparła.

Ku jego uldze, zdawała się odzyskiwać panowanie nad sobą. Na jej twarzy, o dziwo, prawie nie pozostał ślad wcześniejszego wzburzenia i dzikich spazmów. W gruncie rzeczy, była piękniejsza niż kiedykolwiek, blada w mroku, ze złotymi oczami wilgotnymi od ostatnich łez.

- Proszę o wybaczenie - powiedziała pokornie, kiedy dorożka zatrzymała się przed Wyndham House. - Nie wiem, jak mam przeproszać. Ale z powodu tych nerwów...

- Och, mniejsza z tym - przerwał zniecierpliwiony. - Naprawdę nie interesują mnie tajemnice funkcjonowania kobiecego ciała. Następnym razem ja wszystko urządzę, aby nie było nieszczęśliwego zbiegu okoliczności i żadnych wymówek, madame.

Wyskoczył z dorożki, jakby nie mógł się doczekać, kiedy uwolni się od jej nieczystej obecności.

Octavia odetchnęła z ulgą. Uciekła się do desperackiego fortelu, ale nic innego nie przyszło jej w

tamtym momencie do głowy. Podejrzewała że szok, jakiego doznała na skutek napadu, nie będzie wystarczającą wymówką dla Philipa. Mógłby zmusić ją w jakiś sposób do odbycia tej schadzki, co byłoby bardzo niezręczne i to bynajmniej nie dlatego, że w Wildcroft nie czekało na nich żadne wygodne, miłosne gniazdko. Teraz jednak miała go z głowy i przede wszystkim musiała zobaczyć się z Benem.

Ben będzie wiedział, jak odwiedzić więźnia w Newgate, i czego potrzeba Rupertowi, aby uczynić jego uwięzienie znośniejszym. Miała niejasne przeczucie, że wszystko da się kupić - i zwolnienie z kajdan, i lekarstwa. Jego rana na głowie wymagała opatrunku.

Na jeden straszliwy moment stanęła jej przed oczami szubienica na Tyburn Tree, taka, jaką widziała w dniu, w którym spotkała Ruperta Warwicka. Z dwoma ciałami, dwiema ciemnymi, kołyszącymi się sylwetkami powieszonych o świcie. Zamrugnęła powiekami, by okropny obraz zniknął. Nie wolno jej o tym myśleć. Nie wolno jej myśleć o niczym innym, tylko o poprawie warunków Ruperta w więzieniu, a potem o umożliwieniu mu ucieczki.

Musi być jakiś sposób. Wiedziała, że nikt jeszcze nie zbiegł z Newgate, ale myślenie o tym było bezproduktywne. Może uda się jej kupić mu wolność. Wszyscy strażnicy są przekupni, o czym powszechnie wiadomo. A im pieniędzy nie brakowało.

Ożywiona tymi planami wyskoczyła z dorożki na Dover Street. Philip oczywiście nie zapłacił za jazdę, mimo że należało to do dzentelmena. Wręczyszy woźnicy suwerena, wbiegła do domu.

- Każ przyprowadzić mojego konia, Griffin. I nie będzie mnie dziś na obiedzie.

Griffin był już poinformowany, że lord Warwick wyjeżdża z miasta na kilka dni, nie musiała więc tłumaczyć jego nieobecności służbie ani też nikomu. Nie musiała, dopóki nieobecność ta nie zacznie się przedłużać.

Nie, nawet o tym nie myśl!

Dziesięć minut później znów jechała przez most Westminsterki. Przynagliła klacz do szybszego biegu, żałując, że nie dosiada Petera. Co oni zrobią z Peterem w Newgate? Czy Ben zdoła go odzyskać? Była to kwestia nieistotna w porównaniu z bezpieczeństwem Ruperta, ale skupiła się na niej, skoro nie mogła myśleć o niczym innym.

Dzielna klacz starała się jak mogła, ale daleko jej było do ręcznego pędu Petera. Kiedy Octavia dotarła do zajazdu Pod Królewskim Dębem, dochodziła szósta.

Niezgrabny Freddy się nie pojawił, bez pomocy zeskoczyła więc z siodła, przywiązała konia i weszła do środka.

- Ben? Bessie?

Rupert mówił, że ci dwoje są jego przyjaciółmi, że jej również okażą przyjaźń w potrzebie, kiedy więc Bessie z zagniewaną twarzą wyjrzała z kuchni, z ociekającą warzachwią w ręku, Octavia powiedziała tylko:

- Wzięli Nicka. Gdzie jest Ben?

Kanciasta twarz Bessie skrzywiła się i Octavia pomyślała, że kobieta się rozplacze, ale Bessie odezwała się szorstko:

- W chacie. Czeka na Nicka. Wejdz i opowiedz mi, co się stało. Poślę po niego Tab.

- Nie. Sama pojedę, jeśli mi powiesz, którędy. Mam tu konia.

- Dokąd zabrali Nicka?

- Do Newgate. Gwardziści. Powiedz mi, jak znaleźć Bena.

Bessie odpowiedziała na jej nagły ton krótkim skinieniem głowy. Wyszły na drogę.

- Jedź tą drogą do końca. Potem drogą polną. Za strumieniem skręć w prawo. Pół kilometra dalej przejedź przez żywopłot. Tam będzie dróżka. Skręć nią w prawo. Zobacysz chatę.

- Poznam ją, choć, kiedy tam byłam ostatnio, panowały ciemności - zapewniła Octavia, wsiadając na konia.

- Przywieź tu Bena, zanim pojedzie z tobą dalej. Będzie trzeba, żeby się uspokoił - powiedziała Bessie. - Ty też, i nic dziwnego.

Brzmiało to niechętnie, ale Octavia nauczyła się już nie zważać na ton kobiety, tylko słuchać tego, co się pod nim kryje.

Trzymając się wskazówek w zapadającym zmroku, dotarła do chaty, kiedy na niebie zabłysła pierwsza gwiazda. Chata wyglądała na opustoszałą, okna i drzwi były szczelnie pozamykane. Z tyłu, na końcu niewielkiego podwórka, wznosił się niski budynek stajni.

Kopyta klaczy zastukały po bruku. Otworzyły się drzwi kuchenne.

- Gdzie Nick? - Ben biegł przez podwórze.

- W Newgate.

- Wiedziałem! - wymamrotał Ben. - Wiedziałem, że musi być powód, dlaczego go tak długo nie ma.

- Bessie chce, żebyśmy wrócili do zajazdu. - Octavia wychyliła się z siodła, wyciągając rękę. - Możesz się za mną?

- Ano. - Wziął jej rękę i bez trudu wdrapał się na siodło. - Powiedz, co się stało. Wiedziałem, że nie powinien wyjeżdżać na gościniec w osobistej sprawie.

Zrobił to dla mnie. Ponieważ ja nie umiałam wywiązać się ze swojej części umowy, pomyślała Octavia.

Ale nie powiedziała tego. Tak spokojnie, jak tylko potrafiła, opisała, co się stało.

- Oni na niego czekali, Ben. Gwardziści powiedzieli, że dostali od kogoś wiadomość.

Ben zaklął pod nosem.

- Boże dopomóż. Zapewniłem go, że nie wydaje mi się, żeby był jakiś szpieg. Powieszę Morrisa za pazury i wycisnę z niego prawdę.

- Później - ucięła Octavia. - Teraz mamy ważniejsze sprawy.

- Ano - zgodził się Ben. - Nick będzie potrzebował funduszy na ulgi i tym podobne. Potem najlepiej będzie, jak poszukamy prawnika.

- Prawnika? - wykrzyknęła Octavia. - Prawnik nie uratuje go przed stryczkiem, Ben. Został złapany na gorącym uczynku. Musimy go stamtąd wydostać.

- Ano - zgodził się Ben, ale cicho i bez wiary.

- Nie mów mi, że tego nie da się zrobić - zaprotestowała Octavia gwałtownie. - Nie mów mi tego, Ben.

Położył dłoń na jej plecach w przelotnym geście otuchy.

- Zobaczmy, co da się zrobić, panienko.

Rupert powłóczył nogami po oślizgłym klepisku, był zakuty w kajdany, które szczękały przy każdym stawianym z wysiłkiem kroku. Jego oczy nie przywykły jeszcze do ciemności, ale słyszał jęki, podzwanianie i chrzęst łańcuchów towarzyszące poruszeniom się współwięźniów zamkniętych w lochu głęboko pod powierzchnią ulic Londynu.

Było tam przejmująco zimno, a kiedy udało mu się wyczuć ścianę, natrafił dłonią na grubą warstwę obrzydliwego brudu ściekającego po kamieniach. Porzucił zamiar oparcia się o ścianę, choć ręce i nogi miał obolałe, a w głowie waliła mu wesoło cała orkiestra perkusyjna. Jego oprawcy bynajmniej nie obchodzili się z nim delikatnie i niejedna ciężko obuta stopa znalazła dojsście do jego żeber i nerek. Potem dwaj strażnicy zepchnęli go w to cuchnące podziemie.

Marzył, żeby usiąść, ale wiedział, że tak osłabiony nie zdoła potem podźwignąć się, zakuty w ciężkie kajdany. Kostki nóg miał już otarte do krwi, a kiedy podniósł skute łańcuchami ręce, żeby zetrzeć z oczu zasychającą krew, z trudem chwycił oddech i pot wystąpił mu na czoło.

Ktoś zaniósł się boleśnie suchym, urywanym kaszlem, co zapoczątkowało cały koncert. Wzrok Ruperta z wolna przyzwyczajał się do ciemności i potrafił rozróżnić skulone na ziemi kształty, przypominające wiązki okrytych łachmanami patyków. Patrzyli na niego w całkowitym milczeniu, przerywanym jedynie napadami kaszlu.

Gorączka więzienna, pomyślał. Z każdym oddechem wciągał w płuca zgniłe, zanieczyszczone, zarażone powietrze lochu, przesiąknięte smrodem ekskrementów. Ale może śmierć na skutek gorączki więziennej jest łatwiejsza od śmierci na szubienicy.

Kolana drżały mu z wysiłku, jakiego wymagało utrzymanie się na nogach, a łańcuchy ciągnęły ręce w dół, jakby były obciążone kulami armatnimi. Nie przypuszczał jednak, żeby mieli go długo trzymać w tej norze.

Wtrącenie nowego więźnia w kajdanach do najgorszego lochu było zwyczajową procedurą. Służyło zmiękczeniu go, by tym chętniej przystał na żądania strażników, których opłacenie miało mu zapewnić uwolnienie z żelastwa i przeniesienie do lepszej celi.

Ale jak długo pozostawią go sam na sam ze swoimi myślami w tym przerażającym miejscu? Chciało mu się pić, ale w ciemności nie był w stanie dostrzec żadnego naczynia z wodą. W końcu poddał się, oparł się o wstrętą ścianę i uginając kolana, przywarł plecami do kamiennego muru, dzięki czemu nogi mogły nieco odpocząć. Ktoś zaskamlał na ziemi u jego stóp, usunął się więc w bok, aby nie dotykać go butami.

Starał się nie myśleć o Octavii, ale nie potrafił pozbyć się dręczącego obrazu jej wymuszonej uległości wobec Philipa. Stała mu przed oczami taka, jaką widział ją tego ranka, siedzącą w łóżku, z błyszczącymi włosami opadającymi na ramiona, z ciemnymi pączkami piersi rysującymi się pod koszulą, z oczami pełnymi bólu i poczucia zdrady.

Z pewnością mógł uczynić coś, by ulżyć jej cierpieniu, by naprawić to, co się między nimi zerwało. Odkąd jako zrozczone dziecko uciekł z Wyndham Manor, zwalczał każdą przeszkodę, jaka stała na jego drodze do celu. A teraz, kiedy Octavia odgradziła się od niego murem, zwiesił głowę i zdał się na jej osąd. Postąpił tak, ponieważ wmówił sobie, że to nie ma znaczenia. Wmówił sobie, że nie potrzebuje Octavii, że liczy się tylko rola, jaką ona ma odegrać w ich wspólnym przedsięwzięciu. To wszystko sobie wmówił, a ból w sercu temu przeczył. Wiedział, że przystał na jej wycofanie się, ponieważ po tym, co jej uczynił, nie miał nic na swoją obronę. Niewielka klapka przesłaniająca okienko w drzwiach odchyliła się ze zgrzytem, który rozniósł się echem w cuchnącym mroku. Klapka opadła z powrotem. Przekręcono klucz w zamku, ciężki skobel szczęknął i przesunął się z hałasem.

Serce zatłukło się w piersi Ruperta. Odpychając się plecami od ściany, wstał. Kiedy przyjdą po niego, nie będzie się stawiał i błagał o litość. Ale nikt po niego nie przyszedł. Drzwi uchyliły się i coś wrzucono do lochu, co potoczyło się po ziemi. Sterty łachmanów u stóp Ruperta jakby ożyły. Cisnęli się, przepychali, warczeli i rozszarpywali bochenek chleba jak zgraja wygłodniałych psów.

Rupert zamknął oczy na ten widok. Boże miej mnie w opiece, pomyślał, jeśli bym kiedykolwiek miał się doprowadzić do takiego stanu. Ale do tego nie dojdzie. Stróże prawa ograbili go do ostatniego grosza, łącznie z zegarkiem, ale Ben przybędzie z pieniędzmi. Octavia z pewnością zawiadomi go o katastrofie. Kiedy wreszcie uwolni się od Philipa...

Wyrwał mu się jęk, rozpaczliwy dźwięk z rodzaju tych, jakie słyszał wokół i poczuł się bliższy swoim współwięźniom, którzy pozbawieni sił, wciąż starali się wywalczyć dla siebie okrusz chleba. Zwiesił głowę na piersi, opuścił ręce, kajdany ciągnęły go w dół. Chciał usiąść na ziemi, ale uparta duma nie pozwalała mu na to.

Jedynym dźwiękiem rozbrzmiewającym w lochu było zwierzęce skamlenie przerywane spazmatycznym kaszlem. Brak ludzkiego głosu uniemożliwiał orientację, podobnie jak ciemność... tyle że był bardziej przerażający. Jego towarzysze tak dalece zatracili się w nieludzkiej nędzy, że nawet nie dało się w nich dostrzec wspólnych cech człowieczeństwa.

Stopy i dłonie zdrętwiały mu z zimna, ból obciążonych kajdanami rąk był przeszywający. Starał się stać zupełnie nieruchomo, gdyż najlżejszy ruch stóp powodował, że żelazo wbijało się głęboko w odarte ze skóry ciało.

Zapał w senny koszmar bólu i morderczego zmęczenia, ale nadal trwał na stojąco, chociaż wsparty o obrzydliwą ścianę. Nagle klapka w drzwiach znów się odchyliła, zazgrzytał klucz, szczęknął skobel.

Tym razem drzwi otworzyły się na całą szerokość i Rupert zamrugał, boleśnie porażony światłem lampy, którą strażnik trzymał wysoko, oświetlając po raz pierwszy nędzne pomieszczenie.

Wtem Rupert dostrzegł postać stojącą za strażnikiem. Była to szczupła kobieta, od stóp do głów spowita w czerń, z twarzą przesłoniętą gęstym, czarnym woalem.

- Boże wszechmogący! - powiedziała Octavia ze zgrozą, kiedy przepchnąwszy się obok strażnika, weszła do celi.

Rupert przeraził się.

- Wyjdź! Ty durniu, zabierz ją stąd! - W panice ryknął na strażnika. - Zaraza wisi w tym paskudnym powietrzu. Zabierz ją stąd!

- Ejże, wolnego - zaoponował strażnik. - Twoja zacna przyjaciółka chciała zobaczyć, jak się miewasz, zrobiłem ci więc przysługę. - Zaśmiał się oblesnie do więźnia w świetle lampy, jednym okiem zezując na przeciekające sklepienie.

Rupert z ogromnym wysiłkiem skoczył przed siebie, ciągnąc za sobą łańcuchy, niepomny na protesty obolałych mięśni i zdartej skóry.

- Octavio, odejdz!

Ale ona nie miała zamiaru go posłuchać, tylko chwiejnie ruszyła w jego stronę.

- O mój Boże, co oni z tobą zrobili? - Chwyliła jego dłonie i bezradnie zaczęła rozcierać jego zgrabiałe palce.

- No dobra, to chodź - powiedział strażnik do Ruperta i znowu oblesnie się uśmiechnął. - Twoja przyjaciółka kupiła ci ulgę. Masz szczęście, Lordzie Nicku.

Rupert powlókł się w kierunku światła lampy olejowej. Czuł się jak starzec zamieszkujący podziemną jaskinię, z dala od światła. Nagle uświadomił sobie, że przebywał w tym piekle zaledwie kilka godzin. Ile czasu trzeba by go złamać? Nie uwierzyłby, że tak niewiele. Była to upokarzająca konstatacja własnej słabości.

Octavia nadal ścisnęła jego rękę, ciągnąc go rozpaczliwie ku drzwiom, jakby obawiała się, że jeśli go stąd nie wyprowadzi, on na zawsze pozostanie w tym lochu.

- Nie miałaś prawa tu przychodzić - mówił wzburzony, a cała jego słabość w cudowny sposób minęła w obliczu lęku o nią. - To najgłupsze, co mogłaś zrobić. Czemu, zamiast przychodzić sama, nie zawiadomiłaś Bena?

- Zawiadomiłam. Układa się ze strażnikami o Petera - odparła Octavia. Łzy napłynęły jej do oczu, nie tyle wywołane jego ostrym tonem, co szokującym wrażeniem, jakie na niej wywarł jego obecny stan. Jak to możliwe, żeby w ciągu kilku godzin człowiek zamienił się w ruinę? - Strażniku, zdejmijcie kajdany! - zażądała, chwytając za ramię mężczyzny idącego przed nimi korytarzem. - Jak on ma iść? To przejście ciągnie się kilometrami. Ciało ma odarte do kości. - Łzy tłumili jej głos, ale w niczym nie osłabiało to jej furii i determinacji. Wiedziała, że oboje całkowicie zależą od dobrej woli i chciwości strażnika, który gdyby zechciał, mógłby wtrącić Ruperta z powrotem do lochu, bez względu na sumy, jakie by mu proponowała, ale jej głos

mimo to brzmiał rozkazująco, jakby chciała przemóc ewentualną złośliwość tego człowieka siłą swojej woli. - Zrób to, człowieku! Natychmiast!

- Nie mogę - odrzekł. - W lochu muszą być w kajdanach. Jak wyjdziemy na górę, to co innego.

- Dobry Boże - westchnęła Octavia z rozpaczą. - Daj, podtrzymam ci je.

Schyliła się, żeby unieść łańcuchy, ale były dla niej za ciężkie i upuściła je, płacząc z bezradności.

- To nic, Octavio - powiedział Rupert, krzywiąc się, bo jej wysiłki przysporzyły mu więcej złego niż dobrego. - Wszedłem tu, więc mogę wyjść.

- Ale to barbarzyństwo!

- Owszem - zgodził się cierpko. Nagle zachciało mu się śmiać. Całym sobą odczuł najśłodszą ulgę. To była Octavia, do której tęsknił przez ostatnie ponure tygodnie. Znow była jego porywającą odważną, niewinną w swej wrażliwości partnerką, którą pokochał do szaleństwa i której potrzebował.

A ponad to poczucie wybiła się myśl, że nie mogłaby sprowadzić Bena i przybyć mu na pomoc tak szybko, gdyby była zmuszona odbyć schadzkę z Philipem.

- Jesteś istnym aniołem miłosierdzia, moja droga, ale wolałbym, żebyś nie przychodziła.

Wiedział, że nie mówi prawdy, ale wiedział też, że musi, nie bacząc na swoje chęci, dopilnować, aby Octavia po raz drugi nie narażała swojego zdrowia ani nie ryzykowała, że jej tożsamość zostanie odkryta.

- Nie spodziewałeś się, że to zrobię, tak? - W jej głosie brzmiała uraza, ale przez gęsty woal nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

- Spodziewałem się, że masz więcej rozsądku.

Przystanął, ciężko dysząc. Cały czas starał się nie zwracać uwagi na ból kostek u nóg. Jak daleko jeszcze, zanim wyjdą na światło i powietrze?

Zaczął tłumaczyć jej łagodnie, ale tak cicho, że strażnik najwyraźniej nie zauważył, że się zatrzymali, i poszedł dalej.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, nie ma najmniejszego powodu, żebyś się kompromitowała. Nikt nie zna mojej prawdziwej tożsamości i prawdopodobnie nikt jej nie pozna aż do procesu. Do tego czasu ciebie i ojca już tu dawno nie będzie. Wróćcie do Northumberland. Wieści o procesie i straceniu rozbójnika nie dotrą tak daleko, a jeśli nawet, to nie wzbudzą szczególnego zainteresowania.

- Nie mów tak - sprzeciwiła się gorączkowym szeptem. - I tak się nie kompromituję. Nikt nie wie, kim jestem i nikt się nie dowie, przez ten welon nic nie widać. Do więźniów wciąż przychodzą odwiedzający.

- Ej, wy tam! Idziecie, czy tak wam się tu podoba, że wolicie zostać? -zawołał strażnik, unosząc do góry latarnię.

- Podły brutal - mruknęła Octavia. - Oprzyj się na mnie, Rup... to znaczy Nicku. Połóż rękę na moim ramieniu.

Uśmiechnął się lekko, ale nie skorzystał z tej propozycji, zaczął natomiast zastanawiać się, co powie Benowi, kiedy go zobaczy. Ten człowiek musiał postradać zmysły, żeby sprowadzić Octavię do Newgate. I nie dość, że ją sprowadził, to jeszcze pozwolił jej samej zstąpić w tchnące trującymi wyziewami trzewia lochu.

Wreszcie na końcu zimnego, wilgotnego korytarza ukazały się kręcone schody.

- Jak ty wejdiesz? - spytała Octavia z rozpaczą.

- Już raz tędy zszedłem - odparł Rupert, krzywiąc się. W gruncie rzeczy, wcale nie zszedł po schodach, a został zepchnięty przez swoją eskortę na sam dół.

Wspinaczka okazała się trudniejsza, niż sobie wyobrażał i kiedy wreszcie udało mu się wpełznąć na górę, ociekał potem.

A na górze było światło i powietrze. Co prawda powietrze nadal cuchnęło ekskrementami, ale małe okienka umieszczone wysoko w ścianach korytarza zapewniały lekki przewiew. Do krat odgradzających przepelnione cele wzdłuż korytarza przywarły rozmaite twarze. Octavia wbiła wzrok w ziemię, wdzięczna, że woal kryje jej twarz przed okropnymi spojrzeniami gapiów, którzy wołali do nich, kiedy przechodzili obok. Na ogół miotali wyzwiskami, ale czasami padło też słowo współczucia pod adresem Ruperta.

Strażnik otworzył drzwi na końcu korytarza i wtedy wyszli na wewnętrzny, opustoszały już dziedziniec, gdyż wszystkich więźniów pozamykano na noc. Rupert wciągnął głęboko w płuca ciepłe nocne powietrze. Gdzieś rozspiewał się kos, udając słowika, a jego ogarnęło poczucie kruchości cennego życia.

- Tędy - strażnik poprowadził ich wąską uliczką między dwoma skrzydlami więzienia. Na jej końcu, przy bramie, na progu więzienia stał niewielki budynek. Rupert go rozpoznał. Był już tu, kiedy go przyprowadzono. To tu jego ręce i nogi zakuto w kajdany. Wewnątrz ogień na palenisku rzucał

czerwony odbłask, a potężny, łysy mężczyzna spojrzął znad swoich miechówna wchodzących.

- Rozkuj go, Joe - rozkazał strażnik, spluwając na brudną podłogę.

Mężczyzna nic nie powiedział, mruknął coś tylko i wskazał na stojący pośrodku izby blok. Rupert postawił na nim prawą stopę. Kowal dwa razy uderzył młotem i ogniwa łańcucha puściły. Rupert postawił lewą stopę na bloku, a łysy zaatakował łańcuch rozgrzanymi do czerwoności obcęgami.

Octavia stała w drzwiach. Serce podeszło jej do gardła ze strachu, że obcęgi ześlizgną się i trafią Ruperta w nogę. Jednak nic takiego się nie stało, ogniwa rozpadły się i nogi rozbójnika były wolne. Kajdany z rąk zostały zdjęte w ten sam sposób. Rupert rozprostował ramiona z jękiem ulgi.

- Założymy je z powrotem, kiedy będą cię prowadzić do Old Bailey - zauważył strażnik. -Ale dopóki płacisz, co się należy, możesz chodzić wolno po paradnych apartamentach... zanim nie przeniosą cię do celi dla skazańców, ma się rozumieć.

Tego ostatniego zdania wypowiedzianego beznamiętnym, rzeczowym tonem Rupert starał się nie słyszeć. Zatem przenieśli go do paradnych apartamentów, czyli do części więzienia zarezerwowanej dla tych, których stać było na płacenie za wygody i prywatność, jak w pańskiej rezydencji. Opłata za umieszczenie tutaj wynosiła trzy gwinee. Rupert sam ją wniósł za Geralda Abercorn'a i Dereka Greenhorne'a, a także płacił po dziesięć szylingów i sześć pensów tygodniowo za osobne łóżko dla każdego z nich. Widocznie Octavia i Ben dokonali koniecznych opłat.

Szli z Octavią za strażnikiem, przez wewnętrzną bramę i na górę po schodach. Tam z korytarza wchodziło się do przestronnych izb. Powietrze było czyste i świeże, a zza drzwi pozamykanych na noc dobiegały głosy i brzęk kielichów.

Strażnik otworzył szeroko jedno z drzwi.

- Bardzo proszę, Lordzie Nicku. Dzięki swoim przyjaciółom masz całą izbę dla siebie - wskazał pomieszczenie szerokim gestem, po czym znów uśmiechnął się obleśnie. - No dobrze. Zostawiam cię z twoją zacną przyjaciółką. Kiedy panna będzie gotowa do wyjścia, czekam przy bramie na dole.

- Dwadzieścia osiem szylingów za tydzień - powiedziała Octavia ponuro, kiedy kroki strażnika zadudniły na schodach. - Ale przynajmniej nie musisz z nikim dzielić izby.

Odrzuciła welon i przyglądała mu się z niepokojem. Jej oczy były ogromne na tle śmiertelnie bladej twarzy.

- Nie muszę - zgodził się, rozglądając się po swoim lokum. Normalnie izba pomieściłaby czterech mężczyzn, co tłumaczyło astronomiczną opłatę.

- I jest tu praczka, która będzie sprzątać i doglądać cię - ciągnęła Octavia z tą samą podszytą niepokojem powagą. - Posiłki będziesz dostawać z kuchni naczelnika. Myślisz, że będzie ci tu wygodnie?

Rupert uśmiechnął się ironicznie.

- Tak wygodnie, jak to tylko możliwe w więzieniu - powiedział. - Octavio, masz tu więcej nie przychodzić.

- Nie mów głupstw - ucięła Octavia. - Usiądź i pozwól mi zmyć ci krew z czoła. W dzbanku jest gorąca woda, a Ben zaraz przyniesie ci wino i obiad z tawerny.

Posadziła go na krześle i delikatnie odgarnęła zlepione, przesiąknięte krwią włosy z rany na głowie.

- Co za sukinsyn - powiedziała, nalewając gorącą wodę do miski. - Nie miał powodu tak cię uderzyć.

- Jak udało ci się uciec Philipowi?

Zrezygnował już z próby skarcenia jej. Ból głowy nie pozwalał mu pozbierać myśli, a dotyk jej dłoni był chłodny i kojący.

- A, to - powiedziała Octavia, przygryzając wargę i marszcząc brwi w skupieniu. - No cóż, powiedziałam mu, że mam miesięczną niedyspozycję... że na skutek szoku wywołanego napadem przytrafiło mi się to niespodziewanie.

- Octavio! - wykrzyknął i byłby wybuchnął śmiechem, ale natychmiast skrzywił się z bólu, który przeszył mu czaszkę.

- To wyglądało bardzo prawdziwie - pochwaliła się z uśmiechem, delikatnie rozplątując kosmyk zlepionych włosów.

Na moment ponura rzeczywistość ustąpiła w cień przed cudownym poczuciem, że znów są razem, bez okropnego napięcia ostatnich tygodni. To co przedtem uważała za kwestię najistotniejszą, teraz zdawało się błahostką i nie mogła pojąć, dlaczego pozwoliła, by ich to rozdzieliło. Jednakże wszystko jest względne, a wobec terażniejszej upiornej rzeczywistości mało co mogło wydawać się ważne.

- Ej, Nick, rad jestem, że znajdujesz powód do śmiechu - odezwał się Ben od drzwi. W jego głosie smutek mieszał się ze zdziwieniem.

Wszedł do izby i postawił na stole koszyk, który przytaszczył. Rupert zwrócił się do niego z uśmiechem.

- Mój przyjacielu, w takiej sytuacji można tylko śmiać się lub płakać. - Wyciągnął rękę, którą Ben ujął mocno i serdecznie w obie dłonie.

- Co robić? - spytał bezradnie. - Sprowadzę najlepszego prawnika.

- Nie trać pieniędzy na prawnika - odparł Rupert. - Wiesz równie dobrze jak ja, że na nic się to nie zda.

- To samo mówiłam - powiedziała Octavia, wciąż zajęta przemywaniem paskudnej rany. - Musimy cię stąd wydostać.

Rupert i Ben wymienili spojrzenia nad jej głową, ale nic nie powiedzieli.

- Czy przyniosłeś tyle jedzenia, żeby starczyło na kolację dla nas wszystkich, Ben? - kontynuowała, jakby nie zauważyła ich milczenia, choć przecież zauważyła. - Ja sama jestem głodna jak wilk i chętnie napiłabym się kieliszek wina.

- Ano, jest zapiekanka z cielęciny i szynki, wędzony węgorz, niezły krążek sera i dwie flaszki burgunda. - Ben zaczął wypakowywać wiktuały z koszyka. - Dość dla nas trojga.

- No, teraz lepiej? - Octavia ze zmarszczonym czołem przyglądała się efektom swojej pracy. - Rana jest bardzo głęboka. Jestem pewna, że lekarz powinien ją zszyć.

- Nie, nie ma takiej potrzeby.

- Ale zostanie ci wielka blizna.

Rupert wzruszył ramionami. Jedna blizna więcej czy mniej na ciele trupa nie miała znaczenia. Nie powiedział tego, ale nie musiał. Octavia gwałtownie odwróciła się, zaciskając wargi.

- Są jakieś kubki na wino, Ben?

- Przyniosłem z tawerny. - Ben napełnił winem trzy cynowe kubki. - Nigdy bym nie pomyślał, że będę pić z tobą w tym miejscu, Nick. I czuję się winny.

- Niepotrzebnie. - Rupert pociągnął potężny łyk.

- Ktoś cię wydał gwardzistom. A kto to mógł być? Wypada, że ktoś Pod Królewskim Dębem. - Ben zadumał się, patrząc w swój kubek. - Morrissa u nas nie było tego popołudnia, kiedy o tym mówiliśmy. Był za to ten nowy chłopak stajenny. Robił swoje za murem, jak rozmawialiśmy z drugiej strony. Tak mi się wydaje.

- Co o nim wiesz?

- Niewiele. Ale szybko dowiem się, co trzeba - obiecał ponuro Ben.

- Zamykać wrota stajni, kiedy już koń uciekł - stwierdziła Octavia.

Do tej pory rozgrzewała ją determinacja, aby zapewnić Rupertowi wygodę, ale teraz, kiedy już zrobiła wszystko, co mogła, zaczynała ją ogarniać zimny lęk. To nadal jest Newgate. Nawet w tym przestronnym pomieszczeniu kraty i mury były grube. Nie potrafiła wyobrazić sobie, jak mogłaby ułatwić mu ucieczkę.

- Gdybym przyniosła kobiecie strój - powiedziała powoli - mógłbyś się przebrać i wymknąć z więzienia razem z innymi odwiedzającymi.

- Moja droga, nie spuszcza mnie z oka ani na moment - tłumaczył Rupert łagodnie. - Będą sprawdzać wszystko, co przyniesiesz. Lord Nick, rozbójnik, to zbyt cenna zdobycz, by mogli pozwolić sobie na zaniedbanie. Gdyby złapali mnie podczas próby ucieczki, znów by mnie zakuli w kajdany i wtrącili do lochu.

- Ale nie możesz się tak po prostu poddać! - wykrzyknęła, kręcąc ze zniecierpliwieniem głową, kiedy Ben podsunął jej zapiekankę. Nagle straciła apetyt. - Powieszają cię, jeśli uznają cię za winnego.

Rupert westchnął.

- Nie mówmy o tym teraz. Dopij wino i Ben zabierze cię do domu.

Zmęczenie żłobiło bruzdy wokół jego ust, wzrok miał ciężki z napięcia i bólu, jaki sprawiała mu rozbita głowa i sponiewierane ciało. Octavia podniosła się natychmiast.

- Przyjdę rano.

- Wolę, żebyś nie przychodziła - powiedział cicho. - Ben zadba o moje potrzeby.

- Lepiej niż ja? - W złocistych oczach odmalowało się cierpienie, usta jej zadrżały.

- Nie we wszystkim - przyznał z nikłym porozumiewawczym uśmiechem.

Ben chrząknął.

- Wstawiłem Petera do stajni przy tawernie. Pan Akerman, naczelnik, wydał go bez większych kłopotów.

- To dobrze. - Rupert wstał, ale dość niepewnie, zakręciło mu się bowiem w głowie. - Odprowadź Octavię bezpiecznie do domu, Ben.

- Ano, ma się rozumieć. Chodźmy, panienko. Octavia stała niezdecydowana.

- Czemu nie miałabym zostać na noc? Trzeba opatrywać twoją ranę i...

- Nie - przerwał jej Rupert. - Idź już. - Przygarnął ją do siebie i lekko pocałował w czoło. - Zrób to, o co proszę, Octavio, i trzymaj się z daleka. Nie chcę ryzykować twojej reputacji.

- Nie mogę zrobić tego, o co prosisz - powiedziała cicho Octavia. - Bardzo mi przykro. - Wspięła się na palce i musnęła wargami jego usta. - I nie będę skompromitowana. Poczekaj, aż mnie zobaczysz jutro. Nie poznasz mnie.

Uśmiechała się, ale nie potrafiła ukryć wysiłku, jaki w to wkładała.

- Teraz odpoczywaj, a jutro przyniosę ci laudanum. Powinnam pomyśleć o tym dzisiaj, ale tyle było... - Rozłożyła ręce bezradnym gestem i odwróciła się do wyjścia.

Rupert nasłuchiwał ich kroków cichnących na kamiennych schodach. Potem położył się na jednym z łóżek, z rękoma pod głową.

Ile czasu mu zostało do procesu? Oczywiście prawnik potrafiłby wszystko przeciągać. Byłaby to jedyna korzyść. Ale czy on chce to przeciągać? Czy chce spędzać dni i noce w tej izbie, wiedząc, że nie ma przed nim przyszłości? I że opuścić to miejsce może jedynie na wozie wiozącym go na Tyburn?

Z pewnością lepiej byłoby skończyć z tym jak najszybciej. Ale wiedział też, że nawet po ogłoszeniu wyroku śmierci można gnić miesiącami w oczekiwaniu na egzekucję. I on będzie gnił miesiącami w celi dla skazańców.

Musi zabronić Octavii wizyt. Zbyt wiele bólu sprawiałaby im obojgu. Co za ironia losu, odzyskać dawną harmonię tylko dlatego, że stoi teraz w obliczu śmierci.

Ale zanim ta śmierć nastąpi, musi zakończyć sprawę z Rigbym i Lacrossem. Musi pisać oficjalne wezwania do zapłaty. Ben będzie dostarczał je w odpowiednich odstępach czasu. I Ben wezwie komorników. W końcu bank zajmie hipotekę Hartridge Folly.

Jeszcze cztery tygodnie i sprawa będzie całkowicie zakończona. A on może rozgrywać swoją partię, tkwiąc w murach Newgate, jeśli tylko dane mu są te cztery tygodnie. Ale przecież wiadomo, że prawo, nawet bez pomocy adwokata, działa opieszale.

Zamknął oczy, starając się uciszyć młot walący w skroniach. Przed oczami stanęła mu twarz Philipa. Tak bliski był doprowadzenia do końca sprawy, która swój początek miała tamtego dnia na Beachy Head. Tak bliski zdemaskowania swojego brata bliźniaka, pomszczenia Gervase'a. Było tak blisko, ale równie dobrze mogły to być tysiące kilometrów.

Uzurpator do tytułu hrabiego Wyndham już wkrótce stanie się jego prawnym właścicielem - nikt nie zakwestionuje jego prawa.

Kiedy Rupert się obudził, wszystkie stawy miał zeszywniałe, ale walenie w głowie zelżało. Klnąc na czym świat stoi, podźwignął się z łóżka i dowlókł do okna wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec.

Dziedziniec pełen był ludzi - mężczyźni, kobiety i dzieci kręcili się bezustannie, przekupnie i tragarze przepychali się przez tłum, robiąc świetny interes, zaspokajając potrzeby więźniów.

- Życzysz sobie śniadanie, panie?

Odwrócił się na dźwięk kobiecego głosu dobiegającego od drzwi. Stała tam dziewczyna, z nieśmiałym uśmiechem wycierając ręce w brudny fartuch.

- Ktoś ty?

- Amy. Twoja praczka, panie. - Dygnęła, wytrzeszczając oczy na sławnego rozbójnika. Jego ubranie było podarte i poplamione, ale doskonałej jakości. A znużenie malujące się na twarzy i potargane włosy nie przyćmiły urody tego niezwykłego mężczyzny. - Mogę przynieść porządną kawał baraniny i kilka jajek, jeśli sobie życzysz.

Rupert rozważał tę ofertę. Zdecydował, że musi wzmocnić siły, na ile to będzie możliwe.

- Dziękuję, Amy - powiedział więc.

Dziewczyna znów dygnęła i zniknęła. Rupert ostrożnie przeciągnął się, jego mięśnie zaprotestowały gwałtownie. Czuł się tak, jakby od stóp do głów był jednym wielkim sińcem.

Na czymś, co udawało toaletkę w rogu izby, stało pęknięte lustro. Przyjrzał się uważnie swojej twarzy, krzywiąc się niemiłosiernie. Nieogolony, z zapadniętymi oczami, posiniaczony. Można by nim straszyć dzieci. Pomacał ranę na czole. Nie krwawiła już, a Octavia troskliwie oczyściła ją z zakrzepłej krwi, ale rozcięcie wyglądało paskudnie. Prawdopodobnie przydałby się chirurg. Ale jaki jest sens zszywać czoło trupa?

Musi przestać myśleć w ten sposób. Ani nie odmieni tym rzeczywistości, ani nie uczyni jej łatwiejszą do przyjęcia.

- Proszę, Lordzie Nicku. - Dziewczyna wróciła z pełną tacą. - Jest i kwaterka piwa. - Postawiła tacę na stole. - Wszystko z prywatnej kuchni naczelnika, panie. Tak jak załatwili twoi przyjaciele.

Rupert skinął głową i usiadł, nagle poczuł, jak bardzo jest głodny, kiedy doleciał do niego smakowity aromat i ślina napłynęła mu do ust. Podczas gdy on jadł, dziewczyna krzątała się po izbie, zaścielała łóżko.

- Masz jakieś ubrania, które mogłabym uprać, panie?

- W tej chwili mam tylko to, co na grzbiecie - stwierdził cierpko, wstając od stołu, na którym zostały puste talerze.

- Przyniosę twój obiad o czwartej, panie. - Amy dygnęła i zabrała tacę. - Gdybyś mnie potrzebował wcześniej, powiedz tylko Timsonowi, dozorczy. On pośle po mnie.

- Mogłabyś przynieść mi gorącej wody - powiedział. - I mydło, i brzytwę.

Dziewczyna skinęła głową. Kiedy była już przy drzwiach, ze schodów dobiegł podniesiony głos.

- Nieść tę wannę ostrożnie, wy ofermy! Żem zapłaciła majątek, a wy wszystko rozlewacie na schody.

- Dobrze już, dobrze, dziewczyno. Powściągnij swój ozór.

- Też mi coś - padła gniewna odpowiedź. - Nic ci do mojego ozora. Płacę dobre pieniądze i tylko to ma cię obchodzić.

Rupert słuchał z niedowierzaniem. To był bez wątpienia głos Octavii, choć soczysta wymowa nosiła piętno ulicy. Nieprzerwanemu potokowi zachęt i łajania towarzyszyło głośnie sapanie, mrukiwe przekleństwa i ciężkie kroki tych, kimkolwiek byli, którzy taszczyli po schodach jakiś wielki ciężar.

- No i dobrze. Postawić to tam. I uważać, nie rozlać więcej.

W drzwiach ukazała się Octavia, rozkazującym gestem wskazując na środek izby.

- I przynieść mi jeszcze dwie konwie wody.

Sięgnęła do kieszeni niechlujnego fartucha, skąd wydobyła garść monet.

- No, to za waszą fatygę - powiedziała wyniośle. - A teraz migiem po te konwie.

Dwaj mężczyźni, którzy z poświęceniem wtaszczyli wannę z gorącą wodą po stromych schodach, wzięli pieniądze, mruknęli coś pod nosem i odeszli, skinąwszy głowami rozbójnikowi, który zdumiony patrzył na swojego gościa.

Octavia miała na sobie jaskrawopomarańczową suknię, która najwyraźniej dni świetności miała już za sobą. Jej piersi wychylały się z głębokiego dekoltu obszytego podartą, brudną koronką. Spod podwiniętej powyżej kostek spódnicy wystawała nieświeża halka i prymitywne, drewniane chodaki. Na głowie miała czerwoną chustkę zawiązaną pod brodą, a widoczne spod niej włosy splecione były w warkocz przerzucony przez ramię. Smuga brudu zdobiła jej nos i policzek. Za paznokciami również tkwił brud.

Odstawiwszy koszyk i zawinięty w płótno tobolek, uśmiechnęła się do niego. Wzięła się pod boki i okręciła, a pomarańczowa suknia i brudna halka zawirowały wokół niej.

- Czyż nie jestem idealną dziewczką z tawerny?

- Piekło i szatani, Octavio! - wykrzyknął. - Co to ma być?

- Pomyślałam sobie, że powinny cię odwiedzać dwie kobiety - wyjaśniła. - Jedna będzie tajemniczą damą w woalu, a druga dziewczką z tawerny. To ich nieźle zmyli, nie sądzisz?

Kręcił głową, nie wierząc własnym oczom, ale zanim zdążył coś powiedzieć, wróciła Amy z brzytwą mydłem i dzbankiem gorącej wody. Ona także ze zdumieniem patrzyła na gościa Lorda Nicka, ale minę miała nieprzyjazną i podejrzliwą.

- Coś ty za jedna?

- Przyjaciółka Lorda Nicka - powiedziała Octavia tonem wyższości. - Jeśli to w ogóle twoja sprawa, dziewczyno.

- To mój pan - oznajmiła Amy, wydymając wargi. - On nie potrzebuje, żeby takie jak ty go doglądały. To moje zajęcie i radzę ci trzymać się od tego z daleka.

- Mam pełne prawo odwiedzać więźnia - odpaliła Octavia, marszcząc nos, jakby coś brzydko zapachniało. - Ty jesteś jego służącą, a ja jestem jego przyjaciółką i to ja tobie radzę pamiętać o tym. Wezwiemy cię, jak będziemy jeszcze czegoś potrzebować.

Amy nadeła się i potrząsnęła głową, gotowa już chlusnąć stekiem wyzwisk, ale Rupert, powstrzymując się od śmiechu, wkroczył pomiędzy nie.

- Dziękuję, Amy - powiedział serdecznie. - Bardzo ci jestem wdzięczny za pomoc. Teraz wiem, że zawsze będę mógł na ciebie liczyć.

Amy pohamowała się i tylko rzuciła gościowi rozbójnika piorunujące spojrzenie z błyskiem triumfu.

- Ja tu przyjdę, kiedy tylko będę ci potrzebna, panie - zapewniła. - Nie tak jak goście, co to muszą wyjść.

- Właśnie - powiedział Rupert, odprowadzając ją do drzwi.

Potrząsnąwszy głową w kierunku Octavii po raz ostatni, Amy wyszła.

Rupert zamknął za nią drzwi, oparł się o nie plecami i przyglądał się Octavii wzrokiem pełnym rozbawienia.

- Przypuszczam, że byłoby śmieszne, gdybym stwierdził, że jestem zaskoczony tym, jaką świetną stałaś się aktorką.

- Oczywiście - stwierdziła poważnie. - Przecież wiesz, jaka ze mnie aktorka. Czyż nie występujemy na scenie od chwili, kiedy się spotkaliśmy?

- Masz rację. Ale gra już się skończyła, Octavio.

Pokręciła głową.

- Nonsens. A teraz chodź i się wykąp. Przyniosłam ci czyste ubrania, laudanum, arnikę, wszystkie twoje przybory toaletowe, masz więc zapewnioną względną wygodę, dopóki nie znajdziemy sposobu, żeby cię stąd wydostać.

Linia jej warg świadczyła o uporze, a w głosie pobrzmiwała nuta, która kazała Rupertowi uznać, że nie ma sensu się jej sprzeciwiać. Jeśli wiara, że coś da się zrobić, pomagała jej, jakie miał prawo odbierać jej złudzenia? Sama już niebawem będzie musiała stawić czoło rzeczywistości.

- Pomyślałaś o wszystkim - powiedział.

- Mam nadzieję, że tak. - Uśmiechnęła się, podchodząc do niego. - Nic nie musisz robić. Pozwól mi tylko zadbać o ciebie.

Delikatnie zsunęła mu z ramion podarty kaftan. Umiejętnie zdjęła kamizelkę i rozpięła koszulę. Mimowolnie wyrwał się jej okrzyk przerażenia na widok siniejącej pręgi biegnącej przez jego żebra.

- Co oni ci zrobili?

- O, trochę się zabawiali - powiedział. - Ale nie jestem ze szkła, słodczy.

- Nie jesteś - zgodziła się, delikatnie zsuwając mu koszulę z ramion. - Ale gdybym tylko dostała ich w swoje ręce, wyrwałabym im ich tchórzliwe serca! - Jej oczy miały pioruny, a dłonie przesuwwały się w stronę pasa. - Tchórzliwi nikczemnicy!

- Racja - zgodził się, uśmiechając się na widok jej wzburzenia. Czuł, jak przygnębienie ustępuje wobec jej pełnej życia obecności.

Rozpięła pas i bryczesy, które zsunęła mu z bioder, po czym popchnęła go lekko w stronę łóżka.

- Usiądź.

- Bywałem już rozbierany w bardziej uwodzicielski sposób - mruknął, siadając na krawędzi łóżka, a ona pochyliła się, żeby zdjąć mu buty. - Zachowujesz się raczej jak pielęgniarka, a nie kochanka.

Octavia podniosła wzrok i uśmiechnęła się. W jej piwnych oczach widać było ulgę, że on znów zaczyna być dawnym sobą, że odgaduje jej intencje.

- Cierpliwości - obiecała. - Wszystko w swoim czasie.

- O, to dobrze - powiedział, udając westchnienie ulgi, kiedy ostatecznie uwolniła go z ubrania.

- Teraz wejdź do wanny - poleciła mu Octavia. - A, są ci ludzie z konwiami.

Rubasznie powitała w drzwiach mężczyzn niosących wodę, a brwi Ruperta podjechały do góry ze zdumienia. Czas spędzony w Shoreditch najwyraźniej nie poszedł na marne.

Zanurzył się w parującej wodzie i jęknął. Przyjemność mieszała się z bólem, jaki sprawiała poraniona, otarta skóra w zetknięciu z gorącą wodą. Oparł głowę o krawędź wanny, nogi wywiesił na zewnątrz.

Octavia starannie zamknęła drzwi za posługaczami i podeszła do niego, taszcząc dwie ciężkie konwie.

- Umyję ci głowę - oznajmiła zdecydowanie, uklękła koło wanny i dźwignęła w górę jedną z konwi. - Przesuń się do przodu i odchyl głowę.

Rupert, posłuszny, zamknął oczy, czując spływający po nim strumień ciepłej wody. Czuł się tak, jakby wrócił do dzieciństwa i poddawał się troskliwym zabiegom opiekunki. To go zarówno rozśmieszyło, jak i odprężyło.

Dłonie Octavii łagodnie i umiejętnie masowały mu skórę głowy. Przypomniawszy sobie, jak on sam zajmował się nią w ten sposób, kojąc jej napięcie. Każdym nerwem pamiętał jędrność jej skóry, szczupłe ciało poddające się jego dłoniom.

- Chyba ci się to podoba - stwierdziła Octavia swobodnie, przesuwając dłonie w dół po jego ciele, by natrafić na niezaprzeczalny dowód jego zadowolenia.

Jęknął cicho z rozkoszy, jego męskość pulsowała pod pieścotliwym dotykiem palców Octavii.

- Jeszcze bardziej by mi się podobało, gdybyś zdjęła ubranie - mruknął kapryśnie.

Octavia z uśmiechem pochyliła się nad wanną żeby go pocałować. Wargami musnęła jego usta, polizała policzki, powieki, zatrzepotała rzęsami o czoło Ruperta.

Siedząc na piętach, rozsznurowała stanik i zsunęła go z ramion, następnie rozwiązała troczki brudnej halki i naga do pasa uklękła, sięgając po mydło. Namydliła dłonie i pochyliła się nad nim. Jej krągłe piersi wisiały jak brzoskwinie nad jego ustami, więc chwycił je wargami, pieścił językiem, przygryzał delikatnie, a ona mydliła mu kark długimi, pieścotliwymi pociągnięciami.

Przesunął dłonie po jej żebrach. Skłębiony materiał wokół jej talii przeszkodził mu.

- Zdejmij resztę - nakazał, wodząc gorącym językiem pomiędzy jej piersiami.

Octavia uśmiechnęła się, rozpięła haftkę i wyplątała się ze spódnicy i halki.

- Lepiej? - Uklękła prosto, aby mógł widzieć jej ciało nagie do połowy ud, gdzie zaczynały się przytrzymywane podwiązkami, tanie, bawełniane pończochy.

- O wiele! - Chwyciwszy ją mocno w talii, przeniósł nad krawędzią wanny i w rozbryzgach wody posadził na sobie w wąskiej wannie.

- Och, zamoczyłeś mi pończochy! - wykrzyknęła, udając oburzenie.

- Trzeba było je zdjąć - stwierdził spokojnie. Objął ją dłońmi za szyję, kciukami gładził miejsca,

gdzie wyczuwał przyspieszone tętno. Wtem zmrużył oczy, z których znikła wesołość.

- Brakowało mi ciebie, Octavio. Bardziej niż umiałbym wyrazić.

- A mnie ciebie - powiedziała, pieszcząc jego twarz czubkami palców. - Tak bardzo pragnęłam, żebyś ukoił mój żal. Żebyś skłonił mnie do wybaczenia ci. Ale wiem, że nie dawałam ci najmniejszej szansy. To było silniejsze ode mnie.

- To, co zrobiłem, było godne pogardy - powiedział. - Moim jedynym usprawiedliwieniem jest przeszłość.

- I nadal nie chcesz mi powiedzieć?

Pokręcił głową, a oczy pociemniały mu z bólu i gniewu, które już umiała rozpoznać.

- To historia, którą muszę zabrać do grobu, Octavio. Nie ma już sposobu, aby naprawić zło. I nic nie da rozpowiadanie o tym.

Jej oczy błysnęły.

- Mylisz się - stwierdziła spokojnie. - Nigdy jeszcze się tak nie myliłeś, Rupercie Warwicku.

Zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, zamknęła mu usta pocałunkiem, pełnym tak rozpaczliwego pragnienia, że dał się porwać sile i pasji jej przekonania. Pod wpływem pragnienia i siły woli Octavii przekonanie Ruperta co do beznadziejności obecnej sytuacji oraz braku przyszłości rozwiało się jak dym.

Wbijając palce w ramiona Ruperta, całując go w usta, jakby chciała wypić z nich słodycz, pożreć go, posiąść, z dzikością wampira owładniętego do bólu pragnieniem krwi. Ciało Octavii falowało, uda rozsunęły się i przyjęła go do siebie, nie odrywając ust od jego ust, potem uniosła się i opadła znowu, wbijając mu paznokcie w skórę, gryząc w wargi.

Rupert nie odgrywał aktywnej roli w tej grze. To Octavia kochała go z całą zaborczością wygłodniałej kochanki, a on poddawał się temu. Jego ciało pulsowało rozkoszą pod naporem rozpalonego, mokrego ciała Octavii, która zmysłowo szeptała mu do ucha.

Podniosła głowę i wtedy ujrzał jej twarz przeobrażoną pożądaniem i coraz pełniejszym zaspokojeniem. Miała świetlistą skórę, oczy ogromne z zachwyty, usta rozchylone w oczekiwaniu. Przejechała językiem po jego wargach, potem nachyliła się i zlizwała słony pot, który wystąpił mu na czoło.

- Pragnę cię - wyszeptała. - Boże, jak ja cię pragnę.

Zacząła coraz szybciej poruszać biodrami, a on wchodził w nią coraz głębiej, a kiedy już zbliżał się moment ekstazy, powiedziała żarliwie:

- Nie pozwolę ci umrzeć, Rupercie.

I wtedy jej ciało zdrząła, trawione ogniem, porwane przyrywem namiętności, a słowa uleciały jak skrawki papieru porwane huraganowym wichrem.

Jednak kiedy fala opadła i ogień przygasł, usłyszał znów te słowa, szeptane do ucha. Nie miał na nie odpowiedzi, ale też Octavia nie prosiła o odpowiedź.

Leżała na nim w gwałtownie stygnącej wodzie, rytm jej serca z wolna uspokajał się, dostosowywał się do jego rytmu. Ich serca biły równo jedno przy drugim.

Uklękła i śmiejąc się, spojrzała na niego. Twarz miała spokojną i łagodną, oczy błyszczały wesołością i spełnieniem, a on zastanawiał się, czy te żarliwe słowa były wytworem jego imaginacji.

- No właśnie. Czyż to nie cudowny lek na rany?

- Nie ma lepszego - przyznał, chwytając ją mocno za biodra. - I zachowanie w sam raz jak przystało na dziewczkę z tawerny. - Poklepał ją po pośladku. - Ale niestosowne, jak sądzę, dla damy w woalu.

- Och, tamta będzie cię rzadko odwiedzać - powiedziała Octavia, ocierając się zmysłowo o jego dłonie. - Tyle tylko, ile trzeba, żeby stworzyć pewien nastrój tajemniczości.

- Wyskakuj - powiedział Rupert, klepiąc ją na koniec. - Zanim mała Amy tu wejdzie i narobi wrzasku.

- Zazdrosne dziecko? - zauważyła Octavia, gramoląc się z wanny. Cała ociekała wodą. - Zaraz, co ja zrobiłam z ręcznikami?... A, tu są, wciąż w koszyku.

Wyciągnęła gruby, biały ręcznik, którym owinęła się zgrabnie.

- Chodź, milordzie, niech cię wytrę, posmaruję maścią twoje siniaki.

Z uśmiechem podniósł się, strząsając z siebie deszcz kropel i stał posłusznie, podczas gdy Octavia wycierała go do sucha. Następnie zaczęła go obchodzić wkoło z wyrazem skupienia na twarzy i

nakładać arnikę na posiniaczone miejsca.

- A jakby tak tutaj? - mruknęła figlarnie, przesuując dłońmi po jego brzuchu. - Jestem pewna, że trochę tutaj też nie zaszkodzi.

Rupert chwycił ją za nadgarstki i odsunął jej ręce od siebie.

- Litości, Octavio! Potrzebuję trochę czasu, żeby dojść do siebie.

- Też coś! - prychnęła gniewnie. - Od kiedy to?

- Odkąd zajęło się mną trio nikczemnych barbarzyńców - stwierdził; Octavia się stropiła.

- Och, biedny, najsłodszy, jak jestem bezmyślna.

Podbiegła do tobołka, który przyniosła ze sobą.

- Zobacz, mam tu czystą bieliznę i twój strój do konnej jazdy. Pomyślałam, że będzie ci w nim wygodniej niż w czymś bardziej oficjalnym.

- Nie spodziewam się zaproszenia do St James Palace, bądź pewna - rzucił ironicznie, biorąc od niej tobołek.

Octavia spojrzała, jakby miała coś powiedzieć, ale tylko zacisnęła wargi i zaczęła zbierać swoje porzucone ubrania. W milczeniu ściągnęła przemoczone pończochy.

Rupert zapiął koszulę i wsunął ją w spodnie z westchnieniem ulgi. Ile dobrego może zdziałać czyste ubranie, pomyślał. Choć oczywiście swoje obecne dobre samopoczucie powinien przypisać czemuś więcej niż tylko zmianie garderoby.

Zerknął na Octavię, która wsunęła bose stopy w drewniaki. Czując na sobie jego wzrok, spojrzała na niego z uśmiechem.

- Teraz wyglądasz o wiele bardziej jak ty.

- Czuję się też o wiele bardziej sobą- zgodził się, dotykając nieogolonej brody. -A kiedy się ogolę, będę sobą już zupełnie.

- Ben przyjdzie cię odwiedzić. Powiedział, że Bessie na pewno obładowuje go wiktuałami i innymi dobrami dla ciebie.

Przysiadła na szerokim parapecie, machając nogami. Z przyjemnością czuła na plecach ciepłe promienie słońca, a on tymczasem namydlił twarz i zaczął się golić brzytwą.

- On to bardzo ciężko znosi - dodała.

Rupert nic nie odpowiedział. Wiedział, jak może czuć się Ben. Zaledwie w lutym właściciel zajazdu utracił za sprawą kata dwóch najbliższych przyjaciół. Gerald Abercorn był mu prawie jak brat. Stańc w obliczu straty kolejnego drogiego przyjaciela było nie do zniesienia.

Octavia spojrzała przez ramię na wewnętrzny dziedziniec. Panował tam jeden wielki chaos i prawie nie sposób było odróżnić więźniów bez kajdan od ich przyjaciół i rodzin oraz rozmaitych handlarzy, którzy krążyli w tłumie ze swoimi towarami. Przecież musi być możliwe przemycenie w tej ciżbie jednego człowieka.

Spojrzała znów na Ruperta, na jego szerokie plecy pochylone nad lusterkiem. Trudno będzie przebrać Lorda Nicka, ale musi być jakiś sposób.

Wyjrzała znowu i spostrzegła Bena przepychającego się przez tłum. Na ramionach niósł dwa kosze.

- Jest Ben.

- To świetnie. - Rupert otarł ręcznikiem mydło z twarzy i przyjrzał się sobie uważnie w pękniętym lusterku. - Czuję się jak nowo narodzony. Jesteś cudotwórczynią, słodczy. - Odwrócił się, rozpościerając szeroko ramiona.

- To tylko taki sobie cud - powiedziała, tuląc się do niego, z głową na jego piersi. - Jestem pewna, że potrafię dokonać większego.

Pogłaskał ją po włosach, powiódł palcem po policzku Octavii, ale nic nie powiedział.

- No, jestem, Nick. Widzę, że panienka przyniosła ci świeże odzienie. -Ben wszedł do izby, dysząc ciężko po wspinaczce z ciężarami po stromych schodach. Weselości w jego głosie przeczyła udręka w oczach i ściągnięta zmartwieniem twarz. - Bessie przysłała wiktuałów dość dla całego wojska. -Z głuchym odgłosem postawił kosze na stole.

- Mała Amy będzie tak kręcić nosem, że jej odpadnie - powiedziała Octavia, zeskakując z parapetu. -To praczka Nicka, Ben. Bardzo zaborcza. W zasadzie próbowała mnie stąd wyrzucić.

Ben przyglądał się jej zdumiony.

- Bez obrazy, panienko, ale mnie to nie dziwi. Wyglądasz doprawdy jak małe ladaco.
- Wątpię, żeby moja tożsamość została ujawniona w tym przebraniu - zaszcebiotała radośnie Octavia.
- No, widzi mi się, że nie - powiedział Ben.
- Zostawię was teraz samych - oznajmiła. - Mam pewne sprawy do załatwienia.
- Mam nadzieję, że nie w tym stroju. - Rupert uniósł brwi.
- Nie. Jako lady Warwick - odparła. -Niedobrze, żebyśmy oboje zniknęli z towarzystwa w tej chwili. Ludzie wierzą, że wyjechałeś z miasta na kilka dni i muszą wierzyć w to nadal. Unikniemy w ten sposób niewygodnych pytań, kiedy już wrócisz.
- Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia.
- Przypuszczam, że po Franku ani śladu. - Rupert zmienił temat.
- Na razie, nie. - Podeszła pocałować go na pożegnanie. - Wrócę po południu... jako dama w woalu. Chcesz, żebym ci coś przyniosła?
- Szachy i książki. Spytaj ojca o radę. Coś, czym będę mógł zająć umysł... może historię Rzymu.
- Octavia zagryzła wargę.
- On jest przekonany, że wyjechałeś w interesach. Jak mam mu wyjaśnić taką prośbę?
- Coś wymyślisz - powiedział, całując ją w czoło. - Jeśli będziesz potrzebowała pieniędzy, znajdziesz je w sejfie w moim gabinecie. Kluc jest w górnej szufladzie biurka. W sejfie są też akty własności Hartridge Folly.
- Już? Odebrałeś dom tym świniom?
- Prawie. Brakuje jeszcze tylko paru formalności, ale Ben wie, co robić.
- Ano. Tyle to wiem - powiedział Ben, kiwając głową. - Nie martw się ; o to, panienko.
- Wcale się nie martwiłam - powiedziała zgodnie z prawdą. Jak wyjaśnić, że to, o czym marzyła, wydawało się jej teraz tak nieistotne? - Czyli do zobaczenia? - Zdobyła się na uśmiech i wyszła. Rupert podszedł do okna i patrzył, jak pojawiła się na dziedzińcu. Spojrzała w górę i pomachała. Odpowiedział machnięciem i śledził wzrokiem jej drogę przez tłum do ciemnego, wąskiego przejścia prowadzącego do głównej bramy. Spozrzegł, że powiedziała coś do strażnika przy bramie, energicznie kiwając głową w czerwonej chustce. Potem minęła go i zniknęła na Holborn, w zewnętrznym świecie wolności.
- Odwrócił się do Bena.
- Cóż, stary przyjacielu, nie popadajmy w melancholię. Mam dla ciebie kilka poleceń.
- Ano. - Ben usiadł przy stole i podsunął sobie jeden z koszyków. - Pomówmy o nich przy kieliszku porto.

Octavia szybkim krokiem szła przez Holborn. Rupert zrezygnował. Zrezygnował, zanim w ogóle zaczęli. Jak on mógł? Może naprawdę nikt jeszcze nie uciekł z Newgate, choć jej zdawało się to trudne do uwierzenia, ale nawet jeśli, to musi być ten pierwszy raz. Ona nie zrezygnuje. Ani też nie zaprzestanie odgrywania swojej roli w ich wspólnym przedsięwzięciu. Może jeśli zdobędzie obrączkę, Rupert przekona się, że ciągle jest jakaś przyszłość, tylko musi o nią zacząć walczyć. A nawet jeśli to go nie przekona - nawet jeśli nadal nie przestanie wierzyć, że nie ma przyszłości - przynajmniej będzie miał satysfakcję, wiedząc, że wyrównał straszną krzywdę, jaką wyrządził mu Philip Wyndham, cokolwiek mu zrobił. Może sobie mówić, że niczego się tym nie osiągnie. Może sobie mówić, że zabierze tajemnicę do grobu. Ona udowodni mu, że się myli.

Ale jak to zrobić?

Uskoczyła w boczną uliczkę na widok zbliżającego się w jej stronę tłumy wznoszących okrzyki i powiewających transparentami demonstrantów.

„Precz z papieżem... precz z papieżem”, rozbrzmiewało w parnym powietrzu znane skandowanie. Twarze mijających ją błyszczały od potu i entuzjazmu. Jeden z nich schylił się po kamień, którym cisnął w stragan ciastkarza.

- Ej, ty! - Czerwona z wściekłości twarz cukiernika wychynęła zza straganu. - Ty tam! Co ty sobie myślisz?

- Precz z papieżem! - drwiąco wrzasnął chłopak. - Wypisz to na swoim straganie, stary, a nie będą na ciebie lecieć kamienie.

Ktoś się zaśmiał, szmer uznania przeszedł po szeregach demonstrantów. Następny kamień uderzył o framugę drzwi po drugiej stronie ulicy, nie czyniąc szkody.

Octavia cofnęła się głębiej w cień. Coś paskudnego wisiało w powietrzu.

Poczekala, aż przejdą i ruszyła swoją drogą, zastanawiając się, jakie to dziwne, że zaledwie kilka godzin temu podstęp Ruperta zaprzętał jej umysł, urastając do upiornych rozmiarów, tak upiornych, że nie była w stanie wyobrazić sobie, jak mogłaby mu go wybaczyć, a już na pewno zapomnieć. Teraz wydawał się jej nieistotnym nieporozumieniem, do jakiego doszło między dwojgiem ludzi, zanim się nawzajem poznali. Rupert powziął desperacki plan, który wymagał desperackich metod i po prostu uciekł się do środków, jakie miał w zasięgu ręki.

Jakie miał w zasięgu ręki, powtórzyła w myślach, i stanęła jak wryta pośrodku ulicy. Najprawdopodobniej to Bessie dostarczyła narkotyki. Jeśli istnieją narkotyki, które mogą wywołać taką reakcję, z pewnością istnieją i takie o przeciwnym działaniu.

Stała nieruchomo, a pomysł dojrzywał w jej głowie. Był doskonały. Musi nakłonić Bessie do współpracy. A dla Nicka Bessie zrobi wszystko.

23

Letitia stała w pustym pokoju dzieciennym, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Czuliła się tak, jakby odjęto jej część ciała albo jakby krew przestała docierać do któregoś z organów, gdzieś głęboko w środku. Kołyska Susannah, z firaneczką z różowej gazy, wciąż stała przy oknie, ale w powietrzu nie unosił się już delikatny, dziecięcy zapach, kuszący aromat świeżego mleka i wanilii.

Letitia zaczęła krążyć po pokoju, wodząc palcami po komodzie, po niskim fotelu bez poręczy, w którym kołysała dziecko. Podniosła włóczkową owieczkę z różową kokardą na szyi. Susannah tak ją lubiła, a jakoś zapomniano o niej w zamieszaniu pospiesznego wyjazdu. Czy płacze za nią?

Pokój dziecienny w Wyndham Manor jest niski, na poddaszu. Meble są ciężkie, staroświeckie, ściany poprzecinane dębowymi belkami, podłoga pochyła i skrzypiąca. Nie to, co ten widny, przestronny pokój z oknami wychodzącymi na londyński plac. Pokój, w którym Letitia wciąż słyszy echo gruchania dziecka, wciąż widzi twarzyczkę uśmiechającą się w kołysce.

Umieściła włóczkową owieczkę na półeczce nad kominkiem i powolnym, niechętnym krokiem podeszła do drzwi. Był już początek czerwca. Niebawem towarzystwo opuści miasto i rozjedzie się do swoich wiejskich posiadłości lub do modnych wód, takich jak Bath.

Philip jeszcze jej nie powiadomił, jakie są jego plany na lato, ale nie mogła uwierzyć, żeby nie uwzględnił w nich wyjazdu choć na trochę do Wyndham Manor. Nie chciała jednak pytać go o to, na wypadek gdyby jej niepokój miał się okazać nazbyt widoczny. Gdyby go wyczuł, wykorzystałby to i może pozbawiłby ją w ogóle możliwości odwiedzin w Sussex.

Idąc po schodach, usłyszała, jak kamerdyner wita kogoś w holu na dole. Letitia zawróciła na górę. Nie spodziewała się gości, a nie miała ochoty natknąć się na nikogo, kto przyszedł do Philipa.

Wtem przystanąła, słuchając dobiegającego z dołu kobiecego głosu:

- Bądź tak dobry i spytaj lorda Wyndhama, czy mogłabym zamienić z nim słówko w pilnej sprawie.

- Powiem jego lordowskiej mości, że przysłaś, madame - odparł kamerdyner. - Zechciej zaczekać w salonie.

Letitia przygryzła paznokiec. To był głos lady Warwick. Czyżby miała kolejną schadzkę z Philipem? Letitia odnosiła wrażenie, iż żegluga po tym oceanie nie idzie gładko, ale czy to dlatego, że dama odgrywała nieprzystępną, czy może Philip stracił zainteresowanie, nie potrafiła odgadnąć.

Pozostała na swoim miejscu, kiedy jej mąż przeszedł przez hol, stukając butami do konnej jazdy o marmurową posadzkę. Otworzył drzwi do salonu i usłyszała jego zimny, ironiczny głos.

- Lady Warwick. Cóż za nieoczekiwana przyjemność. Czemu zawdzięczam... - Drzwi zamknęły się w pół kwestii.

Letitia, zamyślona, udała się do swoich apartamentów. Jeśli sprawy między jej mężem a jego kochanką nie szły jak trzeba, miała nadzieję, że teraz się ułożą. Philip był w tych dniach jeszcze bardziej kapryśny i bezlitosny niż zwykle i poświęcał swojej żonie o wiele więcej uwagi, niż potrafiła znieść ze stoickim spokojem.

W salonie Octavia uśmiechnęła się ciepło do hrabiego i zdejmując rękawiczki, zbliżyła się do niego.

- Philipie, mój drogi, przyszedłam przeprosić cię za tę głupią sprawę tamtego dnia. Tak mi wstyd, jestem niepokieszona. - Przyłożyła dłonie do policzków, jakby chciała ostudzić rumieniec. Utkwiła w nim błagalny, pokorny wzrok.

- Mam uznać, że już nie jesteś niedysponowana - podsumował bez uśmiechu. Sięgnął po karafkę stojącą na stole i nalał wina do dwóch kieliszków. Napił się ze swojego, zanim drugi podał Octavii.

- Dziękuję - powiedziała niemal nieśmiało. - Wiem, że masz wszelkie prawo gniewać się, Philipie. To, co się stało, ta przeklęta niedogodność. Wszystko przez tego okropnego człowieka. - Zadrzała i pociągnęła spory łyk wina. - Dzięki Bogu już go mają w Newgate. Czy pójdziesz zobaczyć, jak go będą wieszać?

Philip zaśmiał się.

- Co za żądza krwi przez ciebie przemawia, moja droga. Ależ tak, bez wątpienia pójdę. Przyglądał się jej znad kieliszka, myśląc o tym, jak jest pociągająca z tymi ogromnymi, błyszczącymi oczami i rumieńcem na policzkach na tle cery o barwie kości słoniowej. Jego wzrok powędrował ku piersiom Octavii wznoszącym się łagodnie nad obszytym koronką dekoltem jasnozielonej sukni z batystu na białej, muślinowej halce. Szarfa z ciemnozielonego aksamitu podkreślała jej talię i linię bioder.

Nieświadomie oblizał wargi, kiedy przyływ chciwego pożądania ogarnął jego lędźwia, a czoło pokryło się potem. Przyszła tu, ponieważ ona także go pragnie. Żaden inny powód nie skłoniłby jej po doznanym upokorzeniu do wygłoszenia tych poniżających przeprosin.

Odstawił kieliszek na stół.

- Podejdź tu.

Zadowalająco posłuszna podeszła do niego szybkim krokiem, uśmiechając się nieśmiało, ale ochoczo. Przyciągnął ją do siebie, chwycił twarz Octavii w dłonie i mocno przechylił jej głowę do tyłu, atakując wargi i delikatne wnętrze ust. Z jękiem wygięła się, przywierając do niego, dłońmi błędziła po jego ciele, pod frakiem, wokół pośladków, które gniotła gorliwymi palcami.

- Niech to szlag, Octavio - wyrzucił z siebie dziko, odrywając się od jej ust w chwili, kiedy już jej się zdawało, że złamie jej szyję. - Niech to szlag, doprowadzasz mnie do szaleństwa, kobieto! Będę cię miał!

- Tak... tak - wyszeptwała. - Niedługo... kiedy... to musi być niedługo.

Spojrzała w jego napiętą twarz, w ciemnoszare szpary oczu. Co za piękna twarz, pomyślała. Znów ogarnęło ją to dziwne poczucie dezorientacji, jakby widziała coś znajomego, a zarazem zniekształconego.

Zamknęła oczy, wzdychając namiętnie, aby nie zdradziło jej spojrzenie, i ocierała się o Philipa z jękiem pożądania.

- Gdzie jest twój mąż?

To chrapliwe pytanie zaskoczyło ją, mimo że się go spodziewała. Przeszły ją ciarki.

- Musiał wyjechać na wieś, dopatrzeć spraw w posiadłości. Nie wróci jeszcze przez tydzień.

- Ja przyjdę zatem do ciebie - oznajmił, chwytając jej brodę dłonią. - Dość mam tłuczenia się po górach i dołach, madame. Dziś w nocy przyjdę na Dover Street.

- Doskonale - powiedziała. - Wybieram się do teatru z przyjaciółmi, a potem na kolację na Piazza. Jeśli przyjdiesz po północy, będę cię oczekiwać; I nie będzie żadnych ciekawych oczu na ulicach.

- Do zobaczenia więc - powiedział, puszcżając brodę Octavii, na której jego palce pozostawiły bezkrwiste wgłębienia. - Kamerdyner cię odprowadzi

Nie powiedziawszy nic więcej, pozostawił ją na środku salonu.

Octavia roztarta sobie bolesne ślady na brodzie, po czym szybko opróżniła swój kieliszek i podeszła do drzwi akurat w chwili, kiedy stanął w nich kamerdyner.

- Tędy, pani.

Eskortował ją do drzwi frontowych, jakby była podejrzanym gościem, który może skraść srebra. Jej lektyka czekała na ulicy. Wsiadła, nieświadoma, że z okna na piętrze śledzi ją Letitia, która zastanawiała się, co też mogło skłonić kobietę, by z własnej woli szukała towarzystwa Philipa Wyndhama.

Niebo zasnute było ciężkimi chmurami burzowymi i kiedy tragarze ruszyli truchtem ulicami, spadły pierwsze wielkie krople deszczu. Po dotarciu do domu na Dover Street wnieśli lektykę po schodach i weszli z nią do holu, aby pasażerka nie musiała stawiać stóp na mokrej ziemi i aby nie zmokła jej koafiura.

- Zapłać ludziom, Griffin - poleciła Octavia, wysiadając z lektyki. - Przypuszczam, że nadal ani śladu Franka?

- Podejrzewam, milady, że ten mały diabeł kręci się za domem.

Kamerdyner zapłacił tragarzom pieniędzmi ze skórzanej portmonetki, którą nosił w kieszeni, po czym skinął na lokaja, żeby ich odprowadził.

- Kucharka też jest tego zdania. Nie pokazuje się, jak by wypadało, ale czasem nam gdzieś mignie. Kucharka postawiła dziś rano na schodach talerz lukrowanych bułeczek i znikły w

okamgnieniu.

- To w guście Franka - stwierdziła Octavia. - Może się pokaże, jeśli będziemy zostawiać dla niego jedzenie. To mu przynajmniej da do zrozumienia, że się na niego nie gniewamy. Prawdopodobnie boi się, że go wydamy konstablom.

- Jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, pani, to byłoby najlepsze, co można zrobić - oznajmił kamerdyner. - Nie może chodzić wolno i zachęcać do złodziejstwa tych małych żebraków... proszę o wybaczenie, że mówię tak otwarcie, madame.

Octavia bezradnie pokręciła głową.

- Masz prawo wyrażać swoje zdanie, Griffin. Ale ja nie zamierzam oddawać dziecka w ręce stróżów prawa. Lord Warwick również nie.

- Tak, milady. - Kamerdyner skłonił się nisko. - Powinniśmy spodziewać się powrotu jego lordowskiej mości na początku przyszłego tygodnia, jak rozumiem.

- Tak - powiedziała Octavia stłumionym głosem, odwracając się ku schodom. - Jeśli coś go nie zatrzyma.

Czym prędzej weszła na górę, nie pozwalając sobie na myślenie, co będzie po spodziewanym tygodniu nieobecności Ruperta. Przecież on wróci.

A tymczasem ona ma do wypełnienia swoją misję wobec Philipa Wyndhama. Musi urządzić scenę uwiedzenia.

Rozejrzała się po sypialni, gdzie Nell przeglądała jej garderobę, sprawdzając, czy coś wymaga prasowania albo reperacji. Był to uroczy pokój całkowicie przeniknięty obecnością Ruperta. Wszędzie, gdzie tylko spojrzała, nasuwało się jej na myśl wspomnienie. W tym pokoju byli razem w ciągu tylu długich, nocnych godzin. Tutaj nie będzie zabawiać Philipa Wyndhama.

- Nell, czy mogłabyś ustawić kwiaty w małym salonie? - Zajrzała do szafy, zastanawiając się, co włożyć. - I powiedz Griffinowi, żeby czekała tam kolacja, kiedy wrócę z teatru. Spodziewam się gościa i nie chcę, żeby mi przeszkadzano. Coś, z czym możemy sobie sami poradzić. Może ostrygi. Paszteciki krabowe. Wędzona gęś. I szampan, oczywiście.

- Tak, milady. - Nell dygnęła. - Którą suknię włożysz, pani, do teatru?

- Próbuję wybrać. - Octavia przerzucała wspaniałe materie stłoczone w szafie. - Myślę, że tę ze złotej tafty.

Była to przepyszna suknia, bogato haftowana srebrną nicią, dopasowana w biuście i w talii, ale z tyłu spływająca luźno z ramion. Tę Rupert lubił najbardziej.

Łzy przesłoniły jej wzrok, uwięzły w gardle. Szybko przełknęła ślinę. Nie wolno jej myśleć o niczym innym, poza teraźniejszością. Musi żyć chwilą obecną. Nie przewidywać przyszłości. Niczego nie oczekiwać. Tej nocy ma zdobyć obrączkę Philipa. Tylko o tym wolno jej myśleć. Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Czowała mrowienie w żołądku, dłonie miała wilgotne ze zdenerwowania. Jakimś cudem udawało się jej odpowiadać na pytania swoich towarzyszy, obdarzyć księcia Walii tym, czego chciał i oczekiwał, kiedy w antrakcie odwiedził ją w łoży. Flirtowała, przekomarzała się, żartowała i nikt nie odgadłby męki jej duszy, kiedy starała się nie dopuszczać do siebie myśli o Rupercie w Newgate. Myśli o Rupercie na wozie w drodze na Tyburn.

Jej oczy lśniły gorączkowo, policzki płonęły nieco niezdrowym rumieńcem, ale jeśli ktokolwiek to zauważył, wszystko złożył na karb szampana i rozkoszy wieczoru.

W czasie kolacji prawie nic nie tknęła, sączyła tylko szampana. Głowa zaczynała ją boleć od zgiełku, migotliwego blasku setek świec i wysiłku, z jakim podtrzymywała rozmowę. Słyszała własny głos brzmiący nienaturalnie, czuła, że czasem odpowiada nieskładnie. Ale całe towarzystwo było tak wesołe i podekscytowane szampanem, że jej nietypowego zachowania nie zauważono.

Cały czas spodziewała się zobaczyć Philipa Wyndhama, ale się nie pojawił

Zaraz po północy wróciła swoją kareta na Dover Street.

- Wszystko przygotowane w małym salonie wedle życzenia, milady. - Griffin skłonił się, jego głos nie wyrażał żadnych uczuć. Cokolwiek myślał o tete-a-tete lady Warwick pod nieobecność męża, zachował dla siebie.

- Dziękuję. Kiedy mój gość przybędzie, wprowadź go i możesz iść do łóżka. Nocny portier pozamyka po wyjściu jego lordowskiej mości.

Podając pelerynę Griffinowi, Octavia nie spojrzała na lokaja, żeby sprawdzić, jakie wrażenie zrobiły na nim jej słowa. Szybko weszła na górę, do małego salonu w głębi domu, ściągając po drodze długie, jedwabne rękawiczki. Zasłony w oknach były zaciągnięte, pokój łagodnie oświetlony dwuramiennym kandelabrem, powietrze pachniało różami ustawionymi w wazonach.

Sprawdziła, co przygotowano na okrągłym stole pod oknem. Perłowe ostrygi połyskiwały w swoich chropowatych muszlach, tarta szparagowa, przykryty półmisek z ziemniakami w mundurkach na podgrzewaczu, taca makaroników i salaterka truskawek. Dwie butelki szampana.

Octavia pokiwała głową z zadowoleniem. Była zupełnie spokojna, jej ręce nie drżały, kiedy odkładała rękawiczki i wachlarz. Bez emocji wysunęła szufladę przyściennego stolika i wyjęła mały zwitek papieru, który włożyła sobie za dekollet.

Szezlong obity taftą w kolorze słomkowym stał przed chińskim parawanem odgradzającym kominek. Octavia wstrząsnęła poduszki, przyglądała taftę. Bardzo zachęcający mebel, na którym można się bez trudu wyciągnąć, pozbawiony niewygodnych poręczy.

Stała i czekała, aż rozlegną się kroki w korytarzu.

Zbyt podniecona, żeby usiąść, czekała i nasłuchiwała, a mimo to odgłos kroków zaskoczył ją. Griffin zapukał, a gdy usłyszał zaproszenie, otworzył drzwi i usunął się na bok.

Hrabia Wyndham wszedł, uderzając rękawiczkami o wnętrze dłoni, dyskretnie rozejrzał się po pokoju, oceniając jego urządzenie.

- Dziękuję, Griffin.

- Dobrej nocy, milady.

Drzwi zamknęły się za kamerdynerem.

- Jednak przyszedłeś - powiedziała z uśmiechem.

- Wątpiłaś? - Rzucił rękawiczki na krzesło i zaczął masować palce tak gwałtownie, że aż kłykcie trzaskały.

- Wierzyłam - odpowiedziała, podchodząc do niego. - Przez cały wieczór trwałam w zawieszaniu. Taką miałam nadzieję zobaczyć cię w teatrze, ale spotkało mnie rozczarowanie. - Wymownym gestem rozłożyła ręce. - A teraz jesteś tutaj.

Na jego wargach pojawił się tak zarozumiały uśmiech, że Octavii trudno było powstrzymać odrzecz. Miała ochotę wbić mu nóż między żebra i powoli obracać. Wzięła go jednak za ręce i pociągnęła w kierunku szezlonga.

- Zechcesz usiąść, milordzie i pozwolić, abym podała ci kieliszek szampana?

- Podaj mi butelkę, a ja ją otworzę. - Usiadł i oparł się wygodnie.

- Nie, panie. Tego wieczoru nie masz żadnych zadań do wykonania, poza jednym.

Uniosła w górę brwi, uśmiechnęła się szelmowsko, znacząco. Teraz przypomniała mu ognistą kobietę, która z początku tak go pociągała. Ucieszył się tym wskrzeszeniem po ostatnich dwóch żalonych spotkaniach i w jego oczach błysnęła satysfakcja.

Z głową leniwie wspartą na poduszce wodził za nią wzrokiem, kiedy odwrócona tyłem, zajęła się butelką szampana. Korek wyszedł z dyskretnym puknięciem i Philip usłyszał szum nalewanego musującego wina.

- A zatem, milordzie. Toast. - Uśmiechając się promiennie, wróciła do niego z dwoma kieliszkami. - Proponuję toast za spełnienie, Philipie.

Roześmiał się, biorąc kieliszek.

- Zawsze podziwiałem tego ducha w tobie, moja droga. Ciekaw jestem, czy twój małżonek go docenia?

Na moment spuściła wzrok.

- Prawie wcale, milordzie. Nie warto o tym wspominać. - Dotknęła kieliszka Philipa swoim. - Najpierw mój toast, a potem ty wzniesiesz swój.

Wypił, a ona patrzyła mu w oczy. Zmarszczył brwi.

- Czy coś się stało?

- Nie, myślę o stosownym toaście. Octavia sączyła swojego szampana i czekała.

- O, mam. Za wygodę kochanków i niewygodę mężów.

W ciszy pokoju zazgrzytał jego nieprzyjemny śmiech, któremu zawtórował słaby chichot Octavii. Znów spuściła wzrok, tak że widział tylko jej uśmiechnięte usta.

- Chcę cię widzieć naga- oznajmił nagle. Jego śmiech ucichł, w zmrużonych oczach pojawił się

drapieżny błysk, na widok którego Octavii przeszedł po plecach dreszcz lęku i wstrętu. Usiadła jednak koło niego, uśmiechnęła się promiennie.

- Ależ panie, zabawmy się trochę przy szampanie. Ja zdejmę coś z siebie, a potem ty zdejmiesz jedną rzecz.

Philip napił się wina.

- Chcesz więc kierować tą zabawą, madame?

- Chciałabym tylko zwiększyć przyjemność - powiedziała pokornie.

Czemu on nie dopija wina? - niecierpliwiła się Octavia. Bessie powiedziała, że minie pół godziny, zanim da się odczuć efekt. Nie chciała galopować drogą do uwiedzenia.

- Zwiększysz moją przyjemność swoim posłuszeństwem - powiedział głosem, w którym brzmiał lodowaty ton. Upił łyk. - Przynies tu butelkę. A potem zdejmij suknię.

Octavia wstała i przyniosła butelkę. Musi po prostu wykonywać jego rozkazy bardzo powoli. O dziwo, niespecjalnie była zmartwiona, że ma się rozebrać przed Philipem Wydhamem. Jeśli to konieczne, to niewiele poświęcał. Musiała jednak doprowadzić do tego, żeby to on zdjął ubranie. Przynajmniej do koszuli, żeby zdjął kamizelkę.

Pochyliła się nad nim, nalewając szampana do kieliszków. Z ulgą zauważyła, że jego jest prawie pusty. Otarła się o niego piersiami, schylając się bardziej, żeby pocałować go w szyję. Palce Philipa znalazły jej piersi, zacisnęły się na nich, wsunęły za dekollet.

Octavia z determinacją znosiła to wszystko, poświęcając całą uwagę zadaniu zdjęcia z niego kamizelki.

Piętnaście minut upłynęło na gryzieniu, wtulaniu twarzy i jękach. Wreszcie, z uczuciem triumfu przepelniającym serce, zsunęła mu z ramion tę część garderoby i z pozorną niedbałością rzuciła ją na podłogę, po czym chciwymi, niezdarnymi palcami zaczęła rozpinać mu koszulę.

Philip leżał na plecach, napawając się jej namiętym pragnieniem dotknięcia jego ciała. Teraz miała na sobie tylko obszytą koronką koszulę, którą jednym brutalnym ruchem rozdarł od góry do dołu.

Octavia z trudem powstrzymała się od ucieczki. Kiedy przetoczył ją pod siebie, zacisnęła powieki. Nie będzie żadnych wymówek, chyba że z jego strony.

Wtem jego gwałtowność zgasła. Spojrzał na nią z wielkim zdumieniem w oczach.

Dotknęła jego policzka, uśmiechając się uwodzicielsko.

- Może nakarmię cię ostrygami, zanim przejdziemy do deseru, milordzie? Zsunął się z niej.

- Tak, podaj ostrygi... i przynieś drugą butelkę.

Kiedy wstała z szezlonga, chwycił ją z tyłu za rozdartą koszulę i ściągnął z niej resztki ubrania.

Obnażona w ten sposób Octavia zatrzymała się na chwilę. Nagość była jej teraz całkowicie obojętna, całą uwagę poświęciła kamizelce. Oto miała szansę.

Przechodząc przez pokój w kierunku stołu, od niechcenia trąciła kamizelkę nogą. Tak samo od niechcenia schyliła się, podniosła ją, strzepnęła i starannie przewiesiła przez poręcz krzesła. Wszystko trwało nie dłużej niż sekundę. Dotarła do stołu. Jej palce lekko musnęły płatki ciemnoróżowych kwiatów, zanim wzięła półmisek ostryg i wróciła do szezlonga. Przysiadła na jego krawędzi i podniosła muszlę do warg hrabięgo. Philip otworzył usta, a ostryga spłynęła mu do gardła. Z niewzruszonym spokojem podała mu tak ponad pół tuzina ostryg, uśmiechając się do siebie na myśl, że łyka je z taką ochotą, ponieważ ostrygi są znanym afrodyzjakiem, a z jakiegoś niepojętego powodu Philip znalazł się w palącej potrzebie zażycia afrodyzjaku.

Nigdy wcześniej nie doświadczył tej żenującej, upokarzającej niemocy. Cokolwiek usiłował zrobić lub kazał jej spróbować, nic nie dawało efektu. Uśmiechała się z niedowierzaniem, potem z niepewnością, wreszcie z niepokojem. Odczuwał głęboką nienawiść, patrząc na gładką, piękną twarz, na złociste oczy szeroko otwarte, zdumione tą niesłychaną porażką mężczyzny, który obiecywał osiąść ją tak, jak nikt jeszcze jej nie posiadał. To czarownica, pomyślał z wściekłością. Za sprawą diabła wymknęła mu się trzykrotnie. Uśmiechała się, dotykała go, mówiła czułe słówka zachęty, ale ta twarz madonny kryła pokrętną wiedźmę.

Wyszedł od niej godzinę później. Wyszedł, łąc ją grubymi słowami, jakby była dziwką, której nie udało się go zaspokoić. Zostawił ją z głębokimi śladami palców na ramionach i piersiach, ale zostawił ją nietkniętą.

Octavia słuchała jego kroków na schodach. Słuchała, jak nocny portier otwiera i zamyka drzwi. Potem podbiegła do stojącej na stole wazy z różami. Maleńka sakiewka tkwiła w zwiniętym liściu

przy kolczastej lodydze.

Po raz pierwszy tego wieczoru drżały jej palce, kiedy wyjmowała sakiewkę z ukrycia. Otworzyła ją i wytrząsnęła na dłoń małą obrączkę. Była identyczna jak ta, którą pokazał jej Rupert. Zębem widelczyka deserowego nacisnęła oko ptaka. Mechanizm odskoczył i wyobraziła sobie, że obie obrączki można połączyć, tworząc sygnet.

Zacisnęła w dłoni z takim trudem zdobytą nagrodę.

Mają.

A teraz, kiedy już ją ma, co dalej?

Podeszła do okna i odsunęła zasłonę. Niebo szarzało na wschodzie. Otworzyła zaciśniętą dłoń i spojrzała na okrągły odcisk, jaki pozostawiła obrączka.

Czy ta obrączka warta była życia Ruperta? Czy warto dla zemsty ryzykować stryczek? Co to za krzywda, żeby człowiek taki jak Rupert poświęcał życie dla jej pomśzczenia?

Octavia zadrzała i wreszcie uprzytomniła sobie, że jest naga. Blask triumfu zbladł, było jej zimno, czuła się wymięta i smutna.

Odwróciła się od okna, pozbierała rozrzuconą garderobę i ubrała się na tyle przyzwoicie, na ile zdołała, po czym przemknęła szybko do swoich apartamentów.

Ile trzeba czasu, żeby Philip odkrył brak obrączki? Coś jej mówiło, że nie wrócił prosto do domu. Pewno poszedł do burdelu, żeby na jakiejś dziwce wyładować swoją wściekłość i upokorzenie. Ale z nastaniem dnia prawdopodobnie załomocze w jej drzwi. Musiałby oszaleć, żeby podejrzewać Octavię o kradzież, będzie więc potrzebował jakiegoś pretekstu, aby przeszukać jej salon, jeśli w ogóle zechce znowu ujrzyć scenę swojego poniżenia. Jej samej nie będzie chciał widzieć, tego Octavia była pewna.

Zanim przyjdzie, i ona, i obrączka znajdą bezpieczne schronienie z dala od domu. Bramy Newgate otwierają się za dwie godziny, o siódmej. Kiedy tylko zaczną wpuszczać odwiedzających, u Lorda Nicka zjawi się dama w woalu.

Pociągnęła za sznur dzwonek, wzywając Nell i zaczęła zrzucać z siebie wieczorową suknię.

- Wcześniej wstałaś, milady. - Pokojówka weszła do pokoju piętnaście minut później, mrugając zaspanymi oczami. Tłumiąc ziewanie, postawiła na stole tacę z gorącą czekoladą i biszkoptami.

- Tak. Przepraszam, że budzę cię tak wcześnie, ale mam sprawę do załatwienia - powiedziała Octavia. - Przygotuj mi strój do konnej jazdy.

Nalała sobie filiżankę parującej czekolady i zanurzyła w niej biszkopt. Czuła się głodna po bezsennej nocy, a przynajmniej zdawało się jej, że to głód i brak snu powodują mdłości i nieopanowane dreszcze.

Po czekoladzie i biszkopcie poczuła się silniejsza, a jej twarz spryskana gorącą wodą nabrała życia.

- Czy powiedzieć Griffinowi, żeby wezwał powóz, milady? - Nell upinała cyrkonowe włosy Octavii w węzeł na karku.

- Nie. Podaj mi czarny kapelusz z woalem.

Nell wykonała polecenie, kryjąc zaciekawienie. Jej pani spuściła woal na twarz.

- Czarną pelerynę, milady?

- Dziękuję.

Octavia w pośpiechu wyszła z domu.

Griffin, którego wyciągnął z łóżka dzwonek pani wzywającej pokojówkę o tak wczesnej porze, zamknął za nią drzwi, a ona pospieszyła ulicą w rześkim, porannym powietrzu. Marszcząc brwi, szedł na śniadanie. Przyjmowanie dzentelmena późną nocą pod nieobecność męża, a następnie wymykanie się o świcie, na piechotę, w stroju jak na pogrzeb, nie było zachowaniem typowym dla damy z towarzystwa. A przynajmniej, poprawił się, nie było nim wychodzenie z domu wczesnym rankiem, w tak dziwnym stroju.

Na rogu Piccadilly Octavia zatrzymała dorożkę i kazała się wieźć na Holborn. Siedziała na samym brzeжку ławki, a dorożka trzęsła się na bruku, w porannym powietrzu rozbrzmiewały okrzyki ulicznych sprzedawców.

Obrączkę miała schowaną wewnątrz rękawiczki i zaciskała mocno dłoń. Drugą ręką uwiesiła się paska nad oknem, żeby utrzymać równowagę na krawędzi ławki. Nie potrafiła odprężyć się i usiąść głębiej.

Patrzyła przez okno, śledząc wszystko po drodze. W pewnej chwili zorientowała się, że mrucząc

pod nosem, ponagła dorożkarza, a kiedy dorożka skręciła w jakąś mniej znaną ulicę, musiała powstrzymać się, żeby nie zastukać w sufit i nie zawrócić go na właściwą trasę. W końcu jednak dorożka zatrzymała się przed więzieniem.

- O to chodziło, pani? - spytał dorożkarz z powątpiewaniem, wychylając się z kozła, kiedy Octavia wysiadła.

Bez słowa zapłaciła mu i pospieszyła do bramy. Strażnik przyglądał się jej tak, jakby chciał przyjrzeć się jej twarzy pod woalem.

- Do kogo?

- Do rozbójnika Lorda Nicka - odparła niskim, stłumionym głosem.

- Mrowie gości ma ten dżentelmen - stwierdził strażnik dobroduszenie, otwierając furtkę. - Całe przyjęcie wczoraj wydał. Posłał po pół tuzina butelek sherry i wszystko, co potrzeba na poncz. Bardzo weseli byli. Dobrze się bawili.

Octavia znów powstrzymała się od komentarza, uznając, że Rupert z Benem podejmowali kamratów z zajazdu Pod Królewskim Dębem. A kimże ona jest, żeby mieć coś przeciwko temu, skoro przyjaciele przybyli go rozweselić? Gdyby tylko udało się jej namówić ich, aby pomogli jej znaleźć sposób umożliwienia mu ucieczki.

Przeszła przez wewnętrzny dziedziniec już pełen więźniów i ich rodzin, po czym za kolejną bramą znalazła się w lepszej części więzienia. Biegając na górę, zaglądała do izb, których drzwi pozostały otwarte. W niektórych dostrzegła komfortowe wyposażenie, była to własność uwięzionych. Przyniosła Rupertowi szachy i książki, ale mogłaby zarządzić dostarczenie mu sprzętów służących jego wygodzie - przyzwoitego łóżka, fotela, umywalki.

Jego drzwi były zamknięte, uniosła więc dłoń, żeby zapukać, ale zmieniła zamiar i wzięła za klamkę. Drzwi otworzyły się, a ona weszła do środka.

- Amy? Bądź dobrą dziewczyną i przynieś mi herbaty - ze skłębionej pościeli na wąskiej pryczy dobiegł zaspany głos Ruperta. - Głowa mi pęka.

- Dobrze ci tak! - stwierdziła Octavia, odrzucając woal. Przebiegła przez pokój i wskoczyła na niego, sadowiąc się okrakiem. - Słyszałam, że tej nocy wydałeś tu wielkie przyjęcie z ponczem i nieumiarkowaną ilością sherry.

- Och, ważysz tonę! - jęknął Rupert, przekręcając się na plecy i próbując zrzucić ją z siebie. - Zejdź ze mnie, kobieto!

- Nie! - Ściągnęła mu kołdrę z twarzy i pocałowała go. - Jak mogłeś zabawiać się beze mnie?

- Wątpię, czy by ci się to podobało, słodczy - powiedział z kolejnym jękiem. - Całą noc graliśmy w karty i przegrałem majątek.

- No cóż, przyniosłam ci więcej pieniędzy - oznajmiła, siedząc pewnie na jego brzuchu. - I książki, i szachy... i coś jeszcze.

Rupert spojrzał na nią z ukosa. Czuł jej tłumione podniecenie, jej napięcie. Była szczerze uradowana i nie była to powierzchowna radość, którą chciała pokryć strach i rozpacz.

- Co jeszcze?

Ściągnęła rękawiczki z wielce tajemniczą miną i powoli rozgięła palce. Ostrożnie wydobyła z maleńkiej, jedwabnej sakiewki obrączkę, którą położyła mu na piersi.

- Co, u diabła...? - Zacisnął obrączkę w dłoni, ale kiedy spojrzał na nią jego oczy pociemniały z dzikiej furii. - Co zrobiłaś, żeby to zdobyć?

Żołądek Octavii podskoczył do gardła. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale z pewnością nie spodziewała się zobaczyć tej przerażającej wściekłości.

- Naprawdę nic takiego - powiedziała, kręcąc głową.

- Zejdź ze mnie!

Na ten rozkaz wypowiedziany cichym, nieznośnym sprzeciwu głosem, Octavia sama nie wiedząc kiedy, stanęła obok. Rupert odrzucił pościel i wstał z łóżka.

- Niech cię diabli, Octavio! Powiedziałem ci, że to koniec. Powiedziałem, że nie chcę, żebyś miała cokolwiek do czynienia z tym plugawym szcurem. Mów natychmiast, co zrobiłaś. Opowiedz. W każdym przekłętym szczególe!

- Nic. Ja...

- Mów!

Jego oczy były jak wielkie dziury w twarzy o szarobiałej, trupiej barwie. Octavia przycisnęła dłoń do ust, starając się pozbierać myśli. Głosem ołowianym jak zimowe niebo opowiedziała mu, jak

zwróciła się o pomoc do Bessie. Opisała spotkanie z Philipem jak najbardziej jasno i obiektywnie, w nadziei, że chłodna, beznamiętna relacja pozwoli jej zdystansować się do rzeczywistości, rozproszy upiorne, upodlające obrazy, jakie przesuwały się przed oczami. Ale jego twarz była coraz bardziej szara, a oczy coraz bardziej puste i w końcu straciła panowanie nad sobą. Głos jej się załamał i postąpiła ku niemu, błagalnie wyciągając ręce.

- Och, Boże, Rupercie. Proszę, nie gniewaj się tak. Ja to zrobiłam dla ciebie. Chciałam ci pokazać, że nie wolno ci się poddawać, że można coś zrobić... że...

- Cicho! - ryknął, odpychając jej ręce. - Wygadujesz wierutne bzdury, sama się oszukujesz. To miejsce nie jest iluzją. Dorośnij, kobieto, i zmierz się z prawdą.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie chcę zmierzyć się z twoją prawdą. To nie jest prawda. Jest jakiś sposób.

- Idź do domu, Octavio - powiedział z nagłym znużeniem. - Nic mi nie przyjdzie z wysłuchiwania twoich bajek.

- Ale...

- Idź do domu, mówię!

- Podać teraz śniadanie, Lordzie Nicku? - Od drzwi dobiegł impertynencki głos Amy. - Teraz, kiedy twój gość wychodzi.

Spojrzała na Octavię z triumfem. Najwyraźniej słyszała ostatnią wymianę zdań.

- Tak. Przynieś mi herbatę i gorącą wodę - powiedział Rupert.

Odwróciwszy się od Octavii, podszedł do okna i stał tam, wyglądając na dziedziniec. Otworzył dłoń, a obrączka Philipa upadła na podłogę. Potoczyła się po deskach, zatrzymała się przy ścianie, jasne kółko w kurzu.

Octavia opuściła woal na twarz. Odgłos jej szybkich kroków na schodach rozbrzmiewał echem w jego głowie.

Rupert długo stał przy oknie. Amy przyniosła mu śniadanie i herbatę, ale on nie odwrócił się, słysząc szcęk naczyń i sztućców.

- Wystygnie, panie, jeśli nie zjesz zaraz.
- Zostaw, Amy.
- Czy coś jeszcze? Mogę posprzątać, kiedy...
- Wyjdź, dziewczyno! Amy czmychnęła bez słowa.

Rupert schylił się po obrączkę Philipa. Potrzywał ją chwilę w dłoni, a następnie z kieszeni koszuli wyjął swoją i połączył obie. Wsunął sygnet na palec prawej ręki, którą podniósł do światła. Oczy ptaka zdawały się mrugać do niego porozumiewawczo spomiędzy misternie wyrzeźbionych gałęzi drzewa.

Maj ą. A kiedy Philip zobaczyłby cały pierścień na palcu Ruperta Warwicka, rozpoznałby swojego brata bliźniaka. Moment, w którym dotarłoby to do niego, byłby chwilą zemsty Ruperta. Wszystko, co nastąpiłoby potem, przywróciłoby mu to, co mu się prawnie należało. Philip mógłby próbować publicznie podważyć twierdzenie Ruperta, że jest zaginionym Cullumem Wyndhamem, ale widząc pierścień, wiedziałby od razu, że mu się to nie uda. Wiedziałyby też, że im bardziej będzie o to zabiegał, na tym większego wyjdzie głupca.

Pierścień otworzyłby Cullumowi Wyndhamowi drogę do rodzinnych prawników i lekarza, którzy przesłuchiwaliby go i badali, szukając niezbitego dowodu, że prawowity dziedzic powrócił. Doktor zna bliźny i znaki na jego ciele, a on wykazałby się znajomością szczegółów historii rodu, które znać może jedynie jego członek.

Za sprawą pierścienia domek z kart wzniesiony przez Philipa rozsypałby się w proch.

Ten sam pierścień zobowiązuje jednak Culluma do strzeżenia honoru Wyndhamów, powstrzymuje go przed postawieniem brata wobec ruiny i własnej przeszłości. Ujawnienie jego tożsamości teraz oznaczałoby obrzucenie imienia Wyndhamów błotem. Oznaczałoby oznajmienie całemu światu, że prawdziwy hrabia Wyndham jest pospolitym rozbójnikiem, który skończy na szubienicy. Nie może tego zrobić. Nie może zbecześcić pamięć Gervase'a.

Piekło i szatani! Rupert nalał sobie herbaty do kubka i przełknął ją parząc sobie język i gardło. Ale parzący płyn rozjaśnił mu w głowie.

Znów napełnił kubek i zaczął krążyć po swoim więzieniu. Nie potrafił pozbyć się obrazu Octavii splecionej w uściskach z jego bratem bliźniakiem. Co z tego, że przechytryła Philipa... że poddała go najgorszemu upokorzeniu, jakie może spotkać mężczyznę. Nie zmienia to faktu, że siebie wystawiła na dotyk rąk i ust zwyrodnialca i że uczyniła to bez wiedzy Ruperta w chwili, kiedy nie mógł zrobić nic, żeby jej pomóc. Była bezbronna, a on tkwił tu bezsilny, nie mogąc ani odmienić swojej sytuacji, ani mieć wpływu na jej los.

Czy Octavia nie rozumie, jak on się z tym czuje? Bezsilność i pogarda dla siebie trawiły mu duszę. A zamiast okazać mu zrozumienie i współczucie, obdarzyć go łagodną słodyczą ulżyć mu, ona musiała narażać się na niebezpieczeństwo. Działała, podczas gdy on mógł jedynie siedzieć i kręcąc młynka palcami, rozmyślać o egzekucji. W dodatku zrobiła to na próżno. Wszystko okazało się bezcelowe. Tę tajemnicę Rupert musi zabrać do grobu. Posiadanie pierścienia w tej chwili uwydatniało tylko jego niemoc. Bezsens zemsty.

- Nie chcesz śniadania, panie?

Niepewny głos Amy przerwał jego ponurą kontemplację.

- Nie. Zabierz to stąd.
 - Mogę przynieść coś innego. Może krwisty befsztyk. - Spojrzała na niego z nadzieją w oczach.
- Rupert zdobył się na cierpliwość.

- Jeśli będę czegoś chciał, zawołam cię, Amy.

Dziewczyna niepokieszona zabrała tacę, a on zaczął znów krążyć po izbie.

Potrafił okazać cierpliwość Amy, ale nie Octavii, wyrzucał sobie, widząc znów ból i zdumienie w jej piwnych oczach, drżącą linię ust, słysząc znów rozpaczliwe błaganie w jej głębokim głosie.

Być może Octavia już tu nie wróci. Trudno byłoby mieć jej to za złe. Ale na litość boską, jakże on zniesie to uwięzienie, tę wstrętą niemoc choćby minutę dłużej?

Omam nie wpadł w panikę, uratowały go kroki Bena, których odgłos rozpoznał nieomylnie. Benowi ktoś towarzyszył.

- Zobacz, kogo ci przyprowadziłem, Nick.

Ben wmaszerował do środka, bardzo elegancko ubrany w swój niedzielny przyodziewek i pudrowaną perukę. Jego towarzysz był jeszcze bardziej elegancki, w szarych jedwabkach, z warkoczem białej peruki przewiązany czarną jedwabną wstążką. Profesja nieznajomego była oczywista dla Ruperta, zanim Ben z wielką galanterią dokonał prezentacji.

- Wielce szanowny pan St. John Moreton, adwokat.

- Panie Moreton. - Rupert skłonił się z galanterią.

- Panie. - Prawnik odpowiedział ukłonem i rozejrzał się wokół. - Widzę, że przyjaciele zapewnili ci wygodę.

- Chwilowe - zgodził się Rupert.

- Wynajęli mnie również, bym cię reprezentował. Oczywiście robię, co mogę, aby opóźnić proces - dodał adwokat.

- Ponieważ przyspieszenie go oznaczałoby przyspieszenie mojej egzekucji? - spytał Rupert ironicznie.

- Ależ drogi panie, my nie mówimy w ten sposób! - wykrzyknął adwokat. - Nie w ten sposób... nie coś takiego.

- To prawda - wtrącił Ben dzielnie. - A panienka ma rację, wiesz, Nick. Mówi, że zrezygnowaliśmy, zanim zaczęliśmy.

Rupert westchnął.

- Fakty mówią same za siebie, Ben.

Prawnik chrząknął.

- Jeśli wolno spytać o kilka szczegółów, co do faktów, Lordzie Nicku. Może masz inne nazwisko? - Uniósł brwi. - Nazwisko mniej... cóż, mniej sławne, powiedzmy? Takie, które może nie aż tak poruszy sędziów.

- Nie - odrzekł Rupert chłodno. - Przykro mi, że nie sprostam twoim oczekiwaniom, panie Moreton, ale na procesie wystąpię jako Lord Nick.

Adwokat miał zawiedzioną minę.

- Jak sobie życzysz, oczywiście. Ale ja stanowczo odradzam.

- Przyjmuję do wiadomości. - Rupert przeczesał palcami potargane loki. - Niemniej jednak, choć doceniam wasze zainteresowanie, naprawdę uważam, że nie mamy o czym rozmawiać na tym etapie. Wolałbym raczej dokonać porannych ablucji... - Wymownym gestem pomasaował się po nieogolonej szczęce.

Adwokat był zagniewany, Ben w najwyższym stopniu niezadowolony. Skoro jednak rozbójnik nie był gotów współpracować ze swoim obrońcą, niewiele pozostawało do zrobienia.

Prawnik wyszedł, Ben ruszył za nim, ale przystanął w drzwiach.

- Chcesz towarzystwa, Nick?

Rupert pokręcił głową.

- Nadaję się dziś na towarzystwo dla diabła, Ben. Ale nie myśl, że nie jestem wdzięczny. Poleć jednak panu Moretonowi, aby zaprzestał swojej taktyki opóźniania. Chcę to mieć za sobą. Z kolei Ben pokręcił głową.

- Jaki jest sens to przyspieszać, Nick?

- Nie mogę znieść zawieszenia - odparł Rupert z chłodnym uśmiechem.

Ben spojrzał na niego groźnie. Ta próba obrócenia w żart okropnej sytuacji najwyraźniej nie przypadła mu do gustu. Wzruszył ramionami i poczłapał śladem adwokata.

Rupert rzucił się na łóżko i leżał, gapiąc się w gipsowy sufit. W ten sposób tylko zniechęci wszystkich swoich przyjaciół. Ale czemu oni nie chcą zrozumieć, że nikomu nic nie przyjdzie z karmienia się złudnymi nadziejami? Ulgę może mu przynieść tylko pogodzenie się z tym, co nieuchronne - pogodzenie się, dzięki któremu pójdzie na śmierć spokojnie i z wdziękiem. Godząc się na swój los, pogodzi się również z utratą Octavii i miłości, która krążyła mu w żyłach, stała się nierozzerwalnie związana z całym jego jestestwem.

Może gdyby uświadomił sobie i przyjął tę miłość wcześniej, to by mu wystarczyło. Potrafiłby zrezygnować z zemsty i żyć w radości, jaka dana jest nielicznym mężczyznom, czego był pewien. Ale zlekceważył to uczucie, koncentrując się na obsesji, która kierowała jego życiem od chwili ucieczki Culluma Wyndhama z Wyndham Manor. A teraz ta obsesja doprowadziła go do stóp Tyburn Tree.

Octavia szła na oślep Holborn, potem skręciła w stronę rzeki. Pod woalem po jej policzkach płynęły łzy. Była zrozpaczona, że popełniła błąd. Zamiast przekonać Ruperta, że możliwe jest działanie, tylko wzmocniła w nim poczucie bezsilności. Wiedziała, jak bardzo chciał panować nad sytuacją. Jak bardzo potrzebna mu była świadomość, że to on trzyma w rękę wszystkie sznurki. A odnosząc sukces tam, gdzie on zawiódł, wytknęła mu jego porażkę. Działając, podczas gdy on nie mógł uczynić nic, osłabiła go jeszcze bardziej.

Jednakże choć bardzo się starała, nie potrafiła wyobrazić sobie, że mogłaby postąpić inaczej. Zawróciła znad rzeki w kierunku Strandu. Ze zwieszoną głową pogrążona we własnym żalu, z początku niczego nie zauważyła. Nagle została odepchnięta pod ścianę, czyjś smrodliwy oddech uderzył ją w nozdrza, odgłosy biegnącego tłumu i okrzyków przedarły się do jej pogrążonego w zadumie umysłu. Niewiele widziała przez gęsty woal, odrzuciła go więc z twarzy, przywierając do ściany.

Ulica była pełna ludzi, spieszących się, spiętych i przez moment milczących. W rękach mieli pałki i cegły, ich twarze były wykrzywione w zastygłym wyrazie nienawiści. Przemknęli obok Octavii, a z końca ulicy dobiegł okrzyk: „Na Westminster... na Westminster”. Tłum przewalał się przez most Westminsterski, zmierzając z St George's Fields do parlamentu z petycją o odwołanie ustawy przyznającej równe prawa katolikom. Tego ranka lord George Gordon przemawiał do tłumów, a sądząc po twarzach ludzi, każde jego słowo trafiło na podatny grunt. Octavia wycofała się w wąski zaułek. Nie chciała, żeby ta fala uniosła ją ze sobą, a fala była potężna. Ludzka masa wciąż napływała. Na wszystkich twarzach malował się ten sam wyraz. Ten sam fanatyczny błysk w oczach, ta sama zaciętość w rysach. Wszystkie głosy wznosiły jeden okrzyk wojenny: „Precz z papieżem... precz z papieżem”.

Stojąc w zaułku, dostrzegła powóz torujący sobie drogę przez ciżbę. Jednak nie konie go ciągnęły, a ludzie, spoceni, zaaferowani mężczyźni, a tłum skandował i zachęcał ich, rozstępując się przed powozem.

W oknie ukazał się młody mężczyzna. Uśmiechał się i machał do ludzi, którzy ryczeli, walili w drzwiczki powozu i zachęcali ludzki zaprzęg.

„Lord George... lord George”, krzyczeli. „Przejdźcie dla lorda George'a”.

Octavia patrzyła zafascynowana na tego człowieka, który zdolny był poruszyć taki tłum. Najmłodszy syn księcia Gordona był postacią raczej niepozorną. Bystrooki i energiczny, owszem, ale nie wydawał się materiałem na bohatera. A jednak stał się bohaterem tego oszalałego tłumu.

Były ich tysiące. Octavia zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek przejdą, aby ona mogła pójść swoją drogą. W końcu jednak fala przepłynęła koło niej i zostało tylko kilku maruderów. Nadal jednak słyszała ryk, od którego ciarki przechodziły jej po plecach.

Pospieszyła do domu. Na Piccadilly zauważyła, że kupcy zabijają deskami witryny sklepów, ludzie zbierają się na rogach i szepczą, niespokojnie rozglądając się wokół. Wielu malowało na drzwiach i okiennicach hasło: PRECZ Z PAPIESTWEM jako zaklęcie, na wypadek, gdyby tłum posunął się do przemocy.

Po tym, co widziała, Octavia nie mogła mieć wątpliwości, że niewiele trzeba, aby tak się stało. Jeśli parlament odrzuci petycję, jeśli ktokolwiek im się sprzeciwi, zamienią się w zgraję wilków. Bez tchu skręciła w Dover Street, jej łzy obeschły, ich miejsce zajął lęk, że znajduje się na ulicy w tej atmosferze samowoli.

Kiedy wbiegała po schodach do drzwi frontowych, ze stopni prowadzących do piwnicy dobiegł cichy głosik:

- Musicie napisać na drzwiach: „Precz z papieżem”, panienko Tavi.
- Frank! - Przechyliła się przez poręcz i dostrzegła małą postać skuloną na stopniach. - Gdzie ty

się podziewałeś? Tak się o ciebie martwiliśmy.

Frank wyprostował się, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki, jak małe zwierzątko wężące wiatr, jego oczy, czujne i przestraszone, śledziły każdy jej ruch.

- Nie chcecie mnie oddać sędziemu?

- Nie - powiedziała. - Chodź tutaj. Nikt ci nie zrobi krzywdy, obiecuję.

Ale Frank wolał zostać tam, gdzie był.

- Przyszłem tylko powiedzieć, żebyście napisali to na drzwiach. Słyszałem, jak mówili. Będą palić domy bez tych napisów.

- Kto tak mówił?

- Jedni tacy w tawernie. Ja żem wlażł pod stół.. za odpadkami, a oni mówili. Zróbcie to, panienko Tavi.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, już go nie było. Prysnał ulicą, jakby goniło go stado diabłów.

- Czy to Frank, milady? - Griffin stał w otwartych drzwiach i patrzył za znikającą w oddali postacią.

- Tak. - Octavia weszła do holu, marszcząc brwi. - Coś się święci, Griffin. Frank mówi, że powinniśmy wymalować na drzwiach: „Precz z papieżem”, bo inaczej spalą nas żywcem. Przyszedł nas ostrzec. Interesujące, nie sądzisz?

- Może i tak, madame. Ale dlaczego w takim razie uciekł?

- Ciągłe się boi. Trzeba czasu, żeby oswoić takie zranione, małe stworzenie - wyjaśniła. - Uważam jednak, że powinniśmy go posłuchać, Griffin.

- Ano, pani. Krążą plotki... ludzie gadają... prawdopodobnie panikarze, ale lepiej nie ryzykować.

- Zgadza się. - Podeszła do schodów.

- Och, przy okazji, milady. Był tu lord Wyndham. Zdaje się być przekonany, że coś zgubił w małym salonie zeszłej nocy - Griffin mówił obojętnym tonem, ze wzrokiem utkwionym w miedzianą tacę z kartami wizytowymi.

- Tak? A cóż takiego zgubił? - spytała Octavia równie obojętnie.

- Nie powiedział, milady. Ale kazał dwóm lokajom i pokojówce salonowej przewrócić pokój do góry nogami.

- Czy zguba się znalazła?

- Nie sadzę, pani. Nie wyszedł stąd uradowany.

- Dziwne - stwierdziła Octavia beztrząsco. - Ale jestem pewna, że cokolwiek to jest, znajdzie się podczas sprzątania.

Weszła po schodach. Należało mieć nadzieję, że Philip nie zechce mówić z nią o swojej stracie. Nie miał najmniejszego powodu podejrzewać ją o kradzież obrączki, miał natomiast wszelkie powody, aby unikać jej towarzystwa.

- Octavio, drogie dziecko, chciałbym z kimś porozmawiać- powitał ją ojciec, kiedy przechodziła koło jego apartamentów. - Tak mi dziś smutno, i nudno.

- Zaraz przyjdę do ciebie, papo - powiedziała.

- Czemu, u licha, jesteś w żałobie? - wykrzyknął ojciec, widząc jej strój. - Czy coś się stało Warwickowi?

Jego głos zabrzmiał ostro i Octavia cieszyła się, że wolał przesłania jej twarz. Po raz kolejny przekonała się, że niemożliwością jest mieć pewność, co Oliver dostrzeże, a czego nie. Czego się domyśla, a co woli ignorować.

- Oczywiście, że nie, papo. Ale coś się dzieje na ulicach. Lord George Gordon zwołał więc i teraz ludzie idą na Westminster.

- Och, doprawdy! - Oczy mu rozbleły i natychmiast się ożywił. - Więc chodź i opowiedz mi o tym.

- Zdejmę tylko pelerynę.

Weszła do swoich pokoi, postanawiając, że cały dzień poświęci ojcu, co będzie pożądaną i kojącą odmianą. Powie Griffinowi, że nie przyjmuje nikogo i schroni się w pustelni swojego dzieciństwa.

Tego dnia jednak nikt nie przyszedł z wizytą, jedynie przerażeni służący i posłańcy przynosili wieści z miasta. Tłum w sile dwudziestu tysięcy przedstawił w Westminsterze swoją petycję.

Parlament, stu dziewięćdziesięcioma dwoma głosami za, przy sześciu przeciwnych, odrzucił petycję i odprawił lorda George'a z jego ludźmi.

Przez cały wieczór, aż do późnej nocy miasto rozbrzmiewało hałasami, kiedy wzburzony tłum rozpętał orgię zniszczenia. Nocne niebo rozświetlała luna pożarów, płonęły domy ministrów, ambasadorów i wszystkich, których uznano na sprzyjających katolikom.

Dwukrotnie duże grupy przeszły Dover Street. Octavia z ojcem obserwowali z dachu, jak wymachują pochodniami, wybijają pałkami i kamieniami okna po drugiej stronie ulicy. Ich dom chroniło zakłęcie wymalowane na drzwiach.

O świcie od strony Strandu dobiegł bitewny zgiełk. Do wrzasków tłumu dołączyły okrzyki uzbrojonych w bagnety żołnierzy na koniach. Tłum wlał się znowu w Dover Street, goniąc żołnierzy, którzy krok po kroku przedzierali się, ciągnąc garść aresztantów do Old Bailey i Newgate.

- Niech niebiosa mają nas w opiece - mruknął Oliver. - Czego to człowiek nie zrobi drugiemu w imię Boga żywego! - Ruszył ku zejściu na strych. - Idę do łóżka, dziecko. Przynajmniej na kilka godzin.

- Zostanę jeszcze chwilę - powiedziała, owijając się szczelniej peleryną. Wiedziała, że za nią stoi grupa służących, tak samo jak ona przerażonych i z zapartym tchem śledzących jątkę rozgrywającą się na dole.

Jednak z nastaniem świtu miasto z wolna zaczęło się uspokajać, nocne szaleństwo i rozlew krwi ustąpiły miejsca wyczerpaniu. W powietrzu wciąż czuło się dym, gęsta mgła wisiała nad dachami, kiedy Octavia poszła za przykładem ojca. Ostatnią myśl przed zaśnięciem poświęciła Rupertowi.

Czy oni tam w Newgate wiedzą co się dzieje w mieście? Przecież odwiedzający nie zostaną wpuszczeni przez tę małą furtkę. Na pewno słyszą zgiełk. I widzą aresztowanych demonstrantów. Muszą coś wiedzieć, więc i on wie, dlaczego nie przyszła znowu. Będzie wiedział, że nie porzuciła go z powodu tego, co się wydarzyło rano.

Z nastaniem wieczoru pandemonium rozpętało się znowu. Straszne wrzaski i krzyki, brzęk tłuczonych szyb, płomienie, oszalałe tłumy przetaczające się ulicami.

- Gdzie jest wojsko? - spytała Octavia prawie szeptem.

Po wcześniejszym wystąpieniu nie było śladu jakiegokolwiek oporu wobec demonstrantów. Niepowstrzymani siali zniszczenie, podpalali domy podejrzanych o papizm i ich sympatyków, wywlekali na ulicę bezcenne książki, meble, draperie, bieliznę, podpalali stosy, tańczyli z usmarowanymi twarzami w złowrogim blasku ognia, przystawali, by rozbić antalki wina czy beczki piwa zrabowane z mijanych tawern.

- Prawdopodobnie nie mogą znaleźć osoby z odpowiednim autorytetem, która byłaby w stanie zaprowadzić porządek - powiedział Oliver z odcieniem ponurej satysfakcji. Anarchia go cieszyła. Miała precedensy w historii, co zawsze go fascynowało, a teraz sceny rozgrywające się na jego oczach stanowiły empiryczny dowód teorii naukowych.

To niesłychane, ale jego wyjaśnienie wyglądało na jedyne możliwe. Tłum szalał przez cztery dni bez przerwy i bez przeszkód, podczas gdy rozsądni obywatele, wymalowawszy na drzwiach zakłęcie, siedzieli w domach i trzęśli się ze strachu.

Wieczorem, ósmego czerwca, Griffin wszedł do salonu.

- Jakiś człowiek przyszedł do kuchni, milady. Mówi, że musi się z tobą natychmiast widzieć. - Rysy twarzy miał sztywne, w głosie brzmiało oburzenie.

- Ej, z drogi, człowieku - za plecami kamerdynera rozległ się głos Bena, który odsunął go po prostu na bok. - Panienko, na słówko.

Smętna twarz Griffina powiedziała Octavii, co się wydarzyło w kuchni. Kamerdyner próbował zatrzymać tego niepożądanego gościa, nie udało mu się to i nie śmiał spróbować znowu.

- W porządku, Griffin. Lord Warwick zna tego człowieka - powiedziała uspokajająco, choć serce zatrzępotało jej gwałtownie i tętno waliło jej w skroniach.

Griffin wycofał się z ukłonem, ale drzwi pozostawił otwarte. Ben zamknął je. Podeszedł do Octavii, oczy mu błyszczały. Twarz miał umazaną sadzą, ubranie podarte.

- Tłum idzie podpalić Newgate. Uwolnić swoich, co ich wojsko aresztowało pierwszego dnia. Jest tu nas trochę i postanowiliśmy zobaczyć, kogo jeszcze możemy uwolnić.

Octavia zerwała się na nogi.

- Myślisz, że mogą to zrobić? Podpalić więzienie? To przecież samo żelazo i mury.

- Gdybyś widziała to, co ja widziałem w tych dniach, panienko, nie wątpiłabyś w siłę ognia - stwierdził Ben ponuro. - Chciałem ci powiedzieć, co zamierzamy. Może ci to doda otuchy.

- Och, Ben! - Ku jego zdumieniu i wyraźnemu zażenowaniu zarzuciła mu ręce na szyję i serdecznie ucałowała w usmolony policzek. - Poczekaj tu chwileczkę, zaraz będę gotowa, żeby pójść z tobą.

- Co to, to nie, panienko. To sprawa nie dla takich jak ty! - wykrzyknął Ben przerażony.

- Też mi coś! - fuknęła Octavia. - Rabunek na królewskim gościńcu również nie, Ben, a robiłam to. I mnóstwo innych rzeczy, przez co ta sprawa jak najbardziej jest dla mnie stosowna. Poczekaj tutaj, to potrwa nie dłużej niż pięć minut.

Wypadła z pokoju, zanim przyszło mu do głowy, co jeszcze mógłby powiedzieć. Został sam i zaczął przechadzać się po salonie, masując się po brodzie i zastanawiając, jak też Nick przyjmie wmiśnięcie się w to swojej kochanki.

Po niecałych pięciu minutach wróciła ubrana w jaskrawopomarańczowy kostium dziewczki z tawerny, w czerwonej chustce na głowie i drewnianych chodakach na nogach.

- Chodźmy. Pewno nie jestem dość brudna, ale usmaruję sobie czymś twarz i ręce po drodze.

- Boże, miej nas w opiece - mruknął Ben. - Co Bessie powie, jak cię tak zobaczy?

- I Bessie tu jest?

- Ano pewnie. Wszyscy przyszliliśmy.

- A co z tym nowym stajennym i Morrisem? - zapytała Octavia, prowadząc go do bocznego wyjścia.

W jej głosie zabrzmiał niebezpieczny ton, kiedy otwierała drzwi kluczem, a Ben splonął ciemnym rumieńcem.

- Nie musisz się o nich martwić, panienko. Już nikomu nie zaszkodzą.

Powiedział to z taką pewnością, że włosy stanęły Octavii na głowie, choć sama z ochotą przebiłaby szpadą tych, którzy zdradzili Ruperta.

Na ulicy panował spokój, ale zaraz dostrzegła cienie kryjące się po kątach. Cienie, które nagle ożyły - miały twarze widywane Pod Królewskim Dębem. Przyjaciele Lorda Nicka przybyli po niego. Bessie odłączyła się od reszty.

- Ty idziesz? - powiedziała to raczej z uznaniem niż z naganą, a kiedy Octavia skinęła jej głową, ona odpowiedziała tym samym i skryła się znowu w cieniu. - Chodźmy zrobić, co mamy do zrobienia.

Ulice były inne niż kilka dni temu, kiedy Octavia spieszyła z Holborn, przerażona, że padnie ofiarą tłumu. A może, pomyślała, to dlatego, że to ona była inna. W tym stroju, wśród ludzi z Pod Królewskiego Dębu, wmiśzała się w otoczenie, stała się częścią tłumu, a nie kimś obcym,

potencjalną ofiarą. Tutaj, z dołu, wszystko wyglądało inaczej, mniej przerażająco niż wtedy, kiedy przyglądała się temu z dachu jako postronny obserwator. Wiedziała jednak, że nastrój tłumu jest niebezpieczny.

Wszędzie wokół niej były twarze czerwone od alkoholu, dzikie oczy oszołomione szaleństwem anarchii. Palili i niszczyli wszystko, co stało na ich drodze, nie potrzebując już jako usprawiedliwienia, by mieszkańcy i właściciele niszczonej domów przejawiali katolickie sympatie. Octavia posuwała się wraz z tłumem, starając się trzymać w środku grupy znajomych twarzy.

Przy Charring Cross kolejne kilkanaście setek wylało się z przecznicy i dołączyło do głównego tłumu.

„Na Newgate... na Newgate”, było na ustach wszystkich. Z młotami, pałkami, flaszki terpentyny i szmatami nasączonymi olejem parli w kierunku Holborn.

Ku swemu zdumieniu i przerażeniu, Octavia spostrzegła, że udzielił się jej ten dziki nastrój. Słyszała własny głos wznoszący okrzyki, potrzasała w powietrzu pięścią, a masa ludzka, jak potwór siejący zniszczenie, przetaczała się po bruku, wprawiając ziemię w drzenie. I nic nie powstrzymywało ich marszu. Tak, jakby władze miasta umknęły, pozostawiając je na pastwę wzburzonego ludu.

Tłum zatrzymał się przed zakratowaną bramą Newgate i kamienną fasadą Old Bailey. Stali w nieprzebranych szeregach, ramię przy ramieniu, twarze błyszczały w świetle trzymany wysoko pochodni.

Octavia przepchnęła się do pierwszego szeregu. Nie potrzebowała już ochrony, zjednoczona z tłumem jedną myślą: wdrzeć się do więzienia, wyłamać potężną, okutą żelazem bramę.

Wszędzie wokół niej były wykrzywione, dzikie twarze miejskiej biedoty, ludzi, dla których Newgate stało się znienawidzonym symbolem ich podłej egzystencji, strasznym miejscem, początkiem ostatniej drogi na Tyburn.

Naczelnik więzienia wyszedł na dach swego domu, wywołany rykiem tłumu. Octavia zamilkła, myśląc o tym, jak kruchy i nieistotny wydaje się pan Akerman ze swą służbą u boku. Jaką jeszcze mógł mieć nadzieję na powstrzymanie napierającego tłumu?

Wbrew rozsądkowi, Akerman odmówił otwarcia bram i poddania więzienia, czego domagał się tłum. Octavia zadrżała, kiedy przez szaleńczą euforię marszu dotarł do niej chłodny powiew rzeczywistości. Naczelnik był przedstawicielem rady miejskiej. Uosabiał władzę króla. Z pewnością teraz rząd wezwie milicję.

Ale Akerman i jego obstawa zniknęli z dachu. Tłum z rykiem przypuścił szturm na bramę. Ktoś pierwszy zaatakował ją młotem i znów rozpętało się szaleństwo.

W przypływie świeżej energii rzucili się na potężne mury więzienia z łomami. Wdarli się do domu naczelnika i Octavia patrzyła jak zahipnotyzowana, przerażona, ale zafascynowana, że w mgnieniu oka ogołocili dom ze wszystkiego, co nadawało się do spalania. Meble, książki, boazerie, deski z podłogi, bielizna. Zwalili to na ogromny stos przed bramą i oblali terpentyną. Podpalili nasączone olejem szmaty, które rzucili na stos.

Płomienie wystrzeliły w górę, objęły cały stos, a ludzie wciąż podsycali ogień, dorzucając bez przerwy wszystko, co dawało się spalić. Wyciągali płonące główne, przerzucali je przez mury, na dachy, na dziedzińce.

Wokół ognia tłum był tak gęsty, że Octavia nie potrafiłaby się z niego wydostać, nawet gdyby chciała. Patrzyła tylko z tą samą porażającą fascynacją, jak płomienie liżą żelazne okucia, potężne sztaby i skoble. Twarze wokół błyszczały czerwienią w tym piekielnym świetle. Przekrwione oczy gapily się, pozbawione ludzkiej świadomości, na rozprzestrzenianie się ognia, a kiedy wreszcie zajęło się drewno bramy, ryk triumfu rozniósł się po całym Londynie.

Wewnątrz Rupert usłyszał ten ryk wznoszący się ponad kakofonią, która zdumiewała go już od godziny. W powietrzu unosiła się ciężka woń spalenizny, a na wewnętrzny dziedzińiec spadła płonąca żagiew, od której zajęło się drewniane podwyższenie pośrodku.

Przez kilka ostatnich dni Amy raczyła go opowieściami o zamieszkach. Więzienie w tym czasie było zamknięte, więźniów, zarówno tych przed procesem, jak i tych osadzonych i skazanych, trzymano w celach, wewnętrznych bram nie otwierano. Ale opowieści małej praczki nie przygotowały go na ten atak.

Oparty łokciami o szeroki parapet patrzył w kierunku przejścia prowadzącego do głównej bramy,

ale przez płomień ogarniające podstawę drewnianej platformy nie mógł nic dostrzec i zaczął się zastanawiać, czy przyjdzie mu spłonąć żywcem.

Najwyraźniej współwięźniowie podzielali jego obawy. Krzyki i łomoty dobiegały ze wszystkich stron, więźniowie trzęśli kratami, domagając się informacji. W lewym skrzydle słychać było kobiecy krzyk.

Rupert odszedł od okna. Był boso, w samych bryczesach i koszuli. Szybko wciągnął na nogi pończochy i buty, zapiał pas, na ramiona założył kaftan do konnej jazdy. Jeśli okazja sama puka do bram jego więzienia, nie zastanie go nieprzygotowanym. Wrócił do okna.

Nadal nie widział bramy, ale ryk tłumu stał się jeszcze dzikszy, nabrzmiewał podnieceniem.

Rupert nie widział, co się stało, ale na zewnątrz Octavia, z policzkami piekącymi od potężnego ognia, patrzyła, jak brama obsunęła się na jednym z górnych zawiasów i odchyliła się, a na górze utworzył się wąski prześwit.

Ludzie nie przestawali podsycać ognia i brama z wolna pochylila się pod własnym ciężarem. Na moment wszystkim zapało dech w piersi, kiedy płonące u dołu belki bramy zmieniły się w stertę popiołu i cała brama runęła.

Octavia, osłaniając rękami twarz przed gorącym, rzuciła się w przód razem z kłębiącą się cizbą, która przedarła się przez ogień, po płonących resztkach bramy i przez ciemne, wąskie przejście wpadła na wewnętrzny dziedziniec. Szybowała w powietrzu, niesiona ludzką falą, krzyczała wraz z nimi, wymachiwała rękami, wrzeszczała triumfalnie, a kiedy tłum przystanął na moment, niepewny, w którą stronę ruszyć dalej, puściła się pędem w stronę budynku, w którym był zamknięty Rupert.

Stojąc na dole, przyłożyła ręce do ust i zawołała, a kiedy ujrzała go w oknie, zaczęła tańczyć dziką tarantellę, powiewając pomarańczową suknią i rozpuszczonymi włosami, rozpościerając szeroko ramiona do wszechogarniającego uścisku.

- Dość już, słodczy. Wystarczy tańca... brama- mamrotał Rupert z sercem w gardle, jakby się bał, że ta nadzwyczajna scena zniknie mu sprzed oczu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Lada moment pojawiają się żołnierze, by pomścić gwałt zadany jednej z najświętszych instytucji władzy. Kiedy on mamrotał do siebie w męce oczekiwania, Octavia dopadła wrót lepszej części więzienia i zniknęła mu z pola widzenia.

Chwyciła kamień i zaczęła walić nim w zamknięte wrota. Natychmiast dołączyła do niej grupa mężczyzn z łomami i młotami, idąc za jej przykładem, bez żadnego innego celu, jak ten, że zamknięte wrota należy roznieść w proch.

Zaczęły sypać się drzazgi. Octavia darła je gołymi rękami, ale jeden z mężczyzn odepchnął ją ramieniem.

- Usuń się, panna.

Zamachnął się łomem i potężnym ciosem rozłupał wrota od góry do dołu.

- Wielkie dzięki - wydyszała Octavia, przeskakując przez szparę. - Proszę pomóc mi z drzwiami do izby na górze. Na pewno będą zamknięte.

Wielce uradowani podążyli za nią po schodach. Rupert stał i słuchał głuchych uderzeń, od których trzęsły się drzwi jego celi. Wtem zamek trzasnął i drzwi otworzyły się szeroko.

- Och, dzięki Bogu. Rupercie... Rupercie... Rupercie! - na wpół śmiejąc się, a na wpół płacząc, Octavia wpadła do izby i rzuciła mu się w ramiona. Mężczyźni przy drzwiach przyglądali się przez chwilę, po czym jeden z nich zaśmiał się rubasznie i zaklaskał w dłonie, pozostali dołączyli do niego ze śmiechem i brawami.

Rupert spojrzał ponad głowę Octavii na swoich wybawicieli.

- Dziękuję wam - powiedział.

- Ech, proszę bardzo, bracie - powiedział najważniejszy z nich, mrugając okiem. - Nie da się trzymać mężczyzn z dala od jego dziewczyny.

Odwrócili się i odeszli, zatrzymując się na każdym podeście schodów, żeby rozwalić łomami zamknięte drzwi.

- Chodź szybko. - Octavia ciągnęła Ruperta do drzwi. - Tak się boję, że to okaże się snem i obudzę się w łóżku i wszystko będzie po staremu straszne.

- Ech, Nick. Nick... chodź szybko. - W drzwiach stanęła Bessie, dysząc ciężko. - Panienska dotarła do ciebie pierwsza, jak widzę. Ale teraz nie ma czasu do stracenia.

- Ano. Zaraz sprowadzą oddziały - ostrzegł Ben, tłocząc się wraz z innymi za plecami Bessie.

- Wydostańmy się stąd. - Rupert złapał Octavię za rękę i ruszył ku wyjściu. - Wyrażę moją wdzięczność, drodzy przyjaciele, w bardziej sprzyjającym momencie.

Napierając na niego z tyłu, pchali go po schodach w dół, jakby lada moment fala przyływu miała zawrócić, pociągając ich wszystkich za sobą z powrotem.

Ale więzienie Newgate pozostało przez całą noc otwarte dla każdego, kto miał ochotę wejść i wyjść. Dom naczelnika płonął wesołym ogniem, a jego mieszkańcy dawno już umknęli po dachach. Cele były pootwierane, więźniowie, wielu w kajdanach, zostali powyciągani przez swoich zbuntowanych wybawicieli z cel i lochów. Kajdany maskowano chustkami, wypychając więźniów na wolność i Rupert odczuł wdzięczność, że jego ucieczka nie musi być w ten sposób opóźniona.

Na ulicy zatrzymali się na chwilę. Octavia trzymała za rękę Ruperta i uśmiechała się do niego. Twarz miała umazaną sadzą, policzki wciąż rozpalone od gorąca płomieni.

- Zrobiliśmy to.

- Ano. Pewno, że zrobiliśmy - powiedział Ben. - Ale widzi mi się, że teraz najlepszym miejscem dla Lorda Nicka będzie dom lorda Warwicka.

- Też tak myślę, Ben. - Rupert uściśnął mu rękę. - Kiedy wszystko się uspokoi, przyjadę do zajazdu.

Uściśnął ręce wszystkim, patrząc im w zmęczone, ale szczęśliwe twarze.

- Zawdzięczam wam więcej, niż kiedykolwiek będę w stanie się odplacić.

- Nikt tu nie chce żadnego odpłacania, Nick - burknęła Bessie. - Wszyscy jesteśmy twoimi dłużnikami w taki czy inny sposób. Teraz idź i bądź bezpieczny.

Odeszli w kierunku rzeki, a Rupert i Octavia skierowali swoje kroki przez Holborn, w stronę Strandu. Octavia wzięła mocno Ruperta pod ramię.

- Lepiej, żeby było jasne, że jesteś ze mną, kiedy spotkamy demonstrantów - powiedziała poważnie. - Za bardzo wyglądasz na dżentelmena, żeby im się spodobać.

- A ty oczywiście wyglądasz na taką, co się wyciera po więzieniach - odciął się z uśmiechem, ciągnąc ją w boczną ulicę. - Tędy będzie szybciej.

Odgłosy buntu ścigały ich przez całą drogę na Dover Street. Napotykali rozproszone grupy demonstrantów, którzy odpowiadali na wesołe, rubaszne pozdrowienia Octavii sprośnymi, pijackimi uwagami i serdecznym śmiechem, nie zwracając uwagi na wysokiego, dobrze ubranego mężczyznę u jej boku.

- Zostawiłam boczne drzwi otwarte - powiedziała Octavia, kiedy podeszli do domu. - Mam nadzieję, że nie wpadniemy na Griffina. Nigdy nie widział mnie w tym stroju.

- Wątpię, czy doszedłby do siebie po tym szoku - powiedział Rupert uroczyście.

Oboje zachowywali się tak, jakby żyli we śnie, prowadząc rozmowę, która nie miała nic wspólnego z zamętem uczuć ostatniego tygodnia, nie mówiąc już o wydarzeniach tego wieczoru. Było między nimi wciąż wiele niewypowiedzianych słów, ale on czuł się, jakby wstąpił na niedawno obsiany grunt, gdzie delikatne kielki dopiero co wychynęły spod ziemi i ciągle zagraża im przymrozek, ciężka stopa czy głodna wiewiórka. Nie wolno mu popełnić więcej błędów... zdeptać delikatnej uprawy miłości.

Dłoń Octavii drżała lekko na klamce. Za drzwiami jest już bezpiecznie. Nikt nie będzie szukał rozbójnika Lorda Nicka w domu lorda Ruperta Warwicka, bywalca dworu, mieszkańca jednej z najbardziej wykwintnych posiadłości w kraju.

- Ja żem powiedział panience Tavi, że nic wam nie będzie, jak napiszecie znak na drzwiach, panie - z cienia dobiegł cichy szept.

- Frank? - Octavia się odwróciła.

Dziecko wysunęło się z mroku i przyglądało się im ostrożnie, gotowe w razie najdrobniejszego sygnału zagrożenia umknąć.

- Oddacie mnie sędziemu?

- Nie. Już ci mówiłam - zapewniła Octavia. - Wejdiesz do środka?

- A ten pan Griffin będzie mnie bił?

- Nie - odezwał się Rupert. - Nikt nie będzie. Ale jeśli zaraz nie wejdiesz do środka, zostawimy cię na zewnątrz, ponieważ mamy dość ulic jak na jedną noc i natychmiast wchodzimy.

Było coś takiego w głosie Ruperta, co zdawało się przekonywać Franka bardziej, niżby tego dokonały czułe słowa.

- Dobrze. - Przemknął za drzwi, kiedy tylko Octavia je otworzyła i zniknął w korytarzu prowadzącym do kuchni.

Octavia zasunęła rygle.

- Prawdopodobnie ogołoci spiżarnię.

- Nie wydaje mi się, żeby to było odpowiednie miejsce dla niego - powiedział Rupert. - Kiedy w mieście się uspokoi, zawiozę go Pod Królewski Dąb. Bessie będzie wiedziała, co z nim zrobić.

- Biedny Frank - powiedziała Octavia ze smutnym uśmiechem. - Czy naprawdę zasłużył sobie na taki los?

Oparła się o drzwi, czując nagle miękkość w nogach.

- Chodź - powiedział Rupert łagodnie. - Jesteś wyczerpana, słodczy.

- Nie. Triumfująca - poprawiła go, ale nie stawiała oporu, kiedy porwał ją na ręce i poniół przez cichy dom do jej apartamentów.

Tam ją postawił.

Stali, patrząc na siebie w milczeniu przez długą chwilę, jakby napawali się tą cudowną rzeczywistością, jakby wreszcie pojęli, że koszmar się skończył.

Z wahaniem Octavia wzięła jego ciepłe dłonie w swoje zimne. Podniosła jego prawą rękę, z pierścieniem Wyndhamów połyskującym w świetle świec.

- Masz go - powiedziała miękko.

- Tak, mam. - Uwolnił swoje ręce i przesunął nimi po jej nagich ramionach. - Jak mogłaś spotkać się z Philipem, Octavio? Po tym wszystkim, co się stało? Wiedziałaś, jak się z tym czuję.

- Zrobiłam to, co mi się wydawało słuszne - powiedziała z prostotą. - To mi dawało poczucie celu, inaczej bym się poddała. Przykro mi, jeśli cię to zmartwiło, ale musiałam to zrobić dla siebie samej. Nie dla ciebie, jeśli z tym ci będzie lepiej.

Zaczepekność w jej głosie nie brzmiała szczerze, a ogień w oczach nie miał nic wspólnego z gniewem.

- Wciąż mam ochotę skrócić ci ten brudny karczek - powiedział Rupert, obejmując dłońmi jej szczupłą szyję.

- Czy to nie może poczekać? - spytała zalotnie. Mądrze pokiwał głową.

- Myślę, że godzinę.

Stali w pełnej napięcia ciszy, po czym z cichym: „Boże wszechmogący!” Rupert przyciągnął ją do siebie i zaczął całować.

Ręce Octavii odpinały jego pasek, podczas gdy on rozplątywał sznurówkę jej stanika i uwalniał z gorsetu piersi, które pieścił, kiedy ona zsuwała mu z bioder bryczesy. Zatrzymały się na jego butach i pętały mu kostki, ale nie bacząc na to, ściągnął z niej suknię, podwinął jej koszulę do pasa, gładził brzuch i uda, przyciskał ją do siebie, jakby mieli się stopić w jedno.

Octavia jęknęła, przygryzła wargę i oplotła go nogami, ocierając się o niego, o jego męskość. Opadł na kolana, pociągając ją za sobą na podłogę. Leżała na plecach, a on uniósł się nad nią, chwycił ją za nadgarstki i pociągnął jej ręce za głowę.

- Czy poślubisz hrabiego Wyndhama, madame?

Złociste oczy patrzyły na niego z wyrazem największego zdumienia. Chwytała powietrze rozchylonymi ustami, a on wszedł w nią głęboko i Octavia zapomniała o wszystkim, liczyło się tylko to wspaniałe zjednoczenie. Mógłby powiedzieć jej, że był beznadziejnym bałwanem, a ona uznałaby tę opinię za całkowicie uzasadnioną.

Cullum Wyndham uśmiechał się do kobiety, którą pragnął uczynić swoją hrabiną, i śmiał się z radości, czując jej ciało zamykające się wokół niego. Otworzyła szeroko oczy z tym swoim cudownym zdziwieniem, które go zawsze tak zachwycało.

Patrzył na jej twarz, przeobrażoną i promieniejącą radością tak silną jak siła ognia, który zburzył więzienie Newgate. Tak silną, że zdolną roznieść w proch i pył mur zdrady i podstęp, zburzyć i wdeptać w ziemię barierę starego bólu i nieufności.

A kiedy jego własna radość wybuchła snopem iskier, przetoczył się na bok, pociągając ją za sobą i tulił ją mocno, chroniąc przed wszystkim, co mogłoby wyrządzić krzywdę jego miłości.

Taras zamku Windsor pełen był dworzan. Między nimi przechadzała się rodzina królewska ze swoją świtą małe królowy podskakiwały wesoło, idąc za rodzicami, pod czułym spojrzeniem guwernantek i dam.

Książę Walii, pocąc się w popołudniowym upale, nie próbował nawet ukryć złego humoru, podążając dwa kroki za rodzicami. Ponuro skłaniał głowę, kiedy ktoś, kogo lubił, przyciągnął jego wzrok, ale na ogół ze wzrokiem wbitym w ziemię ocierał czoło chusteczką i bez przerwy wkładał palce pomiędzy zaczerwienioną szyję a zwisające już smętnie fałdy fularu.

Niemniej jednak twarz mu się rozjaśniła na widok lady Warwick u boku męża. Jej lordowska mość miała na sobie caraco z jasnoniebieskiej tafty i granatową spódnicę. Turkusowy medalion spoczywał w głębokim rowku między piersiami wznoszącymi się kusząco znad obszytego koronką dekoltu stanika. Włosy miała Upudrowane i upięte wysoko, ozdobione ciemnoniebieskimi aksamitnymi kokardami wyszywanymi perłami. W zewnętrznym kąciku prawego oka miała przyklejoną małą okrągłą muszkę, nadającą jej uśmiechowi zmysłową figlarność. Na ten widok Jego Wysokość rozpromienił się głupkowato.

Kiedy rodzina królewska podeszła do pary stojącej nieco na uboczu, lady Warwick dygnęła głęboko przed królem i królową. Lord Warwick, olśniewający w dworskim stroju ciemnoszarej barwy ozdobionym srebrną koronką, skłonił się nisko.

- Ach, milady... Warwick... dzień dobry wam obojgu - powiedział król z dobrotliwym uśmiechem, podnosząc Octavię z ukłonu. - Ominęło cię całe zamieszanie, Warwick... czyż nie... czyż nie? Dzięki Bogu milicja znów panuje nad miastem.

- To w istocie ulga, panie. - zgodził się Rupert.

- Cóż, miło cię znów widzieć wśród nas, Warwick.

- Jesteś nazbyt łaskawy, panie. - Rupert uśmiechnął się, a małżonka znów wzięła go pod ramię. - Nie jestem takim zarozumiałcem, by wierzyć, że w tak krótkim czasie zdążono za mną zatęsknić.

- Och uwierz, drogi przyjacielu, uwierz, czyż nie... czyż nie... - powiedział król, poklepując go lekko po ramieniu. - Twoja droga pani marniała tu żałośnie. Czy nie tak, milady? - Jego małe oczka tryskały humorem, sięgnął po rękę jego żony.

- Żałośnie to mało powiedziane, panie - powiedziała Octavia grzecznie. - Kiedy milorda nie ma obok mnie, jestem zupełnie do niczego.

Królowa była łaskawa uśmiechnąć się na to i wypowiedzieć uprzejmą uwagę na temat pięknego popołudnia, po czym się oddaliła.

Letitia Wyndham w grupie dam towarzyszących królowej zerknęła szybko, niemal wstydliwie na Octavię i zaraz przeniosła wzrok na jej męża. On uśmiechnął się do niej, a w jego oczach było coś takiego, że Letitia poczuła się dziwnie podniesiona na duchu, wręcz wzmocniona. Nieśmiały uśmiech przemknął po jej wargach w odpowiedzi i pospieszyła za królową.

Książę Walii ociągał się jeszcze chwilę, podniósł dłoń Octavii do ust i złożył na niej szczególnie ckliwy pocałunek.

- Zachwycająca jak zwykle, moja droga. Szczęściarz z ciebie, Warwick.

- Jakbym tego nie wiedział, panie.

Książę Walii zdawał się mieć ochotę zostać jeszcze, ale królewska procesja posuwała się szybko i nieustępliwie do przodu, jak okręt prujący fale, jego obowiązkiem było więc pospieszyć się i zająć swoje miejsce na pokładzie.

Octavia zachichotała.

- Jest coś rozkosznego w myśli, że cztery dni temu o tej samej porze byłeś pospolitym przestępcą gnijącym w Newgate, a tu uczynasz sobie pogawędkę z królem i nikt by się nie domyślił.

- Nikt nie będzie się musiał domyślać, jeśli nie przestaniesz wykrzykiwać tego na cały głos - skarcił ją Rupert, ale bez gniewu. Wodził wzrokiem po barwnym tłumie, szukając brata. Nieświadomie ukrył palec z sygnetem w zaciśniętej dłoni.

- Myślisz, że on przyjdzie?

- Tak - odparł. - A ty nie zachowujesz się jak doświadczony spiskowiec, Octavio. Wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby odgadnąć, że chowasz jakiś sekret.

- Och, nic na to nie mogę poradzić - powiedziała. - Jestem podekscytowana. Po wszystkich tych latach cierpień z powodu... - Jej głos zamarł, kiedy podążyła wzrokiem za spojrzeniem Ruperta. Na taras wszedł człowiek znany jako hrabia Wyndham. Stał przez chwilę, przyglądając się tłumowi przez lorgnon, jakby decydując, kogo zaszczycić powitaniem, po czym opuścił lorgnon i tanecznym krokiem zbliżył się do grupy dam na końcu tarasu.

Ubrany był w szmaragdowozielony jedwab i miał dwie muszki, po jednej na każdym policzku. Złote, anielskie loki ukrył pod peruką, jego twarz była jak zawsze piękna, rysy regularne, i prawie nie szpeciło ich lekkie wygięcie linii ust w dół ani lodowaty wyraz zmrużonych, ciemnoszarych oczu, gdy jego wzrok padł na Octavię.

Z rozmysłem dygnęła, a on również z rozmysłem odpowiedział.

- Ten džentelmen chyba wciąż leczy swoją zranioną dumę - mruknęła.

- Schodź mu z drogi, Octavio. Nikt, kto poniży Philipa Wyndhama, nie ujdzie kary. - Głos Ruperta był cierpki i Octavia wiedziała, że oto otrzymała wyraźny rozkaz. Nie miała najmniejszej chęci nie podporządkować się mu. Na myśl o kolejnym tete-a-tete z bratem Ruperta przeszły ją ciarki.

- Kiedy się z nim rozmówisz?

- Choćby zaraz - wycedził z chłodnym uśmiechem. - Idź porozmawiać z Letitią.

- Tak, milordzie. - Octavia dygnęła drwiąco. - Twoje słowo jest dla mnie rozkazem.

- Tak, tak, a jakże - rzucił i odszedł. Przechodząc przez taras, przystawał co chwila, witając się, ale nieustępliwie posuwał się w stronę swojego brata bliźniaka.

Octavia patrzyła jak urzeczona, ale to było silniejsze od niej. Wiedziała, że powinna podejść do Letitii, uprzedzić ją o tym, co ma się stać, żeby nie czuła się zaskoczona, kiedy historia wybuchnie, wesprzeć ją. Co była winna żona Philipa, że utraci tytuł i majątek.

Rupert dotarł do brata. Obaj mężczyźni wymienili ukłony. Octavia nic nie słyszała ani też nie potrafiła niczego wywróżyć z wyrazu ich twarzy.

Przyglądała się twarzy Philipa, szukając śladu bliźniaczego podobieństwa do Ruperta... czy też Culluma, jak musi nauczyć się go nazywać. Było. W oczach, w zarysie ust i teraz zrozumiała, co ją tak niepokoiło w Philipie -to poczucie czegoś znanego, a innego.

Obaj rośli razem w jednej macicy, w drodze na świat jeden wyprzedził drugiego o parę minut. Ta sama krew płynęła w ich żyłach, a byli tak niepodobni do siebie, jak tylko niepodobnych może być dwóch ludzi.

Z wysiłkiem oderwała się od dramatu, który miał się rozegrać i poszła odegrać swoją rolę z Letitią.

Philip przyglądał się Rupertowi Warwickowi zimnym wzrokiem.

- Wróciłeś do miasta, jak widzę.

Rupert skinął głową. Prawą ręką sięgnął do koronkowego żabotu i z rozmysłem poprawił brylantową szpilkę. Delikatny sygnet zaiskrzył w słońcu.

Philip utkwiał w nim wzrok i przez moment na jego twarzy malował się szok i przerażenie, krew powoli odpływała z jego policzków. Jego dłoń zatrzepotała przy kamizelce, po czym opadła.

Jego obrączka połączona z drugą. To mogło oznaczać tylko jedno, i wszystkie elementy ułożyły się w całość.

- Ty? - wyszeptał. - Cullum!

To mogło oznaczać tylko jedno, choć w jego głosie brzmiało niedowierzanie, kiedy patrzył na swojego brata, którego od osiemnastu lat uważał za zmarłego. Teraz, kiedy na niego patrzył, czuł całym sobą, że stoi przed nim Cullum.

- Tak, Philipie - potwierdził Rupert cicho. Na ten moment czekał od lat. Z ponurą satysfakcją człowieka, który długo pielęgnował swoją nienawiść, przyglądał się twarzy brata, widział malujący się w ciemnoszarych oczach wysiłek, z jakim starał się zapanować nad sobą, obserwował moment, w którym zimna kalkulacja bierze górę nad szokiem i rozpaczą. Patrzył w oczy brata, zmrużone i uważne, takie same jak dawno temu w pewne popołudnie na Beachy Head, na moment przedtem, zanim podstawił nogę Gervase'owi.

- To nie miejsce na radosne pojednanie - powiedział Philip z ironicznym uśmiechem. - Może przejdziemy się do ogrodu?

- Proszę bardzo. - Rupert odwrócił się i przeszedł na koniec tarasu, gdzie trzy wąskie, kamienne stopnie prowadziły w zarośla. Skóra cierpła mu na plecach, gdy brat szedł za nim i tylko

ogromnym wysiłkiem woli udało mu się nie oglądać przez ramię.

- Ta dziwka, którą nazywasz żoną, dobrze się sprawiła - powiedział Philip. - Gdzie ją znalazłeś? Jest nieco delikatniejsza od tego, co zwykle znajduje się w burdelach.

Rupert odwrócił się na pięcie i Philip mimowolnie cofnął się o krok wobec siły wścieklej pogardy w lodowatych, szarych oczach.

- Odezwiij się o Octavii jeszcze raz w ten sposób, bracie, a utnę ci język. - Jego głos był zimny i zabójczy jak jad.

Philip dotknął warg, na jego twarzy odmalował się strach. Strach, który Rupert już widział w dzieciństwie, kiedy doprowadzony do ostateczności, nie zważając na grożącemu karę, mały Cullum w końcu zaatakował bliźniaka, od którego był silniejszy fizycznie.

Rupert odczekał chwilę, żeby brat zrozumiał treść jego słów. Panowała absolutna cisza, nie było słychać żadnego innego dźwięku, ani bzyczenia pszczoły, ani świergotu ptaka. Wtedy przemówił:

- Jeśli zechcesz podważyć moje prawo...

- Zechcę? - przerwał Philip. - A kim ty jesteś? Oczywiście, że je podważę. Pozwę cię przed każdy sąd w kraju. Jeśli myślisz, że zrzeknę się wszystkiego na twoją rzecz, Cullumie, postradałeś zmysły. Myślisz, że możesz wedrzeć się w moje życie i tak po prostu wyjść z tytułem, z dworem, z Wyndham House. Na Boga, człowieku, jesteś jeszcze głupszy, niż myślałem.

Rupert uniósł dłoń i wymierzył bratu policzek.

- Nie będzie więcej zniewag, Philipie - powiedział łagodnie. - Zanim skończyłem dwanaście lat, miałem ich od ciebie tyle, że starczy na całe życie. Więcej nie będzie.

Philip cofnął się, dotykając śladu na twarzy, oczy miał wytrzeszczone ze zdumienia.

- Śmiesz mnie uderzyć! - wyszeptał.

- Teraz tak - powiedział jego brat bliźniak, wzruszając ramionami. - Ale tylko w odpowiedzi na nieznośną prowokację, bracie. Nie musisz się obawiać niczego z mojej strony, jeśli tylko będziesz trzymał język na wodzy.

Philip syknął przez zęby, a w jego dłoni błysnęło coś małego, srebrnego. Skoczył do przodu z twarzą wykrzywioną strachem i nienawiścią.

Nóż ciał w górę ruchem, który wyprułby Rupertowi trzewia, gdyby nie uskoczył w bok. Czubek noża trafił w srebrny guzik, a kiedy Rupert obrócił się, ostrze przecięło koszulę i drasnęło żebra. Sięgnął po szpadę, ale Philip zaatakował znowu z ustami wykrzywionymi, z oczami płonącymi szaleństwem kogoś, kto właśnie stanął w obliczu niemożliwego.

Zbyt późno Rupert przypomniał sobie, jak jego brat uwielbiał zabawy z nożem. Jak lekko, lżej niż jego cięższej postury bliźniak, tańczył wokół Culluma, bawiąc się... tylko się bawiąc... ale w tej zabawie zawsze było coś niebezpiecznie poważnego i Cullum zawsze w końcu wycofywał się, upokorzony, że nie jest w stanie dorównać swojemu bratu w tym okrutnym, zabójczym balecie.

Ale teraz to nie była zabawa. Ostrze rozcięło rękaw Ruperta, który chciał chwycić nadgarstek brata, ale Philip zwinnie cofnął się w swoim tańcu, z wdziękiem, jaki charakteryzował go przez całe życie. Rupert już na wpół dobył szpady, kiedy nóż dosięgnął go ponownie.

I wtedy potknął się o korzeń.

Upadł na kolano, osłaniając twarz ramieniem, kiedy zawisła nad nim maska, która była twarzą jego brata, błyszczące ostrze noża mierzyło w jego gardło. Wyrzucił ramię, chcąc wytrącić Philipowi nóż z ręki, ale kąt był niewłaściwy i nie miał dość miejsca, by zaatakować z impetem.

Philip nie myślał. Nienawiść i cel przesłaniały wszystko. Nie zastanawiał się nad konsekwencjami, liczyło się tylko to, że jego świat nagle znalazł się w niebezpieczeństwie. Nikt i nic nie miało prawa zburzyć budowli, którą tak pracowicie wznosił.

Rupert spojrział w oczy swojego brata bliźniaka i ujrzał swoją śmierć. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością patrzył jak zahipnotyzowany w ciemne jeziora - w nich odbijała się skrzywiona dusza.

Skrzywiona strona jego własnej duszy? - przemknęło mu przez głowę.

To pozwoliło mu uwolnić umysł i rzucił się w bok, na moment przed tym, zanim Philip, z dziwnym westchnieniem, upadł, przygniatając mu ramię. Nóż wysunął się z jego dłoni.

- Boże wszechmogący - głos Octavii przerwał zdumiewającą ciszę. - Letitio!

Żona Philipa stała nad nim. Jej piękne, szmaragdowe oczy pełne były nienawiści. Patrzyła bez

słowa, w rękę trzymała duży kamień.

Rupert uwolnił się od ciężaru brata i wstał. Skłonił się Letitii.

- Masz moją dozgonną wdzięczność, madame.

- Kiedy twoja żona powiedziała mi, co się dzieje... ja... ja wiedziałam, że będzie próbował cię zabić. Widzisz, ja go znam.

- Zdawało mi się, że ja też go znam - powiedział Rupert bezradnie. - Nie wierzyłem, że może stracić panowanie nad sobą. To nie w jego stylu. Zawsze dobierał czas i miejsce i postępował tak, by kłopoty, jakich narobi, nie skrupiły się na nim. Myślałem, że tym razem potrafię przewidzieć każdy jego ruch.

Philip jęknął i się poruszył. Powoli dźwignął się na kolana, potrząsając głową jak ranne, ogłupiałe zwierzę. Pozbierał się i spojrzał na swoją żonę, na kamień w jej dłoni. Ostrożnie pomacał guza na potylicy, patrząc na Letitię z absolutnym niedowierzaniem.

- Opuszczam cię - powiedziała bezbarwnym głosem pozbawionym jakiegokolwiek uczucia. - Pojadę do Wyndham Manor po Susannah, a potem wrócę do ojca. Jeśli nie zechce mnie przyjąć, znajdę sposób, żeby radzić sobie sama.

- Chciałaś mnie zabić - stwierdził Philip z tym samym niedowierzaniem i dezorientacją w oczach. - Żalony mały robaku, chciałaś mnie zabić.

- Kolej na robaki - powiedziała Letitia obojętnym tonem. - Nie obchodzi mnie, co zrobisz, Philipie. Nie dbam o to, co powiesz ludziom. Możesz się ze mną rozwieść i w gruncie rzeczy życzyłabym sobie, abyś to zrobił. Ale nie odbierzesz mi dziecka.

Kamień upadł na ziemię z jej otwartej dłoni. Potem odwróciła się i odeszła, wyprostowana, z podniesioną głową i po raz pierwszy tę przysadzistą postać ze strusimi piórami w nadmiernie rozbudowanej koafiuze otaczała aura spokojnej godności.

Octavia schyliła się i podniosła nóż. Ostrze z hartowanej stali było tak cienkie, że mogło wejść pomiędzy żebra człowieka, zostawiając zaledwie punktowy ślad. To była broń skrytobójcy.

- Mam zamiar złożyć oświadczenie na tarasie - powiedział Rupert spokojnie, wygładzając frak i poprawiając poplątane koronki żabotu. - Czy masz ochotę towarzyszyć mi, Philipie i przyłączyć się ze swoimi gratulacjami do wszystkich tu obecnych? A może wolisz zakwestionować moje prawa? To drugie byłoby o wiele ciekawsze dla towarzystwa. Słowo daję, że taki obrót sprawy uznają za nieskończenie lepszą rozrywkę od radosnego pojednania z dawno utraconym bratem.

- Nie wygrasz - warknął Philip, ale w jego oczach brak było pewności.

- Ależ tak, wygram. Prawnicy już mnie uznali. Stary doktor Mayberry powitał mnie jak syna marnotrawnego, a on dobrze zna każdy intymny szczegół ciała Culluma Wyndhama. - Uśmiech Ruperta emanował spokojem. - O tak, Philipie. Mogę dowieść swej tożsamości ponad wszelką wątpliwość. Jeśli ją zakwestionujesz, wyjdiesz na głupca. A wiemy, że nim nie jesteś. - Kpiący teraz uśmiech Ruperta drażnił jego brata. - Mordercą Gervase'a, jak najbardziej, ale nie głupcem - dodał łagodnie.

- Bądź przeklęty, Cullumie. Powinienem był zadusić cię własnymi rękami.

Co powiedziawszy, Philip odwrócił się na pięcie i zaczął przedzierać się przez zarośla, byle dalej od tarasu. Octavia drżała.

- Gdyby Letitia nie... poszłam za nią po dwóch minutach, mogłam się spóźnić... - Spojrzała na niego, dopiero teraz uświadamiając sobie całą okropność tego, co mogło się stać. - Nigdy nie uwierzyłam, że jest do tego zdolna. - Kręciła głową zdumiona.

- Zawsze jest jakaś ostatnia deska ratunku - powiedział Rupert.

- Musimy zatroszczyć się o nią... i dziecko.

- Oczywiście.

Wyciągnął ręce, a ona padła mu w ramiona, drżąc na całym ciele.

- Czy to już naprawdę się skończyło, kochany?

- Będzie trochę krzyku - powiedział, głaszcząc jej kark - Trzeba jeszcze dopiąć sprawę z Digbym i Lacrossem.

- Co powiemy papie?

- Prawdę? - Żartobliwie uniósł brew.

- Tak, może to będzie najprostsze. Nie uzna tego za dziwniejsze od czegokolwiek, co się wydarzyło w ciągu ostatnich miesięcy. Przytuliła się do niego.

- Czuję się bardzo szczególnie. Jakbym płynęła pod falę i nagle została wrzucona do

sadzawki.

- Myślisz, że potrafisz wieść spokojny żywot? Uśmiechnął się do niej. Pokręcił głową.

- Nie. A ty?

- Nie.

Pogłaskał ją po policzku.

- Będziemy musieli postarać się o następne trzęsienie ziemi. Żeby wywołać fale – uśmiechnęła się promiennie.

- Jest jeden sposób, który z pewnością sprawi, że ziemia zadrży. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – Tu, na tej ławeczce.

Rupert zerknął przez ramię na kamienną ławeczkę.

- Czy to bezpieczne? – spytał śmiejąc się.

- Przecież lubisz ryzyko – przypomniała mu. – A moje spódnice są tak sute, że skryją niejeden grzech. – Wzięła go za rękę. – Spróbujemy? Zanim pójdziesz rzucić swoją bombę na taras?

- Zacząć to, co chcielibyśmy kontynuować?

- Albo kontynuować to, co zaczęliśmy, lordzie Wyndham.

Roześmiał się łagodnie, usiadł na ławce i posadził ją na kolanach.

Jej spódnice okryły ich chmurą tafty. Z tarasu dobiegły głosy i dźwięki skrzypiec. Muzycy zabawiali gości i Ich Wysokości.

- Może pocznijmy dzieciątko? – szepnęła Octavia, kiedy wszedł w nią głęboko.

- Myślę, że mogłoby mi się to spodobać. – Uśmiechnął się Rupert i odrzucił głowę do tyłu z westchnieniem rozkoszy. Promień słońca padł na jego twarz, a ciepło szczęścia poczęło krążyć w jego ciele wraz z krwią. Widział nad sobą świetliste, błyszczące oczy Octavii, jej twarz przeobrażoną szczęściem.

W końcu rozkuł długi łańcuch krzywdy, gniewu i goryczy, i patrzył jak odpływają od niego coraz dalej.

- Nie wiem – mruknął sennie, dotykając jej twarzy – ale wydaje się, że mimo wszystko sadzawka ma również swoje dobre strony.

Octavia z uśmiechem ucałowała wnętrze jego dłoni.

- Na wszystko jest czas i miejsce, milordzie.

Epilog

Philip Wyndham szedł przez bawialnię królowej, a dla każdego, kto na niego spojrział, mógł być niewidzialny. Kiedy mijał Margaret Drayton, ta ostentacyjnie się cofnęła, zgarniając swoje turkusowe spódnice. Gonił go szmer szeptów, pospiesznie tłumione wybuchy śmiechu.

- Kominiarczyk, dacie wiarę. - Usłyszał czyjeś słowa. - Nie... nie, wiem to z dobrze poinformowanego źródła... wszędzie sadza.

Wybuch śmiechu przeszedł w huragan, włosy zjeżyły mu się na karku z palącego gniewu.

Spojrzał tam, gdzie stała Octavia, hrabina Wyndham, rozmawiająca z księciem Walii. Ich oczy spotkały się na chwilę. Ona na wpeł dygnęła, uśmiechając się kpiąco.

Historia o niefortunnym pojawieniu się kominiarczyka rozeszła się po mieście tydzień wcześniej, stając się natychmiast żartem sezonu. Octavia była jedyną osobą, która mogła ją rozgłosić, nikt jednak nie znał nazwiska damy, choć było ono przedmiotem licznych spekulacji. Philip nie słyszał, by wśród domysłów ktokolwiek wspomniał o hrabinie Wyndham.

Zmuszał się, by iść dalej przez pokój. Księżę Gosford skłonił się chłodno, kiedy jego zięć powitał go z wyszukaną kurtuazją do jakiej z jego strony księżę nie przywykł. Letitia z Susannah pozostawały w bezpiecznym schronieniu Wyndham Manor, jako rezydentki hrabiostwa Wyndham. Dociekania powodu, dla którego musiała szukać ochrony swojego szwagra, były równie powszechne jak te dotyczące tożsamości damy uczestniczącej w katastrofie z kominiarczykiem.

Philip Wyndham dostarczył towarzystwu rozrywki, jakiej nie miało od lat.

Poszukał wzrokiem brata. Hrabia Wyndham, w czarnych jedwabkach i srebrnych koronkach, pograżony był w ożywionej rozmowie w najbliższym otoczeniu króla. Stał w blasku słońca, a po raz pierwszy w życiu jego brat bliźniak krył się w cieniu.

Odkąd Rupert sięgał pamięcią, Philip pragnął go zepchnąć w mrok. Sam pławił się w złotym blasku rodzicielskiej miłości i aprobaty, a kiedy dorósł, przejął wodze dalekosieżnej władzy i wpływów. Jego próżność karmiła się chciwie zależnością innych mężczyzn, ochoczą uległością ich kobiet, pochlebiającą mu uwagą najbardziej wpływowych dworzan. A teraz wszystko to się skończyło, zastąpione szyderstwem i pogardą kapryśnego towarzystwa, które wyżerały mu wnętrzności jak kwas.

A odpowiedzialny za to był Cullum. To Cullum zwyciężył w ostatecznym rozrachunku. Philip zawsze bał się brata bliźniaka. Nawet kiedy wierzył w jego śmierć, ten strach czaił się w mrocznym zakątku umysłu. Zawsze wiedział, że Cullum jest silniejszy i że jedyną szansą na jego pokonanie jest wykorzystanie jego jedynej tragicznej słabości. Cullum, tak samo jak Gervase, niezdolny był do złośliwości czy oszustwa. W rękach młodszego brata obaj byli jak glina. Philip usunął więc ich obu i sam korzystał z blasku słońca.

Teraz jednak to Cullum stał w słońcu.

Ciemnoszare oczy hrabiego napotkały oczy bliźniaka. Hrabia się uśmiechał, ale w jego oczach płonęła pogarda. I Philip wiedział, że nie może oczekiwać od brata zmiłowania. Cullum będzie prześladował go aluzjami i drwiną użyje władzy i wpływów, jakie teraz posiada, by sprowadzić swojego brata do nicości. Będzie tak czynił, dopóki się go nie pozbędzie. Tak samo jak Philip prześladował Culluma osiemnaście lat temu.

Nie mogąc znieść niewzruszonego spojrzenia brata, Philip odwrócił się i opuścił przyjęcie.

Cullum ścigał go wzrokiem, a następnie popatrzył na sygnet na palcu. Philip utracił prawo do swojej obrączki, ponieważ sprzeniewierzył się zobowiązaniu, jakie symbolizowała. Zdradził honor Wyndhamów każdym czynem, jakiego dopuścił się od czasów dzieciństwa. Jeśli dziecko w łonie Octavii okaże się synem, będzie nosić imię swojego nieżyjącego stryja i obrączkę swojego ojca. Tę natomiast, którą Philip zbecześcił, Cullum zniszczy.

Dyskretnie opuścił królewski krąg i stanął u boku żony. Równie dyskretnie usunął ją z zasięgu wzroku księcia Walii.

- Już niedługo para królewska się oddali - powiedział cicho, kładąc dłoń na jej nagim ramieniu.
- Dzięki Bogu - mruknęła Octavia. - To diabelnie nużący sposób spędzania wieczoru.
- Na kilka miesięcy będzie z tym spokój - zapewnił. - Za dwa tygodnie będziesz mogła razem z ojcem cieszyć się latem na wsi w Northumberland.

- Nie mogę się doczekać, kiedy pokażę ci Hartridge Folly. - Octavia nieznacznie cofnęła się w kierunku wnęki okiennej z zasłoną. - Chcę podzielić się z tobą moimi wspomnieniami z dzieciństwa. Pokazać ci wszystkie moje sekretne miejsca.

- Myślałem, że już je wszystkie znam - powiedział z uśmiechem.

- Wręcz przeciwnie - odparła Octavia wyniośle. - Powinieneś wiedzieć, mężu, że dość mam tajemnic, żeby cię zdumiewać przez całe życie.

- O, to wiem - odrzekł, a jego wzrok objął pieszczotą Octavię od czubka upudrowanej koafiury po końce atłasowych pantofelków. - Wystarczy na to życie i przyszłe, moja miłości. Ale ujawnisz mi je wszystkie, prawda?

- Och, tak - szepnęła. Gwarny pokój wokół nich rozproszył się we mgle, rozplynął się w znajomej, gorącej i porywającej fali pożądania. - Kawałek po kawałku, warstwa po warstwie, aż wszystko będzie leżeć przed tobą.

Cullum odchylił grubą, purpurową zasłonę i wślizgnął się do wąskiej wnęki, pociągając za sobą Octavię. Zasłona opadła, zamykając ich w aksamitnej ciemności.